

MROŻĄCA KREW W ŻYŁACH HISTORIA ZBRODNI I WYNAŁAZKU, Z EPOKI W KTÓREJ WIERZONO,
ŻE SEANSE SPIRYTYSTYCZNE SĄ GWARANTEM WSPÓLNOTY DUCHOWEJ ZE ZMARŁYMI.

ERIK LARSON

GROM Z JASNEGO NIEBA



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Niezwykła lekcja historii - NEWSWEEK

GROM
Z JASNEGO NIEBA

Erik Larson

GROM
Z JASNEGO NIEBA

Z języka angielskiego przełożyła
Monika Wyrwas-Wiśniewska



Tytuł oryginału:
THUNDERSTRUCK

Copyright © 2006 by Erik Larson
Copyright © 2009 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2009 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcie na okładce: CORBIS

Zdjęcie autora: © Roseanne Olson

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Magdalena Bargłowska, Jolanta Olejniczak-Kulan, Mariusz Kulan, Bożena Sęk

ISBN: 978-83-7508-587-7

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice

tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

E-wydanie 2012.

Publikację elektroniczną przygotował: iFormat

*Dla mojej żony i córek oraz pamięci mojej matki,
która jako pierwsza opowiedziała mi o Crippenie*

Do czytelników

Tak, to jest książka o morderstwie, jednym z najsłynniejszych w Anglii, ale postanowiłem przedstawić w niej coś więcej niż tylko opowieść o zbrodni. W powieści *The Murder Room* P.D. James jedna z postaci zauważa: „Morderstwo, przestępstwo jedyne w swym rodzaju, jest paradygmatem naszego wieku”. Zestawiając ze sobą zbieżne historie o mordercy i wynalazcy, miałem nadzieję odkurzyć portret okresu 1900–1910, kiedy imperium brytyjskim rządził nieco pulchną i poplamioną cygarami ręką Edward VII, król, który przekonywał swych poddanych, że wprawdzie obowiązek jest ważny, ale równie ważna jest zabawa. „Możesz robić, co chcesz, bylebyś nie płoszył koni” — mawiał.

Opisane tu morderstwo zafascynowało Raymonda Chandlera i tak urzekło Alfreda Hitchcocka, że jego elementy wprowadził do kilku swoich filmów, przede wszystkim do *Okna na podwórze*. Wielką pogoń przez ocean śledziły miliony czytelników gazet na całym świecie — pomogła ona spopularyzować technologię, którą dziś traktujemy jako coś najoczywistszego pod słońcem. „To były prawdziwie najświeższe wieści” — pisał dramaturg i eseista, J.B. Priestley, sam potomek ery edwardiańskiej. — „Coś takiego działo się po raz pierwszy w historii świata”. Wydarzenie dziwnie jednak ścisnęło za serce, ponieważ rozgrywało się w okresie, który wielu, patrząc z perspektywy czasu, uważa za ostatni słoneczny okres przed pierwszą wojną światową czy też — jak ujął to Priestley — nim „nadeszły prawdziwe wojny, a do każdego wielkiego domu przyszedł telegram z fatalną nowiną”.

Nie jest to dzieło fikcji. Wszystko, co ujęte zostało w cudzysłów, pochodzi z listów, wspomnień lub innych dokumentów pisanych. Oparłem się przede wszystkim na raportach Scotland Yardu, z których wielu, o ile mi wiadomo, nigdy wcześniej nie

opublikowano. Proszę czytelników, by wybaczyli mi zamięrowanie do dygresji. Jeśli na przykład dowiecie się więcej, niż byście chcieli, o pewnych częściach ludzkiego ciała, z góry przepraszam, choć wyznaję, że składam te przeprosiny bez przekonania.

Erik Larson
Seattle 2006

„Bezpiecznym, choć czasami zimnokrwistym sposobem przywoływania przeszłości jest otworzenie zapchanej szuflady. Jeśli szukacie tam czegoś konkretnego, na pewno tego nie znajdziecie, ale prawdopodobnie znajdziecie coś, co jest o wiele bardziej interesujące”.

J.M. BARRIE

„DEDYKACJA”

PIOTRUŚ PAN, 1904

Tajemniczy pasażerowie

W środę, 20 lipca 1910 roku, kiedy po rzece Scheldt snuła się lekka mgiełka, kapitan Henry George Kendall szykował swój statek, ss „Montrose”, do rutynowego rejsu z Antwerpii do Quebecu w Kanadzie. O ósmej trzydzieści rano na pokład zaczęli wchodzić pasażerowie. Kapitan nazywał ich „duszami”, a według listy pasażerów dusz tych było w sumie 266.

Kapitan Kendall miał mocno zarysowany podbródek i szerokie usta, które łatwo rozciągały się w uśmiechu, a ta cecha zjednywała mu sympatię pasażerów, szczególnie kobiet. Dobrze opowiadał i często wybuchał śmiechem. Nie pił. Według panujących wówczas standardów był młody jak na kapitana statku, gdyż miał zaledwie trzydzieści pięć lat, ale w żadnym razie nie można mu było zarzucić braku doświadczenia. Jego życie było tak pełne przygód, jakby wymyślił je Joseph Conrad, autor, którego powieści zawsze cieszyły się popularnością wśród pasażerów „Montrose’a”, kiedy statek przemierzał wielką błękitną równinę Atlantyku. Oczywiście, panował również popyt na kryminały i najnowsze powieści, ostrzegające przed niemiecką inwazją.

Jako początkujący marynarz Kendall służył na straszliwej jednostce o czarującej nazwie Iolanthe. Był tam świadkiem morderstwa popełnionego na koledze przez niezrównoważonego psychicznie członka załogi. Ponieważ morderca zaczął go śledzić, ewidentnie chcąc uciszyć na zawsze, Kendall uciekł ze statku i próbował sił w kopalniach złota w Australii, w wyniku czego został bez grosza przy duszy. Ukrył się więc na kolejnym statku, ale znalazł go kapitan i wysadził na wyspie Thursday w Cieśninie Torresa u wybrzeży australijskiego stanu Queensland. Przez krótki czas Kendall zajmował się poławianiem pereł, a następnie

zaciągnął się na niewielką norweską barkentynę — trójmasztowy żaglowiec — przewożącą guano mew na farmy w Europie. Niestety, sztorm połamał maszty i zmienił rejs w prawdziwy koszmar głodu i smrodu, który trwał aż 195 dni. Jednakże miłość Kendalla do statków i morza przetrwała. Zaciągnął się na pokład „Lake Champlain”, niewielkiego towarowego parowca należącego do Beaver Line z Kanady, przejętego później przez firmę Canadian Pacific Railway. Służył tam jako drugi oficer, kiedy w maju 1901 roku „Lake Champlain”, jako pierwszy statek handlowy na świecie, wyposażony został w radiotelegraf. Kendall zwrócił na siebie uwagę zwierzchników i niedługo potem został pierwszym oficerem na flagowym liniowcu firmy, „Empress of Ireland”. W 1907 roku został kapitanem „Montrose’a”.

Nie był to jakoś szczególnie olśniewający statek, szczególnie w porównaniu z Empress, jednostką nową, niemal trzy razy większą i nieskończenie bardziej luksusową. Zwodowany w 1897 roku, w następnych latach przewoził wojsko na wojnę burską i było do Anglii. Miał jeden komin, pomalowany w kolory Canadian Pacific Railway — żółtobrązowy z czarnym — i pływał pod flagą armatora w biało-czerwoną szachownicę. Były tu tylko dwie klasy pasażerskie, druga i trzecia, przy czym tę ostatnią częściej określano jako „steerage”, a więc terminem, który niegdyś oznaczał część przestrzeni pod pokładem przeznaczoną dla układu sterującego, a obecnie pomieszczenie ogólne dla pasażerów bez kabin. Ówczesny rozkład rejsów Canadian Pacific następująco opisywał kabiny drugiej klasy: „Na »Montrosie« kabiny mieszczą się na śródokręciu, gdzie najmniej dokucza kołysanie statku. Są duże, widne i przewiewne. Ponadto panie mają do dyspozycji wygodny salonik, a panowie palarnię, znajduje się tu również obszerny pokład spacerowy. Zapewniono doskonałą kuchnię. Na wszystkich parowcach służą lekarze okrętowi i stewardzi”. Motto linii brzmiało: „Ciut lepiej niż najlepiej”.

Według listy pasażerów drugą klasą podróżować miało tym razem jedynie 20 osób, trzecią natomiast 246, z których niemal wszyscy byli imigrantami. Załoga liczyła osób 107, wliczając

operatora radiotelegrafu, Llewellyna Jonesa. Canadian Pacific instalowała radiotelegrafy na wszystkich swoich statkach transoceanicznych, więc „Montrose”, choć skromny i nie pierwszej młodości, miał na pokładzie ten najnowszy wynalazek.

Kendall wiedział, że aby odnieść sukces na stanowisku kapitana, potrzebuje czegoś więcej niż umiejętności nawigacyjnych. Musiał dobrze się ubierać, czarować pasażerów i wykazać się talentem konwersacyjnym, a równocześnie nadzorować tysiące szczegółów, takich jak prawidłowe zabezpieczenie łodzi ratunkowych, dostarczanie na pokład odpowiednich produktów spożywczych i wina oraz — nowy obowiązek — stan aparatu Marconiego i anteny oraz ich gotowość do przyjęcia nieuniknionego zalewu trywialnych wiadomości, które trafiały na każdy liniowiec wychodzący w morze. Choć te żarty, życzenia dobrej podróży i zagadki stanowiły już część rutyny, mimo wszystko odzwierciedlały również zdumienie, z jakim ludzie nadal traktowali ów nowy i niemal nadprzyrodzony rodzaj łączności. Ci, którzy wyprawiali się w podróż po raz pierwszy, często jak zahipnotyzowani obserwowali niebieskie iskry, krzesane za każdym naciśnięciem klucza telegraficznego. Linie żeglugowe zdążyły się już jednak przekonać, że u pasażerów zakwaterowanych zbyt blisko kabiny operatora to zadziwienie szybko traci na sile. Przekonały się również, że rozsądnie jest umieszczać aparat Marconiego w znacznej odległości od sterowni, aby nie zakłócał pola magnetycznego odczytywanego przez kompas statku.

Przed każdym rejsiem Kendall, szykując się do obowiązków gospodarza kapitańskiego stołu, starał się przeczytać jak najwięcej gazet, żeby być na bieżąco z wydarzeniami. Na świecie działały się doprawdy zaskakujące rzeczy, więc tematów do rozmów nie brakło. Zaledwie rok wcześniej Louis Blériot przeleciał samolotem nad kanałem La Manche, z Calais do Dover. Jego maszynę, wystawioną na pokaz w domu handlowym Selfridges, obejrzało 12 000 widzów. Na czoło interesujących tematów wysuwała się nauka, rozmowy przy stole dotyczyły więc promieni Roentgena, promieniowania w ogóle, szczepionek i tym

podobnych spraw. A jeśli takie tematy się wyczerpywały, zawsze pozostawała frapująca kwestia Niemiec, które z każdym dniem stawały się bardziej napuszone i buńczuczne. Niezawodnym sposobem ożywienia, czy wręcz rozpalenia zamierającej rozmowy była też wzmianka o widocznym wszędzie upadku moralności. Szokujące tego przykłady znaleźć można było w ostatniej sztuce Bernarda Shawa, *Misalliance*, przez Beatrice Webb, reformatorkę społeczną, określonej jako „wspaniała, ale odrażająca”, gdzie „wszyscy pragną nawiązać seksualne związki z wszystkimi”. Jeśli zawiodły wszystkie powyższe sposoby na pobudzenie konwersacji, zawsze pozostawała rozmowa o duchach. Cały kraj ogarnęła gorączka polowania na dowody życia po śmierci, a w wiadomościach często pojawiały się doniesienia o działaniach czcigodnego Towarzystwa Badań Parapsychicznych. Jeśli zaś przypadkiem temperatura dyskusji stawała się zbyt wysoka, wystarczyło wspomnieć o tym, co się czuło po śmierci króla Edwarda, oraz jakie to niesamowite, że właśnie w tym samym czasie na niebie pojawiła się kometa Halleya.

Na krótko przed rozpoczęciem przyjmowania pasażerów Kendall kupił egzemplarz kontynentalnego, angielskojęzycznego wydania londyńskiego „Daily Mail”. W gazecie pełno było wiadomości o morderstwie z piwnicy w północnym Londynie oraz o coraz intensywniejszych poszukiwaniach pary podejrzanych, doktora i jego kochanki. W Londynie na pokład statku weszło dwóch policjantów z Wydziału Tamizy Scotland Yardu, patrolujących nabrzeże w nadziei, że pokrzyżują podejrzanej parze plany ucieczki.

Wszyscy uwielbiają tajemnice, więc Kendall zorientował się od razu, że właśnie to wydarzenie będzie głównym tematem rozmów przez cały rejs — nie samoloty, martwi królowie ani nawiedzone domy, ale morderstwo, i to morderstwo odrażające.

Podstawowe pytanie brzmiało oczywiście: gdzie są teraz zbiegli kochankowie?

* * *

Dla kapitana rejs rozpoczął się zwyczajnie, od powitania pasażerów drugiej klasy. Podróżni zawsze wyglądali najlepiej na początku podróży. Byli starannie ubrani, a na ich twarzach widać było podniecenie i obawę. Schodzili z trapu, niosąc niewiele bagażu, co wcale nie oznaczało, że go nie mają. Większość zazwyczaj licznych kufrów i waliz znoszono od razu pod pokład lub do kabin. Przy sobie ludzie zatrzymywali jedynie niewielkie nesesery podróżne, zawierające rzeczy najważniejsze, takie jak dokumenty osobiste, biżuterię i pamiątki. W żadnym z pasażerów Kendall nie dostrzegł nic szczególnego.

Wśród normalnego powiewania białymi chustkami „Montrose” rzucił cumy i ruszył powoli w dół rzeki Scheld, ku Morzu Północnemu. Stewardzi pomagali pasażerom zlokalizować bibliotekę statku, jadalnię oraz bawialnie nazywane „salonami”. Pomimo skromnych rozmiarów „Montrose’a”, pasażerowie drugiej klasy czuli się tu równie rozpieszczani jak na pokładzie „Lusitanii”. Stewardzi — i stewardessy — przynosili koce i książki, przyjmowali zamówienia na herbatę, belgijskie kakao i szkocką, dostarczali papier i koperty, by pasażerowie mogli napisać wiadomości wysyłane za pomocą aparatu Marconiego. Kendall kilka razy dziennie przechadzał się po pokładzie, zwracając uwagę na nieporządnie zapięte mundury, zmatowiałe okucia oraz inne niedociągnięcia, i zawsze starał się witać pasażerów po nazwisku, gdyż dobra pamięć to kolejna cecha niezbędna u kapitana liniowca.

Trzy godziny po wyjściu w morze kapitan zauważył koło szalupy ratunkowej dwóch pasażerów. Wiedział, że to panowie Robinson, ojciec i syn, wracający z Europy do Ameryki. Ruszył w ich stronę, ale nagle zatrzymał się w pół kroku.

Zobaczył, że pasażerowie trzymają się za ręce, ale nie tak, jak ojciec i syn, jeśli w ogóle kiedykolwiek zdarza się, że chłopak u progu dojrzałości bierze ojca za rękę; syn ścisnął rękę mężczyzny w sposób wskazujący na głębszą zażyłość. Kendall uznał to „za dziwne i nienaturalne”.

Wahał się przez chwilę, po czym ruszył dalej i podszedł do tajemniczej pary. Zatrzymał się i życzył im miłego dnia, a czyniąc to, przyjrzał się im uważnie. Następnie uśmiechnął się, wyraził nadzieję, że podróż upłynie im przyjemnie, i ruszył w swoją stronę.

Nie wspomniał ani słowem o tym, co zobaczył, oficerom ani załodze, ale gwoli przezorności nakazał stewardom zebrać ze statku wszystkie gazety i umieścić je pod kluczem. W kabinie trzymał zawsze na wszelki wypadek rewolwer. Teraz zaczął go nosić w kieszeni.

„Tego dnia nie uczyniłem nic więcej i nie podjąłem żadnych kroków, ponieważ chciałem zyskać pewność, że się nie mylę, nim podniosę alarm” — wspominał.

* * *

Dwadzieścia cztery godziny później statek kapitana Kendalla miał się stać najświetniejszą jednostką pływającą na świecie, a on sam tematem rozmów przy śniadaniu od Broadwayu w Nowym Jorku po Piccadilly w Londynie. Na pokładzie „Montrose’a” wtedy, u schyłku epoki edwardiańskiej, przecięły się dwie absolutnie różne historie, a ich zderzenie miało wywrzeć wpływ na cały świat i nadchodzący wiek.

Część I

Duchy i kanonada



Guglielmo Marconi



Hawley Harvey Crippen

Rozproszona uwaga

Jak żarliwie utrzymywał jeden obóz, cała historia miała swój początek wieczorem 4 czerwca 1894 roku pod numerem 21 przy Albemarle Street w Londynie, pod którym to adresem mieściła się Royal Institution, czyli Instytut Królewski. Chociaż było to jedno z najdosłowniejszych brytyjskich towarzystw naukowych, zajmowało budynek skromnej wielkości, zaledwie dwupiętrowy. Półkolumny, którymi ozdobiono fasadę, były dodatkiem późniejszym, mającym przydać budowli nieco splendoru. We wnętrzu mieściła się sala wykładowa, laboratorium, kwatery oraz bar, w którym członkowie towarzystwa mogli przedyskutować ostatnie postępy w nauce.

W sali wykładowej do wieczornej prezentacji szykował się właśnie wielkiej sławy fizyk. Miał, oczywiście, nadzieję zaskoczyć słuchaczy, ale nie podejrzewał, że ten wykład okaże się najważniejszy w jego życiu i że spowoduje kilkudziesięcioletni konflikt. Fizyk nazywał się Oliver Lodge, a skutki wykładu były jego własną winą — kolejnym objawem, jak to nawet sam przyznawał, podstawowej cechy charakteryzującej jego podejście do pracy. Po raz ostatni sprawdził ustawienie elektrycznego aparatu na stole pokazowym. Niektóre części tego urządzenia były znane, ale większości nigdy nie oglądano na tej sali.

Na zewnątrz, na Albemarle Street policja stanęła przed zwykłym problemem. Ulicę zatarasowały powozy, sprawiając, że wyglądała jak wielkie czarne złożę węgla. Choć w okolicach Mayfair powietrze zwykle nasycone było zapachem lip i intensywną, ciężką słodyczą cieplarnianych kwiatów, Albemarle Street śmierdziała gnojem i moczem, pomimo wysiłków młodych, ubranych w czerwone koszule „ulicznych porządkowych”, którzy chodzili wśród koni, zbierając nie w porę oddawane odchody. Funkcjonariusze Metropolitan Police nakazywali woźnicom

opuszczać ulicę, gdy tylko wysadzą pasażerów. Mężczyźni ubrani byli na czarno, kobiety w suknie wieczorowe.

Instytut Królewski, założony w 1799 roku, aby „krzewić wiedzę i ułatwiać wprowadzanie użytecznych mechanicznych ulepszeń”, był sceną wielkich odkryć. W jego laboratoriach Humphry Davy odkrył sód i potas, a także wynalazł bezpieczną lampę górniczą, a Michael Faraday odkrył zjawisko indukcji elektromagnetycznej, czyli wywoływanie w obwodzie wtórnym prądu przez ładunki krążące w obwodzie pierwotnym. Wykłady w Instytucie, tak zwane „Piątkowe Rozprawy”, cieszyły się niezwykłą popularnością, a zamieszanie, jakie powodowały w ruchu ulicznym, stało się tak wielkie, że londyńskie władze musiały uczynić z Albemarle pierwszą jednokierunkową ulicę w Londynie.

Lodge był profesorem fizyki na uniwersytecie w Liverpoolu, gdzie jego laboratorium znajdowało się w pomieszczeniu niegdyś stanowiącym wyłożoną materacami celę w domu dla obłąkanych. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie uosobienia szanowanej nauki brytyjskiej. Miał gęstą siwiejącą brodę, a głowę — „wielką głowę”, jak to ujął jego przyjaciel — łysą do punktu tuż za uszami, skąd włosy spływały po czaszce w gąszczu loków. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt ważył mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć kilogramów. Pewna młoda kobieta stwierdziła kiedyś, że taniec z Lodge'em przypomina taniec z kopułą katedry św. Pawła.

Choć uważano go za człowieka uprzejmego, w młodości miał inklinacje do okrucieństwa, co w nim samym, w miarę jak się starzał, wywoływało skruchę i zdumienie. Podczas nauki w małej szkole Combs Rectory założył Towarzystwo Niszczenia Gniazd z siedzibą tamże. Członkowie tego klubu wyszukiwali ptasie gniazda, plądrowali je, tłukli jaja i zabijali pisklęta, a potem strzelali z procy do ptasich rodziców. Lodge wspominał, że kiedyś zbił psa batem zabawką, ale składał to na karb zwykłego dziecięcego okrucieństwa. „Bez względu na to, jakie mam wady, okrucieństwo do nich nie należy” — napisał we wspomnieniach. — „Jest to dla mnie rzecz wyjątkowo odrażająca”.

Lodge dorastał w czasach, kiedy uczeni zaczęli wydobywać z pomroków całe legiony niewidzialnych zjawisk, przede wszystkim w dziedzinie elektryczności i magnetyzmu. Pisał we wspomnieniach o tym, jak wykłady w Instytucie Królewskim rozpały jego wyobraźnię. „Szedłem do domu londyńskimi ulicami albo przez Fitzroy Square, mając poczucie nierealności otoczenia. Zdawało mi się, że we wszechświecie otwierają się rzeczy głębsze, które usuwają w cień rzeczy zwykłe, dostępne zmysłom, tak że plac i jego płoty, domy, wozy i ludzie poczynali mi się wydawać nierealnymi cieniami, złudnymi widziadłami, częściowo przysłoniętymi, a częściowo przenikniętymi przez umysłową i duchową rzeczywistość”.

Instytut Królewski stał się dla Lodge’a „miejscem świętym, gdzie intronizowano czystą naukę i oddawano jej cześć”. Uwierzył, że najwyższą jej formą jest nauka teoretyczna, i gardził ludźmi, których on i jemu podobni naukowcy określali mianem „praktyków”, tymi nowymi poganami, wynalazcami, inżynierami i majsterkowiczami, którzy rezygnowali z badań teoretycznych dla ślepych prób i których motywem był zysk. Lodge określił raz proces uzyskiwania patentu jako „niestosowny i odrażający”.

W miarę postępów kariery jego również proszono o wygłaszanie Piątkowych Rozpraw, on zaś rozkoszował się każdą okazją publicznego ujawnienia sekretów natury. Kiedy gdzieś dokonano znaczącego odkrycia, starał się jako pierwszy zaprezentować je publicznie — postąpił tak już w 1877 roku, gdy zdobył jeden z pierwszych fonografów i przywiózł go do Anglii na publiczną prezentację. Ale jego zapatrzenie w nowości miało również swoje negatywne konsekwencje: podatność na rozpraszenie uwagi. Cechowało go wzniosłe dyletanctwo, które jak przyznał pod koniec życia, było fatalną wadą. „Interesowałem się wieloma tematami i rozciągałem swą uwagę na znaczny obszar — co jak sądzę, dobre było dla mojej edukacji, ale nie tak płodne w wynikach” — napisał. Gdy badania naukowe zbliżały się do punktu przełomowego, „wpadałem w rodzaj podniecenia, które nakazywało mi je przerwać i nie dążyć dalej drogą do świetlanego końca [...]. To

dziwne uczucie stało się przyczyną, dla której nie sfinalizowałem wielu tematów, nie ruszyłem ścieżkami, na których uczyniłem już pierwsze kroki”.

Ku konsternacji kolegów rzeczą najbardziej odciągającą jego uwagę był świat nadprzyrodzony. Został członkiem Towarzystwa Badań Parapsychicznych, założonego w 1882 roku przez grupę trzeźwo myślących osób, głównie naukowców i filozofów, pragnących poddać naukowej analizie duchy, seanse spirytystyczne, telepatię i inne zjawiska paranormalne, czyli jak głosiło Towarzystwo w każdym wydaniu swej gazety: „badać bez uprzedzeń i w naukowym duchu te zdolności człowieka, prawdziwe lub domniemane, które wydają się niemożliwe do wyjaśnienia za pomocą uznawanej powszechnie hipotezy”. Statut Towarzystwa głosił, że członkostwo w nim nie oznacza wiary w „fizyczne siły inne niż te uznawane przez fizykę”. Nikogo nie deprymował fakt, że w jego obrębie funkcjonował Komitet do spraw Nawiedzonych Domów. Liczba członków rosła szybko, aż osiągnęła liczbę sześćdziesięciu. Znalazło się wśród nich wielu nauczycieli akademickich i najjaśniejszych umysłów epoki, między innymi John Ruskin, H.G. Wells, William E. Gladstone, Samuel Clemens (lepiej znany jako Mark Twain) oraz wielebny C.L. Dodgson (o równie znanym pseudonimie pisarskim Lewis Carroll). Na liście członków znajdował się również Arthur Balfour, przyszły premier Anglii, oraz William Jones, pionier psychologii, który latem 1894 roku został prezesem Towarzystwa.

To dociekliwość, a nie wiara w duchy, skłoniła Lodge’a, by wstąpił do Towarzystwa. Okultyzm był dla niego po prostu kolejnym wartym zbadania niewidzialnym królestwem, najodleglejszą prowincją powstającej właśnie nauki psychologii. Ujawnienie za jego życia tak wielu niewyobrażalnych dotąd zjawisk fizycznych — między innymi fal elektromagnetycznych odkrytych przez Heinricha Herza — kazało mu przypuszczać, że świat umysłu kryje własne tajemnice. Fakt, że fale mogą płynąć przez eter, zdawał się potwierdzać istnienie innego poziomu rzeczywistości. Skoro można wysłać w eter fale

elektromagnetyczne, to czy założenie, że duchowa esencja człowieka, jego elektromagnetyczna dusza, również może tam istnieć, naprawdę jest takie dziwaczne? Tym bardziej, że w ten sposób można było wyjaśnić nawiedzenia i powodowane przez duchy hałasy, które stały się nieodłączną częścią ludowych podań. Zjawy zamieszkujące wiejskie domy, poltergeisty zakłócające spokój opactw i duchy pukające w stoliki podczas seansów spirytystycznych — to wszystko w oczach Lodge'a i innych członków Towarzystwa warte było obiektywnej analizy na równi z niewidzialnymi podróżami fal elektromagnetycznych.

Lodge był już członkiem Towarzystwa od kilku lat, kiedy pewne wydarzenie stało się wyzwaniem dla jego umiejętności zachowania naukowego dystansu. W Bostonie William James od własnej rodziny dowiedział się o niejkiej „pani Piper” — Leonore Piper — medium, która podobno posiadała niezwykle moce. Zamierzając zdemaskować ją jako oszustkę, James zorganizował seans i sam został oczarowany. zaproponował wówczas, by Towarzystwo zaprosiło panią Piper do Anglii na serię eksperymentów. Wraz z dwiema córkami przyплыła ona do Liverpoolu w listopadzie 1889 roku, po czym udała się do Cambridge, gdzie odbyło się kilka seansów, obserwowanych wnikliwie przez członków Towarzystwa. Lodge umówił sobie prywatny seans i nagle stwierdził, że słucha swej nieżyjącej ciotki Anne, cudownej kobiety o żywym intelekcie, która pomogła mu, gdy wbrew woli ojca postanowił zostać naukowcem. Powiedziała mu kiedyś, że odwiedzi go po śmierci, jeśli tylko będzie w stanie, a teraz głosem, który świetnie pamiętał, przypomniała mu o tej obietnicy. „Była to niezwykła rzecz” — napisał.

Uznał, że właśnie otrzymał dowód, iż jakaś część ludzkiego umysłu żyje również po śmierci. Jak napisał, był „całkowicie przekonany nie tylko o tym, że człowiek żyje po śmierci, ale również o tym, że w pewnych warunkach ma możliwość porozumiewania się z tymi, którzy zostali na ziemi”.

Właśnie z powodu swych różnorodnych zainteresowań i rozkoszy, jaką czerpał z nowych odkryć, w czerwcu 1894 roku stał

się jednym z najpopularniejszych wykładowców Instytutu Królewskiego.

* * *

Wieczorny wykład zatytułowany był „Dzieło Hertza”. Heinrich Hertz zmarł na początku roku, a Instytut poprosił Lodge’a o wykład na temat jego eksperymentów. Przystał na to z ochotą. Głęboko poważał Hertza, wierzył również, że gdyby nie własna fatalna skłonność do rozpraszania się, zdołałby go pokonać i samemu zapisać się na kartach historii. W swoich wspomnieniach omal nie stwierdził, że to on, a nie Hertz, jako pierwszy dowiódł istnienia fal elektromagnetycznych. Rzeczywiście, był tego bliski, ale zamiast podążać za kuszącymi wynikami doświadczeń, porzucił pracę, a swoje ustalenia zaprezentował w przeciętnym dziełku o piorunochronach.

Wszystkie miejsca w sali wykładowej były zajęte. Lodge przemawiał przez kilka minut, po czym rozpoczął prezentację. Najpierw wywołał iskrę. Trzask podobny do wystrzału przykuł uwagę widzów. Ze zdumieniem zauważyli, że iskra spowodowała reakcję — rozbłysk światła — w drugim aparacie, umieszczonym w pewnej odległości i niepołączonym z pierwszym. Najważniejszą częścią aparatu było urządzenie, które Lodge sam zaprojektował i nazwał „kohererem”: rurka wypełniona opiłkami metalu, podłączona do zwykłego obwodu elektrycznego. Opiłki pozostawały w stanie spoczynku i nie przewodziły elektryczności, póki Lodge nie skrzesał iskry i nie wywołał w ten sposób fal elektromagnetycznych. Pod ich wpływem opiłki nagle stawały się przewodnikami — „zlepiły się” — i umożliwiły przepływ prądu. Postukawszy palcem w rurkę, Lodge przywrócił opiłki do poprzedniego stanu i obwód zamarł.

Choć na pozór było to proste doświadczenie, zebrani nigdy wcześniej nie widzieli niczego podobnego: Lodge zmusił niewidzialną energię, fale Hertza, by wywołały reakcję w odległym urządzeniu i to bez żadnych drutów. Oklaski zabrzmiały niczym grzmot burzy.

Po wykładzie lord Rayleigh, wybitny fizyk i matematyk, a także sekretarz Royal Society, czyli Towarzystwa Królewskiego, podszedł do Lodge'a, by mu pogratulować. Prezentacja wskazywała ścieżkę, na której badaniu na pewno warto się było skupić, znał jednak tendencje wykładowcy do rozpraszania uwagi. „No to teraz może pan ruszać dalej” — powiedział. — „To praca pańskiego życia!”

Lodge nie posłuchał rady lorda Rayleigha, tylko, jak zwykle niezdolny do skupienia się na jednym temacie badań, wyjechał do Europy na wakacje, podczas których rozpoczął naukową eksplorację zupełnie innego rodzaju. Udał się na Ile Roubaud, niewielką wysepkę u śródziemnomorskich wybrzeży Francji, a tam stał się świadkiem przedziwnych rzeczy, które ponownie spowodowały rozproszenie jego uwagi i to w chwili, która okazała się kluczowa tak dla jego kariery, jak i dla historii nauki.

Ponieważ w czasie, kiedy prowadził badania na Ile Roubaud, daleko na południu ktoś inny rozpoczął ciężką pracę — błyskotliwie, zawzięcie i nałogowo — badając siły niewidzialnego świata za pomocą tych samych narzędzi, których Lodge użył podczas prezentacji w Instytucie Królewskim. Miało to później spowodować wielkie rozżalenie i konsternację fizyka.

Wielkie Sza

Nie była to wizja *sensu stricto*, taka jak obraz Madonny na pniu drzewa, ale raczej pewność, deklaratywne stwierdzenie, które pojawiło się nagle w jego umyśle. W przeciwieństwie do innych nagłych przebłyskujących idei, ta nie zbladła i nie straciła ostrości, ale stawała się coraz bardziej konkretna. Później Marconi miał powiedzieć, że w całej sprawie pojawił się aspekt boskości, jakby został wybrany spośród wszystkich innych ludzi na świecie, by otrzymać tę ideę. Początkowo wywoływało to jego niepokój — dlaczego właśnie on, dlaczego nie Oliver Lodge albo na przykład Thomas Edison?

Idea objawiła mu się w najbardziej prozaiczny sposób. Latem 1894 roku, kiedy miał dwadzieścia lat, rodzice postanowili uciec przed falą straszliwych upałów, która ogarnęła Europę, na wyżej położone, chłodniejsze tereny. Opuścili Bolonię i udali się do miasta Biella we włoskich Alpach, położonego poniżej Santuario di Oropa, zespołu świątyń związanego z legendą Czarnej Madonny. Podczas tych rodzinnych wakacji Marconiemu wpadł w ręce numer dziennika „Il Nuovo Cimento”, w którym przeczytał wspomnienie pośmiertne o Heinrichu Hertzcu autorstwa Augusto Righi, ich sąsiada i profesora fizyki na uniwersytecie w Bolonii. Coś w tym artykule zadziało niczym intelektualny odpowiednik iskry wzbudzonej przez Lodge’a i w jednej chwili spowodowało, że myśli Marconiego, niczym opiłki w kohererze, zmieniły położenie.

„Największy problem stanowił dla mnie fakt, że ta idea była taka elementarna, taka logicznie prosta. Trudno mi było uwierzyć, iż nikt inny nie pomyślał o wprowadzeniu jej w życie” — wspominał później Marconi. — „Po prawdzie uczynił to Oliver Lodge, ale o włos minął się z właściwą odpowiedzią. Ta idea w

moich oczach była taka prawdziwa, że nie pojmowałem, w jaki sposób innym może się wydać zupełnie fantastyczna”.

Miał mianowicie nadzieję — a raczej zamierzał — przesłać wiadomość na dużą odległość powietrzem, wykorzystując do tego celu niewidzialne fale Hertza. Nic w prawach fizyki, tak jak je wówczas pojmowano, nie wskazywało, że podobny wyczyn jest w ogóle możliwy. Wręcz przeciwnie. Dla reszty naukowego świata propozycja Marconiego wydawała się kwestią z pogranicza pokazów magii i seansów spirytystycznych, jak jakiś rodzaj elektrycznej telepatii.

Później miało się okazać, że przyczyną rozpoczęcia tej wielkiej przygody była niewiedza Marconiego — oraz niechęć jego matki do katolickich księży.

* * *

Cechą Guglielma Marconiego najbardziej uderzającą dla tych, którzy spotykali go po raz pierwszy, był fakt, że zawsze wyglądał na dużo starszego, niż był w istocie. Średniego wzrostu, ciemnowłosa mężczyzna w przeciwieństwie do swoich rodaków cerę miał jasną, oczy zaś niebieskie — dziedzictwo po irlandzkiej matce. Jego twarz była spokojna i poważna, a tę powagę podkreślały jeszcze ciemne, proste brwi i wykrój ust, składające się na wyraz niesmaku i zniecierpliwienia. Wszystko ulegało zmianie, kiedy się uśmiechał — przynajmniej tak twierdzili ci, którzy go znali. To twierdzenie trzeba przyjąć na wiarę, gdyż liczne fotografie prezentują Marconiego co najwyżej z półuśmiechem, a był to dla niego najmniej korzystny wyraz twarzy, implikujący pogardę.

Ojciec Guglielma, Giuseppe Marconi, zamożny farmer i przedsiębiorca, był dość surowy i chciał, by syn poszedł w jego ślady. Matka, Anne Jameson, spadkobierczyni sławnego imperium irlandzkiej whisky, miała bardziej impulsywną i ciekawą naturę. Guglielmo był jej drugim dzieckiem, urodził się 25 kwietnia 1874 roku. Według rodzinnej legendy, wkrótce po jego narodzinach starszy wiekiem ogrodnik wykrzyknął na widok jego uszu: *Che*

orecchi grandi ha!, czyli „Jakież on ma wielkie uszy!”. Rzeczywiście, uszy Guglielmo miał nadspodziewanie duże i na zawsze pozostały jedną z jego najbardziej rzucających się w oczy cech fizycznych. Anne obraziła się wówczas i odparowała: „Będzie słyszał najcichszy szept powietrza”. Legenda rodzinna utrzymuje również, że chłopiec odziedziczył po niej nie tylko jasną cerę i błękitne oczy, ale również samowolną naturę, z powodu której burzliwie ścierały się w nim przeciwstawne cechy charakteru. Wiele lat później jego własna córka, Degna, opisała go jako sumę przeciwności: „cierpliwość i niekontrolowany gniew, uprzejmość i surowość, nieśmiałość i czerpanie przyjemności z pochlebstw, poświęcanie się celowi i” — ta ostatnia cecha była dla niej źródłem ogromnego bólu — „obojętność na uczucia osób, które go kochały”.

Marconi dorastał w majątku rodzinnym, Villa Griffone w Pontecchio nad rzeką Reno, jakieś dwadzieścia kilometrów na południe od Bolonii, tam gdzie teren zaczyna się podnosić w kierunku Apeninów. Dom, jak wiele willi we Włoszech, był obszernym, kamiennym prostopadłościanem o trzech kondygnacjach. Fronton pokrywała sztukateria pomalowana na kolor dojrzałej pszenicy, a każde z dwudziestu umieszczonych w trzech rzędach okien obramowane było ciężkimi, zielonymi okiennicami. Na tarasie, przed frontowymi drzwiami, stały donice z drzewkami cytrynowymi. Wokół loggii rosła paulownia, kwitnąca pękami jasnioletowych kwiatów. W pogodny dzień na południowym horyzoncie rysowały się niebieskie kontury Apeninów. O zmierzchu zachodzące słońce barwiło je na różowo.

Marconiego od wczesnego dzieciństwa fascynowała elektryczność. Nie było w tym nic niezwykłego — w owym czasie każdy, kto miał zacięcie naukowe, uważał ten temat za fascynujący, a nigdzie bardziej niż w Bolonii, od dawna związanej z badaniami nad elektrycznością. To tutaj wiek wcześniej Luigi Galvani wyczyniał straszne rzeczy z martwymi żabami, na przykład przyczepiał im mosiężne haczyki do kręgosłupa i wieszał je na metalowym pręcie, żeby obserwować ich skurcze. Za

pomocą takich doświadczeń starał się udowodnić swoją tezę, że mięśnie żab zawierają elektryczny płyn, jak to określał: „elektryczność zwierzęca”. Również w Bolonii rówieśnik i konkurent Galvaniego, hrabia Alessandro Volta, zbudował swoje słynne „ogniwo”, złożone z warstwy srebra, szmaty nasączonej słoną wodą i cynku — w ten sposób stworzył pierwszą baterię zdolną wytworzyć prąd.

Jako dziecko Marconi miał bardzo zaborczy stosunek do elektryczności. Mówił o niej „moja elektryczność”. Stopniowo jego eksperymenty stawały się coraz bardziej skomplikowane i zabierały mu coraz więcej czasu. Talent, który objawiał w majsterkowaniu, nie przekładał się jednak na naukę, choć tu być może powodem był stosunek jego matki do edukacji. „Jedną z nieprzeniknionych tajemnic otaczających Marconiego jest jego niemal zupełny brak formalnego wykształcenia” — napisał jego wnuk, Francesco Paresce, fizyk pracujący w dwudziestopierwszowiecznym Monachium. — „Moim zdaniem miało to na pewno coś wspólnego z ogromną niechęcią, jaką Anne żywiła wobec kościoła katolickiego, a która wynikała z jej protestancko-irlandzkiego wychowania, zapewne utwierdzonego przez kontakty z bolońską socjetą końca dziewiętnastego wieku”. W owym czasie Bolonia była blisko związana z Watykanem. Anne prosiła męża w liście, by ją zapewnił, że Guglielmo będzie mógł poznać podstawy jej religii i że nie będzie miał kontaktu z przesądem, którego powszechnie uczy się małe dzieci we Włoszech. Najlepsze szkoły w mieście prowadzili jezuici, co w oczach Anne dyskwalifikowało je jako placówki edukacyjne odpowiednie dla syna. Wymusiła na mężu przysięgę, że nie pozwoli, by Guglielma »uczyli księża«.

Sama uczyła syna albo zatrudniała guwernerów. Pozwalała mu się koncentrować na fizyce i elektryczności kosztem gramatyki, literatury, historii i matematyki. Uczyła go gry na fortepianie i zaszczepiła w nim miłość do Chopina, Beethovena oraz Schuberta. Wkrótce odkrył, że potrafi nie tylko odczytywać muzykę z nut, ale również przenosić ją w myślach w inną tonację. Anne nauczyła go

ponadto angielskiego i dopilnowała, by posługiwał się poprawnie tym językiem.

Marconi chodził do szkoły tylko czasami, tam gdzie akurat zatrzymała się rodzina, być może we Florencji albo w Livorno, ważnym włoskim porcie. Regularną naukę w szkole rozpoczął, gdy miał dwanaście lat. Rodzice wysłali go do Florencji do Istituto Cavallero, gdzie jego wychowanie w odosobnieniu okazało się nie lada problemem. Był nieśmiały i nigdy nie nauczył się skutecznie zawierać i utrzymywać przyjaźni, które to umiejętności dzieci opanowują w pierwszych latach w szkole. Jego córka, Degna, napisała: „Wyraz twarzy Guglielma, który zdaniem kolegów oznaczał wyniosłość, tak naprawdę skrywał nieśmiałość i niepokój”.

W *istituto* Marconi odkrył, że na nauce angielskiego ucierpiał jego włoski. Pewnego razu usłyszał od dyrektora szkoły, że jego włoski „jest potworny”. Aby udowodnić, że ma rację albo po prostu po to, by upokorzyć chłopca, dyrektor kazał Marconiemu wyrecytować poemat, który tego dnia analizowano na lekcji. „I mów głośno!” — nakazał.

Marconi przeczytał pierwszą linię i cała klasa wybuchnęła śmiechem. Jak to opisała Degna: „Koledzy zaczęli wyć jak ogary na świeżym tropie. Zanosili się śmiechem, klepali po udach i zaczęli go przedrzeźniać”.

Wiele lat później jeden z nauczycieli Marconiego powiedział dziennikarzowi: „Zachowywał się przykładnie, ale jeśli chodzi o rozum... no cóż, im mniej powiem na ten temat, tym lepiej. Chyba wiele razy dostał lanie, ale znosił bicie jak anioł. Nigdy nie był w stanie nauczyć się niczego na pamięć. Doszedłem do wniosku, że nie jest do tego zdolny. Nigdy nie widziałem dziecka z równie zawodną pamięcią”. Nauczyciele nazywali Marconiego „małym Anglikiem”.

Potem przyszły inne szkoły i inni nauczyciele, jak również prywatne lekcje elektryczności prowadzone przez jednego z czołowych profesorów z Livorno. Marconi poznał Nella Marchettiego, emerytowanego telegrafistę, który tracił wzrok.

Dobrze się ze sobą rozumieli i wkrótce chłopak zaczął czytać starszemu mężczyźnie, a ten nauczył go w zamian alfabetu Morse'a i techniki wysyłania wiadomości za pomocą telegrafu.

Wiele lat później naukowcy równie mocno jak sam Marconi zaczęli się dziwić, dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie to właśnie on dostrzegł coś, co przeoczyły najtęższe umysły jego czasów. Oczywiście, w XX wieku jego idea zaczęła się wydawać czymś zwyczajnym czy wręcz elementarnym, ale w swoim czasie była tak zaskakująca, że niektórzy uważali go niemal za szarlatana i oszusta — a nawet gorzej, za cudzoziemskiego oszusta — i uczynili jego drogę do celu o wiele trudniejszą.

By w pełni pojąć nowatorskość idei, trzeba się cofnąć krok w tył, w ogromny obszar historii, który Degna nazwała „Wielkim Sza”.

* * *

Na początku w niewidzialnym królestwie, przez które przepływa energia elektromagnetyczna, panowała pustka. Oczywiście, energia istniała i przenosiła się z szybkością światła w formie fal wzbudzanych przez słońce, błyskawice czy przypadkową iskrę, ale emanowała bez żadnego określonego znaczenia czy celu. Kiedy ludzie po raz pierwszy zetknęli się z iskrami, na przykład podczas uderzenia pioruna, nie mieli pojęcia, skąd się biorą i jaka jest ich natura. Wiedzieli jedynie, że pojawiają się nagle i z wielką gwałtownością, zupełnie inaczej niż wszystkie inne rzeczy na świecie. Historycy często twierdzą, że odmienny charakter zjawisk natury elektrycznej uświadomiono sobie już w starożytnej Grecji, gdzie niejaki Tales odkrył, iż pocierając bursztyn, może przyciągnąć różne drobinki, na przykład włosy czy nitki. Po grecku bursztyn to *elektron*.

W miarę jak ludzie nabywali naukowego podejścia do różnych zjawisk, zaczęli tworzyć urządzenia do wywoływania iskiei. Były to maszyny elektrostatyczne — ich działanie wymagało pocierania jednej substancji inną, albo ręcznie, albo za pomocą obrotowego mechanizmu, póki nie zakumulował się ładunek dostatecznie duży, by wywołać przeskok iskrzy, czyli jak to się określa w żargonie

inżynierów elektryków, wyładowanie zupełne. Początkowo naukowcy zadowalali się samą możliwością wywoływania iskiei, jak na przykład Isaac Newton w 1643 roku, ale technika szła szybko naprzód i w 1730 roku pozwoliła niejakiemu Stephenowi Grayowi przeprowadzić eksperyment, którego rozmach przewyższył wszystko, co osiągnięto wcześniej. Gray ubrał chłopca w gruby strój, który zaizolował całe jego ciało, ale głowę, dłonie i stopy pozostawił nagie. Za pomocą nieprzewodzących jedwabnych sznurów zawiesił chłopca w powietrzu, po czym przytknął do jego stopy naelektryzowaną szklaną rurkę, powodując, że z nosa dziecka wyskoczyła iskra.

Badania elektryczności przyspieszyły znacznie w 1745 roku, wraz z wynalezieniem butelki lejdejskiej, pierwszego urządzenia zdolnego przechowywać ładunek elektrostatyczny. Butelka została wynaleziona niemal równocześnie w Niemczech oraz w niderlandzkiej Lejdzie, przez dwóch ludzi, których nazwiska niełatwo wymówić: Ewalda Jürgena von Kleista oraz Pietera van Musschenbroeka. Francuski naukowiec, opat Nollet, uprościł kwestię nazwy, ochrzcił bowiem wynalazek mianem fiolki lejdejskiej, choć przez pewien czas drobiazgowi Niemcy upierali się ją nazywać butelką von Kleista. W najpowszechniej znanej formie butelka lejdejska to szklany pojemnik pokryty wewnątrz i na zewnątrz metalową folią. Za pomocą maszyny do tarcia napełniano, czy raczej ładowano pojemnik elektrycznością. Kiedy obie warstwy folii łączono drutem, pojemnik uwalniał energię w postaci silnej iskry. Działając w interesie nauki, ksiądz Nollet wykorzystywał butelkę do dziwnych doświadczeń na dużych grupach ludzi. Pewnego razu nakazał dwustu mnichom, by wzięli się za ręce, a potem rozładował butelkę za pomocą tego żywego łańcucha, powodując wściekły łopot habitów.

Rzecz jasna wywiązała się rywalizacja o to, kto zdoła wywołać najdłuższą i najsilniejszą iskrę. Georg Richman, zamieszkały w Rosji Szwed, zajął w 1753 roku niesławne pierwsze miejsce: podczas próby wykorzystania błyskawicy do naładowania urządzenia elektrostatycznego wielka iskra przeskoczyła z aparatu

prosto na jego głowę i w ten sposób został pierwszym naukowcem, który zginął na skutek porażenia prądem. W 1850 roku Heinrich D. Ruhmkorff wymyślił „cewkę indukcyjną”, żelazny rdzeń, na który nawinięte były dwa kawałki drutu. W ten sposób wywołanie silnej iskry stało się rzeczą prostą, a ludzkość weszła na drogę prowadzącą do stworzenia pierwszych cewek zapłonowych. Kilka lat później badacze z Anglii zbudowali cewkę Ruhmkorffa pozwalającą na uzyskanie iskry o długości metra. W 1880 roku John Trowbridge z Harvardu wywołał iskrę o długości ponad dwóch metrów.

Naukowcy zaczęli podejrzewać, że w nagłym rozbłysku iskry mogą się kryć głębsze tajemnice. W 1842 roku Joseph Henry, profesor z Princeton, doszedł do wniosku, że iskra nie jest jednorazowym uwolnieniem energii, lecz serią szybko po sobie następujących wyładowań, czyli oscylacji. Inni naukowcy doszli do takich samych wniosków, a w 1859 roku jeden z nich, Berend Fedderson udowodnił rzecz ponad wszelką wątpliwość, uchwyciwszy zjawisko na fotografiach.

Prawdziwy wstrząs wywołał jednak James Clerk Maxwell. W 1873 roku w swojej *Rozprawie na temat elektryczności i magnetyzmu (A Treatise on Electricity and Magnetism)* wysunął teorię, że oscylacje wywoływane są przez niewidzialne fale elektromagnetyczne, których właściwości opisał w serii sławnych równań. Twierdził również, że takie fale zachowują się podobnie jak światło i są przenoszone za pomocą tego samego nośnika, tajemniczego, niewidzialnego tworzywa, nazywanego wówczas przez fizyków eterem. Choć jeszcze nikt nie zdołał uzyskać próbki owego eteru, nie powstrzymało to Maxwella od obliczenia jego gęstości względnej. Według jego poręcznego szacunku wynosiła ona 936/1 000 000 000 000 000 000 000 000 000 000 000 000 000 gęstości wody. W 1886 roku w serii eksperymentów laboratoryjnych Heinrich Hertz dowiódł istnienia takich fal, ustalił również, że poruszają się one z prędkością światła.

Tymczasem naukowcy odkryli dziwne zjawisko: iskra najwyraźniej zmieniała właściwości przewodzenia metalowych

opiłków. We Francji Eduardo Branly, żeby lepiej zobrazować ten efekt, umieścił opiłki w szklanych rurkach i stwierdził, że pukając w szkło, można je przywrócić do stanu spoczynku. Opublikował swoje odkrycie w 1891 roku, ani słowem nie wspominając o możliwości wykorzystania swego wynalazku do wykrywania fal elektromagnetycznych, choć nazwa, którą wybrał dla stworzonego urządzenia, była prawdziwie prorocza. Nazwał je mianowicie radioprzewodnikiem. Jego prace przeszły niemal bez echa — dopiero Oliver Lodge i jego koledzy zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem opiłki nie zaczynają przewodzić prądu pod wpływem fal Hertza. Lodge opracował nawet ulepszoną wersję rurki Branly'ego i nazwał ją „kohererem”. Właśnie ten instrument zaprezentował w Instytucie Królewskim.

Na podstawie relacji Lodge'a z jego wykładu można przyjąć, że nie uważał fal Hertza za zjawisko użyteczne, a już z całą pewnością nigdy nie wpadł mu do głowy pomysł wykorzystania ich do łączności. Sądził, że ich zasięg nie jest duży — że jest to najprawdopodobniej mniej więcej kilometr. Latem 1894 roku na świecie nadal więc na odległość przekraczającą zasięg wzroku można się było komunikować jedynie za pomocą drutu. Miejsca, do których druty nie sięgały, trwały w izolacji, której nigdzie nie odczuwano równie dotkliwie, jak na otwartym morzu. Późniejszym pokoleniom, przywykłym do łatwych połączeń z całym światem za pomocą krótkofalówki czy telefonu komórkowego, trudno ją właściwie ocenić.

Pojmował ją natomiast doskonale Winston Churchill, kiedy w 1899 roku, na samym początku wojny burskiej, jako młody korespondent wojenny wyruszył do Kapsztadu na pokładzie okrętu wojennego „Dunottar Castle”, z dowódcą sił brytyjskich na pokładzie. „Kiedy ważyły się kwestie wojny i pokoju, jeszcze nim wystrzelono pierwszy pocisk, wyruszyliśmy na morze w okresie lipcowych sztormów. Oczywiście nie mieliśmy w owych czasach radia, a zatem w tym niezwykle ważnym momencie, dowódca sił brytyjskich znalazł się w całkowitej izolacji od świata. Po czterech dniach na morzu okręt zawinął na Maderę, gdzie nie było żadnych

nowych wieści. Cisza panowała przez kolejne dwanaście dni podróży i dopiero kiedy okręt znajdował się o dwa dni drogi od Kapsztadu, zauważono inny statek, przybywający z »krainy wiedzy« i zapewne posiadający kluczowe informacje. Zasygnalizowano” — oczywiście wizualnie — „do parowca, a dokładniej trampa, z prośbą o wiadomości, a wówczas statek zmienił kurs, minął »Dunottar Castle« w odległości niespełna kilometra i pokazał nam tablicę z napisem: »Trzy bitwy. Penn Symonds zabity«. Potem ruszył w swoją stronę, a głównodowodzący, którego oddziały, nic o tym nie wiedząc, brały już udział w wojnie, poszedł do kabiny rozważyć tę tajemniczą wiadomość”.

* * *

Wróciwszy z Alp, Marconi natychmiast zaczął budować urządzenia, dzięki którym miał urzeczywistnić swoją ideę. Kierowało nim jedynie przeświadczenie, że zdoła osiągnąć cel. Matka zauważyła, że coś się zmieniło, że majsterkowanie Guglielma nabrało celowości. Zauważyła również, że potrzebne mu miejsce na eksperymenty, a choć nie bardzo rozumiała, co syn zamierza osiągnąć, przekonała męża, by pozwolił mu zmienić część poddasza willi w laboratorium. I tak, w miejscu, w którym jego przodkowie hodowali kiedyś jedwabniki, Marconi nawijał pilnie drut na cewki i budował butelki lejdejskie, które rozbłyskiwały na niebiesko energią elektryczną.

W gorące dni poddasze zamieniało się w prawdziwą Saharę. Marconi schudł, a jego cera stała się bledsza niż zwykle. Anne zaczęła się o niego martwić. Pod drzwiami poddasza stawiała mu tace z jedzeniem. Tymczasem Giuseppe czuł się coraz bardziej nieszczęśliwy z powodu obsesji syna i zmian, jakie wprowadziła w rodzinną rutynę. Postanowił zapanować nad sytuacją i odciął mu i tak symboliczną pomoc finansową. „Giuseppe próbował ukarać Guglielma w każdy sposób, jaki mu przyszedł do głowy” — pisała Degna. — „Co charakterystyczne, uważał pieniądze za swą największą broń”. W pewnym momencie Marconi musiał sprzedać buty, żeby kupić drut i akumulator. Był to jednak akt najzupełniej

symboliczny, mający mu zaskarbić współczucie matki. Miał wiele par butów.

Guglielmo toczył w swym laboratorium na poddaszu prawdziwą wojnę ze światem fizyki. Ten świat po prostu nie chciał się zachowywać tak, jak jego zdaniem powinien. Na podstawie książek wymyślił, jak powinien wyglądać aparat, który pragnął zbudować. Potrzebną iskrę generowała butelka lejdejska lub cewka Ruhmkorffa. Jako odbiornik zastosował koherer, taki jaki wynalazł Branly, a ulepszył Lodge. Podłączył go do galwanometru, urządzenia, które rejestrowało obecność prądu elektrycznego.

Tu jednak natrafił na przeszkodę. Potrafił bez problemu wygenerować iskrę, ale nie mógł uzyskać odpowiedzi w kohererze. Zaczął pracować nad odbiornikiem. Sprobował użyć krótszej rurki, a potem takiej, jaką wykorzystał Lodge, eksperymentował też z różnymi wielkościami opiłków i różnymi metalami. W końcu uzyskał odpowiedź, ale nie było to zjawisko stałe. Koherer „czasami działał w odległości dziewięciu metrów od nadajnika, ale czasami nie chciał działać nawet z odległości metra” — wspominał później Marconi.

Niepowodzenia doprowadzały go do szału. Chudł, bladł, ale pracował dalej. „Nie straciłem odwagi” — napisał. Zdaniem Degny jednak „stracił młodość” i stał się małomówny, co miało charakteryzować jego zachowanie już do końca życia.

Miał ustalony cel — zasięg. Wiedział, że jeśli jego telegraf bez drutu ma się kiedykolwiek stać praktycznym narzędziem łączności, musi przesyłać sygnały na odległość setek kilometrów. Tymczasem zdarzało się tak, że nie był w stanie wykryć fal elektromagnetycznych nawet na odległość ramienia od iskry. Na domiar złego uznana teoria głosiła, że transmisja o naprawdę dużym zasięgu, poza horyzont, po prostu nie jest możliwa. Prawdziwi uczeni fizycy, tacy jak Lodge, doszli do wniosku, że fale muszą się poruszać tak samo, jak światło, co oznaczało, że nawet gdyby dało się przesłać sygnał na odległość setek kilometrów, poruszałby się on z prędkością światła po linii prostej i tym samym odbił od zakrzywionej powierzchni ziemi i uciekł w przestrzeń.

Ktoś inny zapewne doszedłby do wniosku, że fizycy mają rację — że łączność dalekiego zasięgu nie jest możliwa. Ale Marconi nie widział podobnych przeszkód. Polegał na metodzie prób i błędów, a stosował ją z taką intensywnością, że graniczyło to z obsesją. Jego postępowanie miało się nie zmienić przez najbliższe dziesięć lat. Żeby wyjaśnić jakieś zjawisko, teoretycy wymyślali wzory, natomiast Marconi ciął drut, zwijał go, budował urządzenia i wysyłał do nich energię, żeby zobaczyć, co się stanie. Na pozór jego działanie było zupełnie bezmyślne, ale kierowało nim przekonanie, że ma rację. Uważał na przykład, że skład opiłków w kohererze jest kwestią kluczową dla działania odbiornika. Kupował lub wygrzebywał na śmietnikach rozmaite metale, dłutem obłupywał z nich opiłki różnej wielkości, a potem segregował je, by uzyskać fragmenty jednakowych rozmiarów. Eksperymentował z niklem, miedzią, srebrem, żelazem, mosiądzem i cynkiem, łącząc je w różnych proporcjach i zestawieniach. Każdą kolejną mieszankę umieszczał w cienkiej szklanej rurce, zatykał ją z obu stron srebrnymi korkami, a potem wstawiał w obwód odbiornika.

Każdą rurkę sprawdzał po kilka razy. Nie istniał jeszcze żaden instrument, który umożliwiłaby pomiar sygnału wysyłanego w przestrzeń czy określenie jego charakteru, Marconi mierzył zatem działanie swego urządzenia za pomocą instynktu i przypadku. I czynił tak przez całe dni i tygodnie. Wypróbował czterysta możliwości, nim zdecydował się na najlepszą swoim zdaniem mieszankę: dość drobny pył złożony w 95 procentach z niklu i 5 procentach ze srebra, ze śladowym dodatkiem rtęci.

Za pomocą odbiornika próbował uruchomić dzwonek umieszczony na drugim końcu laboratorium. Czasami się udawało, czasami nie. Winą za to obarczał koherer Branly'ego — uważał, że jest „nazbyt nieobliczalny”, by dać się wykorzystać w praktyce. Przed każdym użyciem musiał pukać w rurkę palcem, aby opiłki przestały przewodzić prąd. Próbował zmniejszyć rozmiar rurki. Opróżniał termometry, rozgrzewał szkło i sam je formował. Coraz bardziej zbliżał do siebie srebrne korki, redukując przestrzeń

zawierającą opiłki, aż wreszcie cały koherer miał długość niecałych trzech centymetrów, a grubość dziesięciocentówki. Pewnego razu powiedział, że zbudowanie jednego koherera zajmowało mu tysiąc godzin. Jak stwierdził jego przyszły współpracownik, wykazywał „zdolność do nieustającej pracy”.

Obsesja zasięgu, która ogarnęła Marconiego, pogłębiała się coraz bardziej. Wyniósł dzwonek do innego pokoju i odkrył, że fale z łatwością przenikają przeszkody. Równocześnie narastał w nim strach, niemal przerażenie, że któregoś dnia obudzi się i odkryje, że ktoś inny osiągnął jego cel. Rozumiał, że w miarę postępu badań nad falami elektromagnetycznymi jakiś inny naukowiec, wynalazca czy inżynier może nagle doznać podobnego olśnienia jak on sam.

I miał rację, że się martwił. Na całym świecie naukowcy przeprowadzali eksperymenty z falami elektromagnetycznymi, choć nadal koncentrowali się na ich właściwościach optycznych. Lodge był najbliższym celu, ale z niewyjaśnionych przyczyn nie kontynuował swych badań.

Blizna

Młoda kobieta, która pojawiła się w gabinecie doktora Hawleya Harveya Crippena na Brooklynie w Nowym Jorku i która miała spowodować w jego życiu takie zamieszanie, nazywała się Cora Turner. Przynajmniej w owej chwili. Miała wówczas siedemnaście lat, Crippen natomiast trzydzieści i był już wdowcem. Dzieląca ich przepaść nie była jednak tak głęboka, jak wskazywałaby różnica wieku, gdyż panna Turner zachowywała się i wyglądała jak kobieta dużo starsza. Miała pełną figurę, w natarczywy sposób przywodzącą na myśl słowo „zmysłowa”, zaś w jej oczach przebłyskiwała wiedza. Ale nie wiedza książkowa, tylko świadomość tego, w jakim stopniu cierpienie może wpłynąć na moralność. Był to stopień znacznie wyższy niż dopuszczalny zdaniem duchownych z brooklińskich kościołów. Panna Turner była pacjentką doktora Jeffreya, a zjawiała się z problemem, który z wiktoriańską pruderią określano jako „kobięcy”.

Crippen był człowiekiem samotnym, zaś cechy fizyczne jakby sprzysięgły się, by takim pozostał. Nie był przystojny, a jego drobna postura nie budziła skojarzeń ani z siłą, ani z męskością. Zawiodły go nawet włosy, już wiele lat wcześniej rozpoczynając odwrót z czoła. Dysponował jednak pewnymi zaletami. Choć był krótkowidzem, oczy miał wielkie i pełne ciepła oraz współczucia — o ile nosił okulary. Niedawno zapuścił brodę w kształcie wąskiego V, która przydała mu aury pewnego wyrafinowania. Ubierał się dobrze, a sztywne kołnierze i krój marynarek w owym czasie preferowany przez krawców pozwalały mu odcinać się od krajobrazu w taki sam sposób, jak linia narysowana tuszem obramowuje rysunek. Ponadto był lekarzem w czasach, kiedy medycyna stawała się dziedziną naukową, wymagającą

właściwego charakteru i intelektu. Coraz częściej oznaczała też zamożność.

Crippen natychmiast zakochał się w Corze Turner. Jej młodość nie wydawała mu się przeszkodą i rozpoczął zaloty, zapraszając ją na kolacje i spacer. Stopniowo poznawał jej przeszłość. Ojciec Cory, rosyjski Polak, zmarł, kiedy była mała. Matka, Niemka, wyszła ponownie za mąż, ale obecnie również nie żyła. Panna Turner mówiła płynnie zarówno po niemiecku, jak i po angielsku. Jej ojczym, Fritz Mersinger, mieszkał na Forrest Avenue w Brooklynie. Zwierzyła się Crippenowi, że pewnego razu, z okazji urodzin, Mersinger zabrał ją na Manhattan do opery. To doświadczenie rozpałiło w niej ambicję. Postanowiła zostać największą divą operową na świecie.

W miarę upływu czasu Crippen stwierdził, że namiętność u panny Turner graniczy z obsesją, a ta z kolei sprowadziła ją na nie najlepszą drogę. Mieszkała sama. Za jej mieszkanie płacił niejaki C.C. Lincoln, zdun, człowiek żonaty i mieszkający gdzie indziej. Opłacał również jej utrzymanie, stroje i lekcje śpiewu. W zamian otrzymywał seks oraz towarzystwo kobiety, która była młoda, atrakcyjna i pełna życia. Powstały jednak komplikacje — panna Turner zaszła w ciążę. Problem, który sprowadził ją do gabinetu pracodawcy Crippena, doktora Jeffreya, nie był zwykłą kobiecą przypadłością. „Sądzę, że było to poronienie albo coś w tym rodzaju” — powiedział Crippen. Za tymi słowami zapewne kryło się coś bardziej bolesnego.

Mimo wszystko Crippen był oczarowany, a Cora zdawała sobie z tego sprawę. Z każdym spotkaniem coraz mocniej postrzegała go jako narzędzie zerwania z Lincolnem i realizacji marzenia o sukcesie na scenie operowej. Wiedziała, jak wzbudzić jego uwagę. Pewnego razu poinformowała go, że Lincoln chce, by z nim uciekła. Bez względu na to, czy była to prawda, czy nie, wiadomość odniosła spodziewany skutek.

„Powiedziałem jej, że tego nie zniosę” — wspominał Crippen.

Kilka dni później, 1 września 1892 roku, para zawarła cichy ślub w domu katolickiego księdza w Jersey City w New Jersey.

Zapewne ksiądz nic nie wiedział o wcześniejszej ciąży.

Wkrótce po ślubie Cora po raz pierwszy objawiła cechę charakteru, która z upływem lat miała się stawać coraz wyraźniejsza. Otóż lubiła tajemnice. Znienacka poinformowała męża, że naprawdę wcale nie nazywa się Cora Turner, a nazwisko, które podała, sprawiało wrażenie wyjętego prosto z musicalu. Oświadczyła mianowicie, że w rzeczywistości nazywa się Kunigunde Mackamotzki.

Postanowiła jednak nadal używać imienia Cora. Od dzieciństwa nosiła takie przezwisko, a zresztą Kunigunde Mackamotzki zupełnie nie pasowało do operowej gwiazdy.

Niemal natychmiast młodych małżonków przytłoczyły wydarzenia, nad którymi nie mieli żadnej kontroli, a także skutki podejmowania błędnych decyzji.

* * *

Hawley Harvey Crippen urodził się w 1862 roku w Coldwater w stanie Michigan, w samym środku dwóch wojen: odległej wojny secesyjnej i toczonej bliżej domu wojny z Szatanem, wrogiem równie realnym dla większości mieszkańców miasteczka, jak żołnierze Południa w szarych mundurach.

Klan Crippenów zamieszkał w Coldwater dawno i w znacznej sile, a ich przybycie określono w dziewiętnastowiecznej historii hrabstwa Branch w stanie Michigan mianem „pojawienia się kolonii metodystów”. Przyczynili się hojnie do wniesienia miejscowego kościoła metodystów, choć przynajmniej jeden wpływowy członek rodziny był spirytualistą. Nie był w tym zresztą odosobniony, gdyż Coldwater powszechnie znane było jako siedlisko nie tylko protestantów, ale również spirytualizmu, zapewne w wyniku migracji. Podobnie jak wielu sąsiadów, Crippenowie przenieśli się do Michigan z zachodniej części stanu Nowy Jork, regionu, który przezywano „płonącym okręgiem” ze względu na żarliwość, z jaką ulegał nowym trendom religijnym.

Dziadek Crippena, Philo, przybył do Coldwater w 1835 roku i po energicznych zalotach ożenił się jeszcze w tym samym roku z

panną Sophią Smith. Założył sklep towarów sypkich, który szybko stał się jedną z najważniejszych firm w mieście. Zajmował ważne miejsce na Chicago Street, głównej ulicy handlowej miasteczka, którą dzieliła na pół Rogatka Chicago. Wkrótce Crippenowie pokazali, na co ich stać. Jeden był właścicielem młyna na Pearl Street, inny otworzył sklep, gdzie sprzedawał artykuły spożywcze i przemysłowe. Jedną z panien Crippen, Hattie, grała na organach w kościele metodystów, inna zaś, Mae, została przełożoną miejskich szkół. W mieście znajdował się nawet gmach Crippena oraz ulica Crippena.

Miasteczko Coldwater rozwijało się szybko dzięki swemu położeniu przy Rogatce Chicago oraz przy głównej linii kolejowej Lake Shore Michigan Southern Railroad. Chicago Street stała się centrum handlowym dla całego południowego Michigan. Przechadzając się tą ulicą, człowiek z pieniędzmi mógł kupić niemal wszystko. Pełno tu było wyspecjalizowanych sklepów, sprzedających obuwie, strzelby, kapelusze, zegarki, biżuterię oraz wyrabiane na miejscu cygara i powozy, z których miasto było coraz bardziej znane. Najbardziej prestiżowym zajęciem w okolicy była hodowla koni. Jedną ze stadnin specjalizowała się w koniach wyścigowych, które zyskały sławę na cały kraj. Pochodziły z niej tak sławne zwierzęta, jak Vermont Hero, Hambletonian Wilkes, no i oczywiście najślawniejszy Green Mountain Black Hawk.

Coldwater było miasteczkiem zamożnym, a domy wznoszone przez jego mieszkańców doskonale to odzwierciedlały. W centrum stało mnóstwo wdzięcznych domostw z drewna, cegieł i kamienia. Wiele z nich przetrwało do XXI wieku, zmieniając Coldwater w mekkę studentów wiktoriańskiej architektury. W jednym z wczesnych wydań książki adresowej Coldwater napisano: „Przyjemne ulice i parki, ocienione wspaniałymi klonami, wiele kilometrów dobrze utrzymanych trotuarów, jasno oświetlone ulice, porządne i zamożne rezydencje oraz świetnie prosperujące firmy — dzięki temu wszystkiemu jest to miasto zamieszkałe przez wykształconych, inteligentnych i uprzejmych ludzi, których

działania, zarówno prywatne, jak i publiczne są w każdym calu oddane Ameryce”.

Philo Crippen i jego żona wkrótce doczekali się syna, Myrona, a ten w swoim czasie ożenił się z panną Andresse Skinner i przejął rodzinne imperium towarów sypkich. Został również taksatorem podatkowym pierwszej administracji miejskiej oraz agentem firmy produkującej maszyny do szycia. W 1862 roku Myron i Andresse doczekali się pierwszego dziecka, Hawleya Harveya, który przyszedł na świat w czasach zawieruchy ogarniającej cały kraj. Gazety wydawane w Coldwater donosiły o przelewie krwi, a miejscowi hodowcy wysyłali swe konie armii. W sumie do końca wojny wojska Unii otrzymały stąd trzy tysiące sztuk. „Coldwater Union Sentinel” z piątku 29 kwietnia 1864 roku, kiedy Hawley Harvey miał dwa lata, nie przyniósł miasteczku radosnych wieści. „Wiosenna kampania źle się rozpoczęła. Jak dotąd nieszczęście, klęska i odwrót naznaczają wszelkie wysiłki naszej armii” — donoszono. Młodzi mężczyźni z hrabstwa Branch wracali do domu okaleczeni, bez rąk, bez nóg albo ze straszliwymi bliznami. Opowiadali historie o heroicznym wyczynach i ogłuszających kanonadach. W tych czasach w rozmowach prowadzonych w sklepie Phila na pewno nie brakowało krwi ani dramatyzmu.

* * *

Pomimo wojny Hawleyowi dane było się cieszyć uprzywilejowanym dzieciństwem. Dorastał w domu pod numerem 66 na North Monroe, zaledwie jedną przecznicę od Chicago Street, na skraju alei ocienionej przez drzewa o prostych pniach i koronach gęstych i zielonych niczym brokuły. Latem promienie słoneczne przedzierały się przez ten gąszcz i rzucały na ziemię zasłonę błękitnego cienia, który chłodził zarówno powietrze, jak i umysły.

W niedziele panowała tu cisza. Nie wychodziły gazety, a mieszkańcy mijali się w drodze do swoich kościołów. W upalne lata cykanie cykad nadawało tym wędrownikom senny i pobożny rytm. Dziadek Hawleya, Philo, był człowiekiem pełnym powagi, czym nie

różnił się od innych starszych mieszkańców Coldwater. Fotografia zrobiona po 1870 roku ukazuje grupę mniej więcej dwudziestu pierwszych mieszkańców Coldwater, w tym i Philona. To prawda, że w tych czasach do fotografii należało przyjmować poważny wyraz twarzy, częściowo dlatego, że taki był zwyczaj, a częściowo ze względu na niedostatki samej techniki fotograficznej, ale ta grupa sprawia takie wrażenie, jakby nie uśmiechała się od co najmniej pół wieku. Kobiety zdają się zawieszane gdzieś między melancholią a złością, otaczają je zaś starsi panowie z dziwnymi brodami, które sprawiają takie wrażenie, jakby ktoś niedbale posmarował im twarze klejem, a następnie rzucił w nich garścią białych włosów. Dzień, w którym zrobiono tę fotografię, musiał być wietrzny, ponieważ najdłuższa i najdziwniejsza broda, przylepiona do twarzy najstarszego żyjącego mieszkańca Coldwater, Allena Tibbitsa, wygląda jak biała zamazana plama, przypominająca nieco kataraktę. Dziadek Philo stoi w tylnym rzędzie. Jest wysoki i łysy na czubku głowy, z kępkami białych włosów przylepionymi po bokach czaszki i pióropuszem na dolnej szczęce. Ma wydatne uszy, którymi los odbarzył również Hawleya.

Philo był metodystą, człowiekiem o zdecydowanych poglądach, a na klan Crippenów wywierał presję podobną do grawitacji. Za każdym razem, kiedy wchodził do pokoju, tłumił wszelkie namiętności i zachcianki. Wszędzie ścigał zło. Pewnego dnia poprosił radę kościelną metodystów, by „zabroniła używania dzwonek na licytacjach”. W tych czasach członkowie kongregacji płacili pastorowi za miejsca w kościele, przy czym najdroższa ławka, na samym przedzie, kosztowała rocznie czterdzieści dolarów. Była to znaczna suma — według dzisiejszej wartości pieniądza ponad czterysta dolarów — ale Philo uiszczal ją i kazał rodzinie, w tym Hawleyowi, towarzyszyć sobie co niedzielę do kościoła. Jeśli chodzi o Pana, żadne koszty nie były dla niego zbyt wielkie.

Czczenie Boga nie kończyło się wraz z ostatnim „amen” pastora. W domu Philo czytał na głos Biblię, kładąc szczególny nacisk na smutny los czekający grzeszników, przede wszystkim tych rodzaju

żeńskiego. Wiele lat później Hawley powiedział swemu współpracownikowi: „Kiedy byłem mały, diabeł zamieszkał w naszym domu i nie chciał się wyprowadzić”.

Gdzieś w obrębie trzech pokoleń w rodzinnych rysach pojawiło się osłabienie. Twarze Philona i jego brata Lorenza wyrażały siłę i wytrzymałość — z upływem czasu zaczęły bardziej przypominać naruszoną dynamitem skałę niż ludzkie ciało. Dwa pokolenia później pojawił się Hawley, blady, niewysoki i krótkowzrostowy, dręczony przez silniejszych chłopców, łagodny w zachowaniu i nienawykły do ciężkiej pracy. Jego dzieciństwo upływało powoli, a dni niewiele różniły się od siebie, wyjąwszy momenty powszechnego podniecenia, zwykle znacznie oddalone od siebie w czasie, takie jak otwarcie w 1866 roku toru saneczkowego czy pożar w roku 1881, który zniszczył Armory Hall, jedyny tutejszy teatr. To ostatnie nieszczęście zachęciło jednego z czołowych producentów cygar w mieście, Bartona S. Tibbitsa, do zbudowania niezwykle gmachu opery. Wkrótce do Coldwater zaczęli zjeżdżać ludzie pokroju Jamesa Whitcomba Raileya, który czytał na scenie swoje wiersze, oraz inni, oferujący mniej intelektualne rozrywki. Wśród nich znalazła się grupa Haverly's Minstrels i ich „Uczone Psy warte 10 000 dolarów”, różne wędrowne trupy wystawiające *Chatę wuja Toma*, niezliczone media spirytystyczne oraz telepaci, a także artyści najlepiej zapamiętani przez publiczność: Kobięcy Zespół Duncana Clarka, tańczący w przebraniu Murzynek w czasie i przedstawienia *Nowe noce arabskie*, czyli — zdaniem „Coldwater Republican” — „osiem kobiet niemal pozbawionych okryć”. „Courier” określił je jako „najobrzydliwsze przedstawienie pokazane w Coldwater”.

* * *

W 1882 roku Crippen rozpoczął naukę w Szkole Homeopatii Uniwersytetu Michigan. W owych czasach homeopatia cieszyła się wielką popularnością wśród lekarzy i pacjentów. Stworzył tę dziedzinę Samuel Hahnemann, niemiecki lekarz, którego imię nosiło wiele szpitali w Stanach Zjednoczonych. Jego rozprawa, *Organon sztuki medycznej*, po raz pierwszy opublikowana w 1810

roku, stała się biblią homeopatii. Hahnemann uczynił w niej założenie, że lekarz może wyleczyć choroby za pomocą technik i lekarstw wywołujących takie same objawy jak dolegliwość, na którą cierpi pacjent. Swoje poglądy streścił w trzech słowach, *similia similibus currantur* — podobne leczy podobne.

Crippen opuścił szkołę w 1883 roku, nie uzyskując dyplomu, i wyruszył do Londynu w nadziei kontynuowania tam studiów medycznych. Angielskie uczelnie powitały go sceptycznie i z pogardą, ale pozwolono mu uczęszczać na wykłady i pracować w roli praktykanta w różnych szpitalach, między innymi w St. Mary of Bethlehem. Był to zakład dla umysłowo chorych — jego nazwa została w mowie potocznej zredukowana do „Bedlam”, które to słowo, pisane małą literą, weszło ostatecznie do słowników jako termin oznaczający chaos i zamieszanie. To właśnie tam Crippena przyjęto najlaskawiej, ponieważ leczenie ludzi szalonych było dziedziną, którą praktykowało niewielu lekarzy. Nic nie mogło uleczyć szaleństwa — lekarze mogli jedynie podawać pacjentom środki uspokajające, by nie zrobili krzywdy ani sobie, ani innym. W takim środowisku, gdzie brakowało wszelkiego postępu, należało chwytać się każdej nadziei.

Crippen przywiózł ze sobą liczne umiejętności oraz wiedzę o miksturach przydatnych w oczach kierujących zakładem. Jako homeopata znał działanie nie tylko zwykłych opiatów, ale również trucizn w rodzaju akonityny uzyskiwanej z bulw tojadu, atropiny ekstraktowanej z pokrzyki wilczej jagody (*belladonna*) oraz trucizny sumaka jadowitego. W dużych dawkach każda z tych substancji spowodować mogła śmierć, ale jeśli stosowano je w ilościach bardzo małych, zwykle w połączeniu z innymi składnikami, mogły umożliwić uzyskanie reakcji fizycznych naśladujących objawy znanych chorób.

W Szpitalu Bethlehem Crippen powiększył swą wiedzę o nowy środek, bromowodorek hioscyny, otrzymywany z rośliny z rodziny psiankowatych, *Hyoscyamus niger*, znanej powszechnie jako lulek czarny. Choć używał go po raz pierwszy, od dawna wiedział o jego istnieniu, gdyż w Ameryce stosowano go w zakładach dla

umyślowo chorych do uspokajania pacjentów cierpiących na napady szału i obsesje oraz alkoholików dręczonych przez *delirium tremens*. Lekarze wstrzykiwali pacjentom maleńkie dawki, jedną setną grana lub nawet mniejsze (gran to jednostka wagi historycznie wywodząca się od ciężaru przeciętnego ziarna pszenicy; jej wartość została później ustalona bardziej precyzyjnie na 0,0648 grama, czyli 0,002285 uncji). Crippen wiedział, że lulek czarny wykorzystywany jest powszechnie w leczeniu schorzeń oczu, a to ze względu na swą właściwość rozszerzania źrenic, zarówno u ludzi, jak i u zwierząt, w tym kotów. To ta właściwość miała się okazać szczególnie ważna dla przyszłości młodego doktora. Wszelkie błędy w ustalaniu dawki mogły się okazać bardzo niebezpieczne. Wystarczyło ćwierć grana — czyli 0,0162 grama lub 0,0005712 uncji — by doprowadzić do śmierci.

Crippen nie zabawił długo w Londynie. Uznawszy tamtejszą atmosferę za równie chłodną, jak angielski klimat, wrócił do Stanów i zapisał się do szkoły medycznej w Cleveland Homeopathic Hospital. Studiował chirurgię, ale później twierdził, że jego wykształcenie w tej dziedzinie było czysto teoretyczne — nigdy nie operował pacjenta, żywego ani umarłego. Twierdził również, że nigdy w życiu nie wykonał badania pośmiertnego.

* * *

Miasto Coldwater wiele oczekiwało od Crippena. Ponieważ nie był męski, jak jego stryjowie, Lorenzo i generał Fisk, lecz należał raczej do mózgowców, medycyna wydawała się dla niego odpowiednim zajęciem. Miejscowe gazety śledziły jego podróże. 21 marca 1884 roku „Coldwater Courier” podał: „Hawley Crippen, syn Myrona Crippena, przebywa w mieście”. Wrócił na pogrzeb swojej babci, pani Philonowej Crippen, która zmarła kilka dni wcześniej. Podobno, choć to mało prawdopodobne, jej ostatnie słowa brzmiały: „Błogosławiona niech będzie nadzieja na zaszczytną nieśmiertelność”. Gazeta z dnia następnego wspomniała, że Hawley Crippen „w przyszłym tygodniu kończy College w Cleveland”.

Po ukończeniu studiów Crippen otworzył praktykę homeopatyczną w Detroit, ale dwa lata później przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie zaczął studiować leczenie chorób oczu w nowojorskim Szpitalu Okulistycznym, homeopatycznej instytucji mieszczącej się u zbiegu Dwudziestej Trzeciej Ulicy i Trzeciej Alei. Kilkadziesiąt lat wcześniej szpital przeszedł drastyczną zmianę filozofii leczenia, z medycyny alopacyjnej — w której lekarze próbowali leczyć choroby, wywołując objawy przeciwne tym, na które cierpiał pacjent — na homeopatyczną, pozbywając się przy okazji wszystkich chirurgów, którym udzielono „permanentnego zwolnienia”. Według nowych zasad i pod kierownictwem nowych lekarzy „sukces instytucji okazał się równie niezwykły jak jej wcześniejsze porażki”, jak napisano w *Historii homeopatii* opublikowanej w 1905 roku przez entuzjastę tej dziedziny, doktora Williama Harveya Kinga. Jeden z najbardziej cenionych nauczycieli nosił niefortunne nazwisko Deady^[1]. Wedle archiwum uczelni, Crippen ukończył naukę w 1887 roku jako jeden z nielicznych absolwentów. Ale jak pisał King: „Prawdziwa wartość szpitala mierzona jest dobrem, jakie czyni, przynosząc ludziom ulgę w cierpieniu, a nie liczbą absolwentów, którzy ubiegają się o jego dyplom”.

Crippen, obecnie dwudziestopięcioletni, rozpoczął staż w Hahnemann Hospital w Nowym Jorku i tu poznał początkującą pielęgniarkę, Charlotte Jane Bell, która przyjechała do Stanów z Dublina. Wkrótce „Coldwater Courier” mógł przekazać ekscytującą wieść: tuż przed Bożym Narodzeniem 1887 roku Hawley Harvey Crippen wstąpił w związek małżeński.

Wraz z Charlotte Crippen opuścił Nowy Jork i wyjechał do San Diego, gdzie otworzył gabinet. Oboje rozkoszowali się ciepłym klimatem i błękitnym bezmiarem oceanu. Rodzice Crippena, Myron i Andresse, wkrótce przenieśli się z Coldwater do Los Angeles, a od młodej pary dzieliła ich teraz tylko całodzienna podróż pociągiem na północ. Wkrótce Charlotte zaszła w ciążę i 19 sierpnia 1889 roku urodziła syna, Ottona. Rodzina przeprowadziła się po raz kolejny, tym razem do Salt Lake City,

gdzie Charlotte znów zaszła w ciążę. W styczniu 1892 roku, tuż przed spodziewanym rozwiązaniem, umarła nagle, zapewne na apopleksję. Crippen odesłał małego Ottona do Los Angeles, do dziadków, a sam uciekł z powrotem do Nowego Jorku. To właśnie wtedy zatrudnił się u doktora Jeffreya i zamieszkał w jego domu. Oraz poznał kobietę, która miała zmienić bieg i charakter jego życia.

* * *

Zaraz po ślubie Crippen i Cora przenieśli się z Nowego Jorku do St Louis, gdzie doktor zatrudnił się jako okulista w gabinecie optyka. Nie zabawili tu długo — miastu brakowało gwaru i okazałości Nowego Jorku i niewiele mogło zaoferować kobiecie, która postanowiła żyć w objęciach wielkiego świata. Bez wątpienia na skutek nalegania Cory para przeniosła się z powrotem do Nowego Jorku.

„Kobiece kłopoty” Cory stawały się coraz poważniejsze. Miała bóle i krwawiła często. Udała się do lekarza, a ten stwierdził, że problem powodują jajniki, i zalecił ich usunięcie metodą operacyjną. Crippen miał wątpliwości. Widział w życiu dość operacji i ich rezultatów, by wiedzieć, że choć od czasu barbarzyńskich praktyk wojny secesyjnej technika chirurgiczna uczyniła wielkie postępy, operacja nadal jest sprawą bardzo poważną, a nie kwestią zachcianki. Wprawdzie dezynfekcja znacznie zmniejszyła liczbę fatalnych przypadków zakażeń, a rozwój anestezji sprawił, że zabieg przestał być dla pacjenta koszmarem, ale chirurgia nadal była niebezpieczna. Cierpienia Cory były jednak zbyt wielkie. Wyraziła zgodę na operację.

Wkrótce po zabiegu złożyła wizytę swojej siostrze, pani Teresie Hunn, mieszkającej na Long Island, i pokazała jej bliznę. Była ona „świeża” — pasek mocno czerwonej skóry. Podczas rewizyty pani Hunn znów obejrzała bliznę. Nadal robiła tak wielkie wrażenie, że nawet wiele lat później potrafiła opisać ze szczegółami jej wygląd: „Była dużo lepiej zagojona, niż kiedy widziałam ją po raz pierwszy. Miała dziesięć, może dwanaście centymetrów długości i mniej

więcej dwa centymetry szerokości, ale nie potrafię tego powiedzieć dokładnie. Była bardziej kremowa niż reszta ciała i wyglądała na bledszą. Zewnętrzna część blizny, ta od strony zdrowego ciała, była bardziej blada niż środek”. Pani Hunn nie wyjaśniła jednak, czy operacja wymagała usunięcia pępka, co często praktykowano wówczas przy takich zabiegach.

Operacja oznaczała jeszcze jedno — Cora nie mogła mieć dzieci. Stało się to dla niej źródłem cierpień. Jej bliska przyjaciółka, pani Adeline Harrison, powiedziała później: „Wiem tylko o jednym cieniu w ich życiu. Oboje uwielbiali dzieci, a ona nie mogła ich mieć”. Czy Crippen rzeczywiście podzielał żal żony, pozostaje kwestią otwartą, skoro odesłał swego jedyne go syna do Los Angeles i nie sprowadził go po ślubie z powrotem.

Jedna z przyrodniczych sióstr Cory, pani Louise Mills, powiedziała, że jej siostra „bardzo pragnęła zostać matką” i że brak dzieci rzucił cień na jej małżeństwo. „Kiedy ich odwiedziłam cztery lata temu, wydawali się idealnie szczęśliwi”, wyjąwszy fakt, że Cora „biadała, że nie może mieć dziecka. Obawiam się, że później czuła się coraz bardziej samotna w małżeństwie” — opowiadała.

W liście do drugiej przyrodniej siostry Cora napisała: „Kocham dzieci. Jestem pewna, że dziecko wprowadza w rodzinie ogromną zmianę. Prawdę powiedziawszy, rodzina nie jest pełna bez dziecka. Więc Ci zazdroszczę. Och, mówię Ci, to zupełnie co innego, kiedy masz własne dzieci”.

* * *

Presja wywierana na Crippena stawała się coraz większa. Doszedłszy do siebie po operacji, Cora rozpoczęła lekcje śpiewu, za które mąż płacił z radością. Lubił, kiedy jego młoda żona była szczęśliwa. Jednak w maju 1893 rozpoczęła się depresja — tak zwana panika roku 1893 — i popyt na jego usługi medyczne gwałtownie spadł. Płacił za lekcje Cory, dopóki mógł, ale wreszcie nadeszła chwila, kiedy musiał jej powiedzieć, że trzeba przerwać naukę, przynajmniej na trochę. Przenieśli się do tańszego mieszkania. W miarę jak kurczyły się ich dochody, przeprowadzali

się kolejne razy, aż wreszcie stanęli w obliczu decyzji, której Cora, wychodząc za mąż za młodego i na pozór zamożnego doktora Crippena, nigdy nie brała pod uwagę. Choć do tej pory powinna była już występować na scenie i prowadzić dostatnie życie na Manhattanie albo w Londynie, Rzymie lub Paryżu, wylądowała wraz z mężem na powrót w Brooklynie. Co gorsza, musiała się pogodzić z jeszcze większym upokorzeniem — zamieszkali u Fritza Mersingera, jej ojczyma.

Był to dla niej punkt zwrotny. Najpierw znalazła się w St Louis, zadymionej dziurze, a potem musiała ścierpieć stopniowy upadek, spowodowany pogłębiającą się paniką. Ludzie wszędzie tracili pracę, a ojcowie z trudem zapewniali rodzinie wyżywienie i ciepło.

Zacząła naciskać na Crippena, by znalazł sobie pracę, która pozwoliłaby im na lepsze życie, wyprowadzkę od Mersingera i w ogóle z Brooklynu i na znalezienie się bliżej świata, który widziała podczas swej pierwszej w życiu wizyty w operze: mężczyzn w czarnych garniturach, pelerynach i wysokich kapeluszach oraz kobiet, których diamenty połyskiwały z łóż opery jak gwiazdy na zimowym niebie. Prawdziwa medycyna — a homeopatia nadal uważana była za prawdziwą medycynę, choć jej czar już nieco przybladł — nie przyniosła pożądanego poziomu dochodów.

Najprawdopodobniej Crippen, jak wskazuje na to jego temperament, wolałby poczekać na lepsze czasy, kiedy wizyta u lekarza znów zaczęnie być postrzegana jako rzecz konieczna, na którą trzeba sobie pozwolić, a nie jak luksus, bez którego można się obejść.

Cora nie chciała jednak czekać. Czekanie, okazywanie cierpliwości wobec tego, co przynosi jej los, nie leżało w jej naturze. Filson Young — jego pełne nazwisko brzmiało Alexander Bell Filson Young — wybitny dziennikarz i pisarz, tworzący na początku dwudziestego wieku, opisał Corę jako osobę „krzepką i zwierzęcą. Jej żywotność należała do głośnych, agresywnych i fizycznych, które zdają się wysysać z otoczenia powietrze. Na pewno była wyczerpująca dla tych, którym przyszło z nią żyć”.

Kiedy Crippen po raz pierwszy ujrzał ją w gabinecie doktora Jeffreya, poza urodą i bujną kibicią, jego uwagę przyciągnęło na pewno jej impulsywne wesołe usposobienie, jej energia i determinacja, by nie dać się zgnieść przez presję miejskiego życia końca dziewiętnastego wieku. Później jednak to, co sprawiało wrażenie impulsywności i czaru, zmieniło się w nużącą zmienność.

Wiele lat później, mówiąc o Corze w pierwszym okresie ich małżeństwa, Crippen stwierdził, że „zawsze miała wybuchowy temperament”. Zdawał sobie jednak sprawę, że inni ludzie rzadko miewali do czynienia z tym aspektem jej osobowości: „dla świata zewnętrznego była osobą niezwykle przyjacielską i miłą” — powiedział.

Napięcie w ich związku zaczęło rosnać.

Dziwne wydarzenia

Ile Roubaud to jedna z małych wysepek na Morzu Śródziemnym u wybrzeży Francji. Stały na niej tylko dwa domy — jeden zajmował latarnik, drugi, po drugiej stronie wyspy, naukowiec o nazwisku Charles Richet, fizjolog, który dziesięć lat później otrzymał Nagrodę Nobla za odkrycie zjawiska anafilaksji, czyli gwałtownej reakcji wywoływanej u niektórych ludzi przez jad pszczoły, orzeszki ziemne lub inne tego typu czynniki. Dom służył mu głównie jako schronienie przed upałami panującymi na kontynencie, ale owego roku nawet tutaj było gorąco. Sierpień 1894 roku pamiętano długo z powodu wyjątkowo wysokich temperatur panujących w całej Europie. Ale zebrani w domu Richeta szybko zapomnieli o fali upałów pod wpływem wydarzeń, które zwykłemu śmiertelnikowi zapewne kazałyby powiosłować jak najszybciej w stronę lądu stałego.

Wieczór był pogodny, powietrze gorące i nieruchome, pachnące morzem. Oliver Lodge, Richet i dwoje innych gości — kobieta i mężczyzna — zebrali się w jadalni, natomiast piąty członek grupy siedział na zewnątrz, na podwórku, tuż pod oknem. W rękę trzymał notes i był gotów do zapisywania obserwacji, które przekazywano mu z pokoju. W oknach zupełnie nieruchomo wisiały franki z przejrzystego materiału — kolejne świadectwo upału i duchoty.

Kobietą była Eusapia Palladino, Włoszka. Siedziała przy stole na środku pokoju. Pod jej nogami mężczyźni umieścili urządzenie, które miało zasygnalizować brzęczeniem, jeśli zdejmie z niego którąś stopę. Aby nie mogła wykorzystać jednej stopy „w miejsce dwóch”, jak ujął to Lodge, każdą z nich otoczyli specjalnym ekranem. Przykręcili lampy, aż w pokoju zrobiło się ciemniej niż na zewnątrz. Z okien sączyło się miękkie błękitne światło.

Richet usiadł po jednej stronie Palladino, przyjaciel Lodge'a, Frederic W.H. Myers, po drugiej. Był to poeta i wizytator szkolny, jeden z założycieli Towarzystwa Badań Parapsychicznych i współautor zbioru raportów Towarzystwa na temat duchów i telepatii zatytułowanego *Phantasms of the Living*. Dzieło opublikowano w 1886 roku w dwóch obszernych tomach — jak uważali autorzy, zawierało obiektywną analizę aż siedmiuset przypadków. Pod wpływem tej publikacji Myers wraz z kilkoma innymi członkami Towarzystwa postanowił stworzyć *Spis halucynacji*, na którego potrzeby 410 osób na całym świecie rozdawało ankietę rozpoczynającą się od słów: „Czy kiedykolwiek, choć byłeś pewien, że na pewno nie śpisz, miałeś żywe odczucie, że widzisz lub że dotykasz żyjącego albo nieożywionego obiektu, lub słyszysz głosy, które to wrażenie, na ile jesteś w stanie stwierdzić, nie wynikało z jakiegokolwiek zewnętrznej przyczyny fizycznej?”. 12 procent badanych kobiet i 7,8 procenta badanych mężczyzn odpowiedziało na to pytanie twierdząco. Autorzy wyciągnęli stąd wniosek: „Pomiędzy śmiercią a widziadłami umierających osób istnieje związek, który nie jest jedynie wynikiem przypadku. Uważamy to za fakt dowiedziony”.

W ciemniejącej jadalni letniego domu Richeta Lodge podszedł do stołu i stanął za Eusapią Palladino. Richet ujął ją za prawą rękę, Myers za lewą. Lodge umieścił dłonie po obu stronach jej głowy i trzymał mocno.

* * *

Palladino miała czterdzieści lat. Według większości relacji była analfabatką lub niemal analfabatką. Twierdziła, że wcześniej została sierotą — że matka umarła przy jej urodzeniu, a kiedy miała dwanaście lat, jej ojca zamordowali bandyci. Zamieszkała wówczas u pewnej rodziny w Neapolu i zarabiała na utrzymanie praniem. Rodzina interesowała się bardzo spirytyzmem i wieczorami często organizowała seanse, zapraszając na nie również Eusapię. Podczas jednego takiego seansu przekonano się o dziwnych mocach kobiety. Meble w pokoju zaczęły się ruszać.

Wiść o rzekomych zdolnościach Palladino rozeszła się szybko i nagle pojawił się popyt na jej usługi. Zgodnie z leksykonem badań paranormalnych była medium „fizycznym”, a nie transowym. Medium transowe służy jedynie jako rodzaj telefonu do zaświatów, natomiast medium fizyczne potrafi również wpaść w trans i wyzwolić siły, które biorą ludzi za ręce, dotykają ich twarzy i przesuwają meble. Niezależnie od typu medium, podczas seansów objawia się podobno fizyczny byt, zwany „przewodnikiem”, który kieruje komunikacją z tymi za zasłoną.

Palladino objawiła właściwe zdolności we właściwym czasie. Spirytyzm zdobywał sobie wyznawców na całym świecie, a doniesienia o duchach, poltergeistach i przeczuciach-które-się-sprawdzały były na porządku dziennym. Ludzie kupowali sobie tablice Ouija i straszili się śmiertelnie. Sławę zyskiwały legendarne media, w tym dwa najbardziej znane, madame Helena Bławacka, ostatecznie zdemaskowana jako oszustka oraz D.D. Home, którego talenty przekonywały nawet sceptyków.

W 1894 roku Palladino również cieszyła się już światową sławą. Lodge, Myers i Richet zamierzali wystawić jej zdolności na próbę.

Mężczyźni trzymali mocno rzekome medium. Pokój był ciemny, gorący i absolutnie cichy. Palladino wpadła w trans, nad seansem przejął kontrolę duch o nazwisku „John King”, jej przewodnik. „Nie zamierzam snuć domysłów, czym naprawdę był John King, ale miałem wrażenie, jakby rzeczywiście kontrolował ją duży, silny mężczyzna” — napisał Lodge.

Przy każdym przejawie działalności nadprzyrodzonych mocy mężczyźni głośno informowali siebie nawzajem i sekretarza za oknem, co się stało, i potwierdzali, że nadal trzymają ręce i głowę Palladino. Komunikaty wygłaszali po francusku, „wykrzykując do innych, jeśli coś się zdarzyło” — jak to ujął Lodge.

J'ai la main gauche — wołał Myers.

Trzymam lewą rękę.

Richet: *J'ai la main droite*.

W ciemnościach Lodge poczuł, jakby ktoś ścisnął jego ręce, choć przecież koledzy trzymali dłonie Palladino.

On me touche! — wykrzyknął.

Coś mnie dotyka.

„To było tak, jakby ktoś lub coś w pokoju przemieszczało się i łąpało ludzi za ramiona albo z tyłu za szyję i ścisnęło. Jakby ktoś mógł się swobodnie przemieszczać. Uściski zdarzały się często, prędzej czy później poczuli je wszyscy przy stole”. W pewnej chwili Lodge odniósł wrażenie, że o czubek głowy ociera mu się „długa włochata broda”. „Podobno była to broda Johna Kinga. Niesamowite uczucie, zważywszy, że zaczynałem już łysieć” — napisał.

Pod ścianą stało biurko. Pani Palladino, nadal trzymana przez mężczyznę, wskazywała je gestem w ciemnościach. „Za każdym razem, kiedy to robiła, biurko uderzało w ścianę, zupełnie jakby miała w ręku kij i je pchała”. Powtórzyło się to trzy razy. Dla Lodge’a przeżycie było trudne, choć nie czuł się przerażony. „Musi istnieć jakieś mechaniczne połączenie zdolne poruszać materię. Sam umysł nie może tego dokonać” — napisał. Uderzenia wskazywały na istnienie „jakiejś struktury nieznanego nauce, która może przesyłać siłę na odległość”.

Seans trwał dalej. Nagle „z jej boku, przez ubranie wynurzyła się jakaś nadprzyrodzona ręka” — wspominał Lodge. Ten widmowy członek był blady i ledwie widoczny, jednak niewątpliwie realny i o płynnej konsystencji, a nie stałej, jakiej należałoby się spodziewać, gdyby pani Palladino miała ukryte pod ubraniem jakieś urządzenie. Lodge — sławny fizyk, profesor University College of Liverpool, członek Instytutu Królewskiego, poważany wykładowca, a w niedługim czasie rektor uniwersytetu w Bristolu mający otrzymać szlachectwo — napisał: „Ujrzałem, jak ten członek powoli prostuje się w przyćmionym świetle, aż w końcu dosięgnął Myersa, który miał na sobie białą marynarkę. Widziałem, jak się zbliża, cofa, waha i w końcu go dotyka”.

Myers wykrzyknął: *On me touche!*, po czym spokojnie dodał, że czuje, jakby mu ktoś ścisnęło żebra. Niestety, relacje nie wyjaśniają, dlaczego nie poderwał się z krzesła i nie uciekł z krzykiem.

* * *

Lodge usiłował przenieść te zdarzenia ze świata duchów w królestwo praw mechaniki. „Jeśli chodzi o fizykę ruchu” — napisał — „wszystkie one, jak sądzę, wytwarzane są w zgodzie ze zwykłymi prawami dotyczącymi materii”. Emanacja z ciała Palladino zachęciła Richeta do stworzenia nowego terminu na opisanie takiego zjawiska: „ektoplazma”. Lodge napisał: „Ektoplazmatyczny twór, który tu działał, nie był normalny, ale jego nienormalność przynależy do dziedziny fizjologii lub anatomii — to jest coś, co powinni zbadać biolodzy”. Przyznawał, że całe zagadnienie jest ryzykowne, i ostrzegał, że powinno się starannie odróżniać prawdziwe manifestacje od tych, które może bez trudu wytworzyć oszust. „Zwróćmy uwagę, że ektoplazma jest czymś więcej niż prostym wydzielaniem czy wytłaczaniem materii. Jeśli jest prawdziwa, ma moc działania, może wywierać siłę i przybierać kształty. Zwykle wydzieliny z ust, które nic nie mogą uczynić i tylko wiszą, nie zasługują na zainteresowanie”.

Wydarzenia na wyspie przekonały Lodge'a, że jakaś część ludzkiego umysłu jest w stanie przetrwać po śmierci ciała. W oficjalnym raporcie dla Towarzystwa napisał: „Każda pozbawiona uprzedzeń osoba, która przeżyłaby podobne wydarzenie, doszłaby do tej samej konkluzji, to jest, że rzeczy dotąd uważane za niemożliwe naprawdę się zdarzają”.

Coraz bardziej poświęcał się badaniom eteru, gdzie, jak wierzył, można natrafić na konwergencję praw fizyki i zjawisk parapsychicznych. „Nie wiemy jeszcze na pewno, czy istnieje parapsychiczne medium umożliwiające komunikację telepatyczną, czy służy do niej eter i czy nasza egzystencja związana jest z tą substancją, a nie z materią” — napisał. — „Ci, którzy odeszli, wydają się tak uważać i na ile sięga moja wiedza, mogą mieć rację”.

Oczywiste moce Eusapii Palladino po raz kolejny rozproszyły uwagę Lodge'a. Aż do owej chwili ta wada charakteru nie wyrządziła mu większej szkody.

Wystrzał

Liczyła się każda chwila. Marconi zmniejszał swój koherer, aż przestrzeń przeznaczona dla opiłków stała się ledwie szczeliną pomiędzy srebrnymi zatyczkami. Próbował podgrzewać szklaną rurkę tuż przed jej zatkaniem, aby po tym, jak powietrze ostygnie i powróci do temperatury otoczenia, powstała częściowa próżnia. Istotnie, spowodowało to widoczne zwiększenie czułości koherera.

Ciągłym utrudnieniem była konieczność pukania w koherer w celu przywrócenia go do stanu spoczynku, żeby mógł znów reagować na pojawienie się fal. Żaden telegraf nie wytrzyma równie pracochłonnej i nieprecyzyjnej procedury.

Marconi zbudował kołatkę, podobną do serca dzwonu, i umieścił ją w odbiorniku. „Za każdym razem kiedy wysyłałem fale elektryczne, kołatka pukała w rurkę, przywracając odbiornik do stanu początkowej czułości” — napisał.

Wyniósł się ze swymi eksperymentami na zewnątrz. Zdołał przesłać trzy kropki — czyli literę S w alfabecie Morse’a — do odbiornika umieszczonego na trawniku przed willą. Po kolejnych ulepszeniach i poprawkach zwiększył zasięg odbiornika do kilkuset metrów. Dalsze usprawnienia nie zwiększyły zasięgu.

Pewnego dnia, przypadkiem lub w przebłysku intuicji, umieścił jeden z drutów nadajnika na wysokiej tyczce, w ten sposób tworząc antenę dłuższą niż wszystko, co wcześniej skonstruował. Nie istniała teoria, która choćby napomykała o celowości takiego działania. To było po prostu coś, czego Marconi jeszcze nie próbował, a zatem rzecz warta eksperymentu. Pomysł w sposób dramatyczny zwiększył długość fali wysyłanego sygnału, w ten sposób zwiększając jej zdolność do przemieszczania się na znaczne odległości i omijania przeszkód.

„To właśnie wtedy dostrzegłem, że otwiera się przede mną wspaniała nowa droga” — twierdził potem Marconi. — „Nie triumf. Triumf był jeszcze odległy. W owej chwili zrozumiałem po prostu, że jestem na dobrej drodze. Mój wynalazek ożył. Uczyniłem ważne odkrycie”.

Było to odkrycie praktyka. Marconi miał tak niewielką wiedzę w dziedzinie fizyki, że później utrzymywał, iż fale, które okiełznywał, nie były falami Hertza, lecz czymś innymi i jeszcze nieznanym.

Poprosił o pomoc swojego starszego brata, Alfonsa, i kilku robotników z majątku, po czym zaczął eksperymentować z antenami różnej wysokości i różnym ich ustawieniem. Każdą uziemiał, zakopując w ziemi miedziany talerz. Na szczycie przyczepiał sześcian albo cylinder z cyny. Powierzył odbiornik pieczy Alfonsa i kazał mu go zanieść na pola przed domem.

Dostrzegał pewien wzorzec. Każda zmiana wysokości anteny powodowała o wiele większy wzrost zasięgu. Dwumetrowa antena pozwalała wysłać sygnał na odległość dwudziestu metrów. Przy czterometrowej antenie można było wysłać go na odległość dziewięćdziesięciu metrów. Ta zależność wyglądała na prawo fizyki, choć w tym momencie nawet Marconi nie był w stanie sobie wyobrazić szczytów, na jakie się wzniesie, by je przestudiować.

W końcu wysłał brata tak daleko, że ten musiał machać tyczką z przywiązaną na końcu chusteczką za każdym razem, kiedy odebrał sygnał.

Postępy były zachęcające. „Wiedziałem jednak, że mój wynalazek nie będzie miał znaczenia, póki nie umożliwi łączności ponad naturalnymi przeszkodami, takimi jak wzgórza i góry” — powiedział Marconi.

Był wrzesień 1895 roku i nadszedł czas na najważniejszy jak dotąd test.

Marconi siedział przy oknie w swoim laboratorium na poddaszu i patrzył, jak brat i dwaj robotnicy, rolnik Mignani i stolarz Vornelli, ruszają przez zalane słońcem pola. Robotnicy nieśli odbiornik i wysoką antenę, Alfonso — śrutówkę.

Zgodnie z planem mieli się wspiąć na odległe wzgórze, noszące nazwę Celestine, po czym zejść na jego drugą stronę, aż zupełnie przestaną widzieć dom. Dopiero wówczas Marconi miał wysłać sygnał. Odległość była większa niż wszystko, czego dotychczas próbowali — mniej więcej tysiąc czterysta metrów — ale dużo większe znaczenie miał fakt, że po raz pierwszy sygnał miał być wysłany do odbiornika znajdującego się poza zasięgiem wzroku. Jeśli Alfonso otrzyma sygnał, wypali ze śrutówki.

Na poddaszu było gorąco, jak zwykle. W upale uwijały się pszczoły, przysiadając na rosnących przed domem kwiatach. W pobliskim gaju oliwnym srebrzystoszare drzewa usiane były oliwkami.

Powoli postaci na polu zaczęły znikać Marconiemu z oczu. Wspięły się na wzgórze Celestine, a potem zanurzyły się w złotawą mgiełkę za jego wierzchołkiem.

W domu było cicho, powietrze trwało zupełnie nieruchomo. Marconi nacisnął klucz swojego nadajnika.

Chwilę później w rozżarzonym słońcem powietrzu rozległ się echem wystrzał.

W owej chwili cały świat uległ zmianie, choć miało minąć jeszcze wiele czasu, nim wszyscy zrozumieli prawdziwe znaczenie tego, co się właśnie stało.

Uśmierzanie bólu

Pomimo paniki 1893 roku jedna gałąź medycyny nadal kwitła: przemysł leków patentowych. Niewykluczone, że rozwój tej branży spowodowała sama depresja. Ludzie, którzy uważali, że nie stać ich na opłacenie lekarza, próbowali wyleczyć się sami, za pomocą specyfików, które można było zamówić pocztą albo kupić w pobliskiej drogerii. Trudno było przeoczyć rozkwit tego przemysłu. Wystarczyło, by Crippen otworzył gazetę, a natrafiał na dziesiątki ogłoszeń o eliksirach, tonikach, tabletkach i balsamach, które podobno posiadały zdumiewające właściwości. „Czy czujesz się tak, jakby ci w głowie ktoś walił młotkiem? Jakby przed oczami przelatywały ci miliony iskier?” — pytała pewna firma. „Czy bardzo boli cię brzuch? Gorzkie krople na krew Burdocka na pewno cię uleczą”.

Jedną z najbardziej znanych firm reklamujących patentowe leki była Munyon Homeopathic Home Remedy Co., mieszcząca się w Filadelfii. Fotografie i rysunki jej założyciela, profesora J.M. Munyona, pojawiały się w wielu ogłoszeniach firmy i sprawiły, że jego twarz stała się jedną z najlepiej znanych w Ameryce, a później również na całym świecie. Munyon wyglądający z tych ogłoszeń miał około czterdziestu lat, gęstą niesforną czuprynę, a czoło tak wysokie i szerokie, że pozostała część twarzy sprawiała wrażenie ciągniętej w dół. Stanowcze usta nadawały mu trzeźwy i zdeterminowany wyraz dający do zrozumienia, że przysięgł sobie wytepić wszystkie choroby świata. „Gwarantuję, że mój lek na reumatyzm w ciągu dwóch lub trzech godzin przyniesie ulgę na lumbago, rwę kulszową i wszelkie bóle reumatyczne oraz uleczy je w ciągu kilku dni”. Obiecywał, że fiołki ze specyfikiem można znaleźć „we wszystkich drogeriach” po dwadzieścia pięć centów. Rzeczywiście, niewielkie drewniane gablotki produkowane przez

jego firmę stały w niemal każdej drogerii. Wypełniały je wszelkiego rodzaju leki, ale czołowe miejsce zajmował jego najślawniejszy produkt, balsam na hemoroidy, o nazwie Maść Munyona na krwawnice, „Na krwawnice zasklepione i krwawiące, wystające i wewnętrzne. Prawie natychmiast likwiduje swędzenie, uśmierza podrażnienia i przynosi ulgę w bólu. Zalecamy ją na pęknięcia, owrzodzenia i podobne problemy odbytu”.

W innych ogłoszeniach profesor Munyon przydawał swym lekom autorytetu samego dobrego Boga. Z tym samym poważnym wyrazem twarzy wyciągał rękę w kierunku nieba i nalegał, by czytelnicy nie tylko zakupili jego produkty, ale również „Zważali na znak krzyża”. Później, podczas wojny amerykańsko-hiszpańskiej, opublikował nuty do *Pieśni wolności Munyona*. Na przedniej okładce znajdowały się fotografie prezydenta Williama McKinleya, admirała George’a Deweya i innych ważnych osobistości, a na tylnej duża fotografia jego własnej osoby — w ten sposób związał swe nazwisko z nazwiskami wielkich ludzi swoich czasów.

W 1894 roku Crippen złożył podanie o pracę w nowojorskim biurze Munyona przy Czternastej Wschodniej, niedaleko Szóstej Alei — w owych czasach było to jedno z najzamożniejszych miejsc w Nowym Jorku. Coś w małym doktorze spodobało się Munyonowi — być może jego homeopatyczne wykształcenie albo doświadczenie zebrane w Londynie w najślawniejszym na świecie zakładzie dla umysłowo chorych — gdyż dał mu posadę i co więcej, zaproponował, by wraz z żoną zamieszkał w pokojach nad biurem.

Crippen przyjął propozycję. Okazał się biegły w przygotowywaniu znajdujących się w sprzedaży specyfików oraz w opracowywaniu formuł nowych produktów. Munyon był pod wrażeniem. Nazwał Crippena „najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się spotkać, tak biegłym, że z radością dałem mu posadę i nigdy tego nie żałowałem”.

Był również pod wrażeniem łagodności jego charakteru. Twierdził, że był on „potulny jak kociak”. Ale Cora to coś zupełnie

innego. Zdaniem Munyona była „frywolną kobietą, która przysparzała mężowi wiele zmartwień”.

Wyczuł, że Crippen jest nieszczęśliwy, i przypisywał to zachowaniu jego żony. Cora zajmowała rozmową innych mężczyzn, okazywała szczerość i energię, przytłaczała wszystkich siłą swej osobowości i fizycznej obecności. Budziła apetyt. Crippen stawał się coraz bardziej zazdrosny, a zdaniem Munyona na jego miejscu każdy mężczyzna czułby tak samo. Zauważył to również syn Munyona, Duke. „Lubiła innych mężczyzn, ale nie męża, co bardzo martwiło doktora” — powiedział.

Dwa bilety do Londynu

Marconi zrozumiał, że nadszedł czas zaprezentowania wynalazku światu. Legenda głosi, że najpierw chciał go zaoferować rządowi Włoch, a dokładniej Ministerstwu Poczty i Telegrafu, ale jego oferta została odrzucona. W krótkich wspomnieniach jego wnuka, Francesca Parescego, pojawia się inna relacja: „Bez względu na to, jak miły wydaje się taki pomysł, czy jak wiarygodny w miejscu takim jak Włochy, nie ma dowodów, że kiedykolwiek postąpił w ten sposób”. Legenda jest nazbyt ugrzecznioma i nie bierze pod uwagę faktu, że w wieku dwudziestu jeden lat Marconi posiadał spryt biznesmena dwukrotnie od siebie starszego. Zawsze podstawowe znaczenie miał dla niego fakt, że jako pierwszy wpadł na ten pomysł i zapewne od dawna miał już zaplanowany kolejny krok.

Postanowił mianowicie zawieźć swój wynalazek do Londynu. Tak, Londyn był centrum świata, ale również miejscem, gdzie istniał sprawny system patentowy, gwarantujący szerokie uprawnienia właścicielowi patentu, przy czym niekoniecznie musiał to być wynalazca czy odkrywca danej technologii.

Matka popierała jego plan i przekonała męża, że podróż jest konieczna. W lutym 1896 roku we dwoje wyruszyli do Londynu, Marconi obarczony zamkniętą na klucz skrzynką, zawierającą jego aparat. Nosił wówczas czapkę myśliwską, taką jaką później stała się znakiem rozpoznawczym Sherlocka Holmesa.

Przy wjeździe do Anglii zaniepokojeni celnicy natychmiast skonfiskowali aparat, obawiając się, że jest to bomba lub inne urządzenie, które mogłoby narazić królową na niebezpieczeństwo.

Podczas oględzin zniszczyli urządzenie.

* * *

Crippenowi wiodło się u Munyona doskonale. Jego kariera postępowała szybko. Po kilku miesiącach pracy w Nowym Jorku przeniesiono go do Filadelfii, gdzie razem z Corą spędzili mniej więcej rok. Następnie profesor Munyon wysłał go do Toronto, aby poprowadził tamtejsze biuro. Wraz z żoną przebywał w Kanadzie sześć miesięcy, potem wrócili do Filadelfii.

Przeniesienia wpływały korzystnie na karierę Crippena, ale Cora zaczęła się niecierpliwić. Była jego żoną od niemal dziesięciu lat, a nadal nie uczyniła postępów na drodze do kariery diwy operowej. Oświadczyła Crippenowi, że chce podjąć znów naukę śpiewu. Chciała mieć wszystko co najlepsze i nalegała na powrót do Nowego Jorku.

Crippen, jak zwykle pobłażliwy, zgodził się opłacać jej mieszkanie i wszystkie wydatki. W owym czasie profesor Munyon płacił mu dobrze. Leki patentowe były lukratywnym interesem, a pieniądze obficie spływały do firmy. Crippena stać było na lekcje Cory i na utrzymywanie jej w Nowym Jorku. Niepokój wzbudzał w nim jedynie fakt, że będzie mieszkała sama, a jego nieobecność może ją skłonić do wiązania się z innymi mężczyznami. Późniejsze wypadki wskazują, że owa wolność była dla Cory równie ważna jak poziom jej nauczycieli śpiewu.

W 1897 roku Munyon obarczył Crippena największą jak dotąd odpowiedzialnością, a mianowicie powierzył mu zarządzanie biurem firmy w Londynie. Zaproponował wynagrodzenie w wysokości 10 000 dolarów rocznie, sumę ogromną — równowartość mniej więcej 220 000 dolarów dzisiaj — i to w czasach, kiedy podatki federalne jeszcze nie istniały. Crippen podzielił się z Corą dobrą wieścią, pewien, że uzna wyjazd do Londynu za wspaniałą okazję.

Mylił się. Cora zaczęła się skarżyć, że musiałyby przerwać lekcje, i oświadczyła, że musi jechać sam. Ona dołączy do niego później. Na pytania, kiedy później, udzielała niepokojąco niejasnych odpowiedzi.

Crippen jak zwykle zgodził się, choć teraz miał ich rozdzielać ocean. W takich warunkach wolność Cory stawała się zupełna.

Niespokojny i nieszczęśliwy doktor wypłynął do Anglii w kwietniu 1897 roku. Ponieważ zamierzał zostać tam na stałe, zabrał wszystkie swoje rzeczy, łącznie z zapasem ulubionych trucizn.

Przybył na miejsce bez żadnych przygód.

* * *

Londyn, w którym znaleźli się Marconi i Crippen, był sercem królestwa niepokoju. Na pozór imperium trwało nietknięte, bezpieczne i solidne, a jego władza była ustalona. Jednak w pewnych kręgach panowało przekonanie, że świat staje się coraz bardziej niespokojny, a Wielka Brytania i jej coraz słabsza królowa miawały już lepsze dni.

Stolica imperium nadal była największym miastem na świecie. Cztery i pół miliona mieszkańców mieszkało przy ośmiu tysiącach ulic — niektóre były tak krótkie, że ciągnęły się tylko pomiędzy dwiema przecznicami — pili alkohol w siedmiu i pół tysiącach pubów i jeździli jedenastoma tysiącami dorożek, ciągniętymi przez dwadzieścia tysięcy koni. Dzieliły się one na czterokonne dorożki i dwukółki określane mianem *hansom*, jednak nie z powodu swego wyglądu, choć ten rzeczywiście był okazały^[2], lecz od nazwiska swojego twórcy, Josepha Hansoma. Crippen był jednym z piętnastu tysięcy Amerykanów mieszkających w Londynie, która to liczba przypadkiem odpowiadała liczbie szaleńców przetrzymywanych w pięciu zakładach dla umysłowo chorych w mieście. A co najważniejsze, to miasto stanowiło centrum, z którego rządzono jedną czwartą ludności świata i jedną czwartą jego powierzchni.

Wszędzie słyhać było gwizdki — jeden przyzywał dorożki czterokołowe, dwa dwukółki. Po ulicach krążyły ciągnięte przez konie omnibusy. Miały kryty dolny poziom i odkryty „ogródek” na górze, gdzie wchodziło się po spiralnych schodach — takie schody umożliwiały damom wejście na górę bez siania zgorzenia. Samochody motorowe, nazywane po prostu „motorami”, zwiększały panujący w mieście hałas, smród i brak

bezpieczeństwa. W 1896 roku ich coraz większa liczba wymusiła zniesienie prawa, które ograniczało szybkość do trzech kilometrów na godzinę i wymagało, by przed samochodem szedł piechur z czerwoną flagą. Nowa Ustawa o Spalinowozach (na drogach publicznych) podniosła limit prędkości do 23 kilometrów i rozsądnie rezygnowała z piechura. Pod powierzchnią miasta ciągnęło się ruchome piekło. Pasażerów wkraczających w czeluście kolejki podziemnej witał potężny ryk, wywoływany zbyt wielką ilością dymu, pary i hałasu upakowanych w zbyt małej przestrzeni. Pociągi poruszały się w tunelach niczym tłoki w cylindrach.

Nie należy też zapominać o mgle. Czasami trwała wiele dni i była tak gęsta, że uznano ją za zjawisko odmienne niż mgły występujące na innych obszarach. Londyńczycy nazywali te okresy ograniczonej widoczności „londyńską specjalnością”. Mgła była gęsta, przesycona siarką i redukowała światło latarni do błysków bursztynowych kocich oczu w ciemnościach — ulice stawały się tak ciemne i złowrogie, że dzieci biedoty zatrudniały się jako nosiciele pochodni, oświetlając drogę ludziom zmuszonym przechodzić przez najciemniejsze okolice. Światło tworzyło wokół idących ruchomą ścianę z gazy, za którą niczym duchy pojawiali się i znikali nagle inni przechodnie. Niektóre noce były szczególnie niesamowite, tym bardziej jeśli wieczór poświęcono na powszechną wówczas rozrywkę, czyli seanse spirytystyczne. Powrót do domu po takim seansie był długi, ponury i pełen niespokojnego oglądania się przez ramię.

Za owe próby zajrzenia za zasłonę zaświatów w dużym stopniu odpowiadał Darwin. Jego teorie, redukujące powstanie człowieka do procesu, który miał więcej wspólnego z przypadkiem niż z Bogiem, spowodowały załamanie się wiary w późnowiktoriańskiej Anglii. Ogromna próżnia tego nowego „darwinowskiego mroku”, jak to ujął pewien pisarz, spowodowała, że część ludzi uznała za swoją nową religię naukę, a wielu innych rzuciło się w objęcia spirytyzmu i zaczęło szukać dowodów na istnienie życia po śmierci we wskaźnikach tańczących po tablicach Ouija. W połowie lat

dziewięćdziesiątych w Anglii istniało sto pięćdziesiąt towarzystw spirytystycznych. W 1904 roku było ich już czterysta. Krążyły pogłoski, że sama królowa Wiktorja często radziła się medium, które utrzymywało, że jest w kontakcie z jej ukochanym nieżyjącym mężem, księciem Albertem.

Pojawiały się też inne oznaki kresu ufności i zadowolenia, jakie panowało w Wielkiej Brytanii pod rządami królowej. Liczba urodzin spadała gwałtownie. Panika roku 1893 zatrzęsa księżętami przemysłu. Anglia i Francja balansowały na granicy wojny, choć wydarzenia w Niemczech, których dotąd prawie nie zauważano, już wkrótce miały skierować uwagę publiczną w inną stronę i położyć kres tradycyjnej polityce „wspaniałej izolacji”, opartej na przekonaniu, że dzięki swej sile gospodarczej i militarnej imperium nie potrzebuje sprzymierzeńców.

Niepokojąca były również wrzawa podnoszona przez sufrażystki domagające się prawa głosu dla kobiet. Wrogość, z jaką spotykał się ten ruch, maskowała zakorzeniony głębiej strach przed uwolnieniem namiętności seksualnej. Nie mówiło się o tym, ale nielegalne związki istniały wszędzie, na każdym poziomie społecznym. Ludzie myśleli o seksie i mieli go w sercach. Ukrywał się ciemnych uliczkach i w eleganckich łóżach z baldachimami w wiejskich rezydencjach. Nowi naukowcy, zajmujący się umysłem, badali seks i podążając śladami Darwina, próbowali zredukować go do zespołu bodźców i cech przystosowawczych. Henry Havelock Ellis poświęcił mu sześć tomów, z których pierwszy ukazał się w 1897 roku. Jego pionierskie *Badanie psychologii seksu* wypełniały analizy niespotykane drastycznych i perwersyjnych przypadków. Pamiętne zdanie z tomu czwartego, zatytułowanego *Selekcja seksualna człowieka*, głosiło: „później wystarczył kontakt psiego języka z jej ustami, by wzbudzić w niej seksualne zadowolenie”.

Coraz większa była świadomość biedy, rosła również różnica pomiędzy tym, jak bogato i jak biednie mieszkają ludzie. Rezydencja księcia Devonshire, Chatsworth, była tak wielka, że mogła pomieścić aż czterystu gości oraz hordy towarzyszącej im

służby. Bogaci jadali ekstrawaganckie posiłki obejmujące zapewne, jak pisał J.B. Pristeley, „coś z pseudorzymskich idiotyzmów, jeśli szef kuchni miał taką fantazję, na przykład ptaki różnej wielkości, pieczone jeden w drugim, na podobieństwo orientalnych szkatulek”. Barbara Tuchman w *Wyniosłej wieży* opowiadała, jak podczas lunchu w hotelu Savoy, wydanym na cześć diwy Nellie Melby, goście jedli deser ze świeżych brzoskwiń, a następnie „zabawiali się, rzucając nimi w przechodniów przechodzących pod oknami”.

Wraz z nową świadomością wielkiej przepaści dzielącej bogactwo od biedy przyszedł strach przed ekstremistami, którzy mogliby wykorzystać podziały klasowe i pogrążyć Wielką Brytanię w rewolucji. W całej Europie płonął anarchizm objawiający się aktami przemocy, przy czym zapałkę często trzymali Włosi. Pod koniec 1892 roku Scotland Yard aresztował dwóch Włochów, którzy przyznali się, że planowali wysadzić w powietrze Królewską Giełdę. Errico Malatesta — bardzo trafne nazwisko, które dosłownie oznacza „dążący do zła” — głosił rewolucję w całej Europie i wszędzie znajdował przychylnych słuchaczy. 24 czerwca 1894 roku młody włoski piekarz, Sante Caserio, świeżo zakupionym sztyletem zaatakował prezydenta Francji, Sadiego Carnota i zadał mu śmiertelne rany. W eleganckiej okolicy Mayfair eksplodowała bomba, ale nikt nie został ranny. W Anglii wiele osób obawiało się, że najgorsze dopiero nastąpi i obwiniało za niepokoje polityków, którzy pozwalali, by w kraju znajdowali schronienie nazbyt liczni cudzoziemcy. W Londynie było tylu francuskich anarchistów, że jeden z nich, Charles Malato, opublikował poradnik, jak unikać policji, zawierający też krótki słowniczek użytecznych wyrażen, wśród nich *Je vous tirerai le nez* co oznacza „Pociągnę cię za nos”.

Wszystkie te obawy i napięcia odzywały się jednak tylko tremolo w tle, a słyszalne były głównie dla pisarzy, dziennikarzy i reformatorów, których praca polegała na słuchaniu. Brytyjczycy mieli bowiem wiele powodów do zadowolenia. Mimo wysokiej liczby morderstw przestępczość spadała. Metropolitan Police,

powszechnie nazywana Scotland Yardem, urosła w siłę i przeniosła się do nowej siedziby na Whitehall, przy Victoria Embankment na północnym brzegu Tamizy. Zarówno budynek, jak i policja stały się znane jako New Scotland Yard. Już na początku nowa siedziba przysporzyła policji pewnych problemów. Podczas kopania fundamentów, co miało miejsce w samym środku afery z Kubą Rozpruwaczem, robotnicy odkryli tułów kobiety bez głowy rąk i nóg. Pojawiły się obawy, że to kolejna ofiara Rozpruwacza, tym bardziej że sprawa zaczynała się robić coraz bardziej makabryczna. Chirurg policyjny spróbował dopasować do tułowia ramię wraz z pachą, które wyłowiono z Tamizy kilka tygodni wcześniej. Pasowało. Pewien dziennikarz przeszukał z psem teren budowy i odnalazł lewą nogę. Też pasowała. Wkrótce potem z Tamizy wyłowiono drugą nogę.

Ta nie pasowała.

Okazało się, że jest również lewa, zaczęto więc podejrzewać, że jakiś student medycyny wrzucił ją do Tamizy dla kawału. Sprawa stała się znana jako Tajemnica z Whitehall i nigdy nie została rozwiązana. Kiedy policja przeniosła się do swej nowej kwatery, pod starym adresem, na Great Scotland Yard, pozostawiono między innymi departament rzeczy znalezionych, przechowujący 14 212 zgubionych parasoli.

W sumie atmosfera imperium zaczynała się rozładowywać, a najlepiej chyba symbolizował to ożywienie książę Walii, Albert Edward, następca brytyjskiego tronu. Wiosną 1897 roku miał pięćdziesiąt sześć lat i znany był ze swego olbrzymiego apetytu na jedzenie, zabawę i kobiety, przy czym ten ostatni objawiał się pomimo trwającego już trzydzieści cztery lata małżeństwa z Aleksandrą Duńską. Że książę oddawał się seksualnym igraszkom z innymi kobietami, uznawano za fakt, ale nie za temat rozmów. Podobnie jak wagę księcia. Edward pił z umiarem, ale kochał jeść. Uwielbiał placek z gołębi, zupę zółwiową i pudding z jelenia, cietrzewie, kuropatwy, dziecięcy i przepiórki, a w sezonie konsumował góry pieczonych ostryg. Nikt nie mówił mu wprost, że jest gruby, gdyż raniło to jego uczucia, ale we własnym gronie

przyjaciele przezywali go czule „Tum Tum”. Kiedy nie jadł, palił. Przed śniadaniem pozwalał sobie na małe cygaro i dwa papierosy. Przez resztę dnia wypalał zwykle dwadzieścia papierosów i dziesięć cygar wielkości luf armatnich.

Księżę nie znosił być sam, uwielbiał przyjęcia i kluby, a szczególnie wyprawy z przyjaciółmi do londyńskich music-halli. Tu nie brakowało mu towarzystwa. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych music-halle i wystawiane w nich wodewile stały się najbardziej popularną formą rozrywki w Anglii i szybko pozbyły się nie najlepszej opinii, jaką miały wcześniej, w erze wiktoriańskiej. W Londynie liczba takich przybytków rozrywki rosła szybko, aż było ich tu pięćset, w tym tak znane jak Tivoli, Empire Pavilion, Alhambra i Gaiety. Co wieczór typowy music-hall prezentował koło dziesięciu krótkich przedstawień nazywanych „numerami”. Były wśród nich komedie, występy akrobatów, bruchomówców, telepatów oraz mężczyzn udających kobiety i kobiet udających mężczyzn.

Nad zmieniającym się brytyjskim imperium nadal panowała królowa Wiktorja. W 1896 roku obchodziła siedemdziesiąte siódme urodziny. Rządziła niemal sześćdziesiąt lat, podczas których imperium wyrosło na największą potęgę wszech czasów. Natomiast ona sama robiła się coraz słabsza. Przez niemal trzydzieści lat żyła w żałobie po śmierci męża, który zmarł w 1861 roku. Od tamtej pory wdowa z Windsoru ubierała się zawsze w czarny atłas. Przy łóżku trzymała odlew dłoni małżonka, by móc ją ująć, kiedy potrzebowała pocieszenia. Wzrok ją zawodził i zaczęła cierpieć na bezsenność. Panowała tak długo i w tak dobrotliwy, matczyzny sposób, że trudno było sobie wyobrazić przyszłość, w której jej zabraknie. Człowiek urodzony w 1837 roku, czyli w chwili, gdy ona wstąpiła na tron, w 1897 wchodził już w wiek podeszły. Jednakże prawa natury dotyczą również koronowanych głów. Wiktorja musiała umrzeć, a zważywszy na jej wiek i stan zdrowia, zapewne miało się to stać niedługo.

W miarę zbliżania się końca wieku Brytyjczycy w całym, liczącym dwadzieścia osiem i pół miliona kilometrów

kwadratowych imperium zadawali sobie to samo pytanie: jaki będzie świat bez Wiktorii?

Co się wtedy stanie?

Część II

Zdrada



Belle Elmore

Tajemnicza skrzynka

Kusi nas, by wyobrazić sobie, że Marconiego i jego matkę przywitała w Londynie atmosfera jak z powieści Dickensa — że wkroczyli do zimnego i obcego królestwa, przytłoczeni ogromem miasta, wszechobecnym dymem i hałasem — tymczasem tak naprawdę wpadli prosto w serdeczne objęcia rodziny Jamesonów, w sam środek więzów krwi i interesów, które swym zasięgiem obejmowały większość imperium. Na Victoria Station wyszedł po nich jeden z braci ciotecznych Marconiego, Henry Jameson Davis. Goście z Włoch znaleźli się w wyściełanym jedwabiem i flanelą świecie wyższych sfer Londynu, wśród herbatek, derby i niedzielnych przejażdżek powozem po Hyde Parku. Nasz wynalazca, który nigdy dotąd nie głodował, chyba że z wyboru, nie miał głodować i teraz.

Opóźnienie spowodowane uszkodzeniem na cle aparatu jeszcze zwiększyło jego obsesyjny strach, że objawi się nagle jakiś inny wynalazca, z urządzeniem równie dobrym jak jego, a może nawet lepszym. Przy pomocy Jamesona Davisa zdobył materiały konieczne do naprawy aparatu i zabrał się do pracy. Zademonstrował gotowy produkt swemu ciotecznemu bratu i innym członkom diaspory Jamesonów. Pokaz był dla nich równie zdumiewający, jakby z ust medium usłyszeli nagle głos zmarłego przodka. A więc istniał sposób komunikowania się nie tylko na dużą odległość, ale nawet przez ściany!

Rodzina rozważała, co należy uczynić dalej. Konieczne było uzyskanie patentu, to pewne. I przydałby się sponsor — na przykład brytyjska poczta, której podlegały wszystkie telegrafy w kraju.

Tu kontakty Jamesonów okazały się nieocenione. Przez pośrednika Jameson Davis umówił Marconiego na spotkanie z

Williamem Preece'em, głównym elektrykiem brytyjskiej Poczty. Piastując to stanowisko Preece, którego od emerytalnego wieku sześćdziesięciu pięciu lat dzieliły zaledwie dwa lata, był najbardziej wpływową osobą w telegrafii brytyjskiej i jednym z najlepiej znanych wykładowców imperium. Cieszył się sympatią swoich kolegów-inżynierów i podwładnych, ale był zniechęcony przez Olivera Lodge'a i jego sprzymierzeńców. Tworzyli oni zakon fizyków teoretycznych, a ochrzcili się mianem „maxwellian” na znak szacunku dla Clerka Maxwella i matematycznych równań, za pomocą których udowodnił on istnienie fal elektromagnetycznych. Dla maxwellian Preece był królem „praktyków”. On i Lodge niejednokrotnie ścierali się o to, co jest ważniejsze dla naukowej prawdy, teoria czy codzienne doświadczenie.

Marconi słyszał o Preece i wiedział, że z pewnym sukcesem próbował on przesyłać sygnał na niewielkie odległości, wykorzystując do tego celu indukcję, czyli zjawisko, w którym pierwotny obwód elektryczny wzbudza przepływ prądu w obwodzie wtórnym. Preece nigdy nie słyszał o Marconim, ale z charakterystyczną dla siebie wielkodusznością zgodził się z nim spotkać.

Młody wynalazca złożył zatem wizytę w głównej siedzibie Poczty, na którą składały się trzy duże gmachy przy St. Martin's le Grand, na północ od katedry św. Pawła. Jeden z nich, noszący nazwę Poczta Główna Wschodnia, zajmował wschodnią stronę ulicy. Zarządzano stąd przesyłaniem i doręczaniem 2 186 800 000 listów rocznie w całym imperium brytyjskim — co dawało 54,3 listu na głowę mieszkańca — przy czym w Londynie listy dostarczano czasem aż dziesięć razy dziennie. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się Poczta Główna Zachodnia, gdzie mieścił się departament telegrafu, podwórko Preece'a. Tu każdy obywatel, oczywiście posiadający odpowiednią rekomendację od „bankiera lub innego dobrze znanego obywatela”, mógł zwiedzić Galerię Urządzeń Telegraficznych i ujrzeć samo serce brytyjskiego imperium telegraficznego. W pomieszczeniu o powierzchni dwóch i pół tysiąca metrów kwadratowych stało pięćset telegrafów —

była to największa stacja telegraficzna na świecie. Cztery wielkie silniki parowe zasilaly pneumatyczny system, który pozwalał na wysyłkę telegramów z Galerii bezpośrednio do biur w finansowym centrum Londynu, City i sąsiadującej z nim dzielnicy Strand, nazwanej tak od bulwaru nad Tamizą.

Marconi przyniósł dwie wielkie torby pełne aparatury. Rozstawił cewkę indukcyjną, iskiernik, koherer i pozostały sprzęt, ale jak się okazało, nie zabrał ze sobą klucza telegraficznego. Dostarczył mu go P.R. Mullis, jeden z asystentów Preece'a. Marconi ustawił nadajnik i odbiornik na osobnych stołach. W tym momencie Preece wyciągnął zegarek i stwierdził spokojnie: „Minęło południe. Proszę zabrać tego młodego człowieka do naszego baru i dopilnować, by mu podano odpowiedni obiad na mój koszt. Proszę go tu przyprowadzić z powrotem na drugą”.

Mullis i Marconi zjedli lunch i wypili herbatę, a potem poszli na spacer na Farringdon Road, gdzie młodego wynalazcę szczególnie zainteresowały taczki ulicznych przekupniów „pełne staroci, książek i owoców”. Wedle opisu Mullisa lunch przebiegł w miłej, spokojnej atmosferze. Marconi zapamiętał go inaczej. Musiał zjeść lunch i spacerować, choć przez cały czas prześladował go strach przed konkurencją, a jego aparat przez dwie godziny stał w biurze Preece'a i każdy mógł go sobie obejrzeć.

O drugiej wrócili do gabinetu Preece'a. Marconi był młody, chudy i niewielkiego wzrostu, ale jego maniery robiły doskonałe wrażenie. Posługiwał się świetną angielszczyzną, był ubrany w porządną, odprasowaną w kant garnitur. Sprawnie objaśniał funkcje poszczególnych elementów swego aparatu. Każdy, kto by na niego spojrział, odniósłby wrażenie, że jest dużo starszy, niż był w istocie, choć przyjrzawszy mu się bliżej, można było zauważyć gładką skórę i przejrzyste niebieskie oczy.

Marconi wyregulował aparat. Nacisnął klucz telegraficzny. Na drugim stole odezwał się dzwonek. Puknął palcem w koherer i nacisnął klucz ponownie. Znowu rozległ się dzwonek.

Mullis popatrzył na swego szefa. „Na widok jego uśmiechu zrozumiałem, że zdarzyło się coś niezwykłego”.

* * *

Marconi spodobał się Preece'owi. Od razu poznał, że stosowany przez niego koherer jest zmodyfikowaną wersją urządzeń prezentowanych już przez innych, w tym przez Lodge'a, ale zauważył również, że Marconi wykorzystał go w elegancko zaprojektowanym obwodzie. Jeśli wierzyć słowom tego mężczyzny — a raczej chłopca — udało mu się osiągnąć coś, co zdaniem Lodge'a i maxwellian było niemożliwe: przesyłanie czytelnych sygnałów nie tylko na dużą odległość, ale i poza zasięg wzroku.

Preece i Marconi byli pokrewnymi duszami. Obaj rozumieli, że dzięki pracy i ciągłym doświadczeniom można odkryć prawdy — użyteczne, praktyczne prawdy — o siłach kierujących światem. W wojnie praktyki z teorią Marconi mógł się stać tajną bronią Preece'a. Był wynalazcą amatorem, ledwie dorosłym, a przecież przewyższył największe umysły naukowe epoki. Lodge twierdził, że kilometr to zapewne największy zasięg, jaki mogą uzyskać fale elektromagnetyczne, ale Marconi twierdził, że wysłał sygnał na odległość dwukrotnie większą i zapewniał Preece'a, że transmisja będzie możliwa na dużo większe odległości.

Preece wiedział, że jego doświadczenia z wykorzystaniem indukcji osiągnęły swoje praktyczne granice. Ostatnio próbował nawiązać łączność z latarniowcem strzegącym śmiertelnej ławicy piaszczystej Goodwin Sands u wybrzeża Anglii. Owinął drut wokół kadłuba statku, a na dnie morza umieścił drucianą spiralę dość dużą, by bez względu na to, gdzie wiatr, przypływ czy fale zniosą zakotwiczony statek, zawsze znajdował się on nad jakąś jej częścią. Przerwywając przepływ prądu w spirali, miał nadzieję wywołać podobne przerwy w obwodzie nawiniętym na kadłub statku i dzięki temu przesyłać w obie strony wiadomości alfabetem Morse'a. Eksperyment się nie powiódł. Później Preece twierdził, że Marconi zjawił się u niego „w bardzo odpowiednim momencie, gdyż właśnie bolałem z powodu rozczarowania, jakim była niemożność skomunikowania się z latarniowcem przy East Goodwin”.

Preece, którego od emerytury dzieliły tylko dwa lata, rozumiał też, że odkrycie Marconiego może być jedyną rzeczą, jaka pozostanie w pamięci ludzkiej po jego długiej pracy w brytyjskiej Poczcie. Dużo lepiej jest zostać człowiekiem, który dopomógł w rewolucji łączności na świecie, niż inżynierem, którego własne próby z telegrafem bez drutu zawiodły.

Dzień dobiegał już końca, kiedy zjawił się stangret Preece'a. Inżynier ruszył powozem do domu, do Wimbledonu, a dźwięk końskich kopyt rozbrzmiewał miarowo w chłodnym wiosennym powietrzu.

* * *

Marconi opisał spotkanie z Preece'em w liście do ojca i wyjawiał nowinę, która musiała zaskoczyć starszego Marconiego, jeszcze niedawno tak sceptycznie nastawionego do elektrycznej przygody syna: „Obiecał mi, że jeśli będę chciał przeprowadzać eksperymenty, pozwoli mi skorzystać ze wszystkich budynków pozostających w gestii Poczty we wszystkich miastach w całym Zjednoczonym Królestwie, jak również zapewni mi (oczywiście bezpłatnie) pomoc całego personelu zatrudnianego przez Poczta. Dodał, że posiada statki, na których będę mógł zainstalować i wypróbować mój aparat, jeśli zapragnę przeprowadzać eksperymenty na morzu”.

Preece przydzielił do pomocy Marconiemu swoich inżynierów i kazał fachowcom zatrudnionym w warsztatach Poczty udoskonalić aparat i uczynić go solidniejszym. Natychmiast zajął się też przygotowywaniem prezentacji dla innych agend rządowych.

Wkrótce Marconi przesłał sygnał z dachu jednego budynku Poczty na drugi, a iskry w jego aparacie strzelały tak głośno, że słyhać je było aż na ulicy poniżej. W lipcu 1896 roku osiągnął zasięg trzystu metrów, dużo mniejszy niż w Villa Griffone, ale na Preece i jego inżynierach i tak zrobiło to ogromne wrażenie.

Preece zorganizował najważniejszą demonstrację, dla przedstawicieli wojska i marynarki. Odbyła się ona na poligonie badawczym armii, Salisbury Plain, w pobliżu Stonehenge. Pod

koniec dnia zdołano wysłać czytelny sygnał na odległość prawie trzech kilometrów.

Marconi był wniebowzięty. Ministerstwo Wojny poprosiło o kolejne prezentacje. Preece, niemal tak samo uradowany jak młody wynalazca, ponownie zapewnił, że okaże mu wszelką potrzebną pomoc. Aż do tej chwili Guglielmo rozwijał swą ideę jedynie dzięki własnemu zapałowi. Teraz, nagle, pojawiły się oczekiwania z zewnątrz.

La calma della mia vita ebbe allora fine — powiedział. — „Wtedy skończyło się moje spokojne życie”.

* * *

Marconi rozumiał, jak ważne jest wystąpienie o patent dla swego aparatu. Liczba ludzi, którzy widzieli jego wynalazek, ciągle rosła, a jego lęk przed pojawieniem się konkurencji zwiększał się z każdym krokiem. Wypełnił „wstępną specyfikację”, na której podstawie ustalano datę wystąpienia o patent, co dawało mu pewność, że jako pierwszy zgłasza prawa do swego wynalazku. Bardziej szczegółowe specyfikacje miał dostarczyć na późniejszym etapie.

Preece przekonany, że Marconi naprawdę osiągnął coś wyjątkowego, postanowił zademonstrować jego przełomowy wynalazek światu.

W stosunkowo krótkim czasie wygłosił serię ważnych wykładów, podczas których przedstawiał młodego Włocha jako wynalazcę całkiem nowego rodzaju łączności. Pierwszy wykład wygłosił we wrześniu 1896 roku, na zebraniu Brytyjskiego Stowarzyszenia na rzecz Postępu w Nauce. W toku przemówienia poinformował, że „pewien Włoch przedstawił pudełko pozwalające na całkowicie nowy sposób realizowania telegrafii przestrzennej”. Opisał pokrótce aparat i zdradził, że okazał się on wielkim sukcesem na poligonie Salisbury Plain. Wśród słuchaczy znajdowało się wielu największych brytyjskich naukowców, w tym, oczywiście, Oliver Lodge i niektórzy maxwellianie, między innymi wybitny fizyk, George FitzGerald. Nawet w najlepszych okolicznościach Lodge i

FitzGerald byli zdania, że wykłady Preece'a są intelektualnym odpowiednikiem słuchania, jak ktoś drapie paznokciami po tablicy. Tymczasem dziś usłyszeli, jak Preece nazywa Marconiego pierwszym człowiekiem, który eksperymentował z falami Hertza. Byli wściekli. Obaj uważali, że dokładnie to samo zaprezentował Lodge podczas swego wykładu w Instytucie Królewskim w 1894 roku.

FitzGerald napisał do przyjaciela: „Ostatnio niejaki Preece zaskoczył nas wszystkich twierdzeniem, że odkrył włoskiego awanturnika, który osiągnął to samo co Lodge i inni, obserwując promieniowanie Hertza na odległość. Wielu z nas poczuło się bardzo urażonych, że pominął brytyjskie prace i postawił wyżej jakiegoś włoskiego majsterkowicza. Przywykliśmy już do nauki »produkowanej w Niemczech«, ale nauka »produkowana we Włoszech«, i to przez nieznaną firmę, to już nazbyt wiele”. Lodge napisał do Preece'a skargę: „W tym, co próbuje osiągnąć Marconi, nie ma niczego nowego”.

Lodge'owi i jego przyjaciołom odkrycie mogło się wydawać przestarzałe, ale nie było takie dla świata. Szybko rozeszły się pogłoski o Włochu, który wynalazł telegraf bez drutu. Gazety pisały o „falach Marconiego”, co Lodge i jego sprzymierzeńcy uznali za obrazę pamięci Hertza. Twierdzili, że ten Włoch niczego nie wynalazł. Jeśli ktoś mógł mieć pretensje do wynalazku, to Lodge.

Preece wiedział, że rozwścieczył maxwellian, i niewątpliwie się tym rozkoszował. Nie wycofał się, a wręcz przeciwnie — swój kolejny wielki wykład postanowił poświęcić w całości Marconiemu i jego telegrafowi bez drutu. Wystąpienie zaplanowane było na 12 grudnia 1896 roku, w londyńskim Toynbee Hall, instytucji opieki społecznej zajmującej się reformą społeczną na londyńskim East Endzie, dzielnicy biedoty i dawnych terenach łowieckich Kuby Rozpruwacza. Tu, jak wiedział, jego wykład przyciągnie nie tylko naukowców, ale i wielu członków elity intelektualnej miasta oraz przedstawicieli prasy. Brytyjskie Stowarzyszenie to był tylko wstęp.

Pracował pilnie nad treścią wykładu. Zależało mu na tym, by zrobić jak największe wrażenie. Fizycy wiedzieli coraz więcej o falach Hertza, ale przeciętni słuchacze nie. Demonstracja telegrafu bez drutu zapewne wyda się publiczności zebranej w Toynbee Hall czymś magicznym, czymś na pograniczu nadprzyrodzoności.

Marconi zgodził się na demonstrację, ale nie chciał ujawniać zasady działania swojego aparatu. Zachowywał się bardziej jak magik strzegący sekretu swych sztuczek niż jak naukowiec przedstawiający kolegom nowe odkrycie. Pisał: „Sądzę, że nie powinno się wyjaśniać, w jaki sposób osiągam takie efekty, póki cała moja praca nie zostanie przedstawiona jakiemuś stowarzyszeniu naukowemu”.

Aby zachować tajemnicę, postanowił ukryć swój aparat. Zbudował dwie skrzynki i pomalował je na czarno. W jednej zainstalował nadajnik, a w drugiej odbiornik, do którego podłączył dzwonek. Na początku wykładu jedna skrzynka stała na podium, a druga na przeciwległym końcu sali.

Preece rozpoczął wystąpienie krótkim podsumowaniem własnych wysiłków, by zaprząć indukcję do sygnalizacji nawodnej. Ale dzisiaj, powiedział, może zaprezentować niezwykle odkrycie dokonane przez młodego włoskiego wynalazcę, Guglielma Marconiego. I wówczas, zgodnie z najlepszą tradycją wykładów naukowych końca dziewiętnastego wieku, rozpoczęła się demonstracja.

Preece nacisnął klucz telegraficzny podłączony do skrzynki, w której krył się nadajnik. Słuchacze usłyszeli głośnie wyładowanie. W tej samej chwili na drugim końcu sali rozległ się dźwięk dzwonka.

Niemal wszyscy na sali widzieli magiczne sztuczki i bez wątpienia wielu brało udział w przynajmniej jednym ze słynnych demaskatorskich przedstawień w Egyptian Hall na Piccadilly, czyli w „Angielskim Domu Tajemnic”, kierowanym przez magika o nazwisku Nevil Maskelyne. W porównaniu z kobietą przepiłowywaną na połowę, czy mężczyzną lewitującym pod

sufitem, na pierwszy rzut oka tutaj nie wydarzyło się nic niezwykłego. Słuchaczom dłuższą chwilę zajęło uświadomienie sobie, że są świadkami nie magicznej sztuczki, ale naukowego doświadczenia, przeprowadzanego przez wielkiego Williama Preece'a z brytyjskiej Poczty, który jak zwykle emanował wiarygodnością. Jego oczy powiększone były przez grube szkła okularów, a broda podkreślała każdy ruch głowy falowaniem splecionych szpakowatych bokobrodów. Mimo to wiele osób zareagowało podobnie, jak niegdyś ojciec Marconiego, zastanawiając się, w jaki to sprytny sposób wynalazca ukrył drut łączący obie skrzynki.

Wówczas Preece i Marconi rozpoczęli drugą fazę demonstracji, mającą na celu rozwianie wszelkich wątpliwości. Na znak Preece'a wynalazca wziął czarną skrzynkę kryjącą odbiornik i ruszył z nią przez salę wykładową. Co chwila rozlegał się trzask wyładowania, dzwonek dzwonił raz po raz, ale teraz zebrani widzieli na własne oczy, że za Marconim nie ciągnie się żaden drut. Zauważono również, jak młody jest wynalazca, co tylko zwiększyło powszechny zachwyty. Dzwonek dzwonił bez względu na to, w którym kierunku szedł mężczyzna ze swą skrzynką.

* * *

Sława przyszła nagle. Prasa zaczęła szukać odpowiedniej nazwy dla wynalazku i nazywała go telegrafią przestrzenną, eteryczną albo po prostu telegrafem bez drutu. „The Strand Magazine” wysłał do Marconiego pisarza, H.J.W. Dama, by przeprowadził z nim wywiad.

Dam napisał: „Marconi jest wysokim smukłym młodzieńcem, który wygląda na trzydziestkę. Zachowuje się spokojnie i poważnie, wysławia starannie, a to również przydaje mu więcej lat, niż ma w istocie”.

Marconi zwierzył się Damowi, że być może odkrył inny rodzaj fal niż Hertz. Poproszony o wyjaśnienie tej różnicy odparł: „Nie potrafię. Nie jestem naukowcem, ale wątpię, by nawet naukowiec potrafił to panu wyjaśnić”.

Nie chciał mówić o budowie swojego aparatu, ale zapewnił Damę, że jego fale mogą „przenikać przez wszystko”, w tym przez kadłub stalowego pancernika. To oświadczenie zwróciło uwagę reportera. „Czy mógłby pan z tego pokoju spowodować wybuch prochu umieszczonego w domu po przeciwnej stronie ulicy?” — zapytał.

„Tak” — odparł Marconi równie rzeczowo jak do tej pory. Wyjaśnił, że najpierw musiałby jednak umieścić w prochu dwa druty albo metalowe płytki, za których pomocą wzbudziłby iskrę, konieczną do spowodowania wybuchu.

Doniesienia o wyczynach Marconiego zawędrowały za granicę. Austro-węgierscy wojskowi poprosili o demonstrację, a ich prośba została spełniona. Nowina zwróciła również uwagę niemieckiego cesarza Wilhelma, który jak wkrótce miało stać się jasne, uznał, że nowa technologia wymaga dalszych i bardziej dogłębnych badań. Ambasador Włoch w Anglii zaprosił Marconiego na obiad, a potem razem udali się należącym do ambasady powozem do budynku Poczty na prezentację. W liście do ojca Marconi napisał, że ambasador „wręcz przeproszał, że nie poświęcił wcześniej uwagi tej sprawie”.

Lodge i jego sprzymierzeńcy byli, oczywiście, wściekli. Brytyjskie wyższe sfery i całe środowisko naukowe traktowały Marconiego podejrzliwie, a nawet z niesmakiem. Był postacią niepokojącą, i to nie tylko dlatego, że zgłaszał pretensje do wynalezienia aparatu, którego już wcześniej używał Lodge i inni naukowcy. Był w tym środowisku kimś nowym. Jak sam przyznawał, nie był naukowcem, miał minimalną wiedzę na temat fizyki teoretycznej, a ponadto zupełnie nie znał wyższej matematyki. Był przedsiębiorcą i to takiego rodzaju, jaki stał się powszechny dopiero wiek później, wraz z powstawaniem ryzykownych, ale i bardzo dochodowych firm nakierowanych na wdrażanie nowych wynalazków. W jego czasach podobne zachowanie uważano za żenujące — coś jak postępowanie ludzi, którzy zbili majątek na sprzedaży pseudoleków, unieśmiertelnionych w powieści H.G. Wellsa *Tono-Bungay*.

Jego obsesja tajemnicy pogłębiała się. Oto młody Włoch zgłasza pretensje do nowej odkrywczej technologii, a równocześnie gwałci wszelkie zasady drogie brytyjskiej nauce, odmawiając ujawnienia szczegółów działania swojego aparatu. Udało mu się dokonać rzeczy uważanej za niemożliwą, ale jak tego dokonał? I dlaczego nie chciał zaprezentować swej pracy publicznie, jak na pewno postąpiłby każdy inny naukowiec? Lodge, z zawołowaną złośliwością, napisał, że „słuchacze poczuli się bardziej wyedukowani przez tajemniczą skrzynkę niż przez wiele tomów *Philosophical Transactions* oraz działania Towarzystwa Fizycznego”.

Na domiar złego był cudzoziemcem w czasach, kiedy Brytyjczycy zaczęli się poważnie niepokoić rosnącą liczbą anarchistów, imigrantów i uchodźców żyjących na brytyjskiej ziemi.

Mimo to Marconi pozostał pewny siebie. Jego wczesne listy do ojca pełne są chłodnych kalkulacji. Nic nie mogło zachwiać jego wiary w swoją wizję. Za wszelką cenę chciał udoskonalić swój aparat na tyle szybko, by prześcignąć innych wynalazców, którzy obecnie, kiedy po całym świecie rozeszły się wieści o jego sukcesie, z pewnością pracują intensywnie nad falami elektromagnetycznymi.

W swej pogoni za sukcesem nie przewidywał miejsca na lojalność, ani wobec Preece'a, ani wobec nikogo.

Anarchiści i sperma

Crippen znalazł mieszkanie w St. John's Wood, niedaleko Regent's Park. Siedziba firmy Munnyona znajdowała się daleko stąd, na Shaftesbury Avenue, która łagodnymi łukami biegła pomiędzy Bloomsbury a Piccadilly Circus, wśród sklepów, biur i restauracji, obok bocznych uliczek zamieszkiwanych przez aktorów, muzyków, emigrantów z Francji i Niemiec i innych „cudzoziemców”, jak również przez nieliczne prostytutki. Mieściły się przy niej trzy z najświetniejszych londyńskich teatrów: Palace, Shaftesbury i Lyric. Biuro Munnyona znajdowało się naprzeciwko teatru Palace.

Crippen dopilnował, by żona miała dość pieniędzy na utrzymanie w Nowym Jorku i swoje lekcje śpiewu. Tymczasem Cora zaczęła tracić operowe złudzenia i wreszcie pojęła to, co jej nauczyciele wiedzieli od początku: że nie ma ani głosu, ani odpowiedniej prezencji, by odnieść sukces w tak wysokiej sztuce. Napisała do Crippena, że postanowiła zrobić karierę, „wykonując musicalowe skecze”. W Ameryce nazywano to wodewilem. W Anglii variétés.

Jej pomysł zaniepokoił Crippena. Wodewil wydawał mu się bardzo tandetny w porównaniu z operą, a nawet w porównaniu z variétés, które jak wiedział, były bardzo popularne w Londynie i zaczynały zyskiwać coraz większy szacunek. Nawet książę Walii lubił podobno spędzać wieczory na przedstawieniach variétés. Choć niektóre music-halle nadal były miejscami pracy prostitutek i kieszonkowców, większość stała się czysta i bezpieczna. Występowały tam Sarah Bernhardt, Marie Lloyd i Vesta Tilley, a w ciągu najbliższych dziesięciu lat w takich przedstawieniach miała wystąpić Anna Pawłowa i rosyjski balet, po raz pierwszy zaprezentowany w Anglii właśnie w Palace.

Crippen napisał do Cory, nalegając, by rozważyła swoją decyzję. Zalecał, by jak najszybciej przyjechała do Londynu. Tu przynajmniej mogłaby występować w bardziej szanowanych przedstawieniach.

Zgodziła się do niego przyjechać, choć z jej decyzją zapewne niewiele miała wspólnego miłość do męża czy jego prośby. Najprawdopodobniej jej kariera w nowojorskich wodewilach również okazała się porażką i chciała spróbować szczęścia w Londynie, gdzie miałyby okazję śpiewać przed wyrafinowaną publicznością, bardziej skłoną docenić jej talent. Wobec jej planowanego przyjazdu Crippen zaczął szukać innego mieszkania, dość dużego i luksusowego, by pomieścić żonę o tak wielkim mniemaniu o sobie i potrzebach. Wybrał apartament w Bloomsbury, położony przy ładnej uliczce w kształcie podkowy, jednego z wielu londyńskich „półksiężyców”. Była to South Crescent, niedaleko Tottenham Court Road, oddalona o przecznicę od British Museum i o krótki spacer od biura Munyona na Shaftesbury.

Cora przyjechała w sierpniu, a Crippen natychmiast wyczuł w niej zmianę. „Mogę stwierdzić, że kiedy przyjechała z Ameryki do Anglii, jej zachowanie wobec mnie zupełnie się zmieniło. Jej temperament całkowicie wyrwał się spod kontroli i najwyraźniej uważała, że nie jestem dla niej dość dobry. Zaczęła się przechwalać, że wiele uwagi poświęcali jej pewni wysoko postawieni mężczyźni, którzy podróżowali tym samym statkiem, i rzeczywiście, niektórzy z nich złożyli jej wizytę na South Crescent, ale nie znam ich nazwisk”.

* * *

Decydując się na Bloomsbury, Crippen wybrał sobie okolicę, gdzie z całą mocą objawiały się siły wprowadzające w Wielkiej Brytanii wielkie zmiany. Kawałek drogi w kierunku południowym znajdowały się Bloomsbury Square i Bloomsbury Road, gdzie za kilka lat Virginia i Vanessa Stephen, krytyk Roger Fry, John Maynard Keynes i inni pisarze, poeci i wielkie osobowości mieli

stworzyć legendarną Bloomsbury Group. Virginia wyszła za mąż i przyjęła nazwisko męża, Woolf. Kilka przecznic na zachód, po drugiej stronie Tottenham Court Road rozciągało się terytorium, które już niedługo miało się stać odpowiednikiem Bloomsbury na obszarze sztuk plastycznych. Tu powstała Fitzroy Street Group, której członkowie zbierali się w Fitzroy Tavern zbudowanej w 1897 roku na rogu ulic Charlotte oraz Windmill, cztery przecznice na zachód od domu Crippenów. Najwybitniejszym i najbardziej osławionym członkiem tej grupy był malarz Walter Sickert, którego po śmierci zaczęto podejrzewać o zbrodnię Kuby Rozpruwacza. Crippenowie mieli za sąsiadów największe intelektuality swoich czasów, między innymi G.K. Chestertona, H.G. Wellsa, Forda Madoksa Hueffera (później znanego jako Ford Madox Ford) oraz naukowców z University College i British Museum.

Sąsiedztwo aż wibrowało seksualnością. Wśród członków Bloomsbury Group — kiedy osiągnęła ona swój pełny rozkwit intelektualny — rozmowy o seksie były na porządku dziennym. Wedle Virginii Woolf zaczęło się to w chwili, kiedy Lytton Strachey, krytyk i biograf, wszedł do salonu, gdzie Virginia siedziała wraz ze swą siostrą, Vanessą.

Jak to opisała Virginia: „Drzwi otworzyły się i na progu stanęła długa i groźna postać pana Lyttona Stracheya. Wycelował palcem w płamę na białej sukni Vanessy.

— Sperma? — zapytał.

»Czy naprawdę można powiedzieć coś takiego? « — pomyślałam i wybuchnęliśmy śmiechem. To jedno słowo przerwało wszelkie tamy powściągliwości”.

Linie podziału pomiędzy Bloomsbury a Fitzrovią, jak wkrótce zaczęto mówić na okolice Fitzroy Tavern, stanowiła Tottenham Court Road. Okazała się ona również linią uskoku przebiegającego pomiędzy sferą wyższą a częścią Londynu będącą przedmiotem zainteresowania Scotland Yardu i francuskiej Sûreté. Przez lata suterena pod numerem cztery na Tottenham mieściła Klub Robotników Komunistycznych, gdzie przemawiali wszelkiego rodzaju agitatorzy. Niedaleko, pod numerem trzydziestym na

Charlotte Street znajdowało się miejsce równie osławione i jeszcze bardziej radykalne, Epicerie Française, centrum międzynarodowego ruchu anarchistycznego, często obserwowane przez francuskich tajnych agentów. Tu grzmiano o przepaści dzielącej biednych i bogatych, która tak kłuła w oczy w Anglii.

Co rano, kiedy Crippen ruszał do pracy do okazałego biura Munyona na Shaftesbury Avenue, szedł Tottenham Court Road, mijając osławioną suterенę i detektywów z Oddziału Specjalnego i z Sûreté, którzy obserwowali okolice.

Nikt nie zwracał uwagi na małego doktora o wielkich oczach za grubymi szklami okularów, który chodząc, wyrzucał stopę w bok i ewidentnie pozostawał obojętny na siły kipiące dookoła.

* * *

Cora Crippen rozpoczęła swą walkę o sukces w brytyjskich variétés. Jedną rzecz przemawiała mocno na jej korzyść: brytyjska publiczność uwielbiała amerykańskie przedstawienia. Cora postanowiła zadebiutować w krótkim musicalu własnego autorstwa, w którym oczywiście grałaby główną rolę. Poprosiła Crippena, by opłacił koszty produkcji, a on zgodził się z radością, gdyż praca korzystnie wpływała na nastrój żony i jej zachowanie wobec niego, choć nadal demonstrowała dramatyczne zmiany nastroju, jak gdyby wierząc, że zmienność jest cechą równie niezbędną u diwy, jak dobry głos i drogie suknie. Których zakup również z radością finansował Crippen.

Cora stworzyła libretto, ale uznała, że trzeba jeszcze nad nim popracować. Umówiła się na spotkanie z niejaką Adeline Harrison, aktorką z music-halli i dziennikarką, która dorabiała sobie, pomagając innym artystom przygotowywać nowe numery i ulepszać scenariusze. Być może jakąś rolę w zorganizowaniu tego spotkania odegrał Crippen, gdyż doszło ono do skutku w biurach Munyona na Shaftesbury.

Harrison tak wspomina pierwsze wrażenie, jakie zrobiła na niej Cora. „Rozsunęły się zielone zasłony i weszła kobieta przypominająca lśniącego, trajkoczącego ptaka o wspaniałych

piórach. Wręcz wypełniła pokój swoją osobowością. Jej błyszczące, ciemne oczy migotały radością życia, a energiczna okrągła twarz promieniała uśmiechami. Co chwila pokazywała zęby, w których połyskiwało złoto”.

Fotografia mniej więcej z tego okresu ukazuje Corę w pozie scenicznej. Siedzi na krześle i śpiewa ze śpiewnika, a obok stoi kosz pełen wykwintnych kwiatów, zapewne orchidei albo kalii, albo jednych i drugich. Zaczyna wyraźnie tyć, ma grube palce, natomiast prawie nie ma szyi. Suknia i wiele warstw bielizny pogrubiają ją dodatkowo i sprawiają, że wygląda raczej jak armata niż jak kobieta. Suknia ma wzór kwiatowych płatków o kształcie sztyletów. Bufiaste rękawy podkreślają szerokość gorsu, jak również niesamowitą wąskość talii, zapewne ściśniętej sławnym „patti” firmy Y.C. Corset, nazwanym tak od Adeliny Patti, jednej z najbardziej uwielbianych na świecie sopranistek. Wyraz twarzy Cory świadczy o wielkiej pewności siebie i zadowoleniu. Nie jest może pyszny, ale na pewno próżny. Silny.

Harrison przeczytała scenariusz Cory. Nie był długi. „Kilka kulawych dialogów” — jak to potem określiła.

Cora powiedziała, że chce wydłużyć występ i zapytała, jak to osiągnąć. Marzyła jej się raczej operetka niż zwykły numer z variétés.

„Zasugerowałam, że przydałaby się intryga” — napisała Harrison.

Ostatecznie numer otrzymał tytuł *Nieznana ilość* i zadebiutował w Old Marylebone Music Hall, teatrze niedokładnie tej klasy, na jaką Cora miała nadzieję. Marylebone miał reputację przybytku faworyzującego melodramaty z trumnami, trupami i krwią, jednak był znany i dawał jej możliwość zaprezentowania talentu. A tylko tego pragnęła. Kiedy Londyn ją zobaczy, będzie miała zapewnioną przyszłość.

Program teatralny z tego okresu wymienia pseudonim Cory, Macà Motzki — jej panieńskie nazwisko podzielone na dwie części — i nazywa ją solistką amerykańskiej trupy „Światła Rampy Vio & Motzki występującej w największych teatrach Ameryki”.

Partnerować miał jej włoski tenor, Sandro Vio, określony w programie jako „prezes i jedyny dyrektor”. Wymieniono również Crippena. Według programu był „dyrektorem operacyjnym”. Intryga mówiła o romansie i szantażu. W pewnej chwili Cora miała rzucić w Via zwitkiem banknotów i uparła się, żeby to były prawdziwe pieniądze. Ale zamieszanie, jakie powstało podczas pierwszego przedstawienia, kiedy to publiczność runęła szukać banknotów, kazało kierownictwu teatru zażądać, by w kolejnych przedstawieniach używano fałszywych pieniędzy. Numer szedł przez tydzień. Cora zaprezentowała tak zupełny brak talentu, że jeden krytyk przezwał ją „Brooklyn Matzos Ball”^[3].

Niepowodzenie upokorzyło Corę i sprawiło, że dała sobie spokój z variétés. Przynajmniej chwilowo.

* * *

Crippenowie przenieśli się z South Crescent na Guilford Street, o przecznicy od niegdysiejszego domu Dickensów, ale wkrótce potem, mniej więcej w listopadzie 1899 roku, profesor Munyon wezwał Crippena z powrotem do Ameryki, by przez kilka miesięcy poprowadził biura firmy w Filadelfii. Crippen zostawił żonę w Londynie.

Coś zaszło podczas tego wyjazdu, ale co dokładnie, nie wiadomo. Kiedy Crippen wrócił do Londynu w czerwcu 1900 roku, nie był już pracownikiem Munyona. Zaczął zarządzać inną firmą sprzedającą leki patentowe, Sovereign Remedy Co., z siedzibą na pobliskiej Newman Street. Mniej więcej w tym czasie przenieśli się z Corą z powrotem do Bloomsbury, tym razem na Store Street, gdzie wiek wcześniej mieszkała Mary Wollstonecraft. Nowe mieszkanie Crippenów oddalone było zaledwie o przecznicy od ich starego domu na South Crescent i o krótki spacer od nowego biura Crippena.

Ku swemu niezadowoleniu Crippen dowiedział się, że kiedy przebywał w Ameryce, Cora znów zaczęła śpiewać na „płatnych koncertach dla palaczy”. Oznajmiła mu ponadto, że zamierza jeszcze raz spróbować szczęścia jako aktorka w variétés i przyjęła

nowy pseudonim sceniczny, Belle Elmore. No i zrobiła się jeszcze bardziej rozdrażniona. „Ciągle uważała, że jestem czemuś winien” — skarżył się Crippen. — „Co wieczór znajdowała pretekst, żeby się ze mną pokłócić, więc szliśmy spać źli na siebie. Nieco później odkryłem, że nie zamierza się do mnie zbliżyć, więc zapytałem, o co jej chodzi”.

A Cora — obecnie Belle — wyjaśniła mu, o co. Wyznała, że pod nieobecność męża poznała pewnego mężczyznę, Bruce’a Millera i — wedle Crippena — „ten człowiek odwiedzał ją, spotykał się z nią i bardzo ją lubił, a i ona lubiła jego”.

Niemiecki szpieg

Cesarz Wilhelm II istotnie zwrócił uwagę na wynalazek Marconiego. Od dawna drażniła go samozwańcza wyższość Wielkiej Brytanii, pomimo faktu, że był siostrzeńcem Edwarda, księcia Walii, który miał zostać następcą królowej Wiktorii. Nie czynił tajemnicy ze swego zamiaru zamiany Niemiec w potężne imperium i zmodernizowania armii i marynarki w duchu najnowszych osiągnięć naukowych, w tym, jeśli rzecz okaże się warta zachodu, wyposażenia ich w łączność bezprzewodową.

Podczas kolejnej serii prób na poligonie Salisbury Plain, podczas których Marconi ustanowił kolejny rekord odległości, jedenaście kilometrów, do Preece'a napisał niejaki Gilbert Kapp z Niemiec, z prośbą o przysługę. Czynił to, jak twierdził, w imieniu przyjaciela, którego nazwał „prywatnym doradcą”. Chodziło o Adolfa Slabego, profesora w berlińskiej Wyższej Szkole Technicznej. Wedle Kappa był on również „prywatnym doradcą cesarza do spraw nauki”. „Cesarza interesują wszystkie nowe wynalazki i odkrycia i zawsze prosi Slabego, by mu je wyjaśnił” — pisał. — „Ostatnio cesarz przeczytał o eksperymentach, Pańskich i Marconiego [...] i chce, by Slaby objaśnił mu ten wynalazek”.

Kapp miał dwa pytania:

„1. Czy wynalazek Marconiego jest coś wart?”

„2. Jeśli tak, to czy mógłby Pan zorganizować dla mnie i Slabego prezentację aparatu i jego działania, jeśli przyjedziemy do Londynu pod koniec przyszłego tygodnia?”

Dodał: „Proszę potraktować ten list jako wiadomość poufną i nie wspominać Marconiemu o cesarzu”.

Choć obawy Marconiego przed wścibskimi oczami rosły, Preece zaprosił Slabego na serię zaplanowanych na połowę maja 1897

roku eksperymentów, podczas których włoski wynalazca po raz pierwszy zamierzał wysłać sygnały nad wodą.

* * *

Tymczasem Marconi szykował dla Preece'a własną niespodziankę.

Aż do tej chwili sądził, że kontrakt z Pocztą jest najlepszym sposobem ciągnięcia zysków z wynalazku i zyskania dostępu do zasobów umożliwiających rozwinięcie go w praktycznie stosowaną telegrafii. Jednak świadom wartości każdej mijającej chwili zaczął odczuwać niepokój w związku z tempem podejmowania decyzji w tej instytucji. Napisał do ojca: „Jeśli chodzi o rząd, nie wierzę, że szybko podejmą decyzję, czy zakupić ode mnie prawa. Uważam również, że zapłacą za nie niewiele”.

Pod wpływem wykładów Preece'a inwestorzy zaczęli przedstawiać Marconiemu swoje oferty. Dwóch Amerykanów oferowało 10 000 dolarów — dziś byłoby to nieco ponad milion — za patent w Stanach. Marconi ocenił tę i inne oferty z chłodną przenikliwością prawnika. Żadna nie wydała mu się zachęcająca. Ale w kwietniu 1897 roku jego cioteczny brat, Henry Jameson Davis zaproponował założenie firmy dla syndykatu inwestorów powiązanych z rodziną Jamesonów. Syndykat miał wypłacić Marconiemu 15 000 dolarów gotówką — około 1,6 miliona wedle dzisiejszej wartości — i zagwarantować mu pakiet kontrolny akcji firmy, jak również przeznaczyć 25 000 dolarów na przyszłe eksperymenty.

Marconi rozważył tę propozycję równie skrupulatnie, jak poprzednie oferty. Warunki były szczodre. W owych czasach 15 000 dolarów to była prawdziwa fortuna. W powieści H.G. Wellsa, *Tono-Bungay*, jeden z bohaterów jest ogromnie uradowany, ponieważ otrzymuje pensję w wysokości trzystu dolarów rocznie — było to dość, by kupić mały domek i zapewnić sobie i żonie dostatnie życie. Najważniejsze było jednak to, że Jameson Davis należał do rodziny. Marconi znał go i mu ufał, natomiast imperium Jamesonów znało inwestorów. Propozycja była po prostu zbyt piękna, by ją odrzucić, ale rozumiał, że przyjmując ją, ryzykuje

zerwanie stosunków z Preece'em. Pytanie brzmiało: czy uda się powstrzymać urażonego Preece'a przed zamienieniem Poczty w najgroźniejszego wroga Marconiego?

Rozpoczęto zatem starannie zaplanowaną kampanię, która miała na celu przedstawienie oferty Jamesona Davisa jako rzeczy absolutnie z Marconim niezwiązanej, ale którą jako biznesmen musiał poważnie brać pod uwagę w interesie swojego wynalazku.

W tym celu zapewniono sobie pomoc doradcy patentowego, J.C. Grahama, który znał Preece'a osobiście. 9 kwietnia 1897 roku Graham napisał do niego i podał mu warunki oferty otrzymanej przez Marconiego. Dodał, że jego klient ma „poważne wątpliwości, czy należy ją przyjąć, nie chce bowiem uczynić niczego, co choćby sprawiało wrażenie niewdzięczności wobec Pańskiej osoby, gdyż jak mi powiedział, pod wieloma względami ma u Pana ogromny dług wdzięczności.

Ponieważ ta sprawa ciąży mu bardzo na sumieniu i ponieważ pragnie tylko jednego, postąpić właściwie, pomyślałem, że być może mój list okaże się pomocny. Oczywiście, nie wiem nic ponad to, co napisałem wyżej”.

Jak widać, motywy, które skłoniły Grahama do napisania listu, nie były jasne i Preece niewątpliwie musiał go przeczytać kilka razy, żeby zrozumieć, o co chodzi. Czy Graham pytał go o opinię, czy też zamierzał jedynie uprzedzić, że Marconi zamierza przyjąć ofertę i ma nadzieję, że nie będzie z tego powodu żywił urazy?

Następnego ranka, w sobotę, Marconi udał się do biura Poczty, ale Preece'a nie zastał, więc wróciwszy do domu, na Talbot Road, Westbourne Park, napisał do niego list.

Zaczynał się on od słów: „Jestem w kłopotcie”.

Treść pozostawała w zgodzie z planem wymyślonym przez Marconiego, Jamesona Davisa i zapewne również Grahama. Ton był ten sam, co w liście Grahama, i tutaj również nie było wzmianki o tym, że Jameson Davis jest ciotecznym bratem wynalazcy.

Marconi określał Jamesona Davisa i jego syndykat mianem „tych panów” i sformułował list w taki sposób, że czytelnik musiał dojść

do wniosku, iż cała sprawa rozgrywa się poza jego plecami, a już na pewno bez zachęty z jego strony — biedny młody człowiek nagle musi dać odpowiedź na poważną ofertę, tak hojną, że czuje się w obowiązku ją rozważyć, choć nie sprawia mu to radości.

Podawszy szczegóły sprawy, napisał: „Pragnę zaznaczyć, że nigdy nie ubiegałem się o te oferty ani nie zachęcałem do ich składania”.

W liście do ojca wspomniał później, że na podstawie tego, co słyszał od współpracowników Preece’a, wierzy, „iż pozostanie on moim przyjacielem”. Tu znów ujawniła się skaza na jego charakterze, która do końca życia miała mu utrudniać interesy i związki z ludźmi: rodzaj tępoty uczuciowej, która sprawiała, że pozostawał obojętny na to, jak jego działania wpłyną na innych.

Preece bowiem poczuł się głęboko dotknięty. Po latach, w krótkich wspomnieniach, pisanych z jakiejś przyczyny w trzeciej osobie, stwierdził: „Pod koniec 1897 roku Marconi dostał się pod wpływy biznesmenów, którzy sfinansowali jego nową firmę. Dla Preece’a, jako urzędnika państwowego, stało się wówczas niemożliwe podtrzymanie owych serdecznych, a często niemal ojcowskich związków z młodym wynalazcą. Nikt nie żałował tego bardziej niż Preece”.

Dopiero po kilku miesiącach stało się jasne, jak głęboko poczuł się zraniony i jakie będą tego konsekwencje. Na chwilę obecną nowina nie wpłynęła na jego zamiar poświęcenia Marconiemu wykładu w Instytucie Królewskim, zaplanowanego na czerwiec. Nie wycofał również natychmiast swej pomocy w eksperymentach. Firma jeszcze nie powstała, więc wierzył, że rząd nadal ma szansę zakupić patent Marconiego. Dziesięć lat później komisja parlamentarna stwierdziła, że Preece powinien był w tej sprawie bardziej naciskać. Gdyby to zrobił, „ważne dla kraju przedsięwzięcie nie przeszłoby w ręce prywatnej firmy i uniknięto by późniejszych trudności”.

* * *

W kwietniu 1897 roku, kiedy do morskich testów Marconiego pozostał jeszcze miesiąc, Wielką Brytanią znów wstrząsnął spazm obawy przed anarchistami i imigrantami. W podziemnej kolejce wybuchła bomba, zabijając jedną osobę i raniąc kilka innych. Zamachowca nigdy nie ujęto, ale ludzie winili anarchistów. Cudzoziemców. Włochów.

Świat coraz bardziej pogrążał się w chaosie i coraz mocniej przyspieszał. Rudyarda Kiplinga widywano w samochodzie z silnikiem o mocy sześciu koni mechanicznych, mknącego z zawrotną prędkością 24 kilometrów na godzinę. Wyścig pomiędzy wielkimi liniami żeglugowymi o to, które jednostki przepłyną Atlantyk w krótszym czasie, stawał się coraz bardziej zajadły i kosztowny. Wielkość i szybkość statków rosła, zaś rywalizacja pomiędzy liniami brytyjskimi a niemieckim dodatkowo obciążona była wielkim ciężarem narodowej dumy. W kwietniu 1897 roku w dokach Wulkan w Szczecinie tysiące robotników ścigało się z czasem, przygotowując do wodowania, zaplanowanego na 4 maja, największy, najwspanialszy i najszybszy liniowiec oceaniczny, jaki dotąd zbudowano. Miał on wejść w skład floty Norddeutsche Lloyd. Wszystko w tym nowym liniowcu wręcz buchało niemieckimi aspiracjami do roli światowej potęgi, a już najbardziej jego nazwa, „Kaiser Wilhelm der Grosse”, i wystrój obejmujący między innymi naturalnej wielkości portret imiennika statku, jak również Bismarcka i feldmarszałka Helmutha von Moltke, którego bratanek już niedługo miał poprowadzić Niemcy do wojny światowej. Na uroczystości wodowania miał być obecny sam cesarz Wilhelm II.

Na początku maja Adolf Slaby wyruszył z Niemiec do Anglii, gdzie udał się wprost nad Kanał Bristolski, oddzielający Walię i południową Anglię. Tu, przy pomocy inżyniera Poczty, George'a Kempa, Marconi przygotowywał swój kolejny wielki pokaz.

* * *

Tym razem miał nadzieję wysłać wiadomość na odległość całych czternastu i pół kilometra, to jest przez szerokości Kanału

Bristolskiego, ale najpierw zamierzał przeprowadzić skromniejszą próbę: wysłać sygnał z cypla Lavernock po walijskiej stronie kanału na maleńką wysepkę noszącą nazwę Flat Holm, oddaloną o jakieś pięć kilometrów. W piątek 7 maja Kemp popłynął holownikiem na wyspę, zabierając ze sobą nadajnik. Zatrzymał się „w małym domku należącym do osoby, która prowadziła krematorium”.

Slaby przyjechał do Lavernock. Wspaniałomyślnie, choć niezbyt roztropnie Marconi udostępnił mu mały aparat, by mógł z bliska obserwować doświadczenie.

W czwartek 13 maja, tydzień po rozpoczęciu testów, Marconi nadał wiadomość. „Więc niech tak będzie” — brzmiała ona.

Iskry generowane przez nadajnik przeskakiwały z trzaskiem. Świadkowie musieli zatkać uszy, tak głośne były te niebieskie wyładowania. Wzbudzone w ten sposób fale pomknęły z prędkością światła z Flat Horn przez kanał do Lavernock, gdzie bez żadnych zniekształceń przyjął je główny odbiornik Marconiego.

Slaby od razu uświadomił sobie, jak cenny może okazać się ten wynalazek dla jego cesarza. Wielbił Wilhelma. W liście do Preece'a napisał niezdarłą angielszczyzną: „Nie mogę go kochać bardziej, jest najlepszym i najcudowniejszym monarchą wszech czasów o najgłębszym zrozumieniu dla współczesnego sobie postępu. Ogromnie żałuję, że ta straszna polityka uczyniła go obcym dla Pańskich rodaków i Pańskiego kraju, który cesarz kocha tak bardzo”.

Ale to uwielbienie *de facto* zmieniło Slabego z neutralnego naukowca w szpiega. Już wcześniej, w Berlinie, eksperymentował z kohererami i cewkami indukcyjnymi, generując fale elektromagnetyczne. Znał zjawiska leżące u podstaw wynalazku i poczynił szczegółowe notatki na temat aparatu. Gdyby Marconi zdawał sobie sprawę, ile szczegółów zebrał Slaby, bez wątplenia odmówiłby mu udziału w testach. Najwyraźniej jednak był zbyt zaabsorbowany doświadczeniami, by zwrócić na to uwagę.

Wysłano kolejne wiadomości.

„Tu jest zimno i wieje”.

„Jak się macie?”

„Idźcie spać”.

„Idźcie na herbatę”.

No i oczywiście objawił się pierwszy przykład radiotelegraficznego humoru: „Go to Hull”^[4].

Kolejnym krokiem było przesłanie wiadomości przez całą szerokość kanału. Wprawdzie mocno zniekształcone, dotarły jednak na przeciwległy brzeg oddalony o 14,5 kilometra, a był to nowy rekord. Slabemu taki zasięg wydawał się niepojęty. „Mnie nie udało się telegrafować przez powietrze na odległość większą niż sto metrów” — napisał. — „Od razu stało się dla mnie jasne, że do tego, co znano już wcześniej, Marconi musiał coś dodać. Coś nowego”.

Po zakończeniu eksperymentów Slaby natychmiast wrócił do Niemiec. Dwa dni później był już w Berlinie, skąd napisał do Preece’a z podziękowaniem za zorganizowanie wizyty. „Przyjechałem jako obcy, a zostałem przyjęty jak przyjaciel i od razu doświadczyłem, że ludzi może dzielić polityka i gazety, ale nauka ich łączy”.

Sam wynalazca nie podzielał jego ciepłych uczuć. Tak jak Preece poczuł się zdradzony przez Marconiego, tak teraz Marconi czuł się zdradzony przez Preece’a, a to z powodu zaproszenia Slabego na świadka eksperymentów. Jednakże na zewnątrz nadal sprawiali wrażenie przyjaciół. Przy pomocy Poczty Marconi przeprowadzał kolejne testy, a Preece przygotowywał się do swego wystąpienia w Instytucie Królewskim, jednego z najbardziej oczekiwanych wykładów w Londynie.

W Berlinie Slaby zabrał się do budowania repliki aparatu Marconiego.

* * *

Mniej więcej w tym czasie, w Liverpoolu, Oliver Lodge oderwał się od swych flirtów z promieniami Roentgena i duchami. Rozwścieczony powszechną uwagą, jaką skupiał na sobie Marconi,

oraz patronatem, jaki roztaczał nad nim Preece, zatrudnił własnego prawnika. 10 maja 1897 roku wypełnił podanie o patent na dostrajanie nadajnika bez drutu w taki sposób, by sygnały wysyłane przez jeden nadajnik nie zakłócały sygnałów wysyłanych z innego. Równocześnie złożył podanie o patent na własny koherer i urządzenie, które automatycznie pukało w rurkę po każdej transmisji, aby przywrócić opiłki w stan spoczynku.

Musiał jednak wycofać dwa ostatnie podania. Patent Marconiego miał pierwszeństwo.

Nie ukoіło to urazy Lodge'a, podobnie jak wiadomość, że Preece planuje w Instytucie Królewskim wygłosić wykład o młodym Włochu i telegrafii bez drutu. To już było dla niego zbyt wiele. W sobotę 29 maja 1897 roku napisał do Preece'a i przypomniał mu o swoim wykładzie sprzed trzech lat.

„Gazety uważają metodę Marconiego za zupełną nowość. Oczywiście, Pan wie lepiej [i] póki moi koledzy naukowcy o tym pamiętają, nie liczy się to, co mówi prasa.

Być może jednak pod wpływem napięcia związanego z tą sprawą zapomniał Pan o szczegółach, które opublikowałem w 1894 roku. Wykorzystałem wówczas opiłki umieszczone w próżni. Wszystko mogło się wydarzyć już trzy lata temu, gdybym zdawał sobie sprawę, że jest to ważny handlowo dezyderat. Miałem również urządzenie do automatycznego pukania [i] wszystko inne”.

* * *

Preece wygłosił swój wykład w Instytucie Królewskim. Wraz z Marconim przygotowali demonstrację podobną do tej z Toynbee Hall, podczas której, jak to ujął „The Electrician”, dzwonki „dzwoniły wesoło” z kubłów na śmieci. Zdaniem pisma eksperymenty przypominały „sztuczki czarnoksiężnika”.

Preece powiedział słuchaczom: „Odległość, na jaką wysłano sygnał, jest imponująca” i dodał, że „w żadnym razie nie osiągnęliśmy jeszcze granicy”. Tu przypuścił atak na Olivera Lodge'a. Nie wymieniając go z nazwiska, zrobił aluzję do jego twierdzenia sprzed trzech lat, że fal Hertza zapewne nie da się

przesłać na odległość większą niż kilometr. „Interesujące jest czytanie spekulacji innych” — powiedział. — „Kilometr był dla nich najdzikszy marzeniem”.

Tu, jak stwierdził „The Electrician”, Preece „wymierzył celny cios”.

Po wykładzie rozległy się gorące oklaski, a Lodge i maxwellianie wpadli w jeszcze większą wściekłość, do tego stopnia, że łamiąc dobre maniery rządzące wiktoriańską nauką, znieważony fizyk zaprezentował swój gniew publicznie. W liście do „Times’a” napisał: „Jak się zdaje, wiele osób sądzi, iż metoda przesyłania sygnałów przez eter za pomocą fal Hertza, które przyjmuje rurka Branly’ego, jest odkryciem nowym, dokonany przez signora Marconiego. Jak doskonale wiedzą fizycy, i jak być może chciałaby się dowiedzieć opinia publiczna, ja sam zaprezentowałem w zasadzie identyczny sposób nadawania już w 1894 roku”. Skarżył się, że „w ostatnich czasach autorzy popularnych artykułów strzępili sobie języki w temacie »fal Marconiego«, »ważnych odkryć« i »cudownych nowości«, choć jest to zupełny absurd”.

Ten atak zaskoczył nawet jego przyjaciela, fizyka George’a FitzGerala, choć ten w gruncie rzeczy podzielał opinię Lodge’a. Wkrótce po ukazaniu się listu w „Timesie” FitzGerald przestrzegł kolegę: „Uważaj, by ta kwestia nie stała się sprawą osobistą pomiędzy Tobą a Marconim. Opinii publicznej to nie obchodzi, powiedzą jedynie: »To prywatna kłótnia: niech sami załatwią rzecz między sobą«”.

FitzGerald nie obciążał winą Marconiego. „Ten młodzieniec, który jak rozumiem, ma zaledwie dwadzieścia lat” — naprawdę miał wówczas dwadzieścia trzy — „zasługuje na wielkie uznanie za swoją wytrwałość, entuzjizm i hart ducha. Musi być naprawdę bardzo zmyślnym człowiekiem i trudno oczekiwać, aby pozostał całkowicie bezstronny w swoich poglądach na kwestię zasług w tej sprawie”. Marconi nie był „zbyt otwarty, ale trudno go winić, że w tych okolicznościach nieco zaszumiało mu w głowie. Żaden Włoch czy inny cudzoziemiec nigdy nie jest naprawdę

sprawiedliwy w swych sądach, nierozsądnie jest więc tego od niego oczekiwać”.

Prawdziwym problemem jest Preece, stwierdził FitzGerlad. Nalegał, by Lodge skupił swoje ataki na nim, szczególnie na sposobie, w jaki Poczta — „jak zwykle wykazując niedorzeczną ignorancję” — zignorowała odkrycia naukowe, na których Marconi oparł swój aparat, i dała się uwieść „tajemniczej skrzynce”.

„Preece, jak sądzę, wyraźnie i celowo drwi z ludzi nauki i zasługuje na dobrą nauczkę” — dodał.

* * *

2 lipca 1897 roku Marconi otrzymał pełny oficjalny patent. Coraz bliższy był decyzji przyjęcia oferty Jamesona Davisa.

Preece chyba uwierzył, że storpedował ten plan. W liście do zwierzchników, datowanym na 15 lipca, w którym przekonywał, że nadszedł czas, by rozważyć zakup praw patentowych Marconiego, napisał: „Powiedziałem mu wyraźnie, że ponieważ przedstawił swój projekt do rozważenia Poczcie, Admiralicji i Ministerstwu Wojny, nie ma moralnego prawa rozpoczynać negocjacji z kimś innym czy słuchać propozycji finansowych, które mogłyby stać się narzędziem do »szantażowania« jego głównych, jeśli nie jedynych, nabywców. Uznał moje racje”.

Preece radził rządowi, by zapłacił jedynie 10 000 funtów za prawa patentowe — około 1,1 miliona dolarów według dzisiejszej wartości pieniądza — i wyraził przekonanie, że Marconi nie będzie się targował. „Trzeba pamiętać, że pan Marconi jest bardzo młodym człowiekiem [...]. Jest cudzoziemcem. Dowiódł swej szczerości i uczciwości i oparł się kuszącym ofertom. Ma bardzo niewielkie doświadczenie. Z drugiej strony niewiele osiągnie bez naszej pomocy, a jego system może się stać użyteczny dla telegrafii jedynie dzięki nam”.

Zaledwie pięć dni później Marconi założył swą nową firmę, która została zarejestrowana jako Wireless Telegraph and Signal Co. (Telegraf i Sygnał Bez Drutu) z siedzibą w Londynie. Jameson Davis został dyrektorem operacyjnym, przy czym ustalono, że

kiedy firma się umocni, zrezygnuje ze stanowiska. Marconi otrzymał sześćdziesiąt tysięcy udziałów o wartości nominalnej jednego funta, co stanowiło sześćdziesiąt procent udziałów w firmie. Otrzymał również 15 000 dolarów gotówką i zobowiązanie firmy, że wyda kolejne 25 000 na udoskonalenie technologii.

W ciągu sześciu miesięcy wartość akcji Marconiego potroiła się i nagle jego sześćdziesiąt tysięcy udziałów stało się warte 180 000 funtów, mniej więcej 20 milionów dolarów wedle dzisiejszej wartości pieniądza. W wieku dwudziestu trzech lat stał się i sławny, i bogaty.

* * *

Tymczasem w Berlinie Adolf Slaby był bardzo zajęty. 17 czerwca, miesiąc po eksperymentach nad Kanałem Bristolskim, napisał do Preece'a: „Skonstruowałem cały aparat M[onsieur] Marconiego i działa on bardzo dobrze. Po powrocie z wakacji, które zamierzam spędzić nad morzem, spróbuję wysłać sygnał na pewną odległość. Czuję się wielce zobowiązany Pana ogromnej uprzejmości w te pamiętne, bardzo miłe i interesujące dni w Lavernock”.

Ale ciepłe podziękowania Slaby'ego były tylko zasłoną, ukrywającą jego wielkie ambicje, zarówno osobiste, jak i wobec Niemiec. Wkrótce wraz z dwoma asystentami zaczął reklamować własny system i przy entuzjastycznym poparciu cesarza oraz zastępów wpływowych niemieckich inwestorów, wdał się z Marconim w bitwę cieni, będącą ucieleśnieniem animozji wzbierających na całym świecie.

Chwilowo jednak udawał, że liczy się tylko nauka i wiedza. Napisał do Preece'a: „Jesteśmy szczęśliwymi ludźmi, że nie musimy poświęcać uwagi polityce. Przyjaźń, którą zawiązała nauka, nie może być zakłócona, i chcę powtórzyć, że żywię do pana najcieplejsze uczucia w swoim sercu”.

Bruce Miller

Bruce Miller był kiedyś zawodowym bokserem, czego śladem były zniekształcone rysy jego poza tym atrakcyjnej twarzy. Porzucił boks dla sceny i przybył do Anglii kilka miesięcy wcześniej, nim poznał Belle, mając nadzieję zrobić karierę w variétés. Był, w sensie dosłownym, człowiekiem-orkiestrą, grał bowiem równocześnie na perkusji, harmonijce ustnej i bandžo. Występował w Londynie i na prowincji, w Southend-on-Sea, Westonsuper-Mare i innych podobnych miejscowościach, ale kiedy poznał Belle, przygotowywał się właśnie do wyjazdu do Paryża, gdyż wszedł w spółkę dotyczącą pewnych „działań” na wystawie światowej, która miała się tam odbyć w 1900 roku. Poznali się wieczorem, w grudniu 1899 roku, mniej więcej miesiąc po wyjeździe Crippena do Filadelfii. Miller mieszkał na Torrington Square w Bloomsbury, w sąsiedztwie University College, wraz z współlokatorem, amerykańskim nauczycielem muzyki. Owego wieczoru Belle przyszła na kolację, na którą zaprosił ją ówże współlokator. Zostali sobie przedstawieni. Przy jakiejś okazji Miller powiedział: „Podałem jej tylko rękę i wyszedłem”.

Spotkali się ponownie, być może znów przy pomocy współlokatora Millera, i wkrótce zostali przyjaciółmi. Belle ewidentnie pociągała zwalista postać byłego boksera i jego surowa uroda. Dla niego natomiast pociągająca była jej energia, pogoda ducha oraz wybujała seksualność. Miał w Ameryce żonę, z którą pobrał się w 1886 roku, ale czuł się żonaty tylko formalnie i uważał swój związek za martwy.

„Nie jestem pewien, czy powiedziałem Belle Elmore, że jestem żonaty, ale jeśli zataiłem przed nią tę informację, to niecelowo” — wyjaśniał później Miller. — „Nigdy nie miałem przed nią nic do ukrycia ani obiekcji, żeby jej o czymś powiedzieć. Kiedy po raz

pierwszy przyjechałem do Anglii, byłem z żoną w separacji. Pisała do mnie, błagając, bym do niej wrócił, a ja pokazywałem Belle Elmore te listy”. Belle uważała, że powinien wrócić do Ameryki i do żony.

Nie była szczególnie rozmowna, jeśli chodzi o jej własne małżeństwo. „Kiedy ją poznałem, została mi przedstawiona jako panna Belle Elmore” — powiedział Miller. — „Spotkaliśmy się już kilka razy, nim się dowiedziałem, że jest zamężna. Często wspominała w rozmowie o doktorze Crippenie, aż w końcu wzbudziła moją ciekawość i zapytałem, kim jest ten doktor”.

„To mój mąż” — odparła. — „Czy twój przyjaciel ci nie powiedział, że jestem zamężna?”

Kiedy Crippen przebywał w Ameryce, Miller zaczął dwa lub trzy razy w tygodniu odwiedzać mieszkanie przy Guildford Street, „czasami po południu, a czasami wieczorem” — jak zeznał. Utrzymywał, że z całego mieszkania widział tylko jeden pokój, frontowy salon.

Przezywał żartobliwie Belle „Brązowe Oczy”. Dał jej kilka swoich fotografii, a ona ustawiła jedną na fortepianie w salonie. Często wychodzili razem na miasto, bywali w modnych wśród aktorów restauracjach, na przykład w Jones’s and Pinoli’s, Kettner’s w Soho, Trocadero — nazywanej potocznie „Troc” — i w najbardziej atrakcyjnej i osławionej, Café Royal na Regent Street, niedaleko Piccadilly Circus. Jej bywalcami byli George Bernard Shaw, G.K. Chesterton, badacz seksu Havelock Ellis, opętany seksem Frank Harris oraz, jeszcze przed swoim upadkiem, jak zawsze nierozważny w tych sprawach Oscar Wilde. Tu niejaka lady de Bathe, lepiej znana jako Lillie Langtry, rzuciła lodami w plecy Edwarda, przyszłego króla. (Jest to prawda tylko po części — incydent rzeczywiście miał miejsce, ale w innej restauracji i brała w nim udział inna aktorka). Tu bukmacherzy wiedli dyskusje z adwokatami i zamawiali modne drinki, na przykład Alabazan, Bosom Caressa (Pieszczota Piersi), Lemon Squash (Cytrynowa Oranzada) czy Old Chum’s Reviver (Ożywiacz Starych Kumpli).

Ulubionym jednak napojem Bruce'a Millera i Belle był szampan. Na pamiątkę swych spotkań wypisywali daty na korkach od butelek, aż zebrali cały ich sznur, który przechowywała Belle. „Mój mąż nie ma nic przeciwko temu, co robimy” — zapewniła Millera. — „Zawsze mu o wszystkim mówię”.

Kiedy Crippen wrócił do Anglii, Miller był akurat w Paryżu. Pisał do Belle „dość często, by okazać uprzejmość i pozostać przyjacielem”. Crippen nigdy nie poznał Millera osobiście, ale Belle dopilnowała, by wiedział o nim więcej, niż miał ochotę. Nadal trzymała na widoku przynajmniej jedną fotografię Millera. W marcu 1901 roku posłała mu kopertę zawierającą sześć swoich fotografii, informując, że zostały zrobione przez Crippena „jego kodakiem”. Dała do zrozumienia, że Crippen wie, że ona je wysyła.

Pewnego razu, albo przypadkiem, albo na skutek intryg Belle, Crippen natknął się na listy od Millera, kończące się frazą: „uściski i buziaki dla Brązowych Oczu”.

Wywołały one w mały doktoru uczucie zbliżone do smutku.

Później Millera pytano wielokrotnie o te listy i o prawdziwe znaczenie ich ostatniego zdania.

Wrogowie

Marconi uzyskał poparcie ze strony City, ale jego przeciwnicy dopiero nabierali rozpędu, zyskując nowych sojuszników. Na czele jak zwykle stał Oliver Lodge.

We wrześniu 1897 roku najbardziej wpływowe brytyjskie pismo poświęcone elektryczności, „The Electrician”, niemal wprost oskarżyło Marconiego o kradzież pracy Logde’a. „Trzy lata temu doktor Lodge opublikował dość, by nawet najbardziej ograniczony umysłowo »praktyk« mógł zbudować praktyczny system telegrafii, nie zmieniając ani o jotę metody Lodge’a”. Pismo miało też negatywny stosunek do patentu Marconiego: „Powiadają, że sprytny prawnik potrafi precyzyjnie czterokrotnie powóz przez ustawę Parlamentu. Jeśli ten patent utrzyma się w sądach, przekonamy się, że równie łatwo zdolny doradca patentowy może stworzyć patent z opublikowanych i publicznie zaprezentowanych produktów umysłu innego człowieka”.

Opinię publiczną zaczęła niecierpliwie tajemniczość Marconiego i brak działającego systemu radiotelegrafii pomimo doniesień o sukcesach odniesionych w Poczcie, na poligonie Salisbury Plain i nad Kanałem Bristolskim. Ten wiek oczekiwał postępu. „Chcemy znać prawdę na temat tych wszystkich wątpliwych sukcesów” — napisał pewien czytelnik w liście opublikowanym przez „The Electrician”. „Piszę wątpliwych, ponieważ to opóźnienie, to milczenie w kwestii praktycznych wyników wywołuje w moim umyśle, zapewne podobne jak u innych, wątpliwości, które chciałbym przedstawić.

Na czym polegają obecne trudności? Związane są z nadajnikiem, odbiornikiem czy z niewinnym eterem? A może ich źródłem jest finansowy syndykat, który pod wpływem tajnych

eksperymentów i bezwartościowych doniesień prasy porwał się na to wielkie i tajemnicze przedsięwzięcie?”

Przedtem Marconi mógł liczyć, że William Preece i Poczta wystąpią w jego obronie, ale teraz Preece odwrócił się od niego — choć Guglielmo wydawał się nieświadom tej zmiany i niebezpieczeństwa, jakie ze sobą niosła. Na przykład na początku września 1897 roku Poczta nagle zakazała mu udziału w testach, które przeprowadzał w Dover, choć wykonywał je na własnym sprzęcie. Poskarżył się Preece’owi, że jeśli nie wolno mu będzie w nich uczestniczyć, zapewne okażą się klęską. Był pewien, że w cudzych rękach telegraf bez drutu nie będzie działał z pełną wydajnością, wiedział również, że inżynierowie Poczty nie uwzględnili jego ostatnich poprawek. Miał dwadzieścia trzy lata, Preece sześćdziesiąt trzy, a jednak pisał do niego w taki sposób, jakby strofował uczniaka: „Mam nadzieję, że to nowe podejście nie okaże się trwałe, gdyż jeśli eksperymenty w Dover nie zakończą się sukcesem, może to wyrządzić bardzo poważną krzywdę mojej firmie”.

Wkrótce potem podkupił Pocztę George’a Kempa i zatrudnił go jako swego osobistego asystenta. Była to jego najpoważniejsza decyzja personalna.

Jak dotąd wszystko odbywało się w ukryciu, ale na początku 1898 roku Poczta po raz pierwszy dała publiczny wyraz rozczarowaniu Preece’a. W corocznym raporcie Generalnego Poczmistrza za ostatnie dwanaście miesięcy, który to okres kończył się 31 marca 1898, podano, że przeprowadzono testy aparatu Marconiego, „ale jak dotąd nie uzyskano praktycznych rezultatów”.

Marconi poczuł się urażony. Uważał, że dowiódł jednoznacznie, iż telegrafia bez drutu jest technologią praktyczną, gotową do wykorzystania. W grudniu 1898 roku wraz z Kempem wznosił maszt na wyspie Wight, na terenie hotelu Needles w zatoce Alum — była to pierwsza na świecie stała stacja telegrafu bez drutu — i ustanowił łączność pomiędzy nią a holownikiem odległym o osiemnaście kilometrów. W styczniu 1898 roku wzniesiono kolejną

stację, tym razem na lądzie stałym, na terenach należących do kolejnego hotelu, Madeira House w Bournemouth, dwadzieścia trzy kilometry dalej na zachód. Obie stacje utrzymywały od tej pory łączność ze sobą.

Ewidentnie ślepy na obecne nastawienie Preece'a wobec jego osoby Marconi zaproponował Poczcie sprzedaż praw do wykorzystywania swej technologii w Anglii za 30 000 funtów — była to wygórowana cena, równa dziś trzem milionom dolarów. Oferta zakrawała na bezczelność i rząd ją odrzucił.

Wówczas Preece uderzył po raz kolejny. W lutym 1899 roku skończył sześćdziesiąt pięć lat, a był to w Poczcie obowiązkowy wiek emerytalny. Zamiast jednak odejść na emeryturę, wyklócił się o stanowisko inżyniera konsultanta i stał się jeszcze bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem, ponieważ zwierzchnicy poprosili go o przygotowanie raportu na temat technologii Marconiego, pomocnego w podjęciu decyzji, czy rząd powinien przyznać jego stacjom licencję pozwalającą na obsługę przesyłu depesz składanych w biurach telegraficznych Poczty. Istniejące prawo, które dawało Poczcie monopol na całą telegrafię na Wyspach Brytyjskich, zabraniało Marconiemu takiego działania.

W raporcie z listopada 1899 roku Preece wypowiedział się przeciw udzieleniu licencji. Argumentował, że Marconi powinien najpierw stworzyć gdzieś działający system, gdyż inaczej przyznanie licencji jedynie wzbogaci jego oraz jego popleczników, powodując „niepotrzebne podniecenie” wśród inwestorów. „Powstanie nowa firma z wielkim kapitałem, ludzie zaczną tłumnie kupować akcje przedsięwzięcia popieranego przez Generalnego Poczmiistrza i tym samym rząd zachęci do powstania kolejnej bańki spekulacyjnej”.

Preece napisał też do Lodge'a: „Chcę Panu pokazać mój raport. W tej chwili znajduje się u Ministra Sprawiedliwości. Jest bardzo długi i we wszystkich punktach skierowany przeciw Marconiemu”.

* * *

Lodge był zachwycony. Napisał do Sylvanusa Thompsona o, jak to określił, „próbie przewrócenia przez Preece’a tego wózka z jabłkami”.

„Tak sobie myślę, że to rzecz sprawiedliwa i zasłużona, choć przychodzi raczej zbyt późno” — napisał.

* * *

Marconi zaczął sobie uświadamiać, że aby zneutralizować wpływ Lodge’a i rozproszyć wszechobecny sceptycyzm, wedle którego telegrafia bez drutu nigdy nie miała się stać niczym więcej jak nowinką, potrzebuje sojuszników.

Zaczął więc zabiegać o względy najbardziej szanowanego człowieka nauki w Anglii, lorda Kelvina. Wcześniej Kelvin wyraził swój sceptycyzm co do praktycznego zastosowania systemu Marconiego, wygłaszając sławne zdanie: „Telegrafia bez drutu jest wspaniała, ale wolę wysłać wiadomość przez posłańca na koniu”.

Jednak w maju 1898 roku Kelvin złożył wizytę w biurze Marconiego w Londynie, a ten osobiście zademonstrował mu swój aparat. Prezentacja zrobiła na gościu wielkie wrażenie, ale pozostał sceptyczny co do przyszłej wartości wynalazku. W tym okresie i Marconi, i Lodge pracowali nad metodą takiego dostrajania sygnałów, by wiadomości wysyłane z jednego nadajnika nie zakłócały sygnałów wysyłanych z drugiego. Kelvin uznał, że zakłócenia będą się stawać coraz większym problemem, w miarę jak zwiększać się będzie moc i zasięg nadajników. Napisał do Lodge’a: „Główna przeszkoda, jaką widzę w praktycznym wykorzystaniu aparatu na odległość do 24 kilometrów, jest taka, że dwóch rozmawiających ze sobą ludzi niemal zmonopolizuje ziemię i powietrze na całe kilometry wokoło. Nie sądzę, by dało się sprawić, aby za pomocą tej metody dziesięć par mogło rozmawiać równocześnie w okręgu o promieniu szesnastu kilometrów”.

Miesiąc później Kelvin i jego żona odwiedzili stację w hotelu Needles na wyspie Wight, gdzie Marconi zaproponował gościowi, by sam nadał wiadomość. Dopiero teraz Kelvin uświadomił sobie handlową wartość telegrafu bez drutu. Uparł się zapłacić

Marconiemu za swoją depeszę, był to więc pierwszy płatny telegram i nawiasem mówiąc, również pierwszy przychód firmy Marconiego.

Marconi poprosił Kelvina, by został jego inżynierem konsultantem. Ten 11 czerwca wyraził wstępną zgodę, a wartość jego poparcia od razu stała się oczywista, gdyż tego samego dnia napisał do Olivera Lodge'a: „Myślę, że byłoby bardzo dobrze, gdyby napisał Pan osobiście do Marconiego list-gałązkę oliwną”. Po spędzeniu dwóch dni z Marconim „wrobiłem sobie o nim bardzo dobrą opinię. Powiedział, że mógłbym do Pana napisać [...] Wiem, że zależy mu na współpracy z Panem, i uważam, że pod każdym względem byłoby dobrze, gdyby w jakiś sposób włączył się Pan w te prace”. Dalej informował Lodge'a o własnej decyzji zostania inżynierem konsultantem Marconiego i dodał: „Zasugerowałem, aby Pana również poproszono o działanie w tej roli, a on całkowicie się zgodził z moją sugestią. Jednak nim sam wezmę udział w tym przedsięwzięciu, chciałbym dopomóc w kwestii gałązki oliwnej i mam nadzieję (a właściwie jestem pewien), że poweźmie Pan ten sam pogląd co ja”.

W liście umieścił też pełne entuzjazmu post scriptum na temat swego pobytu w stacji Marconiego w Needles: „Zobaczyłem tam (i sam wypróbowałem!) telegrafii przesyłaną eterem do Bournemouth i z powrotem. Godne podziwu. Absolutnie praktyczne!!!”.

Kelvin wydawał się zdecydowany wejść do firmy, kiedy nagle odezwały się w nim skrupuły niemające nic wspólnego z Marconim ani jego technologią. Martwiło go, że angażuje się w przedsięwzięcie poświęcone nie tylko odkrywaniu tajemnic natury, ale również uzyskiwaniu maksymalnych zysków. 12 czerwca, dzień po wysłaniu listu do Lodge'a, napisał do niego ponownie: „Przyjmując stanowisko inżyniera konsultanta, czynię warunek, że od tej chwili w żadnym względzie nie będzie się żądać dalszych pieniędzy od społeczeństwa. Wydaje mi się, że obecny syndykat ma dość kapitału na przyszłe prace [...]. Wcale nie jestem

przekonany, że założyciele zaakceptują ten warunek, ale bez niego nie mogą działać”.

Dla Marconiego taki warunek był nie do przyjęcia i Kelvin nigdy nie został jego inżynierem konsultantem.

Teraz wynalazca wszystkie swe wysiłki skoncentrował na Lodge’u.

* * *

Lodge napawał się uwagą Marconiego. Pomocy w stosunkach z nim poszukał u przyjaciela, Alexandra Muirheada, który prowadził firmę wyrabiającą urządzenia telegraficzne wysokiej jakości. Muirhead spotkał się z Jamesonem Davisem w Reform Club w Londynie i zaraz potem napisał do Lodge’a: „Dzień dzisiejszy to tylko początek gry. Jestem teraz pewien, że chcą z nami współpracować. Okaż cierpliwość, rzecz się wyjaśni”.

W lipcu Muirhead zaproponował Marconiemu kupno technologii strojenia fal opracowanej przez Lodge’a — za 30 000 funtów, tę samą zawyżoną cenę, której Marconi zażądał od Poczty za swoje prawa patentowe. W liście do Lodge’a datowanym na 20 lipca 1898 roku Jameson Davis napisał: „Ta kwota jest zdaniem i moim, i rady nadzorczej nadzwyczaj wysoka, szczególnie że nie mamy żadnych informacji, na czym polega ten wynalazek”. Domagał się szczegółów, ale na razie żadnych nie otrzymał. „Ponieważ bardzo chcemy mieć Pana wśród nas, będę szczęśliwy, jeśli wyjaśnimy tę sprawę i dojdziemy do rozsądnego porozumienia” — pisał.

Sam Marconi również napisał do Lodge’a. Chcąc polepszyć swoją pozycję negocjacyjną, podał intrygujący adres zwrotny:

KRÓLEWSKI JACHT

OSBORNE COWES

WYSPA WIGHT

* * *

Wszyscy czytelnicy gazet wiedzieli, że w owym czasie Edward, książę Walii, przebywał na pokładzie królewskiego jachtu,

dochodząc do siebie po urazie nogi, którego doznał, spadając ze schodów podczas balu w Paryżu. Jego matka, królowa Wiktorja, chciała, żeby przeniósł się do królewskiej rezydencji Osborne House, gdzie sama wówczas przebywała, ale Edward wolał pewne oddalenie. Jacht zacumowany był jakieś trzy kilometry od Osborne House, w kanale Solent oddzielającym wyspę Wight od lądu stałego. W minionych epokach takie położenie zapewniłoby księciu tyle prywatności, ile by sobie tylko zażyczył, niestety, jego matka czytała o Marconim i zwróciła się do niego z prośbą, by zestawiał połączenie bez drutu pomiędzy rezydencją a jachtem.

Zawsze mając na względzie uwagę prasy, Marconi wyraził zgodę. Pod jego kierunkiem robotnicy przedłużyli maszt „Osborne” i spuścili z niego drut, tworząc antenę, wznoszącą się dwadzieścia pięć metrów nad pokładem. Zainstalowali nadajnik, zalewający kabinę widmową poświatą iskier i dudniący grzmotem miniaturowych gromów, które zmuszały do zatykania uszu wata. Na terenie Osborne House, koło budynku gospodarczego o nazwie Ladywood Cottage, Marconi kazał wznieść drugi maszt, tym razem o wysokości trzydziestu metrów.

Pewnego razu, podczas instalacji urządzeń Marconi wszedł do ogrodów Osborne House w czasie, kiedy zażywała tam spaceru w wózku na kółkach sama królowa. Wiktorja ceniła sobie prywatność i zakazała służbie wpuszczać intruzów, dlatego jeden z ogrodników zatrzymał Marconiego i kazał mu „zawrócić i iść naokoło”.

Marconi, który obecnie miał dwadzieścia cztery lata, odmówił stanowczo i oświadczył ogrodnikowi, że albo przejdzie przez ogród, albo porzuci cały projekt. Po czym odwrócił się na pięcie i wrócił do hotelu.

Służący opowiedział królowej o reakcji Marconiego, a ona, w swój łagodny, lecz władczy sposób oświadczyła: „Sprowadźcie innego elektryka”.

„Ależ, wasza wysokość, w Anglii nie ma więcej Marconich” — zaoponował służący.

Królowa przemyślała sprawę, po czym wysłała królewski powóz po Marconiego. Spotkali się i odbyli rozmowę. Ona miała siedemdziesiąt dziewięć lat, on ledwie wyrósł z wieku chłopięcego, ale przemawiał z taką pewnością siebie, jakby był lordem Salisbury. Była nim oczarowana. Pochwaliła jego pracę i życzyła mu powodzenia.

Wkrótce królowa i jej syn mogli pozostawać w stałym kontakcie za pośrednictwem telegrafu bez drutu. Przez następne dwa tygodnie Wiktorii, księżę Walii i jego lekarz, sir James Reid, wymienili w sumie sto pięćdziesiąt wiadomości, których natura wskazuje, że bez względu na to, jak innowacyjny jest środek komunikacji, ludzie zawsze znajdą sposób, by uczynić łączność jak najbardziej nużącą.

4 sierpnia 1898 roku. Sir James do Wiktorii:

„Jego Królewska Wysokość księżę Walii spędził kolejną spokojną noc i jest w dobrym zdrowiu i nastroju. Kolano goi się zadowolająco”.

5 sierpnia 1898 roku. Sir James do Wiktorii:

„Jego Królewska Wysokość księżę Walii spędził kolejną spokojną noc, a jego kolano jest w dobrym stanie”.

A oto gorąca wymiana zdań pomiędzy damą przebywającą na pokładzie „Osborne” a jej koleżanką z rezydencji:

„Czy możesz przyjść dzisiaj do nas na herbatę?”

Odpowiedź pomknęła przez eter z szybkością światła.

„Bardzo mi przykro, nie mogę przyjść na herbatę”.

* * *

Nowa technologia zaintrygowała Edwarda. Był zachwycony, że ma Marconiego na pokładzie, i w dowód wdzięczności podarował mu królewską szpilkę do krawata.

Z pokładu jachtu Marconi napisał do Lodge'a list, w którym donosił o swoim sukcesie w zapewnieniu łączności pomiędzy królową a jej synem. „Cieszę się, mogąc stwierdzić, że wszystko od samego początku poszło pierwszorzędnie. Przesłano w obie strony tysiące słów i ani razu nie trzeba było żadnego powtarzać”.

Dodał, że chociaż odległość wynosiła mniej niż trzy kilometry, aparaty „nie widziały się nawzajem, ponieważ pomiędzy nimi znajdowało się wzgórze”.

Na zakończenie napisał: „Bardzo się spieszę” i podkreślił swój podpis śmiałą czarną linią. Odtąd już zawsze tak się podpisywał.

* * *

W samym środku podchodów do Lodge'a firma Marconiego zanotowała swój pierwszy wypadek śmiertelny, choć nie miał on nic wspólnego z samym aparatem.

Jeden z ludzi Marconiego, Edward Glanville, udał się na wyspę Rathlin, położoną jedenaście kilometrów od wybrzeża Irlandii Północnej. Planowano przeprowadzić demonstrację dla Lloyd's of London, w którym to celu należało zainstalować aparaty na Rathlin oraz na lądzie, w Ballycastle. Za ich pomocą chciano informować centralę Lloyd's w Londynie o przepływających statkach. Rathlin i Ballycastle oddzielała wieczna wzburzona połać morza i komunikacja między nimi zawsze była problemem.

W Ballycastle pracami kierował George Kemp. Aparat umieszczono w pokoju dzieciennym w „domku pewnej damy nad urwiskiem”, a druty anteny wypuszczono przez okno. Jeśliby wszystko poszło dobrze, depeche z Rathlin docierałyby do Ballycastle bez względu na sztormy i mgłę, a stąd, za pomocą tradycyjnego telegrafu, przesyłano by je do biur Lloyd'a w Londynie.

Pewnego dnia Glanville zniknął. Rozpoczęto poszukiwania i znaleziono jego ciało u stóp wysokiego na dziewięćdziesiąt metrów urwiska.

Odkąd George Kemp rozpoczął pracę u Marconiego, powierzano mu najróżniejsze zadania, ale po raz pierwszy było to zadanie tak smutne. 22 sierpnia 1898 roku zapisał w dzienniku: „Zatelegrafowałem do Londynu i zorganizowałem wysyłkę trumny. Przybycie koronera i parowca wyznaczyłem na szóstą po południu. Popłynąłem na Rathlin i wraz z lekarzem obejrzałem ciało. Obmyłem zwłoki i umieściłem w trumnie. Odbyło się

przesłuchanie i koroner uznał tę śmierć za wypadek. Podobno ludzie mieszkający na wyspie często widywali Glanville'a na urwisku z młotkiem, za pomocą którego badał różne warstwy ziemi. Z pewnością taka była przyczyna wypadku”.

Śmierć Glanville'a na krótko zakłóciła wymianę listów pomiędzy firmą Marconiego a Lodge'em, ale wkrótce podjęto zaloty. Lodge opierał się im jednak i nie chciał nawet zaprezentować swojej technologii.

Wreszcie Marconi zaczął tracić cierpliwość. 2 listopada 1898 roku napisał: „Mam szczerą nadzieję, że będzie Pan skłonny przeprowadzić dla nas demonstrację, albo w jakiś inny sposób sprawić, że będziemy pracować razem, a nie przeciw sobie, co niewątpliwie byłoby dla nas obu wielką niedogodnością”. Tymczasem, dodał, „być może [...] ułatwi nam sprawę Pańska łaskawa odpowiedź na następujące pytania”. Zapytał Lodge'a o to, ile jego nadajników może działać na tym samym terenie, nie zakłócając się nawzajem, jaki zasięg osiągnął i jaki zasięg uważa za możliwy w przyszłości.

Tym samym znów zaprezentował swoją uczuciową tępotę — poprosił Lodge'a o ujawnienie swojej technologii, choć sam kilka tygodni wcześniej odmówił mu tego samego, pisząc: „bardzo żałuję, że względy handlowe powstrzymują mnie (przynajmniej chwilowo) od wzajemnej prezentacji wyników, jakie uzyskujemy”.

Dokładnie tego nie należało mówić Lodge'owi, który uważał wtrącanie się handlu do nauki za rzecz ze wszech miar godną pogardy. Marconi najwyraźniej przeoczył tę jego antypatię.

W tym samym liście zapytał beztrósco, czy Lodge mógłby zostać jednym z dwóch poręczycieli, których potrzebował, by ubiegać się o członkostwo w prestiżowej brytyjskim Instytucie Inżynierów Elektryków.

Lodge odmówił.

* * *

Tymczasem pojawił się kolejny wróg — pogoda. Marconi zdawał sobie sprawę, że jego telegraf największą wartość będzie miał na

morzu, gdyż położy kres izolacji statków, ale osiągnięcie tego celu wymagało przeprowadzenia eksperymentów na wodach i wzdłuż wybrzeży narażonych na najgorsze sztormy na świecie. Im ambitniejszy eksperyment, tym bardziej znaczącym czynnikiem stawała się pogoda. Okazało się to z całą jasnością pod koniec roku 1898, kiedy Trinity House, właściciel wszystkich latarni morskich i latarniowców w Brytanii, udzieliło Marconiemu zgody na przeprowadzenie testów na latarniowcu zakotwiczonym przy East Goodwin. Był to ten sam statek, na którym swoje nieudane eksperymenty przeprowadzał William Preece — a fakt ten nie umknął uwagi coraz bardziej wrogo nastawionego pocztowca.

Marconi wysłał na statek George'a Kempa, aby pokierował zainstalowaniem anteny, nadajnika i odbiornika. W swoim dzienniku Kemp uwiecznił gehennę, jaką wówczas przeszedł.

17 grudnia 1898 roku o dziewiątej rano wyruszył łodzią z plaży przy wiosce Deal. W historii morskich katastrof to miejsce słynęło przede wszystkim z wielkiej liczby trupów, które morze wyrzucało tu na brzeg, jeśli statek zatonął na Goodwin Sands, jak również z profesji mieszkańców wioski. Jak napisał Daniel Defoe, uważali oni, że każdy nowy wrak to okazja do wzbogacenia się. Dotarcie do latarniowca zacumowanego mniej więcej dziewiętnaście kilometrów na wschód od latarni South Foreland w Dover, gdzie Marconi założył stację lądową, zajęło łodzi Kempa trzy i pół godziny.

Choć latarniowiec „podskakiwał i kołysał się” na wzburzonym morzu, załoga zdołała przedłużyć maszt o siedem i pół metra, dzięki czemu uzyskano antenę o wysokości dwudziestu siedmiu metrów, licząc od pokładu. „Oprócz tego wykonano niewiele innych prac, ponieważ wszyscy cierpią na chorobę morską” — napisał Kemp. Opuścił latarniowiec o wpół do piątej po południu, w szalupie ratunkowej, i dotarł do Deal dopiero o dziesiątej wieczorem. „To było trudne doświadczenie” — stwierdził w dzienniku, na pewno bardzo oględnie traktując swoje przeżycia.

Wrócił na statek 19 grudnia i tym razem został na dłużej. Przywiózł ze sobą zapasy na tydzień i natychmiast zaczął

instalować sprzęt oraz przekładać drut przez świetlik. Zanotował, że fale przewalają się przez pokład latarniowca.

Po krótkiej ciszy 21 i 22 grudnia pogoda jeszcze się pogorszyła. Późnym popołudniem 23 grudnia „zerwał się wiatr i latarniowcem zaczęło rzucać”. Wieczorem „zrobiło się prawie nie do zniesienia”. Kemp nie poddał się jednak i w Wigilię wysłał życzenia Marconiemu, który zainstalował się wygodnie w South Foreland. Tej nocy zgłosił się na ochotnika do pilnowania światła statku, żeby załoga mogła świętować Boże Narodzenie. Czynie to „aż do wczesnych godzin porannych”.

W Boże Narodzenie, kiedy Kemp i załoga „dochodzili do siebie po świątecznym obiedzie”, uderzył sztorm i statek zaczął unosić się i opadać na falach. Ponieważ był zakotwiczony do dna morskiego, nie mógł manewrować. „Na pokładzie było okropnie” — zanotował Kemp. Szczególnie kiedy wiatr i przyływ ustawiły latarniowiec burtą do fali.

Przez następne dwa dni morze bezlitośnie nacierało na statek. Przez luki spływała woda. Kemp nadal nadawał. „Pod pokładem jest równie mokro jak na pokładzie” — zanotował 27 grudnia.

Następnego dnia było podobnie. „Pogoda jest nadal zła. Przekazałem do Foreland, że czuję się chory, ale udało mi się wygenerować iskrę”. Pomimo pogarszających się warunków osiągnął „wspaniałe wyniki”, choć trudno jest sobie wyobrazić, jak zdołał tego dokonać. „Fale ciągle przelewają się przez pokład i nie mogę nawet wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza. Jestem zmarznięty, mokry, czuję się rozpaczliwie i niewiele śpię”.

30 grudnia nawet lojalność Kempa się wyczerpała. Warunki były tak fatalne, że nie mógł wychodzić na pokład. Wysłał do Foreland prywatną wiadomość. „Przekazałem panu Marconiemu, że nie czuję się na tyle dobrze, żeby pozostać dłużej na pokładzie i musi wysłać po mnie, gdy tylko wiatr ucichnie [...] Powiedziałem mu, że potrzebuję świeżego mięsa, warzyw, chleba i bekonu, ale mam wrażenie, że wzięto to za żart. Chyba zapomnieli, że wszedłem na statek 19 grudnia z zapasami na tydzień, a jestem już na pokładzie

12 dni. Muszę racjonować żywność, wypraszać ją i pożyczać od załogi, a nawet wykradać”.

W Nowy Rok 1899, czternastego dnia pobytu Kempa na statku, nadal było zimno i wilgotno, padał deszcz, wiał silny wiatr, a morze było wzburzone. Następnego dnia napisał: „Byłem tak słaby i skostniały, że ledwie mogłem się ruszać”.

Ale wreszcie, 4 stycznia, pogoda się poprawiła i zrobiło się „całkiem spokojnie”. Przybyły też zapasy: „jagnięcina, drób, dwie butelki wina bordo, dwa bochenki chleba, ziemniaki, kapusta, brukselka i owoce”. „Po siedemnastu dniach mam dobrą, świeżą żywność” — zanotował, podkreślając to zdanie.

Cztery miesiące później nadajnik na latarniowcu czarno na białym zademonstrował przydatność technologii Marconiego. W kwietniu, kiedy na Goodwin Sands opadła gęsta mgła, osiemdziesięciodwumetrowy parowiec „R.F. Mathews”, o wyporności prawie dwóch tysięcy ton, przewożący węgiel z Newcastle, zderzył się z latarniowcem. Załoga uruchomiła nadajnik Marconiego i zawiadomiła o wypadku Trinity House i Lloyd's. Uszkodzenia obu statków były niewielkie. W wyniku kolizji nikt nie zginął.

* * *

Pomimo tego i innych sukcesów, na przykład depeszy wysłanych przez kanał La Manche, dla Marconiego rok 1899 okazał się bezproduktywny. Wynalazek nie przyniósł żadnych dochodów, a co więcej, nie było też na nie widoków. Na Trinity House wielkie wrażenie zrobiły eksperymenty przy Goodwin, ale nie zaproponowało Marconiemu kontraktu. Podobnie jak Lloyd's of London, choć jego przedstawiciele byli zadowoleni z wyników eksperymentu na wyspie Rathlin i prawdopodobnie utrzymaliby działanie systemu, gdyby nie William Preece, który, powołując się na telegraficzny monopol Poczty, zamknął stację, zastępując ją własnym systemem indukcyjnym. Tymczasem wokół Marconiego rósł nieprzenikniony mur sceptycyzmu. Podejrzliwie podchodzono do kierujących nim motywów i samej natury wykorzystywanego

przezeń zjawiska, obawiano się też potencjalnych niebezpieczeństw z nim związanych. Szerzyły się pogłoski, że za pomocą telegrafii bezprzewodowej można wysadzać w powietrze okręty wojenne.

U niektórych ludzi podejrzliwość zmieniła się w obsesyjny strach, jak tego dowodzi incydent, który zdarzył się na stacji zbudowanej przez Marconiego we Francji, dla celów łączności przez kanał La Manche. Stacja znajdowała się w Wimereux na wybrzeżu, w odległości pięćdziesięciu kilometrów od stacji South Foreland, wzniesionej na potrzeby eksperymentów z latarniowcem, a położonej na wybrzeżu angielskim.

Kiedy mijało się wieczorem pokój operatora, można było zobaczyć pulsujące niebieskie światło i usłyszeć głośnie trzaski wyładowań. Był to niespotykany i niepokojący widok, szczególnie podczas mglistych nocy, kiedy światło iskry wyglądało jak blada aureola. Surrealizmu dodawał mu jeszcze wystrój pokoju — tapeta, dywan i obrus, na którym stał aparat Marconiego, pokryte były wzorem w jaskrawe kwiaty.

Pewnej nocy, podczas sztormu, przy nadajniku w Wimereux czuwał inżynier o nazwisku W.W. Bradfield. Nagle drzwi do pomieszczenia otworzyły się z trzaskiem. W progu stanął jakiś mężczyzna, potargany przez wiatr i okazujący wyraźne wzburzenie. Za swój stan winił transmisje i wykrzykiwał, że muszą się skończyć. Całej scenie powagi przydawał rewolwer, który przybysz trzymał w dłoni.

Bradfield zareagował ze spokojem zegarmistrza. Zapewnił intruza, że rozumie jego problem i że nie jest on czymś niezwykłym. Zapewnił przybysza, że ten ma szczęście, ponieważ „przyszedł do jedyne go człowieka na świecie, który może go uleczyć”. Jeśli podda się „elektrycznemu szczepieniu”, do końca życia „stanie się odporny na fale elektromagnetyczne”.

Mężczyzna wyraził zgodę. Bradfield polecił mu, dla własnego bezpieczeństwa, pozbyć się z ciała wszelkich metalowych przedmiotów, w rodzaju monet, zegarka i, oczywiście, rewolweru.

Intruz usłuchał, a wówczas inżynier poraził go prądem, nie na tyle mocno, by go zabić, ale na tyle, by zapamiętał doświadczenie.

Mężczyzna wyszedł przekonany, że został uleczony.

* * *

Choć rywale Marconiego stykali się z tą samą niewzruszoną niechęcią świata do nowego wynalazku, nie ustawali w pracy. W Ameryce pojawiła się nowa postać, niejaki Reginald Fessenden, natomiast we Francji Eugene Ducretet, wynalazca, przyciągnął uwagę gazet, przesyłając depeşe z paryskiej wieży Eiffla do Panteonu położonego w Dzielnicy Łacińskiej. Tymczasem w Niemczech Slaby połączył siły ze swoimi rodakami, hrabią Georgiem von Arco i Karlem Ferdinandem Braunem, fizykami również eksperymentującymi z łącznością bezprzewodową. W samej Anglii Nevil Maskelyne, magik i właściciel Egyptian Hall, wywołał spore poruszenie, kiedy umieścił nadajnik własnego pomysłu w balonie i użył go do odpalenia materiałów wybuchowych na ziemi. Lodge natomiast, odsuwając chwilowo na bok swą niechęć do komercjalizacji nauki, zaczął się zachowywać jak człowiek, który zamierza założyć własny interes. Podobnie postępowali inni, choć ich osiągnięcia doczekały się tylko zdawkowych wzmianek w prasie elektrycznej. Nikt nie wątpił, że pojawi się jeszcze więcej konkurentów.

Wyścig, kto pierwszy zbuduje praktyczny system telegrafii bezprzewodowej — wyścig będący tak naprawdę pogonią za zasięgiem — trwał. Ktoś musiał go wygrać, a nieśmiałość nie była w nim zaletą. Dla Marconiego stało się jasne, że musi zorganizować pokaz większy i śmielszy niż wszystko, czego do tej pory próbował. Przez kilka miesięcy rozważał ideę, która pasowałaby jak ulał do powieści H.G.Wellsa, ale na pewno wywołałaby koszmary senne — o ile nie apopleksję — u członków rady nadzorczej Marconiego.

„Czy był pan jej kochankiem?”

W swoim czasie dokładny charakter stosunków pomiędzy Bruce'em Millerem a żoną Crippena stał się przedmiotem zainteresowania Scotland Yardu. W końcu doszło do oficjalnego przesłuchania, które przeprowadził Alfred A. Tobin, adwokat i członek nielicznej londyńskiej palestry elokwentnych i uczonych prawników, którzy prowadzili sądową część spraw cywilnych i kryminalnych. Czasami tacy adwokaci zatrudniani byli jako oskarżyciele i przydzielani do określonych spraw przez dyrektora oskarżeń publicznych. Innych spraw dostarczali im prawnicy nieposiadający prawa do występowania w sądzie. Przesłuchanie przeprowadzone przez Millera odbyło się w Old Bailey, Centralnym Sądzie Kryminalnym Londynu. Temat: listy do Belle Elmore.

Tobin:

— Pisał pan do niej jako jej kochanek?

Miller:

— Nie.

— Lubił ją pan?

— Tak.

— Czy kiedykolwiek powiedział jej pan, że ją kocha?

— Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek ująłem to w ten sposób.

— Czy w listach dawał jej pan do zrozumienia, że ją kocha?

— Sądzę, że ona zawsze tak to rozumiała.

— Czyli przyjmuję, że pan ją kochał?

— Nie to chciałem powiedzieć. Nie do końca ją kochałem. Myślałem o niej wiele, ale jako o przyjaciółce. Była zamezną kobietą i na tym sprawa się kończyła. To była platoniczna przyjaźń...

— Zna pan różnicę pomiędzy przyjaźnią a miłością?

— Tak.

— Czy był pan kimś więcej niż przyjacielem?

— Nie mogłem być nikim więcej niż przyjacielem. Była kobietą zamężną, a ja żonatym mężczyzną.

— Czy był pan dla niej kimś więcej niż przyjacielem?

— Nie mogłem być nikim więcej niż przyjacielem. Nie byłem.

Tu wtrącił się sędzia, jego lordowska wysokość przewodniczący trybunału Alverstone:

— Proszę odpowiedzieć tak lub nie.

— Nie. Nie byłem nikim więcej niż przyjacielem.

— Czy istniał pomiędzy wami niewłaściwy związek?

— Nie.

Znów Tobin:

— Czy pisał pan do niej listy miłosne?

— Napisałem do niej chyba kilka bardzo miłych listów.

— Wie pan co to jest list miłosny. Czy kiedykolwiek napisał pan do niej taki list?

— Nie pamiętam, czy kiedykolwiek ująłem to dokładnie w taki sposób. Często pisałem do niej bardzo przyjacielskie listy. Powiedziałbym, że były to czułe listy.

— Czyli pisał pan do niej czułe listy. Czy pisał pan do niej listy miłosne?

— Czułe listy.

— Kończące się: „Uściski i ucałowania dla Brązowych Oczu”?

— Tak.

— Czy uważa pan, że jest to właściwy sposób zwracania się do zamężnej kobiety?

— W tamtych okolicznościach tak...

— Czy zgadza się pan, że takie listy miały duże znaczenie, jeśli pisane były do zamężnej kobiety pod nieobecność jej męża?

— Nie sądzę, nie w tamtych okolicznościach.

— Czy był pan jej kochankiem?

— Nie.

— Czy odwiedził pan z nią jakiś budynek w Londynie z zamiarem nawiązania niestosownych relacji?

— Nie.

— Na Bloomsbury Street?

— Nie, nigdzie.

— Czy kiedykolwiek ją pan pocałował?

— Tak.

— Czy uczynił pan coś więcej?

— Nie, to było wszystko.

— Dlaczego na tym pan poprzestał?

— Ponieważ zawsze zachowywałem się wobec niej jak dżentelmen i nigdy nie posunąłem się dalej.

Jak widać, przesłuchanie nie zdołało wyjaśnić natury łączących ich stosunków.

Fleming

Jedną z pierwszych depešy przesłanych przez Marconiego przez kanał La Manche z Wimereux do South Foreland była krótka wiadomość, którą jeden z jego ludzi zaniósł zaraz do biura telegrafu Poczty, skąd przekazana została konwencjonalnym sposobem do Londynu. Poślaniec dostarczył ją adresatowi do University College w Bloomsbury, niedaleko British Museum. Adresatem tym był John Ambrose Fleming, profesor inżynierii elektrycznej. W dniu nadania telegramu, 28 marca 1899 roku, Fleming miał czterdzieści dziewięć lat, a jego sława i pozycja były równie wielkie, jak jego przyjaciela Olivera Lodge'a. Specjalizował się we wzmacnianiu i przesyłaniu prądu elektrycznego.

Telegram brzmiał po prostu:

*Z radością przesyłam pozdrowienia
przenoszone przez fale elektryczne przez eter
z Boulogne do South Foreland
45 kilometrów, a potem przez telegraf poczty.*

Marconi

Choć na pozór pozdrowienia były zupełnie neutralne, tak naprawdę stanowiły wstęp do kolejnych zalotów i to, jak miało się okazać, najwyższej próby.

Marconi zdawał sobie sprawę, że wobec braku kontraktów i przychodów oraz utrzymującego się sceptycyzmu, bardziej niż kiedykolwiek potrzebny jest mu szanowany i wiarygodny sprzymierzeniec. Na dodatek, zjednując sobie Fleminga, miał również nadzieję uzyskać bardziej namacalne korzyści. Jego nowa idea, wyczyn, który jak miał nadzieję, raz na zawsze zwróci na niego uwagę całego świata, wymagać będzie większej mocy i wiązać się będzie z większym ryzykiem, fizycznym i finansowym, niż wszystko, czego próbował do tej pory.

Wiedział, że jeśli chodzi o inżynierię dużych mocy, Fleming jest najwłaściwszym człowiekiem.

* * *

W przeciwieństwie do Lodge'a czy Kelvina, Fleming był podatny na pochlebstwa i bardzo potrzebował publicznej uwagi. Widać to wyraźnie na przykładzie telegramu Marconiego. Gdy tylko go otrzymał, dopilnował, by kopię dostał londyński „Times” — gazeta opublikowała go jako część artykułu o sukcesach Marconiego nad kanałem La Manche. Następnie Fleming złożył wizytę w stacji Marconiego w South Foreland. Zrobiła ona na nim wielkie wrażenie, tak wielkie, że napisał do „Timesa” długi list wychwalający młodego wynalazcę i jego technologię. Przyznawał w nim, że Marconi wywiódł telegrafię bezprzewodową „z obszaru niepewnych i delikatnych laboratoryjnych eksperymentów”. Teraz był to system praktyczny, odznaczający się „niezawodnością działania i łatwością obsługi”.

Dla Marconiego list Fleminga był dowodem na słusność obranej strategii, czyli zdobywania wiarygodności poprzez refrakcję. Podobnie sądził Oliver Lodge i uznał list za zdradę. Napisał do Fleminga: „Zwrócono mi uwagę na Pański list w »Timesie«, sugerując, że atakuje Pan mnie i innych naukowców, którzy są nieco zazdrośni o pamięć Hertza”. Nazwał list „oskarżeniem ludzi nauki” i zażądał wyjaśnień.

Fleming się zjeżył. „W moim liście do »Timesa« nie zaatakowałem ani Pana, ani żadnego człowieka nauki” — odpisał. — „Zwróciłem jedynie uwagę na pewne ważne osiągnięcia, które, moim zdaniem, powinny w interesie publicznym zostać dostrzeżone i opisane”. Napisał, że po prostu podniósł kwestię uznawaną już przez innych oraz „że nadszedł czas na nieco łaskawsze spojrzenie na pracę signora Marconiego jako wynalazcy. Jest to sprawa, na którą można mieć różne poglądy i jeśli Pan się z tym nie zgadza, ma Pan pełne prawo do własnej opinii”.

Wkrótce potem Marconi poprosił Fleminga, by został doradcą naukowym jego firmy. 2 maja 1899 roku Fleming napisał do Jamesona Davisa w celu ustalenia warunków i zdefiniowana „nieco dokładniej mojej pozycji i poglądów”.

Jeśli Jameson Davis poczuł zdenerwowanie na widok tego zdania, obawiając się powtórki z lorda Kelvina, wkrótce się uspokoił. Fleming napisał: „Mam silne przekonanie co do handlowej wartości wynalazków pana Marconiego prócz wagi, jaką mają dla nauki, pod warunkiem że zostaną odpowiednio zarządzane. Chciałbym ujrzeć, jak powstaje prawdziwy, solidny biznes”. W liście umieścił akapit, który jak pokazały późniejsze wydarzenia, był całkowitym zaprzeczeniem jego charakteru, a szczególnie głębokiej potrzeby uznania. Napisał mianowicie: „Wszystko, co w kwestii wynalazku uczyni doradca naukowy, czy to w formie sugestii czy rady, powinno stać się wyłączną własnością tych, którzy go zatrudniają, w zakresie, w jakim dotyczyć będzie ich własnych spraw. Zauważyłem, że wszelkie inne rozwiązania prędzej czy później prowadzą do sporów i zatargów”.

Wyraził zgodę na roczny kontrakt, odnawiany za zgodą obu stron, z wynagrodzeniem trzystu funtów rocznie. W owym czasie było ono hojne.

Wówczas Marconi wyjawiał mu naturę wielkiego eksperymentu, który zaczął zaprzętać jego myśli. Do jego przeprowadzenia konieczna będzie budowa dwóch gigantycznych stacji oraz wyprodukowanie większej ilości energii elektrycznej, niż dotąd próbował.

Choć największy zasięg, jaki na razie osiągnął, wynosił 32 mile, postanowił przesłać wiadomość przez całą szerokość Atlantyku.

Powstaje Stowarzyszenie Pań

Wyznanie Belle dotyczące jej upodobania do Bruce'a Millera miało ważne konsekwencje. Oświadczyła Crippenowi, że już jej na nim nie zależy, i zagroziła, że go opuści dla Millera. Choć nadal sypiali w jednym łóżku, nie okazywali sobie czułości. Zawarli natomiast układ. Nikt z zewnątrz nie miał się dowiedzieć o napięciu panującym w ich małżeństwie. „Uzgodniliśmy, że będziemy się traktować nawzajem, jakby nie wystąpiły żadne kłopoty” — powiedział Crippen.

Dawał jej pieniądze, jak zwykle „hojną ręką, za każdym razem, kiedy chciała. Jeśli prosiła mnie o pieniądze, zawsze je dostawała”. Belle kupowała futra, biżuterię i niezliczone ilości sukien. Pewnego razu mąż dał jej 35 funtów — 3800 dolarów wedle dzisiejszej wartości — na narzutkę z gronostajów. Publicznie zawsze zwracała się do niego per „kochanie”.

We wrześniu 1903 roku Crippen posunął się do otworzenia wspólnego rachunku „bieżącego” w Charing Cross Bank na Strand. Bank wymagał obu podpisów na czekach, ale nie żądał obecności obojga przy ich pieniężeniu. Mniej więcej trzy lata później Crippenowie otworzyli w tym samym banku wspólny rachunek oszczędnościowy i wpłacili na niego 250 funtów — 26 000 dolarów według dzisiejszej wartości.

Crippen płacił za wieczorne wyjścia Belle z przyjaciółmi, a czasami nawet jej towarzyszył, zawsze odgrywając rolę czułego i pobłażliwego męża. Płacił również za wieczorne wypadki Belle z Millerem.

Później Miller przyznał, że podczas niektórych wizyt w mieszkaniu Belle miał wrażenie, że Crippen jest w domu, w innym pokoju.

Pewnego wieczoru, kiedy przybył na Store Street, zastał stół nakryty na trzy osoby. Belle zwlekała z kolacją do „późnej pory”. Powiedziała: „Zaczynam się niepokoić. Oczekuję jeszcze kogoś”.

Trzecia osoba nie przybyła. Belle zwierzyła się Millerowi, że „często jest narażona na takie rozczarowania”.

Nigdy mu nie powiedziała, kto miał być tym trzecim, ale Miller przyjął, że doktor Crippen.

* * *

„Nigdy nie wtrącałem się w jej sprawy. Wychodziła i przychodziła, kiedy chciała, i robiła, co chciała. Nie interesowało mnie to” — powiedział później Crippen.

Nie był tu jednak zupełnie szczery. „Oczywiście, miałem nadzieję, że wreszcie zrezygnuje z tego pomysłu” — powiedział. Z tego pomysłu, czyli planu opuszczenia go dla Millera.

Belle odgrzała również swój drugi wielki pomysł — że zostanie gwiazdą variétés. Jej zapał rozpałił się teraz jeszcze większym płomieniem. Tym razem porzuciła jednak nadzieję zrobienia kariery w Londynie i postanowiła wyrobić sobie nazwisko na prowincji, w leżących na uboczu miasteczkach, w music-hallach przezywanych „podwójnymi wieczorami”, ponieważ co wieczór prezentowano tam dwa programy variétés. „Została zaangażowana w Town Hall w Teddington, gdzie miała śpiewać, a potem od czasu do czasu angażowano ją do różnych innych music-halli” — powiedział Crippen. Występowała jako aktorka komiczna w teatrze w Oksfordzie, gdzie na afiszu utrzymała się przez tydzień. Grała numery w Camberwell, Balham i w Northampton.

W końcu dostała się do Palace, tyle że nie w Londynie, a w Swansea. Na plakatach reklamujących przedstawienie nazywano ją panną B. Elmore, a jej numer włączono pomiędzy występy dwóch grup muzycznych, Piękności z Południa oraz Trio Zaćmienie.

„Wyjeżdżała na jakieś dwa tygodnie i wracała na sześć, ale zarabiała bardzo niewiele” — wspominał Crippen.

Zaczęła farbować włosy na złoty blond, choć w tych czasach uznawano to za oznakę wątpliwej moralności. „Prawie nie widywało się farbowanych włosów” — napisał W. Macqueen-Pope w swoim *Goodbye Piccadily*. — „Uważano, że jest to znak rozwiązłości, symbol prostytutki”. Wspomniał, że Marie Corelli w jednej ze swych książek napisała, że właścicielka hotelu na wsi miała farbowane włosy. Ta kobieta wygrała sprawę sądową — sąd przyznał jej odszkodowanie w wysokości ćwierć pensa. „Mogła dostać więcej, ale najbardziej liczyły się farbowane włosy” — napisał Macqueen-Pope.

Utrzymanie koloru wymagało od Belle masę pracy. „Kiedy rankiem miała rozpuszczone włosy, tuż przy skórze widać było prawdziwy kolor” — zauważyła jej przyjaciółka, Adeline Harrison. Co cztery czy pięć dni Belle stosowała rozjaśniające chemikalia, a czasami pomagał jej w tym Crippen. „Bardzo się starała, żeby nikt się nie domyślił, że naprawdę ma ciemne włosy” — powiedział. — „Przywiązywała wielką wagę do swoich włosów. Tylko przy samej skórze, tam gdzie zaczynały odrastać, widać było, że są ciemne”.

Pewnego razu podróże Belle zaprowadziły ją do szanowanego prowincjonalnego teatru Empire w Dudley, teatru, który miał przesuwany dach i gdzie pojawiła się na afiszu wraz z bardzo lubianym aktorem komediowym, George’em Formbym. Inny wykonawca, Clarkson Rose, poszedł tego wieczoru obejrzyć występ Formby’ego i zobaczył również numer Belle. „Nie była to wspaniała artystka, ale na swój sposób niezła — taki rozmemłany rumiany typ tragiko” — czyli tragikomiczny, mieszający komedię z dramatem.

Zważywszy, jak hałaśliwa była ówczesna publiczność i jak wiele dawano przedstawień, nigdy nie było się trudno zorientować, którzy wykonawcy cieszą się największą sympatią. Belle do nich nie należała. Jej śpiew nie był ani dość dobry, ani dość smutny, by oczarować publiczność, a jej występy komediowe przyjmowane były bez entuzjazmu przez ludzi przywykłych do talentu Formby’ego i Dana Leno, jednego z najpopularniejszych komików owych czasów. Poniosła porażkę nawet na biednym londyńskim

East Endzie, uważanym w profesji teatralnej za samo dno. Robert Machray w swoim opublikowanym w 1902 roku przewodniku po nocnych rozrywkach miasta, *The Night Side of London*, napisał: „Ponieść porażkę nawet w budzie na East Endzie musi być dla artysty czymś strasznym. Oznacza ulicę, głód i śmierć”.

Ale nie dla Belle. Ona miała Crippena i jego pieniądze. Miała również jeden talent: była towarzyska i potrafiła zdobywać sobie przyjaciół. Porzuciła występy, ale zdołała sobie wymościć przytulne gniazdko wśród ludzi związanych z teatrem. Za pieniądze Crippena nadal brała udział w nocnych eskapadach aktorów i pisarzy oraz ich kochanek i żon. Dla zachowania pozorów czasami przyprowadzała ze sobą Crippena. Oboje przestrzegali swojego układu i zachowywali pozory szczęśliwego małżeństwa. Uśmiechali się do siebie i opowiadali czarujące historie o swoim wspólnym życiu. Powiększone przez grube szkła okularów oczy Crippena połyskiwały prawdziwym ciepłem i zachwytem.

Jednak nie zawsze. Pewien fotograf uwiecznił go na oficjalnym przyjęciu. Na fotografii ubrany jest w strój wieczorowy: czarny smoking i czarne spodnie, muszkę i olśniewająco białą koszulę. W butonierce ma kwiat. Otaczają go ubrane na biało kobiety, zdaje się wręcz znikać w chmurze tafty, jedwabiu i koronek. Belle i dwie inne panie siedzą za jego plecami, na podwyższeniu. Dwie ładne młode kobiety zasiadają po obu jego stronach, tak blisko, że ich suknie opadają mu na kolana i uda, co oznacza, że ich ciała również musiały się stykać, choć oczywiście, oddzielały je liczne warstwy materii. Scena ma lekko erotyczny posmak. Ramię jednej z kobiet opiera się o ramię Crippena. Aparat uchwycił wyrazy twarzy wszystkich pięciu pań, choć w owych czasach przy robieniu zdjęcia nie wolno było się ruszać, a już w żadnym razie uśmiechać. Jedna z kobiet patrzy w przestrzeń, znudzona albo smutna, albo jedno i drugie. Druga uśmiecha się i odwraca wzrok. Belle, siedząca na podwyższeniu, za plecami męża, ma na twarzy bolesny wyraz kogoś, kto stara się zaprowadzić spokój w pokoju pełnym dzieci. Tylko Crippen patrzy w obiektyw. Jego oczy,

powiększone przez grube szkła, są zupełnie pozbawione wyrazu, jakby był porzuconą marionetką brzuchomówcy.

* * *

Belle zdołała się wślizgnąć do grupy utalentowanych artystów z variétés i ich małżonków. Należeli do tego kółka między innymi Marie Lloyd, Lil Hawthorne z zespołu Sióstr Hawthorne, Paul Martinetti, dobrze znany „pantonimista” i Eugene Stratton, śpiewak charakteryzujący się na Murzyna. Podczas jednego ze spotkań panie postanowiły założyć stowarzyszenie charytatywne mające pomagać artystom, którym się nie powiodło na scenie. W ten sposób powstało Stowarzyszenie Pań Artystek, grzeczniejsza, damska wersja założonego w 1889 roku Wielkiego Zakonu Szczurów Wodnych, który Seymour Hicks, aktor i pamiętnikarz, nazwał „najszlachetniejszym bractwem światowej sławy artystów z variétés”. Przewodniczącą Szczurów Wodnych nazywany był Królem Szczurów, natomiast przewodnicząca Stowarzyszenia Pań była po prostu przewodniczącą. Jako pierwsza piastowała tę funkcję Marie Lloyd, jej najślawniejsza członkini. Belle została skarbniczką.

To stanowisko dało jej takie uznanie, jakiego nigdy nie zdobyła na scenie. Współpracownicy lubili i ją, i jej niegasnącą pogodę ducha. Spotkania organizowano w każdą środę po południu, a Belle uczestniczyła we wszystkich. Rozkwitały bliskie przyjaźnie — dość bliskie, by przyjaciółki oglądały jej bliznę na brzuchu, a nawet jej dotykały. Belle była z niej bardzo dumna. Ta długa ciemna linia przydawała jej tajemniczości. Kiedy zobaczyła ją jej przyjaciółka i członkini Stowarzyszenia, Clara Martinetti, była przerażona. Nigdy wcześniej nie widziała blizny takich rozmiarów. „Och, Belle, czy ona cię boli?” — wykrzyknęła.

„Ależ nie — odparła Belle — wcale mnie nie boli”. A mówiąc to, złapała fałd skóry na brzuchu i wykręciła.

„Gigantyczny eksperyment”

Plan Marconiego był policzkiem dla wszystkich fizyków, którzy wierzyli, że fale elektromagnetyczne mają takie właściwości jak światło i poruszają się jak jego promienie, po linii prostej. A zatem, utrzymywali fizycy, ponieważ powierzchnia Ziemi jest zakrzywiona, nawet jeśli fale są w stanie pokonać odległość tysięcy kilometrów — czego, oczywiście, nie potrafią — uczynią to w linii prostej i uciekną w przestrzeń kosmiczną. Wysyłanie fal przez ocean było równie prawdopodobne jak nadanie sygnałów świetlnych z Londynu do Nowego Jorku. Powstawało zatem pytanie: po co sobie zawracać tym głowę? W czym telegrafia bez drutu mogłaby się okazać lepsza od telegrafii transoceanicznej, którą już uruchomiono za pomocą podmorskiego kabla? W 1898 roku na dnie morza spoczęło czternaście podwodnych kabli. Dwanaście, których używano na co dzień, przekazywało rocznie od 25 do 30 milionów słów, wykorzystując zaledwie połowę przepustowości. Transmisja była droga, ale szybka i wydajna.

Tymczasem Marconi proponował uruchomienie serwisu bezprzewodowego, który robiłby dokładnie to samo, ale za pomocą niesprawdzonej technologii, wbrew ustalonym prawom fizyki i ryzykując zniszczeniem własnej firmy. Koszt dwóch stacji, dość dużych i silnych, by zapewnić jego planom sukces, byłyby ogromny, a gdyby eksperyment okazał się porażką, rujnujący. Klęska zaś wydawała się dużo bardziej prawdopodobna niż sukces. Skala stacji, jakie wyobrażał sobie Marconi przewyższała wszystko, co wybudował do tej pory. To tak jakby stolarz, zbudowawszy swój pierwszy dom, rozpoczął pracę nad katedrą św. Pawła.

Jednak w oczach Marconiego największe niebezpieczeństwo nie polegało na podjęciu tej próby. Zdawał sobie sprawę, że z punktu

widzenia przedsiębiorczości jego firma znajduje się w zastoju. Zaskoczył świat, ale ten nie rzucił się składać zamówień na jego aparat. W opinii publicznej telegrafia bez drutu pozostała nowinką. Marconi zrozumiał, że musi dokonać czegoś wielkiego, wstrząsnąć światem i sprawić, by przynajmniej uznano potencjał i praktyczne zastosowania jego nowej technologii.

Nie przyszło mu do głowy, że jego plan może się okazać niemożliwy do zrealizowania. Widział go w swym umyśle. We własnym mniemaniu już dowiódł, że fizycy się mylą. Z każdym kolejnym eksperymentem zwiększał zasięg i jakość przekazu. A skoro mógł wysłać depeszę przez kanał La Manche, dlaczego nie mógłby zrobić tego samego przez Atlantyk? Jego zdaniem zagadnienie sprowadzało się jedynie do wysokości anteny i siły wyładowania, które wyśle w przestrzeń.

Uznał jednak, że dla osiągnięcia celu potrzebuje pomocy. Co innego nawinąć wystarczającą ilość drutu, by powstała cewka indukcyjna zdolna wysłać ładunek na odległość dziesięciu metrów, a co innego wywołać iskrę zdolną wysłać falę przez tysiące kilometrów. Do tego potrzebował Fleminga.

Początkowo Fleming był nastawiony sceptycznie, ale w sierpniu 1899 roku, rozważywszy problem, napisał do Marconiego: „Nie mam najmniejszych wątpliwości, że mogę natychmiast wznieść dwa maszty o wysokości 90 metrów. Jest tylko kwestią kosztów wzniesienie się tak wysoko, by nadać sygnał do Ameryki”.

Żeby lepiej oszacować, z czym się to będzie wiązać, jak również wykreować kolejne wydarzenie medialne — przesłać telegrafem bez drutu, na zlecenie „New York Herald”, relację z regat o Puchar Ameryki, organizowanych wówczas w okolicach Nowego Jorku — Marconi kupił bilety na swoją pierwszą podróż do Stanów Zjednoczonych. 11 września 1899 roku, w towarzystwie trzech asystentów, w tym W.W. Bradfielda, wyruszył do Nowego Jorku.

* * *

Po przybyciu na miejsce został otoczony przez dziennikarzy, których zaskoczyła jego młodość — „to niemal chłopiec” — zauważył „Herald” — choć co najmniej jednego obserwatora uderzył też jego cudzoziemski wygląd. „Kiedy zostaje się przedstawionym panu Marconiemu, nie sposób nie zauważyć, że to cudzoziemiec. Ma to wprost wypisane na czole. Ubrania ma angielskie. Z postaci przypomina Francuza. Nosi hiszpańskie buty. Włosy i wąsy jak Niemiec. Jego matka jest Irlandką. Jego ojciec Włochem. I w sumie nie ma wątpliwości, że Marconi to kosmopolita czystej wody”. W zamierzeniu ten opis wcale nie miał być komplementem.

Marconi i jego koledzy zamieszkali na Manhattanie, w hotelu Hoffman House na rogu Broadway i 24 Ulicy, naprzeciwko głębokiego trójkątnego wykopu, w którym już wkrótce miały zostać położone fundamenty pod Flatiron Building. Właśnie zaczęli się rozpakowywać, kiedy wybuchł kocioł parowy w suterenie hotelu. Przerażony gość hotelowy obwinił za to Marconiego i jego tajemnicze urządzenia. Aby rozwiać jego obawy, ludzie Marconiego otworzyli kufry i pokazali wyłączony aparat — i dopiero w owej chwili odkryli, że brakuje najważniejszego kufra. Bez kohererów, które się w nim znajdowały, Marconi musiałby odwołać relację z Pucharu Ameryki. Jego pewne siebie zapewnienia o sukcesie zwróciły uwagę prasy i tutaj, i za granicą, więc klęska, usprawiedliwiana marną wymówką zagubienia bagażu, zyskałaby przynajmniej taki sam rozgłos, a być może spowodowałaby nawet spadek kursu akcji jego firmy i zniszczyła wszelkie nadzieje na transatlantycki eksperyment.

Zwykle zachowanie Marconiego nacechowane było chłodem i spokojem. Jak zauważył „Herald”, „roztaczał wokół siebie dziwną, na wpół wyabstrahowaną atmosferę, charakterystyczną dla ludzi, którzy spędzają dni na studiach i naukowych eksperymentach”. Zdaniem „New York Tribune” był „nieco nieobecny duchem”. Ale teraz, odkrywszy brak najważniejszego kufra, wpadł w prawdziwą wściekłość. Niczym rozkapryszone dziecko oświadczył, że wraca do Londynu najbliższym statkiem.

Towarzysze zaczęli go uspokajać. Bradfield i drugi asystent pospieszyli dorożką z powrotem na nabrzeże, żeby poszukać kufra. Wrócili do hotelu z pustymi rękami, bez wątpienia obawiając się kolejnego wybuchu swego pryncypała.

Wówczas Bradfield przypomniał sobie, że w dniu, kiedy wyruszyli z Liverpoolu, do Ameryki miał wypłynąć jeszcze jeden liniowiec, którego portem docelowym był Boston. Być może kufer został omyłkowo zapakowany na niewłaściwy statek. Dziennikarz z „Heralda” ruszył pociągiem na północ, by to sprawdzić.

Odszukał kufer i relacja Marconiego z pojedynku jachtów, sławnego *Shamrock* sir Thomasa Liptona oraz jego amerykańskiego przeciwnika, *Columbii*, przykuła uwagę świata. *Columbia* wygrała, a „Herald” otrzymał tę wiadomość jako pierwszy, za pomocą telegrafu bez drutu.

* * *

Pomimo tego sukcesu 8 listopada 1899 roku, kiedy Marconi miał wracać do Anglii, nadal nie mógł się pochwalić żadnym kontraktem. Miał nadzieję, że jego klientem zostanie amerykańska Marynarka Wojenna i podczas pobytu w Ameryce przeprowadził dla niej kilka przybrzeżnych prób, ale Marynarka stanęła okoniem. W jej raportach z eksperymentów wymieniono masę hipotetycznych powodów, dla których należało ostrożnie traktować telegraf bez drutu, wśród nich również to, że „wstrząs wywołany przez cewkę nadawczą może być bardzo niebezpieczny dla osoby o słabym sercu”. Obserwatorów rozzłościła również odmowa ujawnienia sekretów bezprzewodowej technologii. Marconi pozwolił im obejrzeć tylko niektóre części aparatu. Inne, jak skarżył się jeden z obserwatorów, „nigdy nie zostały wymontowane, a ich działanie wyjaśniono nam w sposób ogólny. Nie zdradzono dokładnych wymiarów tych części”.

Marconi, bynajmniej nie zniechęcony, zaplanował kolejny eksperyment, który miał się odbyć podczas powrotnej podróży na pokładzie „St. Paul”, niezwykle luksusowego i szybkiego liniowca.

Armator statku, American Line, zgodził się na wyposażenie go w bezprzewodowy telegraf i wysoką antenę. Marconi planował rozpocząć transmisję do swoich stacji w hotelach Needles i Haven, kiedy liniowiec zbliży się do Anglii, i sprawdzić w ten sposób, z jakiej odległości od brzegu można przyjmować wiadomości.

Kiedy asystenci rozstawiali sprzęt na pokładzie, sam Marconi zademonstrował paradoks tkwiący w jego osobowości. Choć potrafił być ślepy na potrzeby innych, potrafił również podporządkować sobie ludzi, zarówno starszych, jak i młodszych od siebie, oraz jak szybko stało się ewidentne, roztaczać czar, który kobiety uważały za nieodparty. Pewna młoda dama, wspominając swe pierwsze spotkanie z Marconim, powiedziała: „Zapamiętałam jego dziwne, zręczne ręce i dość ponury wyraz jego twarzy, która potrafiła nagle rozbłysnąć w wieńcu uśmiechów”. Podobno posiadał również ironiczne poczucie humoru, czasami niezwykle cięte. Podczas jednego z eksperymentów, rozżłoszczony miernymi umiejętnościami operatora, zapytał przez telegraf, czy nie stać go na więcej. Kiedy operator odpowiedział, że nie, Marconi wypalił: „No to spróbuj zmienić nogę”.

„St. Paul” mu odpowiadał. Dorastał wśród luksusu, przeprowadzał swoje pierwsze doświadczenia wśród luksusu, a teraz, bogaty i sławny, podróżował w warunkach wręcz przerastających luksus, gdyż projektanci wielkich statków kursujących przez Atlantyk próbowali w kabinach pierwszej klasy i salonach odtworzyć przepyszne wnętrza angielskich wiejskich rezydencji i włoskich *palazzi*. Marconi przestawał z najbogatszymi i najbardziej wpływowymi pasażerami statku, między innymi z Henrym Herbertem McClure, znanym dziennikarzem. Skupiał na sobie powszechną uwagę i był przedmiotem pełnej podziwu, choć dyskretnej obserwacji ze strony pań z pierwszej klasy. A ponieważ był koneserem piękna, również poświęcał im wiele uwagi.

Kiedy „St. Paul” zbliżył się do Anglii, zasiadł wraz z asystentami do telegrafu umieszczonego w kabinie pierwszej klasy i zaczął raz

po raz wywoływać nadbrzeżne stacje. Na zmianę nadawali również w nocy. Nie było odpowiedzi, zresztą nikt się jej nie spodziewał na tym etapie podróży. W idealnych warunkach system miał zasięg mniej więcej osiemdziesięciu kilometrów.

We wtorek, 14 listopada 1899 roku, nowy dyrektor operacyjny firmy Marconiego, major Samuel Flood Page, przybył do stacji w Needles na wyspie Wight, by obserwować eksperyment. Jameson Davis, który kilka miesięcy wcześniej zgodnie z umową zrezygnował ze stanowiska, przybył również.

Obliczyli, że „St. Paul” minie wyspę o dziesiątej lub jedenastej rano następnego dnia, w środę. Na wszelki wypadek wyznaczili operatora, który miał czuwać w pokoju telegrafu we wtorkową noc. O przyjęciu sygnału miał powiadomić dzwonek podłączony do odbiornika. Ale dzwonek milczał.

Flood Page wrócił do pokoju telegrafu o świcie, kiedy słońce zaczęło oświetlać Needles, kredowy grzbiet i tkwiące w morzu krzemienne skały, od których wziął nazwę hotel. „Needles przypominały kolumny z soli, kiedy jedną po drugiej oświetlał je wschód słońca” — zanotował Flood Page. Ludzie Marconiego wyglądali statku w przybrzeżnej mgle. „Po śniadaniu, kiedy spacerowaliśmy po trawniku, słońce było wspaniałe, ale na morzu poranna mgiełka zmieniła się w mgłę. Nie można było odczytać żadnych sygnałów” — to znaczy sygnałów optycznych — „ze statku przepływającego obok miejsca, gdzie się znajdowaliśmy”.

Nie widać było żadnego znaku „St. Paul”. Godzina wlokła się za godziną. Flood Page twierdził, że „myśl o porażce nie powstała nawet w naszych umysłach”, choć wydaje się to mało prawdopodobne. Minęła kolejna godzina. Potem jeszcze kolejna.

Nagle o 16.45 zadzwonił dzwonek.

Operator z Needles nadał: „St. Paul, czy to wy?”.

Chwilę później odpowiedź: „Tak”.

„Gdzie jesteście?”

„Sześćdziesiąt sześć mil morskich od was”.

To był nowy rekord. W Needles i na pokładzie statku zapanowała radość, ale wkrótce ludziom po obu stronach zaczęło brakować inwencji. Poproszeni o świeże wieści, operatorzy z wyspy Wight przesłali najnowsze wiadomości o wojnie burskiej, która w połowie października wybuchła w południowej Afryce i nabierała coraz większego rozpędu. Wysłali również inne wiadomości.

Ktoś — nie jest jasne kto — zaproponował, by opublikować te wieści w formie gazetki pokładowej, pierwszej na świecie. Kapitan pozwolił Marconiemu skorzystać z okrętowej prasy drukarskiej, której na co dzień używano do bardziej prozaicznego celu, a mianowicie do drukowania menu. W rezultacie powstał „Transatlantic Times” rocznik pierwszy, numer pierwszy, pamiątka, którą pasażerowie mogli zakupić, przekazując dolara na Fundusz Marynarski. „Jak wiadomo” — głosiło pierwsze zdanie gazety — „po raz pierwszy przedsięwzięto coś takiego. Oto wydana na morzu gazeta, wydrukowana na statku, który płynie z prędkością dwudziestu węzłów, wykorzystująca wiadomości otrzymane za pomocą Telegrafu Bez Drutu!”.

Każdy uważny czytelnik rozpoznał w stopce redakcyjnej nazwiska wielu pasażerów, w tym asystenta Marconiego, Bradfielda, występującego w roli redaktora naczelnego, i H.H. McClure’a, redaktora wydania. Ale znalazło się tam jeszcze jedno nazwisko, tym razem nieznanie: J.B. Holman, skarbnik.

Albowiem podczas rejsu nastąpiło jeszcze jedno wydarzenie doniosłej wagi, tym razem jednak bardziej prywatnej natury.

* * *

Josephine Bowen Holman była młodą panną z Indianapolis, pochodzącą z bogatej rodziny. Choć mieszkała teraz z matką w Nowym Jorku, jej korzenie sięgały Woodruff Place, enklawy zamieszkaney przez mniej więcej pięćset bogatych osób, tworzącej w Indianapolis odrębną wioskę, na zalesionym terenie niegdyś znanym miejscowym jako Dark Woods.

Josephine miała gęste ciemne włosy, upięte na czubku głowy niczym duży czarny turban, pełne wargi, wielkie oczy oraz brwi, które przecinały czoło jak skrzydła mewy, ocieniając szczere i otwarte spojrzenie. Marconiego, obecnie dwudziestopięcioletniego, zawsze pociągała kobieca uroda. A teraz zaczęła go pociągać Josephine.

Jadali razem i tańczyli i pomimo ziąbu panującego na Atlantyku w połowie listopada odbywali długie spacerunki po pokładzie pierwszej klasy. Marconi nauczył ją alfabetu Morse'a. Poprosił ją również o rękę, a ona powiedziała „tak”. Utrzymywali zaręczyny w tajemnicy. Gdy na ostatnie dwa dni podróży zniknął w kabinie telegrafu, nie martwiła się tym, choć być może powinna.

Kiedy podróż dobiegła końca, panna Holman, chcąc ukryć swe zaręczyny przed matką, pisała fragmenty listów alfabetem Morse'a.

* * *

Upojony miłością i sukcesem w Needles Marconi zaczął się przygotowywać do ujawnienia radzie nadzorczej firmy swojego pomysłu. Musiał uzyskać jej zgodę na wybudowanie dwóch gigantycznych stacji. Latem był gotów.

Rada nadzorcza stanęła dęba. Jej członkowie uważali, że jest to przedsięwzięcie zbyt ryzykowne i kosztowne, zresztą wątpili, by dało się zbudować aparat zdolny wygenerować i wysłać konieczną moc — a nawet jeśli, to czy taka stacja nie spowodowałaby zakłóceń w pracy wszystkich innych już działających?

Marconi argumentował, że sukces w tym przedsięwzięciu raz na zawsze zapewni firmie dominującą pozycję. Jego pewność siebie zrobiła odpowiednie wrażenie, podobnie jak wieści z Ameryki, że Nikola Tesla szykuje się do podobnego wyczynu. W czytanej powszechnie artykule, który ukazał się w wydaniu „The Century Magazine” z czerwca 1900 roku, Tesla zrobił aluzję do swoich doświadczeń laboratoryjnych w Colorado Springs w stanie Colorado, dzięki którym, jak twierdził, mógł wygenerować miliony woltów elektryczności, wartość równą błyskawicy. Napisał, że

podczas eksperymentów znalazł dowód — „całkowitą pewność”, jak to ujął — że „łączność bez drutu z dowolnym punktem na Ziemi jest rzeczą osiągalną”.

Pod wpływem tego artykułu J.P. Morgan zaprosił do siebie Tesłę, a ten wyjawiał mu swój pomysł stworzenia „światowego systemu” łączności bezprzewodowej, który byłby w stanie przesyłać o wiele więcej niż wiadomości alfabetem Morse’a. „Będziemy mogli łączyć się ze sobą natychmiast, bez względu na odległość” — napisał Tesla w artykule dla „Century”. — „I nie tylko. Poprzez telewizję i telefon będziemy się widzieć i słyszeć tak doskonale, jakbyśmy rozmawiali twarzą w twarz”.

To słowo: „telewizja”. W 1900 roku!

W lipcu rada nadzorcza Marconiego przegłosowała swoją zgodę.

W tym samym miesiącu uczyniono jeszcze jeden ważny krok. 4 lipca brytyjska Admiralicja zawarła kontrakt z firmą Marconiego na dostawę i instalację bezprzewodowych telegrafów na dwudziestu sześciu okrętach i wyposażenie sześciu stacji nabrzeżnych, za cenę 3200 funtów za punkt instalacyjny — według dzisiejszej wartości 350 000 dolarów — plus coroczna prowizja. Firma miała przeszkolić marynarzy w obsłudze aparatu. Było to pierwsze wielkie zamówienie Marconiego, które dodatkowo przekonało i jego, i radę nadzorczą, że potrzebna jest gruntowna zmiana sposobu działania firmy.

Choć kontrakt był ważny, ponieważ miał dostarczyć firmie pierwszych wpływów akurat u progu największego przedsięwzięcia, na jakie zamierzał się porwać Marconi, stanowił również zagrożenie. Istniało niebezpieczeństwo, że Królewska Marynarka wykorzysta urządzenia Marconiego do stworzenia własnego systemu. Zgodnie z brytyjskim prawem wolno jej było to uczynić, gdyż rząd mógł wykorzystywać wszelkie technologie, opatentowane lub nie, w interesie obrony imperium.

Kontrakt zmusił Marconiego do ponownego przemyślenia strategii firmy w kwestii zdobywania przychodów. W chwili obecnej monopol Poczty uniemożliwiał pobieranie opłat za prywatne telegramy wysyłane bezprzewodowo, jak również

automatyczne przekazywanie telegramów z sieci konwencjonalnej do bezprzewodowych stacji. Z tego powodu jedynymi potencjalnymi klientami były organizacje rządowe, z których jak można się było spodziewać, tylko nieliczne dostrzegały potrzebę posiadania telegrafu bez drutu.

Luka w brytyjskim prawie telegraficznym dawała możliwość obrania innego kursu. Zamiast sprzedawać urządzenia, Marconi mógł dostarczać klientom usługi bezprzewodowe, co — jeśli rzecz zostanie odpowiednio sformułowana w umowie — pozwoli na obejście monopolu poczty. Na przykład linia żeglugowa mogłaby płacić nie za konkretne telegramy, ale za wynajem aparatu i operatorów, którzy otrzymywaliby wynagrodzenie od firmy Marconiego i kontaktowali się tylko z jego stacjami. Marconi z powodzeniem dowodził, że prawo dopuszcza takie umowy, ponieważ wszystkie wiadomości przesyłane byłyby wewnątrz firmy, z jednego węzła na drugi.

Taka zmiana strategii odpowiadała charakterowi Marconiego. Już w czasach doświadczeń na poddaszu Villa Griffone zamartwiał się o konkurencję. Nowe podejście było w jego oczach sposobem na wzniesienie twierdzy przeciw konkurencji. Wymagało, by statki korzystające z jego usług komunikowały się jedynie z innymi tak wyposażonymi jednostkami, chyba że nastąpi sytuacja alarmowa, a to oznaczało, że jeśli linia żeglugowa wynajmie jego aparat dla jednego liniowca, będzie musiała wynająć je też dla reszty swej floty, jeśli będzie chciała zapewnić sobie łączność. W teorii było to również korzystne dla armatorów, gdyż nie musieliby płacić za budowanie i utrzymanie własnej sieci stacji nabrzeżnych. A jeśli wszystkie jednostki zostaną wyposażone w aparat Marconiego, linia żeglugowa raczej nie przejdzie do konkurencji.

W założeniach nowa strategia wyglądała obiecująco, ale powstawało pytanie, czy ta zmiana zdoła rozproszyć ciągle utrzymującą się nieufność wobec telegrafii bez drutu? Czy znajdą się klienci?

W tej sytuacji dla Marconiego stało się koniecznością dokonanie jakiegoś wielkiego wyczynu, który zapewniłby mu dominującą

pozycję na rynku i rozreklamował możliwości jego technologii. Jeśli transatlantycki eksperyment się powiedzie, osiągnięte zostaną oba cele, jak również cel trzeci, bardziej konkretny: dowód na to, że telegraf bez drutu może obsługiwać nie tylko statki płynące przy brzegu, ale również te znajdujące się na pełnym morzu.

Jeśli się powiedzie. Firma podejmowała ogromne ryzyko, opierając się wyłącznie na wewnętrznym przekonaniu Marconiego, na szali zaś kładła swoją przyszłość i reputację. A przecież niemal wszyscy szanowani fizycy twierdzili, że powodzenie takiego eksperymentu nie jest możliwe.

* * *

Pod koniec tego lata Marconi, Flood Page i niedawno zatrudniony inżynier, Richard Vyvyan, wyruszyli do Kornwalii szukać odpowiedniego miejsca na stację, która miałaby służyć jako angielski węzeł łączności podczas transatlantyckiego eksperymentu. Wędrując zamglonym wybrzeżem ścieżkami, które prowadziły przez porośnięte wrzosem, kolcolistem i polnymi kwiatami pagórki, znaleźli się na szczycie Angrouse Cliff, niedaleko wioski Poldhu i znajdującego się w niej dużego i wygodnego hotelu o tej samej nazwie. Marconiemu nie przeszkadzało odludzie, pod warunkiem że miał pod ręką pewne zaopatrzenie w żywność i wino.

Wkrótce potem, w październiku, rozpoczęły się tu pierwsze prace budowlane, nadzorowane przez Vyvyana. Marconi projektował antenę, a Fleming pracował nad sposobem wytworzenia iskry dość silnej, by wywołać fale zdolne przeskoczyć Atlantyk, i to w sposób bezpieczny, gdyż przy takim napięciu nadawanie wiadomości mogło się łatwo zmienić w śmiertelne niebezpieczeństwo. Żaden zwykły klucz telegraficzny nie nadawał się do takich mocy. Musiała go zastąpić dźwignia wymagająca przy obsłudze i siły, i odwagi, szczególnie podczas wysyłania kresek, kiedy trzeba było wytworzyć dłuższy impuls, co zwiększało

niebezpieczeństwo, że iskra, czy raczej wyładowanie łukowe, wyrwie się spod kontroli.

Ogromna moc stacji ponownie wzbudziła obawy rady nadzorczej, że sygnał zakłóci transmisję z innych, mniejszych nadajników. Marconi opracował już system rozdzielania częstotliwości, na który uzyskał brytyjski patent numer 7777, często nazywany „czterema siódemkami”. Jednak technologia była zawodna, jak dobrze o tym wiedzieli i Marconi, i Fleming. Niepokoił się tym na tyle, że Marconi polecił George’owi Kempowi zbudowanie drugiej, dużo mniejszej stacji w odległości dziesięciu kilometrów od Poldhu na skrawku wybrzeża znanym jako Lizard, czyli Jaszczurka, za pomocą której chciał sprawdzić poziom zakłóceń, jak również przygotować sobie odbiornik próbnych wiadomości, kiedy nowa stacja rozpocznie nadawanie. Kemp nadzorował budowę anteny złożonej z trzech połączonych ze sobą i zabezpieczonych przed wiatrem masztów, wznoszących się na wysokość czterdziestu dziewięciu metrów.

Żaden czytelnik „Timesa” nie domyśliłby się jednak, że podobne troski dręczą Fleminga, czytając jego ostatni list do redakcji, opublikowany 4 października 1900 roku. Wychwalał w nim ostatnią serię eksperymentów, które jego zdaniem dowodziły, że Marconi potrafi unikać zakłóceń transmisji. Co interesujące, Fleming nie wspomniał w tym liście, że jest doradcą naukowym Marconiego. Opisał za to, jak operatorzy wysyłali równocześnie depeche i jak zostały one przyjęte przez dwie anteny „bez opóźnień i pomyłek”.

„Ale później nastąpiły większe cuda” — napisał, a w tym punkcie Oliver Lodge, czytający jak zawsze „Timesa” przy śniadaniu, zapewne wypluł na podłogę swoją poranną kawę.

Fleming donosił mianowicie, że operatorzy wysłali równocześnie kolejne dwie wiadomości, tym razem jedną po angielsku, a drugą po francusku. Obie zostały przyjęte przez jedną antenę. Autor listu rozplątywał się z zachwytem. „Jeśli uświadomić sobie, że te wszystkie kropki i kreski to fale elektryczne poruszające się z prędkością światła na odległość pięćdziesięciu kilometrów, schwytane przez

ten sam krótki drut anteny, a następnie posortowane automatycznie przez dwie maszyny na czytelne wiadomości nadane w różnych językach, umysł jest wręcz porażony cudownością tego wszystkiego”.

Uważni czytelnicy zapewne jednak dostrzegli, że nie jest to obiektywne sprawozdanie z eksperymentu, a jego wiarygodność wynika tylko z faktu, że autorem relacji jest wielki Ambrose Fleming. Prawdę mówiąc, Fleming po raz kolejny żądał od opinii publicznej, by mu zaufała.

Ten list — wybudzała pochwały, brak wzmianki, że Fleming jest opłacanym pracownikiem firmy — miał się okazać kosztowny. Jednak nie od razu. Teraz tylko pobudził ciekawość i zawodowy sceptycyzm Nevila Maskelyna, magika.

* * *

Marconi kursował pomiędzy hotelem Poldhu a hotelem Haven w Poole, choć większość czasu spędzał w tym drugim. Z Poldhu do Poole nie było bezpośredniego połączenia kolejowego, więc musiał najpierw jechać do Londynu, skąd łapał pociąg jadący na południe. W ten sposób zyskiwał czas na myślenie, brakowało mu go natomiast dla jego amerykańskiej piękności, Josephine Holman.

Zaręczyny nadal utrzymywane były w tajemnicy, a ponieważ Marconiego prawie cały czas pochłaniała praca, panna Holman musiała chwilami się zastanawiać, czy miały miejsce naprawdę, czy też stanowią wytwór jej wyobraźni.

Pisali do siebie listy i wysyłali telegramy. Marconi wiedział, że wieść o zaręczynach zmartwi jego matkę, ale najwyraźniej nie rozumiał, że im dłużej będzie je utrzymywał w tajemnicy, tym boleśniej poczuje się zraniona, że nie podzielił się z nią tak ważną nowiną. Anne Jameson była jego pierwszym i najwierniejszym sprzymierzeńcem. Uważała się za jego obrończynię nawet w najdrobniejszych sprawach. Chociaż miał już dwadzieścia sześć lat, był bogaty i sławny na całym świecie, traktowała go nadal jak chłopca zamykającego się w swym laboratorium na poddaszu. Często zatrzymywała się w hotelu Haven. W jednym z listów, które

do niego stamtąd wysłała, napisała: „Kiedy wyjechałeś dziś rano, zauważyłam, że nie zabrałeś ze sobą pledu [...] Wysłałam ci go dzisiaj o trzeciej i mam nadzieję, że do jutra go dostaniesz”. Nalegała, żeby sypiał pod „wieloma prześcieradłami”. „Uporządkowałam w miarę możliwości rzeczy w twoim pokoju, a klucz do szafy włożyłam do szufladki na toaletce, choć nie ma większego sensu zamykać szafy na klucz, skoro wszystkie klucze do szaf są takie same”.

Później, z Bolonii, napisała: „Zastanawiam się, czy jak robi się cieplej, nie będziesz potrzebował w hotelu Haven cieńszych spodni. Pani Woodward ma klucze do twoich kufrów. Spodnie są w tym z dwoma komorami. W pierwszej są letnie piżamy, a letnie kamizelki na samym dnie. Letni garnitur, marynarka, kamizelka i spodnie w szafie (od strony okna)”.

Tymczasem w Londynie Ambrose Fleming zaczął sobie uświadamiać, że zabrał się za coś dużo bardziej czasochłonnego i absorbującego, niż się spodziewał, przyjmując posadę. W liście do Flooda Page'a skarżył się, że firma „żąda ogromnej ilości mojego czasu” i jako przykład wymienił długi list od inżyniera Richarda Vyvyana, „na który odpowiadanie zajmie mi kilka godzin”. Zapłata, skarżył się, „w żadnym razie nie jest adekwatna”.

„Zamierzam wykonywać tę pracę za wynagrodzenie proporcjonalne do odpowiedzialności. Zaangażowaliście się w Kornwalii w gigantyczny eksperyment, który jeśli okaże się sukcesem, zrewolucjonizuje telegrafię przez ocean” — pisał.

Jeśli ma dalej dla nich pracować, jego wynagrodzenie musi wzrosnąć do 500 funtów rocznie — wedle dzisiejszej wartości ponad 50 000 dolarów. Ponadto chciał otrzymać przyrzeczenie dodatkowej nagrody, „jeśli moja praca i wynalazki pomogą w uzyskaniu łączności przez Atlantyk”.

Tydzień później, 1 grudnia 1900 roku, Flood Page odpisał, że rada nadzorcza wyraziła zgodę na podwyżkę. Dodał jednak, że rada prosi o potwierdzenie, że Fleming zrozumiał kluczowy punkt umowy.

„Chcę przez to powiedzieć” — pisał Flood Page — „że choć rada w pełni docenia wielką pomoc, jakiej udziela Pan panu Marconiemu w kwestii stacji w Kornwalii, jest zdania, że jeśli nawiązana zostanie łączność przez Atlantyck, główna zasługa przypadnie, tak jak powinna, panu Marconiemu. Jeśli chodzi o uznanie Pańskich zasług, jeśli połączymy się przez Atlantyck, nie sądzę, żeby miał Pan powody do żalu, jeśli pozostawi Pan sprawę w rękach rady”.

Czy Fleming naprawdę zrozumiał tę kwestię — czy uświadamiał sobie, do czego może się posunąć jego pracodawca i firma, żeby oddać całą zasługę wyłącznie Marconiemu — jest raczej wątpliwe. Wywodził się przecież spośród brytyjskich akademików, a wychował w brytyjskim poczuciu fair play. W liście, w którym przyjmował warunki, wysłanym do Flooda Page’a dwa dni później, napisał: „Jeśli chodzi o specjalne uznanie moich usług prowadzących do uzyskania połączenia przez Atlantyck, z całym zaufaniem pozostawiam to do rozważenia, kiedy nadejdzie właściwy czas, pewien, że spotkam się z odpowiednią hojnością”.

Jakby chcąc zasygnalizować swą przyszłą postawę, firma zmieniła nazwę z Wireless Telegraph and Signal Co. (Telegraf i Sygnał Bez Drutu) na Marconi’s Wireless Telegraph Co. (Telegraf Bez Drutu Marconiego), choć informację o tym podała do publicznej wiadomości dopiero w lutym.

* * *

Szybkość była sprawą kluczową. Wychodzący co tydzień „The Electrician” przynosił wciąż nowe niepokojące wieści o powstającej konkurencji. Eksperymenty z telegrafią bez drutu przeprowadzano na całym świecie, a w Brytanii dokonywano niepokojących ulepszeń.

Królewska Marynarka zainstalowała trzydzieści jeden z trzydziestu dwóch dostarczonych jej aparatów, ale ostatni wysłała do firmy produkującej urządzenia elektryczne, gdzie inżynierowie, bez autoryzacji ze strony Marconiego, zbudowali dla niej pięćdziesiąt duplikatów.

W grudniu Nevil Maskelyne przeprowadził u ujścia Tamizy testy własnego aparatu. Zasięg nie był wielki — zaledwie kilka kilometrów — ale klient, który zamówił testy, był naprawdę poważny. Pułkownik Henry Montague Hozier, sekretarz Lloyd's of London, piastował to stanowisko od 1874 roku. To on w 1898 roku zaprosił Marconiego do przeprowadzenia eksperymentów na wyspie Rathlin, które choć zakończyły się sukcesem, nie spowodowały jednak zawarcia kontraktu z Lloydem. Obecnie Hozier wraz z Maskelyne'em założył niezależny syndykat, który miał rozwijać i reklamować technologię tego ostatniego.

No i był jeszcze Lodge: nadal eksperymentował z telegrafią bez drutu i prowadził rozmowy ze swoim przyjacielem, konstruktorem Muirheadem, na temat możliwości założenia nowej firmy, która zajęłaby się wprowadzaniem systemu na rynek. Na szczęście jednak dla Marconiego uwaga Lodge'a znowu uległa rozproszeniu. W 1900 roku został wyznaczony rektorem uniwersytetu w Birmingham.

Przyjął posadę dopiero po otrzymaniu zapewnienia, że będzie mu wolno nadal prowadzić badania zjawisk paranormalnych.

Koniec świata

Crippen uwikłał się w towarzyską sieć Stowarzyszenia Pań. Chodził na przyjęcia wydawane przez artystów z music-halli, odwiedzał ich kluby, a kiedy Belle uważała za konieczne mieć towarzysza, brał udział w kolacjach wydawanych przez członkinie Stowarzyszenia i ich mężów.

Pewnego dnia Seymour Hicks, aktor i pamiętnikarz, spotkał Crippena po południu w londyńskim Vaudeville Club. Znajomy Hicksa przedstawił ich sobie. Spędzili razem pół godziny przy koktajlach. Hicks wiedział co nieco o Crippenie i o jego małżeństwie z Belle. Trudno je było pojąć osobie postronnej — taka duża i solidna kobieta, emanująca energią z każdego pora skóry, związała się z tak łagodnym i usuwającym się w cień mężczyzną jak Crippen.

„Najbardziej charakterystyczną cechą były u niego oczy” — napisał Hicks. — „Mocno wyłupiaste, jakby skutkiem jakiegoś schorzenia. Na dodatek, ponieważ miał słaby wzrok, a oczy mu łzawiły, musiał nosić okulary ze szklami zdecydowanie grubszymi niż normalne. Tak powiększały mu źrenice, że miałem wrażenie, iż rozmawiam z leszczem, barweną albo inną wielkooką, inteligentną rybą głębinową. Mówił z lekkim amerykańskim akcentem”.

Podczas tego spotkania znajomy Hicksa skarżył się na ból zęba, a Crippen bez wahania dał mu jeden z leków Munyona, „zapewniając, że natychmiast przyniesie ulgę w silnym bólu”.

„Bez wątpienia z upływem lat życie domowe tego małego handlarza patentowymi specyfikami stawało się coraz mniej spokojne” — pisał Hicks. — „A na to nawet sam doktor Munyon nie potrafiłby przygotować lekarstwa”.

Hicks współczuł Crippenowi. Pisał swoje wspomnienia z perspektywy mrocznego roku 1939 i wiedział doskonale, co

wydarzyło się później. „Był ogromnie nieszczęśliwy i uważam, że nie byłby człowiekiem, gdyby nie poszukał sobie pociechy gdzie indziej” — napisał.

* * *

Wyścig z konkurencją — Teslą, Lodge’em, Slabym, a teraz również Maskelyne’em — był tak intensywny, że Marconi i jego ludzie niemal nie zwrócili uwagi na to, że mija właśnie dziewiętnasty wiek, wiek królowej Wiktorii. Gdzieś na świecie, z dala od smaganych wiatrem urwisk Kornwalii i przytulnych kominków w hotelach Poldhu i Haven, zaczęły się zbierać pierwsze cienie długiego, melancholijnego zmierzchu.

W 1898 roku, podżegany przez admirała Alfreda von Tirpitz’a i rozpowszechnioną wśród Niemców wrogość wobec Anglii, Reichstag uchwalił Pierwszą Ustawę o Flocie, która nakazywała budowę siedmiu nowych pancerników. Dwa lata później, w czerwcu 1900 roku, ku wielkiemu zaniepokojeniu brytyjskiej Admiralicji, Reichstag posunął się dalej i uchwalił Drugą Ustawę o Flocie. Podwajała ona liczbę budowanych pancerników i dała początek wypadkom, które w ciągu kolejnych czternastu lat spowodować miały wybuch światowej wojny.

Panowała powszechna zgoda co do tego, że jakaś wojna w Europie jest nieunikniona, choć nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy wybuchnie i pomiędzy którymi krajami. Zgadzano się również, że postępy tak w sile broni, jak i okrętów sprawią, że będzie to wojna krótka. Rzeź okaże się zbyt wielka, zbyt szybka, zbyt nagła, by ścierające się strony mogły ją długo wytrzymać. Nie zgadzał się z tym poglądem tylko jeden głos. W 1900 roku Ivan S. Bloch napisał: „Początkowo rozpęta się rzeź — wielka rzeź na tak okropną skalę, że niemożliwe stanie się zmuszenie oddziałów, by ruszyły do decydującej rozgrywki”. Na początku wojny armie będą próbowały walczyć według starych zasad, ale szybko odkryją, że nie da się ich już stosować. „Wojna, zamiast zostać stoczona bezpośrednio, w starciu mierzącym siłę fizyczną i moralną przeciwników, utknie w martwym punkcie. Żadna ze stron nie

będzie w stanie dotrzeć do drugiej, obie armie staną naprzeciw siebie na stałych pozycjach, grożąc sobie nawzajem, ale niezdolne do przeprowadzenia ostatecznego, decydującego ataku”.

Okopią się zatem i będą utrzymywać pozycję. „To będzie wielka wojna okopów. Saperka stanie się dla żołnierza równie cenna jak karabin”.

W styczniu 1901 roku na kraj spadło coś gorszego niż strach przed wojną. Dwadzieścia trzy dni od rozpoczęcia nowego wieku zmarła królowa Wiktoria. Brytania dosłownie pogrążyła się w cieniu, gdyż niemal wszyscy w kraju przywdziali żałobę, a na brzegach wszystkich stron „Timesa” pojawiły się grube czarne obwódki. W powietrzu zawisło uczucie lęku. Henry James napisał: „Jestem w żałobie po matczynej, starej królowej klasy średniej, która trzymała naród ciepło i bezpiecznie pod fałdami swego ogromnego, obrzydliwego szala w szkocką kratę i której panowanie było tak niesłychanie wygodne i dobroczynne. Odczułem jej śmierć dużo bardziej, niż oczekiwałem. Była symbolem trwałości — a teraz wypływamy na wzburzone wody”.

Królem miał zostać jej syn Edward, książę Walii. James nazwał go „Edwardem Pieszczochem” i obawiał się, że jego wstąpienie na tron okaże się „najgorszym omenem dla godności”. W przeciwieństwie do starej królowej, przyszły król był bezpośredni, pobłażliwy, nawet zabawny. Kiedy Wiktoria leżała na łożu śmierci, ktoś powiedział, wcale nie oczekując odpowiedzi: „Zastanawiam się, czy będzie szczęśliwa w niebie”.

Na to Edward: „Nie wiem. Będzie musiała chodzić za aniołami, a to jej się na pewno nie spodoba”.

* * *

Marconi i jego ludzie również opłakiwali królową, ale jej śmierć nie przerwała ich pracy. Kemp nie wspomina o niej w swoim dzienniku. 23 stycznia 1901 roku, dzień po zgonie królowej, Marconi osiągnął swój największy jak dotąd zasięg. Nowo powstała stacja Lizard pierwszego dnia swego działania przyjęła depesze wysłane z wyspy Wight oddalonej o 300 kilometrów.

Transatlantycka stacja w Poldhu znajdowała się w pierwszej fazie konstrukcji, a Marconi zaczął się zastanawiać, gdzie zbuduje następną. Obejrzał mapę Stanów Zjednoczonych i zaczął planować swą drugą wyprawę do Ameryki.

Część III

Tajemnice



Marconi i jego współpracownicy puszczają latawiec na Nowej Fundlandii

Panna Le Neve

W 1901 roku, w wieku lat siedemnastu, Ethel Clara Le Neve znalazła pracę w Instytucie dla Głuchych Droueta (Drouet Institute for Deaf) w Regent's Park w Londynie i wkrótce potem zaczęła pracować dla innego nowego pracownika firmy, doktora Hawleya Harveya Crippena.

Choć podniosła nazwa sugerowała coś innego, Instytut Droueta zajmował się sprzedażą patentowych leków i był jedną z najbogatszych oraz najsłynniejszych firm w tej branży. W swoim czasie Komisja brytyjskiej Izby Gmin powołana w sprawie Leków Patentowych miała ujawnić nieuczciwe i szkodliwe praktyki tej gałęzi przemysłu, a szczególnie Droueta, ale na razie firma działała swobodnie, a jej urządzone z przepychem biura stanowiły odbicie bogactwa czerpanego z codziennych pocztowych żniw. Drouet produkował dokładnie to, o czym mówiła nazwa firmy, czyli leki na głuchotę. Musiały się one cieszyć prawdziwą sławą, skoro jak się szacuje, jeden na dziewięciu głuchych Brytyjczyków kupił jeden z produktów tej firmy.

Prawdziwe nazwisko panny Le Neve brzmiało Neave, ale przyjęła nazwisko scenicznego swojego ojca, pieśniarza. Była szczupłą, miała 165 cm wzrostu, pełne wargi i duże szare oczy. Jej blada twarz miała trochę kształt litery V, z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, nie sprawiała jednak wrażenia wychudzonej czy ostrej. W owych czasach, które faworyzowały okrągłe buzie i bujne, opięte gorsetem kształty, stanowiła niezwykły, choć bez wątpienia ponętny widok. Towarzysze z dzieciństwa zdumieliby się, widząc, na kogo wyrosła. Kiedy była mała, bardzo się szczyciła tym, że jest chłopczycą. „Nie lubiłam lalek ani innych zabawek dla dziewczynek” — napisała. Uwielbiała za to łązić po drzewach, grać w kulki i strzelać z procy. „W tamtych czasach moim ukochanym

towarzyszem był wujek, który pracował na kolei” — wspominała. — „Lubił zabierać mnie na oglądanie pociągów”. Nawet kiedy dorosła, „niewiele rzeczy interesowało mnie bardziej niż te maszyny”.

Kiedy miała siedem lat, jej rodzina przeniosła się do Londynu. Ethel skończyła szkołę i postanowiła zacząć zarabiać na życie. Przyjaciel rodziny nauczył ją i jej starszą siostrę, Adine, nazywaną w rodzinie Niną, pisania na maszynie i stenografii. Siostra wcześniej zdobyła biegłość w tych zajęciach i ruszyła na poszukiwanie pracy. Zatrudnił ją Instytut Droueta, a wkrótce potem w firmie znalazła też zatrudnienie Ethel, jako maszynistka i stenografka. „Bardzo niedługo potem pojawił się doktor Crippen, który miał tak dziwnie wpłynąć na moje życie”.

* * *

Crippen zatrudnił się w Instytucie Droueta, kiedy jego poprzedni pracodawca, Sovereign Remedy Co., wypadł z branży. Drouet dał mu posadę lekarza-konsultanta i w tym charakterze doktor poznał wkrótce Ethel oraz jej siostrę. „Z jakichś powodów doktor nas polubił i niemal od początku się zaprzyjaźniliśmy” — pisała Ethel. — „Ale był bardzo uważający dla wszystkich”.

Nina została osobistą sekretarką Crippena, ale Ethel również go знаła. „Szybko odkryłam, że prowadzi bardzo samotne życie. Nie wiedziałam, czy jest żonaty, czy nie. Nigdy nie wspominał o swojej żonie”.

Doktor i obie siostry pijali razem popołudniową herbatę. Pewnego razu, kiedy Ethel i Nina szykowały podwieczorek i nakrywały do stołu, do biura wpadł przyjaciel Crippena. Na widok przygotowań westchnął: „Chciałbym, żeby mnie również ktoś tak szykował herbatę”.

Z jak to określiła Ethel „swą zwykłą uprzejmością” Crippen zaprosił gościa, by się do nich przyłączył. Przyjaciel przyjął zaproszenie, a podczas rozmowy „wspomniano o żonie doktora”. Siostry przyjęły tę wieść w milczeniu, choć dla obu była niezwykle

zaskakująca i intrygująca. Nie uczyniły nic, by poznać więcej szczegółów.

W końcu gość wyszedł. Kiedy posprzątały ze stołu, Nina poszła do Crippena i zapytała, czy jego znajomy mówił prawdę — czy rzeczywiście jest żonaty.

Crippen powiedział jedynie: „Prawnikom zajęłoby wiele czasu ustalenie tego faktu”.

* * *

Nina zaręczyła się, a kiedy data ślubu była już bliska, porzuciła pracę u Drueta. Teraz to Ethel została osobistą sekretarką Crippena. Brakowało jej siostry. „Po jej odejściu czułam się bardzo samotna” — wspominała. — „Doktor Crippen również był bardzo samotny i w sposób nieunikniony nasza przyjaźń zaczęła się pogłębiać. Zaczął odwiedzać mnie w domu. Przez cały ten czas jego żonę otulał mrok tajemnicy”.

Pewnego dnia do biura weszła kobieta. Była zażywna i energiczna, a włosy miała ewidentnie ufarbowane na bursztynowy blond. Nosiła całą masę biżuterii i suknię, która musiała wiele kosztować, ale jak na gust Ethel, była zdecydowanie zbyt jaskrawa i krzykliwa.

„Jej wizyta miała nieco burzliwy przebieg. Wychodziłam na lunch, kiedy zobaczyłam, że z biura doktora wychodzi, trzaskając drzwiami, jakaś kobieta. Widać było, że jest bardzo rozgniewana”.

Ethel spytała szeptem współpracownika, Williama Longa: „Kto to?”.

„Nie wiesz?” — zdziwił się. — „To pani Crippen”.

„Och, naprawdę?” — spytała zaskoczona.

Potrzebowała paru chwil, by w pełni pojąć tę wiadomość. Że doktor Crippen, taki miły, łagodny i niewielki — był o kilka centymetrów niższy od niej samej — ożenił się z taką burzą jedwabiu i diamentów.

„Od razu zrozumiałam, dlaczego doktor tak niechętnie mówi o żonie” — napisała.

Potem nastąpiła jeszcze bardziej burzliwa wizyta, która — zdaniem panny Le Neve — „mogła zakończyć się tragicznie”.

Belle znów była wściekła i wpadła do biura niczym ściśnięty gorsetem cyklon. „Padło więcej gniewnych słów, a tuż przed jej wyjściem zobaczyłam, że doktor nagle spada z krzesła”.

Belle wypadła z biura, trzaskając drzwiami. Ethel pobiegła do Crippena. „Był bardzo chory i mam wrażenie, że zażył truciznę. Powiedział mi, że nie może już znieść złego traktowania ze strony żony”.

Znalazła brandy i zaaplikowała mu ją na uspokojenie. Napisała później: „robiliśmy co w naszej mocy, by zapomnieć o tym incydencie”, ale gwałtowność starcia i głęboki smutek, jaki okazywał Crippen, spowodowały fundamentalną zmianę w ich stosunkach. „Sądzę, że to właśnie bardziej niż cokolwiek innego przyciągnęło nas do siebie” — napisała panna Le Neve.

* * *

Wkrótce Instytut Droueta również upadł, do czego przyłożyło się śledztwo koronera, które ujawniło, że jeden z leków firmy — plastry na uszy — zapewne przyczynił się do śmierci pacjenta, u którego infekcja ucha przerzuciła się, z fatalnym skutkiem, na mózg. Nagle reklamy Droueta zniknęły z ciągniętych przez konie londyńskich omnibusów. Choć swoboda firm produkujących patentowe leki zaczęła słabnąć, wiele z nich nadal działało i Crippen szybko znalazł nową pracę. Jako „specjalista-konsultant” zatrudnił się w Aural Remedies Co., kolejnej firmie specjalizującej się w lekach na głuchotę, choć w swoim podaniu o pracę paradoksalnie powołał się jedynie na dyplom okulisty zdobyty w Nowym Jorku.

Biura Aural Remedies znajdowały się na New Oxford Street, a zbudowane zostały w 1847 roku. Była to dobra lokalizacja. Ulicę zaprojektowano po to, by pozbyć się dzielnicy największej przestępczości, Rookery, niegdyś raj oszustów, kieszonkowców i złodziei. W trakcie budowy wyburzono najgorsze partie dzielnicy, a to pociągnęło za sobą trwałą zmianę zamieszkujących ją ludzi,

ponieważ obecnie tylko bogaci oszuści, tacy jak Aural Remedies, mogli sobie pozwolić na tutejszy czynsz. Crippen wniósł do firmy doświadczenie zdobyte w Drouet. Oraz Ethel, swoją sekretarkę.

W liście, prawdopodobnie przepisany na maszynie przez Ethel, tak zwracał się do opornego klienta, namawiając go do przyjęcia oferty specjalnej: „Dzięki niej otrzymuje Pan możliwość szybkiego [...] uleczenia. Nie muszę chyba wspominać, że nie składałbym takiej oferty, gdybym nie był przekonany o skuteczności kuracji”.

Zaproponował, by klient przysłał mu połowę ceny podanej w poprzednim liście, a wówczas Crippen prześle mu kurację — „kompletne wyposażenie” — w charakterze próby. Jeśli po trzech tygodniach leczenie nie przyniesie efektów, klient nie będzie musiał płacić ani grosza. „Z drugiej strony, jeśli poczuje Pan, że leczenie przyniosło panu ulgę, będzie Pan mógł wyrównać rachunek, czyli dokładnie 10 szylingów i 6 pensów”. (Do 1971 roku brytyjska waluta opierała się na funtach, szylingach i pensach. Jeden funt równał się 20 szylingom, zapisywanym jako 20 s., co z kolei równało się 240 pensom, zapisywanym jako 240 d. Nowy funt ma 100 pensów, a zatem jeden nowy pens równy jest 2,4 starego).

Choć z listu wynikało coś innego, Aural Remedies nie ponosiło straty, jeśli klient nigdy nie uiścił drugiej połowy ceny. Leki patentowe produkowano za grosze. Nawet tak zredukowana cena, jaką oferował Crippen, przyniosłaby znaczny zysk bez względu na to, czy klient zapłacił drugą ratę czy nie. Kluczową sprawą było to, że nie oferowano zwrotu wpłaconej sumy.

W swoim czasie Aural Remedies i Crippen mieli się znaleźć na „Liście Ostrzegawczej” demaskatorskiego czasopisma „Truth” jako firma, której należy unikać.

* * *

W domu Crippenów sytuacja nie uległa zmianie. Przeprowadzili się do innego mieszkania na Store Street, pod numer 37, ale było ono zbyt małe, żeby mogli się zupełnie unikać. Nadal musieli

dzielić sypialnię. Nie stać ich było na nic większego, przynajmniej nie w Bloomsbury, ponieważ obecnie Crippen zarabiał jedynie ułamek tego, co płacił mu Munyon. Mimo to nadal pozwalał Belle wydawać masę pieniędzy na ubrania i biżuterię. „Choć, oczywiście, wiedliśmy bardzo szczęśliwe życie — powiedział — niestety, żona przy wielu okazjach wpadała w wielką złość i często groziła, że mnie porzuci, powtarzając, że ma do kogo odejść, i że skończy z tym wszystkim”.

Dla Crippena było jasne, że tym kimś jest Bruce Miller. Na początku kwietnia Miller przyszedł do ich mieszkania, jak się potem okazało, po raz ostatni. Chciał się pożegnać z Belle. Powiedział, że postanowił posłuchać jej rady i wraca do Chicago pogodzić się z żoną. Wypłynął z Anglii 21 kwietnia 1904 roku.

Jeśli wyjazd Millera rozpałił w Crippenie nadzieję na odbudowanie małżeństwa, natychmiast legła ona w gruzach. Nastrój Belle jeszcze się pogorszył, podobnie jak ich sytuacja finansowa, choć on nadal nie próbował ograniczać jej wydatków. Zaczął natomiast szukać nowego mieszkania, większego, ale równocześnie tańszego, co oczywiście, wymagałoby wyprowadzenia się z centrum miasta. A to niosło ze sobą ryzyko jeszcze większego rozzłoszczenia Belle.

* * *

Stosunki Crippena z Ethel stawały się coraz bardziej oczywiste. Podczas krótkiej wizyty w biurze męża Belle zwróciła uwagę na jego maszynistkę, młodą, smukłą dziewczynę o niebanalnej urodzie. Już sam jej wygląd musiał wzbudzić podejrzliwość Belle, choć może wyczuła również niezwykle ciepło, z jakim zwracali się do siebie ci dwoje. Pewne jest jedno: coś w maszynistce ją zaniepokoiło.

Pewnego ranka wpadła do niej przyjaciółka, Maud Burroughs, która mieszkała w tym samym domu przy Store Street. Belle właśnie się ubierała. W rozmowie wspomniała o swojej operacji i zapytała Burroughs, czy chciałaby zobaczyć jej bliznę.

Burroughs odparła, że nie.

„Daj rękę, poczujesz, gdzie ona jest” — zaproponowała Belle.

Wzięła Burroughs za rękę i wedle jej relacji, „włożyła ją sobie pod ubranie i położyła na brzuchu, gdzie jak mi się zdawało, wyczułam dziurę, o ile dobrze pamiętam, nieco z boku jej podbrzusza”.

Później rozmowa zeszyła na Crippena, który teraz, z niejasnych powodów, zaczął używać imienia Peter. Tak zwracała się do niego i żona, i jej przyjaciele.

„Nie podoba mi się ta maszynistka, która pracuje w biurze Petera” — oświadczyła Belle.

„Poproś go może, żeby ją zwolnił” — zaproponowała Burroughs.

Belle odparła, że już prosiła, ale Crippen powiedział, że maszynistka jest „niezastąpiona” dla firmy.

* * *

Związek Crippena z Ethel rozwijał się dalej. Wspominał później pewną letnią niedzielę 1904 roku, kiedy to „spędziliśmy razem cały dzień i wiele to dla nas znaczyło. Dzień był deszczowy, ale byliśmy razem tacy szczęśliwi, że nasze głowy pełne były słońca”. Wspominał, że w owych czasach „pozostawaliśmy w całkowitej harmonii, choć nie byliśmy sobie poślubieni”.

Ethel ze swej strony postrzegała Crippena jako „jedyną osobę na świecie, do której mogłam się zwrócić po pomoc i pociechę. Pomiedzy nami panowała prawdziwa miłość”.

Mniej więcej wtedy „czystym przypadkiem” natrafiła na listy, które Bruce Miller pisał do Belle. „Nie muszę chyba mówić, że zmniejszyło to znacznie wyrzuty sumienia, jakie odczuwałam z powodu mojego związku z jej mężem”.

* * *

Po sześciu miesiącach Aural Remedies również padło, a Crippen znów zaczął pracować dla Munyona, tym razem w jego nowym biurze, w budynku o nazwie Albion House, mieszczącym się również na New Oxford Street. Ponownie sprowadził ze sobą Ethel, a ponadto jeszcze jednego byłego pracownika, Williama

Longa. Pracował teraz nie na pełnym etacie, ale raczej jako agent pobierający prowizję. Zarabiał mniej niż miał nadzieję, więc znalezienie tańszego mieszkania stało się dla niego koniecznością. Było to prawdziwe wyzwanie, gdyż lokum musiało być nie tylko tańsze, ale również dużo większe i dość miłe, by zadowolić Belle, a jeśli już nie zadowolić — co w tej sytuacji było właściwie nieosiągalne — to przynajmniej nie spowodować dalszego pogorszenia jej zachowania. Te sprzeczne cele kazały mu szukać coraz dalej od Bloomsbury.

„Fabryka grzmotów”

Poszukiwanie miejsca pod pierwszą amerykańską stację zajęło Marconiemu dużo więcej czasu, niż planował. W towarzystwie Richarda Vyvyana i jeszcze jednego pracownika, Johna Bottomleya, siostrzeńca lorda Kelvina, przemierzył wybrzeża stanów Nowy Jork, Connecticut, Rhode Island i Massachusetts, dojeżdżając pociągami, jak daleko się dało, a potem kontynuując podróż na wozach lub pieszo. Jeszcze przed wyjazdem z Anglii powierzył Vyvyanowi zadanie zbudowania nowej stacji.

Wszystkie oglądane miejsca miały poważne wady. Albo brak wody pitnej, albo brak w okolicach miasteczka, skąd można byłoby sprowadzać zaopatrzenie i pracowników, brak linii kolejowej czy wreszcie — ta wada szczególnie doskwierała Marconiemu — brak dobrych hoteli, jakie powszechnie znaleźć można na wietrznych wybrzeżach Anglii.

W lutym 1901 roku poszukiwacze ruszyli na Cape Cod, rozpoczynając poszukiwania od Provincetown. Na mapie okolice wyglądały zachęcająco, szczególnie część środkowa, gdzie przylądek skręcał w kierunku północnym, a teren podnosił się, tworząc urwiska wysokie na ponad trzydzieści metrów.

W Provincetown Marconi wynajął przewodnika, Eda Cooka, który podobno znał świetnie tutejsze wybrzeża. Cook rzeczywiście znał dobrze plaże, był bowiem „szabrownikiem”, ratującym dobra ze statków i łodzi, które rozbiły się tu w drodze do Bostonu. W poprzednim wieku po przylądku podróżował Henry David Thoreau i w swojej książce *Cape Cod* opisał, jak szabrownicy rzucili się na wrak statku „St. John”, kiedy pogrążeni w żałobie krewni chodzili po plaży, szukając szczątków bliskich. Za zyski z wraków Cook kupował ziemię.

Wśród porywistych wichrów wiejących tu w lutym przewiózł Marconiego swoim wozem przez całą długość przylądka. Kiedy znaleźli się przy latarni morskiej Highland, położonej niedaleko północnego krańca przylądka, naprzeciwko North Truro, Marconi uznał, że znalazł dokładnie takie miejsce, jakiego potrzebuje. Latarnia morska wznosiła się na szczycie trzydziestośmiometrowego urwiska i widoczna była ze szlaków morskich wiodących do portu w Bostonie leżącego około 80 kilometrów dalej na północny zachód. Latarnicy obserwowali nadpływające statki, identyfikowali je na podstawie przewodnika, po czym telegrafowali do ich właścicieli w Ameryce i za granicą. Wiadomości podróżowały najpierw linią lądową, a potem po kablach na dnie Atlantyku.

Jednak operatorzy latarni Highland nie ufali Marconiemu. „Uważali go chyba za szarlatana” — napisała jego córka, Degna. — „Poza tym wiedzieli, że jest cudzoziemcem. Nawet Ed Cook nie zdołał pokonać ich nowoangielskiej niechęci do obcych i do dziwacznych maszyn, które zamierzali tu zainstalować”. Odmówiono mu wstępu.

Wówczas Cook zabrał go kilka kilometrów dalej, na działkę położoną kawałek za South Wellfleet. Było to osiem akrów na szczycie czterdziestometrowego urwiska górującego nad tą samą plażą, po której pół wieku wcześniej spacerował Thoreau. Kuląc się przed wiatrem, przemierzył ją teraz Marconi. Ziemia była tu ogolona niemal do zera przez sztormy i drwali, którzy w poprzednim wieku wycięli wszelkie drzewa, dostarczając budulca cieślom okrętowym. Marconi zdawał sobie sprawę, że będzie musiał dowieźć wysokie maszty, konieczne do podtrzymywania anteny.

Spodobała mu się ta działka nad urwiskiem. Kiedy stał zwrócony twarzą na wschód, widział jedynie wielki przestwór Atlantyku. Jak zauważył Thoreau, „pomiędzy nami a Europą nie było nic prócz dzikiego oceanu”.

Kiedy zwrócił się w przeciwnym kierunku, widział pobliski port w Wellfleet. Linia kolejowa przebiegała półtora kilometra dalej, a

najbliższy telegraf, w Wellfleet Depot, znajdował się w odległości zaledwie sześciu kilometrów. To oznaczało, że drewno i mechanizmy będzie można dostarczyć statkiem lub koleją i bez wielkiego trudu wciągać na szczyt urwiska. Raport firmy dotyczący poszukiwań Marconiego stwierdza: „Na miejscu dostępna jest woda, a pięć kilometrów dalej znajduje się bardzo zła karczma. Stoi tam jednak dom mieszkalny, który możemy wynająć za umiarkowaną cenę. Jest położony 200 metrów od działki”. Marconiemu umknęło pewne historyczne skojarzenie. W osiemnastym wieku Wellfleet nazywało się Poole, na cześć tej samej wioski Poole, w której hotel Haven służył mu obecnie za polową kwaterę w Anglii.

Cook zapewnił Marconiego, że nie będzie problemów z przekonaniem właściciela gruntu, by zezwolił na budowę. I miał rację, zważywszy, że sam był tym właścicielem, a nabył ją za pieniądze uzyskane z grabienia wraków. I tak Marconi, którego technologia miała uczynić morze bezpieczniejszym, nabywał ziemię od człowieka, który zarabiał na życie, rabując wraki, choć nie jest jasne, czy któryś z nich uświadamiał sobie ironię tego faktu. W przyszłości owe osiem aktów wybrzeża miało się stać najbardziej pożądaną działką na świecie, ale wówczas uważano je za bezwartościowe. Marconi zakupił je za bezcen.

Wynajął również Cooka jako swojego głównego wykonawcę. Miał mu znaleźć robotników, zapewnić kwatery mieszkalne i zapasy żywności, a także konieczny materiał budowlany. Marconi spróbował stołować się w pobliskiej gospodzie, ale jedzenie było tam tak podłe, że poprzysiął sobie, iż więcej nie będzie tam jadał. Dużo bardziej elegancki wikt oraz wino przysyłano mu z Bostonu i Nowego Jorku. Wywołało to wielkie niezadowolenie wśród miejscowej ludności. Uznano, że Marconi jest kulinarnym estetą.

Zresztą wkrótce pospieszył z powrotem do Anglii, pozostawiając na miejscu Vyvyana, który miał się zmierzyć z prawdziwą naturą Cape Cod.

* * *

Tymczasem w Londynie pułkownik Hozier z Lloyda i Nevil Maskelyne z Egyptian Hall, działając jako syndykat, zaproponowali Marconiemu odsprzedanie patentów i aparatu Maskelyne'a. Marconi okazał zainteresowanie. W miarę postępów negocjacji Hozier zdołał w jakiś sposób wykluczyć Maskelyne'a z syndykatu i zaczął negocjować we własnym imieniu, pomimo faktu, że produkt oparty był na technologii eks-wspólnika. Chciał dostać 3000 funtów — na dzisiejsze pieniądze 300 000 dolarów — oraz miejsca w radzie nadzorczej firmy Marconiego. Aby uczynić swą propozycję bardziej atrakcyjną, obiecał, że ze swej strony wynegocjuje umowę między Marconim a Lloydem.

Manewr Hoziera rozjątrzył Maskelyne'a, ale jego gniew, przynajmniej chwilowo, wydawał się bez znaczenia.

* * *

Miejsce, w którym stanął Vyvyan, było piękne, acz zupełnie nagie. Drzew było niewiele, a żadne dość wysokie, by w pełni zasłużyć sobie na tę nazwę, nie wspominając już o przydatności do budowy domu czy statku. Większość roślin niewiele odstawała od ziemi. Piasek pokrywała mącznica lekarska urozmaicana miejscami przez kępy hudsonii, nazywanej również „trawą biedaków” — ta nazwa oddawała świetnie surowość okolic. Rosła tu również bażyna, astry o liściach przypominających cząber, rogownica i nawłóć jak również sosny smołowe zasadzone w poprzednim wieku, aby nie dopuścić, by piaski zasypały miasta położone od strony zatoki. Wiatr pochylał lodygi amerykańskiej piaskownicy zwyczajnej, aż ich czubki rysowały na piasku regularne kółka. Stąd właśnie wzięła się jej potoczna nazwa, „trawa kompasowa”. Thoreau napisał: „Trudno na podstawie opisu uwierzyć w jałowość tej ziemi”.

Niebo często zakrywały chmury. Najbliższa przylądka stacja meteorologiczna, na Nantucket, zanotowała w 1901 roku tylko 83 bezchmurne dni. 101 dni określono jako częściowo zachmurzone, a 181 jako pochmurne. W takie dni świat opuszczały wszelkie barwy. Niebo, morze i ziemia stawały się szare jak grafit, a błękit

był jedynie mglistym wspomnieniem. Często sztormom towarzyszyły wiatry o prędkości osiemdziesięciu, a nawet stu kilometrów na godzinę, które we wściekłych spiralach zwiewały śnieg ze szczytów urwisk. Huk morza odmierzał czas niczym tykanie gigantycznego zegara.

Plany stacji wymagały zbudowania kwater dla obsługi, kotła parowego dostarczającego parę niezbędną do wytworzenia prądu, osobnego pomieszczenia dla urządzeń wzmacniających prąd i wytwarzających iskrę oraz kolejnego, w którym operator miał nadawać wiadomości alfabetem Morse'a. Najważniejszą strukturą była antena i to właśnie ona najbardziej martwiła Vyvyana. W Londynie Marconi pokazał mu plany zespołu anten, który zamierzał zbudować w Poldhu, i polecił mu wznieść taki sam w South Wellfleet. Kiedy tylko Vyvyan zobaczył te plany, zaczął się martwić. Wymagały wzniesienia dwudziestu masztów na wzór masztów okrętowych, ze stengą, bramstengą i bombramstengą. Ukończone maszty miały mierzyć 60 metrów wysokości. Marconi planował ustawić je w okręgu o mniej więcej takiej samej średnicy, tworząc prawdziwe Stonehenge z drewna. Wysokość masztów, plus czterdzieści metrów urwiska dałoby mu antenę o wysokości rzeczywistej ponad 90 metrów. W ten sposób, w teorii — oczywiście, w teorii Marconiego — zwiększyłby się zasięg stacji. Przewracaniu się masztów miała zapobiec skomplikowana płatanina odciągów i złączek. Na takich podporach rozpięta miała zostać antena z drutu — wszystkie wierzchołki masztów zamierzano połączyć ciężkim miedzianym kablem, od którego miały odchodzić setki cieńszych drutów, tworząc gigantyczny stożek z wierzchołkiem nad budynkiem nadawczym. Kabel wyprowadzony z dachu miał łączyć stożek z generatorem iskry.

Najbardziej martwiły Vyvyana odciągi. Każdy maszt powinien mieć własne, żeby jeśli jeden upadnie, pozostałe pozostały w pionie. Tymczasem według planu wierzchołki miały być ze sobą połączone, a to oznaczało, że jeśli jeden się przewróci, runą wszystkie. Ostrzegł przed tym Marconiego, ale pryncypał go zlekceważył i nakazał budowę stacji zgodnie z projektem. Vyvyan

pogodził się z tą decyzją. „Było dla mnie jednak jasne, że system masztów będzie bardzo niestabilny”.

Budowa postępowała powoli, przerywana przez, jak to określiło Biuro Meteorologiczne, „okres szczególnie silnych sztormów”. Kwiecień przyniósł wichury, które chłostały ląd podmuchami dochodzącymi do 87 kilometrów na godzinę. Majowi towarzyszyły opady deszczu w takich ilościach, że przekroczyły wszystkie rekordy zanotowane w dziejach Nowej Anglii.

Ludzie zatrudnieni przez Eda Cooka mieszkali w Wellfleet i sąsiednich osadach, ale Vyvyan, Bottomley i pracownicy Marconiego mieli kwaterę na miejscu, w parterowym domu o powierzchni około 60 metrów kwadratowych. Powodowało to ciasnotę tak wielką, że w końcu główny inżynier stacji, W.W. Bradfield, poprosił o budowę dodatkowego skrzydła, gdzie miały się mieścić kolejne sypialnie i pokój wypoczynkowy. Napisał: „Wobec odludnego położenia stacji uważam za absolutnie konieczne dopilnowanie, aby ludzie mieszkali wygodnie, byli zadowoleni i pracowali z zapałem”.

Robiono wszystko, by polepszyć sobie warunki życia. Jadano przy stole nakrytym białym obrusem, przy czterech świecach sterczących pod dziwnymi kątami z improwizowanych świeczników. Czytano książki, grano na pianinie i śpiewano, a od czasu do czasu wędrowano do zatoki nazbierać ostryg u ujścia Blackfish Creek, nazwanego tak od stad niewielkich wielorybów. Ten gatunek nazywano „towarzyskimi wielorybami”. Miejscowi niegdyś zaganiali je na plażę i zabijali dla oleju. Pracownicy Marconiego przeczesywali też plażę — piaski poniżej Truro były wówczas bardzo interesujące, zważywszy, jak często rozbijały się tu statki. Nigdy nie było wiadomo, jaki skarb się odkryje. Znajdowano naczynia, bagaż, mydła z kabin pasażerskich, a czasami zwłoki, których wszystkie zagłębienia wypełnione były piaskiem. Thoreau nazwał plażę „ogromną kostnicą”, a to z powodu wielkiej ilości trupów ludzi i zwierząt wyrzucanych tu przez morze. „Oto naga Natura — nieludzko szczerą, nietraczącą

czasu dla ludzi, kłusująca urwiste wybrzeże, nad którym w morskiej pianie krąży mewa”.

Ponieważ był to wiek najmowania służby, na stacji pracowała kucharka, zatrudniono też dwie kobiety z Wellfleet, które codziennie przychodziły sprzątać. Nosiły czepki i fartuchy pokojówek. Jedną z nich była Mable Tubman, córka poważanego mieszkańca Wellfleet, która zwróciła na siebie uwagę jednego z ludzi Marconiego, Carla Taylora. Fotografia z tego okresu ukazuje Carla i Mable siedzących razem na plaży w słoneczny dzień. Niezwykle w tym zdjęciu jest to, że uwiecznieni na nim ludzie dobrze się bawią. Mable ma na sobie fartuch i czepek i nie patrzy w obiektyw, tylko na morze. Carl ubrany jest w jasną marynarkę i patrzy prosto w obiektyw, uśmiechając się od ucha do ucha. Na głowie też ma czepek.

* * *

Choć Marconiego w dużym stopniu absorbowwały prace prowadzone po obu stronach Atlantyku, uznał najwyraźniej, że sprawy znalazły się obecnie pod dostateczną kontrolą, żeby on i Josephine Holman mogli wreszcie ogłosić swoje zaręczyny. Nalegała na to najprawdopodobniej przede wszystkim Josephine, która coraz bardziej martwiła się swoją pozycją. Marconi nadal nie złożył wizyty jej rodzinie w Indianapolis.

Swoją pozycją w życiu syna martwiła się też Anne, szczególnie w obliczu planowanego małżeństwa. „Trudno było stracić go dla kogoś, kogokolwiek, bogatego czy biednego, już podczas jego pierwszej ucieczki z domu” — napisała wiele lat później Degna Marconi.

Matka Marconiego dokładała starań, by zachowywać się „bez rozgłosu”, ale czuła się dotknięta, ponieważ Josephine do niej nie napisała. Poskarżyła się na to synowi. Wkrótce potem list przyszedł, zdaniem Anne „bardzo uprzejmy i słodki”.

Napisała zaraz do syna: „Żałuję, że nie dostałam tego listu [od Josephine] wcześniej. Nie powinnam była Ci mówić o tym, że ona do mnie nie pisze. Teraz wszystko jest w porządku. Czuję się dużo

szczęśliwsza i wkrótce do niej napiszę”. Poniżej dodała dziwne zdanie. „Nasi tutejsi przyjaciele uważają za słuszne, bym była obecna na ślubie” — jak gdyby na poważnie rozważała swą nieobecność.

Wiosna przyniosła nowe wyzwania i sukcesy. 21 maja 1901 roku Oliver Lodge uzyskał amerykański patent na „elektryczną telegrafii” i *de facto* wszedł w sojusz z Williamem Preece’em, coraz bardziej otwarcie krytykującym Marconiego. Rozpoczął również atak na innym froncie. Wraz ze swym przyjacielem, Alexandrem Muirheadem, założył Syndykat Lodge’a-Muirheada, który miał rozpocząć sprzedaż jego technologii.

A Marconi doznał bardzo publicznej porażki. Ponownie zgodził się zrelacjonować za pomocą swego telegrafu regaty o Puchar Ameryki, tym razem dla Associated Press, ale napotkał ostrą konkurencję dwóch świeżo powstałych amerykańskich firm. Transmisje zakłócały się nawzajem do tego stopnia, że nie zdołał przesłać wiadomości do swojej stacji nabrzeżnej, która miała ją przekazać do Associated Press — i to pomimo zarzekania się, że jego technologia dostrajania fal w celu uniknięcia zakłóceń działa bez zarzutu. Później pojawiły się pogłoski, że jedna z rywalizujących firm specjalnie zakłócała transmisję, nadając wyjątkowo długie kreski — w pewnym momencie po prostu przyciśnięto czymś klucz telegraficzny i pozostawiono go w ten sposób, nadając, jak to określił jeden z obserwatorów, „najdłuższą kreskę, jaką kiedykolwiek przesłano telegrafem bez drutu”.

Na innym polu jednak Marconi czynił postępy. 21 maja 1901 roku pierwszy brytyjski statek wyposażony w bezprzewodowy telegraf, „Lake Champlain”, wyruszył z Liverpoolu w podróż przez Atlantyk. W tym samym czasie ludzie Marconiego instalowali aparat na pokładzie „Lucanii” Cunarda. Podczas podróży powrotnej operator Marconiego na „Lake Champlain” przeżył niespodziankę — na środku oceanu otrzymał depeszę z „Lucanii”. Dla żeglarzy, dotychczas skazanych na morzu na samotność, wydarzenie to było prawdziwym cudem.

Dopiero kilka lat później zwrócono uwagę na zaskakujący zbieg okoliczności. Drugim oficerem na „Lake Champlain” podczas tej pionierskiej podróży był młody marynarz o nazwisku Henry Kendall.

* * *

Kiedy zrobiło się cieplej, prace na Cape Cod postępowały szybko, choć Vyvyan i Bottomley odkryli, że w przeciwieństwie do Poldhu, gdzie w lecie było chłodno, a nawet wręcz zimno, tutaj często notowano najwyższe temperatury w całej Nowej Anglii. Często upał przekraczał trzydzieści stopni, a towarzyszyła mu wielka wilgotność powietrza. W nocy zrywały się burze, a błyskawice oświetlały teren trupio bladym blaskiem. Czasami na kilka dni opadała mgła, a wówczas brzeg urwiska zdawał się końcem materialnego świata. Kiedy parowce czekały na morzu na dobrą widoczność, w regularnych odstępach odzywały się ich rogi mgłowe, dziwnie przypominając ryk zgubionych cieląt.

W miarę stawiania kolejnych masztów rósł i niepokój Vyvyana. Wiatry zwykle wiały tu z prędkością trzydziestu do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, czasem silniejsze. W połowie czerwca robotnicy wzniesli siedemnaście kolumn masztów z planowanych dwudziestu. Czternaście miało już stengi, a dziesięć również bramstengi. Według planu na szczycie każdego należało zamontować czwartą część, bombramstengę, a było to szalenie niebezpieczne zadanie, gdyż w tym celu trzeba się było wspinać na szczyt masztów. Zachowana fotografia ukazuje przy pracy robotników, nazywanych takielarzami — maleńkie figurki tkwią samotne na szczytach masztów o wysokości 60 metrów, chwiejących się na najłżejszym wietrze.

Pod koniec miesiąca budynek kotła, generator i nadajnik znajdowały się już na miejscu, a okrąg anteny został ukończony. Na zdjęciach widać zagajnik sześćdziesięciometrowych masztów

połączonych ze sobą i zakotwiczonych za pomocą odciągów — całość wyglądała jak pajęczyna utkana na świeczniku.

Vyvyan przeprowadził próby nadajnika. W nocy generowana iskra rozświetlała niebo z taką intensywnością, że była widoczna i słyszalna z odległości sześciu kilometrów, nawet na plaży u stóp urwiska. Z bliższej odległości huk wyładowania brzmiał ogłuszająco jak strzał z pistoletu startowego. Pewien stary pracownik, James Wilson, wspominał: „Jeśli otworzyłeś drzwi i wyszedłeś na dwór, musiałeś zatykać uszy”.

Chwilami drut anteny połyskiwał zimnym błękitem. Aby zapobiec wzbudzaniu prądu w odciągach, co powodowałoby zakłócanie sygnału, zainstalowano w nich co jakiś czas jufery z bardzo twardego drewna o nazwie gwajak. Cieśle używali juferów do łączenia takielunku, ale ludzie Marconiego wykorzystywali je jako izolatory, które miały przerywać potencjalne ścieżki prądu. Mimo to prąd pojawiał się w niespodziewanych miejscach. Na zasadzie indukcji ładunki elektryczne płynęły w rynnach i kominach. Nawet coś tak prozaicznego jak wieszanie prania stawało się doświadczeniem elektrycznym. Pani Higgins, kucharka stacji, opowiadała, że czuje tysiące drobnych ukłuć, kiedy wiesza bieliznę na sznurze.

Sierpień przyniósł ze sobą upał i mgłę, a w Provincetown po raz kolejny zanotowano najwyższe temperatury w Nowej Anglii, 33 stopnie, 12 i 18 sierpnia. Burz było niewiele, a wiatry umiarkowane, nieprzekraczające 50 kilometrów na godzinę. Mimo to Vyvyan pisał: „W sierpniu pod wpływem zaledwie silnej bryzy czubki masztów po nawietrznej stronie wygięły się pod niebezpiecznym kątem”.

Kabel łączący szczyty masztów sprawiał, że kiedy jeden zaczynał się chwiać, kołysały się wszystkie.

* * *

Marconi nadal strzegł tajemnicy. Nikt poza firmą nie wiedział jeszcze, że Włoch zamierza wysłać depezę przez ocean. Kiedy urzędnik Admiralicji, G.C. Crowley przyjechał obejrzeć prace w

Poldhu, Marconi zamknął odbiornik w skrzynce, tak jak podczas pierwszych demonstracji. Chętnie rozmawiał o swoich wynikach, jak napisał Crowley, ale nie pozwalał nikomu zaglądać do środka. „Nazywaliśmy to »czarną skrzynką z Poldhu«” — powiedział.

Sam Marconi ledwie rozumiał naturę zjawiska, które wykorzystywał, a to sprawiało, że uruchamianie każdej stacji wiązało się z licznymi eksperymentami. Wielka antena w kształcie stożka była kolejnym przykładem jego instynktownego wyczucia, jak zachowują się fale Hertza. Żadna uznana teoria nie określała podobnego kształtu. Wysokość konstrukcji wpływała z przekonania Marconiego, częściowo potwierdzonego przez eksperymenty, że odległość, na którą wędrował sygnał, związana jest z wysokością anteny.

Oprócz tych przypuszczeń istniał wielki zbiór zmiennych, które również należało brać pod uwagę, gdyż każda mogła mieć wpływ na wynik eksperymentu. Na naturę i siłę sygnału oddziaływały najsubtelniejsze zmiany. Fleming, naukowy doradca Marconiego, odkrył, że coś tak prostego jak wypolerowanie metalowych kulek iskiernika, pomiędzy którymi przeskakiwała iskra, zwiększało znacznie czystość sygnału. To było jak rozgrywanie partii szachów figurami, których nie dotyczą żadne reguły, gdzie pionek w jednym ruchu może się okazać królową, a w drugim królem.

Na domiar złego siła, którą Marconi pragnął okiełznać, była niewidzialna i nie istniały jeszcze sposoby jej mierzenia. Nikt nie potrafił określić dokładnie, jak rozchodzą się fale Hertza i co jest ich nośnikiem. Podobnie jak Fleming, Lodge i inni fizycy o ustalonej reputacji, Marconi wierzył, że fale elektromagnetyczne przenoszą się przez eter, choć nie dowiedziono jednoznacznie, że to tajemnicze medium faktycznie istnieje.

Marconi i Fleming próbowali ze wszystkich sił zwiększyć moc i wydajność nadajników w Poldhu i Wellfleet, czasami z zaskakującym skutkiem. W miarę wzrostu mocy coraz trudniej było okiełznać prądy błędzące. W Poldhu rynnny w sąsiednich budynkach zaczęły krzesać iskry, a błękitne wyładowania rozjaśniały kornwalijskie mgły. 9 sierpnia 1901 roku George Kemp

zapisał w swoim dzienniku: „Mieliśmy dziś zjawisko elektryczne — okropny trzask jakby pioruna nad szczytami masztów, kiedy każdy podciąg przesyłał iskrę do ziemi pomimo izolacyjnych płytek. Spłoszyło to konie, a ludzie w najwyższym pośpiechu opuścili dziesięć akrów ziemi wokół masztów”.

Stacja w Poldhu nadal nie była gotowa, kiedy nadszedł okres wyjątkowo złej pogody i jeszcze bardziej opóźnił prace. Maszty stały, ale wiatry uniemożliwiły takielarzom wspinanie się na ich szczyt. Szkwał uderzał w urwisko. 14 sierpnia 1901 roku Kemp zanotował: „Pogoda jest ciągle zła. Dziś ludzie nie mogli pracować na zewnątrz”.

Szkwały i wichry trwały bez przerwy przez miesiąc, zmuszając Kempa do odesłania robotników do domów.

Wokół kondensatorów w elektrowni stacji pojawiły się tabliczki z napisem „Uwaga. Niezwykle niebezpieczne. Nie dotykać”. W nocy wyładowania widać było z odległości wielu kilometrów, rozlegały się też sztucznie wywoływane grzmoty. Jeden ze świadków nazwał stację w Poldhu „fabryką grzmotów”.

* * *

Natomiast wieści z Londynu były dobre. Negocjacje Marconiego z pułkownikiem Hozierem z Lloyd's of London zaczęły przynosić pierwsze owoce. Hozier zarzucił próby sprzedania Marconiemu patentów, uświadomiwszy sobie, że jedyny aspekt rozmów, jaki interesuje jego partnera, to umowa z Lloydem.

Negocjował więc w imieniu Lloyd'a, ale również w swoim własnym, jako osoba prywatna. 26 września 1901 roku dobili wreszcie targu. Hozier dostał miejsce w radzie nadzorczej oraz 4500 funtów gotówką i w akcjach firmy, czyli na dzisiejsze pieniądze mniej więcej pół miliona dolarów. Marconi otrzymał zlecenie na zbudowanie dla Lloyd'a dziesięciu stacji, a Lloyd zgodził się przez czternaście lat nie używać telegrafu bez drutu innych marek.

Najważniejsza klauzula głosiła, że te dziesięć stacji będzie się mogło komunikować jedynie ze statkami wyposażonymi w aparat

Marconiego, co w praktyce oznaczało, że linie żeglugowe będą wybierać przede wszystkim jego usługi. Spedytorzy rozumieli, że dzięki telegrafowi bez drutu dużo szybciej i łatwiej będzie się zawiadamiać Lloyda o ruchach statków, a i rejsy staną się bezpieczniejsze, ponieważ jednostki nie będą musiały zmieniać kursu i zbliżać się do wybrzeża na tyle, by agenci Lloyda mogli dokonać ich wizualnej identyfikacji. Umowa stanowiła krok w kierunku uzyskania monopolu na komunikację statków z wybrzeżem, ale również podjudziła niechęć wśród rządów, właścicieli statków i pojawiającej się konkurencji, już wcześniej nieszczęśliwej z powodu polityki Marconiego zabraniającej jego klientom komunikować się z innymi systemami bezprzewodowymi.

Szczególnie dotknięte czuły się Niemcy. A w Egyptian Hall na Piccadilly wściekał się Nevil Maskelyne.

Klaustrofobia

Poszukiwania nowego domu zaprowadziły Crippena do zielonych okolic Kentish Town, na północ od właściwego Londynu, w górnym skraju Borough of Islington, gdzie czynsze były niższe niż w Bloomsbury. Tu natrafił na dom stojący przy przyjemnej uliczce o nazwie Hilldrop Crescent. Wydawał się on rozwiązaniem problemów Crippena, więc 21 września 1905 roku podpisał kontrakt z właścicielem, Frederickiem Lownem, i wynajął dom na trzy lata, za 52 funty i 10 szylingów rocznie, czyli około 5500 dolarów według dzisiejszej wartości pieniądza.

Wszelkie szczegóły dotyczące tego domu stały się w swoim czasie niezwykle interesujące dla milionów ludzi na całym świecie.

* * *

Skromność okolicy, w której stał dom, rekompensował fakt, że przystępność cen przyciągała tutaj i innych ludzi teatru, w tym pieśniarzy, akrobatów, mimów i magików, stojących na progu kariery lub u jej kresu. Pomogło również to, że dom znajdował się przy ulicy w kształcie półksiężyca, przypominającej najmilsze ulice Londynu oraz poprzednie adresy Crippena w Bloomsbury. Hilldrop Crescent tworzyło niemal idealne półkole po północnej stronie Camden Road, głównej arterii komunikacyjnej dzielnicy. Dom, który wybrał Crippen, stał pod numerem 39.

Półksiężyc ocieniony był drzewami i w lecie stawał się nęcącym łukiem zieleni w oczach ludzi przejeżdżających po Camden Road w tramwajach, omnibusach i dorożkach. Wszystkie domy przy Hilldrop Crescent zostały zbudowane według jednego planu. Stały w połączonych parach — każdy miał wspólną ścianę z jednym sąsiadem, ale od drugiego oddzielony był wąskim pasem murawy. Mieszkańcy dokładali starań, by wyróżniać swoje domy. Zwykle

czynili to za pomocą gazonów, kształtem i kolorem przywodzących na myśl Włochy, Egipt i Indie. Mimo tych wysiłków i frontowych schodów połyskujących kobaltem oraz tokańskim różem, ulica emanowała aurą niespełnionych ambicji.

Jak wszystkie inne tutejsze domy, również dom Crippenów miał cztery kondygnacje, wliczając w to suterene, którą zwyczajowo wykorzystywano zarówno jako przestrzeń mieszkalną, jak i magazynową: pod frontowymi schodami znajdowała się piwnica na węgiel, a kuchnia i pokój śniadaniowy na tyłach. Pokój śniadaniowy był słoneczny i wychodził na podłużny ogród z tyłu domu, otoczony ceglany murem.

Frontowe schody prowadziły do dużych drzwi z okazałych rozmiarów kołatką i umieszczoną na środku gałką. Za nimi znajdowały się pokoje dzienne i jadalnia. Było to wejście oficjalne, zarezerwowane dla książąt i premierów, choć goście tego formatu nigdy nie pojawiali się na Hilldrop Crescent. Kiedy przyjaciele przychodzili na kolację lub karty, zwykle wchodzili bocznym wejściem. Na następnym piętrze znajdował się jeszcze jeden pokój dzienny i dwie sypialnie. Czwarta i ostatnia kondygnacja mieściła łazienkę i trzy sypialnie, jedną od frontu, a dwie od tyłu.

Otoczony murem ogród za domem miał kształt długiego prostokąta, w którego środku stały dwie małe, przeszklone cieplarnie porośnięte bluszczem. Z tyłu jednej z nich znajdował się odizolowany kąt, ukryty przed wzrokiem sąsiadów. Tu spoczywało sto porcelanowych doniczek, pustych i ustawionych w staranny stos, jakby ktoś kiedyś planował założenie wielkiego ogrodu, ale porzucił nagle to marzenie.

Dwadzieścia lat wcześniej adres przy Hilldrop Crescent uważano za dobry, choć oczywiście nie aż tak dobry jak adres w Mayfair czy Belgravii. Od tamtej pory rozpoczął się stopniowy upadek dzielnicy, uchwycony w jednym z wielkich dzieł dziewiętnastowiecznej reformy społecznej.

W latach osiemdziesiątych XIX wieku pewien przedsiębiorca, Charles Booth, rozpoczął badanie Londynu, ulica po ulicy, w celu określenia społecznej i finansowej pozycji mieszkańców. Chciał w

ten sposób zadać kłam oburzającym twierdzeniom socjalistów, że w Anglii panuje wielka i głęboka bieda. Aby przeprowadzić to badanie, zatrudnił legion ankieterów, którzy zbierali informacje, towarzysząc podczas obchodów „wizytatorom” z Londyńskiej Rady Szkolnej oraz oficerom Scotland Yardu przy patrolowaniu rewirów. Przez pewien czas jednym z ankieterów była Beatrice Potter (później Webb), która wkrótce miała się stać znaną działaczką społeczną i której nie należy mylić z Beatrix Potter, twórczynią Piotrusia Królika, choć obie kobiety żyły niemal równocześnie i umarły w tym samym roku, 1943. Beatrice miała wówczas osiemdziesiąt pięć lat, a Beatrix siedemdziesiąt siedem. Booth był zaskoczony, gdyż zasięg biedy okazał się dużo większy, niż twierdzili socjaliści. Odkrył, że ponad trzydzieści procent mieszkańców miasta żyje poniżej „proggu ubóstwa” — to on wymyślił ten termin. Podzielił zebrane dane na siedem grup zamożności, każdej przypisał inny kolor, po czym naniósł je, budynek po budynku, na mapę Londynu z 1889 roku. W ten sposób z niezwykłą jaskrawością unaoczniał różnice w zamożności mieszkańców miasta. Hilldrop Crescent miało kolor czerwony, zarezerwowany dla „dobrze sytuowanych. Klasa średnia”, drugiej pod względem zamożności klasy Bootha.

Dziesięć lat później Booth uznał za konieczne zweryfikowanie swych ustaleń i znów wyruszył na ulice Londynu. Przynajmniej trzy wyprawy, odbyte w towarzystwie policjantów, zaprowadziły go na Hilldrop Crescent lub sąsiednie uliczki. Podsumowując swe wnioski z jednego takiego spaceru, Booth napisał: „Najlepsi ludzie wyjeżdżają”. Podczas innej wyprawy zwiedził Camden Road w miejscu, gdzie odchodzi od niej Hilldrop Crescent. Tu znalazł „zamożne domy”, ale „mieszkańców nie tak wysokiej klasy jak poprzednio”. Był to wynik tendencji, która od dłuższego czasu zaznaczała się w okolicach położonych na północ od Camden Road. Booth zanotował: „Dzielnica gwałtownie podupada”.

Tę tendencję powodowały różne siły, między innymi coraz większe udogodnienia transportowe. Rozrastająca się sieć kolei podmiejskiej i podziemnej umożliwiła rodzinom o skromnych

zasobach ucieczkę z „mrocznego Londynu” na dalekie przedmieścia. Ale okolica Hilldrop pobłogosławiona została — lub raczej przeklęta — obecnością trzech instytucji, które raczej nie wróżyły wzrostu wartości nieruchomości. Crippen zapewne przekonał sam siebie, że żadna z nich nie będzie miała bezpośredniego wpływu na jego życie, choć równie prawdopodobne jest to, że po prostu nie wiedział o ich istnieniu, kiedy podejmował decyzję. Jeśli tak, jego niewiedza nie trwała długo.

Jedno z tych miejsc rozpoczynało się w odległości krótkiego spaceru na południowy wschód od domu Crippena. Tu, na Copenhagen Fields, mieścił się Miejski Rynek Bydlęcy otworzony w 1855 roku w miejsce Smithfield Market, gdzie jak pisał Charles Dickens w *Oliverze Twiście*, „ziemia pokryta była niemal po kostki brudem i gnojem”, a powietrze przepełnione „wstrętnym hałasem”. Nowy rynek zajmował powierzchnię trzydziestu akrów. Co roku przez jego bramy przechodziły cztery miliony krów, owiec i świń. Albo patroszono je tu i rozczłonkowywano, albo — w dni targowe — sprzedawano z okolicznych stoisk i „zagród”. Brudu było tu mniej niż na Smithfield, ale panował nie mniej okropny hałas, a w dni targowe, zwykle w poniedziałki — szczególnie w poniedziałek przed Bożym Narodzeniem, najruchliwszy dzień w roku — chóralne ryki i beczenia słyhać było na wiele przecznic wokoło, nawet w domach przy Hilldrop Crescent. Charles Booth stwierdził, że zwierzęta pędzono na rynek sąsiednimi ulicami, czasami z komicznym skutkiem. „Niektóre się gubiły” — napisał. Jeden byk grasował na wolności przez trzydzieści sześć godzin. Innym razem stado owiec wpadło do sklepu z ubraniami. „Najtrudniej dać sobie radę z zabłąkanymi świniami” — zanotował Booth.

— „Rozbiegają się. Przyciągają natychmiast tłum. Ośmieszają policję”.

Okolice rynku przyciągały mieszkańców znacznie mniej dystyngowanych niż ci, których Crippenowie spotykali w Bloomsbury. „Bardzo niebezpieczna dzielnica” — zauważył Booth.

— „Wielu ludzi pracuje na rynku bydłym jako poganiacze, rzeźnicy, tragarze i tym podobne. Wiele przypadkowych zajęć. Niektóre stare domy fatalnie naprawione”.

Dwoma pozostałymi problematycznymi instytucjami były więzienia. Holloway Goal, nazywane również Więzieniem Miejskim, otwarto w 1852 roku. Miało służyć jako główne więzienie dla kryminalistów oskarżonych lub skazanych za przestępstwa popełnione w City, dzielnicy finansowej Londynu. Aż do roku 1902 w Holloway trzymano i mężczyzn, i kobiety, w tym przez krótki czas Oscara Wilde’a, ale kiedy Crippenowie mieszkali na Hilldrop, zamykano tam jedynie kobiety — już wkrótce przybyć miał tu pierwszy wóz policyjny pełen sufrażystek walczących o swoje prawo do głosowania. *Przewodnik Baedekera po Londynie i okolicach* z 1900 roku opisuje ten budynek jako „dość imponujący”, choć taka ocena mogła wpływać jedynie z upodobania do ponuractwa. Holloway Goal, ze swymi wieżyczkami, blankami i sterczącymi kominami było miejscem, które mroziło krew w żyłach nawet w ciepłe, słoneczne dni.

Ale sąsiedztwo Holloway było niczym w porównaniu z drugim więzieniem, Pentoville, które stało przy Caledonian Road, o krótki spacer na południowy wschód od domu Crippenów. Jego fasada była nie bardziej posępna niż Holloway, ale często przeprowadzane tu egzekucje przydały ponurej powagi jego wysokim nagim murom. W momencie otwarcia, w 1842 roku, reformatorzy nazywali Pentoville „modelowym więzieniem” w uznaniu zarówno jego innowacyjnego projektu — cztery czyste i jasne bloki odchodzące od centralnej części, skąd strażnicy mieli doskonały widok na wszystkie poziomy — i jego reżimu, „systemu izolacji”, zgodnie z którym wszystkich 520 więźniów trzymano w, jak to nazwały późniejsze pokolenia, izolatkach. Każdy więzień przebywał w celi sam i nie mógł nawet rozmawiać z towarzyszami. Chodziło o to, by zmusić skazanych do przemyślenia swojego zachowania i — poprzez samotną pracę, codzienne nabożeństwa oraz czytanie podniosłych książek — zachęcić ich do porzucenia niezdrowego zachowania. W praktyce system izolatek doprowadził

wielu więźniów do szaleństwa i spowodował liczne przypadki samobójstw.

W 1902 roku więzienie stało się miejscem egzekucji, co nie ucieszyło mieszkańców dzielnicy, choć każdy, kto znał historię tej okolicy, uznałby tę nową rolę za powrót do korzeni. W osiemnastym wieku w Camden Town stała gospoda o nazwie Czerwona Czapeczka Mamusi, przystanek omnibusów, ale również końcowa stacja dla wielu skazanych, których wieszano na publicznej szubienicy po drugiej stronie ulicy. Egzekucje publiczne traktowane były jak wielkie pikniki, co ściągało na nie rosnącą krytykę, aż wreszcie Parlament zarządził, by przeprowadzano je za murami więzienia. W czasach kiedy Crippenowie pojawili się na Hilldrop Crescent, jedna z dawnych praktyk, chroniona przez prawo, ponuro przypominała mieszkańcom dzielnicy, że mają za sąsiada więzienie, którego pensjonariusze znają dokładną datę swej śmierci. Prawo nakazywało mianowicie po każdym powieszeniu uderzyć piętnaście razy w dzwon więziennej kaplicy. Ten zwyczaj był wyjątkowo uciążliwy dla okolicznych mieszkańców, podobnie jak dla więźniów czekających na swoją kolejkę. Dla Belle stanowił kolejną oznakę jej własnego upadku towarzyskiego.

Jeden z bezpośrednich sąsiadów więzienia, Thomas Cole, tak bardzo martwił się wpływem, jaki egzekucje wywierają na sąsiedztwo, że złożył skargę do ministra spraw wewnętrznych, dość młodego człowieka o nazwisku Winston Churchill. „Budynek więzienia otaczają domy zamieszkałe przez szanowanych pracujących ludzi, którzy mają kłopoty z wynajmem mieszkań” — napisał. — „Z tego względu domy często stoją puste, co przynosi wielkie straty zainteresowanym”. Zakończył list uprzejmym pytaniem, czy egzekucje nie mogłyby się odbywać gdzie indziej — na przykład w więzieniu Wormwood Scrubs, „które — o ile mi wiadomo — znajduje się w miejscu odludnym”.

Skarga Cole'a przebyła długą drogę przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i dotarła do naczelnika więzienia Pentoville, który odpowiedział natychmiast, równie uprzejmie i ze zrozumieniem.

Stwierdziwszy, że rzeczywiście na Market Street, głównej ulicy biegnącej przy więzieniu stoi obecnie kilka pustych domów, napisał: „Nie sądzę, żeby przeprowadzanie egzekucji było przyczyną kłopotów z wynajmem mieszkań, a przynajmniej nie w stopniu znaczącym. Sam fakt istnienia więzienia powoduje, że jego okolice uznawane są za nieatrakcyjne. Choć to wzburzenie trwa od czasu rozpoczęcia egzekucji w 1902 roku”.

Dowodził, że więzienie nie jest jedyną przyczyną podupadania okolicy. Uważał, że właściciele domów żądają wygórowanych czynszów, a „tramwaje i kolejka podziemna sprawiają, że ludzie pracujący z wyższej klasy wynoszą się coraz dalej”. Innym problemem była „ilość szcurków, które jak mi mówiono, zamieszkują w tutejszych domach”. Upadek, oczywiście, był widoczny. „Zauważyłem, że ludzie, którzy mieszkają przy Market Street, nie pochodzą z tak dobrej klasy jak kilka lat temu. Za każdym razem, kiedy domy wystawiane są do wynajęcia, zajmują je ludzie mniej zamożni niż ci, którzy wynajmowali je wcześniej, a przeprowadzki są częstsze”.

Na zakończenie podsunął propozycję, „by zaprzestano bicia w dzwony po egzekucji — wydaje się, że nie ma ku temu powodu, i jeśli się zaprzestanie tej praktyki, sądzę, że niewiele osób w sąsiedztwie będzie miało świadomość, że zdarzyło się coś niezwykłego”.

Jego sugestię odrzucono. W dzwony bito zawsze i będzie się w nie bić nadal. W końcu takie jest prawo, a to w końcu jest Anglia.

* * *

Belle urządziła dom na różowo. Nosła różowe suknie. Nosła różową bieliznę, w tym różowy, jedwabny gorset na fiszbinach. Kupiła różowe poduszki z różowymi frędzlami, wytapetowała ściany różową tapetą i powiesiła różowe aksamitne kokardy nad ramami obrazów. Nie znosiła zieleni. Jej zdaniem przynosiła pecha. Na widok zielonej tapety w salonie przyjaciółki wykrzyknęła: „Jejku, masz tu rzecz przynoszącą pecha. Zielona tapeta! Nie będziesz miała szczęścia, to pewne. Kiedy będę miała

dom, w ogóle nie będzie w nim nic zielonego. Cały urządzą na różowo, na szczęście”. No cóż, według własnych standardów powinna go mieć teraz w nadmiarze.

Wedle słów jednej z przyjaciółek, Adeline Harrison, Belle wykazywała dziwną mieszankę oszczędności i ekstrawagancji. „Pani Crippen była niezwykle oszczędna w drobnych kwestiach dotyczących życia prywatnego”

— napisała. „Prawdę mówiąc, była oszczędna do tego stopnia, że graniczyło to ze skąpstwem. Szukała sklepów z najtańszym mięsem i chodziła na Caledonian Market, żeby kupować tani drób. Zawsze próbowała oszczędzić pensa, ale hojną ręką wyrzucała całe funty”.

Najwięcej wydawała na ubrania i biżuterię dla siebie. Do domu kupowała bibeloty, błyskotki i dziwaczne meble. Zważywszy na jej pasję do łapania okazji, bez wątpienia chodziła na sławny piątkowy targ „różności” na Miejskim Rynku Bydłęcym. Początkowo „różności” oznaczały tu tyle, co zwierzęta inne niż bydło, owce i świnie, a zatem osły czy kozy, ale z czasem termin zaczął obejmować wszystko, co nadawało się do sprzedaży, żywe lub martwe. Jak odkrył Charles Booth, kiedy jego badania Londynu zaprowadziły go na Rynek Bydłęcy, w piątki „sprzedawano niemal wszystko i niemal wszystko znajdowało nabywcę”. Przeglądając stragany, można było natrafić na książki, ubrania, zabawki, kłódki, łańcuchy, zardzewiałe gwoździe oraz zbiór zniszczonej i obitej ceramiki. Booth określił to jako „śmieci, za które trudno przypuszczać, by ktoś zapłacił choć pensa”. Inny pisarz zauważył w 1891 roku, że „kupujący i sprzedający są na równi dziwaczni, obdarci i zardzewiali jak rzeczy, którymi handlują”.

Belle ozdobiła dom strusimi piórami, a w jednym z pokoi postawiła parę nóg słonia, wówczas dość powszechną dekorację w domach klasy średniej. Jej przyjaciele mówili z wesołą złośliwością, że choć przywiązuje ogromną wagę do tego, jak wygląda i jak się ubiera, domem zajmuje się tylko od przypadku do przypadku, z którego to powodu panuje w nim zbutwiała

atmosfera zaduchu. „Pani Crippen nie lubiła świeżego powietrza i otwierania okien”

— powiedziała Harrison. — „W domu nie sprzątno regularnie, a jedynie w nagłych napadach. Rzadko otwierano okna w pokojach, łącznie z suteroną”. Pomimo rozmiarów domu — trzy piętra plus suterena — Belle nie chciała wydawać pieniędzy na służącą, choć wówczas służbę można było zatrudnić za pensję, która następnym pokoleniom wydałaby się śmieszna. Żeby ograniczyć ilość prac domowych, po prostu zamknęła sypialnie na najwyższym piętrze i ograniczyła dostęp do pozostałych pokoi. „Mieszkali praktycznie w kuchni, która też zawsze była brudna i zabałaganiona” — pisała Harrison. — „W suterenie z powodu braku wentylacji czuć było nieprzyjemnie piwnicą. Zawsze miałam dziwne przyprawiające o »gęsią skórkę« uczucie, kiedy tam schodziłam. Chociaż na tym samym poziomie znajdował się ogród, zawsze było tam ciemno i ponuro”.

Harrison wspominała wizytę w domu Belle, podczas której szczególnie jaskrawo objawiły się przeciwieństwa charakteru jej przyjaciółki. „Pewnego ranka, kiedy była zajęta, poszłam za nią do kuchni. Był ciepły, wilgotny dzień, a brudne okna były starannie zamknięte. Na kredensie leżały najróżniejsze rzeczy, w tym brudne naczynia, resztki jedzenia, kołnierzyki doktora, jej własne sztuczne loki, szpilki do włosów, szczotki, listy, złota torebka wysadzana kamieniami i wiele innych”. Piecyk gazowy pokryty był brązową rdzą i plamami jedzenia. „Na stole leżały paczki, półmiski, brudne noże, talerze, żelazko, miska i dzbanek od kawy”. A jednak, wśród całego tego bałaganu, na krześle leżała „niedbale” udrapowana biała szyfonowa suknia z jedwabnymi kwiatami.

Pod oknem, oczywiście zamkniętym, siedział jeden z kotów Belle. „Mała kotka, która była tu więźniem, drapała energicznie i bezskutecznie w okno, chcąc przyciągnąć uwagę przechodzącego Don Juana”.

* * *

Na pozór małżeństwo Crippenów wydawało się idyllą. Sąsiedzi z okolicznych domów zeznali, że często widywali parę pracującą razem w ogródku i że Belle przy tym śpiewała. Jane Harrison, która mieszkała obok, pod numerem 38, powiedziała, że „zawsze sprawiali wrażenie doskonałej pary, nigdy nie słyszałam, by się kłócili czy mówili sobie ostre słowa”. Czterokrotnie Harrison pomagała Belle w przygotowaniach do przyjęcia, w tym do dużej imprezy, którą jej sąsiadka wydała z okazji urodzin George’a Washingtona „Pony” Moore’a, kierownika trupy Blackface Moore and Burgess Christy Minstrels.

Ale ci, którzy przyglądali się dokładniej małżeństwu Crippenów, szybko odkrywali, że ich związek nie był taki znów idylliczny. Przez krótki czas Belle zatrudniała służącą, niejaką Rhodę Ray. „Państwo Crippen nie byli wobec siebie przyjaźni i bardzo mało ze sobą rozmawiali” — zeznała Ray. A przyjaciel domu, John Burroughs, stwierdził, że Belle potrafiła zachowywać się wobec męża „dość niecierpliwie”. Pewna zmiana w domowej rutynie Crippenów nie zaprzętnęła uwagi przyjaciół, ale za kilka lat miała nabrać ogromnego znaczenia. Po raz pierwszy od ślubu Crippenowie mieli osobne sypialnie.

Przyjaciele i sąsiedzi nie zauważyli też jednego — że Belle była samotna. Większość czasu spędzała w domu, choć często wychodziła na lunch, zwykle około pierwszej, a wracała koło trzeciej. Pocieszenia szukała w zwierzętach i wkrótce cały dom rozbrzmiewał miauczeniem, świergotem, a na koniec szczekaniem. Kupiła dwa koty, w tym eleganckiego białego persa, oraz siedem kanarków, które umieściła w dużej połączanej klatce — kolejny zwyczaj bardzo popularny w sąsiedztwie. Później razem z Crippenem kupili sobie bulterriera.

Wkrótce po przeprowadzce do nowego domu postanowiła przyjąć lokatorów i umieściła ogłoszenie w „Daily Telegraph”. W sypialniach na górze zamieszkało ostatecznie trzech młodych Niemców. Jeden z nich, Karl Reinisch, wspominał później, że Belle wymagała czegoś więcej niż czynszu.

Opisał swoją historię w liście, który obecnie znajduje się w posiadaniu Black Museum Scotland Yardu, dostępnym tylko dla policjantów i zaproszonych gości.

Dom miał „piękny ogród”, napisał Reinisch, a stał przy „cichej, lepszej ulicy” Uważał, że ma szczęście, że wybrano go na lokatora. „W owym czasie wynajmowanie pokoju u doktora Crippena było wyróżnieniem” — pisał. Crippen był „niezwykle cichym dżentelmenem, nie tylko wobec żony, ale również wobec mnie i wszystkich innych. Idealizował żonę i uprzedzał każde jej życzenie”. Przykładem było pierwsze Boże Narodzenie w nowym domu, w 1905 roku. „Doktor Crippen chciał sprawić żonie wielką niespodziankę, taką, która uczyniłaby ją bardzo szczęśliwą, a dokładnie sprezentował jej gramofon. Były one wówczas bardzo kosztowne. Pani Crippen, dobra pianistka, zachwycała się jak dziecko jego troskliwością, a doktor Crippen był jeszcze szczęśliwszy niż ona z powodu jej radości. Zadał sobie wiele trudu, by zdobyć ten gramofon”.

Crippen i Belle mieli odmienne charaktery, pisał Reinisch. Uważał, że Crippen był „niezwykle łagodny”, a Belle „tryskała życiem. Blondynka o ładnej twarzy i dużej, pełnej, powiedziałbym, że obfitej figurze”. Była „dobrą żoną, w przeciwieństwie do wielu angielskich kobiet. Sama gotowała, bardzo dobrze”. Zauważył, że pomimo „dobrej sytuacji materialnej” nie mieli służby.

Często Crippen i Belle zapraszali Reinischa i jednego z pozostałych lokatorów na partnerów do wista. „Pani Crippen potrafiła wpaść w wielką złość, jeśli przegrała pół pensa albo pensa, i być niezwykle szczęśliwa, jeśli wygrała podobną sumę. Pens nie był tu rzeczą najważniejszą, ale ambicja. Tylko po to, by żona się nie złościła, doktor Crippen poprosił mnie [...] bym często grał specjalnie źle, jak to robił i on, tylko po to, by pozwolić pani domu wygrać i w ten sposób ją uszczęśliwić”.

W sumie ich małżeństwo wydawało się Reinischowi dość dobre. „Małżeństwo, przynajmniej za moich czasów, było bardzo harmonijne” — napisał. „Ani razu nie zauważyłem jakichś nieporozumień czy urazy. Muszę wspomnieć, że prowadzili dość

samotne życie. To właśnie z tego powodu, żeby nie być cały czas sami, przyjęli mnie do swego domu. Czułem się bardzo dobrze w tej rodzinie i nigdy nie miałem wrażenia, że jestem jedynie sposobem na zarabianie pieniędzy, jak to się często dzieje gdzie indziej”.

Reinisch uważał, że to brak dzieci skłonił panią Crippen do szukania lokatorów.

„Ktoś musiał być w domu, jako »substytut« dzieci, ktoś godny zaufania i towarzyski” — pisał. — „Dlatego w momencie przyjmowania mnie na lokatora uczyniono warunek, że mam nie wychodzić wieczorami, tylko zostawać w domu i dotrzymywać towarzystwa [...]. Nie było to dla mnie łatwe, gdyż byłem młody, a młodzi chcą się zabawić w wielkim mieście. Nie miałem jednak powodów do żalu, gdyż towarzystwo pary kulturalnych ludzi miało na mnie jedynie dobry wpływ, a częste rozmowy przy kominku były bardzo urozmaicone, ożywcze i interesujące”.

Drugi lokator inaczej jednak postrzegał Crippenów. Opowiedział przyjaciółce Belle, Adeline Harrison o licznych kłótniach, które zawsze prowadziła tylko jedna strona, „Pani Crippen, pobudliwa i łatwo wpadająca w gniew, łajała męża. Crippen był zawsze blady, cichy i nieporuszony”.

* * *

Choć obecność Reinischa i innych lokatorów nieco zmniejszyła poczucie samotności Belle, spowodowała dodatkowe napięcia w jej stosunkach z Crippenem. Codziennie zmuszała męża do zaspokajania potrzeb gości, nawet w niedzielę, jedyny jego wolny od pracy dzień. „Musiał wstawać o szóstej rano, żeby wyczyścić lokatorom buty, nanieść węgla, nakryć do śniadania i w ogóle pomagać w domu” — pisała Adeline Harrison. Słał łóżka, mył naczynia, a w niedzielę pomagał przy gotowaniu południowego posiłku dla lokatorów. Wszystko odbywało się bez pomocy służby. „To był dla nich trudny okres i zupełnie niepotrzebny wysiłek, ponieważ Crippen zarabiał dobrze i dawał żonie dość pieniędzy na

wszystko”. Dochód z wynajmu Belle wydawała na kolejne suknie i biżuterię.

Po mniej więcej roku pozbyła się Niemców. Zdaniem przyjaciółki, praca z nimi związana stała się zbyt uciążliwa, choć możliwe, że na jej decyzję miał również wpływ rosnący strach przed niemieckimi szpiegami. W sobotni poranek, 23 czerwca 1906 roku, o dziewiątej trzydzieści Belle napisała: „Żałuję, ale ze względu na spodziewaną wizytę siostry będę potrzebować całego domu dla siebie, gdyż zamierzam wydawać wiele przyjęć, a obecność płatnych gości będzie kolidować z moimi planami. Spodziewam się, że znajdziecie wygodne kwatery gdzie indziej. Bądźcie łaskawi uczynić to w dogodnym czasie, gdyż nie chciałabym Panów ponaglać i chcę, byście się czuli jak w domu, póki u nas mieszkacie. Mam nadzieję, że zaszczyicie mnie swoją obecnością na moich cotygodniowych przyjęciach, kiedy moja siostra będzie u nas przebywać”.

* * *

Cechą charakteru Belle, która najmocniej rzutowała na życie pod numerem 39 na Hilldrop Crescent, była jej potrzeba dominacji nad Crippenem. Traktowała swego uległego i łagodnego męża na niemal tym samym poziomie co domowe zwierzęta. Należało decydować o jego życiu. „Był człowiekiem bez widocznych wad czy nawet zwykłych słabości” — pisała Adeline Harrison. — „Powściągliwość była jedynym świadectwem stanowczości w jego charakterze. Nie mógł palić: od papierosów chorował. Powstrzymywał się od konsumowania alkoholu, czy to wina, czy wódki, gdyż negatywnie wpływał na jego serce i trawienie. Pił słabe piwo i portera, a i to oszczędnie. Nie był to męski mężczyzna. Nigdy nie przyłączał się do zapasów na wesoło. Zawsze wracał do domu na czas i nigdy nie zjawiał się o drugiej nad ranem z głupim uśmiechem na twarzy i w towarzystwie kolegów z klubu”.

Wkrótce po przeprowadzce na Hilldrop Crescent Belle uparła się, żeby Crippen przeszedł na katolicyzm. Decydowała, jak ma się

ubierać. 5 stycznia 1909 roku na corocznej zimowej wyprzedaży u Jones Brothers, sprzedawców odzieży męskiej, kupiła mu trzy piżamy, które już wkrótce miały się okazać najważniejszym zakupem jej życia. To ona decydowała o kolorze i kroju jego garniturów. „Jego ekscentryczny gust czy to w kwestii krawatów, czy garniturów, można usprawiedliwić, zważywszy, że był odbiciem gustu kobiety” — napisała Harrison. — „Żona kupowała jego krawaty i decydowała o wzorze materiału na marynarki. Dyskutowała z krawcem o kolorze jego spodni, a on stał z boku i tylko się przyglądał, nie śmiejąc wyrazić własnej opinii”.

Jej potrzeba dominacji obejmowała również koty. Nigdy nie wypuszczała ich na dwór „z obawy, że padną ofiarą nielegalnej miłości” — jak pisała Harrison. Zmusiła natomiast Crippena, żeby wybudował im klatkę w ogrodzie.

Zawsze mogła poskromić męża groźbą odejścia. Trzymała na widoku przynajmniej jedną fotografię Bruce’a Millera. Jako przypomnienie.

Później Crippen zwierzył się przyjacielowi: „Nigdy nie lubiłem tego domu”.

* * *

W 1907 roku pewien mężczyzna wynajął pokój w budynku przy Wells Street, w odległości krótkiego spaceru na zachód od Tottenham Court Road. Przedstawił się właścicielowi jako pan Frankel, specjalista od chorób uszu. Był to niewielki człowiek o dużych wąsach i ciepłych, choć nieco wylupiastych oczach. Kiedy chodził, wyrzucał dziwnie stopę na zewnątrz. Zachowywał się grzecznie. „Pokoje, które zajmował Frankel, rzadko zajęte były w nocy” — opowiadał później właściciel. — „W ciągu dnia widywałem czasami, jak po schodach schodzi dziewczyna. Wyłaniała się z sypialni Frankela. Nie wiedziałem, kto to jest”.

Nieszczęście

W Poldhu nadal panowała fatalna pogoda. Według notatek Kempa rankiem 17 września stację zaatakowała wichura z południowego zachodu. Marconi był na miejscu. Wraz z Kempem i Flemingiem przeprowadzał eksperymenty wiążące się z generowaniem iskier. Wiatr się wzmacniał. „O pierwszej po południu wiatr zmienił kierunek na północno-zachodni, a nagle szkwały z coraz większą intensywnością uderzały w okrąg [z masztów]” — pisał Kemp.

Maszty zaczęły się chwiać. Gdy jeden zaczynał tańczyć na wietrze, sztag łączący wierzchołki powodował, że wszystkie szły w jego ślady. Wiatr zawodził wśród drutów.

Nagle jeden z masztów złamał się, ale nie zerwał sztagu i energia jego upadku przełożyła się na pozostałe maszty. Wszystkie runęły na ziemię — połowa zupełnie, kładąc się na nasiąkniętej deszczem ziemi niczym gigantyczny powalony las, a reszta sterczała z ruin pod dziwaczными kątami.

Nikt nie został ranny. Jakimś cudem nie ucierpiały również kondensatory, transformatory i generatory w budynkach pod anteną.

Marconi nie okazał zdenerwowania, ale w środku aż się gotował. Katastrofa była wielkim wyzwaniem dla jego marzenia o przesłaniu sygnału przez Atlantyk. Odmówił odłożenia próby.

Pod jego kierunkiem w Poldhu wzniesiono dwa nowe pięćdziesięciometrowe maszty, a pomiędzy nimi przeciągnięto gruby kabel. Odchodziły od niego pięćdziesiąt cztery niez izolowane miedziane druty, każdy o długości czterdziestu pięciu metrów, zbiegające się nad budynkiem kondensatora i tworzące na niebie gigantyczną wachlarzową muszlę. Z tym kształtem nie wiązało się żadne konkretne prawo fizyki. Po prostu Marconi uznał, że jest właściwy.

Siedem dni po katastrofie nowa antena została ukończona. Wkrótce potem Marconi wypróbował ją podczas pierwszych próbnych transmisji do stacji na Lizard.

Kiedy prowizoryczna antena znalazła się na miejscu, polecił rozpocząć budowę stałej stacji. Miała się składać z czterech wież, o wysokości sześćdziesięciu metrów każda, zbudowanych z układanych w kratownicę pni sosnowych. Stanowiły one narożniki czworokąta o powierzchni osiemnastu metrów kwadratowych, a ich wierzchołki połączyć miał gruby kabel ze skręconego drutu, od którego odchodzić miało przynajmniej dwieście drutów tworzących gigantyczną odwróconą piramidę sięgającą do dachu budynku kondensatora. Tym razem Marconi dopilnował, by wieże zdolne były przetrwać najgorszą pogodę, jaka się zdarza w Kornwalii.

Ale budowa równie ogromnej stacji zajęłaby miesiące, a Marconiego nie stać było na tak wielkie opóźnienie w transatlantyckim eksperymencie. Jego niecierpliwość wynikała częściowo ze względów praktycznych. Martwił się, że rada nadzorcza straci zaufanie do projektu. Jak dotąd, choć niechętnie, pozwoliła mu wydać 50 000 funtów na stacje w Poldhu i South Wellfleet — na dzisiejsze pieniądze mniej więcej 5,4 miliona dolarów — musiał więc udowodnić, że były to pieniądze dobrze wydane. Zważywszy, że jedna z tych stacji legła w ruinie, trudno mu było o podobny dowód. Poza tym, jak zawsze, martwił się rosnącą konkurencją, szczególnie ze strony firm amerykańskich. Dotąd nie mógł przeboleć porażki podczas ostatniego Pucharu Ameryki. No i zdawał sobie sprawę, że oceanicznych planów nie da się już długo utrzymać w tajemnicy.

Ale nadrzędną motywację czerpał jak zwykle ze swego wnętrza. Instynktownie czuł, że jego sygnały mogą przekroczyć Atlantyk, choć prawa fizyki w ówczesnym pojęciu nie dopuszczały takiej możliwości.

Jego pewnością zwiększył fakt, że tymczasowa antena w Poldhu wciąż umożliwiała komunikację ze stacją w Crookhaven w Irlandii, odległą o 360 kilometrów. Podobny wpływ miał nowy wynalazek,

jaki wpadł w jego ręce. W sierpniu jego przyjaciel i rodak, Luigi Solari, oficer Włoskiej Marynarki, złożył wizytę w Poldhu i przywiózł mu nowy koherer opracowany przez wojskowego sygnalistę. Marconi wypróbował go i stwierdził, że jest o wiele bardziej czuły niż jego własne najlepsze odbiorniki.

Opracował nowy plan. 4 listopada 1901 roku posłał Kempowi konwencjonalny telegram: BĄDŹ GOTÓW TOWARZYSZYĆ MI NA NOWĄ FUNDLANDIĘ 16 BIEŻĄCEGO MIESIĄCA. JEŚLI POTRZEBUJESZ URLOPU, WEŹ GO TERAZ. MARCONI.

Nic nie powiedział o swoich zamiarach Flemingowi.

* * *

Marconi był w dostatecznym stopniu realistą, by zdawać sobie sprawę, że jego tymczasowa stacja raczej nie zdoła wygenerować fal zdolnych dotrzeć do Cape Cod. Ale Nowa Fundlandia dawała większe możliwości. Była położona dużo bliżej Wielkiej Brytanii, a przecież po drugiej stronie Atlantyku. Ponadto obsługiwał ją podwodny kabel, należący do American Telegraph Co., która to firma miała monopol na telegrafię między Brytanią a Nową Fundlandią. Ten fakt miał dla Marconiego żywotne znaczenie. Musiał dysponować możliwością wysyłania i otrzymywania zwykłych telegramów, jeśli chciał pokierować pracą operatorów w Poldhu i oceniać przebieg eksperymentu.

Stała jednak przed nim najpoważniejsza przeszkoda. W jaki sposób wznieść szybko stację odbiorczą na Nowej Fundlandii, wyposażoną w dostatecznie wysoką antenę, by zdołała przyjąć sygnały wysyłane z tymczasowej stacji w Poldhu? Aby to uczynić, musiałyby mieć antenę o wysokości kilkudziesięciu metrów.

Wpadł wówczas na nowatorskie rozwiązanie, które słusznie trzymał w tajemnicy, ponieważ gdyby jego udziałowcy je poznali, zaufanie, jakie pokładali w nim i jego firmie, zapewne gwałtownie by spadło.

* * *

Kemp spakował się, podobnie jak drugi inżynier, Percy Paget. We wtorek 26 listopada 1901 roku wraz z Marconim weszli w Liverpoolu na pokład „Sardiniana”, statku należącego do Allan Line, a płynącego na Nową Fundlandię. Marconi miał ze sobą własne koherery oraz wersję włoskiego sygnalisty, którą podarował mu Solari. W ładowni statku znajdowały się dwa duże balony wykonane z bawełny i jedwabiu, które po napełnieniu gazem osiągały średnicę czterech metrów. Zapakowano tu również kilka dużych pojemników z wodorem do napełniania balonów, szpule z tysiącami metrów miedzianego drutu oraz materiały do budowy sześciu latawców o wymiarach dwa na trzy metry, zdolnych unieść człowieka.

Balony i latawce, napisał później Marconi, były koniecznym ustępstwem na rzecz pośpiechu i pogody „ponieważ o tej porze roku, z powodu surowej aury oraz krótkiego czasu, jaki mieliśmy do dyspozycji, niemożliwe było wzniesienie wysokich masztów podtrzymujących antenę”. Jego pomysł polegał na tym, by za pomocą balonów i latawców unieść drut na wysokość 120 metrów — dwukrotnie większą niż wysokość masztów w Cape Cod. Wydał polecenie, by operatorzy z Poldhu o określonych porach rozpoczynali nadawanie. Kiedy odbierze sygnał, zamierzał udać się do stacji w South Wellfleet i wysłać odpowiedź, w ten sposób osiągając coś na kształt łączności dwustronnej przez Atlantyk.

Tego wieczoru, kiedy „Sardinian” stał jeszcze w porcie, Marconi, Kemp i Paget zasiedli do kolacji, swego pierwszego posiłku na pokładzie. Był on wystawny: doskonale dania i świetne wino. Na statku było ciepło i wygodnie, obsługa bez zarzutu — nic dziwnego, skoro trzech mężczyzn stanowili mniej więcej połowę pasażerów statku. Paget i Kemp dzielili kabinę. Marconi miał własną.

W połowie posiłku doręczono Marconiemu telegram.

* * *

Listopad w South Wellfleet okazał się bardzo srogi. Biuro Meteorologiczne określiło go jako najzimniejszy listopad „od wielu

lat”, z „niezwykle niską” średnią temperaturą. Przez cały miesiąc wiał wiatr, padał deszcz ze śniegiem i śnieg, ale szczególnie ciężki okazał się ostatni tydzień. W sobotnią noc, 23 listopada, zaczął wiać wiatr z północnego wschodu i wiał tak przez cały następny dzień. Przez dwa kolejne dni prędkości podmuchów na Block Island osiągała 130 kilometrów na godzinę, czyli siłę huraganu. Podniesiono flagi sztormowe.

We wtorek 26 listopada sztorm osiągnął swój szczyt. Raz po raz w urwisko uderzały silne podmuchy wiatru. Maszty zaczęły się chwiać. Sztąg łączący ich wierzchołki sprawiał, że poruszały się jednomyślnie jak tancerze.

Ów taniec okazał się fatalny. Stację w South Wellfleet dotknęło to samo nieszczęście, które zniszczyło jej siostrę w Poldhu. Jeden maszt runął. Potem reszta. Fragment grubości pnia drzewa przebił dach pokoju nadawczego. Inny omal nie przywalił Richarda Vyvyana. Upadł „w odległości metra od miejsca, gdzie wtedy stałem” — wspominał Vyvyan.

Stacja legła w ruinie. Wielka inwestycja Marconiego zmieniła się w stos potrzaskanych kolumn, bramsteng i bombramsteng.

* * *

Vyvyan wysłał informację o katastrofie za pomocą podmorskiego kabla do londyńskiej siedziby firmy, a ta przekazała ją Marconiemu, który jadł wówczas kolację na pokładzie „Sardiniana”. Telegram był zwięzły: MASZTY RUNĘŁY W CAPE COD.

Książka trucizn

We wrześniu 1908 roku Ethel Le Neve zamieszkała w domu oddalonym o kilka przecznic na południe od Hampstead Heath i jakieś dwa kilometry na zachód od Hilldrop Crescent. Należał on do Emily i Roberta Jacksonów. Robert był „podróżnikiem”, czyli domokrażcą pracującym dla firmy sprzedającej wodę mineralną. Jego żona zajmowała się wynajmem pokoi i przygotowywała dla lokatorów posiłki. Pani Jackson i Ethel od razu się zaprzyjaźniły. Co wieczór, kiedy panna Le Neve wracała z pracy, gospodyni przynosiła jej do pokoju filiżankę herbaty, po czym rozmawiały przez chwilę o tym, co się wydarzyło w ciągu dnia. Wkrótce Ethel zaczęła nazywać panią Jackson „mama”.

Emily Jackson nie miała pojęcia, że Ethel jest w czwartym miesiącu ciąży, ale stało się to oczywiście dwa tygodnie później, kiedy jej lokatorka przeszła, jak to określiła, „poronienie”, choć mógł to być jedynie eufemizm. Nie było wówczas wiele kobiet lekarzy, ale jedna z nich, Ethel Vernon, przyszła do domu Jacksonów zająć się niedysponowaną lokatorką. „Nigdy nie widziałam dziecka” — zeznała potem pani Jackson — „Byłam w pokoju, kiedy panna Vernon zapytała, gdzie ono jest”. Le Neve mówiła, że nie wie, „ale w końcu powiedziała, że była w łazience, kiedy poczuła, że coś z niej wypada”.

Lekarka i pani Jackson przepętały Ethel „wnikliwie”, kim jest ojciec dziecka, ale nie chciała wyjawic jego nazwiska.

Panna Le Neve zachorowała, a pani Jackson zajęła się nią jak własną córką. Dwa lub trzy dni później chorej złożył wizytę Crippen. Dał pani Jackson swoją wizytówkę i zapytał, czy może zobaczyć się z Ethel. Wizyta trwała tylko kilka minut. Tydzień później wrócił, ale i tym razem wizyta była równie krótka. Pani Jackson stwierdziła później: „Myślałam, że to najmilszy człowiek

na świecie”. Ethel pozostała w łóżku przez dwa tygodnie, po czym wróciła do pracy.

* * *

Crippen nadal związany był z Munyonem, ale większość energii poświęcał własnej firmie. Była to praktyka dentystyczna, którą uruchomił wraz z nowozelandzkim dentystą, Gilbertem Mervinem Rylance’em. Nazwali swoje przedsięwzięcie Yale Tooth Specialists. „On był finansistą, a ja dentystą” — zeznał Rylance. Crippen zarządzał firmą i produkował niezbędne środki znieczulające. Zyski zgodzili się dzielić po połowie. Gabinet znajdował się w budynku, gdzie Crippen pracował już poprzednio, w Albion House na New Oxford Street. Miało tam też swoją siedzibę Stowarzyszenie Pań Artystek. Crippen nadal tworzył i sprzedawał leki własnego pomysłu, w tym lek na głuchotę o nazwie Horsorl.

Poronienie nadało odmienny ton związkowi Ethel z Crippenem. Niegdyś ich stosunki były beztroskie i śmiałe, szczególnie zważywszy na bliskość Stowarzyszenia Pań, ale teraz pojawiło się poczucie straty, pod wpływem której miłość Ethel do Crippena stała się głębsza. Coraz trudniej przychodziło jej znosić fakt, że co wieczór wraca on do domu, do żony, kiedy ona tkwi samotnie w pokoju w Hampstead.

* * *

Stowarzyszenie Pań Artystek nie ustawało w swej dobroczynnej pracy. Członkinie lubiły Belle Elmore i podziwiała jej energię, a Belle odwzajemniała ich sympatię. Choć sama nie występowała, codziennie spotykała się z ludźmi, którzy tym się zajmowali, i przynajmniej chwilowo wydawało się, że to jej wystarcza. Jediną ciemną chmurą w jej życiu był mąż. Zapewniała go raz po raz, że zna wielu mężczyzn, którzy jej pragną. Coraz częściej ponawiała groźbę, że go opuści.

Najwyraźniej nie zauważyła, że groźba straciła siłę. Crippen był zakochany w Ethel Le Neve i obiecał jej, że pewnego dnia uczyni ją swoją żoną. Uważał, że to ona powinna dzielić jego łóżko. Odejście Belle byłoby dla niego błogosławieństwem, gdyż

porzucenie małżonka stanowiło jeden z tych nielicznych powodów, który prawo brytyjskie uznawało za podstawę do udzielenia rozwodu.

Z kolei Crippen nie zauważył, że Belle traktuje swą groźbę coraz poważniej i że nawet zaczyna planować odejście. Ich rachunek oszczędnościowy w Charing Cross Bank na Strand zawierał teraz 600 funtów (ponad 60 000 dolarów według dzisiejszej wartości pieniądza). Zgodnie z regulaminem banku oboje, i Belle, i Crippen mieli prawo wycofać pieniądze bez konieczności podpisu współwłaściciela konta. Był też jednak i haczyk. Na żądanie można było wypłacić wyłącznie odsetki. Zamknięcie konta lub wycofanie części kapitału wymagało poinformowania banku na rok naprzód.

15 grudnia 1909 roku bank otrzymał zawiadomienie o zamiarze wycofania całej sumy. Podpisane było tylko przez Belle.

* * *

Belle była hojna dla swych nowych przyjaciółek ze Stowarzyszenia. W piątek 7 stycznia przyszła do siedziby Stowarzyszenia wraz z Crippenem i podarowała jednej z koleżanek, Louie Davis, drogi prezent urodzinowy, naszyjnik z koralu. Trapiła się czymś, co przydarzyło się jej poprzedniej nocy i wręczając pani Davis prezent, powiedziała: „Już myślałam, że nie zdołam tu dziś przyjść i ci tego dać. Obudziłam się w nocy, ponieważ zaczęłam się dusić. Aż nawet chciałam posłać Petera po księdza. Dusiałam się i było tak ciemno”.

Tu zwróciła się do Crippena: „Prawda, kochanie?”.

„Tak” — przyznał Crippen. — „Ale teraz czujesz się już dobrze”.

Cała trójka udała się potem do pobliskiej herbaciarni Lyons & Co, jak zwykle zatłoczonej. Tam Belle ponownie opowiedziała swą historię, dodając jej dramatyzmu.

„Nigdy tego nie zapomnę” — zapewniła. — „To było coś okropnego”.

Przyłożyła rękę do gardła.

Davis zdziwiła się, że Belle opowiada coś takiego, ponieważ jedną z jej najbardziej rzucających się w oczy cech było doskonałe

zdrowie. Jak stwierdziła jedna z przyjaciółek, Belle „nie wiedziała chyba, co to ból”.

Przy herbacie Crippen zrzucił winę za ten incydent na niepokój wiążący się z pracą Belle w Stowarzyszeniu. Nalegał, by zrezygnowała, zresztą radził jej to już wcześniej. A ona, tak samo jak wcześniej, zupełnie zignorowała jego radę. Zapewne jednym z powodów, dla których Crippen namawiał Belle do rezygnacji z członkostwa w Stowarzyszeniu, była chęć pozbycia się jej z Albion House. Była tu niemal cały czas obecna, zmuszając męża i jego kochankę do zachowywania uciążliwej powściągliwości.

Rozmowa w Lyons potoczyła się dalej.

* * *

W sobotę 15 stycznia 1910 roku Crippen wyszedł ze swego biura i ruszył New Oxford Street do pobliskiego sklepu prowadzonego przez panów Lewisa i Burrowsa, aptekarzy. Zawsze kupował tu składniki, których używał do przygotowywania leków i anestetyków. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy kupował kwas solny, wodę utlenioną, sole morfiny i — w największych ilościach — kokainę. Tę ostatnią kupił dziewięć razy w ciągu roku, w sumie 170 granów. Dziś jednak potrzebował czegoś szczególnego. Poprosił sprzedawcę, Charlesa Hetheringtona o pięć granów bromowodorku hioscyny, czyli skopolaminy.

Zamówienie nie zdziwiło Hetheringtona. Znał Crippena i lubił go. Doktor zawsze się uśmiechał i roztaczał wokół siebie aurę życzliwości. Częściowo z powodu swego wyglądu — siwiejące włosy i broda sprawiały, że wydawał się przystępny, a oczy, powiększone przez szkła okularów, nadawały mu wrażliwy wygląd. Hetherington wiedział również, że Crippen produkuje homeopatyczne leki i dentystyczne anestetyki i że hioscynę stosuje się czasami w środkach uspokajających.

Nie mógł jednak zrealizować tego zamówienia. Hioscyna była niezwykle niebezpieczną trucizną, rzadko używaną, i nie miał jej w magazynie. W ciągu trzech lat, które przepracował u Lewisa i Burrowsa, sklep nigdy nie miał tak wielkiego jej zapasu.

Powiedział Crippenowi, że będzie musiał ją zamówić i że powinna być do odbioru za kilka dni.

* * *

Hetherington przekazał zamówienie telefonicznie do hurtowni farmaceutycznej, British Drug Houses Ltd., „największej firmy farmaceutycznej w Londynie, a zapewne i w Anglii” — wedle słów jej dyrektora, Charlesa Alexandra Hilla.

Nie było problemów z realizacją zamówienia, gdyż hurtownia posiadała zwykle na stanie dwieście granów. Dostawcą trucizny była firma Merck & Co. z Darmstadt w Niemczech. Hioscyna miała „bardzo ograniczony popyt”, powiedział Hill. Zwykle apteki zaopatrywały się jednorazowo w nie więcej niż jeden gran, choć raz pewna hurtownia zamówiła trzy grany, a szpital piętnaście, największe pojedyncze zamówienie, jakie sobie przypominał.

Firma wysłała pięć granów skopolaminy do firmy Lewis & Burrows 18 stycznia, wraz z innymi związkami zamówionymi przez sklep.

* * *

Następnego dnia, w środę 19 stycznia, Crippen znów zaszedł do Lewisa & Burrowsa i zapytał o swoje zamówienie.

Zwykle kiedy kupował trucizny — głównie morfinę i kokainę — sprzedawcy nie kazali mu się wpisywać do książki trucizn, w której rejestrowali sprzedaż „wyszczególnionych” specyfików. „Nie żądaliśmy tego od niego, ponieważ go znaleźliśmy i wiedzieliśmy, że zajmuje się medycyną” — wyjaśnił Harold Kirby, zatrudniony w sklepie jako sprzedawca.

Jednak w tym przypadku sklep poprosił o taki wpis, z uwagi na niezwykłą naturę zamówienia oraz moc trucizny. Crippen „nie okazał najmniejszych obiekcji” — zeznał Kirby.

Formularz wymagał podania „nazwiska kupca” i tu Crippen wpisał „Munyon za pośrednictwem H.H. Crippena”, choć obecnie prawie nie był już związany z tą firmą. W rubryce „cel zakupu” wpisał „preparaty homeopatyczne”. Złożył podpis.

Kirby podał mu niewielką fiolkę zawierającą maleńkie kryształki ważące jedynie 0,28 grama, a jednak zdolne zabić dwudziestu ludzi. Crippen włożył fiolkę do kieszeni i wrócił do Albion House.

Tajemnica latawców

Pomimo wieści z South Wellfleet Marconi, Kemp i Paget wypłynęli zgodnie z planem na Nową Fundlandię. Rejs zajął dziesięć dni, a zepsuł go, jak to określił Kemp, „okropny sztorm” i śnieżycy na morzu.

Na brzegu na Marconiego czekał tłum reporterów i miejscowych dygnitarzy. Aby ukryć prawdziwy cel przyjazdu, wynalazca dał do zrozumienia, że przybył na Nową Fundlandię, żeby zbadać pewne aspekty komunikacji statków z lądem. Na poparcie swego fortelu wysłał telegram do Cunard Line w Liverpoolu z pytaniem o położenie wyposażonych w bezprzewodowy telegraf statków, „Lucanii” i „Campanii”. „Uważał, że jeśli zdradzi za wcześnie swój cel i poniesie porażkę, skompromituje to jego system [...] natomiast jeśli odniesie sukces, będzie on tym większy, że zupełnie nieoczekiwany”.

Wkrótce po zejściu na ląd Marconi zaczął szukać dogodnego miejsca na przeprowadzenie doświadczeń z latawcami i balonami. Zdecydował się na „wysokie wzgórze”, które zauważył jeszcze ze statku, a które nosiło bardzo odpowiednią nazwę, Wzgórze Sygnałowe, ponieważ w przeszłości wykorzystywane było do łączności wzrokowej. Wznosiło się na 90 metrów nad wybrzeżem, a na jego szczycie znajdował się płaskowyż o powierzchni dwóch akrów. Marconi i Kemp postanowili umieścić nadajnik i inny sprzęt w budynku stojącym na płaskowyżu, który niegdyś służył jako szpital.

W poniedziałek 9 grudnia, trzy dni po przybyciu na miejsce, zaczęli pracę na poważnie. Zakopali w ziemi dwadzieścia blach cynkowych, by zapewnić uziemienie, złożyli dwa latawce i naoliwili powłokę jednego balonu, aby nie przepuszczała wodoru.

Przed wyruszeniem z Anglii Marconi wydał swoim operatorom z Poldhu dokładne polecenia. Mieli poczekać na telegram od niego, ustalający datę rozpoczęcia nadawania. Nade wszystko pragnął zachować tajemnicę, ponieważ wiedział, że informacje wyciekają z biur telegrafu równie łatwo jak woda z durszlaka. Ustaliwszy sposób postępowania, mógł się potem ograniczyć do wysłania telegramu z samą datą, bez szczegółowych instrukcji. W wyznaczony dzień o trzeciej czasu Greenwich jego stacja w Poldhu miała rozpocząć nadawanie litery S, czyli trzech kropek. Wybrał tę literę nie z powodów sentymentalnych, dla upamiętnienia swego pierwszego wielkiego sukcesu na trawniku przy Villa Griffone, ale ponieważ nadajnik Poldhu potrzebował tak wiele energii, że obawiał się, iż przytrzymywanie klucza, konieczne do nadania kreski, może wywołać zjawisko łuku elektrycznego zamiast iskry i spalić sprzęt. Operatorzy mieli wysyłać dziesięciominutowe salwy po 250 s, oddzielone pięciominutowymi przerwami. Przerwy były konieczne, ponieważ klucz zdolny do sterowania taką mocą miał więcej wspólnego z dźwignią pompy wodnej niż z kluczem zwykłego telegrafu. Jego naciskanie wymagało niemałej siły i wytrzymałości.

W poniedziałek Marconi wysłał telegram do Poldhu. Wiadomość brzmiała po prostu: ZACZNIJCIE W ŚRODĘ JEDENASTEGO.

Jak dotąd udało mu się utrzymać w tajemnicy prawdziwy cel swego przyjazdu. Tylko „New York Herald” pofatygował się wysłać korespondenta na Wzgórze Sygnałowe, i teraz gazeta donosiła, że Marconi „ma nadzieję zakończyć prace w czwartek lub w piątek, kiedy to spróbuje się połączyć z „Lucanią”, liniowcem Cunarda, który wypłynął z Liverpoolu w sobotę”.

We wtorek Kemp i Paget dokonali próbnego wypuszczenia latawca. Wzniósł się w niebo, ciągnąc za sobą antenę, tworzoną przez 150 metrów drutu. Pogoda była dobra, a latawiec z łatwością unosił się w powietrzu. Następnego dnia, w środę, kiedy miało się rozpocząć nadawanie, pogoda zmieniła się radykalnie.

Jakżeby inaczej.

We wzgórzu uderzył silny wiatr i łopotał połami płaszczy ludzi Marconiego. Postanowili spróbować najpierw z balonem, mając nadzieję, że w taką pogodę okaże się bardziej stabilny. Napętnili balon setkami metrów sześciennych wodoru i wypuścili go w powietrze, a Kemp z całych sił przytrzymał linę kotwiczną. Tym razem drut miał 180 metrów długości. Powłoka balonu, uszyta z bawełny oraz jedwabiu i rozdęta przez gaz do średnicy czterech metrów, działała jak ogromny żagiel. W dzienniku Kemp zanotował, że miał z nim „wielkie kłopoty”.

Nagle wiatr wzmógł się gwałtownie. Balon uniósł się na wysokość mniej więcej 30 metrów, kiedy Marconi uznał, że pogoda jest zbyt zła na doświadczenia. Zaczęli ściągać balon na ziemię.

Podczas tego procesu zerwał się z uwięzi. Gdyby poleciał w innym kierunku, „ja poleciałbym razem z nim, gdyż prędkość była równa prędkości pocisku” — zanotował Kemp.

Balon, wlokąc za sobą 180 metrów drutu, który płynął w powietrzu, tworząc wdzięczny łuk, wedle słów Marconiego: „zniknął w nieznanym stronach”.

* * *

Marconi powiedział reporterowi z „Heralda”: „Dzisiejszy wypadek opóźni nasze prace o kilka dni. Połączenie się ze statkiem Cunarda nie będzie możliwe w tym tygodniu, mam jednak nadzieję osiągnąć je w przyszłym, z liniowcem, który wypływa z Nowego Jorku w sobotę”.

* * *

Następnego ranka, w czwartek 12 grudnia, nad płaskowyżem na Wzgórzu Sygnałowym szalała, jak to nazwał Marconi, „dzika wichura”.

„Doszedłem do wniosku, że być może latawce zachowują się lepiej” — napisał i pomimo wichury Kemp i Paget zabrali się za przygotowania. Tym razem przyczepili dwa druty, każdy o długości 155 metrów. Łopocząc połami płaszczy, puścili latawiec prosto w

wichurę. Nurkował co chwila i bardzo się chybotał, ale wzniósł się szybko na wysokość mniej więcej 120 metrów.

„To był pochmurny, wietrzny dzień” — pisał Marconi. — „U podnóża urwiska, 90 metrów pod nami, ryczało lodowate morze. Daleko, wśród mgły, rozróżniałem niejasne kontury przylądka Spear, najbardziej na wschód wysuniętego punktu Ameryki Północnej. Za nim ciągnął się ocean — od wybrzeża Wielkiej Brytanii dzieliło nas ponad trzy tysiące kilometrów. Po drugiej stronie portu, na otulonym mgłą wzgórzu wznosiło się miasteczko St. John’s”.

Kiedy latawiec wzbił się w powietrze, Marconi, Kemp i Paget uciekli przed wichurą do budynku. „Wobec wagi tego, o co walczyliśmy, postanowiłem nie ufać zwykłej procedurze automatycznego rejestrowania sygnałów z koherera na papierowej taśmie przez rejestrator Morse’a” — napisał Marconi. Zamiast tego podłączył do odbiornika słuchawkę telefonu, „gdyż ludzkie ucho jest daleko bardziej czułe niż rejestrator”.

W owej chwili wydawało się to rozsądną decyzją.

* * *

Nie tylko prasa utrzymywana była w nieświadomości. Ambrose Fleming opuścił Poldhu 2 września i wkrótce potem wyruszył na swe pierwsze od lat wakacje. Pomimo kluczowej roli, jaką odegrał w projektowaniu, zasilaniu i dostrajaniu nadajnika w Poldhu, nic nie wiedział o próbie właśnie przeprowadzanej na Nowej Fundlandii. Wróciwszy z wakacji, zajął się swoimi obowiązkami w University College w Bloomsbury oraz pracą nad ważnym przemówieniem — wykładem bożonarodzeniowym w Instytucie Królewskim.

Z powodów, które pozostają niejasne, Marconi odsunął Fleminga dokładnie od tego, do czego go zatrudnił. Być może było to niedopatrzenie, spowodowane zamieszaniem wokół zniszczenia stacji w Poldhu i South Wellfleet, ale mogło też być kolejnym przykładem ataku uczuciowej tępoty Marconiego i lekceważenia potrzeb innych ludzi.

* * *

Latawiec podskakiwał w powietrzu i usiłował zerwać linę, która wiązała go nad płaskowyżem. W wyznaczonym czasie Marconi przyłożył słuchawkę do ucha. Nie słyszał nic prócz zakłóceń i wycia wiatru. Każdy kolejny podmuch nawiewał do pokoju zapach zimy.

W Poldhu operator zaczął uderzać w klucz, nadając kropki.

Z pewnością każdemu obserwatorowi przedsięwzięcie musiało się wydać całkowicie beznadziejne, z góry skazane na śmieszność — trzech ludzi skulonych wokół prymitywnego aparatu, a 120 metrów nad nimi ogromny latawiec. Gdyby nie atmosfera pełnego powagi skupienia, cała scena równie dobrze mogłaby być karykaturą Marconiego, opublikowaną przez „Puncha”.

Nieszczęsna miłość

Pod koniec stycznia 1910 roku pani Jackson, przyjaciółka Ethel i właścicielka domu, w którym panna Le Neve wynajmowała pokój, dostrzegła niepokojącą zmianę w jej zachowaniu. Zwykle lokatorka wychodziła do pracy o dziesiątej rano, a wracała o szóstej lub siódmej wieczorem, witając się ciepło z panią Jackson. Łączyły ich stosunki przypominające jako żywo relację matki i córki. Ale teraz jej zachowanie było „raczej dziwne, czasami odzywała się do mnie, a czasami nie i była wyraźnie przygnębiona. Ludzie to widzieli”.

Po kilku takich wieczorach gospodyni postanowiła spytać Ethel o powód przygnębienia, choć Londyn w środku zimy — taki ciemny, zimny i deszczowy, z ulicami pełnymi błota i gnoju — był w stanie przygnębić każdego.

Jak zwykle udała się za Ethel do jej pokoju. W przyjemniejszych czasach spędziłyby tu wieczór na rozmowie o pracy i różnych nowinach. Najbardziej niepokojące były te o rosnącej sile Niemiec i niemal pewnej inwazji, wzbudzone na nowo przez przerażającą i szalenie popularną sztukę *An Englishman's Home* Guya du Maurier.

Początkowo Ethel milczała. Rozebrała się, włożyła strój nocny i rozpuściła włosy, które opadły jej na ramiona. Policzki nadal miała zaczerwienione od mrozu, włosy ciemne i gęste. Była naprawdę śliczna, choć wyraźnie smutna. Zaczęła nawijać włosy na wałki — zapewne na ów ostatni postęp we fryzjerstwie, Hinde's Patent Brevetee, które miały rdzeń z twardej gumy o długości mniej więcej ośmiu centymetrów i dwie równoległe metalowe zapinki.

Miała z tym trudności. Jej ruchy były gwałtowne i niezgrabne, palce jej drżały. Zawinęła włosy, potem znów je rozpuściła i „przeczesała palcami, po czym spojrzała prosto w kąt pokoju,

trzęsąc się gwałtownie” — opowiadała Jackson. Miała „w oczach okropny wyraz”.

Gospodyni była zbyt zaniepokojona, by wyjść. Została z Ethel prawie do drugiej nad ranem. Nalegała, by wyznała, co ją dręczy, ale dziewczyna mówiła tylko, że nie ma to nic wspólnego z panią Jackson.

— Idź do łóżka — powiedziała. — Rano poczuję się lepiej.

Dziewczyna położyła się i odwróciła twarzą do ściany. Pani Jackson posiedziała przy niej jeszcze trochę, a potem wyszła.

* * *

Rano Ethel się nie polepszyło. Pani Jackson przyniosła jej do pokoju herbatę. Później, po wyjściu męża — którego sympatia dla lokatorki znacznie się zmniejszyła od czasu poronienia — Ethel zeszła do kuchni na śniadanie. Nic nie zjadła. Wstała i włożyła płaszcz, szykując się do wyjścia do pracy. Pani Jackson ją zatrzymała.

— Nie pozwolę ci wyjść z domu w tym stanie — oznajmiła.

Było dla niej jasne, że Ethel jest zbyt chora, by pracować. Zadzwoiła do Crippena do Albion House, a potem wróciła do swej przyjaciółki.

— Na miłość boską, powiedz mi, co się stało, czy znowu jesteś przy nadziei? — zapytała.

Ethel odparła, że nie.

Pani Jackson nie ustępowała. „Powiedziałam jej, że coś musi ją dręczyć i to coś okropnego, gdyż inaczej nie byłaby w takim stanie”.

— Musisz zrzucić to z siebie, albo oszalejesz — nakazała swej lokatorce.

Ethel odparła, że opowie jej o tym po obiedzie, ale dwie godziny później zeszła na dół i zapytała:

— Czy będzie pani zaskoczona, jeśli powiem, że to doktor?

Pani Jackson uznała, że Ethel mówi o ojcu dziecka, którego utrata z jakichś przyczyn przypomniła się jej i spowodowała tak

wielki wybuch żalu.

— Po co martwisz się tym teraz, skoro to już przeszłość? — zapytała.

Ethel wybuchnęła płaczem.

— Chodzi o pannę Elmore.

To zaniepokoiło panią Jackson. Nazwisko nie było jej znane. Ethel nigdy nie wspominała o nikim takim — była tego pewna.

— Kto to jest? — spytała.

— Jego żona. Bardzo cierpię, kiedy widzę, jak doktor z nią wychodzi. Widzę wtedy swoje położenie, to kim ona jest, a kim jestem ja.

W tej kwestii pani Jackson okazała jej niewiele współczucia.

— Po co zawracasz sobie głowę mężem innej kobiety?

Ethel odparła, że żona Crippena grozi odejściem z innym mężczyzną i że ma nadzieję, że się rozwiódą.

— Nie sądzisz, że on żąda od ciebie zbyt wiele? — spytała pani Jackson. — To bardzo niegodziwe, zważywszy na twój wiek. Powiedz mu to, co powiedziałaś mnie. Powiedz mu, co czujesz w związku ze swoją pozycją.

Ethel została w swoim pokoju przez resztę dnia. Ale następnego ranka wróciła do pracy i porozmawiała z Crippenem, tak jak radziła pani Jackson. Doktor zapewnił ją, że ma zamiar ożenić się z nią w przyszłości.

Tego wieczoru Ethel podziękowała pani Jackson za to, że mogła się jej zwierzyć ze swoich kłopotów. Od tej chwili jej nastrój zaczął się poprawiać. Jak to ujęła pani Jackson, „wydawała się dużo pogodniejsza”. Wróciły ich wieczorne rozmowy, choć teraz do palety tematów dołączył jeszcze jeden, nowy i interesujący.

* * *

Choć Crippenowie mieszkali na północnych obrzeżach Londynu, korzystali w pełni z nocnego życia miasta. Elektryczne tramwaje, motorowe autobusy i rewolucja w kolejce podziemnej, którą spowodowało przejście z lokomotyw parowych na elektryczne,

sprawiły, że podróże po mieście stały się rzeczą łatwą. Mniej więcej w 1907 roku w użycie weszło nowe słowo, „taksometr”. Określano nim wynalezione w Niemczech urządzenie, które pozwalało dorożkarzom jednym rzutem oka określić, ile powinien im zapłacić klient. W krótkim czasie, na jego bazie powstało słowo „taksówka”, które stosowano na określenie każdego rodzaju dorożki — dwukołowej i czterokołowej — a nawet do tych nowych wynalazków z silnikami.

Crippenowie zapraszali często przyjaciół do swego domu, zwykle na niezobowiązujące kolacje, po których następowała partia wista. Czasami Belle wydawała prawdziwe przyjęcia, na które zapraszała najbardziej znanych wykonawców z londyńskich variétés. Dla Crippena była to prawdziwa gehenna, gdyż w domu nieodmiennie panował bałagan, więc trzeba było go posprzątać i uporządkować. Belle zajmowała się przygotowaniem poczęstunku.

Regularnymi bywalcami w domu Crippenów byli Paul i Clara Martinetti, którzy mieszkali przy Shaftesbury Avenue, w odległości krótkiego spaceru od biura Crippena. Paul był niegdyś znanym wykonawcą z variétés — występował w pantomimach — ale wycofał się ze sceny, a ostatnimi czasy zdrowie zaczęło mu szwankować. Cierpiał na chroniczną chorobę, która wymagała cotygodniowych wizyt u lekarza. Martinetti poznali Crippenów na przyjęciu w domu Pony’ego Moore’a, szefa trupy minstrelów^[5]. Za namową Belle Clara wstąpiła do Stowarzyszenia Pań Artystek i stała się członkinią jego komitetu wykonawczego. Widywały się co środę na zebraniach Stowarzyszenia i zostały przyjaciółkami. Wkrótce obie pary zaczęły sobie składać wizyty i w czwórkę chodzić do teatru, a potem na kolację na Piccadilly czy w Bloomsbury. Martinetti nie byli świadomi napięcia panującego w małżeństwie ich przyjaciół. „Doktor Crippen był przyjacielskim, uprzejmym człowiekiem i zawsze mi się wydawało, że między nim a żoną panują doskonałe stosunki” — powiedziała Clara. Jej zdaniem, Belle „zawsze wydawała się bardzo szczęśliwa i wesoła. Tworzyli z doktorem doskonałą parę”.

Późnym popołudniem 31 stycznia 1910 roku, w poniedziałek, Crippen wyszedł z biura Yale Tooth i udał się piechotą do mieszkania Martinettich, żeby zaprosić ich na wieczór na Hilldrop Crescent, na kolację i karty. Clara w pierwszej chwili nie chciała przyjąć zaproszenia. Paul był u lekarza i wiedziała z doświadczenia, że po powrocie jest zmęczony i źle się czuje.

— Och, namów go — nalegał Crippen. — Rozweselimy go, a po kolacji zagramy w wista.

Następnie wyszedł.

Paul wrócił od lekarza około szóstej. Wkrótce potem Crippen przyszedł ponownie i wykazując niezwykle u siebie upór, powtórzył zaproszenie, tym razem zwracając się bezpośrednio do Paula. Martinetti był błydy i zmęczony. „Czuję się trochę dziwnie” — powiedział Crippenowi. Niemniej zgodził się przyjść. Obiecał, że zjawią się u Crippenów o siódmej.

Pomimo ułatwień komunikacyjnych, podróż okazała się koszmarem. Martinetti napotkali odwieczny problem — nie mogli złapać taksówki. Udali się na Tottenham Court Road, gdzie wsiedli do nowego, motorowego autobusu. Pojechali nim na północ, na Hampstead Road, a tam wysiedli i złapali elektryczny tramwaj, który dowiózł ich do Hilldrop Crescent. Było już koło ósmej, spóźnili się godzinę. Kiedy dotarli do numeru 39, zobaczyli w drzwiach Crippena, który ich wyglądał. Na próg wytoczyła się również Belle. Odrzuciła w tył głowę, jak to miała w zwyczaju, uśmiechnęła się i zawołała: „Dla was to jest siódma?”.

Podróż wyczerpała Paula. Nie wyglądał dobrze. Jak zwykle nie było służby, więc Clara zdjęła płaszcz oraz kapelusz i zaniósła je do pokoju gościnnego. Belle zeszła do kuchni i zajęła się kolacją. Zawołała do Crippena, żeby zajął się Martinettimi. Paul wypił dwie whiskey.

W końcu kolacja była gotowa i Crippen wraz z gośćmi zszedł do pokoju śniadaniowego, gdzie zwykle odbywały się te nieformalne spotkania. Najpierw Belle zaprezentowała im nowego członka rodziny, „zabawnego małego bulteriera”, jak zeznała Clara. „Próbowała nam pokazać, jaki jest zabawny”. Była wyraźnie

ucieszona psem, choć skarżyła się, że brudzi w domu, bo był to jeszcze szczeniak.

Kolacja składała się z kilku sałatek i „sztuki mięsa”, czyli pieczonej wołowiny. Kroił ją Crippen.

Była mniej więcej jedenasta, kiedy Belle podała deser — dwa czy trzy rodzaje ciastek, które E.M. Forster nazwał „ptifurkami” — wraz z likierem i kawą. Prawdziwą kawą, o jedenastej wieczorem. Poczęstowała też wszystkich papierosami, ale tylko Paul zapalił. Obaj z Crippenem poszli na górę do saloniku, a żony zostały na dole, żeby posprzątać. Belle powiedziała Clarze, żeby zabrała ze stołu tylko rzeczy „konieczne”. Razem z Crippenem posprząta resztę rano.

Wybrały partnerów do wista — Belle grała z Paulem, Crippen z Clarą. W miarę postępów gry w pokoju robiło się coraz cieplej i bardziej duszno. Doktor odszedł od stołu i przykręcił gaz. Paul zrobił się milczący. „Podczas gry w karty dostałem dreszczy i nie czułem się dobrze” — zeznał.

Później wielką wagę miano przywiązywać do wszystkich szczegółów tego, co wydarzyło się następnie. Wówczas jednak wszystko wydawało się zupełnie bez znaczenia.

* * *

Paul przeprosił i poszedł do łazienki. „Pan Martinetti poszedł na górę” — zeznał później Crippen. — „Uważałem, że zna nasz dom na tyle dobrze, skoro tyle razy był tutaj w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy, że nie muszę mu towarzyszyć”.

Kiedy Paul wrócił, wyglądał dużo gorzej niż przedtem. „Wrócił bardzo blady” — zeznała jego żona. Zajął swoje miejsce przy stole, ale ręce miał lodowate i zaczęły mu się trząść.

Belle naląła mu brandy, ale Clara zaprotestowała.

— Och nie, Belle, to za dużo. Nie powinien chyba mieszać whiskey z brandy.

Ale gospodyni nalegała.

— Niech się napije.

— Nie, Belle, lepiej nie. Wiesz, że będę jeszcze musiała zawieźć go do domu.

— Pozwól mu, na moją odpowiedzialność.

Wreszcie zawarły kompromis.

— Daj mu trochę whiskey — zaproponowała Clara. — Naprawdę nie chcę, żeby mieszał alkohole.

Belle naląła Paulowi czystej whiskey, a potem poleciła Crippenowi znaleźć taksówkę. Doktor włożył płaszcz i wyszedł. Ale nic nie znalazł, ani dwukółki, ani dorożki, ani nawet tych nowych motorów. Belle co i raz wyglądała na niego przez okno. „Mieliśmy wrażenie, że już nigdy nie wróci” — zeznała Clara.

W końcu wrócił, ale bez taksówki, więc Belle wysłała go jeszcze raz. Tym razem po kilku chwilach przyprowadził dorożkę.

Pomógł Paulowi zejść po schodach do taksówki. Belle i Clara ucałowały się. Belle chciała wyjść na dwór bez płaszcza, ale Clara ją powstrzymała: „Nie wychodź, Belle, zaziębisz się”.

Dorożka odjechała z turkotem w noc. Później Clara mówiła, że Crippen i Belle „zachowywali się wobec siebie serdecznie” i że pomijając złe samopoczucie Paula, wieczór upłynął bardzo przyjemnie. Belle była jak zwykle ciepła i wesoła, a Crippen cichy i spełniał wszystkie jej życzenia. „Tego wieczoru byliśmy najweselszą kompanią, jaką możecie sobie wyobrazić” — powiedziała Clara.

Ale kiedy pożegnawszy się z Martinettimi, Crippen wszedł po schodach do domu, Belle przeszła gwałtowną zmianę nastroju.

„Zaraz po wyjściu gości moja żona wpadła w wielki gniew. Miała pretensje o to, że nie poszedłem na górę z panem Martinettim” — zeznał Crippen. Miał tu na myśli wyjście Paula do łazienki. — „Powiedziała mi wiele przykrych rzeczy — nie pamiętam wszystkich — obrażała mnie i powiedziała kilka mocnych słów. Mówiła, że ma już tego dosyć — że skoro nie potrafię być dżentelmenem, nie będzie tego dłużej tolerować i zamierza mnie

opuścić”. Cytował jej okrzyki: „To już koniec, nie zniosę tego dłużej. Opuzczę cię jutro i już nigdy więcej o mnie nie usłyszysz”.

Jej słowa nie były dla niego nowością.

„Powtarzała to tak często, że nie zwróciłem na to uwagi” — powiedział.

Ale ona posunęła się o krok dalej. Dodała coś, czego nigdy wcześniej nie mówiła, „że mam ukryć skandal przed naszymi wspólnymi przyjaciółmi i przed Stowarzyszeniem Pań”.

Poszła do swojej sypialni, a Crippen do swojej. „Nie widziałem jej następnego ranka” — zeznał. „Poszliśmy na spoczynek bardzo późno i to normalne, że ja wstałem pierwszy i wyszedłem z domu, nim ona się obudziła”.

* * *

Tego ranka, we wtorek 1 lutego, Crippen poszedł jak zwykle do biura Yale Tooth i według Ethel Le Neve „był jak zawsze spokojny”. Napisała: „To pewne, że my, którzy znaleźliśmy tak dobrze każdy wyraz jego twarzy, zauważylibyśmy od razu, gdyby okazał najmniejsze zdenerwowanie”.

W południe Crippen wyszedł z Albion House i udał się do mieszkania Martinettich na Shaftesbury, żeby sprawdzić, jak czuje się Paul. Clara powitała go w drzwiach i powiedziała, że Paul śpi. Crippen ucieszył się na wieść, że przyjaciel spędził spokojną noc. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem Crippen zabrał się do odejścia.

— Jak się miewa Belle? — zapytała Clara.

— Och, w porządku.

— Przekaż jej ode mnie uściski.

— Oczywiście, przekażę — obiecał Crippen.

Kiedy o siódmej trzydzieści wrócił na Hilldrop Crescent, okazało się, że dom jest pusty, wyjąwszy koty, kanarki i psa.

Belle zniknęła.

Zeznał, że przede wszystkim zaprzętał go problem, jak uniknąć skandalu, który wybuchnie, jeśli kiedykolwiek wyjdą na jaw

prawdziwe powody odejścia Belle.

Decydująca przeszkoda

Pogoda na Wzgórzu Sygnałowym stale się pogarszała. Marconi z całych sił wsłuchiwał się w zakłócenia w słuchawce, usiłując wyłowić sekwencję trzech kropek, ale nic nie usłyszał. Na zewnątrz jego ludzie starali się utrzymać latawiec w powietrzu. Kiedy podskakiwał i nurkował w dół, dwa przyczepione do niego druty skracały się lub wydłużały. Marconi nadal miał niejasne pojęcie o tym, jak poruszają się fale elektromagnetyczne i w jaki sposób długość anteny wpływa na nadawanie i odbiór, ale rozumiał, że to ciągle wznoszenie się i opadanie nie pomaga.

Próba odebrania sygnału przez dziko podskakujący latawiec przypominała nieco łapanie ryby w wirze wodnym.

* * *

W Poldhu operatorzy Marconiego wciąż wysyłali w niebo nad Kornwalią sekwencje S. Pomiedzy kulkami iskiernika przeskakiwały tysiące watów energii. Błyskawice rozrywały się z trzaskiem, a wszystkie okoliczne rynny i rury mrowiły prądem. Fale elektromagnetyczne rozchodziły się we wszystkich kierunkach z prędkością światła. Odbiorniki na Lizard, w Niton i w Crookhaven cały czas sygnalizowały ich obecność. Sygnały odbierał też zapewne przynajmniej jeden z rosnącej liczby liniowców oceanicznych wyposażonych w bezprzewodowy telegraf. Być może tym liniowcem był „Kaiser Wilhelm der Grosse”, „Lake Champlain” czy jeden z wielkich statków Cunarda. Natomiast odbiornik na Wzgórzu Sygnałowym wciąż milczał.

Mniej więcej o dwunastej trzydzieści odbiornik wydał głośny trzask. Był to dźwięk, z jakim urządzenie pukające uderzało w koherer. Odbiornik wykrył fale.

Napięcie w pokoju wzrosło. Twarz Marconiego była jak zwykle poważna, a jego usta ułożyły się w wyraz niesmaku, jakby poczuł jakiś nieprzyjemny zapach.

„W moim uchu bez wątpienia rozbrzmiały trzy krótkie trzaski, odpowiadające trzem kropkom”.

Był podniecony, ale zachował sceptycyzm. Tak bardzo chciał usłyszeć te trzaski, że czuł, iż nie może ufać własnemu osądowi. Podał słuchawkę Kempowi.

„Czy pan coś słyszy, panie Kemp?” — zapytał.

Kemp nasłuchiwał przez chwilę. On też usłyszał, a przynajmniej twierdził, że usłyszał, sekwencje trzech kropek. Podał słuchawkę Pagetowi, ale Paget niczego nie usłyszał. Miał jednak coraz większe kłopoty ze słuchem.

„Kemp słyszał to samo co ja” — zanotował Marconi. — „Zrozumiałem wtedy, że miałem absolutną rację. Fale elektryczne wysłane z Poldhu przekroczyły Atlantyk, ignorując krzywiznę Ziemi, którą tyłu uważało za decydującą przeszkodę w ich podróży, i dotarły do mojego odbiornika na Nowej Fundlandii”.

Na Wzgórzu Sygnałowym warunki nadal były trudne. Poryw wiatru zerwał latawiec z uwięzi. Wypuścili kolejny, tym razem tylko z jednym drutem o długości 150 metrów. Jak zapisał Kemp w swoim dzienniku, taka konfiguracja „okazała się bardziej zgodna z ziemskim elektrycznym medium i z sygnałami ze stacji w Poldhu. Zdołaliśmy utrzymać latawiec w górze przez trzy godziny. Odbieraliśmy mocny sygnał”. W sumie odebrali dwadzieścia pięć sekwencji trzech kropek.

Marconi napisał na brudno telegram do Londynu, do dyrektora Flooda Page'a, w którym zawiadamiał go o sukcesie, ale wstrzymał się z jego wysłaniem. Chciał odebrać więcej sygnałów, nim powiadomi radę nadzorczą, a szczególnie nim wieść zostanie ujawniona publicznie.

Spróbował ponownie następnego dnia, w piątek 13 grudnia 1901 roku. Pogoda była jeszcze gorsza. Padał śnieg, deszcz, grad, wiał wicher — w gwałtownych podmuchach. Trzykrotnie puszczali latawiec i trzykrotnie wiatr zrzucił go na ziemię. Podczas krótkich

chwil, kiedy latawiec unosił się w powietrzu, Marconi znowu usłyszał, a przynajmniej tak twierdził, sekwencje trzech kropek nadawane z Poldhu, choć nie tak wyraźnie jak dzień wcześniej.

Sfrustrowany brakiem jednoznacznego potwierdzenia, nadal wstrzymywał się z wysłaniem telegramu do siedziby firmy. Postanowił poczekać jeszcze jeden dzień, do soboty, żeby dać sobie czas na więcej prób.

Wiatr wiał z coraz większą prędkością. W sobotę osiągnął poziom, przy którym próba wypuszczenia w powietrze czegokolwiek, balonu czy latawca, w ogóle nie wchodziła w grę. W desperacji Kemp i jego pomocnicy zaczęli budować zupełnie inny rodzaj anteny. Spuścili drut ze szczytu Wzgórza Sygnałowego na górę lodową, która utknęła w porcie St. John's.

Ku żalowi Kempa, nie trafiła mu się szansa przetestowania jej.

* * *

Marconi zastanawiał się, co robić dalej. Mógł poczekać i mieć nadzieję, że pogoda się poprawi albo że antena Kempa zadziała. Mógł też po prostu zaufać własnemu słuchowi, uznać, że to, co usłyszał, było sygnałami z Poldhu, i zawiadomić o sukcesie Flooda Page'a w Londynie.

Zdecydował się wysłać telegram. ODEBRALIŚMY SYGNAŁY — głosił — POGODA BARDZO UTRUDNIA TESTY. Tego wieczoru wydał oświadczenie dla londyńskiego „Timesa”.

Jak na kogoś tak mocno świadomego sceptycyzmu, z jakim traktowano jego wynalazek, jak również wrogości, szczególnie ze strony Lodge'a, Preece'a i prasy elektrycznej, reżyserując swój transoceaniczny eksperyment, a później ujawniając go światu, popełnił kardynalny błąd.

Po raz kolejny nie zapewnił sobie obecności niezależnego świadka, który obserwowałby eksperyment i potwierdził jego wyniki. Co więcej, decydując się na wykrywanie sygnałów za pomocą słuchawki telefonicznej, zamiast zarejestrować automatycznie ich przyjmowanie zwykłym rejestratorem Morse'a, pozbawił się jedyne namacalnego dowodu — taśmy z

rejestratora — który mógłby potwierdzić jego relację. Powinien był przewidzieć, że jeśli ogłosi dokonanie rzeczy przez największych naukowców świata uważanej za niemożliwą, spotka się z urażonym sceptycyzmem, który pociągnie za sobą szczegółowe analizy. Najwyraźniej jednak sądził, że jego własna wiarygodność wystarczy, by rozproszyć wątpliwości. Owo założenie okazało się kosztownym błędem.

* * *

Tej niedzieli, 15 grudnia, gubernator Nowej Fundlandii, sir Cavendish Boyle, wydał uroczysty obiad na cześć Marconiego, na którym, jak wspominał Kemp, podał szampana wydobytego z wraku statku, który wiele lat przebywał pod wodą. „New York Times” nazwał sukces Marconiego „najwspanialszym osiągnięciem nauki w nowoczesnych czasach”.

Przez następne kilka dni ceny akcji firm, do których należały podwodne kable, spadły. W ciągu tygodnia akcje uprzywilejowane Anglo-American Telegraph Co. spadły o siedem punktów, a akcje specjalne o cztery. Udziały w Eastern Telegraph Co. straciły pięć i pół punktu.

* * *

Ambrose Fleming dowiedział się o wyczynie Marconiego z gazety. Napisał później, że „pozostawiono go w nieświadomości tego sukcesu” aż do chwili, gdy otworzył „Daily Mail” z 16 grudnia i zobaczył nagłówek „Triumf pana Marconiego”.

Wyłączono go z całej sprawy, chociaż to on zaprojektował i skonfigurował system elektryczny w Poldhu i to on go uruchomił, przedsięwzięwszy wiele męczących podróży do Kornwalii.

Poczuł się dotknięty i wpadł we wściekłość.

* * *

Josephine Holman twierdziła, że bardzo się cieszy. W wywiadzie dla prasy ujawniła, że wiedziała o planie Marconiego, by nadać sygnały przez Atlantyk. „To był niezwykle ważny sekret, który znałam od roku” — powiedziała. Pomięła milczeniem fakt, że

podczas tego roku bardzo rzadko widywała narzeczonego. Miała nadzieję, że teraz będzie go widywać częściej, skoro już osiągnął swój wielki cel, i że złoży wreszcie wizytę w Indianapolis u jej rodziny.

„Wolę wyjść za takiego człowieka niż za króla” — zapewniła. I dodała, że jest „najszczęśliwszą kobietą na świecie”.

Kilka dni później jej babcia wydała przyjęcie zaręczynowe w swym domu przy Woodruff Place w Indianapolis — bez Marconiego. Josephine mieszkała z matką w Nowym Jorku, ale przyjechała do Indianapolis z sześciotygodniową wizytą. Przyjęcie odbyło się pod koniec tej wizyty, podczas wielkich mrozów, które wywołały obawy, że nastąpi, jak to określiły gazety, „węglowy głód”. Po przyjęciu ruszyła z powrotem do Nowego Jorku, do matki i co ważniejsze, do narzeczonego, który też tam jechał, zarezerwowawszy sobie pokoje w swoim ulubionym hotelu, Hoffman House.

Perspektywy były wspaniałe: Boże Narodzenie w Nowym Jorku u boku przyszłego męża, obecnie jeszcze sławniejszego niż przedtem.

Na balu

Kiedy Ethel Le Neve przyszła do pracy w środę 2 lutego 1910 roku, znalazła na biurku paczkę, a na niej kartkę z wiadomością, która wywołała jej wielką radość. Wiadomość, napisana ręką Crippena, była prosta i bezpośrednia: „B.E. wyjechała do Ameryki”. Dalej następowała prośba, by Ethel doręczyła paczkę Melindzie May, sekretarce Stowarzyszenia Pań Artystek.

„Będę później” — pisał Crippen. — „Zaplanujemy przyjemny wieczór”.

A więc Belle odeszła. „Byłam, oczywiście, ogromnie podekscytowana zniknięciem tajemniczej żony doktora Crippena” — pisała Ethel. — „Wiedziałam doskonale, że między nimi się nie układa. Wiedziałam, że często groziła, że go porzuci. Wiedziałam również, że żywi potajemnie uczucia do pana Bruce’a Millera, który mieszkał w Nowym Jorku”. Ethel przyjęła, że Belle w końcu zrealizowała swoją groźbę i uciekła do eks-boksera. Jeśli to była prawda, jeśli to była rzeczywiście prawda, to Crippen mógł się teraz ubiegać o rozwód i pomimo obostrzeń angielskiego prawa, najprawdopodobniej by go otrzymał. To były, jak to ujęła, „zaskakujące nowiny”.

Zaniosła paczkę do biura Stowarzyszenia, które miało tego dnia zebranie, a potem wróciła do Yale Tooth, czekać na kochanka. Miała wiele pytań.

W południe nadal go nie było. Uznała, że pewnie załatwia interesy w pobliskim Craven House na Kingsway. Zajęła się pracą, choć z powodu otrzymanych wieści trudno jej się było skupić.

Crippen pojawił się dopiero o czwartej po południu. „Nie był w nastroju na długą rozmowę na ten temat, a ja rozumiałam jego powściągliwość” — wspominała. Ale musiała z nim porozmawiać.

— Czy Belle Elmore naprawdę wyjechała?

— Tak — odparł Crippen. — Porzuciła mnie.

— Widziałeś, jak odjeżdża?

— Nie. Stwierdziłem, że jej nie ma, kiedy wróciłem do domu wczoraj wieczorem.

— Myślisz, że wróci?

— Nie — pokręcił głową Crippen. — Nie sądzę.

Jeśli chodzi o ten punkt, Ethel chciała mieć pewność.

— Zabrała ze sobą bagaż?

— Nie wiem, nie było mnie wtedy w domu. Zapewne zabrała, co chciała. Zawsze mówiła, że to, co jej dają, nie jest dość dobre, więc chyba uważa, że gdzie indziej będzie jej lepiej”.

Choć wydawał się przygnębiony, Ethel ani nie próbowała go pocieszać, ani mu nie współczuła. „Nie potrafiłam udawać, że mu współczuję” — napisała. — „Zawierzył mi tajemnicę swego nieszczęśliwego małżeństwa i teraz, kiedy jego żona zniknęła, uważałam, że stało się dla niego najlepsze, a niewykluczone, że i dla niej”.

Nagle Crippen ją zaskoczył. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść biżuterii, której Belle nie zabrała ze sobą.

— Proszę — powiedział. — To dla ciebie — wyciągnął do niej rękę. — To cenne rzeczy, a ja chcę, żebyś miała cenną biżuterię. Przyda ci się, kiedy będziemy szli na kolację. Bardzo się ucieszę, jeśli to przyjmiesz.

— Skoro nalegasz, wezmę jedną czy dwie sztuki — odparła Ethel. — Wybierz, co ci się podoba. Znasz mój gust.

Wybrał kilka pierścionków z brylantem, bardziej okazały pierścionek z czterema brylantami i rubinem oraz broszkę w kształcie wschodzącego słońca z brylantem pośrodku i perłami tworzącymi promienie.

Biżuteria była śliczna, a Ethel wiedziała, że jest też najlepszej jakości, ponieważ, jak to ujęła, Crippen „był prawdziwym ekspertem, jeśli chodzi o diamenty”. Wcześniej uczył ją, jak szacować diamenty według koloru i czystości oraz jak na pierwszy

rzut oka stwierdzić, czy zostały oszlifowane w Nowym Jorku czy w Londynie.

Zaproponowała, by zastawił resztę biżuterii — tuzin pierścionków i dużą broszę w kształcie diademu wysadzaną rzędami brylantów. Crippenowi nie przyszło to do głowy, ale stwierdził, że to dobry plan. Udał się do lombardu, mieszczącego się przy tej samej ulicy co jego biuro, a należącego do panów Jaya i Attenborougha.

Pokazał pracownikowi, niejakiemu Ernestowi Stuartowi, trzy pierścionki z brylantem. Obejrzawszy je uważnie, Stuart zgodził się pożyczyć Crippenowi 80 funtów. Doktor wrócił kilka dni później z resztą biżuterii i dostał kolejne 115 funtów, czyli łącznie 195 — prawie 20 000 dolarów wedle dzisiejszej wartości pieniądza.

Tej nocy Ethel Le Neve po raz pierwszy spała w łóżku Crippena przy Hilldrop Crescent.

* * *

Dla pań ze Stowarzyszenia wieść była równie zaskakująca jak dla Ethel. Paczka zawierała dwa listy — jeden do Melindy May, a drugi do komitetu wykonawczego Stowarzyszenia — oraz księgę rachunkową i książeczkę czekową, które Belle, jako skarbniczka, trzymała w domu.

Listy datowane były na ten sam dzień, 2 lutego. Uwaga dodana pod podpisem na liście do May wskazywała, że przygotował je Crippen na prośbę Belle.

„Droga panno May” — zaczynał się list. — „Choroba bliskiego krewnego wezwała mnie pilnie do Ameryki, więc muszę Panią prosić o przyjęcie przed dzisiejszym spotkaniem mojej rezygnacji z funkcji skarbniczki, abyście mogły Panie wybrać natychmiast osobę na moje miejsce. Zrozumie Pani mój pośpiech, kiedy powiem, że nie spałam całą noc, pakując się i szykując do podróży. Mam nadzieję, że zobaczymy się za kilka miesięcy, ale nie mam dość czasu, by złożyć Pani wizytę przed wyjazdem. Życzę Pani

wszelkiego powodzenia w czasie, kiedy nie będzie mnie w Londynie”.

List do komitetu wykonawczego powtarzał tę wiadomość i informował o przekazaniu księgi rachunkowej i książeczki czekowej. Belle nalegała, by komitet nie wiązał się zwykłymi procedurami, tylko od razu wybrał nową skarbniczkę. „Mam nadzieję, że za kilka miesięcy do Was wrócę, a tymczasem życzę Stowarzyszeniu wielu sukcesów i proszę moje koleżanki i przyjaciółki, by przyjęły moje szczerze i serdeczne życzenia sukcesów osobistych”.

Wiść o wyjeździe Belle i wybór jej następczyni pochłonęły tego dnia większość zebrania, choć nikomu nie przyszło do głowy, żeby przejść te parę korków do biura Crippena i spytać o szczegóły.

* * *

Kilka dni później — zapewne w sobotę 5 lutego — Ethel i Crippen postanowili spędzić razem wieczór w teatrze. „Doktor uważał, że obojgu nam poprawi to nastrój” — napisała Ethel. Choć prawdę mówiąc, sama nie potrzebowała pociechy. Rozkoszowała się swą nową pozycją. Już więcej nie będzie cierpieć na widok Crippena wychodzącego gdzieś wieczorem z żoną, choć miejsce u jego boku powinno należeć do niej.

Oboje byli w biurze, gdyż sobota była dniem pracującym. Nagle Crippen przypomniał sobie, że nie zostawił jedzenia zwierzętom — siedmiu kanarkom, dwóm kotom i bulterrierowi. Nie mógł wyjść, żeby je nakarmić, a perspektywa pozostawienia ich tak długo bez jedzenia bardzo go martwiła.

Aby ten problem nie zniszczył im pierwszej okazji pojawienia się razem publicznie, bez obaw, że ktoś ich zobaczy, Ethel zaproponowała, że sama pojedzie na Hilldrop Crescent i nakarmi zwierzęta. Crippen dał jej klucze. Wyruszyła zaraz po lunchu.

Weszła do domu bocznym wejściem. Po raz pierwszy znalazła się tutaj sama. Jak dotąd zwiedziła tylko kilka pomieszczeń: kuchnię, salon, łazienkę i oczywiście sypialnię Crippena. Poszła najpierw do kuchni, gdzie zastała większość zwierząt. Otworzyła spiżarnię,

znajdującą się zaraz koło drzwi do piwnicy na węgiel, żeby wyjąć mleko dla kotów, ale kiedy to zrobiła, piękny biały pers — ulubieniec Belle — uciekł i pomknął na górę. Ethel pobiegła za nim.

Kot oprowadził ją po domu. „Im szybciej biegłam, tym szybciej biegł kot” — wspominała. W końcu zagnała go do kąta i zanosła z powrotem na dół do kuchni.

Pogoń zaprowadziła ją do pokoi, których przedtem nigdy nie widziała. Zyskała w ten sposób nowe spojrzenie na to, jak wyglądało życie Crippena. Nie było tam nic „niesamowitego” — jak to ujęła — jedynie aura samotności i coś, co określiła jako „dziwny nieporządek”.

„W sypialniach leżały kosztowne suknie, zmięte i rzucone byle jak, i całe stosy jedwabiu, z którego nigdy nic nie uszyto” — napisała. — „Na haczykach wisiała prawdziwa garderoba, jakby część wystawy u krawca”. Wszędzie napotykała góry ubrań i „tanich rzeczy”, które wyglądały, jakby nikt ich nigdy nie nosił ani nie używał. „Byłam zaskoczona tym niezwykłym bałaganem” — napisała. Fakt, że Belle zostawiła tak wiele biżuterii i sukni, nawet kilka wspaniałych i drogich futer, wydawał się Ethel symbolem całkowitej klęski jej małżeństwa z Crippenem. „Nie miałam wątpliwości, że po prostu wyszła z domu, porzucając swoje stare życie i wyrzekając się wszystkiego, co się z nim wiązało”.

Zaskoczył natomiast Ethel wystrój domu, szczególnie w świetle wagi, jaką Belle przywiązywała do własnego wyglądu. Był umeblowany „jak groch z kapustą”. „Nic właściwie do siebie nie pasowało. Jedyna rzecz, która mi się tam podobała, to pianino z kości słoniowej. Wszystko inne zostało kupione na wyprzedażach przez doktora lub jego żonę i tworzyło zupełny chaos. Mieli niesamowitą ilość tandetnych bibelotów, tanich wazonów, chińskich pieków i stolików. I masę obrazków — małych olejnych widoczków i akwareli nieznanymi artystami — a nad nimi kokardy z aksamitu, które miały im przydać urody”.

Panował zaduch, w pokojach było ciemno. W całym domu unosiła się atmosfera smutku i samotności. „Od pierwszej chwili

nie lubiłam tego domu” — napisała Ethel.

* * *

W poniedziałek Crippen wpadł do mieszkania Martinettich na Shaftesbury Street.

— O co chodzi z Belle? — spytała Clara. — Podobno wyjechała do Ameryki, a ty nam nic nie powiedziałeś.

— Całą noc ją pakowaliśmy, kiedy przyszedł telegram — odparł Crippen. Clara zapytała, dlaczego Belle nie zostawiła dla niej wiadomości. Crippen wyjaśnił, że byli zbyt zajęci pakowaniem.

— Pakowaliście walizki i płakaliście? — spytała Clara.

— Nie — odparł Crippen. — Z tym potrafilimy sobie poradzić.

W następnym tygodniu powiedział Clarze, że dostał od Belle depezę z niepokojącymi wieściami. Była chora, dolegały jej płuca. Właściwie nie było powodów do niepokoju, ale i tak się martwił.

* * *

Im dłużej Belle nie było, tym pewniej czuła się Ethel Le Neve. Zaczęła nosić biżuterię, którą podarował jej Crippen, i pokazywała się u jego boku na ulicy, w teatrze i w restauracjach. Jej gospodyni, pani Jackson, zauważyła, że jest niemal cały czas w doskonałym humorze, zauważyła również, że ma nowe ubrania i biżuterię, w tym broszkę z brylantem i promieniami z pereł oraz trzy bransoletki, choć jedna z nich, wysadzana ametystami, wydawała się dużo za dużo na jej drobny nadgarstek. Ethel chwaliła się również dwoma złotymi zegarkami. Pewnego wieczoru, rozpromieniona, pokazała pani Jackson pierścionek z brylantem i powiedziała, że to jej „pierścionek zaręczynowy”. Obracała brylant w świetle, żeby rzucał iskry.

— Wie pani, ile on kosztował? — wykrzyknęła.

— Nie mam pojęcia — odparła pani Jackson.

— Dwadzieścia funtów! — Ponad dwa tysiące dolarów według dzisiejszej wartości.

Pewnego wieczoru pani Jackson zapytała w żartach, czy ktoś umarł i zostawił Ethel spadek.

— Nie — odparła Ethel wesoło. — Ktoś wyjechał do Ameryki.

* * *

Ethel zaczęła spędzać noce poza domem pani Jackson. W pierwszym tygodniu lutego była to tylko jedna noc czy dwie, ale wkrótce nocowała poza domem prawie codziennie. Powiedziała pani Jackson, że zatrzymuje się u przyjaciół i pomaga Crippenowi szukać w domu pewnych papierów, wspomniała też, że Crippen uczy ją strzelać z rewolweru, małej niklowanej broni, którą trzymał w szafie w swojej sypialni.

Wkrótce zaczęła rozdawać ubrania przyjaciółkom i pani Jackson. Na Constantine Road wynajmowała pokoje wdowa z dwiema córkami, a Ethel podarowała dzieciom naszyjnik ze sztucznych pereł, kawałek białej koronki, diadem ze sztucznych diamentów, dwie buteleczki perfum, różowy gorset, dwie pary butów z odpowiednimi do nich pończochami i cztery pary pończoch — białych, różowych i czarnych — co dla sióstr było ich ukochanym skarbem. Własnej siostrze, Ninie, dała czarną jedwabną halkę, suknię ze złotego szantungu, czarny płaszcz, „bardzo dużą kremową karbowaną narzutkę z długą etolą”, białe boa z piór strusia i dwa kapelusze, jeden ze złotego jedwabiu, drugi szaroniebieski z dwoma różowymi różami.

Nina była zdumiona.

— Dziwne, że ktoś rozdaje i zostawia takie ładne ubrania — zauważyła. Tak, Ethel zgodziła się z nią, że „pani Crippen musiała być cudownie ekstrawagancka”.

Ale to pani Jackson została dosłownie obsypana prezentami. Później miała okazję sporządzić dokładną listę.

1 kostium z moleskinu wykończony na czarno

1 długi płaszcz brązowy

- 1 długi płaszcz czarny
- 1 płaszcz i spódnica ciemnoszare w prążki
- 1 futro
- 1 płaszcz kremowy
- 1 bluzka i spódnica z woalu, czarne
- 2 bluzki czarne (stare)
- 2 bluzki, jedna z niebieskiego jedwabiu i koronki, druga z kremowej koronki (nowe)
- 1 para pantofli
- 11 par pończoch, brązowych, czarnych, niebieskich, białych, różowych i czarnych w białe prążki
- 1 filcowy kapelusz, brązowy z przybraniem
- 1 kapelusz z koronki, brązowy, przybrany kwiatami
- 1 kapelusz różowy, kryty satyną
- 1 imitacja brylantu
- 1 brylant w kształcie jaszczurki
- 1 brosza w kształcie harfy
- 2 kamienie do włosów, stras
- 3 koszule nocne białe (nowe)
- 1 spódnica żółta
- 1 kostium heliotrop (nowy)

Ethel i Crippen coraz śmielej prezentowali światu swój romans. Ethel przychodziła do pracy w futrach Belle, choć w Albion House mieściła się siedziba Stowarzyszenia Pań Artystek, którym stroje nieobecnej członkini były niemal równie dobrze znane jak ich własne. Crippen kupił bilety na jedno z najważniejszych wydarzeń towarzyskich artystycznego światka, doroczny bal Funduszu Dobroczyнного Artystów Music-halli, który miał się odbyć w niedzielę 20 lutego w ulubionej wówczas restauracji, Criterion na Piccadilly.

„Nie bardzo mieliśmy ochotę tam iść” — pisała Ethel. — „Doktor kupił bilety i oczywiście chciał je wykorzystać. Zapytał, czy z nim pójdę. Powiedziałam, że nie bardzo chętnie, gdyż od lat nie

tańczyłam i nie miałam odpowiedniej sukienki”. Zamówiła sobie nową suknię, bladnoróżową, w sławnej firmie krawieckiej, Swan & Edgar.

Decyzja, by udać się na bal, była nie tylko aktem odwagi z ich strony, ale również poważnym błędem.

* * *

Restauracja Criterion, zbudowana w 1873 roku, łączyła w sobie przepych i wulgarność. Szczególnie widoczne było to w sali Long Bar, przeznaczonej tylko dla mężczyzn, gdzie inspektor ze Scotland Yardu mógł wdać się w przyjacielską rozmowę z byłym skazanym. W salach jadalnych zbierali się na lunchy i kolacje malarze, pisarze, sędziowie i adwokaci. Późnym wieczorem, po zamknięciu teatrów na Strand i Shaftesbury Avenue, w „Cri” tłoczyła się populacja londyńskich aktorów, komików i magików, okupując bar, Wielką Salę, Pokój Wschodni i Zachodni.

Crippen miał na sobie strój wieczorowy, Ethel nową suknię, do której przypięła broszkę w kształcie wschodzącego słońca pozostawioną przez Belle. Mężczyźni obserwowali ją, podziwiając sposób, w jaki suknia podkreśla jej smukłą figurę. Panie ze Stowarzyszenia również nie spuszczały jej z oczu, ale ich uwagę przyciągała przede wszystkim broszka. Dobrze ją znały — to była ulubiona broszka Belle. Zauważyła ją Louise Smythson. I Clara Martinetti, która później stwierdziła, że maszynistka „wcale nie próbowała jej ukrywać”. Zauważyła ją również Annie Stratton i jej mąż, Eugene, który z twarzą pomalowaną na czarno śpiewał w zespole Pony Moore’s Minstrels. Lil Hathorne, wraz ze swym mężem i managerem, Johnem Nashem, siedziała naprzeciwko Crippena i jego maszynistki. Oboje zauważyli broszkę. John Nash powiedział później: „zrobiła na mnie wrażenie”. Klejnot zauważyła też Maud Burroughs. „Wiedziałam, że kiedy [Belle] wyjeżdża, zawsze pilnuje, żeby cała biżuteria, której nie zabiera ze sobą, znalazła się w depozycie, i dlatego wydało mi się takie dziwne, że maszynistka nosi tę broszkę”.

Atmosfera napompowana była wrogością. Crippen siedział między Clarą Martinetti a Ethel. Kobiety nie rozmawiały ze sobą, ale w pewnym momencie spotkały się wzrokiem. Pani Martinetti skinęła głową. Wspominała potem, że Ethel była „bardzo cicha”. John Nash powiedział: „Zauważyłem, że Crippen i dziewczyna pili dużo wina”.

Pani Louise Smythson podeszła do Crippena i spytała go o adres Belle w Ameryce. Stwierdziła, że to dziwne, że Belle jeszcze do nikogo nie napisała.

— Jest w górach w Kalifornii — odparł.

— Nie ma stałego adresu?

— Nie — powiedział Crippen, ale zaoferował się przekazać wszystko, co pani Smythson chciałaby Belle wysłać.

Chwilowo pani Smythson porzuciła ten temat.

* * *

„Po tym wydarzeniu zauważyłam, że członkinie Stowarzyszenia Pań Artystek okazują wyraźną ciekawość wobec moich poczynąń” — napisała Ethel. Miała uczucie, że jest szpiegowana i że się o niej plotkuje. Nie mogła uniknąć spotkań z paniami ze Stowarzyszenia w wejściu do budynku i w korytarzach. Niczego nie powiedziano wprost, ale wiele dano do zrozumienia spojrzeniami i sztywną, zabójczo lodowatą uprzejmością. „Często kiedy szłam ulicą z doktorem Crippenem, czułam, że ludzie dziwnie na mnie patrzą” — napisała.

Nie było jej z tym dobrze. Chciała, żeby panie po prostu zaakceptowały jej związek z Crippenem i dały sobie spokój.

Popęłniła jednak poważny błąd, pozwalając, by jej romans stał się jawny. To była Anglia Edwarda VII, ale również Anglia, w której rozgrywała się akcja *Howards End*, opublikowanej w tym samym roku powieści E.M. Forstera. Jedna z jej bohaterek zaszła w ciążę, będąc panną, a „towarzystwo rzuciło się na Helen, odmawiając jej ludzkich praw”.

12 marca Crippen przyjechał dorożką do domu pani Jackson przy Constantine Road i podziękował jej za wszystko, co zrobiła

dla jego „małej dziewczynki”. Dodał, że teraz jednak zabiera ją do siebie. Zapakowali wszystkie jej rzeczy do dorożki, po czym poszli do pobliskiego pubu uczcić pożegnanie.

Poszedł z nimi nawet mąż pani Jackson, choć nie pochwalał działań Crippena i uważał, że panna Le Neve nie zachowuje się ostatnio jak dama. Crippen postawił szampana. Wszyscy się napili.

Potem doktor zabrał Ethel do domu.

„Nie wierzę”

Marconi spodziewał się pewnego sceptycyzmu wobec swego sukcesu na Nowej Fundlandii, ale kiedy stwierdził, że znalazł się pod ogniem zaporowym pełnych niedowierzania komentarzy, był przerażony.

„Wątpię w całą tę historię” — oświadczył Thomas Edison agencji Associated Press. — „Nie wierzę w nią. Litera S, składająca się z trzech kropek, jest bardzo prosta i łatwo dać się oszukać. Póki doniesienia nie zostaną potwierdzone, będę wątpił w ich prawdziwość”.

Tego samego dnia w Londynie „Daily Telegraph” donosił: „W mieście panuje sceptycyzm [...]. Powszechnie utrzymuje się pogląd, że to zakłócenia, a nie promienie spowodowały aktywację czułych instrumentów i zarejestrowanie litery S, którą podobno nadano z okolic Lizard na Nową Fundlandię w czwartek czy piątek”. Gazeta cytowała powszechnie krążącą opinię, że sygnał pochodził „ze statku Cunarda wyposażonego w aparat Marconiego, który w dniu eksperymentu znajdował się w zasięgu 200 mil od stacji odbiorczej w St. John’s”. Cytowała również Williama Preece’a, który twierdził, że „litery S i R powstają najczęściej w wyniku zakłóceń na ziemi czy w atmosferze”.

Dwa dni później „Electrical Review” określił twierdzenie Marconiego „tak fantastycznym, że obecnie wolimy sądzić, iż jego entuzjazm przeważał nad naukową ostrożnością”. „Review” twierdził ponadto, że sygnały najprawdopodobniej dotarły do Marconiego ze stacji w Ameryce. „Jakiś żartowniś, który odkrył, kiedy spodziewana jest transmisja, mógł bez trudu spełnić oczekiwania ludzi czuwających na stacji na Nowej Fundlandii”.

Londyński „Times” opublikował list Olivera Lodge’a, prawdziwy majstersztyk pokrętnych aluzji. „Zaznacza się wielki pośpiech w

wyrażaniu opinii na temat prawdopodobieństwa poprawności ewidentnie prawdziwego wrażenia pana Marconiego, że po drugiej stronie Atlantyku zdobył dowód obecności zakłóceń elektrycznych wywołanych celowo po tej stronie, ja jednak szczerze wierzę, że nie został oszukany". Przyznając, że w przeszłości odnosił się do Marconiego krytycznie, pisał dalej: „Nie chcę się spóźnić z powitaniem, nawet przedwcześnie, możliwości tak wielkiego i niespodziewanego wzrostu zasięgu, jaki zwiastuje nam nowina pana Marconiego. Oczywiście, nadal nie ma na to dowodu, ale wydając oświadczenie w tak nierozważny i pełen entuzjazmu sposób, pan Marconi wzbudził powszechne współczucie i nadzieję, że jego energia i przedsięwzięcia nie okażą się ofiarą niespotykanej jałowości elektrycznej atmosfery nad tym lodowatym wybrzeżem”.

Ale przynajmniej jeden odwieczny sceptyk uwierzył w słowa Marconiego, a w jego osiągnięciu dostrzegł przeblask groźby.

* * *

Wieczorem w poniedziałek 16 grudnia 1901 roku, kiedy Marconi jadł kolację w hotelu w St John's, podszedł do niego jakiś młody człowiek i podał mu zaadresowany do niego list. Towarzyszem kolacji Marconiego był kanadyjski urzędnik pocztowy, niejaki William Smith, który mieszkał w tym samym hotelu i miał pokój tuż obok sali jadalnej. Kiedy młodzieniec szedł przez jadalnię w stronę ich stolika, Marconi mówił właśnie Smithowi, że planuje teraz zbudować stałą stację na Nowej Fundlandii, najprawdopodobniej na Cape Spear, przylądku, który wrzynał się w morze sześć kilometrów na południowy wschód od Wzgórza Sygnałowego.

Smith przyglądał się, jak Marconi otwiera list i czytając go, robi się coraz bardziej wzburzony. Kiedy wyraził zaniepokojenie, wynalazca podał mu list.

Smith również uznał, że jest on bulwersujący. Wystosowała go kancelaria prawnicza reprezentująca Anglo-American Telegraph

Co., wielką firmę będącą właścicielem kabla podmorskiego, który zapewniał łączność pomiędzy Wielką Brytanią a Nową Fundlandią.

List był krótki. Jeden rozbudowany akapit, w którym oskarżano Marconiego o pogwałcenie monopolu prawnego Anglo-American Telegraph na łączność telegraficzną pomiędzy Wielką Brytanią a Nową Fundlandią. „O ile nie otrzymamy od Pana w ciągu doby informacji, że nie będzie Pan prowadził dalej prac, którymi się Pan zajmuje, i że usunie Pan urządzenia wniesione w celu nawiązania łączności telegraficznej, rozpoczniemy kroki prawne, których celem będzie powstrzymanie Pana od dalszego wykonywania Jego prac i zapobieżenie szkodom, które nasz klient może ponieść lub już poniósł. Informujemy ponadto, że nasi klienci uznają Pana odpowiedzialnym za wszelkie straty lub uszczerbki poniesione z powodu [Pańskiego] pogwałcenia ich praw”.

Marconi był wściekły, ale poważnie potraktował groźbę Anglo-American Telegraph. Wiedział, że jego własna firma nie wytrzyma procesu sądowego z tak silnym przeciwnikiem, ponadto zdawał sobie sprawę, że faktycznie wyrządził szkody Anglo-American Telegraph, zważywszy spadek cen ich akcji.

Smith zaprosił go do swego pokoju, uspokoił i pod wpływem impulsu zaprosił — wręcz błagał — by przeniósł swe eksperymenty do Kanady. (W owym czasie Nowa Fundlandia była kolonią brytyjską. Została przyłączona do Kanady dopiero w 1949 roku). W ciągu kilku kolejnych dni załatwił oficjalne zaproszenie od rządu Kanady. Marconi uległ i ruszył do Nowej Szkocji, od 1867 roku kanadyjskiej prowincji, szukać nowej lokalizacji.

W North Sydney, na wybrzeżu, powitała go grupa dygnitarzy. Błyskawicznie został wsadzony do pociągu i odbył krótką podróż do zatoki Glace, gdzie pokazano mu miejsce o nazwie Góra Stołowa. Była to odpowiednia nazwa — lodowy płaskowyż pełen nawianego śniegu, położony na szczycie urwiska w błękitno-szarordzawe pasy, które opadało trzydzieści metrów prosto do morza. „To miejsce wywołało radość Marconiego” — wspominał Smith.

Wyruszył do Ottawy wynegocjować oficjalną umowę z rządem.

W Boże Narodzenie dwaj operatorzy Anglo-American Cable zabawiali się wymianą rymowanek. Ten z Nowej Szkocji napisał:

*Wesołych Świąt z North Sydney życzymy,
Bądźcie szczęśliwi w sercach i wśród rodziny,
W przyszłym roku, jak niesie wieść,
Nie będziemy mieli co jeść,
Gdyż Marconi pracę nam zabierze,
A Cable Co. zniknie jak rzadkie zwierzę.
Koniec z automatyką, pauzą i szumami,
Za rok życzenia eterem pomkną już za wami.*

Jego kolega z Liverpoolu odpowiedział:

*Nie bój się tak bardzo, albowiem nasza brać
Nie zginie równie łatwo, jak sądzić dziś masz.
Marconi pewnie pojął wszystko wspak,
A kable pozostaną dalej tak czy siak.
Bo nasza szybkość przy jego jest niczym ptak,
Tam gdzie nam starczy chwila, on biedzi się godziny,
A nieszczęsne fale szukać muszą stacji firmowej rodziny.
Będzie musiał się nachodzić, nim wyśle nas na grzybki,
Nie martw się przyjacielu, nie będzie taki szybki.*

North Sydney zakończyło tę wymianę wierszyków.

*Dzięki ci stary, za balsam na mą duszę,
Dzięki któremu spokojny być muszę,
Nie czuję się wcale taki nieszczęśliwy,
Jedna litera S nie zrobi nam krzywdy.
Jakby jej nie rozumieć, nie do nas ta śpiewka,
Niech idzie do diabła, bo to nie przelewka.*

* * *

Josephine Holman spędziła Boże Narodzenie w Nowym Jorku bez narzeczonego. Zaczynała rozumieć, że związek z mężczyzną tak opętanym pracą niesie ze sobą pewne niedogodności. Wśród nich samotność.

Wieści z Ameryki

* * *

List
Niedziela, 20 marca 1910 roku
Do Clary i Paula Martinettich

*Drodzy Claro i Paulu,
proszę, wybaczcie mi, że nie zaszedłem do Was w tym tygodniu, ale byłem tak przygnębiony bardzo złymi wieściami od Belle, że nie czuję się zdolny rozmawiać o niczym. Właśnie dostałem depezę informującą, że jest ona ciężko chora na obustronne płatowe zapalenie płuc, i rozważam nawet, czy nie powinienem natychmiast ruszać do niej. Nie chcę Was martwić swoimi kłopotami, ale uznałem, że muszę wyjaśnić, dlaczego Was nie odwiedziłem. Postaram się zająć w przyszłym tygodniu na pogawędkę. Mam nadzieję, że oboje miewacie się dobrze. Pozdrowienia,*

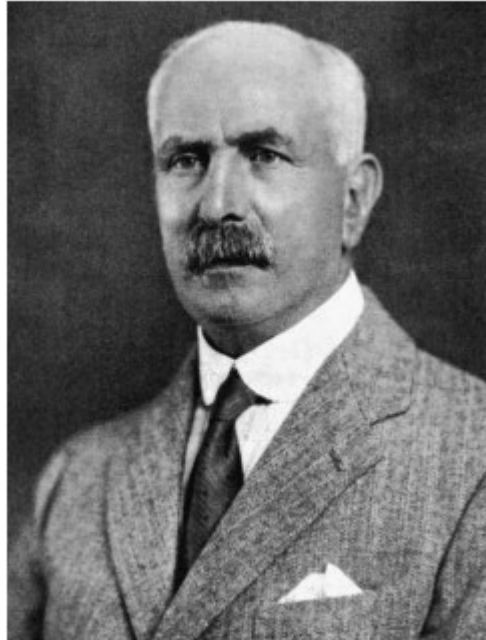
*Wasz oddany
Peter*

Telegram
Czwartek, 24 marca 1910 roku
Do Paula i Clary Martinettich

Belle umarła wczoraj o szóstej.

Część IV

Inspektor składa wizytę



Nadinspektor Walter Dew

„Przekłete słońce!”

Po drodze do Londynu, mając w kieszeni oficjalną ofertę Kanady, Marconi zatrzymał się w Nowym Jorku i 13 stycznia 1902 roku wziął udział w bankiecie wydanym przez Amerykański Instytut Inżynierów Elektryków, na którym miał być gościem honorowym. Choć o tym nie wiedział, uroczystość o mały włos nie okazała się katastrofą.

Pewna liczba znanych naukowców odmówiła swojego przybycia, wyrażając wątpliwości, czy Marconi naprawdę odebrał sygnał zza Atlantyku. Ale wieczorem 13 stycznia władze Instytutu zdołały zebrać całą salę zwolenników. Bankiet był bardzo wyszukany. W trzech punktach sali umieszczono czarne napisy „Marconi”, „Poldhu” i „St. John’s”, a między nimi rozwieszono łańcuchy lamp. Co pewien czas lampy zaczynały mrugać, sygnalizując trzy kropki. Menu zostało wydrukowane atramentem wyprodukowanym z oryginalnej włoskiej oliwy, a zupa nosiła nazwę „Zupa elektrolityczna”. Podano miseczki z sorbetem przyozdobionym słupami telegraficznymi i masztami bez drutu.

Thomas Edison przyjął zaproszenie, ale się nie zjawił. Przysłał natomiast telegram, który mistrz ceremonii odczytał zebrany. Najwyraźniej Edison zmienił zdanie w kwestii osiągnięć Marconiego. Telegram głosił: „Przykro mi, że nie mogę przybyć na dzisiejszy bankiet, szczególnie, że chciałem osobiście pogratulować Marconiemu, młodemu człowiekowi, który miał ogromną śmiałość zaryzykować i odniósł sukces w przesłaniu fali elektrycznej przez Ocean Atlantycki”.

Wśród obecnych rozległy się okrzyki i wiwaty. Dla Marconiego była to jedna z rzadkich chwil, kiedy mógł się pławić w blasku chwały, ale rozumiał, że jego osiągnięcie na Nowej Fundlandii, choć ogromne, jest jedynie początkiem długiej walki. Nie

uświadamiał sobie natomiast zupełnie stopnia, w jakim ten poklask maskował głęboki i uporczywy sceptycyzm wobec jego osoby i jego zapewnień o sukcesie.

* * *

Tymczasem w Londynie dąsał się Ambrose Fleming. Kiedy dowiedział się o uwagach, które Marconi wygłosił w Kanadzie, a potem na bankiecie, poczuł się podwójnie urażony. Uważał, że ma ogromny udział w sukcesie Marconiego, a jednak, kiedy nadeszła wielka chwila, został odsunięty. Relacjonując te wydarzenia, napisał, że podczas uroczystego obiadu z gubernatorem Nowej Fundlandii Marconi „nie uczynił żadnej wzmianki [...] o tych, którzy mu pomagali, tylko mówił ciągle o »swoim systemie« i »swojej pracy«”. A na bankiecie w Nowym Jorku „stosował tę samą politykę”.

Josephine Holman również straciła złudzenia. Jeśli spodziewała się, że będzie w centrum uwagi Marconiego podczas jego pobytu w Nowym Jorku, bardzo się myliła. Marconi chodził na różne prośzone obiady i kolacje, w międzyczasie nadzorując instalację swego aparatu na pokładzie s/s „Philadelphia”, statku, który miał zawieźć jego i Kempa do domu.

Wreszcie Josephine przyznała się do klęski. 21 stycznia 1902 roku jej matka, pani H.B. Holman, wydała oświadczenie dla prasy: córka poprosiła pana Marconiego, by zwolnił ją z danego słowa, a on wyraził zgodę.

Wiadomość trafiła na pierwszą stronę „Indianapolis News”. Krótki, zaledwie trzykapitowy artykuł zatytułowany był ZARĘCZYNY ZERWANE. Podano niewiele szczegółów.

Pewien dziennikarz z „News” zdołał dotrzeć do Marconiego, nadal mieszkającego w hotelu Hoffman House w Nowym Jorku. Zapytał go, czy ma coś do dodania.

— Nic, oprócz tego, że mi przykro.

— Czy pańskie uczucia wobec panny Holman zmieniły się w jakikolwiek sposób? — zapytał dziennikarz.

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Niech pan po prostu napisze, że jest mi przykro.

Dziennikarz nie ustępował:

— Czy pańskie eksperymenty znajdują się obecnie w punkcie, który pozwala panu na ożenek?

— Raczej nie — odparł Marconi. — Ale gdyby nie inne sprawy, można by to było zapewne zaaranżować. — I dalej: — Nie mogę krytykować decyzji panny Holman. Przypuszczam, że doszła do wniosku, iż nie można mi powierzyć jej przyszłego szczęścia, i stąd prośba. Mam powody wierzyć, że aż do niedawna nasz związek był zupełnie szczęśliwy i obopólny. Jest sprawą całkowicie naturalną, że czuję się nieco przygnębiony.

Dodał sprawie posmaczku tajemnicy, zwierając się innemu dziennikarzowi, że choć opóźnienia w jego pracach rzeczywiście odegrały pewną rolę, „ze sprawą związana była również pewna bardzo delikatna kwestia”. Nie wyjaśnił jaka.

Panna Holman miała niewiele do powiedzenia, choć jednej z gazet wyznała: „Po obu stronach doszło do katastrofy”. I nie robiła tu aluzji do upadku masztów w Poldhu i w South Wellfleet.

W środę wieczorem, 22 stycznia 1902 roku, kiedy plotki o zerwaniu stanowiły przystawkę do obiadów w całym Indianapolis, Nowym Jorku i Londynie, oboje, i Marconi, i panna Holman, znajdowali się na morzu, Guglielmo na pokładzie „Philadelphii” zmierzającej do Southampton, a Josephine na pokładzie „Kaiser Wilhelm der Grosse”, jednego z niewielu niemieckich liniowców wyposażonych w aparat jej byłego narzeczonego.

Ona szukała ucieczki na kontynencie, mając nadzieję, że podróż okaże się lekiem na jej złamane serce. Marconi wracał do pracy.

A ponieważ nie lubił, gdy dzień mijał bez nowych eksperymentów, na pokładzie „Philadelphii” rozgościł się w kabinie operatora. Kiedy liniowiec zbliżył się do wybrzeży Anglii, Marconi skontaktował się z Poldhu i ustanowił nowy rekord zasięgu w komunikacji statek—wybrzeże: 240 kilometrów.

Pomimo klęski uczuciowej, przybywał do Londynu bardziej pewny siebie, niż czuł się od dłuższego czasu — i dobrze,

ponieważ czekał go szczególnie trudny rok. Pojawiło się też nowe, poważne zagrożenie ze strony Niemiec.

* * *

W Londynie przede wszystkim wyjaśnił szczegóły nowej umowy z Kanadą swojej radzie nadzorczej. Ku jej wielkiemu zadowoleniu Kanada zgodziła się zapłacić za budowę stacji w Nowej Szkocji. Znacznie mniejsze zadowolenie wywołało oświadczenie Marconiego, że zapewni bezprzewodową łączność transatlantycką za 60 procent stawki firm kablowych, maksymalnie 10 centów za słowo. Było to śmiałe zobowiązanie, zważywszy, że jak dotąd zdołał przesłać tylko kilkadziesiąt sygnałów złożonych z trzech kropek. Mimo to rada wyraziła swoją aprobatę.

Następnie Marconi wystąpił na dorocznym zebraniu udziałowców firmy i po raz pierwszy publicznie przypuścił bezpośredni atak na Williama Preece'a i Olivera Lodge'a oraz ich szeroko propagowane zarzuty, dotyczące wad jego systemu. Człowiek potrafiący lepiej wyczuwać subtelne zasady obowiązujące w środowisku naukowym zapewne powstrzymałby się od podobnego ataku, a przynajmniej ubrał go w inne słowa, uciekając się do aluzyjnego, acz ostrego stylu, w jakim celowali brytyjscy parlamentarzyści. Tymczasem Marconi przekroczył niebezpieczną niewidzialną granicę, dotykając najbardziej drażliwego tematu, a mianowicie zainteresowania duchami, jakie objawiał Lodge.

Najpierw jednak zajął się Preece'em. „Sir William Preece jest, jak wierzę, dżentelmenem mającym wielkie pretensje do wyróżnienia się w nauce. Bez względu jednak na to, jakie sukcesy osiągnął na innych polach, z żalem stwierdzam, że wedle najstaranniejszych badań brak wszelkich dowodów na jego kompetencję w ostatnim z jego przedsięwzięć. Wszelka wiedza, jaką posiada na temat mojej pracy, liczy sobie przynajmniej trzy lata, co jak pragnę panom przypomnieć, jest bardzo długim

okresem w krótkiej historii mojego systemu [...] Sir William Preece nie wie nic o warunkach, w jakich działa obecnie ten system”.

Następnie rozprawił się z Lodge'em. „Przykro mi stwierdzić, że choć doktor Lodge jest wybitnym profesorem fizyki oraz badaczem zjawisk parapsychicznych, do niego również stosuje się powyższe twierdzenie, o ile chodzi o mój obecny system czy telegrafię bez drutu”.

Marconi oświadczył, że jego technologia strojenia fal pozwala wysyłać wiadomości przez Atlantyk „bez zakłócania się nawzajem, albo przez statki posiadające własne urządzenia bezprzewodowe”. Następnie wyzwał Preece'a i Lodge'a, by spróbowali zakłócić jego transmisje i nawet zaoferował im możliwość skorzystania w tym celu z jego własnych stacji.

Udziałowcy firmy zaczęli klaskać, ale dla innych jego uwagi, opublikowane przez prasę, były wyrazem zuchwalstwa i bezczelnej drwiny.

„Westminster Gazette” stwierdziła, że „Signor Marconi zrobiłby lepiej, gdyby darował sobie kpiny ze zdolności swych najważniejszych krytyków [...] Gorzkie riposty i szyderstwa z inteligencji oponentów nie są oznaką naukowego ducha. Nie istnieje żaden powód a priori, dla którego badanie zjawisk parapsychicznych miałoby uniemożliwiać wyrażanie opinii na temat przyszłości bezprzewodowej telegrafii”.

„Electrical Times” potępił Marconiego za to, że wyrażał się „z niemal jawną pogardą” o Lodge'u i Preece. „Wątpliwe, by bez naukowej pracy tego pierwszego pan Marconi stworzył jakąkolwiek bezprzewodową telegrafię, o której mógłby rozprawiać, a jeśli chodzi o drugiego z wymienionych dżentelmenów, to jest mu winien wdzięczność za pomoc i zachętę, jakie otrzymał po swym przyjeździe do Anglii [...] Ale nawet pomijawszy to wszystko, ton, jaki przyjmuje pan Marconi, nie jest właściwy dla tak młodego człowieka wobec ludzi o tyle od niego starszych i o tak wysokiej pozycji w inżynierii i w świecie nauki”.

Następnie stwierdzono, że wynalazca sam ponosi winę za to, że nikt nie zna jego nowej technologii. „Gdyby pan Marconi raczył opisać otwarcie i w sposób pełny swoje metody i aparat, jak zwykli to czynić ludzie nauki, na pewno nie spotkałby się z brakiem zrozumienia ani uznania”.

Wojna się na tym nie skończyła. Miała się zrobić jeszcze bardziej zajadła.

Dwa dni później, w sobotę 22 lutego 1902 roku, Marconi ponownie wszedł na pokład „Philadelphii”. Celem jego podróży był powrót do Kanady i domknięcie umowy z jej rządem, była to jednak również okazja zwalczania sceptycyzmu wobec nowofundlandzkich osiągnięć. Zainstalował na statku nową, wyższą antenę, aby zwiększyć zasięg i poprosił kapitana statku, A.R. Millsa, by był świadkiem przeprowadzanego eksperymentu. Zrezygnował też ze słuchawki telefonicznej, której używał na Nowej Fundlandii, i podłączył do odbiornika zwykły rejestrator Morse’a, aby uzyskać jakiś fizyczny dowód zarejestrowania sygnałów.

Powszechnie akceptowano już fakt, że system Marconiego działa na krótkie dystanse, dlatego pierwsze depesze wymienione pomiędzy jego stacjami na wybrzeżu nie wywołały poruszenia. Dopiero rankiem drugiego dnia, kiedy statek znajdował się dokładnie 747,5 kilometra od Poldhu, sprawy zaczęły przybierać interesujący obrót.

Aparat obudził się do życia. Odbiornik zarejestrował depeszę „Wszystko w porządku, V.E.”, gdzie V.E. oznaczało „rozumiecie?”.

Zgodnie z poleceniem Marconiego stacja nadawała depesze i literę S.

Z odległości 1661,3 kilometra odbiornik statku przyjął wiadomość: „Dziękuję za telegram. Mam nadzieję, że wszystko nadal dobrze. Powodzenia”.

800 kilometrów dalej na pokład dotarła ostatnia czytelna depesza: „Wszystko w porządku. Rozumiecie?”, ale nawet z

odległości 3378 kilometrów od Poldhu odbiornik odbierał od czasu do czasu trzy kropki.

Kapitan Miller widział niebieskie kropki wysuwające się z rejestratora. „Czy to wystarczający dowód, kapitanie?” — zapytał Marconi.

Dowód był wystarczający. Kapitan zgodził się wystąpić w roli świadka i podpisał taśmę, składając krótkie oświadczenie pod przysięgą: „Otrzymano na pokładzie s/s. »Philadelphia«, szerokość 42.1 N, długość 47.23 W, odległość 2099 (dwa tysiące dziewięćdziesiąt dziewięć) mil lądowych od Poldhu”.

Po zejściu na ląd w Nowym Jorku Marconi poinformował dziennikarzy: „To tylko potwierdza moje wcześniejsze osiągnięcia na Nowej Fundlandii. Pytanie, czy bezprzewodowa telegrafia jest zdolna transmitować wiadomości przez Atlantyk, znalazło odpowiedź”. W wywiadzie udzielonym H.H. McClure’owi oświadczył: „Cóż, muszę teraz usiąść i obliczyć, jaka moc i jaki sprzęt będą potrzebne do przesyłania wiadomości z Kornwalii do Przylądka Dobrej Nadziei albo do Australii. Nie rozumiem, dlaczego naukowcy nie widzą tych spraw w taki sposób jak ja”.

Ale podróż przyniosła również kłopotliwe odkrycie, które Marconi chwilowo zatrzymał dla siebie. Okazało się, że z odległości 1120 kilometrów w ciągu dnia nie można było odebrać w ogóle żadnych sygnałów, choć łączność powracała po zmroku. Nazwał to „efektem dziennym”. Stwierdził, że „jasne słońce i pozbawione chmur niebo działają niczym mgła dla silnych promieni Hertza”.

Dwa miesiące później, nadal zdumiony i sfrustrowany tym efektem, mniej przebierał w słowach. „Przeklęte słońce!” — wykrzyknął. — „Jak długo jeszcze będzie nas dręczyć?”.

* * *

Tej samej wiosny Marconi odkrył, że zrobił sobie osobistego wroga z cesarza Wilhelma.

Incydent był drobny i najprawdopodobniej wcale nie przebiegł w taki sposób, jak sądził cesarz, ale wpisał się w coraz gorsze

stosunki pomiędzy Niemcami a Wielką Brytanią. Dążenie Wilhelma do wzmocnienia niemieckiej marynarki wojennej zmusiło przywódców brytyjskich do zrewidowania założeń „wspaniałej izolacji” i rozważenia sojuszu z Rosją i Francją, której niegdyś obawiano się najbardziej. Tego lata „Daily Mail” posunął się do zalecania prewencyjnego uderzenia na flotę niemiecką, choć wyrażał w ten sposób jedynie ideę, która krążyła już prywatnie w klubach Londynu i wśród niektórych strategów.

Rosnąca niezgoda międzypaństwowa miała swoją analogię w trwającej od dawna prywatnej wrogości pomiędzy Marconim a Adolfem Slabym oraz pomiędzy firmą Marconiego a jej niemieckim konkurentem, Telefunkenem, który rozpoczął wprowadzanie na całym świecie aparatu Slaby-Acro-Braun. Nawet marynarka amerykańska była klientem Telefunkena. Dla cesarza Wilhelma i niemieckiego przedsiębiorstwa polityka Marconiego, by statki wyposażone w jego aparaty komunikowały się jedynie ze stacjami jego firmy, stała się źródłem rosnącej irytacji.

Tak się rzeczy miały, kiedy na początku 1902 roku książę Henryk Pruski, młodszy brat cesarza Wilhelma, wyruszył do Nowego Jorku na pokładzie niemieckiego liniowca „Kronprinz Wilhelm” wyposażonego w aparat Marconiego. Kiedy statek wszedł w zasięg Lizard i Poldhu, zademonstrowano księciu, w jaki sposób wiadomości nadawane z obu stacji mogą zostać przyjęte równocześnie przez jedną antenę. Gdy liniowiec zbliżył się do Nowego Jorku, książę ku swemu zdumieniu odkrył, że nawiązywanie łączności między statkami a stacją Marconiego na Nantucket stało się niemal rutyną. (Nowa stacja w South Wellfleet, wraz z jej czterema ogromnymi wieżami, była jeszcze w budowie).

Podróż powrotną książę Heinrich odbywał na pokładzie innego niemieckiego liniowca, „Deutschland”, wyposażonego w aparat Telefunkena. Oczekiwał ponownej demonstracji cudu bezprzewodowych rozmów, ale nie usłyszał nic ani z Nantucket, ani z Lizard, ani z Poldhu. Podniosły się oskarżenia, że ludzie Marconiego celowo zignorowali „Deutschland”, a za jego

pośrednictwem również samego księcia i być może nawet zablokowali aparat na pokładzie statku. Cesarz był wściekły, podobnie jak niemiecka opinia publiczna. Przez Niemcy przeszła, jak to określiła pewna gazeta, fala „wrogiej Marconifobii”.

Firma Marconiego nie zablokowała niemieckiego aparatu. Przeciwnie, z szacunku dla księcia polecono, by operatorzy czasowo zawiesili zakaz rozmów z obcymi aparatami. Powód ciszy, jaką napotkał „Deutschland”, nie jest znany. Mogła ją spowodować usterka techniczna aparatu Telefunkena.

Niemniej cesarz Wilhelm wolał uznać incydent za celowy afront i zażądał, by zwołano międzynarodową konferencję, która ustaliłaby zasady łączności bezprzewodowej na morzu. Marconi rozumiał, że prawdziwą intencją monarchy jest doprowadzenie do ugody, wedle której wszystkie systemy bezprzewodowe będą musiały się ze sobą komunikować. Uznał tę propozycję za poważne zagrożenie dla swojej firmy i potępił ją. To jego firma zbudowała najlepiej rozwiniętą i wydajną sieć stacji bezprzewodowych, a zezwolenie na wykorzystywanie jej przez innych uważał za zwyczajną niesprawiedliwość.

W oczach Lodge’a i innych krytyków Marconiego kampania cesarza Wilhelma była sprawiedliwą karą dla zarozumiałego młodzieńca, i to karą zasłużoną od dawna. 2 kwietnia 1902 roku Sylvanus Thompson napisał do Lodge’a: „Skomlenie Marconiego, że inni chcą go obrabować z owoców jego pracy, jest śmieszne — przecież to zwykły awanturnik z fałszywymi pretensjami do oryginalnego wynalazku!” (słowo „fałszywy”, po angielsku „pinchbeck” wywodziło się od nazwiska osiemnastowiecznego zegarmistrza. Oryginalnie oznaczało złotopodobny stop używany do produkcji taniej biżuterii, w jubilerstwie stanowiło również synonim takich słów jak „podrabiany” i „sztuczny”).

Stosunki z Niemcami pogarszały się coraz bardziej. Richardowi Vyvyanowi i jego ludziom niespodziewanie i w sposób wyjątkowo nieprzyjemny złożyła w zatoce Glace wizytę Cesarska Marynarka Wojenna. Podczas prac na szczycie urwiska Góry Stołowej zauważono w oddali flotyllę okrętów, które rzuciły kotwicę w

zatoce Glace. Vyvyan natychmiast odgadł cel ich przybycia — tylko stacja mogła zwabić Niemców na tę odludną i niebezpieczną redę.

Na ląd zeszła grupa złożona z admirała i trzydziestu oficerów. Dzień był gorący, spacer długi. Vyvyan spotkał gości u bramy stacji i zaproponował chłodne napoje.

Admirał odmówił. Oświadczył, że on i jego ludzie przyszedli obejrzeć stację.

Vyvyan odparł, że z radością ich oprowadzi, oczywiście o ile posiadają pisemną zgodę Marconiego albo dyrektorów jego firmy.

Admirał jej nie miał.

Vyvyan wyraził głęboki żal. Wyjaśnił, że bez takiej zgody po prostu niemożliwe jest wpuszczenie admirała i jego towarzyszy na teren stacji.

Admirał się zjeżył. Oświadczył, że Jego Cesarska Wysokość, Wilhelm, usłyszy o tym incydencie i będzie bardzo niezadowolony.

Vyvyan wyraził swój wielki żal również z tego powodu, ale nic nie mógł uczynić. Wreszcie admirał i jego ludzie odeszli.

Okręty pozostały jednak na kotwicy. Na jednej z wież Vyvyan na wszelki wypadek postawił wartownika.

Instynkt go nie zawiódł. Następnego dnia wartownik zauważył, że od okrętów odbijają łodzie, wiozące mniej więcej 150 ludzi. Wkrótce marynarze stanęli u bram stacji. Tym razem, jak zauważył Vyvyan, nie towarzyszył im żaden oficer.

Przybysze próbowali go odepchnąć, zachowując się jak „niesforny tłum”.

Vyvyan utrzymał pozycję.

„Poinformowałem ich, że wstęp jest wzbroniony i że jeśli będą nalegać, użyję siły, by uniemożliwić im wejście”.

Na terenie stacji pracowało wielu robotników. Część wyczuła kłopoty i zaczęła się zbierać przy bramie. Napięcie rosło.

Wówczas, niespodziewanie, jeden z Niemców zadał w gwizdek. Marynarze ustawili się w szyku i odeszli, zmieniając się nagle w „zdyscyplinowany oddział”.

Flota odpłynęła.

* * *

A Marconiego nadal prześladowały frustrujące niepowodzenia.

Na czerwiec 1902 roku zaplanowana była koronacja Edwarda, ale król zapadł nagle na zapalenie wyrostka robaczkowego. Początkowo prawdopodobieństwo, że przeżyje, wydawało się niewielkie, niemniej poddał się operacji. Udała się ona, a monarcha po raz kolejny wycofał się na królewski jacht „Victoria and Albert”, aby dojechać do siebie. Tymczasem dygnitarze przysłani na koronację nagle stracili swoją misję. Włochy przysłały do Anglii okręt wojenny „Carlo Alberto”. Użyczono go Marconiemu wraz z sześćsetosobową załogą w charakterze pływającego laboratorium, do czasu aż Edward na tyle odzyska zdrowie, by koronacja mogła się odbyć.

Tymczasem król Włoch, Wiktor Emanuel III, postanowił złożyć wizytę carowi Rosji Mikołajowi II. Rozkazał, by „Carlo Alberto” przyplłynął po niego do Kronsztadu, rosyjskiej bazy marynarki wojennej, gdzie on i car wejdą na pokład i wezmą udział w demonstracji aparatu Marconiego. Podczas rejsu, w niemieckim porcie wojennym w Kilonii Marconi odebrał sygnał z odległości 965 kilometrów, a w nocy 15 lipca 1902 roku, na redzie Kronsztadu, z odległości 2575 kilometrów. Ale ponownie stwierdził, że słońce uniemożliwia transmisję w czasie dnia — nie słyszał żadnych przekazów z Poldhu pomiędzy wschodem a zachodem słońca. Obecnie stało się to poważnym problemem, z uwagi na planowaną wizytę króla Wiktora Emanuela i cara Mikołaja. Chciał swym królewskim gościom zademonstrować odbiór depechy, ale naleganie, by złożyli wizytę po zmroku, byłoby co najmniej dziwne i niestosowne. Wówczas Luigi Solari zaproponował, by umieścić nadajnik gdzieś na statku i stamtąd nadać wiadomość. Twierdził, że nie chciał popełnić oszustwa, a jedynie zademonstrować w dzień coś, co bez trudu można było osiągnąć w nocy.

17 lipca król i car weszli na pokład i udali się do kabiny radiotelegrafu, gdzie Marconi zaprezentował im taśmy z depeşami przyjętymi z Poldhu. Nagle odbiornik ożył i rejestrator Morse'a wydrukował wiadomość z powitaniem i gratulacjami dla Mikołaja.

Car wyraźnie zdumiony i pod wrażeniem zapytał, skąd pochodzi wiadomość. Marconi wyznał prawdę i pokazał ukryty nadajnik. Monarcha widać nie poczuł się dotknięty, gdyż poprosił, by przedstawiono mu Solariego, i pochwalił jego pomysłowość.

W następnym miesiącu, podczas dalszych doświadczeń na pokładzie „Carla Alberta”, nagle system całkowicie zawiódł. Marconi planował przyjąć z Poldhu depeşę dla króla Wiktora Emanuela, ale wiadomość nie przyszła. Nic nie było w stanie poprawić odbioru, nieznane były również przyczyny awarii. Marconi powiedział kiedyś Solariemu: „Nigdy nie reaguję emocjonalnie”, ale teraz na jego oczach rozbił odbiornik na kawałki.

O niepowodzenie obwinił Fleminga, który bez konsultacji z nim zmienił główny element stacji w Poldhu, w ten sposób niwelując wcześniejszą zmianę wprowadzoną przez samego Marconiego. Zainstalował również nowy iskiernik własnej konstrukcji.

Marconi poskarżył się swemu nowemu dyrektorowi, Cuthbertowi Hallowi, który od czasu rezygnacji ze stanowiska Flooda Page'a, co miało miejsce rok wcześniej, był drugą osobą w firmie. Urządzenie Fleminga, napisał Marconi, „w praktyce okazało się niezadowolające”.

Polecił ludziom w Poldhu wymienić wynalazek Fleminga na swój własny projekt — i teraz to Fleming poczuł się urażony. Oponował, że wprowadzenie takich zmian powinno się z nim konsultować.

Co tylko jeszcze bardziej rozżłościło Marconiego.

W innym liście do Cuthberta Halla napisał: „Powinno się wyjaśnić [Flemingowi], że jego funkcja inżyniera konsultanta polega na doradzaniu w sprawach, które są mu przedstawiane, i że w żaden sposób nie nakłada to na firmę obowiązku szukania jego rady w sprawach, w których nie wydaje się ona konieczna [...]

Nie chcę zadawać wrażliwemu doktorowi Flemingowi niepotrzebnego bólu, ale o ile nie znajdziecie sposobu, by przedstawić mu tę kwestię w odpowiednim świetle, poczuję się zmuszony przekazać radzie nadzorczej moje oficjalne oświadczenie w kwestii jego pozycji”.

Próżno byłoby jednak szukać wzmianek o tych wydarzeniach w raporcie Luigiego Solariego z eksperymentów na „Carlu Albercie”, opublikowanym 24 października 1902 roku w „The Electrician”. Na podstawie jego relacji można by wnosić, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Niewtajemniczeni czytelnicy musieli przyjąć ten raport za dobrą monetę, gdyż po raz kolejny Marconi nie zapewnił sobie bezstronnego świadka, który poręczyłby za uzyskane rezultaty.

Tym razem jednak, bez wiedzy Marconiego, transmisjom przysłuchiwał się ktoś jeszcze.

Tego lata Eastern Telegraph Co., koncern będący właścicielem podmorskiego kabla, postanowił zainstalować własną bezprzewodową stację, w Porthcurno w Kornwalii, mniej więcej trzydzieści kilometrów od Poldhu, gdzie kabel wyprowadzony był na brzeg. Firmy obsługujące transatlantyckie kable nadal nie traktowały telegrafii bezprzewodowej jako poważnej konkurencji, ale wiedziały, że może się ona okazać cenna jako źródło dostarczające dodatkowego ruchu na kablach oraz umożliwić łączność ze statkami naprawczymi. Eastern Telegraph zatrudniło do tej pracy Nevila Maskelyne’a i w sierpniu 1902 roku magik wznosił w Porthcurno tymczasową antenę o wysokości 7,5 metra. Natychmiast zaczął odbierać nadawane Morse’em sygnały z Poldhu, choć wedle oficjalnego stanowiska firmy Marconiego nie było to możliwe ze względu na opracowany system strojenia fal.

Maskelyne odebrał powtarzający się sygnał CBCB. „Zważywszy, że prowadzone były eksperymenty łączności pomiędzy Poldhu a »Carlem Albertem«, nie trzeba było Sherlocka Holmesa, by się domyślić, że »CBCB« to sygnał wywoławczy Carla Alberta” — pisał Maskelyne. On i ludzie z Eastern Telegraph przewalili statek „Carlo Bertie”.

Maskelyne nie tylko słuchał. Zatrzymał sobie również kopie taśm, które wypluwał rejestrator Morse'a. Ich prawdziwe znaczenie nie było jeszcze dla niego jasne.

Panie prowadzą śledztwo

Najpierw zniknęła, podobno udając się do Ameryki. A teraz umarła. Żadna z tych wiadomości nie miała sensu. Obie wyglądały na naciągane. Byłby to doprawdy cud, w edwardiańskim znaczeniu tego słowa, a przecież mówił to wszystko Crippen, ta esencja wiarygodności. Crippen, który zdaniem Maud i Johna Burroughsów był „przykładnym mężem”, który zdaniem Clary Martinetti „był taki uprzejmy i uważający”, a zdaniem Adeline Harrison taki „życzliwy i ludzki”.

A jednak.

Bo z drugiej strony była przecież broszka w kształcie wschodzącego słońca, noszona tak bezwstydnie przez zwykłą maszynistkę, oraz fakt, że od czasu wyjazdu Belle ani nie napisała, ani nie zadepeszowała do przyjaciół. Nie pomyślała nawet, żeby im wysłać ze statku wiadomość przez telegraf bez drutu — czyli, jak to wtedy mówiono, „marconigram” — choć na pewno taka rozrywka bardzo by ją uradowała, ze względu na związaną z nią niespodziankę. Poza tym Crippen wydawał się niepewny miejsca przebywania żony i nie potrafił podać jej adresu. Przebywała — jak to ujął — „w górach Kalifornii”, a przecież Belle nigdy nie wspominała, że ma krewnych w Kalifornii, w dodatku w tej części stanu.

Jeszcze nim przyszła wiadomość o śmierci Belle, jej następczyni na stanowisku skarbniczki, Lottie Albert, poprosiła swojego przyjaciela, Michaela Bernsteina, aby wypytał o nią w imieniu Stowarzyszenia.

Crippen powiedział, że żona wypłynęła na pokładzie francuskiego statku, który wyruszył z Hawru. Nazwa wyleciała mu z pamięci, ale było to coś w rodzaju „La Touee” czy „Touvee”.

Bernstein poszukał na listach pasażerów francuskich statków nazwiska Crippen lub Elmore, ale nic nie znalazł.

30 marca w środę, a zatem w dzień kiedy spotykało się Stowarzyszenie Pań, Clara Martinetti i Louise Smythson udały się do biura Crippena pod pozorem złożenia kondolencji. W rzeczywistości zamierzały przeprowadzić własne dochodzenie.

Pani Martinetti zapytała go o adres osoby, która opiekowała się Belle w jej ostatnich chwilach. Crippen odparł, że nie wie, kto to był.

Zapytała, jak długo chorowała Belle. Crippen wyjaśnił, że zachorowała na statku i nie dbała o siebie, w konsekwencji czego dostała zapalenia płuc.

Następnie pani Martinetti chciała wiedzieć, gdzie przyjaciółka została pochowana. Wyjaśniła, że Stowarzyszenie chce wysłać „wieczny wieniec” na jej grób. Dowiedziała się, że jeszcze nie została pochowana — została skremowana i jej szczątki niedługo przybędą pocztą.

Skremowana.

Belle nigdy nie wyraziła życzenia, że chce zostać po śmierci skremowana. A przecież była taka otwarta we wszystkich kwestiach dotyczących jej życia, do tego stopnia, że kazała przyjaciółkom dotykać swojej blizny. Gdyby planowała poddać się czemuś tak nowomodnemu jak kremacja, na pewno wspomniałaby o tym znajomym.

Pani Martinetti zapytała, gdzie Belle umarła. Crippen nie odpowiedział wprost. Powiedział tylko „Dam ci adres mojego syna”.

„Czy umarła u niego, a on widział jej śmierć?” — spytała pani Martinetti.

Crippen odparł, że tak, ale w bardzo niejasny sposób, a potem dał jej adres Ottona w Los Angeles.

Pani Martinetti i pani Smythson wyszły. Ich podejrzenia jeszcze wzrosły. Clara natychmiast napisała kartkę do Ottona, prosząc go o szczegóły śmierci Belle.

Odpowiedź zajęła mu miesiąc. Otto przeprosił za opóźnienie, ale wyjaśnił, że spowodowała je choroba i śmierć jego własnego syna.

Wracając natychmiast do tematu, napisał: „Śmierć mojej macochy była dla mnie wielką niespodzianką, podobnie jak dla wszystkich. Umarła w San Francisco. Po raz pierwszy usłyszałem o tym od ojca, który napisał do mnie zaraz po tym fakcie. Poprosił, bym przekazywał mu wszystkie listy i on będzie czynił stosowne wyjaśnienia. Powiedział, że przez pomyłkę podał moje nazwisko i adres jako miejsce śmierci mojej macochy. Będę bardzo szczęśliwy, jeśli dowie się Pani jakichś szczegółów jej śmierci i poinformuje mnie o nich, ponieważ wiem, że zmarła w San Francisco”.

* * *

Tymczasem pod numerem 39 na Hilldrop Crescent Ethel Le Neve rozpoczęła porządki. Okazały się one prawdziwym wyzwaniem. Po pierwsze w domu okropnie śmierdziało, szczególnie na dole w okolicach kuchni, choć smród przenikał cały dom. Pani Jackson wyczuła go natychmiast podczas swej pierwszej wizyty i wspomniała o tym Ethel. „To był zapach wilgotnej stęchlizny. Mógł być skutkiem wilgoci i brudu. Taki zatęchły smród”.

— Tak — zgodziła się Ethel. — Dom jest bardzo wilgotny i brudny. W takim stanie zostawiła go Belle Elmore, nim wyjechała do Ameryki.

Otworzyła okna i usunęła ubrania oraz zbędne rzeczy. Większość ułożyła na stosie w kuchni. Crippen zaprosił swego dawnego pracownika, Williama Longa, żeby przyszedł i zobaczył, czy przyda mu się coś z tego. „Nazajutrz czy dwa dni potem, wieczorem, poszedłem tam, a doktor pokazał mi w kuchni górę damskich strojów, w tym pończochy, bieliznę, buty i masę starych teatralnych spódnic, jak również stare zasłony, obrusy, dywaniki i tym podobne” — zeznał Long.

W ciągu kilku kolejnych wieczorów zabrał wszystko. Crippen sprezentował mu również połączoną klatkę i siedem kanarków.

Ethel najęła służącą, francuską dziewczynę, niejaką Valentine Lecocq. „Nareszcie znalazłam dziewczynę, za którą mogę być wdzięczna” — napisała do pani Jackson. — „Ma tylko 18 lat, ale bardzo chce się uczyć i się stara. Biedaczka nie ma jednak co na siebie włożyć, ani jednej czarnej bluzki, a ponieważ doktor zaprasza przyjaciół na kolację w przyszłą niedzielę, sądzę, że będę musiała ją porządnie i ładnie wystroić”.

Przy pomocy Francuzki Ethel zaczęła czynić postępy. W innym liście do pani Jackson napisała: „Ciągłe jestem taka zajęta tym okropnym domem. Przypuszczam, że nie poznałabyś niektórych pokoi”. Stwierdziła, że trudno utrzymać dom „w jakiej takiej czystości”, a równocześnie wypełniać obowiązki w biurze Crippena. „Pozostaje mi niewiele czasu dla siebie” — skarżyła się.

Ale wiedziała, że wkrótce te prace domowe dobiegną końca. Umowa najmu wygasła 11 sierpnia, a wówczas planowali przenieść się do mieszkania na Shaftesbury Avenue.

„Pomimo ciężkiej pracy jestem jednak naprawdę szczęśliwa” — zwierzyła się pani Jackson.

Uwielbiała chwile spędzane z Crippenem. W swoich wspomnieniach napisała: „Chodził ze mną do piwnicy na węgiel, z wiadrem w ręku. Kiedy wsypywał węgiel, ja opierałam się o drzwi, trzymając zapaloną świecę. Rozmawialiśmy”.

Dom zrobił się jaśniejszy i miłszy, a paskudny zapach zniknął. Crippen pomagał, w czym mógł. Codziennie rozmawiał z nią, obejmował i całował. Nie byli małżeństwem w oczach prawa i nie mogli się pobrać, póki śmierć Belle w Ameryce nie zostanie oficjalnie potwierdzona, ale żyli ze sobą jak żona z mężem.

„I tak płynął nam czas” — pisała Ethel. „Oboje byliśmy niezwykle szczęśliwi i zadowoleni, oboje pracowaliśmy ciężko na swój własny sposób”.

* * *

Panie się przyglądały.

Zauważyły, że Crippen wychodzi z pracy z maszynistką i przychodzi do pracy z maszynistką. Zauważyły, że chodzą razem

po ulicy. Maszynistka nosiła futra, które bardzo przypominały futra Belle, ale oczywiście nie można było mieć pewności, gdyż trudno jest odróżnić jedno futro od drugiego. Widywały ich razem w teatrze i w restauracjach. Pewnego dnia Annie Stratton i Clara Martinetti wpadły na Crippena na New Oxford Street. „Kiedy z nim rozmawialiśmy, wydawał się niespokojny i chciał odejść” — powiedziała pani Martinetti. — „Potem zobaczyłam, że podchodzi do maszynistki i oboje wsiadają do autobusu”.

Panie odkryły również niepokojący fakt. W dniu wyjazdu Belle do Ameryki miał wypłynąć tylko jeden francuski liniowiec, o nazwie „La Touraine”.

Nie wyszedł jednak z portu. Miał awarię.

* * *

Przychodziły dziwne wieści, no ale i czasy były dziwne. 6 maja 1910 roku o 11.45 umarł król Edward VII, a kraj pogrążył się w żałobie. Po raz pierwszy w historii Anglii dyrektorzy wyścigów w Ascot polecili, by cała publiczność ubrana była na czarno. Wydarzenie to nazywano później zawsze „czarnym Ascot”. Przyszłe pokolenia dowiadywały się o nim, oglądając *My Fair Lady*.

Zupełnie jakby świat naprawdę miał się skończyć. Na niebie pojawiła się kometa Halleya, wzbudzając strach, że zderzy się z Ziemią, i wywołując pogłoski o strasznych wydarzeniach, które wkrótce nastąpią.

Ciężkie przeprawy

Długa, pełna eksperymentów podróż Marconiego na pokładzie „Carla Alberta” dobiegła końca rankiem w Halloween 1902 roku, kiedy statek przybił do wybrzeży Nowej Szkocji. Celem Marconiego — jego nadzieją — było teraz przesłanie kompletnej depechy z Anglii do Ameryki Północnej. Musiało mu się udać. Sceptycyzm wobec jego transmisji na Nową Fundlandię ciągle się pogłębiał, a sukces nie tylko zadałby kłam wątpięcym, ale i uspokoił nastroje w radzie nadzorczej firmy, która niepokoiła się poważnie, czy wszystkie te kosztowne eksperymenty kiedykolwiek przyniosą jakieś dochody.

Marconi zakończył już budowę nowych stacji w South Wellfleet i Poldhu oraz najsilniejszej z nich, na Górze Stołowej w zatoce Glace. Każda stacja powstała według mniej więcej tego samego projektu: cztery potężne wieże z układanych w kratownicę belek, każda wysoka na 64 metry, a między nimi odwrócona piramida z czterystu drutów. Każda miała napędzane silnikami parowymi generatory produkujące elektryczność, przesyłaną następnie przez zespół transformatorów i kondensatorów. South Wellfleet dawało 30 000 watów mocy, zatoka Glace 75 000. W South Wellfleet pomiędzy pokojem nadawczym a iskiernikiem trzeba było zainstalować gruby szklany luk i dźwiękoszczelne drzwi, żeby chronić oczy i uszy operatora.

Marconi rozpoczął próby w dzień po swym przybyciu na miejsce, koordynując każdy krok z operatorami Poldhu za pomocą telegramów wysyłanych podmorskim kablem. Pierwsze odebrane sygnały, wedle słów Richarda Vyvyana, „były bardzo słabe i nieczytelne”. Niemniej zostały odebrane. Pokrzepiony świadomością, że Poldhu nadaje jedynie połowę mocy, Marconi polecił inżynierom zwiększyć moc nadajnika do maksimum.

Oczekiwał, że to rozwiąże problem. Nie rozwiązało. Wręcz przeciwnie, przestał odbierać cokolwiek.

Druty tworzące antenę w zatoce Glace mogły być wykorzystywane wszystkie naraz lub segmentami. Marconi i Vyvyan próbowali różnych kombinacji. Znów nic. Noc w noc pracowali nad znalezieniem magicznego ustawienia, za pomoc mając jedynie własne próby i błędy. Odbiór w dzień wydawał się sprawą beznadziejną, więc często pracowali przez całą noc. Przez kolejnych osiemnaście nocy nie odebrali żadnych sygnałów. Napięcie rosło, szczególnie w domu Vyvyana. Sprowadził do zatoki Glace swą świeżo poślubioną żonę, Jane. Była ona w bardzo zaawansowanej ciąży, a dziecko mogło się urodzić w każdej chwili.

Zaczął padać śnieg i wkrótce pokrył szczyt urwiska. W nocy iskry z nadajnika oświetlały spadające płatki. Po każdym wyładowaniu otoczenie spowijała bladoniebieska aura, jakby pomieszczenie nadawcze było fabryką niszczącą duchy i rozpraszającą je w eterze. Na drutach wisały metrowe sople lodu.

W samym środku tych wydarzeń Marconi otrzymał telegram od zarządu, że cena akcji firmy spada. Choć jeszcze o tym nie wiedział, spadek cen był wynikiem działań magika.

* * *

Nevil Maskelyne gardził oszustwem, ale uwielbiał zwodzić i wprowadzać w błąd swą publiczność. Jego bazą był Egyptian Hall na Piccadilly, jeden z najpopularniejszych przybytków rozrywki w Londynie, jak również jeden z najdziwniejszych budynków w mieście. „Próba odmalowania frontonu tego niezwykłego dzieła architektury przekracza zdolności opisu” — napisał jeden z pierwszych gości. Budynek wzniesiono w 1812 roku, a jego fasada stworzona została na podobieństwo wejścia do egipskiej świątyni. Z żółtego tynku wynurzały się dwa wielkie posągi, pilastry zaś i podmurówkę pokrywały hieroglify. Początkowo służył za muzeum historii naturalnej, ale nie przyciągnął zbyt wielu zwiedzających i wkrótce zmienił się w miejsce wystawiania osobliwości, między innymi całej rodziny Lapończyków, ważącego trzydzieści sześć

kilogramów męczyzny nazywanego Żywym Szkieletem, a w 1829 roku prawdziwych bliźniąt syjamskich. Jego najślawniejszy żywy eksponat był równocześnie jednym z najmniejszych — był to mieszkaniec Bridgeport w stanie Connecticut, niejaki Charles S. Stratton, pokazywany tu w 1844 roku przez Phineasa T. Barnuma. Wówczas Stratton znany był bardziej pod swym pseudonimem scenicznym — generał Tomcio Paluch.

Ojciec Nevila, John Nevil Maskelyne, przejął Egyptian Hall wraz z partnerem, George'em A. Cooke'em i do roku 1896 zdołał zmienić go w „Angielski Dom Tajemnic”, gdzie dwa razy dziennie publiczność mogła oglądać pokazy magików i podziwiać iluzje oraz mechaniczne chimery. Maskelyne i Cooke zdobyli sławę, prezentując dwa słynne amerykańskie media, braci Davenportów. Reklamowali się jako królewscy iluzjoniści i antyspirytyści. Jedną z największych atrakcji Egyptian Hall był automat o imieniu Psycho, ucharakteryzowany na orientalnego mistyka, pod którego szatą i turbanem krył się mechanizm umożliwiający rozwiązywanie problemów matematycznych, wypowiedanie słów oraz — rzecz najślawniejszą — grę w wista z osobami z publiczności. Nevil Junior przejął firmę po ojcu, a kiedy nie zajmował się swoimi drutami, występował w przedstawieniach u boku partnera Davida Devanta, magika. Wspólnie ujawniali publiczności sztuczki stosowane przez media, i to w takim stylu, że niektórzy spirytyści wierzyli, że naprawdę posiadają zdolności parapsychiczne, a niewiarę udają w cynicznej pogoni za zyskiem.

Maskelyne nie ufał Marconiemu. Włoch twierdził, że dokonał zaskakujących wyczynów, ale przedstawił niewiele dowodów na ich poparcie, poza świadectwami takich sojuszników jak Ambrose Fleming czy Luigi Solari. Ostatnim przykładem był bardzo pochlebny raport Solariego w „The Electrician”, dotyczący eksperymentów Marconiego na pokładzie „Carla Alberta”.

Maskelyne przeczytał go najpierw z niesmakiem, a potem z rosnącą rozkoszą. Nagle uświadomił sobie, że taśmy, które zebrał, podsłuchując nadajnik Marconiego, zawierały niektóre

wiadomości wymienione przez Solariego. I dowodziły, że system jest bardziej zawodny, niż ujawniano.

Postanowił opublikować swoje odkrycie. W artykule, który ukazał się w „The Electrician” 7 listopada 1902 roku, wyjawiał, że za pomocą swojego aparatu zainstalowanego na stacji Porthcurno, niedaleko Poldhu, przejął sygnały Marconiego i że taśmy z rejestratora Morse’a dowodzą, iż doniesienia Solariego nie są dokładne. Jednakże nie oskarżył go wprost o oszustwo.

Taśmy, napisał, dowodzą, że błędy spowodowane zakłóceniami atmosferycznymi są powszechne i że transmisje z innej stacji zakłócały łączność między Poldhu a „Carlem Albertem”. Zakwestionował również twierdzenie Solariego, że stacja w Poldhu mogła nadawać w tempie piętnastu słów na minutę. Wedle jego obliczeń bliższe było ono pięciu słowom.

Maskelyne odniósł się również do twierdzenia Solariego, że wiadomość z włoskiej ambasady w Londynie, przesłana za pomocą stacji w Poldhu, została bez błędu przyjęta na pokładzie statku dokładnie o 16.30 9 września 1902 roku. Ujawnił, że transmisja tej wiadomości rozpoczęła się kilka nocy wcześniej, 6 września o dziewiątej. (Być może to właśnie ona doprowadziła Marconiego do rozbicia aparatu).

Jedno było pewne: Maskelyne dowiódł, że transmisje Marconiego można przejąć i odczytać. Napisał „Pytanie brzmi oczywiście: czy pan Marconi może tak dostroić stację w Poldhu, że pracując codziennie przez cały dzień, nie zakłóci ona działania stacji w Porthcurno? Do 12 września, w którym to dniu zakończył się mój osobisty nadzór nad eksperymentami w Porthcurno, udało mu się jedynie dowieść, że tego nie potrafi”.

Cuthbert Hall, dyrektor Marconiego, odpowiedział własnym listem do „The Electrician”, w którym napisał: „Dowody przejęcia naszych transmisji [...] nie są niezbite”. Twierdził, że każdy mógł użyć wiadomości opublikowanych w artykule Solariego i za pomocą rejestratora Morse’a podrobić taśmy. „By mieć jakąś wartość jako dowód, artykuł pana Maskelyne’a musiałby zostać opublikowany przed, a nie po raporcie porucznika Solariego”.

Maskelyne musiał uznać argumenty Halla za ironię, zważywszy zamiłowanie Marconiego do popierania doniesień o własnych triumfach świadectwami typu „zaufajcie mi”, których prawdziwości nie dawało się sprawdzić.

W kolejnym wydaniu pisma odpowiedział: „Najwyraźniej pan Hall stoi przed dylematem. Albo musi twierdzić, że jestem kłamcą i fałszerzem, albo pogodzić się z sytuacją przedstawioną w moim artykule [...]. Jeśli wybierze to pierwsze, będę wiedział, co zrobić dalej. Jeśli to drugie, zwiewny całun nadmiernie optymistycznych i wizjonerskich twierdzeń, których akceptacji tak długo się od nas domagano, jakby były oparte na solidnych faktach, musi opaść”.

* * *

W zatoce Glace panowała cisza. Nic nie wyjaśniało niemożności odebrania sygnałów z Poldhu. Przecież na Nowej Fundlandii Marconi przyjął sygnał za pomocą podskakującego na wietrze latawca, a tymczasem tutaj, na tej kunsztownej nowej stacji, zbrojnej w sześćdziesięcioczworometrowe wieże i całe kilometry drutu, nie odbierał nic. Wraz z Vyvyanem postanowili spróbować czegoś, czego dotąd nie próbowali — odwrócić kierunek transmisji i nadać wiadomość z Nowej Szkocji do Anglii. Nie mieli ku temu żadnego szczególnego powodu. Oprócz tego, że odbiór nie działał.

Pierwszą próbę wykonali w nocy 19 listopada 1902 roku, ale operatorzy z Poldhu nie odebrali żadnych sygnałów.

Dokonywali niekończących się poprawek w aparacie. Vyvyan napisał: „Nie mieliśmy nawet instrumentów do mierzenia długości fal. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie wiedzieliśmy, jakiej długości używamy”.

Próbowali przez dziewięć kolejnych nocy, nadal bez sukcesu. Dziesiątej nocy, 28 listopada, otrzymali depezę z wiadomością, że Poldhu odebrało niewyraźny sygnał, ale nie zdołało go odczytać. To dodało Marconiemu otuchy, choć na krótko, ponieważ kolejnej nocy Poldhu znów niczego nie odebrało. Cisza trwała przez kolejnych siedem nocy.

W piątek 5 grudnia Marconi podwoił długość iskry. Po jakimś czasie otrzymał tradycyjnym telegrafem wiadomość zwrotną, że Poldhu wreszcie odebrało wiadomość.

Słabe, czytelne sygnały przez pierwsze pół godziny, nic przez następne trzy kwadransy, trzy ostatnie kwadransy czytelne, zarejestrowane na taśmie.

Następnej nocy Marconi nadawał w dokładnie tej samej konfiguracji.

Nic.

Kolejnej nocy znowu cisza.

Przez tygodnie niepowodzeń Marconi okazywał niewiele oznak frustracji, ale teraz klął na głos i wałnął pięścią w stół.

Ale próbował dalej. Klęska w tym momencie, a nawet tylko pogłoski o klęsce, oznaczałyby ruinę. Zgodnie z przewidywaniami, zaczęły przeciekać pogłoski, że ma kłopoty z transmisją. We wtorek 9 grudnia 1902 roku nagłówek w „Sydney Daily Post” pytał: „Co złego dzieje się na Górze Stołowej?” Artykuł twierdził, że „coś dziwnego dzieje się chyba na Górze Stołowej, co nie wygląda zachęcająco dla promotorów projektu”.

Tej nocy nie powiodły się żadne próby połączenia się z Poldhu. Niepowodzenie prześladowało Marconiego przez cztery kolejne noce. Piątej nocy, w niedzielę 14 grudnia, po długich godzinach słania w niebo kropek i kresek, przyszedł telegram z Poldhu: „Czytelne sygnały przez dwie godziny”.

Zważywszy wszystko, co się zdarzyło od przybycia Marconiego w Halloween, był to powód do radości. Ludzie wybiegli prosto w mroźną noc i tańczyli w śniegu, póki chłód nie zagnał ich z powrotem do budynku.

Przez chwilę wydawało się, że czystym przypadkiem Marconi trafił na odpowiednią kombinację zmiennych. Zamiast jednak, jak doradzał rozsądek, czekać na potwierdzenie tej teorii, od razu rozpoczął kolejny punkt swojego planu, a mianowicie wysyłanie przez ocean pierwszej wiadomości publicznej. Według Vyvyana podjął decyzję o tej próbie „ze względu na naciski finansowe i aby uciszyć wyraźny krytycyzm prasy”.

Tym razem uznał, że jego własne świadectwo nie wystarczy, by przekonać świat o tym, co osiągnął. Poprosił George'a Parkina z Ottawy, korespondenta londyńskiego „Timesa”, by napisał tę historyczną wiadomość i został świadkiem jej przesłania. Wcześniej jednak zaprzysiął go, że zachowa tajemnicę, póki Poldhu nie potwierdzi poprawnego odbioru.

Pierwszą próbę nadania rozpoczęto w poniedziałek 15 grudnia, niecałe dwadzieścia cztery godziny od telegramu z Poldhu, który wywołał taką radość w stacji. Marconi poprosił Parkina, aby tuż przed transmisją dokonał pewnych zmian w wiadomości, by odeprzeć wszelkie ewentualne zarzuty, że Poldhu w jakiś sposób weszło wcześniej w posiadanie jej kopii. O pierwszej w nocy Marconi ujął ciężki klucz i zaczął nadawać. „Wszyscy zatkali sobie uszy wata, by chronić się przed hukami wyładowań elektrycznych” — napisał Parkin. Porównał hałas do „następujących po sobie strzałów z karabinu maszynowego Maxim”.

Wiadomość nie dotarła do Poldhu. O drugiej nad ranem Marconi spróbował ponownie. I ta próba zakończyła się niepowodzeniem.

Powtórzył próbę wieczorem, najpierw o szóstej, potem o siódmej, nadal bez sukcesu. Między dziesiątą a północą wiadomość Parkina wreszcie dotarła do Poldhu. Brzmiała następująco:

Times, Londyn. Jestem obecny przy transmisji z kanadyjskiej stacji Marconiego, mam zaszczyt wysłać do Timesa pierwszą transatlantycką wiadomość wynalazcy z pozdrowieniami dla Anglii i Włoch. Parkin.

Marconi zorganizował rankiem uroczystość, podczas której wciągnięto na maszt flagi Brytanii i Włoch.

Nagły poryw wiatru natychmiast zerwał obie flagi.

* * *

Wiadomość od Parkina nie została przekazana do „Timesa” od razu. Wyczucie protokołu i zdolności showmana kazały

Marconiemu przesłać najpierw dwie inne wiadomości z pozdrowieniami, jedną do króla Edwarda, a drugą do króla Wiktora Emanuela w Rzymie. Polecił Poldhu, by zatrzymało depezę Parkina, a samemu Parkinowi, by wstrzymał się z publikacją historii, póki obie królewskie depesze nie zostaną wysłane, a ich odbiór potwierdzony telegramem. Zajęło to kolejne sześć dni.

Parkin naszkicował pełną pochwał relację, w której opisał własne „zdumienie” wobec faktu, że impulsy wysyłane z zatoki Glace docierają do Poldhu w jedną trzydziestą sekundy. Nie wspomniał o sześciodniowym opóźnieniu.

Vyvyan w swoich wspomnieniach był bardziej szczery. „Choć te trzy wiadomości wysłaliśmy przez Atlantyk i dotarły do Anglii, nie można powiedzieć, by łączność bezprzewodowa działała zadowalająco. Wiązał się z nią wielki ładunek niepewności, czy depeza dotrze do miejsca przeznaczenia, czy nie, a przyczyna tej niestałości nie była znana. Wszystkie warunki pozostają takie same na obu stacjach, tymczasem sygnały raz są dobre i czytelne, a raz panuje cisza. Często wahają się mocno co do siły w ciągu dwóch czy trzech minut”.

Kolejny dowód tej niepewności dotknął samego Vyvyana. 3 stycznia jego żona urodziła zdrową córeczkę. Oczywiście świętowano to wydarzenie i wysłano przez Atlantyk wiadomość do „Timesa” w Londynie. Ale zakłócenia atmosferyczne spowodowały, że „Jan”, skrót od słowa „January” (styczeń) został odczytany jako imię Jane i telegram przyjęty przez Poldhu nasuwał pewne skojarzenia z Sinobrodym.

Times Londyn za pośrednictwem telegrafu bez drutu. Proszę umieścić w kolumnie „urodziny” Jane 3. żona R.N. Vyvyana głównego inżyniera w kanadyjskiej stacji Marconiego córka. Marconi

* * *

Ośmielony swym nowym zwycięstwem, Marconi zaczął planować przekształcenie go w sukces, który jak miał nadzieję, w końcu

osuszy morze wątpliwości. 10 stycznia 1903 roku ruszył na Cape Cod, zamierzając wysłać pierwszą depeszę telegrafem bez drutu ze Stanów Zjednoczonych do Anglii. Wiózł w kieszeni pozdrowienia od prezydenta Theodore'a Roosevelta, które miały zostać przesłane królowi Edwardowi. Doszedł do wniosku, że nie zdoła nadać tej wiadomości bezpośrednio z Cape Cod, gdyż stacja nie miała niezbędnej mocy. Zamierzał więc wysłać ją z South Wellfleet do zatoki Glace w Nowej Szkocji, a stamtąd przez Atlantyk.

Wiadomość od Roosevelta brnęła z Cape Cod do Nowej Szkocji w spazmach i zapaściach, jakby zatoka Glace znajdowała się po drugiej stronie kuli ziemskiej, a nie zaledwie 965 kilometrów na północny wschód. Tymczasem ku powszechnemu zaskoczeniu dotarła również do Poldhu, gdzie została przyjęta dużo wcześniej niż w Kanadzie.

Chociaż raz system zadziałał lepiej, niż oczekiwano. Jednak tym razem źle oceniono sytuację, co okazało się bardzo kosztowne.

Operatorzy z Poldhu otrzymali pozdrowienia od króla Edwarda do Roosevelta. Wysłali je jednak konwencjonalną drogą, przez podmorski kabel.

Marconi nie widział innego wyjścia. Trudne doświadczenia w zatoce Glace pokazały, że z jakichś powodów Poldhu nie jest w stanie nadawać wiadomości do Nowej Szkocji. Donosząc jednak o tym wydarzeniu, wiele gazet przedrukowało depesze jedna nad drugą, co sugerowało płynną obustronną łączność za pomocą telegrafu bez drutu.

Kiedy stało się jasne, że pozdrowienia od króla Edwarda przyszły konwencjonalną drogą, krytycy Marconiego wykorzystali ten epizod jako dowód ciągłych problemów z łącznością bezprzewodową i oskarżyli go o stwarzanie fałszywych pozorów, że zestawiona została dwustronna komunikacja przez ocean. Dyrektor firmy, Cuthbert Hall, twierdził, że decyzja przesłania wiadomości od króla za pomocą kabla transatlantyckiego wynikała z szacunku dla monarchy. Wyjaśnił, że królewską odpowiedź otrzymano w niedzielę, kiedy najbliższe Poldhu biuro telegrafu

było zamknięte. Tak więc telegram zostałby dostarczony operatorom z Poldhu najwcześniej w poniedziałek rano, i dopiero wtedy można by go przesłać za pomocą telegrafu bez drutu. Zdaniem Halla dużo większy szacunek okazano monarsze, wysyłając jego pozdrowienia natychmiast, nawet za cenę skorzystania z kabla.

Krytycy Marconiego wyczuli krew. Zwierzchnik Eastern Telegraph Co., sir John Wolfe Barry, dowodził, że wykorzystanie przez Marconiego podmorskiego kabla jest kolejnym dowodem na to, że telegrafia bezprzewodowa nigdy nie stanie się poważnym konkurentem konwencjonalnych sposobów łączności.

„Westminster Gazette” wysłała reportera, by wypytał Marconiego o ten incydent.

„Nie zajmowałem się odpowiedzią ani sposobem jej przesłania” — wyjaśnił Marconi. — „Wie pan zapewne, że biuro telegrafu koło Poldhu było zamknięte i tak dalej. Ja chciałem zademonstrować, że można wysłać wiadomość przez Atlantyk. Z naukowego punktu widzenia nie ma znaczenia, czy wysłana została ona ze wschodu na zachód, czy z zachodu na wschód. Żaden naukowiec nie powie, że ma to znaczenie”. Ale nie wspomniał ani słowem o swojej walce w zatoce Glace, by odebrać z Poldhu cokolwiek, nie wspominając już o kompletnej wiadomości od króla. Powiedział natomiast reporterowi: „Skoro możliwe jest wysłanie wiadomości w jedną stronę, to czemu nie w drugą?”.

Jednak i on, i jego inżynierowie mieli pełną świadomość ograniczeń systemu transatlantyckiego. Vyvyan napisał: „Było oczywiste, że stacje nie są w stanie podjąć działania komercyjnego. Potrzebna była albo większa moc, albo większa antena, albo jedno i drugie”. 22 stycznia 1903 roku wielkim kosztem dla firmy i ku konsternacji rady nadzorczej Marconi zamknął wszystkie trzy stacje na trzy miesiące, by przeanalizować ich projekt i działanie. Ruszył do domu na pokładzie „Etrurii”, liniowca Cunarda.

* * *

W Londynie stwierdził, że ataki Maskelyne'a nie pozostały bez wpływu zarówno na inwestorów, jak i na opinię publiczną. W „Morning Advertiser” autor ukrywający się pod pseudonimem Vindex stwierdził, że Marconi może bez trudu rozproszyć wątpliwości kłębiące się wokół jego wynalazku, zgadzając się na test, którego każdy aspekt poddany będzie publicznej analizie. Zaproponował, by wysłał w ustalonym wcześniej terminie wiadomość z Ameryki do Poldhu, której nadawanie i przyjęcie obserwować będą wydawcy czterech amerykańskich i czterech angielskich gazet.

Propozycja, ochrzczona natychmiast mianem „Wyzwania Vindexa”, zyskała powszechne poparcie. Ludzie przywykli do weryfikacji osiągnięć w rodzaju wyścigów pomiędzy transoceanicznymi liniowcami. Marconi obiecywał największą szybkość. Jeśli chciał, by świat uwierzył w jego fantastyczne twierdzenia, że potrafi w jednej chwili przesłać wiadomość przez Atlantyk, powinien dostarczyć na to dowodu i wyjawić swoje metody.

Jeden z czytelników napisał do „Morning Advertiser”: „Jeśli Vindex osiągnie chociaż przeprowadzenie demonstracji, której się domaga, odda wielką przysługę firmie Marconiego, a jeszcze większą opinii publicznej, niszcząc pogłoski, które krążą na temat usług transatlantyckich, a co więcej, wspomże roszczenia firmy Marconiego w walce z interesami firm posiadających kable [...]”.

„Jeśli pan Marconi pomyślnie przejdzie ten test, jestem pewien, że zyska całkowite poparcie nie tylko waszej gazety, ale każdego uczciwego Anglika w swojej walce przeciw kapitałowi i wpływom politycznym”.

Podpisał swój list „Wierzący w uczciwe zasady”.

„Westminster Gazette” zadała pytanie bezpośrednio Marconiemu: dlaczego nie zorganizuje pokazu dla prasy?

„Cóż, minął już czas na takie rzeczy” — odparł Marconi. — „Powstałyby wątpliwości co do tego, czego dokładnie zamierzamy dowieść. Co mielibyśmy zademonstrować? Przyznaję, jakiś czas temu miałyby to sens. Ale teraz już nie, przynajmniej moim

zdaniem. Nie mam nic przeciwko pokazom dla ludzi o ustalonej pozycji, którzy podchodzą do zagadnienia od strony sceptycznej, ale nie zorganizuję pokazu dla nikogo, kto podaje system w wątpliwość”.

* * *

Do kontrowersji tej doszło w momencie szczególnie niezręcznym. Marconi i Fleming przygotowywali właśnie serię testów mających rozwiązać powszechny sceptycyzm wobec możliwości dostrajania aparatów Marconiego oraz odeprzeć podnoszone przez krytykę zarzuty, że nadajnik dość duży, by wysłać sygnały przez Atlantyk, przerwie działanie innych stacji. Marconi poprosił Fleminga, by opracował doświadczenie, za pomocą którego będą mogli udowodnić, że — jak ujął to Fleming — silna stacja „nie utopi słabszych promieni” wykorzystywanych w łączności pomiędzy statkami oraz pomiędzy statkami a wybrzeżem.

Zamiast wykorzystać w tym eksperymencie transmisje ze statków, Fleming zainstalował mały aparat pokładowy w chacie oddalonej o mniej więcej sto metrów od gigantycznej anteny Poldhu i podłączył go do prostej anteny o jednym maszcie. Planował wysłać wiadomości równocześnie z dużego i małego nadajnika, każdą na innej długości fali, do stacji Marconiego w Lizard. Do anteny w Lizard podłączył dwa odbiorniki, jeden dostrojony do sygnałów wielkiej stacji, a drugi do sygnałów z symulowanego statku.

Przygotował szesnaście wiadomości, z których połowa miała zostać wysłana z silnego nadajnika, a połowa ze słabego. Każdą z nich umieścił w zamkniętej kopercie. Ich treści nie znał nikt oprócz niego. Na każdej kopercie zapisał godzinę, o której miała być nadana. Cztery wiadomości napisano szyfrem. Depesze z silnego i słabego nadajnika miały być nadawane równocześnie i powtórzone trzy razy.

W dniu eksperymentu Fleming przekazał koperty asystentowi „niezwiązanemu z firmą Marconiego, do którego prawości i posłuszeństwa miałem pełne zaufanie” i polecił, by je dostarczył

operatorom w określonych porach. Asystent podpisał oświadczenie pod przysięgą, że będzie „dokładnie przestrzegać” instrukcji Fleminga.

Ale jak zauważyli natychmiast akademiccy koledzy Fleminga, wszystkie te środki ostrożności — zapieczętowane koperty, szyfrowane depesze, nieznany asystent — tworzyły jedynie iluzję naukowej ścisłości. Stanowiły odbicie napięć pomiędzy nauką a przedsiębiorczością, pomiędzy otwartością a tajemnicą, napięć, które przez cały czas wpływały na zachowanie Marconiego i jego firmy, podsycając podejrzenia jego najbardziej zajadłych krytyków.

Wedle relacji Fleminga wszystkie wiadomości dotarły do Lizard zgodnie z planem i zostały zarejestrowane na taśmie przez dwa rejestratory Morse’a. Zabrał te taśmy i przekazał Marconiemu, w celu przełożenia z alfabetu Morse’a na angielski. „W każdym przypadku odkodowana została absolutnie poprawna wiadomość, taka jaka została nadana” — donosił.

No cóż, nie absolutnie. W następnym zdaniu raport Fleming rzucił pewien cień na blask własnego świadectwa. Pierwszy zestaw depeesz odebrano zniekształcony. „Tylko w jednym przypadku powstała pewna trudność w odczytaniu dwóch czy trzech słów, a dotyczyło to wiadomości wysłanych o drugiej po południu”. Według Fleminga Marconi wyjaśnił, że przyczyną zniekształcenia była „próba nawiązania łączności przez dwa statki na morzu”.

Choć Fleming określił te trudności jako „drobne”, tak naprawdę zniekształcenia były poważne i stanowiły kolejne świadectwo problematycznej natury telegrafii bezprzewodowej. Przeinaczenie „dwóch lub trzech słów” nie było rzeczą błahą. Wiadomość z godziny drugiej, nadana z silnego nadajnika, była zaszyfrowana i składała się z pięciu słów: „Quiney Cuartegas Cuatropean Cubantibus Odpowiedz”. Jeśli tylko dwa słowa doszły zniekształcone, uszkodzenia dotyczyły 40 procent wysłanego tekstu. Jeśli trzy, było to aż 60 procent. Zniekształcenia były tym poważniejsze, że dotyczyły szyfrowanej depeszy, która od początku

wyglądała jak bełkot i przyjmujący ją operator nie był w stanie stwierdzić, czy wystąpiły jakieś błędy transmisji.

Mimo to Fleming i Marconi promowali eksperyment jako całkowity sukces. Podczas szeroko reklamowanego wykładu, ogłoszonego 23 marca 1903 roku, Fleming piał z zachwytu, że ponad wszelką wątpliwość udowodniono, iż stosowany przez Marconiego system strojenia zapobiega wszelkim zakłóceniom. Tydzień później Marconi pochwalił eksperyment w mowie ogłoszonej przed udziałowcami firmy na corocznym spotkaniu. Cztery dni później Fleming napisał do „Timesa” list, w którym ponownie wychwalał system strojenia Marconiego.

Nevil Maskelyne przeczytał relację Fleminga i uderzyło go to, jak bardzo wszystkie te zapieczętowane koperty i inne procedury mające sprawiać wrażenie naukowej ścisłości przypominają techniki używane przez media spirytystyczne, aby przekonać widzów o swoich mocach. Wyczuł fałszerstwo i zaczął marzyć o tym, by znaleźć sposób na jego ujawnienie.

Wówczas przyszedł do niego z pewnym pomysłem przyjaciel, doktor Horace Manders. Skoro Marconi nie chce poddać swojego systemu publicznej ocenie, dlaczego nie spróbować tego zrobić bez jego udziału? Tym bardziej, że nadarzała się okazja.

Choć przewrotny, pomysł spodobał się Maskelyne’owi, który później napisał, że „okazja była zbyt dobra, by ją przepuścić”. Zarzut przewrotności odpierał, twierdząc, że przeprowadzenie jego planu było „czymś więcej niż rzeczą słuszną. Było obowiązkiem”.

Wkrótce za sprawą Maskelyne’a Fleming na własnej skórze miał doświadczyć prawdziwych słabości łączności bezprzewodowej, i to w sposób, który podważył jego pozycję w firmie Marconiego, zniszczył jego przyjaźń z wynalazcą i wstrząsnął reputacją ich obu.

* * *

Czasami na przełomie zimy i wiosny w Nowej Szkocji występuje zjawisko gołoledzi nazywane tam srebrną odwilżą. Pada marznący deszcz, który pokrywa wszystko lodem, aż gałęzie drzew zaczynają

się łamać pod jego ciężarem, a druty telegraficzne się zrywają. Ludzie Marconiego pracujący w zatoce Glace nigdy wcześniej nie mieli do czynienia ze srebrną odwilżą i nie byli przygotowani na to zjawisko.

6 kwietnia 1903 roku zaczął padać deszcz. Lód zamarzał na czterystu drutach anteny, aż każdy dźwigał na sobie jego warstwę grubą na ponad dwa centymetry. Było to niezmiernie pięknie. Na tle nieba trwała zawieszona gigantyczna kryształowa piramida.

Wreszcie ciężar lodu na kilometrach drutu stał się zbyt wielki. Cały układ zerwał się i runął na ziemię.

Błękitna serża

Dla dwojga przyjaciół Belle, Johna Nasha i Lil Hawthorne, wieść o jej śmierci była szczególnie przykra i zaskakująca. 23 marca 1910 roku, na dzień przed przetelegrafowaniem wieści przez Crippena, Nash i jego żona wyruszyli w rejs do Ameryki, gdyż lekarz zalecił Hawthorne podróż morską jako sposób na ukojenie nerwów. Po przybyciu do Nowego Jorku złożyli wizytę pani Isabel Ginnette, przewodniczącej Stowarzyszenia, które działało również w Ameryce. Tu ze wstrząsem dowiedzieli się, że Belle umarła.

Nash obiecał pani Ginnette, że kiedy wróci do Anglii, pójdzie porozmawiać z Crippenem. Wróciwszy do Londynu, Nashowie skontaktowali się z przyjaciółmi ze Stowarzyszenia i odkryli, że nikt nie wierzy w opowieść doktora. Nash był zbulwersowany, że nie zrobiono właściwie nic, by dowiedzieć się prawdy. „Stwierdziłem, że nikt nie miał dość odwagi i hartu ducha, żeby podjąć tę sprawę” — powiedział. — „Dlatego uznałem działanie za swój obowiązek”.

Wraz z żoną udał się do biura Crippena. „Wtedy widzieliśmy go po raz pierwszy od śmierci żony” — zeznał Nash. — „Sprawiał wrażenie, że bardzo to przeżywa — po prawdzie wyglądał na zapłakanego. Wydawał się zdenerwowany i przez cały czas miał w ręku kawałek papieru”.

Crippen powiedział, że Belle umarła w Los Angeles, ale potem się poprawił i stwierdził, że stało się to w „pewnym małym miasteczku” pod San Francisco. Nash znał San Francisco i zaczął naciskać na doktora, by podał jego nazwę. „Peter, czy ty chcesz powiedzieć, że nie wiesz, gdzie umarła twoja żona?” — zapytał z irytacją.

Crippen odparł, że nie pamięta, ale jak sądzi, miasteczko nazywa się „Allemaio” albo jakoś tak.

Nash zmienił nieco temat. „Słyszałem, że otrzymałeś jej prochy”.

Crippen potwierdził i wyjaśnił, że trzyma je w sejfie. Nash nie poprosił, by mu je pokazał, ale zapytał o nazwę krematorium i czy Crippen otrzymał świadectwo zgonu.

„Wiesz, że tam są chyba ze cztery krematoria” — odparł Crippen. — „To jedno z nich”.

„Na pewno dostałeś świadectwo zgonu”.

Zdenerwowanie Crippena stało się wyraźnie widoczne.

Nash powiedział później: „Zacząłem czuć, że coś jest nie tak. Jego odpowiedzi nie były zadowalające. Nie potrafił powiedzieć, gdzie zmarła jego żona ani skąd przysłano jej prochy”.

Dwa dni później, 30 czerwca, Nash i jego żona poszli odwiedzić przyjaciela, który pracował w New Scotland Yard. Nie był to jakiś zwykły funkcjonariusz, ale komisarz Frank C. Froest, szef wydziału zabójstw Scotland Yardu. Wydział powstał trzy lata wcześniej jako jednostka specjalna Departamentu Dochodzeń Kryminalnych — Criminal Investigation Department, czyli CID.

* * *

Każdy, kto zmierzał do siedziby Metropolitan Police od północy, przez Victoria Embankment, widział pięciokondygnacyjny budynek zwieńczony wielkim mansardowym dachem. Dwie przecznice dalej, w kierunku południowym, widać było Westminster Hall i Big Bena. Na dachu budynku stały rzędem duże prostokątne kominy, w narożnikach znajdowały się wieżyczki nadające mu wygląd średniowiecznego zamku. Pracownicy — jednym z nich był sam komendant policji — mieli stąd niezrównany widok na Tamizę. Niższe piętra wyłożono granitem, wydobytym przez pensjonariuszy więzienia w Dartmoor. Reszta aż do linii dachu zbudowana była z cegły.

Nashowie byli niespokojni, ale jako zwierzęta teatralne równocześnie byli podekscytowani perspektywą rozmowy z Froestem. Budynek i jego otoczenie przywodziły na myśl melodramat, a sam Froest cieszył się pewną sławą dzięki

pościgowi, który przeprowadził w połowie lat dziewięćdziesiątych XIX wieku za nieuczciwym finansistą, Jabezem Balfourem, schwytanym ostatecznie w Argentynie.

Komisarz wysłuchał z uwagą opowieści Nasha i Lil Hawthorne, po czym wezwał detektywa z wydziału zabójstw, jednego z najlepszych. Przedstawił mu Nashów i wyjaśnił, że przyszli, ponieważ ich przyjaciółka chyba zaginęła. Dodał, że chodzi o członkinię Stowarzyszenia Pań Artystek, panią Corę Crippen, choć używa ona również nazwiska scenicznego, Belle Elmore. Jej mąż, ciągnął Froest, jest lekarzem „niedaleko Holloway”, i nosi nazwisko Hawley Harvey Crippen.

— Państwa Nash nie przekonują słowa męża — wyjaśnił Froest.
— Być może powinien pan wysłuchać całej historii.

Detektyw usiadł.

* * *

Nazywał się Walter Dew, miał stopień nadinspektora. Był wysoki, solidnie zbudowany, o niebieskich oczach i wielkich, starannie przyciętych, przypominających zderzak lokomotywy wąsach. Wstąpił do policji w wieku dziewiętnastu lat, teraz miał czterdzieści siedem. Odznakę detektywa dostał w 1887 roku, a wkrótce potem zyskał sobie przezwisko „błękitna serża” ponieważ zawsze do pracy nosił swój najlepszy garnitur. W 1888 roku brał udział w dochodzeniu w sprawie morderstw Kuby Rozpruwacza i miał szczęście — lub nieszczęście — być jednym z detektywów, którzy odkryli szczątki ostatniej i najstraszliwiej okaleczonej ofiary, Mary Kelly. „Widziałem rzecz, której do śmierci nie zapomnę” — napisał Dew w swoich wspomnieniach. — „Koszmar tego pokoju poznali w pełni jedynie ci, których obowiązkiem było tam wejść”. Najgorszy był dla niego wyraz oczu ofiary. „Były szeroko otwarte i miałem wrażenie, że patrzą prosto na mnie z ogromnym przerażeniem”.

Nash opowiedział Dewowi swoją historię:

„Kiedy wróciliśmy z Ameryki kilka dni temu, dowiedzieliśmy się, że Belle nie żyje. Nasi przyjaciele powiedzieli, że nagle wyjechała

do Ameryki, nie żegnając się z nikim, a pięć miesięcy temu w gazecie teatralnej pojawiło się obwieszczenie, że umarła w Kalifornii na zapalenie płuc. Oczywiście, byliśmy przygnębieni. Poszedłem zobaczyć się z doktorem Crippenem. Opowiedział mi tę samą historię, ale coś mi się nie spodobało. Bardzo szybko po śmierci żony zaczął się pokazywać publicznie ze swoją maszynistką, Ethel Le Neve. Jakiś czas temu poszli razem na tańce, a dziewczyna miała na sobie futra i biżuterię Belle”.

Powiedział Dewowi: „Chciałbym, żeby pan popytał i po prostu ustalił, kiedy i gdzie zmarła. Nie możemy się dowiedzieć szczegółów od doktora Crippena”.

Froest i Dew zadali jeszcze kilka pytań, po czym Froest rzekł: „No cóż, panie Dew, tak brzmi ta historia. Co pan może o tym powiedzieć?”.

W normalnych okolicznościach Dew zapewne spróbowałby pozbyć się tej sprawy i przekazać śledztwo mundurowym, gdyż wyglądało to na zwykły przypadek zaginięcia. Nie podejrzewał niczego złego i wyczuł, że Nashowie też nie żywią podejrzeń. „Co dokładnie skłoniło państwa Nash do szukania pomocy komisarza Froesta, nie potrafię powiedzieć, ale jest całkiem pewne, że żadne z nich ani przez chwilę nie sądziło, że za sprawą kryje się zbrodnia” — napisał. — „Zapewne bardziej niż wszystko inne skłoniło ich do tego czynu niestosowne zachowanie Crippena i pośpiech, z jakim zastąpił zmarłą żonę inną kobietą”.

Ale Nashowie byli osobistymi przyjaciółmi komisarza Froesta, a Lil Hawthorne ponadto znaną artystką music hallową. Trzeba było pokazać, że Scotland Yard traktuje ich niepokój poważnie. Zresztą własne doświadczenie w policji nauczyło Dewa, że jak to ujął, „lepiej być pewnym niż potem żałować”.

Powiedział zatem: „Sądzę, że dobrze będzie, jeśli osobiście popytam w tej sprawie”.

Szczury

Spadająca wiarygodność firmy skłoniła Marconiego do ponownego skorzystania z usług Ambrose'a Fleminga. Tym razem chodziło o wykład na temat strojenia fal i bezprzewodowego telegrafu o dalekim zasięgu. Miał on się odbyć 3 czerwca 1903 roku w Instytucie Królewskim. Fleming zaaranżował przesłanie przez Marconiego depechy z Poldhu do odbiornika zainstalowanego na czas wykładu w Instytucie — byłaby to doskonała prezentacja telegrafii bezprzewodowej dalekiego zasięgu. Adresatem depechy miał być James Dewar, dyrektor Laboratorium Badawczego imienia Davy'ego-Faradaya w Instytucie Królewskim. Dewar był najszerzej znany ze swych prac nad zamrażaniem. W 1898 roku udało mu się skroplić wodór, czego wynikiem było między innymi wynalezienie przez niemieckiego technika termosu.

Największy problem stanowiła synchronizacja czasu, gdyż wiadomość miała dotrzeć pod koniec wykładu Fleminga. Demonstracja byłaby czystym teatrem, pełnym magii numerem z variétés, ale jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, mogła faktycznie pomóc Marconiemu odzyskać nieco utraconej wiarygodności.

Fleming rozpoczął wykład dokładnie o piątej po południu. Jak zwykle wszystkie miejsca były zajęte. Przemawiał z wielką swadą i pewnością siebie, a widownia wtórowała mu pomrukami aprobaty. Jeden z asystentów, P. J. Woodward, zajął pozycję przy odbiorniku, gotów włączyć rejestrator Morse'a, który miał zapisać spodziewaną depechę od Marconiego do Dewara. Ale kiedy zbliżała się wyznaczona pora, zdarzyło się coś dziwnego.

Drugi asystent, Arthur Blok, usłyszał nagle dziwne tykanie w lampie łukowej znajdującej się w wielkiej mosiężnej „latarni projekcyjnej” na sali. Kiedy zaczął nasłuchiwać, stwierdził, że nie

jest to zwykłe zakłócenie. Elektryczny łuk w projektorze zadziałał jak prymitywny odbiornik i rejestrował, jak się zdawało, celową transmisję. Początkowo Blok sądził, że ludzie Marconiego w Chelmsford „robili jakieś ostatnie regulacje”.

Fleming nic nie słyszał. Podczas pracy w firmie Marconiego jego słuch znacznie się pogorszył. Widownia również niczego nie zauważyła.

Blok znał doskonale alfabet Morse'a. Tykanie latarni układało się w jedno, wciąż powtarzane słowo — słowo, którego nikt z Chelmsford nie ośmieliłby się nadać, nawet w charakterze testu. Brzmiało ono:

„Szczury”.

Gdy tylko Blok je odczytał, „sprawy nabrały innego wymiaru. A kiedy słowo powtarzano raz po raz, podejrzania zmieniły się w przerażenie”.

Kilka lat wcześniej określenie „szczury” nabrało nowego, niezwiązanego z zoologią znaczenia. Podczas wojny burskiej Brytyjczycy za pomocą sygnałów świetlnych wysyłanych z heliotropu (telegrafu słonecznego), zapytali Burów, co sądzą o brytyjskich pociskach artyleryjskich, po czym rozpoczęli ostrzał ich pozycji. Tą samą drogą Burowie odpowiedzieli „szczury”, a słowo to weszło do mowy potocznej jako synonim pychy i arogancji.

Kiedy zbliżył się czas nadania depeszy Marconiego, asystent przy odbiorniku włączył rejestrator Morse'a. Natychmiast na papierowej taśmie wysuwającej się z aparatu zaczęły się pojawiać bładoniebieskie kropki i kreski. To było coś nowego:

Był

Blok patrzył to na zegar, to na taśmę wysuwającą się z rejestratora.

sobie

raz

młody

człowiek

z Włoch

Blok poczuł się oszołomiony. „Zostało niewiele czasu” — opowiadał później. — „Tymczasem »szczury« na taśmie z rejestratora zastąpiła dziwaczna rymowanka”.

*Był sobie raz młody człowiek z Włoch,
co nabierać ludzi umiał co krok.*

Tykanie ustało na chwilę, po czym znów się odezwało. Blok i jego kolega, zupełnie bezradni, mogli tylko słuchać i patrzeć:

*Pomyślcie teraz, że to jest godzina,
W której szum głuchy i ciemności fale
Powoli niebios zalewają sklepy.
Cichnącą wrzawę dwóch wojsk w łonie nocy
Wiatr od obozu do obozu niesie,
Iżby się zdało, że strażę pochwycą
Hasła szeptane przez wrogów patrole.[6]*

Każdy wykształcony człowiek w owych czasach, czyli w zasadzie wszyscy zebrani na sali, rozpoznaliby w tych wersach fragment *Henryka V* Shakespeare’a.

Zupełnie jakby byli na seansie spirytystycznym, w owej chwili, gdy wszystkich ogarnia przerażenie i fascynacja na widok wskaźnika przeskakującego z litery na literę na tablicy ouija. „Najwyraźniej coś poszło nie tak” — pisał Blok. — „Czy to był jakiś żartowniś, czy w Chelmsford się popili? A może mieliśmy do czynienia z naukowym sabotażem? Przytępiony słuch Fleminga litościwie trzymał go w nieświadomości, więc dalej spokojnie prowadził wykład. Wskazówki zegara nieubłaganie poruszały się swoim rytmem, a ja rozglądałem się po widowni, by sprawdzić, czy ktoś zauważył te zaskakujące depesze”.

Kolejna pauza, a potem fragment z *Kupca Weneckiego*:

*Wasza łaskawość zna moje zamiary:
Chcę tylko tego, do czego się dłużnik
Sam zobowiązał. Nie ustąpię ani
Na krok — przysięgam to na świętą Torę.[7]*

Nadal nieświadomy tego, co się dzieje, Fleming wykladał dalej. Wiadomość od Marconiego, przekazywana z Poldhu via Chelmsford mogła nadejść w każdej chwili. Blok usunął z twarzy wszelkie oznaki niepokoju i obserwował publiczność, chcąc stwierdzić, czy ktoś usłyszał zakłócający sygnał. Początkowo, ku jego wielkiej uldze, nikogo takiego nie zauważył. Widownia pozostawała w stanie absolutnego skupienia — „świadectwo uroku, jaki rzucił na nich wykład Fleminga”. Ale wówczas wzrok Bloka padł na „twarz o ponadnaturalnej niewinności”. Znał tego człowieka. To był doktor Horace Manders, bliski współpracownik Nevila Maskelyne’a. W owej chwili asystent zrozumiał, co się stało, ale nie pozwolił sobie na zmianę wyrazu twarzy.

„Na kilka sekund przed wyznaczoną porą nadawania z Chelmsford, zbłąkane sygnały umilkły, a ja z całą *sang froid*, jaką zdołałem zachować, oddarłem taśmę z bzdurnymi kropkami i kreskami, zwinąłem i udając, że ją wyrzucam, schowałem do kieszeni”.

Odbiornik znów ożył. Czy będzie to Shakespeare, kolejna rymowanka, czy coś znacznie gorszego? Taśma zaczęła się rozwijać. Z naukową ciekawością Blok i jego kolega odczytali pierwsze niebieskie znaki.

Litery PD, sygnał wywoławczy Poldhu. Odbiornik rejestrował wiadomość od Marconiego. W depešy wysłanej wcześniej tego samego dnia, Dewar zapytał wynalazcę o status łączności transatlantyckiej. Teraz zgodnie z przewidywaniami nadeszła odpowiedź.

Do prof. Dewara. Do Przewodniczącego Towarzystwa Królewskiego i wszystkich innych. Dziękuję za uprzejmą wiadomość. Łączność z Kanadą nawiązana ponownie 23 maja — Marconi.

Fleming zakończył swój wykład. Widownią wstrząsnął, jak to określił Blok, „pozbawiony podejrzeń aplauz”. Wykładowca promieniał, a Dewar potrząsał jego ręką. Inni członkowie również gratulowali mu kolejnego wspaniałego występu, równocześnie wyrażając podziw dla doskonałego zgrania w czasie prezentacji. Dla słuchaczy był to dowód na wzrastającą niezawodność i

wyrafinowanie technologii Marconiego. Blok miał na ten temat inne zdanie. Sukces wykładu zawisł od rzeczy zupełnie niezależnej od Marconiego oraz jego rzekomej umiejętności rozdzielania sygnałów i zapobiegania ich przejmowaniu przez inne systemy. Gdyby piracka transmisja trwała dłużej, oczekiwana depesza przysłaby albo mocno zniekształcona, albo w ogóle nie została odebrana, co byłoby wielkim ciosem dla reputacji zarówno wynalazcy, jak i Fleminga. „The Electrician” pełen byłby triumfujących kpin.

Kiedy uściski dłoni i gratulacje dobiegły końca, ktoś — być może Blok albo Woodward — powiedział Flemingowi, co zaszło, oraz o obecności na widowni współpracownika Maskelyne’a, doktora Mandersa. Fleming wpadł w furję. W jego oczach próba zakłócenia wykładu w Instytucie Królewskim była równoznaczna z próbą rozkopania grobu Faradaya. Ale cała sprawa miała też wymiar osobisty. Fleming, człowiek o wygórowanym, lecz kruchym mniemaniu o sobie, poczuł się ośmieszony, choć nikt na widowni, prócz jego asystentów i doktora Mandersa, nie zauważył kłopotów.

Wrzał ze złości przez całą noc.

* * *

Maskelyne czekał rozczarowany.

Oczywiście to on był tym piratem, który przeprowadził bezprzewodowy atak na wykład Fleminga. Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że jego transmisja wywoła w Instytucie Królewskim publiczny skandal o zadowalających rozmiarach. Jak wyznał później: „Zakłócenia nadawano specjalnie, aby zmusić profesora Fleminga do przyznania, że nasze depesze dotarły do sali”.

Ale ludzie Marconiego okazali się zbyt szybcy i mieli zbyt zimną krew, ponadto Maskelyne nie wiedział, w jakim stopniu Fleming utracił słuch. Domyślił się jednak, że asystenci poinformują go o zakłóceniach. Rozumiał dobrze charakter swej ofiary, jego potrzebę akceptacji i szacunku. Fleming po prostu musiał zareagować.

Tak więc pułapka została zastawiona. Wprawdzie natychmiastowy wybuch skandalu byłby dużo bardziej satysfakcjonujący, ale Maskelyne wierzył, że nie będzie musiał długo czekać, aż Fleming sam ujawni fakt odebrania zakłóceń. A wówczas będzie mógł się dobrać i do niego, i do Marconiego.

Co również będzie niezwykle satysfakcjonujące.

* * *

Nazajutrz po wykładzie Fleming napisał list do Marconiego. „Wszystko poszło dobrze” — rozpoczął, po czym dodał: „dokonano jednak nikczemnej próby zablokowania nas. Skąd pochodziła, nie wiem. Powiedziano mi, że na wykładzie był współpracownik Maskelyne’a i że siedział w pobliżu odbiornika”.

W drugim liście wysłanym wkrótce potem napisał, że Dewar „uważa, iż powinienem to ujawnić. Podczas wykładu przeprowadziliśmy czysto naukowy eksperyment na rzecz K.I., dlatego próba jego zakłócenia była aktem bandyckim, całkowicie niezgodnym z »regułami gry«. Jeśli wróg spróbował czegoś takiego w K.I. nie zawaha się przed niczym i być może dobrze będzie rzecz ujawnić”.

Odpowiedzi Marconiego nie są znane historii, ale jeśli radził Flemingowi, by nie budził demonów, ten nie posłuchał jego rady.

11 czerwca 1903 roku w liście opublikowanym przez „Timesa” Fleming najpierw przypomniał czytelnikom o swoim wykładzie w Instytucie Królewskim i połączonej z nim demonstracji, a potem napisał: „Chciałbym nadmienić, że osoby z zewnątrz uczyniły celową próbę zepsucia pokazu tego wielkiego osiągnięcia. Nie będę wchodzić w szczegóły, ale mam dowody, że było to dzieło sprawnego telegrafisty, żywiącego wrogie uczucia wobec zasłużonego wynalazcy, którego imię jest powszechnie i słusznie łączone z tym wynalazkiem.

Czuję pewność, że gdyby słuchacze zebrani na moim wykładzie wiedzieli, że oprócz normalnego ryzyka niepowodzenia w przeprowadzeniu trudnego eksperymentu, musieliśmy się na

dodatek zmierzyć z tchórzliwą i potajemną próbą jego zakłócenia, zapanowałyby powszechne i silne oburzenie”.

W ten sposób dał czytelnikom do zrozumienia, że można podsłuchiwać transmisje Marconiego i pozostać w zgodzie z zasadami fair play, natomiast zakłócanie wykładu w Instytucie Królewskim jest czymś niesłychanym. „Należałoby sądzić” — oburzał się — „że sala, która przez ostatni wiek była miejscem najwspanialszych publicznych eksperymentów, jest strefą zakazaną dla ataków naukowego chuligaństwa tego rodzaju”.

Oświadczył, że nie wie jeszcze, czym dziełem było to świętokradztwo, i prosił czytelników, by każdy, kto „zna rozwiązanie”, przekazał mu informacje. „Być może nie istnieje środek prawny na zarządzenie takim małym psotom, ale jestem pewien, że gdyby sprawcy zostali schwytani na gorącym uczynku, opinia publiczna wybaczyłaby mi próbę uczynienia z tych osób przedmiotów »uderzającego eksperymentu«”.

Z punktu widzenia Fleminga list był majstersztykiem, perełką zawołowanych gróźb. Ponieważ nie mógł dowieść ponad wszelką wątpliwość, że sabotażystą był Maskelyne, nie oskarżał go otwarcie, ale tak sformułował swój list, by przekazać magikowi ostrzeżenie, że podobne zachowanie nie będzie tolerowane. Łatwo sobie wyobrazić satysfakcję, z jaką w czwartek rano otworzył „Timesa” i spojrzął na te kilka linijek czarnego druku, wiedząc doskonale, że nie tylko magik, ale i wszyscy brytyjscy naukowcy, mężowie stanu, prawnicy, myśliciele i pisarze, a być może nawet sam król, czytają je przy śniadaniu. Być może wyobrażał sobie, jak filizanka herbaty Maskelyne’a zadzwoni trwożnie w spodeczek, kiedy po jego kręgosłupie wędrować zaczną lodowate dreszcze strachu.

* * *

List był istotnie doskonały — dokładnie spełniał oczekiwania Maskelyne’a. A nawet lepszy, biorąc pod uwagę czarujące zawołowane groźby, że Fleming mógłby się posunąć do rękoczynów. Jeśli filizanka Maskelyne’a dzwoniła o spodek, to z

radości na myśl o komponowaniu odpowiedzi. Wysłał własny list w piątek, 12 czerwca, z Egyptian Hall. „Times” opublikował go następnego dnia.

„Szanowny Panie” — rozpoczął Maskelyne. — „Sprawa, o której w Pańskiej gazecie donosił wczoraj profesor Fleming, ma dla opinii publicznej o wiele większe znaczenie, niż się zdaje. Jest to sprawa, w której trzeba podejmować niezwykle wielkie wysiłki, by uzyskać informacje, choć sprawiedliwie się one społeczeństwu należą”.

I dalej: „Profesor skarży się, że podczas jego wykładu z czwartego tego miesiąca działanie instrumentów Marconiego zostało zakłócone przez transmisje pochodzące z zewnątrz i chce poznać nazwiska tych, którzy dokonali tej »zniewagi«. Jego słowa o publicznym potępieniu, działaniach prawnych i przemocy fizycznej można oczywiście pominąć jako zwykłe bicie piany. Osobiście nie waham się przyznać, że brałem udział w tej »zbrodni«, choć na pomysł wpadł doktor Horace Manders”.

Odparł zarzut chuligaństwa pytaniem: „Jeśli moje działanie nazwiemy »naukowym chuligaństwem« czy w sposób podobny, to jakich określeń powinniśmy użyć wobec działań tych, którzy publicznie złożyli pewne oświadczenia, nie godząc się, by ich twierdzenia zostały sprawdzone?”

Kazano nam wierzyć, że depesze Marconiego są zabezpieczone przed zakłóceniami. W tym kierunku zmierzały wszystkie ostatnie »triumfy« Marconiego. Sam profesor Fleming ręczył za niezawodność i skuteczność jego syntonii, a celem wykładu było zaprezentowanie tego faktu”. Następnie stwierdził, że wraz z Mandersem po prostu wystawili twierdzenia Fleminga na próbę. „Jeśli wszystko, co słyszeliśmy, jest prawdą, profesor Fleming nigdy by się nie dowiedział, że próbowaliśmy. Nasze wysiłki zakłócenia transmisji spełzłyby na niczym. Tymczasem, jeśli chodzi o fakty, to odkryliśmy, że prosty, niestrojony radiator zakłóca działanie »strojonych« odbiorników Marconiego...”

Tu przekreślił nóż w ranie

„...i list profesora Fleminga dokładnie tego dowodzi”.

Prasa natychmiast rzuciła się na tę aferę. Gdyby Fleming nie sięgnął po pióro, cała sprawa pozostałaby w uśpieniu. Jak stwierdził „Morning Leader” z 15 czerwca 1903 roku: „Nic by o tym nie było wiadomo, gdyby profesor Fleming nie wysłał swego pełnego oburzenia listu do »Timesa«, potępiając »naukowych chuliganów«, którzy go zdenerwowali. Właśnie na coś takiego miał nadzieję pan Maskelyne, a teraz śmieje się w kułak, radując z udanego »wywabienia borsuka z nory«. W wywiadzie dla „St. James Gazette”, w sobotę 13 czerwca, Maskelyne wyznał, że sam ułożył bezczelną rymowanąkę i nadał nowy, głębszy wymiar swemu atakowi. „Profesor przywołał nazwisko Faradaya, potępiając nas za to, co uczyniliśmy. Przypuśćmy, że Faraday nadał by żył — kogo oskarżyłby o przynoszenie hańby Insytutowi Królewskiemu? Tych, którzy ośmielili się szukać prawdy, czy tych, którzy wykorzystywali ją w celach handlowych?”

Oskarżył Fleminga, że owego wieczoru wygłosił dwa wykłady. „Pierwszy jako profesor Fleming, naukowiec, i był on dokładnie taki, jaki powinien być naukowy wykład. Drugi jako profesor Fleming, doradca firmy Marconiego”.

* * *

W grudniu Marconi nie przedłużył kontraktu z Flemingiem.

Ach

Nadinspektor Dew rozpoczął swoje śledztwo od złożenia wizyty w Stowarzyszeniu Pań Artystek, mieszczącemu się w Albion House. Towarzyszył mu detektyw sierżant Arthur Mitchell. Obaj dołożyli starań, by o ich wizycie nie dowiedział się Crippen, którego biuro — „co ciekawe” — znajdowało się w tym samym budynku.

W ciągu następnych sześciu dni detektywi przesłuchali Melindę May, Burroughsów i Martinettich, a także odbyli kolejną rozmowę z Johnem Nashem i jego żoną, Lil. Dew usłyszał o broszce w kształcie wschodzącego słońca i zapoznał się z korespondencją pomiędzy Crippenem a różnymi członkiniami Stowarzyszenia, wymienioną po zniknięciu Belle. Dowiedział się, że zaginiona była „ulubienicą wszystkich, którzy ją znali”. Zebrał szczegóły na temat jej pożycia z Crippenem. Maud Burroughs opisała Belle jako osobę „w małżeństwie zawsze stawiającą na swoim i robiącą wszystko, na co ma ochotę, a mąż się temu najwyraźniej poddawał”.

Dew napisał szesnastostronicowy raport ze swoich ustaleń i 6 lipca 1910 roku przekazał go Froestowi. Miał wątpliwości, czy dalsze śledztwo przyniesie odkrycie jakiegoś przestępstwa. Zaraz na pierwszej stronie napisał: „Historia opowiadana przez państwa Nashów i innych jest dość osobliwa, ale zważywszy na swobodny charakter osób, których dotyczy, można ją uzasadnić”.

Jednak zawierała też pewne sprzeczności, które Dew uznał za „niezwykle zdumiewające”. Jego zalecenie: „pomijając sugestie jej przyjaciół, że mamy tu do czynienia z jakąś niegodziwością, uważam, że nadszedł czas, byśmy złożyli wizytę »doktorowi« Crippenowi i poprosili o wyjaśnienie, kiedy i w jaki sposób pani Crippen opuściła kraj i w jakich okolicznościach zmarła [...]. Sądzę, że wyjaśnienia, których nam udzieli, rozjaśnią całą sprawę

i pozwolą uniknąć skomplikowanego śledztwa w Stanach Zjednoczonych”.

Komisarz Froest wyraził zgodę.

W piątek rano, 8 lipca, o dziesiątej nadinspektor Dew i sierżant Mitchell weszli po frontowych schodach budynku pod numerem 39 na Hildrop Crescent. Kołatka na drzwiach była nowa. Dom sprawiał wrażenie zamożnego i dobrze utrzymanego.

* * *

Drzwi otworzyła dziewczyna około dwudziestki.

„Czy doktor Crippen jest w domu?” — zapytał Dew.

Dziewczyna była Francuzką i słabo mówiła po angielsku, ale zdołała zaprosić Dewa i Mitchella do przedpokoju. Kilka chwil później pojawiła się kobieta w wieku, jak ocenił Dew, pomiędzy dwadzieścia pięć a trzydzieści lat.

„Nie była ładna, ale było w niej coś atrakcyjnego, a ubrana była schludnie i skromnie” — wspominał.

Zauważył, że nosi broszkę z diamentem, i od razu rozpoznał, że musi to być ten klejnot w kształcie wschodzącego słońca, o którym tyle słyszał.

— Czy jest doktor Crippen? — zapytał ponownie.

— Nie ma go — odparła kobieta. Wyjaśniła, że udał się do swojego biura w Albion House na New Oxford Sreet.

— Kim pani jest? — spytał Dew.

— Jestem gospodynią.

— Panna Le Neve, prawda?

Zauważył, że jej policzki zaróżowiły się lekko.

— Tak, to ja.

— Wielka szkoda, że doktora nie ma. Muszę się z nim pilnie zobaczyć. Jestem nadinspektor Dew ze Scotland Yardu. Czy nadużyję pani uprzejmości, jeśli poproszę, by zaprowadziła nas pani do Albion House? Nie chcę tracić czasu.

Wiedział oczywiście doskonale, gdzie jest Albion House, ale nie chciał dać pannie Le Neve okazji, by zatelefonowała do Crippena i

ostrzegła go, że w drodze jest dwóch detektywów. Ethel udała się na górę i wróciła w płaszczu. Dew zauważył, że zdjęła broszkę.

Kilka chwil później wsiedli do elektrycznego tramwaju na Camden Road. Pojechali nim na Hampstead Road, gdzie złapali dorożkę, która zawiozła ich przez Bloomsbury do Albion House.

Wspomnienia Ethel na temat tego spotkania różnią się od relacji Dewa. Nie nadmienia o broszce ani o swym twierdzeniu, że jest gospodynią, ale dodaje wiele szczegółów, które rzucają światło na przebieg wydarzeń i charaktery ludzi w nie uwikłanych.

Pomagała uporządkować dom, „ścieląc łóżka i tak dalej”, kiedy usłyszała pukanie do frontowych drzwi. Zaskoczyło ją to, ponieważ domokrażcy zwykle używali bocznego wejścia. Nasłuchiwała, stojąc na górze schodów, jak francuska pokojówka otwiera drzwi, a jakiś mężczyzna pyta: „Czy doktor Crippen jest w domu?”.

Służąca nie zrozumiała pytania.

— Tak — powiedziała.

— Co za głupia dziewczucha — szepnęła do siebie Ethel, po czym zeszła po schodach. W drzwiach zobaczyła dwóch mężczyzn. „Nie miałam najbledszego pojęcia, kim są ani po co przyszli” — napisała.

— Nie ma go w domu — wyjaśniła przybyłym. — Wróci dopiero po szóstej wieczorem.

Jeden z nich popatrzył na nią „w dziwny sposób”. Powiedział:

— Bardzo przepraszam, ale poinformowano mnie, że doktor Crippen jeszcze tu jest, a mam do niego bardzo ważną sprawę.

— Zatem źle pana poinformowano — stwierdziła Ethel. Wyjaśniła, że doktor wyszedł o zwykłej porze, zaraz po ósmej rano.

— Przykro mi wątpić w pani słowa, ale powiedziano mi, że doktor Crippen wychodzi do biura po jedenastej — oznajmił mężczyzna. — Jestem przekonany, że jest w domu, i mogę pani od razu powiedzieć, że nie odejdę, póki się z nim nie zobaczę. Może jeśli powiem pani, kim jestem, pomoże mi pani odszukać doktora Crippena.

Następnie przedstawił się jako nadinspektor Walter Dew ze Scotland Yardu, a swego towarzysza jako sierżanta Arthura Mitchella.

— To nic nie zmienia — odparła. — Nie znajdę tu panu doktora Crippena. Wyszedł. — Robiła się zła. — Będzie pan musiał czekać bardzo długo, jeśli chce się pan z nim zobaczyć tutaj — dodała. — Nie wróci do domu wcześniej niż o szóstej wieczorem. A skoro nie chce mi pan wierzyć, że nie ma go w domu, proszę, niech pan wejdzie i sam poszuka.

Zaprowadziła ich do salonu.

Dew powtórzył, że ma „bardzo ważną sprawę” i że nie wyjdzie, póki nie porozmawia z Crippenem. Poprosił Ethel, żeby była „rozsądna” i żeby go sprowadziła.

Ethel roześmiała mu się w twarz. Powtórzyła, że Crippena nie ma w domu i zaproponowała, że zadzwoni do niego do biura.

Wówczas Dew poprosił, by mu tam towarzyszyła.

— Dobrze, ale musi mi pan dać czas na przebranie się — powiedziała.

Poszła do sypialni.

— Nie miałam skrupułów i kazałam im długo czekać. Ułożyłam włosy, włożyłam bluzkę i w ogóle ubrałam się porządnie — napisała.

Wizyta policji ją zdumiała.

— Jednak mogę uczciwie powiedzieć, że nie czułam się zaniepokojona — napisała — a jedynie nieco skonsternowana i więcej niż trochę zirytowana.

Kiedy zeszła na dół, stwierdziła, że Dew to człowiek zmienny. Nagle zrobił się sympatyczny, przyjacielski i „skłonny do rozmowy”. Poprosił, żeby usiadła.

— Chciałbym zadać pani kilka pytań — powiedział.

Zapytał, kiedy zamieszkała na Hilldrop i co wie o wyjeździe pani Crippen. Sierżant Mitchell robił notatki. Ethel powiedziała im wszystko, co wiedziała, i nadmieniła, że Crippen dostawał depeche informujące o chorobie żony, a potem o jej śmierci.

— Widziała pani te depesze? — spytał Dew.

— Nie. Po co? Nie wątpię w słowa doktora Crippena.

— Ach — stwierdził Dew.

„Ciągle powtarzał to »ach«, jakby wiedział dużo więcej niż ja” — napisała Ethel.

Nadinspektor ponownie poprosił ją, by towarzyszyła im do biura Crippena. Zaczęła protestować. Powiedziała, że jest kobietą „metodyczną” i nie lubi, kiedy dezorganizuje się jej dzień.

— Rozumiem — zapewnił Dew. — Musi pani jednak zrozumieć, że jest to sprawa wielkiej wagi dla doktora Crippena. Widzi pani, chodzi o jego dobro.

Zgodziła się.

* * *

Kiedy dotarli do Albion House, Ethel poszła na górę po doktora. Zastała go przy stole, pracował nad jakimiś przyrządami dentystycznymi razem ze swym partnerem, Ryance'em. Dotknęła jego ramienia, by zwrócić na siebie uwagę i szepnęła:

— Wyjdź, muszę z tobą porozmawiać.

Crippen spytał, o co chodzi.

— Są tu dwaj policjanci ze Scotland Yardu — wyjaśniła. — Chcą się z tobą widzieć w jakiejś ważnej sprawie. Na miłość boską, chodź i z nimi porozmawiaj. Zawracają mi głowę od dwóch godzin.

— Ze Scotland Yardu? — powtórzył Crippen. — To bardzo dziwne. Czego chcą?

Był zupełnie spokojny, napisała. Zeszła z nim na dół. Było wtedy mniej więcej wpół do dwunastej.

Dew czekał. Kilka chwil później panna Le Neve zjawiała się „z małym, niepozornym mężczyzną u boku”. Dla Dewa była to ważna chwila. Więc to był ten doktor, o którym tyle słyszał. Crippen był niski, łyśiał, miał rudawe wąsy. Jego najbardziej charakterystyczną cechą były oczy, niebieskie i nieco wyłupiaste, który to efekt podkreślały okulary o grubych szklach i wąskich, drucianych

oprawkach. Jeśli był zaniepokojony wizytą dwóch detektywów, nie dał tego po sobie poznać. Uśmiechnął się i podał im rękę.

Dew zachowywał się oficjalnie.

— Jestem nadinspektor Dew ze Scotland Yardu, a to mój kolega, sierżant Mitchell. Przyszliśmy zamienić z panem kilka słów na temat śmierci pańskiej żony. Pewni jej znajomi przyszli do nas w związku z historią, którą pan im opowiedział, a którą uznali za niezadowolającą. Przeprowadziłem wnikliwe śledztwo i również nie jestem usatysfakcjonowany, przyszedłem więc do pana poprosić o wyjaśnienia.

— Sądzę, że będzie lepiej, jeśli powiem prawdę — stwierdził Crippen.

— Tak — odparł Dew. — Myślę, że tak będzie najlepiej. Wówczas doktor oświadczył:

— Historie, jakie opowiadałem o śmierci żony, nie są prawdziwe. O ile mi wiadomo, nadal żyje.

* * *

Ach.

Dziewczyna na przystani

Dla Marconiego pierwsza połowa 1904 roku była okresem smutku i rozczarowań. Jego ojciec, Giuseppe, zmarł 29 marca, ale Guglielmo był wówczas tak pochłonięty kłopotami swojej firmy, że nie pojechał do Włoch na jego pogrzeb. W maju wyruszył w rejs na pokładzie „Campanii” należącej do Cunard’s Line, żeby przeprowadzić kolejne testy dalekiego zasięgu. Odkrył, że w dzień maksymalny zasięg wynosi 1900 kilometrów, a w nocy 2700 kilometrów, czyli niewiele więcej niż osiągnął w lutym 1902 roku podczas podobnych testów na pokładzie „Philadelphii”. Minęły dwa pełne lata, podczas których nie uczyniono żadnego znaczącego postępu. Doszedł do wniosku, że jego stacje muszą być jeszcze większe i posiadać większą moc, choć wiedział, że ich rozbudowa spowoduje napięcie w sytuacji finansowej firmy. W Nowej Szkocji stanął przed wyborem — zainwestować więcej pieniędzy w stację w zatoce Glace, czy ją porzucić i poszukać miejsca dla zupełnie nowej stacji. Wybrał to drugie rozwiązanie. Przewidywał instalację anteny o średnicy 900 metrów.

Budowa nowej stacji byłaby wielkim ryzykiem przy coraz delikatniejszej sytuacji finansowej firmy, nie wspominając już o wystawianiu na próbę cierpliwości rady nadzorczej — szczególnie teraz, w obliczu realnej groźby ze strony cesarza Wilhelma II i jego międzynarodowej konferencji na temat łączności bezprzewodowej. Odbyła się ona w sierpniu zeszłego roku w Berlinie, a kraje, które wzięły w niej udział, zgodziły się w zasadzie na to, że każda stacja i każdy statek powinny być w stanie się ze sobą komunikować, bez względu na to, jaka firma wyprodukowała używany przez nie sprzęt. Zgodziły się również, że firmy muszą wymieniać się danymi technicznymi koniecznymi do

umożliwienia takiej łączności. Chwilowo nie miało to znaczenia, ale ratyfikowanie końcowej umowy wydawało się pewne.

Sceptycyzm i podejrzliwość, z jaką traktowano Marconiego w Londynie jeszcze się pogłębiły, co trudno mu było pojąć. Przecież łączność bezprzewodowa działała. Raz po raz demonstrował jej możliwości. Lloyd's popierał jego system. Coraz więcej statków miało na pokładzie jego aparat i operatorów. Przesyłane depesze potwierdzały wartość jego telegrafów. Na przykład w grudniu zeszłego roku „Kroonland” należący do Red Star Line utracił sterowność, ale dzięki aparatowi Marconiego wszyscy pasażerowie mogli poinformować rodziny, że nic im nie grozi. Nawet konferencja cesarza Wilhelma potwierdzała, choć w sposób przewrotny, jakość i dominującą pozycję jego systemu.

A jednak w 1904 roku autor świeżo opublikowanej książki na temat łączności bezprzewodowej poczuł się zmuszony stwierdzić: „Pomimo wielkiej ilości pozytywnych dowodów wiele konserwatywnie nastawionych osób wątpi, by telegrafia bezprzewodowa była czy kiedykolwiek miała się stać sztuką praktyczną z komercyjnego punktu widzenia. Publiczne pokazy tak często przynosiły rozczarowanie, że zaczęło krążyć wiele pogardliwych opinii”.

25 kwietnia Marconi skończył trzydzieści lat. Było to słodko-gorzkie wydarzenie. „Kiedy skończył trzydzieści lat” — napisała jego córka Degna — „jego nerwy były w strzępach, czuł się zniechęcony i zbliżał się do kresu wytrzymałości”.

Powiedział swojemu przyjacielowi, Luigiemu Solariemu: „Mężczyzna nie może żyć samą sławą”.

* * *

Życie Marconiego nie było jednak wyłącznie pasmem nieszczęść. W Londynie, kiedy nie był zajęty interesami, jadał w eleganckich restauracjach, na pewno w Criterion i Trocadero, był też pożądanym gościem na przyjęciach w Mayfair i w wiejskich posiadłościach utytułowanych bogaczy. Uwielbiał towarzystwo pięknych kobiet, a wiele z nich usiłowało go złowić, w dyskretny

sposób, pozostający w zgodzie z panującym wówczas obyczajem. Fakt, że był Włochem, stawiał go w oczach brytyjskich rodziców o stopień lub dwa poniżej ideału konkurenta, ale jak to ujęła Degna, „powszechnie uważano go za najlepszego drugiego w kolejności kandydata”.

Podczas przeprowadzania eksperymentów w swojej bazie w hotelu Haven w Poole, Marconi często przeprowadzał się na pobliską wyspę Brownsea, na lunch do swoich przyjaciół, Charlesa i Florence Van Raalte, którzy byli właścicielami wyspy i mieszkali tam w zamku. Latem 1904 roku Van Raalte'owie gościli u siebie młodą pannę Beatrice O'Brien i jej matkę, lady Inchiquin. Beatrice miała dziewiętnaście lat i była jednym z czternaściorga dzieci czternastego barona Inchiquin, Edwarda Donagha O'Briena, który zmarł cztery lata wcześniej, zapewne z wyczerpania obowiązkami rodzicielskimi. Beatrice i jej rodzeństwo przywykli do mieszkania w zamku, gdyż dorastali w rodzinnej posiadłości, Dromoland w hrabstwie Clare w Irlandii.

W dniu, w którym spodziewano się wizyty Marconiego, pani Van Raalte wysłała Beę na przystań, by go powitała. Dziewczyna ubrała się w swój ulubiony strój, wieczorową satynową suknię, którą sama sobie uszyła. Choć jej zdaniem była śliczna, wszyscy inni uważali ją raczej za cudaczną. W drodze na przystań złamała obcas w jednym bucie, więc kiedy czekała na przybicie łodzi Marconiego, stała dziwnie przechylona.

Jak później wspominał Marconi, w jej wyglądzie uderzyły go dwie rzeczy. Po pierwsze to, że „miała na sobie okropną sukienkę”, a po drugie, że była skończoną pięknoscią. Miał trzydzieści lat, był od niej o jedenaście lat starszy, ale w owej chwili na przystani zakochał się bez pamięci.

Nagle wszystkie kłopoty z łącznością przestały mu się wydawać takie ważne. Zaczął pojawiać się na Brownsea częściej, przyływał nie tylko na lunch, ale również na obiad i herbatę. Kiedy Beatrice wyjechała do Londynu, Marconi porzucił eksperymenty i pojechał za nią.

Tam pewnego dnia udał się do Albert Hall na dobroczynny bankiet organizowany przez lady Inchiquin. Mało interesował się dobroczynnością. Beatrice czekała na niego na szczycie długich stalowych schodów. Poprosił ją o rękę.

Aż do tej chwili ślub nawet nie powstał w jej głowie. Nie kochała go, a przynajmniej nie w sposób, jakiego wymagało małżeństwo. Poprosiła o czas, a on bombardował ją listami, wysyłanymi za pośrednictwem usługi ekspresowej — takie listy adresatom dostarczali specjaliści gońcy.

W końcu zaprosiła go na herbatę i oznajmiła najdelikatniej, jak umiała, że nie zostanie jego żoną.

Uciekł na Bałkany, zachowując się, jak pisała Degna, „niczym porzucony konkurent z romantycznej wiktoriańskiej powieści”. Zapadł na malarię, która odtąd miała go prześladować okresowymi napadami gorączki i majaczeń do końca życia.

* * *

Beatrice była zaskoczona tym, jak smutne stało się jej życie po wyjeździe Marconiego. W aurze żałoby po zerwanym romansie wróciła na wyspę Brownsea na kolejny długi pobyt. Wedle słów Degny, pani Van Raalte obiecała jej „solennie”, że Marconi nie dowie się o jej pobycie. Ale gospodyni lubiła Marconiego i była zdania, że stanowią z Beatrice doskonałą parę.

Nic nie mówiąc swemu gościowi, napisała Marconiemu, nadal dąsającemu się na Bałkanach, o złamanym sercu Bei. Zgodnie z wielką tradycją spiskową angielskich tytułowanych dam zaprosiła go na wyspę, tym razem na pobyt stały.

Marconi natychmiast przyjął zaproszenie i jak najszybciej wrócił do Anglii. Beatrice zdumiała się na jego widok, ale poczuła się oczarowana faktem, że jego zapał wcale nie przygasł. Chodzili na długie spacerunki, wypływali na morze i nawiązali, jak to określiła Degna, „beztroskie koleżeństwo”. 19 grudnia 1904 roku, kiedy wędrowali po wrzosowisku na cyplu wrzynającym się głęboko w morze, Marconi ponownie poprosił Beatrice o rękę. Tym razem

powiedziała tak — pod warunkiem, że jej siostra Lilah wyrazi aprobatę.

Oznaczało to kolejną zwłokę, ponieważ Lilah przebywała w Dreźnie. Beatrice nie bardzo wiedziała, jak przekazać siostrze nowinę i potrzebowała aż dwóch dni na napisanie listu. „To taka poważna sprawa, że nie wiem, jak ci o niej powiedzieć” — pisała. — „Nie oszalałam, chodzi tylko o to, że postanowiłam o najważniejszej rzeczy w życiu. Wyobrażasz sobie? Zaręczyłam się z panem Marconim [...] Nie kocham go. Powtarzałam mu to wiele razy, ale on twierdzi, że i tak chce się ze mną ożenić i że sprawi, że go pokocham. Lubię go bardzo, dość, by go poślubić”. Dodała jeszcze: „I pomyśleć, że nigdy nie chciałam wyjść za mąż! Zawsze zakładałam, że zostanę starą panną”.

Nie powiedziała o swoich zaręczynach matce. Zwierzyła się za to jednemu z braci, Barneyowi, a ten wyraził swą aprobatę i nalegał, by wróciła do Londynu i poinformowała matkę, a co ważniejsze, również najstarszego brata, Luciusa, który po śmierci ojca został piętnastym baronem Inchiquin. W rodzinie nic nie mogło się zdarzyć bez jego zgody.

Beatrice i Marconi ruszyli zatem do Londynu. Wkrótce po przybyciu na miejsce Marconi kupił pierścionek, zdaniem Degny „ogromny”, po czym złożył wizytę rodzinie O’Brienów w ich londyńskiej rezydencji, aby poprosić matkę Beatrice, lady Inchiquin, o rękę córki.

Nic nie szło gładko. Lady Inchiquin była prawdziwą twierdzą moralności i powiedziała „nie”. Lucius, piętnasty baron Inchiquin, również odmówił. Choć Marconi był naprawdę sławny i uchodził za człowieka bogatego, to przecież był cudzoziemcem. Ani baron, ani lady Inchiquin nic nie wiedzieli o jego pochodzeniu.

Jak łatwo przewidzieć, ich odmowa wywarła na Beatrice dokładnie odwrotny skutek. Zgodnie z wielką tradycją córek utytułowanych Angielek, utwierdziła się w swym postanowieniu. Wyjdzie za Marconiego, choćby nie wiadomo co.

* * *

Marconi był zdruzgotany i zapewne wściekły, gdyż był doskonale świadom powodów odmowy O'Brienów. Żył wśród angielskiej arystokracji dostatecznie długo, by wiedzieć, że ich serdeczność ma swoje granice. Znow uciekł, tym razem do Rzymu.

Do Anglii zaczęły napływać niepokojące wieści. Niemiecka guwernantka rodziny O'Brienów przeczytała przypadkiem w europejskiej gazecie, że Marconiego często widywano w towarzystwie księżniczki Giacinty Ruspoli. Przekazała tę wiadomość lady Inchiquin. Jeszcze gorsze wieści nadeszły następnego dnia. Inna gazeta donosiła, że Marconi i księżniczka są zaręczeni.

W rezydencji O'Brienów wybuchła rozpacz i awantura, podszyta jednak zadowoleniem, że stała się rzecz nieunikniona. W końcu Marconi był Włochem. Lady Inchiquin i piętnasty baron uznali wieści za niezbite fakty, a to utwierdziło ich w mniemaniu, że podjęli słuszną decyzję. Beatrice rozpaczała. Upierała się, że wiadomości nie są zgodne z prawdą.

Sytuacja dojrzała do zasięgnięcia porady, lady Inchiquin zabrała więc Beatrice z wizytą do starej i imponującej ciotki, lady Metcalfe, „której opinie” — wedle Degny — „często przywoływano w chwilach kryzysu”. Przy herbacie Beatrice siedziała w milczeniu, zaś lady Inchiquin oraz lady Metcalfe pomstowały i potępiały Marconiego, nie zwracając uwagi na jej obecność. „Jakby Beatrice, zredukowanej do pozycji niegrzecznego dziecka, w ogóle tam nie było”.

Marconi nie był jedynym obiektem niezadowolenia lady Metcalfe. W pewnej chwili zwróciła się do lady Inchiquin z pytaniem: „Coś ty sobie myślała, pozwalając temu dziecku zaręczyć się z cudzoziemcem?!”.

* * *

Tymczasem w Rzymie Marconi również przeczytał doniesienia o swoich przypuszczalnych zaręczynach i domyślając się, jaki skutek wywrą one na rodzinę O'Brienów, natychmiast ruszył do Londynu. Zapewnił lady Inchiquin, że plotki nie są prawdziwe, po czym

rozpoczął prawdziwą kampanię oczarowywania jej, aby wreszcie wyraziła zgodę na jego małżeństwo z Beatrice. O dziwo, udało mu się. Zaprzyjaźnił się z lady Inchiqun. Zaczęła nazywać go „Marky”.

Sprawa zaręczyn ruszyła. Beatrice i Marconi ustalili datę ślubu na przyszły marzec.

Od początku pojawiały się ostrzegawcze znaki. „Beatrice była urodzoną flirtiarą, niezdolną do opanowania uroczego, promiennego uśmiechu na widok każdego mężczyzny, jaki się pojawił w polu jej widzenia” — pisała Degna.

W takich chwilach Marconi wpadał w szal zazdrości.

* * *

Tymczasem Fleming leczył swoją zranioną duszę w laboratorium w University College, starając się stworzyć coś, co pozwoli mu wrócić do łask Marconiego. Wynałazł lampę elektronową, urządzenie, które w swoim czasie miało zrewolucjonizować łączność bezprzewodową. Napisał do Włocha: „Nie wspomniałem o tym jeszcze nikomu, ponieważ może to być rzecz bardzo użyteczna”. Wkrótce potem wynalazł kolejne urządzenie, falomierz, przyrząd, który wreszcie pozwalał na dokładne zmierzenie długości fali. Poinformował Marconiego również o tym wynalazku.

Tymczasem Oliver Lodge stał się *bona fide* konkurentem Marconiego. W Birmingham, w chwilach kiedy nie oddawał się zarządzaniu uniwersytetem, nauczaniu, badaniom ani wnikaniu w zjawiska paranormalne, pomagał swemu przyjacielowi, Alexandrowi Muirheadowi, znaleźć kupców na jego bezprzewodowy system. W 1904 roku, kiedy zaczęli ubiegać się o kontrakt z rządem Indii na zapewnienie łączności bezprzewodowej z wyspami Andaman w Zatoce Bengalskiej, weszli w bezpośrednią konkurencję z firmą Marconiego.

I wygrali.

Hook

Nowy wiek mknął naprzód z coraz większą prędkością. Motorowe taksówki i autobusy blokowały Piccadilly. Najszybsze liniowce oceaniczne zredukowały czas przeprawy przez Atlantyk do pięciu i pół dnia. W Niemczech rozwijała się gwałtownie cesarska flota wojenna, a wraz z nią rósł i niepokój Anglii. Rząd rozpoczął rozmowy z Francuzami, a w 1903 roku Erskine Childers opublikował swą jedyną powieść, *Zagadkę piaszczystych ławic*, w której dwaj młodzi Brytyjczycy natrafiają na niemieckie przygotowania do inwazji na Anglię. Niemiecki czarny charakter dowodzi w niej proroczo okrętem o nazwie „Blitz”. W Niemczech władze nakazały konfiskatę powieści. W Anglii stała się ona natychmiast przebojem i zagrziała niczym sygnał do walki. Jej ostatnie zdanie brzmiało: „Czy nie jest oczywiste, że nadszedł czas, by wszyscy Brytyjczycy zaczęli się systematycznie szkolić do służby na morzu lub w armii?”.

Ale owo pytanie rodziło następne. Czy angielscy mężczyźni sprostają wyzwaniu? Od przełomu wieku wzrastał niepokój, że w Anglii nastąpił upadek męskości i sprawności fizycznej żołnierzy. Ten strach stał się jeszcze większy, kiedy pewien generał ujawnił szokujący fakt, że 60 procent Anglików nie spełnia fizycznych wymagań do służby wojskowej. Wprawdzie szybko wyszło na jaw, że generał się myli, ale owo 60 procent zapadło głęboko w psychikę Brytyjczyków.

Winę zrzucono na tych samych podejrzanych co zwykle. Komisja Królewska stwierdziła, że w latach 1881–1901 liczba cudzoziemców w Brytanii wzrosła ze 135 000 do 286 000. Ten napływ nie tylko zmniejszył populację Anglików, ale wedle Scotland Yardu spowodował również wzrost liczby przestępstw. Winna była również tendencja porzucania wsi dla życia w mieście.

Rząd wniknął w tę sprawę i odkrył, że liczba ludzi mieszkających w miastach rzeczywiście wzrosła znacznie od połowy XIX wieku, choć nie spowodowało to spadku męskości Brytyjczyków. Jednak ten optymistyczny wniosek zwykle przeoczano, gdyż tylko nieliczni zdołali przebrnąć przez mrozącą krew w żyłach nazwę ciała, które go sformułowało: Międzydepartamentowy Komitet do spraw Pogorszenia Sprawności Fizycznej. Miesiąc później rząd rozpoczął kolejne badania — prowadzone przez ciało o równie zniechęcającej nazwie: Królewska Komisja do spraw Opieki i Kontroli nad Słabymi na Umyśle — i odkrył, że w latach 1891—1901 liczba chorych umysłowo Brytyjczyków wzrosła o 21,44 procent, choć w poprzedniej dekadzie ten wzrost wyniósł jedynie 3 procent. Nie było ucieczki od tej świadomości: szalone, słabe i zubożałe Imperium Brytyjskie zmierzało ku upadkowi, a Niemcy o tym wiedziały i w każdej chwili mogły dokonać próby inwazji.

27 grudnia 1904 roku wieczorem w londyńskim teatrze Duke of York's wystawiono nową sztukę, która wywołała natychmiastowy odzew w części brytyjskiej duszy tęskniącej za ciepłą i bezpieczną przeszłością. Akcja rozpoczynała się w pokoju dzieciennym w domu na — jak to określił autor, James M. Barrie — „dość ponurej ulicy w Bloomsbury”, skąd tajemniczy latający chłopiec, Piotruś, porwał dzieci na przygodę. „Daily Telegraph” uznał tę sztukę za „tak prawdziwą, tak naturalną, tak poruszającą, że wprost rzuciła widownię do stóp autora”.

Występowali tu piraci i Indianie, a na bohaterów czyhały różne niebezpieczeństwa. Pod koniec czwartego aktu publiczność z zapartym tchem patrzyła, jak towarzyszka Piotrusia, wróżka Dzwoneczek, wypija przeznaczone dla niego zatrute lekarstwo.

Piotruś zwrócił się wprost do widowni: „Jej światełko przygasa, a jeśli zgaśnie zupełnie, to będzie znaczyć, że nie żyje! Jej głos jest tak cichy, że nie potrafię powiedzieć, co mówi. Mówi... mówi, że sądzi, że znowu wyzdrowieje, jeśli dzieci uwierzą we wróżki”.

Odwrócił się i rozpostarł ramiona: „Czy wierzycie we wróżki? Powiedzcie szybko, że wierzycie! Jeśli wierzycie, zacznijcie klaskać!”.

Och tak, w zimny londyński wieczór w grudniu 1904 roku, wszyscy w nie wierzyli.

* * *

A potem wszedł Hook, kapitan piratów. Widownia zamarła, przeczuwając nadciągające zło.

„Jaka spokojna noc” — powiedział Hook. — „Jakby wszystko tu było martwe”.

Część V

Najwspanialszy czas



Beatrice O'Brien

Prawda o Belle

Crippen zaprosił detektywów do swojego biura, „całkiem miłego małego gabinetu”, jak określił go Dew. Zbliżało się południe. Z ulicy dochodził stukot końskich kopyt i hałas silników, a w powietrzu unosił się wszechobecny zapach benzyny. Sierżant Mitchell usiadł za niewielkim stolikiem, w ręku miał notes i ołówek. Dew zaczął zadawać pytania. Crippen nie wahał się przy odpowiedziach. „Z jego zachowania można było jedynie wnosić, że czuł się bardzo oczernionym człowiekiem i pragnął z całych sił wyjaśnić sprawę, opowiadając całą prawdę” — napisał Dew.

Przesłuchanie ledwie się zaczęło, kiedy wszyscy uświadomili sobie, że pora na lunch. Dew i Mitchell poprosili Crippena, by im towarzyszył, i we trzech udali się do pobliskiej włoskiej restauracji. Ethel Le Neve widziała, jak wychodzili. Zirytowało ją polecenie Dewa, by została w biurze, i jego brak uprzejmości, czego objawem było przeoczenie faktu, że ona również miałaby ochotę zjeść lunch. „Tymczasem po prostu słabo mi było z głodu” — napisała.

Mężczyźni rozmawiali przy posiłku. Crippen zamówił stek i „zjadł go z rozkoszą człowieka, który nie ma żadnych trosk” — napisał Dew. Stwierdził, że lubi Crippena. Doktor był łagodny i uprzejmy, a mówił, jak się wydawało, szczerze. Nic w jego zachowaniu nie sugerowało zdenerwowania ani oszustwa.

Kiedy wrócili do biura, Dew kontynuował przesłuchanie. Cofał się do kwestii, o które już pytał, inaczej formułując pytania, żeby sprawdzić spójność historii Crippena.

„Uświadomiłem sobie, że odeszła, i usiadłem, żeby się zastanowić, jak sprawić, by jej nieobecność nie wywołała skandalu” — opowiadał Crippen. Napisał do Stowarzyszenia, że wyjechała. „Później uświadomiłem sobie, że takie wyjaśnienie nie

wystarczy, bo ludzie będą się dziwić, że nie wraca, więc zacząłem mówić, że zachorowała na zapalenie oskrzeli i płuc, a jeszcze potem, że umarła z powodu tych dolegliwości”.

Aby „powstrzymać ludzi od stawiania mi pytań”, umieścił anons o jej śmierci w artystycznym czasopiśmie „The Era”.

„O ile mi wiadomo, nie umarła, tylko żyje nadal” — oświadczył.

Dew obserwował uważnie doktora. „Byłem pod wrażeniem zachowania tego człowieka” — napisał. „Trudno byłoby czuć inaczej. Doświadczony policjant potrafi wiele wywnioskować podczas odbierania zeznania. Ale z zachowania doktora Hawleya Harveya Crippena podczas tego pierwszego spotkania niczego nie wywnioskowałem”.

Detektywi ujęli następnie opowieść Crippena w pisemne zeznanie. Doktor parafował każdą stronę i podpisał się na ostatniej.

* * *

Było około piątej po południu. Sześć godzin minęło od chwili, kiedy detektywi pojawili się na Hilldrop Crescent. Ethel była głodna i zła, ale również pełna obaw. Jej niepokój rósł z każdą godziną, którą detektywi spędzili zamknięci z Crippenem.

Teraz, jak to ujął Dew, nadeszła jej kolej.

Opowiedziała detektywom o nagłym wyjeździe Belle, o jej chorobie i śmierci. Mitchell notował uważnie. „Dziewczyna okazała oznaki zażenowania, kiedy doszło do ujawnienia natury jej związku z Crippenem” — napisał później Dew. — „Poza tym w zachowaniu panny Le Neve nie było nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia”.

Tak jak w przypadku Crippena, nic nie wskazywało na to, że przesłuchiwana kłamie. Mówiła prawdę, a przynajmniej tę prawdę, jaką знаła, ale Dew chciał mieć pewność.

„On panią okłamał” — oświadczył ostro. — „Właśnie nam wyznał, że o ile mu wiadomo, jego żona żyje nadal i że historia o jej śmierci w Ameryce była jego wymysłem”.

I tu znikły wszelkie wątpliwości, co do prawdomówności panny Le Neve.

* * *

„Byłam zaskoczona” — napisała Ethel. — „Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Wydawało mi się niemożliwe, że Belle Elmore żyje nadal”. Wierzyła święcie, że Crippen nigdy by jej nie okłamał, a jednak Dew twierdził co innego. „Porażona smutkiem, złością i konsternacją, odpowiadałam na pytania, które mi zadawano na temat mojego związku z doktorem, mojej miłości do niego i mojego życia. Ale przez cały czas myślałam tylko o tym, jak zostałam oszukana, jeśli ta historia o pani Crippen jest prawdziwa”.

Podpisała oświadczenie, ale jak się okazało, ciężka próba jeszcze się nie skończyła.

* * *

Żeby definitywnie zakończyć sprawę, Dew chciał przeszukać dom Crippena, wiedział jednak, że żaden sędzia nie wyda mu potrzebnego nakazu. „Nie miałem dość dowodów przeciwko temu człowiekowi — w rzeczy samej w ogóle nie miałem dowodów — na podstawie których mógłbym prosić sąd o wydanie nakazu przeszukania”. Poprosił zatem o zgodę Crippena, a ten wyraził ją bez wahania. Tego samego wieczoru, wkrótce po szóstej, wszyscy wsiedli do dorożki i pojechali na Hildrop Crescent, Le Neve i Crippen na jednym siedzeniu, detektywi naprzeciwko, na drugim. To była długa podróż, a upłynęła w zupełnym milczeniu. „Miałam wrażenie, jakbym żyła w koszmarnym śnie” — napisała Ethel. — „Było mi słabo i niedobrze”.

Rozpoczęto przeszukiwanie, choć Dew nie szukał czegoś konkretnego. „Z całą pewnością nie podejrzewałem zbrodni” — napisał.

Najpierw detektywi obeszlili ogród, potem weszli do domu i obejrzelili wszystkie pokoje, zaglądając do szaf, kredensów, toaletek. Znaleźli ślady świadczące o tym, że Crippen i Le Neve

szukowali się do przeprowadzki, w tym zapakowane pudła i zwinięte dywany. Nie znaleźli niczego, co stanowiłoby wskazówkę co do miejsca obecnego pobytu Belle, znaleźli natomiast, jak to ujął Dew, „wiele dowodów świadczących, że Belle Elmore uwielbiała stroje”. „W sypialni znalazłem niezwykle wybór damskich ubrań i dość strusich piór, by zaopatrzyć sklep modystki. To wszystko zapełniłoby duży wóz”.

Oczywiście żadne przeszukanie nie mogło się obyć bez wizyty w piwnicy na węgiel. „Nie miałem jakiegoś konkretnego celu, zaglądając tam wówczas” — napisał Dew. — „Po prostu chciałem mieć pewność, że obejrzałem cały dom”.

Crippen poprowadził detektywów krótkim korytarzem prowadzącym z kuchni do drzwi piwnicy.

* * *

Ethel czekała na górze, próbując pogodzić się z wieścią o kłamstwie Crippena. Siedziała w salonie „całkowicie ogłuszona i oszołomiona”. „Co robili ci ludzie? Czy już nigdy sobie nie pójdą? Robiło się ciemno, a ja siedziałam w mroku. Głowa bolała mnie strasznie”.

* * *

Crippen patrzył z progu piwnicy.

Pomieszczenie było ciasne — trzy metry na dwa. „Było tam zupełnie ciemno” — napisał Dew. — „Musiałem zapalać zapałki, żeby obejrzeć to miejsce i zobaczyć, co się tam znajduje. Nie zobaczyłem niczego niezwykłego, nieco węgla i drewna, które wyglądało na ścięte z drzew w ogrodzie”. Podłoga ułożona była z cegieł pokrytych grubą warstwą pyłu.

Crippen i detektywi udali się następnie do pokoju śniadaniowego koło kuchni i zajęli miejsca przy stole. Tu Dew zadał swe ostatnie pytania i obejrzał biżuterię, którą zostawiła Belle, w tym broszkę w kształcie wschodzącego słońca. Powiedział Crippenowi: „Oczywiście będę musiał odszukać panią Crippen, żeby wyjaśnić tę sprawę”.

Crippen, jak zawsze usłużny, zgodził się z nim i obiecał uczynić wszystko, co będzie w stanie, by pomóc. „Czy może pan coś zasugerować?” — zapytał. — „Czy ogłoszenie to dobry pomysł?”

Dew uznał, że tak, i razem z doktorem ułożyli krótkie ogłoszenie, które zamierzali zamieścić w gazetach w Ameryce. Dew pozostawił to zadanie Crippenowi.

Było po ósmej, kiedy detektywi pożegnali się wreszcie i wyszli. Uznali historię Crippena, szczególnie jego obawę przed skandalem, za całkowicie wiarygodną, choć dość niepokojący był fakt, że w sposób oczywisty okłamał przyjaciół. W raporcie Dew napisał: „Absolutnie nie sądzę, by popełniona tu została zbrodnia”.

Powiedział co najmniej jednej osobie, że praktycznie rzecz ujmując, sprawa jest zamknięta.

* * *

Ethel poczuła wielką ulgę, kiedy wreszcie została z Crippenem sama, „ale muszę powiedzieć, że byłam zła i dotknięta i wcale nie czułam się w nastroju na rozmowę” — napisała. — „Prześladowała mnie jedna myśl, że doktor mnie okłamał. Powiedział mi nieprawdę po raz pierwszy od dziesięciu lat — mnie, jedynej osobie na świecie, która była pewna, że zna prawdę, całą prawdę. Byłam mu wierna. Kochałam go. Poświęciłam dla niego wszystko i bolało mnie strasznie, że mnie oszukał”.

Crippen próbował ją pocieszyć. Przygotował kolację i namówił ją, by zeszła do pokoju śniadaniowego. Nie mogła jeść. Nic nie mówiła. O dziesiątej poszła do sypialni i usiadła ubrana na krzesło, zbyt zmęczona, by się przyszykować do snu. Wkrótce przyszedł Crippen.

„Na miłość boską powiedz mi, czy wiesz, gdzie jest Belle Elmore” — wybuchnęła. — „Mam prawo wiedzieć”.

„Mówię ci zgodnie z prawdą, że nie wiem, gdzie ona jest”.

Wyjaśnił, że spreparował całą historię o zniknięciu Belle i jej śmierci, by uniknąć skandalu. Ale teraz, wobec wizyty detektywów, wszyscy poznają prawdę i reputacja jego i Ethel legnie w gruzach. Nie będą mogli stanąć z podniesionym czołem

przed paniami ze Stowarzyszenia. Obawiał się, że skandal będzie o wiele bardziej dotkliwy dla Ethel. Powiedział, że zrobi wszystko, by oszczędzić jej upokorzenia.

Ethel odniosła wrażenie, że Crippen ma jakiś plan. Zapytała go, co zamierza.

„Moja droga” — powiedział. „Wygląda na to, że zostało nam tylko jedno”.

Więzień w zatoce Glace

Beatrice i Marconi pobrali się 16 marca 1905 roku. Spodziewali się skromnej ceremonii, ale kiedy przybyli do kościoła św. Jerzego, okazało się, że Hanover Square zapełnia, jak to określiła jedna z gazet, „wielki tłum gapiów”. Tego ranka najnowsze dziecko Alfreda Harmswortha, „Daily Mirror”, pierwsza brytyjska gazeta, która czyniła hojny użytek z fotografii, zapełniła pierwszą stronę zdjęciami Marconiego i Beatrice reprodukowanymi techniką siatkową, którą gazeta wykorzystwała po raz pierwszy rok wcześniej, publikując całą stronę podobizn króla i jego dzieci. Policja czuwała w pogotowiu, nie dlatego, że obawiano się tłumu, ale dlatego, że dwa dni wcześniej O’Brienowie otrzymali list z ostrzeżeniem, że Marconi zostanie zabity w drodze do kościoła. Ceremonia przebiegła spokojnie. Narzeczoney podarował Beatrice diadem z brylantów, zapewne na sugestię jej matki. Podarował jej również rower. „To był naprawdę jego własny pomysł” — powiedziała.

Wyjechali na miesiąc miodowy do siedziby przodków Beatrice, zamku Dromoland w Irlandii. Kiedy tu dorastała, zamczysko wypełniały głosy jej trzynastorga rodzeństwa i ich przyjaciół, ale teraz doszła do wniosku, że jest ponure i wymarłe. Dostali pokoje w skrzydle przeznaczonym dla „odwiedzających”, zapewne po to, by mieli prywatność, ale to tylko jeszcze wzmogło obcość tego miejsca.

Zostawszy sama z mężem (oprócz, rzecz jasna, pułku służących), Beatrice szybko odkryła, że Marconi nie zawsze jest takim pełnym czaru i dobrego humoru dżentelmenem, jakiego poznała na wyspie Brownsea. Wręcz przeciwnie, okazało się, że jest humorzasty i zmienny. Kiedy się pokłócili, wypadał z zamku i ze złością szedł sam do lasu. Zakończyli swój miesiąc miodowy po

zaledwie tygodniu, rzekomo dlatego, że Marconi musiał wracać do Londynu przypilnować interesów.

Po powrocie do miasta zameldowali się w małym hoteliku niedaleko biura firmy, ale wkrótce Marconi doszedł do wniosku, że nie jest to lokum odpowiednie dla jego świeżo poślubionej żony. Przenieśli się zatem w bardziej okazałe miejsce, do hotelu Carlton na rogu Haymarket i Pall Mall, który przewodnik Baedekera opisywał jako „wielki i imponujący”. Dla Beatrice, choć wychowała się w dostatku, pobyt w Carlton był czymś nowym i wspaniałym.

Uznała, że położenie hotelu jest niezwykle atrakcyjne, i pewnego dnia postanowiła wybrać się na samotny spacer po sąsiednich ulicach. National Gallery oraz Trafalgar Square, gdzie wznosiła się kolumna Nelsona, oddalone były zaledwie o dwie przecznice w kierunku wschodnim, a park St. James's kawałek na południe. Od Piccadilly dzielił ją krótki spacer na północny zachód, ale chwilowo nie było to miejsce szczególnie atrakcyjne. Miasto uznało, że z uwagi na rosnący ruch ulicę trzeba poszerzyć. Trwały prace rozbiórkowe, których ofiarą już wkrótce paść miało wiele sławnych budynków, wśród nich Egyptian Hall Nevila Maskelyne'a.

„Kiedy wróciła do hotelu, mąż czekał na nią w drzwiach ich pokoju. Naskoczył na nią, że odtąd nim wyjdzie, ma mu mówić, jak długo jej nie będzie oraz gdzie zamierza się udać, ulica po ulicy” — pisała Degna.

* * *

Marconi ponownie zatonął w pracy. Jego firma stanęła przed trudnym wyborem. System łączności statki—ład rósł powoli, ale systematycznie — do końca 1904 roku firma wyposażyła w sprzęt w sumie 124 statki i 69 stacji lądowych w Anglii, Ameryce, Kanadzie i w innych miejscach. Marynarka włoska zakupiła ich sprzęt dla swoich okrętów wojennych, a rząd włoski podpisał kontrakt na ogromną stację w Coltano, obecnie znajdującą się już w budowie. Ponadto Parlament wreszcie uchwalił prawo, które rozluźniło nieco monopol brytyjskiej Poczty na telegrafii. Odtąd

klienci mogli nadawać w urzędach Poczty wiadomości, które miały być przekazywane na statki znajdujące się na morzu. Marconi zgodził się przyjąć z powrotem do firmy Ambrose'a Fleminga, nie tyle dlatego, że znów poczuł dla niego podziw, ale ponieważ uznał, że oba jego nowe wynalazki, falomierz i lampa elektronowa mogą znacznie ulepszyć bezprzewodową łączność. Jeden punkt umowy — bez wątpienia najważniejszy — dawał Marconiemu prawo do wykorzystania tych wynalazków, a Flemingowi prawo do zachowania własności patentów.

Jednak powstałe w ten sposób imperium było trudne do zarządzania i kosztowne, a spodziewano się, że w przyszłości koszty jeszcze wzrosną. W Kanadzie firma otworzyła dziewięć nowych stacji przybrzeżnych, wzdłuż tras, którymi statki kierowały się ku Rzece Świętego Wawrzyńca. Wszystkie znajdowały się na odludnych obszarach, dlatego obsługa musiała mieszkać na miejscu, co pociągało za sobą kolejne koszty. Na przykład do nowej stacji w Whittle Rocks trzeba było zakupić sześć krzeseł kuchennych, łącznie za 2 dolary 88 centów, jeden fotel za dolara siedemdziesiąt pięć, dwa stoły kuchenne za 5 dolarów, dwie komody za 22 dolary, jeden fotel bujany za 3 dolary i jeden fotel do czytania za 4 dolary i 25 centów. Każda stacja miała zegar za 2 dolary 35 centów i przynajmniej jedno łóżko. Ponadto telegrafisci musieli coś jeść. W kwietniu 1905 roku nowa stacja na wyspie Belle wydała 24 dolary i 8 centów na soloną wieprzowinę, stacja w Fame Point 43 dolary i 78 centów na bekon, a Cape Ray 42 dolary i 37 centów na słoninę. No i oczywiście każda stacja potrzebowała pieczętki. I każda ją otrzymała, za 34 centy.

Koszty rosły szybko. W sierpniu 1905 roku księgowi Marconiego stwierdzili, że wydatki na przedsięwzięcia kanadyjskie za jeden miesiąc wynoszą 46 215 dolarów, trzy razy więcej niż w sierpniu poprzedniego roku. Na większość tego wzrostu składały się koszty jednorazowe, ale kiedy stacje zaczęły działać, kiedy zaczęły się psuć i zamarzać, i z powodu wichur tracić anteny, kiedy zaczęły zatrudniać pracowników i sprzętaczkę, dostawców i przewoźników,

kiedy zaczęły kupować akumulatory i płacić za usługi pocztowe, telefony i telegramy wysyłane konwencjonalnym sposobem — słowem, kiedy wszystkie te wydatki stały się rutynowe, one również zaczęły rosnać jak drożdże w rozgrzanym piecu. Szczególnie pensje. W 1904 roku zatoka Glace wydała łącznie 8419 dolarów na wynagrodzenia. Ta kwota zwiększyła się ponaddwukrotnie w 1907 roku. Koszta utrzymania pracowników i bieżącej pracy stacji rosły jeszcze szybciej, podobnie jak w całym imperium Marconiego.

Tymczasem dla niego był to tylko interes. Nie interesowało go to. Jego prawdziwą pasją była łączność transatlantycka, ale tu sprawy nie szły najlepiej. Stacja w zatoce Glace została rozebrana, a drewno i inne elementy przeniesione do nowej lokalizacji, przewanej Marconi Towers. Poldhu też było już przestarzałe i trzeba je było zastąpić stacją jeszcze większą i o większej mocy.

Marconi po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy nie powinien porzucić swojego transatlantyckiego marzenia i skoncentrować się na czymś bardziej codziennym, na przykład na łączności ze statkami. Z pewnością taki właśnie kierunek rozwoju wybrałaby jego rada nadzorcza, gdyby pozwolił jej decydować samodzielnie.

Aby lepiej ocenić, jaki kurs należy obrać, postanowił odwiedzić nowo wybudowaną stację w Nowej Szkocji. Wiosną 1905 roku zabukował bilety na rejs na pokładzie „Campanii” dla siebie i dla Beatrice. Pomimo pogłębiającego się kryzysu finansowego, z jakim zmagala się jego firma, podróżowali pierwszą klasą — kolejny przejaw cechy, którą Degna Marconi uważała za podstawową w jego charakterze. Jak to ujęła: „Chciał od życia tylko tego, co najlepsze”.

Podczas podróży Beatrice zaczęła się czuć bardziej więźniem niż pasażerką. I przekonała się, że jej strażnik jest dziwniejszy, niż sądziła.

* * *

Urządzili się w prywatnym apartamencie, który miał więcej wspólnego z apartamentem w Mayfair niż z kabiną na statku. Beatrice ze zdumieniem patrzyła, jak Marconi wyciąga z kufra kolejne zegary i umieszcza je w różnych punktach kabiny. Wiedziała o jego fiksacji na punkcie czasu. Podarował jej wiele zegarków na rękę, ale trzymała je wszystkie w szkatułce z biżuterią, i według Degny, „przestała nakręcać, żeby nie denerwowały jej tykaniem”. A teraz została po prostu otoczona przez tykające zegary, które Marconi nastawił na czas w Singapurze, Chicago, Rangunie, Tokio, Limie i Johannesburgu.

Podczas rejsu zniknął w kabynie telegrafu, gdzie przeprowadzał kolejne eksperymenty i zarządzał przyjmowaniem wiadomości dla gazetki pokładowej „Cunard Bulletin”.

Pozostawiona sama sobie, Beatrice szukała pociechy w luksusie statku, jednego z najlepszych we flocie Cunarda. Jadalnia, w której serwowano posiłki pasażerom pierwszej klasy, miała korynckie kolumny i sufit na wysokości trzech metrów. Kolumna centralna wznosiła się aż na 9 metrów. Przechodziła przez pokłady nad jadalnią, aż do witrażowej kopuły na szczycie statku. Załoga liczyła 415 osób, w tym ponad setkę stewardów i stewardess, gotowych zaspokoić każde zgodne z prawem pragnienie pasażerów. Na statku serwowano cztery posiłki dziennie, które przygotowywało 45 kucharzy i piekarzy oraz ich pomocników. Kiedy Beatrice spacerowała po wibrujących pokładach, cieszyła się sławą, jaką dawało jej małżeństwo z Marconim.

Poświęcana jej uwaga ponownie wzbudziła zazdrosny gniew Marconiego. Degna napisała: „Kiedy jej mąż wynurzył się wreszcie z kabiny radia i zobaczył, że rozmawia z innymi pasażerami, w milczeniu zaprowadził ją do kabiny i wygłosił jej wykład na temat flirtu”. Zaczął ją uczyć alfabetu Morse’a, choć niezbyt była tym zainteresowana. Degna podejrzewała, że zrobił to głównie po to, żeby powstrzymać Beatrice od krążenia po pokładach i wymieniania uśmiechów z męską częścią pasażerów „Campanii”.

Pewnego dnia Beatrice weszła do kabiny i zastała Marconiego na wyrzucaniu przez bulaj brudnych skarpetek. Zdumiona

zapytała, po co to robi.

Jego wyjaśnienie: szybciej jest kupić nowe skarpetki, niż czekać na wypranie starych.

* * *

Zatrzymali się na krótko w Nowym Jorku, po czym ruszyli do zatoki Oyster na Long Island, by zjeść lunch z Theodore'em Rooseveltem. Poznali jego córkę, Alice, która później mówiła, że była z nich piękna para i że wydawali się razem szczęśliwi. Następnie popłynęli do Nowej Szkocji, gdzie ziemię pokrywał jeszcze śnieg, a cztery wieże świeżo ukończonej stacji sprawiały wrażenie wartowników. Wprowadzili się do pobliskiego domu, który musieli dzielić z Richardem i Jane Vyvyan oraz ich córeczką. Dziecko miało już półtora roku, a nie jest to łatwy wiek, szczególnie w ciasnym mieszkaniu. A mieszkanie było ciasne. Beatrice dorastała w zamku, który miał niemal nieskończoną liczbę pokoi. Tu natomiast był tylko salon, jadalnia, dwie sypialnie i mała łazienka. Marconi zostawił ją z Jane i jej córką, a sam wraz z Vyvyanem zaczął regulować urządzenia w Marconi Towers.

Nowa stacja zajmowała obszar pięciu kilometrów kwadratowych. W centrum wznosiły się cztery wieże, wokół nich okrąg z 24 masztów o wysokości 55 metrów każdy, a dalej kolejny okrąg złożony z 48 słupów o wysokości 15 metrów. Na tym wszystkim zawieszony był parasol z drutu o średnicy 885 metrów, utkany z 87 kilometrów przewodu. Kolejne 87 kilometrów leżało w rowach poniżej.

Codziennie rano Marconi szedł ułożoną z pni drogą na teren stacji i pozostawał tam przez większość dnia, gdy tymczasem Beatrice musiała stawić czoło sytuacji zupełnie dla niej nowej. Posiadała bardzo ograniczone umiejętności w zakresie prowadzenia domu, mimo to starała się pomagać, ale pani Vyvyan odrzucała jej oferty w sposób równie lodowaty jak pogoda na zewnątrz. Początkowo Beatrice ukrywała przed mężem, że czuje się nieszczęśliwa z tego powodu, ale po kilku dniach takiego

zachowania ze strony Jane Vyvyan załamała się i ze szlochem wyznała Marconiemu, co się dzieje.

Wiadomość wprawiła go w furję. Chciał wypaść do salonu i rozprawić się z Vyvyanami, ale Beatrice go powstrzymała. Wiedziała, jak mocno mąż polega na Vyvyanie i postanowiła sama poradzić sobie z Jane.

Teraz to pani Vyvyan wybuchnęła płaczem. Wyznała, że obawiała się, iż Beatrice, jako córka lorda, będzie się wywyższać i podporządkuje sobie dom, albo co gorsza, zacznie ją traktować jak służącą. Chciała tylko zapewnić sobie od początku wyższą pozycję.

Ich rozmowa oczyściła atmosferę. Prawie natychmiast się zaprzyjaźniły — i w samą porę.

* * *

Podczas pracy pod wielkim parasolem z drutu Marconi ponownie utwierdził się w mniemaniu, że łączność transatlantycka jest możliwa. Poczynił przygotowania do powrotu do Londynu, znów na pokładzie „Campanii”. Zamierzał spotkać się z radą nadzorczą firmy, a przy okazji wykorzystać aparat statku do testowania zasięgu nowej stacji.

Z niewyjaśnionych przyczyn, zważywszy, jak skłonny był do zazdrości, zostawił Beatrice na miejscu. Niewiele miała tu zajęć. Nowa Szkocja była królestwem mężczyzn, dostarczającym męskich rozrywek, takich jak hokej, polowanie i łowienie ryb. Jej zdaniem było to nudne.

W przeciwieństwie do niej, Richard Vyvyan uważał życie w Nowej Szkocji za „całkiem przyjemne”. Szczególnie wędkowanie, które było „niezwykle satysfakcjonujące”. Przyznał, że zima to „trudny okres”, ale nawet wówczas krajobraz prezentował urzekające lodowe piękno. „Spokój, jaki panuje zimą w Kanadzie, kiedy nie ma wiatru, jest niezwykły. Wszystkie ptaki odleciały, pomijając kilka wron, a chociaż widać ślady niezliczonych królików, one same pozostają w ukryciu. Nie słychać żadnego dźwięku poza własnym oddechem, wyjąwszy głośnie trzaski lodu

na drzewach. Zimowe powietrze jest niezwykle pobudzające, a klimat w ogóle niezwykle zdrowy”.

Beatrice nie zgadzała się z nim. Nie miała gdzie spacerować, wyjąwszy ogrodzony drutem kolczastym teren stacji, a tam czuła się jak więzień. Bardzo chciała jeździć na rowerze, ale w pobliżu nie było dróg o odpowiedniej jakości, które umożliwiałyby takie przejażdżki. Czuła się przygnębiona i samotna, aż wreszcie zachorowała na żółtaczkę. Jak napisała jej córka, ciągle panowała tam cisza, „tak intensywna, że Bei zaczęło dzwonić w uszach”.

Mąż wrócił dopiero po trzech miesiącach.

* * *

Podczas podróży Marconi stał się na statku ulubieńcem. Choć większość czasu spędzał w kabinie radiowej „Campanii”, zawsze pojawiał się na posiłkach, szczególnie na obiedzie, i zasiadał wśród najbogatszych i najpiękniejszych pasażerów liniowca, pławiąc się w niedoścignionej elegancji.

Podczas pierwszej połowy podróży transmisje z nowej stacji w zatoce Glace docierały na statek silnym i niezniekształconym sygnałem. Odbiór w ciągu dnia osiągnął maksymalny zasięg 2895 kilometrów — dobry wynik, choć Marconi miał nadzieję na o wiele większy, biorąc pod uwagę moc i rozmiar stacji.

W Anglii zdołał przekonać swoją radę nadzorczą do kontynuowania inwestycji w transatlantyckie przedsięwzięcie. Był gotów poświęcić własny majątek tej sprawie i szukał nowych inwestorów w Anglii i we Włoszech.

W Poldhu rozpoczął nową serię eksperymentów.

Początkowo skoncentrował się na próbach uzyskania łączności z Nową Szkocją. Regulował i stroił odbiornik Poldhu i za pośrednictwem tradycyjnego telegrafu polecił Richardowi Vyvyanowi dokonać pewnych zmian w Marconi Towers. Wreszcie, w czerwcu, o dziewiątej rano, Poldhu przyjęło czytelne depesze — wielki przełom, zważywszy, że transmisja odbyła się w porze, kiedy na obu stacjach panował dzień.

Jak zwykle metodą prób i błędów przetestował kolejne konfiguracje anteny. Kazał wyłączać segmenty anten na obu stacjach, żeby określić, jakie ma to przełożenie na łączność. Tu znów w grę wchodziła nieskończona liczba zmiennych. Regulował moc i próbował różnych długości fal. Wierzył nieodmiennie, że im dłuższe fale, tym dalej zawędrują, choć dlaczego miałyby się tak dziać, pozostawało dla niego tajemnicą.

Zaczynał dostrzegać pewien wzorzec. Antena złożona z jednego drutu, rozciągniętego poziomo blisko ziemi, zapewniała lepszy odbiór i nadawanie niż jej odpowiednik ustawiony pionowo. Stwierdził również, że znaczenie ma kierunek. Drut rozciągnięty wzdłuż osi wschód—zachód wysyłał o wiele silniejszy sygnał do anteny odbiorczej zorientowanej wzdłuż tej samej osi. Te odkrycia uwolniły go od konieczności budowania coraz wyższych anten i coraz bardziej skomplikowanych czaszy. W teorii jeden drut — lub kilka równoległych — rozciągnięty na długim odcinku, mógł wysyłać fale dłuższe niż wszystko, co dotąd osiągnął.

Polecił Vyvyanowi w Nowej Szkocji, aby zasymulował ten rodzaj anteny kierunkowej, wyłączając części czaszy, i okazało się, że jego przecucie go nie zawiodło. Nadawanie i odbiór znacznie się polepszyły.

Uświadomił sobie teraz, że Poldhu jest nie tylko przestarzałe — należało całkowicie porzucić to miejsce i znaleźć nową lokalizację, gdzie będzie dość terenu, by rozciągnąć poziomą antenę o długości półtora kilometra. Stację w Nowej Szkocji też trzeba będzie zastąpić, a jej moc jeszcze powiększyć.

Wydatki będą zatrważające, ale Marconi nie widział innej drogi.

* * *

Wrócił do Nowej Szkocji i do Beatrice. Przeraził się jej stanem, gdyż żółtaczka była wyraźnie widoczna. Obiecał, że zabierze ją z powrotem do Anglii.

Beatrice założyła, że oznacza to powrót do Londynu, do przyjaciół, rodziny i miejskiego życia. Minęło prawie pół roku,

odkąd po raz ostatni widziała porządną dorożkę czy poczuła pod stopami wibracje mknącej przez ciemność podziemnej kolejki.

Ale Marconi, strażnik jej więzienia, miał inne plany.

Wyzwolenie

W sobotę rano, 9 lipca 1910 roku, Crippen wyszedł z domu przy Hilldrop Crescent o zwykłej porze i udał się do biura w Albion House. Około dziesiątej poszedł do swego asystenta Williama Longa i poprosił, by udał się on do pobliskiego sklepu z konfekcją męską, należącego do Charlesa Bakera, i nabył kilka ubrań. Dał mu listę rzeczy, które ma kupić. Znajdowały się na niej: brązowy garnitur dla chłopca, dwa kołnierzyki, krawat, dwie koszule, szelki i brązowy filcowy kapelusz. Long miał również kupić parę butów w sklepie na Tottenham Court Road. Crippen dał mu na to wszystko pieniądze.

Tymczasem Ethel pojechała taksówką do domu swej siostry, Niny. Dotarła tam około jedenastej rano. Poprosiła kierowcę, by na nią zaczekał.

Nina otworzyła drzwi i wykrzyknęła z radości na widok siostry. Ale jej radość szybko zmieniła się w niepokój. Ethel wyglądała na „raczej zmartwioną” i zaraz zapytała, czy ktoś jeszcze jest w domu. Była blada, podniecona. Kiedy Nina podeszła bliżej, żeby ją objąć, stwierdziła, że drży.

— Wczoraj rano, mniej więcej kwadrans po ósmej, zaraz po wyjściu Harveya odwiedziło mnie dwóch detektywów — powiedziała Ethel.

(Harveya — nie Petera. To wyraźnie wskazuje, że imię Peter Crippen przyjął jedynie na skutek kaprysu Belle. Widać nie tylko go ubierała, ale również decydowała, jak ma się nazywać).

— Wygląda na to, że przyjaciele Belle Elmore nie wierzą w jej śmierć — ciągnęła Ethel. Głos jej się łamał. — Kim ja jestem?! — wykrzyknęła. — Wszyscy uważają, że jestem jakąś ulicznicą.

Załamana się zupełnie. Nina przytuliła ją mocniej.

Po kilku chwilach Ethel się uspokoiła.

— Muszę zaraz wracać, ale nie mogłabym wyjechać bez pożegnania — powiedziała.

Nina poczuła się zaskoczona. Zapytała, dokąd Ethel wyjeżdża.

— Nie wiem — odparła. Crippen jej nie powiedział. Obiecała, że kiedy znajdzie się na miejscu, przyśle siostrze swój adres.

Nina nie mogła pojąć, dlaczego Ethel musi wyjechać.

— A co dobrego czeka mnie tutaj bez pieniędzy i z zepsutą opinią? — odparła jej siostra.

I jest jeszcze inny powód, powiedziała. Crippen chce odszukać osobę, która przesłała telegram o śmierci Belle. W ten sposób może wpadnie na ślad żony. Wyjaśniła, że tylko jeśli ją znajdzie, śledztwo Scotland Yardu zostanie umorzone. „O ile mi wiadomo, być może w ogóle nie pojechała do Ameryki” — powiedziała Ninie. — „Być może nadal jest w Londynie i tylko znalazła kogoś za oceanem, kto wysłał fałszywy telegram informujący o jej śmierci”. Obawiała się jakiejś intrygi ze strony Belle — że z czystej przewrotności mogła się gdzieś ukryć, czekając, aż Ethel i Crippen się pobiorą, a potem, „oskarżyć nas o bigamię”.

Siostry znów się objęły. Potem Ethel pożegnała się i wsiadła do taksówki. Kazała kierowcy jechać do Bloomsbury, do Albion House.

* * *

Tego ranka w biurach Scotland Yardu nadinspektor Dew zastanawiał się, co robić dalej w sprawie zniknięcia Belle Elmore. Kusiło go, żeby nie robić nic, ale pracował w policji dość długo, by wiedzieć, że nicnierobienie może łatwo zrujnować karierę. Nie podejrzewał żadnego przestępstwa, ale rozumiał, że sprawy nie można zamknąć, póki nie odnajdzie się Belle. Ogłoszenie, które zamierzał dać doktor, może w tym pomóc, ale potrzeba czegoś jeszcze, choćby po to, by dowieść komisarzowi Froestowi, że zrobił dla Nashów, co było w jego mocy.

Napisał zatem okólnik, w którym opisał dokładnie Belle Elmore, i zaliczył ją do grona osób zaginionych. Kazał rozesłać pismo do

wszystkich oddziałów policji w Londynie. Było to rutynowe działanie, które zapewne nie przyniesie owoców, niemniej uznał je za konieczne.

* * *

Koło południa Crippen i Ethel spotkali się w pracowni Yale Tooth, na czwartym piętrze Albion House. Nastrój Ethel znacznie się poprawił. Jej złość z poprzedniego wieczoru znikła, a spełniwszy smutny obowiązek pożegnania siostry, skupiła się teraz całkowicie na śmiałym planie.

Crippen pokazał jej rzeczy, które William Long kupił tego ranka.

— Będiesz w tym wyglądać zupełnie jak chłopiec — powiedział. Uśmiechnął się. — Szczególnie jeśli zetniesz włosy — dodał.

— Czy muszę je ściąć?! — wykrzyknęła.

Jego zachwyty jeszcze się zwiększył.

— Ależ oczywiście — powiedział. — To konieczne.

„Szczerze mówiąc, byłam tym przede wszystkim rozbawiona” — napisała potem Ethel. — „Wydawało mi się to przygodą.”

Zdjęła ubranie.

* * *

Brat Ethel, Sidney, zamierzał tego dnia złożyć wizytę na Hilldrop Crescent. Siostra zaprosiła go kilka dni wcześniej, nim wszystko uległo zmianie, ale nie zdołała się z nim skontaktować i odwołać wizyty.

Wszedł po schodach do frontowych drzwi i zapukał. Francuska pokojówka podała mu wiadomość od Ethel.

„Kochany Sidzie” — przeczytał. — „Bardzo mi przykro, że muszę Cię dziś zawieść. Wezwano mnie pilnie. Napiszę do Ciebie później. Ściskam Cię i całuję. Twoja kochająca siostra, Ethel”.

* * *

Tymczasem w Albion House Ethel stanęła przed Crippenem w białej koszuli, szelkach, krawacie, kamizelce, brązowej marynarce, spodniach i nowych butach. Wkładając spodnie, rozdarła je na

siedzeniu, ale połączyła szew agrafkami. „Niezbýt dobrze pasowały” — napisała. — „To było takie niedorzeczne”. Na koniec założyła brązowy filcowy kapelusz.

Zaczęła się śmiać z „absurdalności” tego przebrania. „Doktor Crippen był równie rozbawiony jak ja. Wydawało mu się to wesołym żartem”.

Sięgnął po nożyczki.

— A teraz włosy — rzekł.

Zaczął je ścinać. Kosmyki spadały na podłogę wokół niej. „Nie żałowałam utraty loków” — napisała. — „To była część przygody”. Włożyła na powrót kapelusz i przeszła się po pokoju, próbując przywyknąć do nowego ubrania. „Byłam jak dziecko. Chodziłam w tę i z powrotem i już wkrótce poczułam się dość swobodnie, choć przez jakiś czas brakowało mi przytrzymywania spódnicy”.

Crippen obserwował ją z uśmiechem.

— Poradzisz sobie śpiewająco — stwierdził. — Nikt cię nie rozpozna. Jesteś doskonałym chłopcem.

Miała obawy, czy znajdzie w sobie dość odwagi, by pokazać się w tym stroju na ulicy. To było takie dziwne. Wiało jej w kark. Kołnierz drapał, a buty uwierały. Wrażenia, które odbierał jej mózg, były zupełnie obce. Trudno przychodziło jej sobie wyobrazić, że mężczyźni noszą takie rzeczy na co dzień i nie dostają szału z powodu obtarć i ograniczenia swobody ruchów.

Crippen zapewnił ją, że wygląda zupełnie jak szesnastolatek. Miała wyjść z biura pierwsza, schodami, i spotkać się z nim na stacji metra Chancery Lane, położonej dwanaście przecznic na wschód, na High Holborn — ulicy, którą, w odległej przeszłości, skazańcy udawali się na miejsce straceń w Tyburn, w północno-wschodnim narożniku Hyde Parku. By dopełnić przebrania, Ethel wetknęła sobie w usta papierosa i zapaliła, „kolejna nowość dla mnie, która mi się wcale nie spodobała”.

Ruszyła schodami i już wkrótce znalazła się na zewnątrz. „Czułam się okropnie skrępowana” — pisała — „ale ludzie mijali mnie obojętnie i nikt się nie obejrzał na moje przebranie. Wykazałam zapewne sporo odwagi. Byłam bardzo spięta i

zdenerwowana, a cała przygoda bardzo mnie bawiła”. Czekwała na doktora w wejściu na stację Chancery Lane.

Wkrótce zjawił się Crippen, ale bez wąsów. Uśmiechnął się i zapytał wesoło: „Poznajesz mnie?”.

Pojechali kolejką podziemną na stację Liverpool Street, gdzie z osiemnastu peronów odjeżdżało tysiąc pociągów dziennie. Crippen zamierzał złapać pociąg do Harwich, a tam zarezerwować bilety na jeden z parowców, które regularnie kursowały do Holandii. Dotarli na stację tuż po odjeździe pociągu i mieli teraz trzy godziny do odejścia następnego, o piątej.

Crippen zaproponował przejażdżkę autobusem, tak dla zabawy, a Ethel wyraziła zgodę. „Może to się wydać dziwne” — napisała — „ale byłam wesoła i prawdę mówiąc, w radosnym nastroju. Wydawało mi się, że wymknęłam się, i to we wspaniałym stylu, wszystkim tym ludziom, którzy śledzili moje kroki” — miała tu oczywiście na myśli panie ze Stowarzyszenia. — „Przeszłam w przebraniu przed drzwiami ich biura w Albion House, a one nie mogły się już we mnie wwiercać tymi swoimi wścibskimi oczami. Bardzo mnie to uradowało i w ogóle nie myślałam o powodach ucieczki innych niż skandal”.

Tego wieczoru, w Harwich, weszli na pokład parowca do Hoek van Holland, który wypływał o dziewiątej wieczorem. Dotarli do Holandii o piątej następnego ranka, w niedzielę. Zjedli śniadanie, po czym złapali pociąg o siódmej do Rotterdamu, gdzie spędzili kilka godzin na zwiedzaniu miasta. W pewnym momencie przysiedli w kawiarni ogródkowej, a tam Ethel przekonała się, jak świetne ma przebranie. Dwie holenderskie dziewczyny flirtowały z nią z daleka, a jedna stwierdziła nawet: „Och, jaki śliczny angielski chłopiec!”.

Wkrótce potem wsiedli do pociągu do Brukseli. Po południu zameldowali się w niewielkiej gospodzie, Hotel des Ardennes, mieszczącej się pod numerem 65 na Rue de Brabant. Crippen wpisał w księgę hotelową, że nazywa się „John Robinson, lat 55”, a jako zawód podał „kupiec”. W rubryce numer 5, „De Naissance”, czyli miejsce urodzenia, napisał „Quebec”, a obok, w rubryce „De

Domicile”, wskazał „Wiedeń”. Ethel wpisał jako „Johna Robinsona Juniora” i wyjaśnił żonie właściciela hotelu, Louisie Delisse, że chłopiec jest chory i że jego matka zmarła zaledwie dwa miesiące temu. Podróżują dla przyjemności i planują zwiedzić Antwerpię, Hagę oraz Amsterdam.

Właściciele hotelu zauważyli, że Robinsonowie podróżują tylko z jedną walizką o wymiarach mniej więcej trzydzieści na sześćdziesiąt centymetrów. Zauważyli również, że chłopiec mówi wyłącznie szeptem.

* * *

W tę samą niedzielę nadinspektor Dew przejrzał ponownie zeznania Crippena i stwierdził, że dla porządku powinien się z nim spotkać jeszcze raz. Postanowił odwiedzić Albion House nazajutrz, w poniedziałek 11 lipca.

Śmierć w Mayfair

Marconi nie zabrał Beatrice z powrotem do Londynu, tylko do hotelu Poldhu, położonego obok jego stacji. Była w ciąży i wymiotowała niemal codziennie.

Jej mąż, zajęty eksperymentami i kłopotami finansowymi swej firmy, zupełnie nie był tego świadom. Koszta transatlantyckiego przedsięwzięcia rosły szybko, podobnie jak presja ze strony rady nadzorczej i inwestorów. Mimo to zaczął szukać miejsca na nową stację, która miała zastąpić Poldhu. Znalazł je w pobliżu Clifden, w hrabstwie Galway w Irlandii. Postanowił wznieść tu stację zdolną wyprodukować 300 000 watów energii — cztery razy więcej niż jego pierwsza stacja w zatoce Glace — z poziomą anteną o długości niemal kilometra, rozciągniętą na ośmiu sześćdziesięciometrowych masztach. Jako paliwa do kotłów parowych potrzebnych do zasilania generatorów stacji zamierzał używać torfu z odległego o jakieś trzy kilometry torfowiska i zbudować niewielką linię kolejową, która dostarczałaby go do stacji. Budynek kondensatora miał mieścić 1800 płyt galwanizowanego żelaza, każdą pięć razy wyższą od człowieka i podwieszoną na suficie.

W tym momencie zdecydował się zainwestować własny majątek, tak więc kolejna porażka zrujnowałaby nie tylko firmę, ale i jego samego. Całą sprawę ukrywał przed Beatrice. Wiele lat później powiedziała: „Byłam zbyt młoda, by uświadomić sobie, w jakim napięciu żył w pierwszym roku naszego małżeństwa. Z powodu mojego stanu ukrywał przede mną coraz większe trudności finansowe. Był straszliwie przepracowany, ale nie mógł sobie pozwolić na zaniedbanie eksperymentów”.

Beatrice miała już dość odludzia i postanowiła przenieść się do Londynu. Nadal sądząc, że Marconi jest bogaty, lady Inchiquin, jej

matka, wynajęła dla niej drogi dom w Mayfair. Przeprowadziwszy się tam, Beatrice rzadko widywała męża. Podróż z Poldhu do Londynu zajmowała jedenaście godzin, zatem w obie strony pochłaniała aż dwa dni robocze. Marconi nie chciał tracić tyle czasu.

Niektórych podróży nie dawało się jednak uniknąć. W lutym Beatrice urodziła córkę, Lucię. Marconi natychmiast ruszył do Londynu, by zobaczyć nowego członka swej rodziny. Po krótkim pobycie znów wrócił do Poldhu.

Lekarz rodzinny stwierdził, że Lucia „jest niezwykle zdrowym dzieckiem”, ale kilka tygodni później dziewczynka zachorowała. Jej ciało zrobiło się gorące i wyraźnie cierpiała na ból brzuszka. Stan pogarszał się gwałtownie. Beatrice, nadal słaba po porodzie, była przerażona. W nocy Lucia dostała konwulsji, zapewne wskutek zapalenia opon mózgowych. Następnego ranka, w piątek, wkrótce po ósmej, zmarła. Nie było nawet czasu, żeby ją ochrzcić.

Marconi przyjechał do Londynu i zastał Beatrice przykutą do łóżka przez chorobę i smutek. Napisał do swojej matki: „Nasze kochane maleństwo zostało nam nagle odebrane w piątek rano”. Beatrice „przeżyła okropny wstrząs i jest teraz bardzo słaba”.

Zaczął załatwiać pogrzeb Lucii, ale cmentarze nie chciały przyjąć jej zwłok, ponieważ nie została ochrzczona. Odbył wówczas, jak napisała Degna Marconi, „koszmarną podróż taksówką po Londynie, próbując znaleźć cmentarz, który zgodzi się pochować jego dziecko”. W końcu udało mu się go znaleźć w zachodniej części miasta.

Siostra Beatrice, Lilah, przyjechała do domu zaopiekować się Beą, a Marconi znów wyjechał do Poldhu.

* * *

Kłopoty finansowe Marconiego pogłębiały się i w końcu wyjawili Bei prawdziwy stan ich finansów. Była zaskoczona, ale przyrzekła, że odtąd będzie oszczędzać pieniądze, gdzie tylko zdoła.

Teraz rozchorował się Marconi. Ponownie odezwała się jego malaria i zmusiła go do powrotu do Londynu, do domu w Mayfair,

gdzie padł na łóżko i pozostał w nim przez trzy następne miesiące. 3 kwietnia 1906 roku jeden z pracowników firmy napisał do Fleminga, że stan Marconiego „się nie zmienia, a lekarz wydał stanowcze polecenie, by go nie kłopotano”.

Podczas tej choroby Beatrice dowiedziała się czegoś nowego o swoim mężu — był makabrycznie trudnym pacjentem.

Chciał znać skład wszystkich lekarstw i reagował niecierpliwością na nadmiernie taktowne zachowanie angielskich lekarzy i pielęgniarek. Co jakiś czas wybuchał: „Biorą mnie za idiotę!”.

Wycinał z gazet nekrologi i układał je na nocnym stoliku. Beatrice, która nadal opłakiwała śmierć córki i zamartwiała się o zdrowie męża, wcale nie uważała tego za zabawne.

Kiedyś wyszła na spacer i przy okazji kupić nowe lekarstwa w pobliskiej aptece. Po powrocie znalazła męża w sypialni stojącego na głowie. Była przekonana, że oszalał.

Kiedy przyjął normalną pozycję, wyjaśnił, że rozgryzł termometr i połknął trochę rtęci. Stanie na głowie wydało mu się najlepszym sposobem pozbycia się rtęci z organizmu.

* * *

Choroba Marconiego ciągnęła się niemal przez całe lato i kosztowała go czas, a ten w pełni wykorzystali jego rywale i krytycy. Nevil Maskelyne, którego magiczne pokazy odbywały się teraz w nowej siedzibie na Regent Street, nabył prawa do nowej amerykańskiej technologii i założył firmę Amalgamated Radio-Telegraphy, którą zamierzał rozwinąć w konkurencyjny system bezprzewodowy. Zwerbował do niej przeciwników Marconiego i twierdził, że jego nowy aparat pozwala na przesyłanie depech na odległość 850 kilometrów.

Z kolei Henry Hozier, sekretarz Lloyd's of London, czuł się coraz bardziej rozczarowany Marconim i jego firmą. W liście do Olivera Lodge'a, oznaczonym jako „poufny i prywatny”, a datowanym na 11 maja 1906 roku, napisał: „Doszliśmy do wniosku, że administracja firmy Marconiego jest tak niezadowolająca, i tak

trudno z nią współpracować, że musimy podjąć kroki, by zapewnić firmie Lloyd's nowy system, gdy tylko nasza obecna umowa z Marconim wygaśnie. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym miał okazję przedyskutować tę sprawę albo z Panem, albo z doktorem Muirheadem, albo z Panów dyrektorem”.

Muirhead załatwił budowę stacji testowej na polu należącym do jego brata.

Jednak uwaga Lodge'a znowu uległa rozproszeniu. Do Anglii wróciła wraz z córkami pani Piper, medium. Zamieszkała w jego domu, a on zorganizował serię seansów. Na nowo pod wrażeniem, napisał o nich raport dla *Proceedings of the Society for Psychical Research*, składający się ze 153 stron. Utwierdził się w wierze w dar pani Piper i zarzucił inne sprawy.

Wrogość Niemiec wobec Marconiego nie słabła, a równocześnie pogłębiały się brytyjskie obawy przed niemiecką inwazją. W 1906 roku, w odpowiedzi na rosnącą siłę niemieckiej floty, Wielka Brytania zwodowała swój największy w historii okręt wojenny, HMS „Dreadnought”. W tym samym roku ukazała się poczytna książka Williama de Quexa, *The Invasion of 1910 (Inwazja roku 1910)*, która podsyciła brytyjski niepokój i zasiała strach, że Niemcy zdążyli już umieścić w Anglii swoich szpiegów. Powieść, napisana na zamówienie Alfreda Harmswortha, po raz pierwszy opublikowana została w odcinkach w jego „Daily Mail”. Opisywała przyszłą niemiecką inwazję, w której siły wroga skruszyły wszelki opór i zajęły Londyn — aż wreszcie odparł je heroiczny kontratak. Harmsworth wysłał na ulicę ludzi przebranych za niemieckich żołnierzy, którzy nosili tablice reklamujące każdy kolejny odcinek. Jeden ze świadków opisał ludzi „w szpiczastych hełmach i niebieskich mundurach paradujących ponuro po Oxford Street”.

Książka natychmiast stała się w Anglii bestsellerem, ale niemieckim czytelnikom spodobała się również. Niemiecki wydawca postanowił pominąć kwestię kontrataku.

* * *

11 września 1908 roku, kiedy Marconi był w Ameryce, otrzymał wiadomość, że Beatrice urodziła kolejną dziewczynkę. Natychmiast zabukował bilet na rejs do Anglii. Podczas podróży przeczytał historię Wenecji i natrafił w niej na imię, które niezwykle przypadło mu do gustu. Dziecko zostało nazwane Degna.

Narodziny potomka nie zasypały przepaści między Marconim a jego żoną. Kłócili się coraz częściej.

Inspektor powraca

O pierwszej po południu w poniedziałek, akurat gdy po raz pierwszy od tygodnia zza chmur wyszło słońce, nadinspektor Dew i sierżant Mitchell wyruszyli do Albion House, by odbyć drugą rozmowę z doktorem Crippenem. Na miejscu dowiedzieli się rzeczy niepokojącej. Współpracownik Crippena, William Long, poinformował ich, że po raz ostatni widział doktora w sobotę, kiedy wychodził z biura z teczką. Pokazał detektywom list, który otrzymał tego dnia od Crippena. „Czy możesz uczynić mi wielką przysługę i zamknąć najlepiej jak ci się uda sprawę z moim domem?” — napisał doktor. Załączył dość pieniędzy, by pokryć czynsz za poprzedni kwartał. Long nie wspomniał o dziwnej prośbie pryncypała, by kupić ubranie dla chłopca.

Dew i Mitchell złapali taksówkę i przez zalane słońcem ulice pomknęli na Hilldrop Crescent. Wlot ulicy wyglądał jak niebiesko-czarny tunel cienia, porzebijany tu i ówdzie odłamkami złocistego światła. Detektywi przywitani zostali przez francuską pokojówkę Lecocq, która powiedziała im łamanym angielskim, że Crippen i Le Neve wyjechali i że nie spodziewa się ich powrotu.

Dew zapytał, czy może wejść i rozejrzeć się po domu. Lecocq niewiele zrozumiała z jego słów, ale wpuściła go do środka. W domu zastali żonę Williama Longa, Florę, zajętą pakowaniem ubrań Belle, których zostały jeszcze całe góry.

Detektywi ponownie przeszukali dom, tym razem uważniej. Tak jak przedtem, weszli do wszystkich pokoi, szczególną uwagę poświęcając piwnicy. Nie znaleźli nic, co wskazywałoby na miejsce pobytu Belle Elmore, ale Dew natrafił na pięciostrzałowy rewolwer, naładowany. Z kolei Mitchell znalazł pudełko naboju i kilka tarcz strzelniczych zrobionych z kartonu.

Detektywi ustalili, że Lecocq zostanie odesłana do domu następnego dnia i wrócili do New Scotland Yard. Tego wieczoru Dew wysłał do policjantów w całym Londynie polecenie, by rozpytali wśród dorożkarzy i przewoźników, czy po 31 stycznia wywozili jakieś pudła lub pakunki spod numeru 39 na Hilldrop Crescent. Stworzył szczegółowy opis Crippena oraz Le Neve i kazał go rozesłać policji w portach w Anglii i za granicą. Prosił, by zwrócono uwagę na tę parę, ale nie próbowano jej aresztować.

Choć sprawa robiła się z każdą godziną bardziej tajemnicza, nadal nie był przekonany, że została tu popełniona zbrodnia.

W Brukseli „Robinsonowie” napawali się nowo zdobytą wolnością. Właściciel hotelu zauważył, że codziennie wychodzą około wpół do dziesiątej rano, wracają koło pierwszej i zostają w pokoju do czwartej, kiedy to znów wychodzą. Wracali co wieczór o dziewiątej, jedli kolację, po czym udawali się na spoczynek.

Ethel uwielbiała zwiedzać miasto. Schodzili je całe „z północy na południe i ze wschodu na zachód, jak również części podmiejskie” — napisała.

— „Doktor Crippen nie okazywał żadnego zdenerwowania ani chęci zatrzymania mnie w pokoju w Hotel des Ardennes, gdzie mieszkaliśmy. Nigdy nie wyraził życzenia, bym unikała miejsc publicznych. Nigdy nie okazał też śladu niepokoju, jeśli chodzi o swoją osobę”.

Zwiedzali pałace, muzea i galerie. Wiele godzin spędzili w Bois de la Cambre, gdzie spacerowali i słuchali orkiestry oraz śpiewu ptaków. „Wszystko było takie piękne, takie spokojne, to były bardzo szczęśliwe dni”.

We wtorek Dew rozesłał również fotografię Crippena. Wraz z Mitchellem wrócił na Hilldrop Crescent i ponownie przeszukał dom — już po raz trzeci. Znów nic nie znalazł. Aż do wieczora rozpytywali w sąsiedztwie. Tej nocy nadinspektor nie mógł zasnąć. Jego myśli wciąż wracały do domu przy Hilldrop Crescent, szczególnie do piwnicy na węgiel. „Utkwiła mi w myślach”

— napisał. — „Nawet w łóżku, choć spałem niewiele w ciągu tych zwariowanych dni, moje myśli wciąż wracały do tej piwnicy”.

Następnego ranka, w środę 13 lipca, w dzień słoneczny, ale chłodny, Dew i Mitchell wrócili do Albion House. Tu Dew przesłuchał asystenta Crippena, Williama Longa. Jak dotąd rozmawiał z nim już dwa razy, ale za każdym razem odnosił wrażenie, że Long coś ukrywa. Teraz nakazał mu stanowczo powiedzieć prawdę.

Long wyznał, jakich zakupów dokonał w sobotę rano.

Nadinspektor wrócił do Scotland Yardu i napisał kolejny okólnik, w którym wskazał możliwość, że Ethel Le Neve może być przebrana za chłopca.

Następnie, idąc za głosem instynktu, jak również z powodu braku innych wątków w śledztwie, zaproponował sierżantowi Mitchellowi, by po raz czwarty przeszukali dom Crippena i tym razem przeczesał dokładnie piwnicę.

Przy drżącym świetle świecy posuwali się na czworakach i badali podłogę cegła po cegle. Niezwykle niska temperatura na zewnątrz sprawiała, że w piwnicy było lodowato i śmierdziało stęchlizną. Nie zauważyli niczego niezwykłego. Dew znalazł niewielki pogrzebacz i zaczął nim stukać w cegły i sprawdzać szpary między nimi. Pracowali w milczeniu, „zbyt zmęczeni, by rozmawiać”, jak napisał Dew. Światło świecy drżało. Pogrzebacz dzwonił o cegły.

W pewnej chwili zagłębił się w szparę między cegłami prawie bez oporu. Cegła zaczęła się chwiać, a gdy Dew ją wyciągnął, poluzowały się sąsiednie. Wyciągnął jeszcze kilka.

Mitchell poszedł do ogrodu po łopatę.

Syrena

Od czasu do czasu małżeństwo Beatrice i Marconiego odżywało, a jesienią 1909 roku Bea odkryła, że znów jest w ciąży. W owym czasie mieszkała wraz z małą Degną w domu w Clifden, równie odludnym i skromnym miejscu jak Poole czy zatoka Glace. Zapewne poczuła potrzebę ucieczki, albo po prostu chciała choć raz zobaczyć minę męża na wiadomość o nowym potomku zamiast czekać na telegram z odpowiedzią, więc zaplanowała niespodziankę. Wiedziała, kiedy ma przy płynąć jego statek. Udała się do Cork, a tam zdołała się dostać na holownik, który miał wypłynąć na spotkanie statku. Zamierzała zaskoczyć Marconiego i swym przybyciem, i wspaniałą nowiną.

Tymczasem Marconi napawał się luksusem statku oraz uwagą, jaką poświęcali mu inni pasażerowie pierwszej klasy, wśród nich przede wszystkim Enrico Caruso, który miał zostać jego przyjacielem. W przyszłości, kiedy okoliczności na to pozwalały, Marconi stawał z Carusem za kulisami i starał się opanować tremę, jaką wielki tenor odczuwał przed każdym występem. Był szczególnie oczarowany młodymi kobietami podróżującymi ze śpiewakiem, grupą ponętnych i rozflirtowanych aktorek.

Tymczasem nagle zjawiała się Beatrice.

Jeśli oczekiwała, że mąż będzie zachwycony jej niespodziewaną wizytą, srodze się zawiodła. Wedle słów Degny, jego powitanie było jak „kubel zimnej wody wylany na jej głowę. Powrócił do swych kawalerskich zwyczajów i spędzał wesoło czas z pasażerami [...]. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał czy pragnął ujrzeć, to żona wyłaniająca się z morza niczym syrena”.

Beatrice uciekła do kabiny Marconiego, gdzie przepłakała całą noc. Następnego ranka mąż ją przeprosił i nalegał, by przyłączyła się do towarzystwa. Beatrice odmówiła. Czuła się fatalnie i uznała,

że tak też wygląda. Nie miała sił walczyć o jego uwagę z tymi olśniewającymi ludźmi. Została w kabinie, póki statek nie przybił do Liverpoolu.

Tajemnica się pogłębia

Pod cegłami znajdowała się glina. Dew wbił w nią łopatę i stwierdził, że wydaje się wzruszona, a przynajmniej bardziej miękka, niż byłaby, gdyby nikt jej nie rozkopywał przez wiele lat. Wbił łopatę głębiej. Prosto w twarz uderzył go wyraźny odór rozkładu, tak silny, że aż się zachwiał. „Smród był nie do zniesienia i zmusił nas obu do ucieczki do ogrodu, na świeże powietrze” — napisał.

Na zewnątrz, wśród soczystej chłodnej zieleni, Dew i sierżant Mitchell odzyskali siły. Potem nabrali powietrza głęboko w płuca i wrócili do piwnicy, gdzie smród opanował już całe pomieszczenie. Dew odrzucił jeszcze dwie łopaty ziemi i ujrzał zbitą masę rozkładających się tkanek. Ponownie wraz z Mitchellem musieli wybiec z domu. Odetchnęli świeżym powietrzem, znaleźli brandy, napili się, a potem zeszli do piwnicy po raz trzeci. Odkopali więcej tkanek i wnętrzności, dość, by mieć pewność, że są to szczątki ludzkie.

O wpół do szóstej Dew zadzwonił do swego bezpośredniego przełożonego, komisarza Froesta, zwierzchnika wydziału zabójstw i poinformował go o znalezisku. Froest powiadomił zastępcę komendanta policji, sir Melville'a Macnaghtena, któremu podlegał cały Wydział Śledztw Kryminalnych. Wychodząc z biura, Macnaghten zabrał garść cygar. Uznał, że przydadzą się Dewowi i Mitchellowi do zabicia straszliwego smrodu. Wraz z Froestem natychmiast udał się na miejsce zbrodni policyjnym samochodem. Pojechali Embankment przez prześwieconą słońcem mgiełkę, w której Tamiza nabrała pięknego kobaltowego koloru, na brzegach przyciemnionego czarnymi cieniami.

* * *

Doktor Thomas Marshall, chirurg współpracujący z Oddziałem Y Scotland Yardu, któremu podlegało Hilldrop Crescent i okolica, przyszedł na piechotę ze swego gabinetu na pobliskiej Caversham Road. Miał przeprowadzić oględziny szczątków, gdy zostaną one wyniesione z domu.

Wraz z Dewem przyglądał się, jak konstable kopią. Świece zastąpiono latarniami i rozpoczęto planową pracę — policjanci na kolanach odgarniali rękami ziemię, a ich cienie tańczyły makabrycznie na ścianach piwnicy. Uwagę skoncentrowali na otworze na środku podłogi, o wymiarach mniej więcej pół metra na metr.

To co ujrzał Dew, przywodziło na myśl ostatnią ofiarę Kuby Rozpruwacza i aż prosiło się o porównanie. Zdaniem nadinspektora było gorsze. Szczątki w ogóle nie były podobne do ludzkiego ciała, co w żaden sposób nie wynikało z rozkładu. Zresztą większość tkanek była zaskakująco dobrze zachowana, choć dlaczego tak się stało, samo w sobie było tajemnicą. Jak Dew miał napisać w raporcie zatytułowanym *Fragmenty ludzkich szczątków*, największa część składała się z jednego długiego ciągu połączonych organów, obejmującego wątrobę, żołądek, płuca i serce. Cała skóra — „praktycznie cała skóra pokrywająca ciało” — została zdjęta i rzucona na stos, jak płaszcz na podłogę.

Jednakże najbardziej istotne było to, czego brakowało. Zabrano wszystko, co pozwoliłoby ustalić płeć ofiary. Brakowało dłoni i stóp. Zębów. Głowy. I kości. Wszystkich. „Ktoś po prostu oskrobał mięso z kości i zostawił tutaj” — napisał Dew.

Natychmiast stało się jasne, jak wielkie wyzwanie czeka policję. Co innego wnosić z okoliczności sprawy, że szczątki należą do Belle Elmore, a co innego dowieść tego ponad wszelką wątpliwość. Przede wszystkim należało potwierdzić, że są to szczątki ludzkie. Było to stosunkowo proste. Organy zachowały się w tak dobrym stanie, że doktor Marshall na pierwszy rzut oka mógł potwierdzić, że należały do człowieka.

Było jednak całkowicie jasne, że nic poza tym jednym proste nie będzie. Należało określić płeć ofiary, ale nie znaleziono żadnych

organów rozrodczych, kości miednicy ani innych elementów, na których podstawie można by to było ustalić. Znaleziono jedynie fragment tkanki, który zdawał się pochodzić z kobiecej piersi. A kiedy płeć zostanie stwierdzona — jeśli w ogóle tak się stanie — Dew będzie musiał jeszcze dowieść, że tą kobietą była Belle Elmore. Następnie trzeba będzie określić przyczynę śmierci, aby udowodnić niezbitcie, że ofiara została zamordowana, a nie zmarła w wyniku choroby lub wypadku. Na koniec konieczne będzie wskazanie, kto ją zabił.

Szczątki w piwnicy zdawały się zaprzeczać roboczej hipotezie Dewa, że zabójcą był mąż. Wydawało się to wbrew fizyce i zdrowemu rozsądkowi. Crippen miał 162 centymetry wzrostu i był drobnej budowy ciała. Wszyscy, których przesłuchał Dew, określali go jako osobę uprzejmą, łagodną i czułą. Jak ktoś taki mógłby zabić kobietę o tyle większą i silniejszą od siebie, a potem okazać dość wytrzymałości fizycznej i psychicznej, by znieść ciało do piwnicy, oddzielić tkanki, odciąć głowę, wyciągnąć wszystkie kości, pozbyć się w jakiś sposób głowy, kości, zębów i organów płciowych, a potem zakopać resztki w piwnicy? I to nie okazując żadnych oznak fizycznego czy emocjonalnego wyczerpania?

Według świadków nazajutrz po dniu, kiedy po raz ostatni widziano Belle żywą, Crippen był jak zwykle spokojny, wesoły i uśmiechnięty. Tego dnia wpadł do Martinettich sprawdzić, jak czuje się Paul, a pani Martinetti nie zauważyła niczego niezwykłego w jego zachowaniu.

Ale trzy fakty przeczyły tym argumentom: — w piwnicy Crippena znajdowały się ludzkie szczątki, — Belle znikła, — Crippen i jego maszynistka, panna Le Neve, najwyraźniej uciekli.

* * *

Macnaghten i Froest przybyli na miejsce zbrodni, przynosząc cygara. Dew zaprowadził ich najpierw do piwnicy, a potem oprowadził po domu. Macnaghtena najbardziej uderzył fakt, jak blisko kuchni i pokoju śniadaniowego znajduje się miejsce pochówku. „Od krzesła doktora, stojącego u szczytu stołu, do

piwnicy, gdzie pogrzebano szczątki, było zaledwie cztery czy sześć metrów” — napisał Macnaghten. Trzeba było mieć naprawdę zimną krew, by przyrządzać posiłki i jeść, mając świadomość, co leży zakopane tuż za drzwiami.

Obejrawszy częściowo odkopane szczątki, Macnaghten zadzwonił do swego przyjaciela, doktora Augustusa Peppera, który pracował w szpitalu St. Mary's. Pepper był chirurgiem i jednym z czołowych przedstawicieli nowej dziedziny, medycyny sądowej, nazywanej „obrzydliwą nauką”. W tym charakterze pomagał w śledztwach dotyczących najgorszych morderstw, jakie popełniono w Anglii. Świadom, że jest już dość późno, a w piwnicy zostało jeszcze wiele pracy, Macnaghten poprosił doktora Peppera, by przyszedł na miejsce zbrodni nazajutrz z samego rana.

Upoważnił również Froesta i Dewa do zastosowania wszelkich środków koniecznych rozwiązania tej sprawy. Dew przygotował kolejny okólnik, który miał zostać rozesłany do policji na całym świecie. Załączył fotografie Crippena i Le Neve oraz próbki ich pisma. Opisał szczegółowo oboje podejrzanych, w tym również specyficzny chód Crippena z wyrzucaniem w bok jednej stopy oraz jego „lekko jankeski akcent”, a w przypadku Le Neve zwyczaj słuchania „uważnie podczas rozmowy”. Zatytułował swój okólnik „MORDERSTWO I OKALECZENIE ZWŁOK”.

Polowanie na Crippena i Le Neve rozpoczęło się na dobre i nagle Dew znalazł się w samym centrum uwagi prasy, przewyższającej nawet to, co pamiętał z okresu śledztwa w sprawie Kuby Rozpruwacza.

* * *

Tego samego dnia po południu dwóch detektywów z londyńskiego Oddziału Tamizy Scotland Yardu, Francis Barclay i Thomas Arle, rozpoczęło sprawdzanie statków zacumowanych w Millwall Docks. Przy okazji zawiadamiali załogi o trwających poszukiwaniach. Wśród jednostek, na których pokład weszli, był jednośrubowy parowiec s/s „Montrose” należący do Canadian Pacific Railway. Kiedy jeden z oficerów poinformował ich, że „Montrose” nie

zabiera z Londynu żadnych pasażerów, detektywi zeszli na ląd i ruszyli w swoją stronę. Wkrótce potem dowiedzieli się jednak w porcie, że choć „Montrose” nie zabiera pasażerów z Londynu, zabierze ich z Antwerpii, dokąd właśnie wyrusza, wrócili zatem na pokład i spotkali się z jednym z młodszych oficerów.

Opowiedzieli mu o odkryciu na Hilldrop Crescent i zapytali, czy chce poznać „kilka szczegółów”. Oficer lubił sensacje, więc zaprosił Barclaya i Arle’a do swojej kabiny. Rozmawiali mniej więcej godzinę. Detektywi sugerowali, że zbiegowie mogą próbować wejść na statek w Antwerpii i opisali kilka podstępów, jakich mogą użyć. Powiedzieli, że Crippen może się przebrać za duchownego, a panna Le Neve wystąpić w „przebraniu chłopca”.

Oficer zapewnił, że będzie uważać i że przekaze informacje swojemu kapitanowi, Henry’emu George’owi Kendallowi. Detektywi opuścili statek i kontynuowali patrol.

* * *

Tymczasem w Brukseli Ethel miała wrażenie, że traci kontakt ze światem zewnętrznym. Nie potrafiła czytać po francusku, w przeciwieństwie do Crippena, który kupował sobie „L’Etoile Belge”. Niewiele mówił na temat tego, co tam wyczytał.

„Prosiłam go kilka razy, żeby spróbował zdobyć angielską gazetę, ale nigdy tego nie uczynił” — napisała.

Dynamitowa nagroda

Powoli, dzięki ogromnym wysiłkom i niekończącym się eksperymentom, Marconi zmusił swój transatlantycki system do działania, pomimo fatalnej pogody, częstych awarii i konkurencji, która z każdym dniem stawała się coraz bardziej agresywna i przebojowa. Szczególnie energiczny był niemiecki Telefunken, sprzedający urządzenia marki Slaby-Arco-Braun. Za każdym razem, gdy ludzie Marconiego rozpoczynali za granicą rozmowy z nowym klientem, odkrywali, że uprzedzili ich przedstawiciele Telefunkena. Tę wszechobecność niemieckiej firmy nazywali „Murem Telefunkena”. Na domiar złego w 1908 roku w życie weszły wreszcie postanowienia międzynarodowej konferencji na temat łączności bezprzewodowej, zorganizowanej swego czasu przez cesarza Wilhelma. Marconi polecił swoim ludziom nadal unikać innych systemów, szczególnie Telefunkena, chyba że w sytuacji zagrożenia. Ze swej strony inżynierowie Telefunkena również nie chcieli łączyć się ze statkami Marconiego. Później Niemcy usunęli z pokładów swych statków wszystkie zagraniczne aparaty łącznościowe.

Nowy serwis transatlantycki Marconiego rozwijał się powoli i z trudem. Notatka służbowa datowana na 4 sierpnia 1908 roku informowała, że od 20 października 1907 roku do 27 czerwca 1908 łączny ruch pomiędzy Clifden a zatoką Glace wynosił 225 010 słów — zaledwie 896 słów dziennie. Inny raport firmy ujawniał, że w marcu, najlepszym miesiącu, średni czas potrzebny na nadanie wiadomości wynosił 44 minuty. Czas maksymalny wynosił aż 2 godziny i 4 minuty. W następnym miesiącu średnia wzrosła do ponad 4 godzin, a maksimum do 24 godzin i 5 minut. Trzeba było całego dnia, żeby wysłać jedną depezę!

Niemniej system działał, a Marconi osiągnął rzecz niemożliwą. Przesyłał już nie sygnały składające się z trzech kropek, lecz pełne telegramy, głównie autorstwa amerykańskich korespondentów londyńskiego „Timesa”. I jak zwykle był pewien, że szybkość i niezawodność systemu wkrótce się poprawią.

W 1909 roku zyskał wreszcie uznanie, jakiego odmawiano mu przez tyle lat z powodu kąśliwych uwag Lodge’a, Nevila Maskelyne’a i innych. W grudniu komitet liczącej obecnie osiem lat Nagrody Nobla przyznał ją w dziedzinie fizyki Marconiemu za osiągnięcia w łączności bezprzewodowej oraz Karłowi Ferdinandowi Braunowi za wynalezienie kineskopu, urządzenia, które wiele lat później umożliwiło powstanie telewizji. Był to ten sam Braun, który wraz ze Slabym i Arco stworzył system tak agresywnie sprzedawany przez Telefunkena na całym świecie.

Dla Marconiego Nagroda Nobla była ogromnym zaszczytem, jak również całkowitym zaskoczeniem, gdyż nigdy nie uważał się za fizyka. W Sztokholmie zaraz na początku swego wykładu noblowskiego wyznał, że nie jest nawet naukowcem. „Chciałbym nadmienić, że nigdy nie studiowałem fizyki ani elektrotechniki w sposób regularny, chociaż jako chłopiec interesowałem się głęboko tymi dziedzinami”. Przyznał też otwarcie, że nadal nie w pełni rozumie, dlaczego jest w stanie nadawać przez Atlantyk, choć przecież nadaje. Jak to ujął: „Wiele faktów związanych z transmisją fal elektrycznych na dalekie dystanse nadal czeka na zadowalające wyjaśnienie”.

Przyznał, że istnieje wiele niewyjaśnionych tajemnic. „Często zdarza się tak, że statek nie może się połączyć z najbliższą stacją, natomiast bez problemu łączy się ze stacją odległą” — powiedział słuchaczom. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Nie znalazł też jeszcze zadowalającego wyjaśnienia, dlaczego słońce tak silnie zakłóca łączność, choć „miał powody wierzyć” w teorię wysuniętą niedawno przez fizyka J.J. Thomsona, że „ta część atmosfery ziemskiej, która skierowana jest ku Słońcu, zawiera więcej jonów czy elektronów niż część znajdująca się w ciemności”, a zatem pochłania energię transmitowanych fal. Odkrył, że wschód i

zachód słońca to okresy największych zakłóceń. „Ma się wrażenie, że fala elektryczna, przechodząc z ciemności w jasność i odwrotnie, obija się lub załamuje w taki sposób, że zbijana jest ze swej normalnej drogi”.

Ale kilka chwil później ze szczególną satysfakcją oświadczył: „Bez względu na dzisiejsze ograniczenia i wady, nie ma wątpliwości, że telegrafia bezprzewodowa, nawet o dalekim zasięgu, zadomowiła się już na dobre i nie tylko z nami pozostanie, ale będzie się dalej rozwijać”.

* * *

Marconi zaszedł daleko. Choć jego firma walczyła z kłopotami finansowymi, wierzył, że wkrótce dobiegną one kresu. Statki pozdrawiały się teraz zwyczajowo na pełnym morzu. Gazety pokładowe zmieniły się w rzecz codzienną. Termin „marconigram” wszedł do słownictwa podróżniczego. Pomimo rosnącej wszędzie konkurencji, szczególnie w Niemczech i w Ameryce, jego firma wywalczyła sobie najwyższą pozycję w królestwie łączności bezprzewodowej, co w dużym stopniu było zasługą jego transatlantyckiego przedsięwzięcia i wiedzy przy okazji zdobyciej. Kiedy przyjmował w Sztokholmie Nagrodę, można było odnieść wrażenie, że sukces podkradł się do niego ukradkiem i pochwyił go dopiero na podium, kiedy ubrani na czarno mężczyźni i kobiety w sukniach wieczorowych podnieśli się i zaczęli klaskać.

Największą przeszkodą do tej pory jeszcze niepokonaną był nadal utrzymujący się sceptycyzm wobec telegrafii bezprzewodowej dalekiego zasięgu. Z powodów, których nie potrafił zrozumieć, świat ciągle postrzegał ją jako wynalazek o ograniczonej przydatności i żadne jego wysiłki nie były w stanie osuszyć raz na zawsze ogromnego morza ludzkich wątpliwości.

Pięć słoików

W czwartek 14 lipca 1910 roku na Hilldrop Crescent po szczątki przyjechało dwóch ludzi z Kaplicy Ukojenia kostnicy Islington przy Holloway Road. Oficjalną sekcję mieli przeprowadzić następnego ranka doktorzy Pepper i Marshall. Ludzie z kostnicy przywieźli trumnę. Dwóch konstablów umieściło szczątki w jej wnętrzu gołymi rękami.

Dew i obaj lekarze obserwowali uważnie cały proces. Od czasu do czasu sięgali po coś i umieszczali na tacy leżącej obok wykopanej dziury. Znaleźli lokówkę Hinde'a z włosiem przylegającym do jej gumowego rdzenia. Dwa kawałki jak się zdawało kobiecej „podkoszulki”, czyli krótkiej koszulki na ramiączkach, z sześcioma guzikami i koronką przy dekolcie. Oraz dużą męską chustkę do nosa, białą, z supełem łączącym dwa rogi, przedartą naprzeciwko węzła. Do chustki przylgnęła pewna ilość jasnych włosów.

Dew znalazł również kawałek „grubego sznurka”, długości 38 centymetrów oraz inny, mierzący 28 centymetrów. Wydedukował, że sznurki wraz z zasupłaną chustką „mogły zostać użyte do uduszenia ofiary albo do przeciągania kawałków ciała”.

Ludzie z kostnicy zamknęli trumnę i załadowali ją na karawan. Na oczach zbulwersowanych sąsiadów przejechali powoli ulicą, kierując się ku Camden Road.

Następnego ranka Pepper, Marshall i Dew zebrali się w kostnicy Islington na oficjalną autopsję. Pepper już dawno przestał być wrażliwy na taką pracę. Postrzegał oględziny nie jako straszny obowiązek, ale jako pierwszy krok do rozwiązania absorbującej zagadki, z pewnością dużo ciekawszej niż rutynowe badania ofiar zmarłych z powodu postrzału lub zatłuczonych kawałkiem rury.

Najpierw ostrożnie zaczął sondować tkankę i oddzielił wszystkie organy, mięśnie oraz ścięgna, które potrafił rozpoznać. „Znajdowała się tam jedna duża masa składająca się z wątroby, żołądka, przełyku, dolnych 4 centymetrów tchawicy, dwóch płuc, serca w nieuszkodzonym osierdziu, przepony, czyli przegrody pomiędzy klatką piersiową a brzuchem, nerek, trzustki, śledziony, całego jelita cienkiego i większości jelita grubego” — to wszystko w jednym, połączonym kawałku (później Pepper zorientował się, że brakuje jednej nerki).

Fakt połączenia organów był wart uwagi. „Usunięcie tych części nie jest rzeczą trudną, ale trudno to uczynić w taki sposób, w jaki właśnie to uczyniono” — powiedział Pepper. — „Na wnętrznościach nie było żadnych nacięć, prócz tych koniecznych dla ich usunięcia. Cięcie dokonano w górnej części — przełyk i tchawica zostały rozcięte — oraz w dolnej części, na jelicie. To pokazuje, że osoba, która usuwała wnętrzności, posiadała znaczną sprawność. Uczynił to ktoś, kto albo miał znaczną wiedzę anatomiczną, albo przywykł do patroszenia zwierząt (w tym również ludzi)”.

Podczas oględzin skóry znalazł kilka ciekawych fragmentów, które wyglądały na warte bliższego zbadania. Jeden z nich miał wymiary 15 na 18 centymetrów, barwę szarżółtą, pogłębiającą się miejscami do ciemnoszarej, a na jego powierzchni znajdowało się dziwne znamię. Pepper odłożył go na bok do dalszego badania. Zbadał również kosmyki włosów, które przyłgnęły do wałka Hinde'a, odnalezionego przez Dewa w piwnicy. Najdłuższy włos miał 20 centymetrów, najkrótszy sześć. Było oczywiste, że nie pochodzą one z peruki, gdyż każdy ucięty był tylko z jednego końca. „Fałszywe włosy”, jak to ujął Pepper, zawsze ucinane były z obu stron. Kolor włosów wahał się od jasnożółtego do jasnobrązowego — niezbity dowód, że zostały rozjaśnione.

Pepper szukał dalej i wkrótce natrafił na fragmenty materiału: rękaw od piżamy uszyty z białej bawełny w szerokie zielone pasy oraz „prawą tylną część” zapewne tej samej piżamy, na której

znalazł naszywkę: „Wytwórcy koszul, Jones Brothers, Holloway, Limited”. Ta część poplamiona była krwią.

Wstępne oględziny wskazywały, że ofiarą była kobieta, choć dowody na to były jedynie pośrednie, w dodatku częściowo podważone przez obecność resztek męskiej chustki i góry od piżamy. Jednakże rozjaśniane włosy dały doktorowi Pepperowi i nadinspektorowi Dewowi pewność, że szczątki rzeczywiście należą do kobiety, a tym samym zwiększały prawdopodobieństwo, że ofiarą była Belle Elmore. Zgodnie z relacją przyjaciół ze Stowarzyszenia Pań Artystek rozjaśniała włosy na blond.

Doktor Pepper umieścił niektóre fragmenty ciała oraz znalezione przedmioty w pięciu dużych słojach. Rękaw piżamy znalazł się w słoju numer cztery. Tylna część z kołnierzem w słoju numer pięć. Słoje zostały zamknięte, owinięte białym papierem, obwiązane taśmą, po czym zapieczętowane pieczęcią biura koronera.

Dla Dewa szczególnie interesujące były fragmenty piżamy. Wraz z sierżantem Mitchellem wrócił na Hilldrop Crescent na kolejne przeszukanie, tym razem mając przed sobą określony cel.

* * *

Ethel zaczęła się nudzić w Brukseli. „Miałam dość wystaw sklepowych, które oglądałam na początku z takim zachwytem. Chciałam się przenieść gdzie indziej”. Powiedziała o tym Crippenowi.

— Masz dość Brukseli? Już? Świetnie, w takim razie pojedziemy dalej. Może do Paryża?

— Nie — odparła. — Nie do Paryża. Gdzie indziej. Crippen zaproponował Amerykę.

W piątek 15 lipca, kiedy Dew i doktorzy badali szczątki wydobyte z domu przy Hilldrop Crescent, Crippen i Ethel poszli do biura biletowego i dowiedzieli się, że w przyszłą środę, 20 lipca, z Antwerpii do Quebecu wypływa s/s „Montrose”. Dowiedzieli się również, że na statku są tylko dwie klasy, druga i ogólna. Crippen wykupił kabinę w drugiej klasie. Podał, że nazywa się John Philo

Robinson, ma 55 lat i jest kupcem z Detroit, a Ethel to jego syn, John George Robinson, lat szesnaście, student. Nikt nie poprosił o pokazanie dokumentów.

Postanowili wyjechać z Brukseli 19 lipca, spędzić noc w Antwerpii i wsiąść na statek z samego rana.

* * *

Tymczasem na Hilldrop Crescent nadinspektor Dew i sierżant Mitchell skupili się na przeszukiwaniu pudeł, szaf i wszystkich innych miejsc, gdzie trzymano ubrania. Znaleźli suknie, futra i buty w ilościach, które uznali za szokujące.

W torbie w sypialni Crippena Dew odkrył dwa komplety piżam w zielone pasy, które wydawały się identyczne, jak fragmenty znalezione przy szczątkach, tyle że zupełnie nowe i najwyraźniej nigdy nienoszone. Sprawdził kołnierzyki i znalazł naszywki „Wytwórcy koszul, Jones Brothers, Holloway, Limited”.

Znalazł również dół od piżamy, biały w zielone pasy, który nosił ślady „intensywnego noszenia”. Nie znalazł pasującej do niego góry.

* * *

Londyński „Times” nadał sensacji nazwę „Morderstwo z piwnicy w północnym Londynie”. „Daily Mirror” opublikował fotografie domu i pary uciekinierów. Sprawa rozbudziła wyobraźnię wydawców za granicą i wkrótce wieści o szczątkach odkrytych pod numerem 39 na Hilldrop Crescent stały się tematem rozmów przy śniadaniu od Nowego Jorku po Istambuł. „Nigdy dotąd nie widziano takiego poruszenia jak to, które wezbrało w kraju z powodu Crippena i panny Le Neve” — napisał Dew.

Sprawa zdominowała rozmowy wszędzie, od City po Miejski Rynek Bydłęcy. Rozmawiali o niej więźniowie i strażnicy w więzieniach Holloway i Pentonville. Rozmawiano o niej w Long Bar w Criterion i w wielkich londyńskich klubach: Bachelor’s, Union, Carlton i Reform. „To był pierwszy temat rozmów” — pisał

Dew. „W pociągach i autobusach można było usłyszeć, jak ludzie snują domysły i teorie na temat tego, gdzie są zbiedzy”.

Nagle do Scotland Yardu zaczęły napływać raporty o Crippenie i Le Neve. Przekazywano je za pomocą telefonu, telegramów oraz ostatniego krzyku techniki, marconigramów. Pilność i ilość tych wiadomości wzrosła jeszcze, kiedy minister spraw wewnętrznych, Winston Churchill, wyznaczył nagrodę w wysokości 250 funtów — 25 000 dolarów wedle dzisiejszej wartości pieniądza — za informacje prowadzące do schwytania uciekinierów. „Ani jeden dzień nie minął bez doniesień o tym, że widziano Crippena i pannę Le Neve w jakiejś części kraju” — pisał Dew. — „Niekiedy zgłaszano, że znajdują się w kilku miejscach w tym samym czasie”. Trzeba było sprawdzić niemal każde doniesienie. „Nie mogliśmy sobie pozwolić na zignorowanie nawet najślabszej poszlaki i wszystkie te doniesienia były starannie sprawdzane”.

Pewien człowiek, który przypominał nieco Crippena, został dwukrotnie aresztowany i zwolniony. „Za pierwszym razem uznał zdarzenie za zabawne”

— napisał Dew. — „Ale kiedy to samo przytrafiło mu się po raz drugi, był bardzo oburzony i powiedział, że to się już staje zwyczajem”.

W takich sprawach policja była szczególnie ostrożna, gdyż Scotland Yard ucierpiał bardzo z powodu niesławnego przypadku Adolpha Becka, norweskiego inżyniera. W ciągu ostatnich piętnastu lat, na podstawie zeznań naocznych świadków został on omyłkowo uwięziony za oszustwo nie raz, ale dwa razy, gdy tymczasem podobny do niego oszust pozostawał na wolności. Najważniejszą lekcją, jaką wyniesiono z tej „pożałowania godnej sprawy”

— napisał sir Melville Macnaghten — „była świadomość ogromnej zawodności identyfikacji przez świadków”.

Dew spotkał się z sobowtórem Crippena i nie znalazł w nim jakiegoś szczególnego podobieństwa. „Robiłem, co mogłem, by rozlać oliwę na wzburzone wody. Oferowałem mu moje najgłębsze

przeprasiny i po chwili zdołałem go przekonać, że policjant, który popełnił błąd, wykonywał jedynie swój obowiązek”.

* * *

W piątek 15 lipca Dew i Mitchell odwiedzili po raz pierwszy Emily Jackson i usłyszeli od niej opowieść o poronieniu Le Neve i o okresie pod koniec stycznia 1910 roku, kiedy lokatorka wydawała się taka przygnębiona i wzburzona. Złożyli ponowną wizytę Clarze Martinetti, tym razem w jej bungalowie nad Tamizą, i poznali szczegóły kolacji u Crippenów, kiedy po raz ostatni widziano Belle żywą. Przesłuchali Marion Louise Curnow, kierowniczkę u Munyona. Zeznała, że w dniu zniknięcia Crippena spieniężyła mu czek na 37 funtów, ponad 3700 dolarów wedle dzisiejszej wartości pieniądza. Wypłaciła mu te pieniądze w złocie.

Wszędzie, od każdego, Dew, Mitchell i ich współpracownicy słyszeli, jak miłym i łagodnym człowiekiem jest Crippen. Świadek po świadku przedstawiał go jako osobę zbyt łagodną, by skrzywdzić choćby muchę. Była sąsiadka Crippenów, Emily Cowderoy wyznała detektywowi, że nigdy nie słyszała, by doktor odezwał się do żony ze złością. „Byli ze sobą w niezwykle dobrych stosunkach” — powiedziała. Taką opinię policja słyszała również często jak zdanie, że Crippen był „dobrotliwy”.

Jednak to w jego domu, pod numerem 39 na Hilldrop Crescent, Dew znalazł wypatroszone szczątki, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa należały do jego żony. Jaki rodzaj siły, zarówno fizycznej, jak i psychicznej, potrzebny był do sfiletowania osoby, z którą przeżyło się tyle lat?

Niewyobrażalne się wydawało, w jaki sposób Crippen zdołał zredukować tak dużą kobietę do masy odkopanej w piwnicy. Jak to uczynił? Od czego zaczął? Od głowy? Może odciął ją szybkim cięciem rzeźnickiego noża, niewykluczone, że tego samego, za pomocą którego kroił „sztukę” wołowiny podczas ostatniej kolacji z Martinettimi, 31 stycznia? A może zaczął od stóp i posuwał się w górę? Może zaczął od rzeczy najłatwiejszych, a potem stawiał czoło kolejnym wyzwaniom? Nie zostały żadne kości, usunięto

nawet drobne kostki dłoni i stóp. Bez wątpienia po prostu pozbył się kończyn, ale co potem? Za pomocą jakich narzędzi oddzielił mięśnie i ścięgna od żeber? Jakim sposobem odłączył ramiona od barków? Czy kiedy to robił, opanowało go uniesienie, czy też każdy kolejny krok był dla niego źródłem cierpienia i słodko-gorzkich wspomnień?

I co dalej? Jak zdołał usunąć z domu krew i trzewia, tak dokładnie, że nie zostawił żadnego śladu? Być może wydajnym asystentem okazał się tutaj bulterrier. Brakujących elementów — głowy, miednicy i kończyn — najwyraźniej pozbył się gdzie indziej.

Pod kierunkiem Dewa policja przeszukała ogród. Sondowali ziemię łopatami, a w niektórych miejscach wykopali głębokie dziury, ale nie znaleźli brakujących części ciała. Przeszukali podwórza w sąsiedztwie i rozważali prawdopodobne kryjówki — może doły na odpadki na Rynku Bydlęcym albo koryto pobliskiego Regent Canal, który przepływał przez północny Londyn i Regent's Park? Kanał przechodził pod Camden Road, mniej więcej kilometr na południe od Hilldrop Crescent — nietrudny spacer dla człowieka z torbą. Jeszcze łatwiejszy, jeśli ośmielił się przewieźć swój makabryczny bagaż tramwajem elektrycznym.

Czy Crippen mógł to wszystko uczynić, a co więcej, czy mógł tego dokonać bez pomocy? Jeśli tak, to w jaki sposób zdołał to wytrzymać i jak potem wymazał to wspomnienie ze swych oczu i twarzy?

* * *

W środę, 20 lipca, wyzwanie stojące przed nadinspektorem Dewem stało się jeszcze trudniejsze. Jakimś cudem Crippen i Le Neve uniknęli wykrycia pomimo poszukiwań tak intensywnych, że zdaniem sir Melville'a Macnaghtena tylko raz w historii Scotland Yardu przeprowadzono jeszcze większe: kiedy polowano na Kubę Rozpruwacza. Jedenaście dni minęło od czasu, kiedy Crippen i Le Neve opuścili Albion House i znikli. Najszybsze statki mogły

przekroczyć Atlantyk w czasie krótszym niż tydzień. Uciekinierzy mogli być dosłownie wszędzie.

I rzeczywiście, doniesienia o ich pobycie napływały teraz z całego świata. Autor jednego z nich przysięgał, że widział Crippena i Le Neve spacerujących pod ramię nad Sekwaną. Inny widział ich na statku w Bosforze. Byli w Hiszpanii — i w Szwajcarii.

Pani Isabel Ginnette, przewodnicząca Stowarzyszenia Pań Artystek, przebywała akurat w Nowym Jorku i oferowała policji swą pomoc. W towarzystwie detektywów czekała w porcie na przybijające liniowce i szukała wśród schodzących na brzeg Crippena i jego maszynistki. Weszła nawet na pokład jednego z najnowszych i najslawniejszych statków, „Lusitanii” Cunarda, pierwszego z wielkich liniowców, które potrafiły przebyć Atlantyk w czasie krótszym niż pięć dni, ale nikogo nie rozpoznała. W kolejnych dniach w towarzystwie policji obserwowała przybycie „Lorraine” z Hawru, „St. Paul” z Southampton — statku, który rozślawił Marconi — oraz „Cedrica” z Liverpoolu. W liście do sekretarki stowarzyszenia, Melindy May, napisała: „Aż do dziś wyszliśmy na spotkanie pięciu statków z Anglii i Francji i przeprowadziliśmy poszukiwania wśród pasażerów”. „Obyśmy go wkrótce złapali!” — dodała.

20 lipca policja nowojorska aresztowała pasażera, który przybył na pokładzie „Kroonland” należącego do Red Star Line. Uznano go za Crippena, choć w rzeczywistości był to wielebny William Laird, proboszcz kościoła episkopalnego w Delaware. Pani Ginnette okazała wzburzenie, że policja nie zabrała jej również na tę inspekcję. Powiedziała dziennikarzowi: „Wielebny był równie podobny do Crippena, jak ja”.

Brak postępów śledztwa stawał się źródłem rosnącego niepokoju i frustracji dla Dewa. Choć pewien postęp jednak zaszedł. Dwa dni wcześniej, przypadkiem, tuż po zamknięciu pierwszego przesłuchania koronera.

Przesłuchanie podniosło Dewa nieco na duchu, gdyż koroner bardzo go pochwalił. „Wielu ludzi mogło zejść do tej piwnicy i nic

nie odkryć. Trzeba było naprawdę uzdolnionego detektywa, by posunąć się o krok dalej”.

Później Dew stanął przypadkiem obok grupy kobiet. Znajdowała się wśród nich Clara Martinetti, która opowiadała właśnie, że Belle przeszła kiedyś poważną operację.

Wziął ją na stronę i zapytał, czy dobrze usłyszał.

„O tak” — odparła pani Martinetti. — „Belle poddała się operacji wiele lat temu, w Ameryce. Miała dużą bliznę w dolnej części brzucha. Widziałam ją”.

Dew natychmiast pojął, że może to być cenna wskazówka. Jeśli wśród szczątków, przechowywanych obecnie w Kaplicy Ukojenia kostnicy Islington, uda się odszukać ślady blizny, w dużym stopniu potwierdzi to jego założenie, że ofiarą była Belle Elmore. Przekazał tę informację doktorowi Pepperowi.

Mimo to w środę 20 lipca był boleśnie świadom, że jego śledztwo, największe i najpilniej obserwowane w nowym wieku, utknęło w martwym punkcie. Wiedział również, że nie wszyscy podzielają podziw koronera dla jego talentów policyjnych. Przynajmniej jedna gazeta, „Daily Mail” pytała, dlaczego Scotland Yard nie obserwował Crippena podczas wstępnych przesłuchań w sprawie zniknięcia Belle Elmore. Jeden z członków parlamentu zapytał ministra spraw wewnętrznych, Churchilla, czy byłby tak dobry i podał, „kto jest odpowiedzialny za to, że doktor Crippen wymknął nam się z rąk”. Churchill odmówił odpowiedzi.

Dowód

Wiosną 1910 roku, kiedy Beatrice urodziła syna, Giulia, Marconi znów był na morzu. W owym czasie podróżował tak wiele i tak daleko, że Bea nie miała pojęcia, na pokładzie jakiego statku się znajduje. Wiedziała jedynie, że jest gdzieś na Atlantyku. Fakt, że udał się w podróż tak blisko terminu rozwiązania, nie był zaskakujący, zważywszy jego pracoholizm i uczuciową tępotę. Natomiast to, że wyjechał, nie podając nazwy statku, było oznaką czegoś zupełnie innego, wyrazem rozpadu ich małżeństwa.

Beatrice i tak wysłała mu wiadomość, adresując depeszę po prostu: „Marconi—Atlantyk”.

Depesza dotarła do adresata. Przekazywano ją od stacji do stacji, od statku do statku, aż trafiła wreszcie na właściwy, na środku oceanu.

Trudno byłoby sobie wyobrazić lepszy dowód na to, jak bardzo odkrycie Marconiego wpłynęło na jakość podróży morskich, a przecież lepszy i bardziej publiczny dowód — taki, który poruszył cały świat i ostatecznie osuszył wielkie morze wątpliwości — miał się objawić już wkrótce.

Kiedy powstały odpowiednie możliwości techniczne, scena była gotowa.

* * *

O ósmej trzydzieści w środę rano Hawley Harvey Crippen i Ethel Clara Le Neve, przebrani za panów Robinsonów, ojca i syna, weszli na trap na nabrzeżu należącym do Canadian Pacific w Antwerpii i znaleźli się na pokładzie s/s „Montrose”. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, pomimo faktu, że w owych czasach, pełnych kufków, wielkich płaszczy i przebierania się do posiłków, mieli ze sobą tylko jedną niewielką walizkę.

„Bez najmniejszego uczucia zdenerwowania weszłam w swoim chłopięcym przebraniu na pokład wielkiego parowca” — pisała Ethel. — „Zmiana scenerii wydawała mi się rzeczą wspaniałą”.

Miała to samo wrażenie, że uczestniczy w przygodzie, jakie ogarnęło ją podczas podróży z Anglii do Holandii. To była ucieczka, najczystszej wody. Zostawiała za sobą życie skrepowane przesądami i społeczną dezaprobatą, a co więcej, czyniła to w męskim przebraniu. Porzuciła nie tylko swą przeszłość, ale również i płęć.

Napisała: „Czułam się całkowicie beztroska i wolna od zmartwień, kiedy za doktorem Crippenem wchodziłam na pokład »Montrose’a«.

Część VI

Pościg za pomocą gromu



Crippen i Ethel Le Neve
na pokładzie „Montrose’a”

Panowie Robinsonowie

Ethel i Crippen zajęli kabinę numer pięć, która zdaniem młodej kobiety była „przytulna”. Morska bryza, dudnienie silników, cudowny trzask bezprzewodowego telegrafu, wszystko wzbudzało jej zachwyt. „Cały statek był cudowny”.

Przebranie stało się dla niej równie naturalne jak niegdyś suknie. „Czułam się taka pewna siebie” — pisała. Przy jakiejś okazji pewien nastolatek zrobił się „dość przyjacielski”. Widać było, że uważa ją za chłopca. Ku własnemu zdumieniu stwierdziła, że rozmawia z nim o futbolu. Crippen obserwował to spotkanie. Później stwierdził ze śmiechem: „Świetnie się dogadywaliście!”.

Spędzali z Crippenem wiele godzin na pokładzie, spacerując albo siedząc w leżakach, „ale co oczywiste, stroniłam raczej od innych pasażerów i nie mówiłam wiele. Niemniej, kiedy odzywał się do mnie któryś z oficerów, nie wahałam się odpowiadać i wcale nie czułam się zażenowana” — wspominała.

Dziwiło ją, że nawet kapitan poświęca jej wiele uwagi. Był równie uprzejmy i usłużny jak steward. „Znalazłam na statku wiele rozrywek, gdyż kapitan Kendall dostarczał mi lektury w postaci powieści i magazynów, również opowieści detektywistycznych” — napisała.

Kapitan pożyczał również książki Crippenowi, którego szczególnie zainteresował *Klub Pickwicka* oraz dwie współczesne powieści, *Nebo, the Nailer* Sabine Baring-Gould oraz *A Name to Conjure With* Johna Strange’a Wintera, które to nazwisko było ujmująco związłym pseudonimem literackim Henrietty Elizy Vaughan Palmer Stannard. Jak wielu pasażerów, doktor często sprawdzał położenie statku, które nanoszono regularnie na mapę. Można było w ten sposób stwierdzić, gdzie się statek znajduje, i obliczyć, ile jeszcze pozostało dni podróży. Zwykle rejs do

Quebecu zajmował „Montrose’owi” jedenaście dni. Szybkość statku na morzu wynosiła trzynaście węzłów.

Kiedy zrobiło się chłodniej, Ethel stwierdziła, że spacerować po pokładzie stają się coraz mniej przyjemne. Cienki chłopięcy garnitur nie osłaniał jej przed wiatrem, a nie miała żadnych cieplejszych rzeczy. „Dlatego owinięta kocem, siadałam w saloniku z książką i czytałam o interesujących przygodach” — wspominała. — „Byłam taka szczęśliwa, jak tylko można sobie wyobrazić”.

* * *

Tego pierwszego dnia podczas lunchu, kiedy Robinsonowie zasiedli wraz z innymi pasażerami w jadalni drugiej klasy, Kendall wślizgnął się do ich kabiny i przeprowadził szybkie przeszukanie. Obejrzał ich kapelusze. W środku nakrycia głowy starszego Robinsona znalazł metkę „Jackson, blvd du Nord, Bruxelles”. W brązowym filcowym kapeluszu chłopca nie było metki, ale wewnętrzny otok wypchano nieco papierem, zapewne po to, by dopasować go do głowy.

Rankiem drugiego dnia na morzu kapitan zwierzył się pierwszemu oficerowi, Alfredowi Sargentowi, ze swych podejrzeń. Poprosił, żeby przyjrzał się dyskretnie dziwnym pasażerom i powiedział, co o nich sądzi. Sargent doszedł do wniosku, że podejrzenia Kendalla mogą być słuszne.

Jednak kapitan nadal nie czuł się na tyle pewny swego, by za pomocą bezprzewodowego telegrafu zawiadomić policję, choć wiedział, że kiedy statek wypłynie z kanału La Manche i znajdzie się na Atlantyku, możliwości wysłania depechy będą ograniczone. Nadajnik statku miał zasięg jakichś 240 kilometrów, choć odbiornik mógł odbierać sygnały z o wiele większej odległości, bo aż 965 kilometrów. Oczywiście, zawsze istniała możliwość przekazania wiadomości za pośrednictwem innego statku, znajdującego się bliżej lądu, ale żeby mieć całkowitą pewność, że dotarła na miejsce, musiał ją wysłać już wkrótce.

Polecił Sargentowi zebrać z pokładu wszystkie angielskie gazety i nic nie mówić nikomu o swoich podejrzeniach.

„Ostrzegłem go, że musi zachować całkowite milczenie, gdyż szkoda byłoby zmarnować taką okazję. Obaj dokładaliśmy starań, by nasi »Robinsonowie« czuli się zadowoleni” — napisał.

Samobójstwo

Świat był poruszony.

W Chicago policja aresztowała niejakiego Alberta Rickwarda, pomimo faktu, że był Anglikiem i miał zaledwie 29 lat, a więc był niemal o połowę młodszy od Crippena. Przy przeszukaniu znaleziono przy nim angielskie banknoty, warte w przeliczeniu na walutę amerykańską mniej więcej 2000 dolarów. To zwiększyło podejrzenia policji. Rickward przesłuchiwany był przez wiele godzin, przeszukano również jego bagaż, który zostawił na stacji kolejowej. W końcu puszczono go wolno, bez przeprosin. Był wściekły.

Agent okrętowy z Marsylii powiadomił policję, że zauważył Crippena i Le Neve wsiadających na statek do Antwerpii. Francuscy detektywi i konsul brytyjski pognali na nabrzeże, ale okazało się, że statek już odpłynął.

W Halifaksie w Nowej Szkocji policja weszła na pokład parowca „Uranium”, gdy tylko przybił do portu. Zatrzymano na pokładzie wszystkich pasażerów i przeszukano dokładnie statek. Nie znaleziono niczego interesującego.

Z Brukseli przyszedł raport, że właściciel podmiejskiej kawiarni zauważył dwóch klientów, którzy dokładnie pasowali do opisu uciekinierów. Jednym z nich, donosił właściciel, była kobieta przebrana za mężczyznę.

Ten ostatni raport był zapewne prawdziwy, ale policja nie miała sposobu stwierdzić, które doniesienia należy brać poważnie, a które nie. Jak zauważył „New York Times”: „Wielu mężczyzn o potulnym wyglądzie znajduje się obecnie pod obserwacją, a liczba osób śledzonych przez detektywów amatorów, którzy pragną zdobyć wyznaczoną przez policję nagrodę w wysokości 1250 dolarów, jest doprawdy nieskończona”.

A potem przyszła wiadomość z francuskiego miasta Bourges.

Wieczorem w środę 12 lipca śliczna młoda kobieta zameldowała się w hotelu France. Miała na sobie elegancką suknię i zachowywała się wykwintnie. Liczyła sobie mniej więcej 25 lat i była drobnej budowy brunetką. Robiła „dobre wrażenie”. Nazwisko, które podała, brzmiało Jeanne Maze. Twierdziła, że jest Francuzką, choć nikt w hotelu w to nie uwierzył.

Otrzymawszy klucz, udała się prosto do pokoju.

Godzinę później personel hotelu usłyszał trzy wystrzały z pistoletu. Zaczęto szukać źródła i w końcu dotarto do drzwi pokoju wynajętego przez młodą kobietę. Okazały się zamknięte. Z pomocą zapasowego klucza pracownicy weszli do środka. Kobieta leżała w poprzek łóżka. Obok, na stoliku, leżał list.

„Proszę nie badać, kim jestem. Powód mojego samobójstwa jest znany tylko mnie. Proszę, by pozwolono mi spocząć w spokoju w grobie.

Jestem cudzoziemką. Zostawiam 100 franków na pokrycie wydatków związanych z moim pogrzebem.

Życie przynajmniej mnie nie wydawało się szczęśliwe”.

Miejscowa policja przeprowadziła śledztwo, ale nie dowiedziała się niczego na temat tożsamości kobiety i zamknęła sprawę. Najprawdopodobniej była ofiarą jakiegoś nieszczęśliwego romansu. Dopiero po otrzymaniu okólnika Dewa zaczęto podejrzewać, że kobieta mogła być — musiała być — zbiegłą maszynistką, Ethel Le Neve.

Podobieństwo uznano za niesamowite.

Wiadomość z morza

Na pokładzie „Montrose’a” kapitan Kendall prowadził własne śledztwo. Chciał potwierdzić teorię na temat prawdziwej tożsamości Robinsonów, a czynił to subtelnie i z wielkim entuzjazmem. Przeczytał starannie opisy przekazane przez Scotland Yard, kiedy statek cumował w Londynie, i obejrzał fotografie Le Neve oraz Crippena opublikowane w kontynentalnym wydaniu „Daily Mail”. Człowiek na fotografii miał wąsy i okulary — Robinson nie. Za pomocą kredy Kendall wymazał ze zdjęcia wąsy i oprawki okularów i uznał, że podobieństwo jest ogromne. Kiedy rozmawiał z Robinsonami na pokładzie, zauważył, że ojciec ma po obu stronach nosa odcisnięte ślady od nosków okularów. Zauważył również, że figura syna jest zdecydowanie kobieca. Raz poryw wiatru uniósł marynarkę chłopca, a wówczas widać było, że siedzenie spodni ma spięte wzdłuż szwu dużymi agrafkami.

Kendall zaprosił Robinsonów do swojego stolika i stwierdził, że manieri chłopca „są bardzo kobiece”. Skubał owoce z talerza w niezwykle delikatny sposób, dwoma palcami zamiast całą ręką, jak to zwykli czynić mężczyźni. Ojciec łupał mu orzechy, oddawał połowę swojej sałatki i okazywał mu taką troskę, jaką zwykle mężczyźni rezerwują dla kobiet.

Podczas obiadu kapitan opowiadał historie, które winny wywołać u Robinsona głośny śmiech. Chciał w ten sposób sprawdzić, czy rzeczywiście ma sztuczne zęby, jak to wyszczególniono w opisie. „Podstęp się udał” — napisał potem.

Następnego ranka, w czwartek, drugiego dnia podróży, wciągnął Robinsona w rozmowę o chorobie morskiej. Zauważył, że ani on, ani jego syn nie okazują żadnych jej objawów. Chciał sprawdzić, czy jego pasażer posiada jakąś wiedzę medyczną i

rzeczywiście, prawie natychmiast Robinson zaczął używać terminów fachowych, opisując różne lekarstwa. „Stałem się wówczas całkowicie przekonany, że jest to człowiek medycyny” — napisał Kendall.

Dochodziły inne obciążające dowody. Kapitan usłyszał, jak Robinson rozmawia po francusku z parą innych pasażerów, a według okólnika policji doktor Crippen znał francuski. Po południu znalazł się za Robinsonami, kiedy spacerowali po pokładzie. Zawołał głośno: „Panie Robinson!”, ale nie zwrócili na niego uwagi. Spróbował jeszcze raz i znów Robinson nie zareagował, póki syn nie trącił go łokciem. Ojciec obrócił się wówczas z uśmiechem i przeprosił za to, że nie słyszał. Wyjaśnił, że ziąb negatywnie wpływa na jego słuch. (Crippen rzeczywiście miał wówczas kłopoty ze słuchem. Wiadomo, że czasami używał nawet aparatu w kształcie małego lejka z mosiądzu. Spoczywa on obecnie w gablocie w Museum of London).

Wczesnym rankiem trzeciego dnia, 22 lipca w piątek, „Montrose” wypłynął z kanału La Manche i minął ogromną stację Marconiego w Poldhu. Kendall wiedział, że jeśli ma zamiar powiadomić policję, musi to zrobić wieczorem, albo wyjdzie poza zasięg nadajnika.

Napisał depezę do swych zwierzchników w biurach Canadian Pacific w Liverpoolu i posłał ją do nadania operatorowi Marconiego, Llewellynowi Jonesowi. O trzeciej po południu czasu Greenwich, kiedy statek znajdował się około 210 kilometrów od Lizard, Jones zaczął nadawać sekwencję kropek i kresek, która miała się stać najślawniejszą depezą w historii łączności na morzu.

* * *

Mam poważne podejrzenia, że Crippen, morderca z londyńskiej piwnicy, i jego współniczka znajdują się wśród pasażerów. Wąsy zgolone, zapuszcza brodę. Współniczka przebrana za chłopca, głos, maniery i budowa bez wątpienia dziewczyny. Podróżują jako pan Robinson z synem. Kendall.

* * *

Kendall nie dostał odpowiedzi i nie miał pojęcia, czy jego depesza dotarła do Liverpoolu. Nadal uważnie obserwował Robinsonów.

„Pan Dewhurst”

Depesza Kendalla przemknęła przez eter z prędkością światła. Jej fale zderzyły się z olbrzymią anteną odbiorczą w Poldhu — oraz wszystkimi innymi antenami odbiorczymi w zasięgu — i została odebrana przez nowy magnetyczny detektor Marconiego, urządzenie, które operatorzy przezywali „maggie”. Detektor aktywował drugi obwód — podłączony do rejestratora Morse’a — z którego natychmiast zaczęła się wysuwać taśma z błękitnymi kropkami i kreskami. Operatorzy przekazali depeszę linią lądową do biur Canadian Pacific w Liverpoolu. Tamtejsi urzędnicy zawiadomili miejscową policję, a ta z kolei przesłała treść marconigramu Kendalla do Scotland Yardu. Posłaniec przyniósł ją do biura wydziału zabójstw CID.

„Była ósma wieczorem” — wspominał Dew. — „Wyczerpany pracą rozmawiałem ze współpracownikiem w biurze w Yardzie, kiedy podano mi telegram”.

Gdy go przeczytał, jego zmęczenie „natychmiast znikło”.

Z całego świata napływało tysiące doniesień. W tej właśnie chwili detektywi w Hiszpanii i Szwajcarii badali dwie na pozór wiarygodne informacje. Wcześniej wiele innych, równie obiecujących tropów rozplynęło się jak dym. Jednak ta nowa wiadomość miała na swe poparcie autorytet, jakiego innym brakowało. Pochodziła od kapitana statku znajdującego się na morzu, w dodatku należącego do dużej i poważanej firmy. Przeszła przez ręce pracowników tej firmy, a ci zapewne nie przekazaliby jej policji, gdyby mieli wątpliwości co do wiarygodności kapitana. Szczególnie jedno zdanie depeszy budziło zaufanie: „Wspólniczka przebrana za chłopca, głos, maniery i budowa bez wątpienia dziewczyny”.

Dew przeczytał telegram jeszcze raz. Sprawdził rozkład rejsów i wykonał kilka telefonów, ostatni do domu sir Melville'a Macnaghtena, szefa Wydziału Dochodzeń Kryminalnych. Macnaghten przebierał się właśnie do kolacji.

— Niech mi pan ją przeczyta — nakazał. Kiedy Dew skończył, milczał przez chwilę, po czym stwierdził: — Lepiej niech pan do mnie przyjdzie, porozmawiamy.

Dew pobiegł na dół, a potem na Victoria Embankment, gdzie złapał dorożkę, i pojechał do domu Macnaghtena. Poleciał dorożkarzowi poczekać. Pokazał wiadomość Kendalla zwierzchnikowi, który był już ubrany w oficjalny strój. Według Dewa Macnaghten przeczytał depezę, unosząc brwi.

Następnie spojrział na nadinspektora.

— Co pan sądzi?

— Jestem pewien, że to oni.

— Ja również. Co pan sugeruje?

— Chcę się udać za nimi szybkim parowcem — oświadczył Dew. Wyjaśnił, że liniowiec „Laurentic”, należący do White Star, wypływa nazajutrz z Liverpoolu do Quebecu. — Prawdopodobnie prześcignie „Montrose'a” i dotrze do Kanady jako pierwszy. — Zaproponował, że zarezerwuje sobie miejsce i aresztuje Crippena, nim zejdzie on na ląd w Quebecu.

Śmiały pomysł wywołał uśmiech na twarzy Macnaghtena. Przez kilka chwil rozważał jego konsekwencje. „To był poważny krok wysłać nadinspektora w pogoń” — napisał później. Dew prowadził śledztwo i był jedyną osobą w Scotland Yardzie, która pojmowała wszystkie aspekty sprawy i znała wszystkie sprawdzone dotąd ślady. Co więcej, wydział zabójstw pracował obecnie nad jeszcze dwoma morderstwami, w Slough i w Battersea. Macnaghten martwił się, że siedmiodniowa podróż Dewa „może się okazać szukaniem wiatru w polu”. A jeśli tak, to będzie kosztownym błędem i przyniesie wydziałowi duży wstyd.

Decyzję należało podjąć szybko. Macnaghten podszedł do biurka i napisał coś szybko.

— Oto pańskie pełnomocnictwo, Dew — powiedział. — I życzę panu całego szczęścia świata.

Podali sobie ręce.

„Ta noc miała być pełna niepokoju, ale kości zostały rzucone, Rubikon przekroczony” — wspominał Macnaghten. — „Jeśli podstęp się uda, to dobrze, ale jeśli nie, wówczas śledztwo zostanie zrujnowane. Nie chciałbym mieć wtedy z nim do czynienia”.

* * *

Dew wrócił do czekającej dorożki i pojechał z powrotem do Scotland Yardu. Wysłał telegram do policji w Liverpoolu, prosząc, by wykupili mu bilet na „Laurentic”, pod fałszywym nazwiskiem. Następnie poszedł do domu, spakować się i przespać. Ukrył prawdziwy cel swojej misji nawet przed żoną, powiedział jej tylko, że został wezwany za granicę „w niezwykle pilnej sprawie”. Następnego dnia udał się dorożką na stację Euston i złapał pociąg o 13.40 do Liverpoolu. Był to pociąg „specjalny”, podstawiony dla pasażerów zamierzających wyruszyć w rejs na pokładzie „Laurentic’a”. Oficer z liverpoolskiej policji zarezerwował mu miejsce na statku pod nazwiskiem Dewhurst. Tylko kapitan i operator bezprzewodowego telegrafu znali jego prawdziwą tożsamość. Aby pogłębić tajemnicę swej misji, Dew nadał jej kryptonim „Kajdanki”. Na stacji w Liverpoolu miał na niego czekać inspektor z czerwoną różą przypiętą do płaszcza.

„Laurentic” wypłynął zgodnie z rozkładem o 18.30. Dew wiedział, że wyścig będzie zażarty. „Montrose’a” potrzebował jedenastu dni na przybycie do Quebecu, „Laurentic” jedynie siedmiu, ale statek Kendalla był już w drodze od trzech dni. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, a właściwie idealnie, liniowiec prześcignie „Montrose” o jeden dzień. Jednak biorąc pod uwagę przeszkody, które mogą się pojawić podczas dalekich rejsów — mgłę, sztormy, awarie — jeden dzień nie stanowił wielkiego marginesu bezpieczeństwa.

Dew spędził wiele godzin w kabinie telegrafu „Laurentic’a”, obserwując, jak operator Marconiego śle do Kendalla wiadomość za wiadomością. Nie otrzymali potwierdzenia odbioru. „To była beznadziejna sprawa” — napisał.

— „Nie nadszedł ani jeden sygnał odpowiedzi”.

* * *

Macnaghten przybył do Scotland Yardu w sobotę wczesnie rano. „Przybrałem nonszalancką postawę, choć wcale się tak nie czułem” — wspominał. Spotkał się z komisarzem Froestem, bezpośrednim przełożonym Dewa i poprosił go o nieformalne zatwierdzenie nocnej decyzji, by wysłać nadinspektora za ocean, w pogoni za podejrzanym. Froest uznał tę eskapadę za wariactwo, podobnie jak inni inspektorzy z wydziału zabójstw. Wszyscy o tym dyskutowali, napisał Macnaghten, „i doszli do wniosku, że wszystko przeczy nadmiernie optymistycznemu pogładowi, jaki przyjąłem co do prawdziwości wieści przekazanych marconigramem”.

Niepokój Macnaghtena zwiększył się jeszcze, kiedy przyszedł telegram z Antwerpii, opisujący ojca i syna, którzy zarezerwowali miejsca na pokładzie „Montrose’a”. „W żadnym razie opisy nie odpowiadały wyglądowi doktora Crippena i panny Le Neve” — napisał.

Detektywi badali nowe poszlaki. Policja nowojorska wchodziła na pokład kolejnych statków. Francuski strażnik kolejowy przysięgał, że widział parę uciekinierów w pociągu. W Anglii pewien mężczyzna był pewien, że jechał w jednym przedziale kolejowym z Crippenem.

Detektyw Guy Workman ze Scotland Yardu udał się do Hotel des Ardennes w Brukseli i sfotografował wpis do księgi hotelowej dotyczący dwóch podróżnych, podających się za ojca i syna. Właściciele wyznali mu, że nie dali się oszukać chłopięcym strojem i wymyślili sobie romantyczne wyjaśnienie, dlaczego starszy mężczyzna podróżuje ze śliczną młodą kobietą w przebraniu. Żona właściciela przezwiała dziewczynę „Tytanią”, a mężczyznę „Starym

Quebekiem”, ponieważ często wspominał o tym mieście. Dla niej było jasne, że dziewczyna zakochała się w swoim nauczycielu i oboje uciekli.

Co za namiętność. Co za przygoda. Nie można było źle życzyć tej parze.

* * *

„Laurentic” zbliżał się do „Montrose’a” w tempie około czterech mil morskich na godzinę.

Pomimo rozczarowania, jakim była niemożność połączenia się z Kendallem, Dew zaczął się cieszyć podróżą. Kiedy chciał się odprężyć, mógł spacerować po pokładzie. Kapitan traktował go z wielkim szacunkiem, a statek był piękny i wygodny.

Wierzył, że jego tożsamość i cel jego misji pozostają zupełną tajemnicą.

Przechwycony sygnał

Przez dwadzieścia cztery godziny Kendall nie usłyszał niczego, co wskazywałoby, że Scotland Yard otrzymał jego wiadomość. I on, i jego oficerowie nadal obserwowali Robinsonów. Kapitan coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że tych dwoje to para zbiegów, Crippen i Le Neve — choć trudno było sobie wyobrazić, żeby Crippen był w stanie zrobić to, o co oskarżała go policja. Taki uprzejmy i łagodny człowiek, zawsze okazujący tyle troski potrzebom swego towarzysza.

Kendall dokładał starań, by zbiegowie byli odprężeni i zadowoleni i aby nie domyślili się, że ich prawdziwa tożsamość została odkryta.

* * *

Crippenowi i Ethel słodko mijały godziny. To było niebo w porównaniu z życiem, jakie wiedli przed zniknięciem Belle Elmor. Nikt się na nich nie gapił, nie było ukradkowych spotkań w wynajętych pokojach. Czuli się wolni i wreszcie mogli się kochać.

„Doktor był spokojny jak zawsze i spędzał tyle samo czasu na czytaniu co ja” — pisała Ethel. — „Bardzo zaprzyjaźnił się z kapitanem Kendallem, a podczas posiłków przy stole opowiadano wiele zabawnych historii, które wprawiały nas w dobry humor. Wszyscy oficerowie byli dla nas bardzo uprzejmi i często mnie pytali, jak sobie radzę”.

Wyobrażała sobie list, który napisze do swej siostry Niny, kiedy już się urządzi w Ameryce. „Och! Co to będzie za list! Zbierałam do niego wszystkie moje małe przygody w Rotterdamie i Brukseli. Jakże się będzie śmiała z mojej eskapady w przebraniu chłopca! Jak się będzie dziwić mojej zuchwałości!”

* * *

W niedzielę w nocy, 24 lipca, Jones, operator Marconiego na pokładzie „Montrose’a”, odebrał wiadomość z londyńskiej gazety skierowaną do kogoś na pokładzie innego statku, „Laurentic’a” należącego do White Star. Treść była na tyle intrygująca, że przekazał ją kapitanowi Kendallowi.

Brzmiała: „Co robi inspektor Dew? Czy pasażerowie emocjonują się pogonią? Odpowiedz natychmiast”.

Dopiero wówczas Kendall zrozumiał, że jego własna depesza dotarła na miejsce i — co dużo bardziej zaskakujące — że Scotland Yard wysłał pogoń za jego statkiem.

Zrozumiał również, że obecnie o tej historii wiedzą już wszyscy.

Klatka ze szkła

Pasażerowie „Laurentic’a” znali nadinspektora Dewa jedynie jako pana Dewhursta, a na „Montrosie” Crippen i Le Neve pozostali Robinsonami, natomiast ich prawdziwą tożsamość znały miliony czytelników na całym świecie. W niedzielę Scotland Yard wydał krótkie oświadczenie:

„Sądzymy, że »doktor« Crippen i panna Le Neve przebywają obecnie na pokładzie statku zmierzającego do Kanady. Nadinspektor Dew wyruszył z Liverpoolu do Kanady i ma nadzieję dogonić uciekinierów i aresztować ich zaraz po przybyciu”.

Poznanie nazw statków oraz treści depeszy Kendalla kosztowało dziennikarzy niewiele wysiłku. Wiadomość została przejęta przez operatorów Marconiego na innych statkach i przekazana dalej. Plotka krążyła od pasażera do pasażera, a niektóre statki opublikowały ją zapewne nawet w swoich gazetkach pokładowych. Rezydujący w Londynie zagraniczni korespondenci przekazali ją konwencjonalnym telegrafem do swoich wydawców w Nowym Jorku, Berlinie, Sztokholmie i New Delhi. Już wkrótce na pierwszych stronach gazet na całym świecie pojawiły się mapy Atlantyku pokazujące przypuszczalne pozycje „Montrose’a” i „Laurentica”.

Historia pochłonięła wydawców „Daily Mail”, którzy wyznaczyli nagrodę w wysokości 100 funtów — około 10 000 dolarów według dzisiejszej wartości pieniądza — za informacje na temat Crippena i Le Neve. We wtorek gazeta donosiła: „Dziś w południe »Laurentic« znajdzie się tylko 253 węzły (460 kilometrów) za »Montrose’em«”. Wyrażono przypuszczenie, że Dew spróbuje przechwycić statek w Father Point na Rzece Świętego. Wawrzyńca, tam gdzie na pokład liniowców wchodzi piloti wprowadzający statki do portu w Quebecu. Jeden z artykułów

spekulował na temat tego, czy Crippen zorientuje się, że został odkryty — „czy zrozumie, że wyładowania i trzaski w kabinie telegrafu oznaczają, iż wiadomość o nim pędzi we wszystkich kierunkach przez setki mil oceanu? Nikt na pokładzie nie wie, co się dzieje, a ci, którzy wiedzą, zapewne będą udawać, że nie mają pojęcia, iż powietrze aż drży od bezprzewodowych wiadomości wymienianych przez statki na morzu. Tej podróży na pewno nie zapomni nikt z pasażerów”.

O jednym przekonani byli wydawcy na całym świecie: telegraf bez drutu sprawił, że morze stało się mniej bezpieczne dla uciekających przestępców. „W dzisiejszych czasach nad oceanem rozlegają się tajemnicze szepty” — pisał dziennikarz w „Daily Mirror”. — „Ku zaskoczonym przestępcom wyciągają się niewidzialne ręce, gotowe ich pochwycić”. Francuska gazeta „Liberté” napisała, że dzięki telegrafowi bez drutu „przestępca, przepływając z jednej strony Atlantyku na drugą, żyje w klatce ze szkła, bardziej widoczny, niż gdyby pozostał na lądzie”.

Czytelników najbardziej zachwycił fakt, że Crippen i Le Neve nic nie wiedzieli o pościgu Dewa. Obserwowanie z daleka tej pogoni to była rzecz bez precedensu, nieomal cud. J.B. Priestley napisał: „Ludzie niepozbawieni w tych kwestiach instynktu wiedzą, że otrzymali miejsca na galerii długiej na 800 kilometrów, skąd mogą być widzami nowego, podniecającego i zupełnie oryginalnego przedstawienia zatytułowanego *Uwięzieni przez telegraf bez drutu!* Oto Crippen i jego kochanka z uśmiechem siadają za kapitańskim stołem, trzymają się na pokładzie za ręce i pozostają zupełnie nieświadomi faktu, że inspektor Dew [...] jest już w drodze, by ich aresztować. Kiedy oni przeglądają menu, kilka milionów czytelników czyta w gazetach ich nazwiska wydrukowane tłustym drukiem”.

Crippen popełnił poważny błąd, napisał Priestley. „Zapomniał, a może w ogóle nie wiedział, co Marconi uczynił światu, który teraz gwałtownie się kurczy. Na naszych oczach za dwoma ściganymi stworzeniami, powiedzmy lisem i zajęcem, podążają miliony ujadających i śliniących się ogarów”.

Tymczasem w Londynie policja i eksperci medycyny sądowej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nadal głowili się nad tym, w jaki sposób zginęła ofiara znaleziona w piwnicy pod numerem 39 na Hilldrop Crescent. Owszem, ciało zostało rozcłódkowane, ale stan szczątków nie mówił nic o przyczynie śmierci. Ofiara równie dobrze mogła zginąć w wypadku albo umrzeć w wyniku choroby, po czym zostać poćwiartowana.

W szpitalu St. Mary's w Londynie William Henry Willcox, sławny chemik sądowy i starszy analityk naukowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych odebrał pięć słoików dostarczonych przez kostnicę Islington i rozpoczął szczegółowe badanie ich zawartości. Był specjalistą od trucizn i tak często występował w sądzie, że dziennikarze nadali mu nawet przydomek „Król Trucicieli”. Teraz rozpoczął badania, mające wykazać, czy przyczyną śmierci mogła być trująca substancja. Był to proces pracochłonny, który miał zająć mu zapewne dwa lub trzy tygodnie.

Poprosił policyjnego chirurga, doktora Marshalla, by wrócił do kostnicy i poszukał wśród szczątków pewnych organów. Specjalnie zależało mu na drugiej nerce, resztkach wątroby i jelit. Zadanie było makabryczne i wymagało wielkiej odporności. „Szczątki bardzo się zmieniły” — stwierdził doktor Marshall. Udało mu się odszukać fragment wątroby ważący niemal pół kilograma oraz część jelita cienkiego, ważącą 400 gramów, ale nie zdołał znaleźć drugiej nerki. Umieścił swoje znaleziska w szóstym słoju i dołożył do niego jeszcze jeden element, kolejny wałek do włosów z przyczepionym do niego kosmykiem. Przesłał słoik Willcoxowi.

Trucizna była tylko jedną z możliwości. Crippen posiadał rewolwer, więc może po prostu zastrzelił żonę. Albo zatłukł ją, a głowę odciął, by usunąć ślady. Albo zadźgał ją nożem, a potem po prostu nie przestał ciąć.

Komisarz Froest polecił sierżantowi C. Crutchettowi wrócić na Hilldrop Crescent i przepytac mieszkańców sąsiednich domów, czy nie zauważyli albo nie usłyszeli czegoś podejrzanego. Crutchett

zaczął badania w środę 27 lipca. Od razu dowiedział się rzeczy, które zasługiwały na bliższe zbadanie.

Pod numerem 46 na Brecknock Road, w domu, który sąsiadował z ogrodem Crippena, Crutchett przesłuchał niejaką panią Lenę Lyons. Powiedziała mu, że pewnej nocy, pod koniec stycznia albo na początku lutego, kiedy leżała jeszcze w łóżku, ale nie spała, usłyszała „w oddali” huk strzału. Było jeszcze ciemno, choć twierdziła, że rzecz się wydarzyła koło siódmej rano. Chwilę później jej lokatorka, starsza kobieta o dziwnym nazwisku May Pole, wpadła do jej sypialni i zapytała: „Czy słyszała pani strzał, pani Lyons?”. Pani Pole zajmowała pokój na górze, od tyłu, z którego miała dobry widok na ogród Crippenów. Była przerażona. Usiadła w nogach łóżka pani Lyons, a chwilę później rozległ się kolejny strzał. Siedziała tak w nogach łóżka, aż zrobiło się zupełnie widno.

Inna sąsiadka, Franciszka Hachenberger, powiedziała Crutchettowi, że pewnej nocy, pod koniec stycznia albo może na początku lutego, mniej więcej o wpół do drugiej, usłyszała krzyk. Mieszkała z ojcem, muzykiem, w domu na ulicy odchodzącej od Hildrop Crescent, a przez jej okno widać było dokładnie ogród Crippenów. „Usłyszałam przeciągły krzyk, który urwał się nagle” — powiedziała Crutchettowi. Nie, nie słyszała wystrzału, ale od razu zaczęła podejrzewać zbrodnię. „Jak tylko usłyszałam ten krzyk, pomyślałam o morderstwie” — zapewniła. — „Wystraszył mnie bardzo”. Przez cały następny tydzień sprawdzała w gazetach i na plakatach, czy nie ma doniesień o popełnionym w okolicy morderstwie, ale niczego nie znalazła.

Najbardziej szczegółowa opowieść pochodziła od mężczyzny, który mieszkał pod numerem 54 na Brecknock i którego ogród oddalony był jedynie o kilka metrów od tyłów domu Crippenów. Frederick Evans, metalowiec i bywalec dwóch prywatnych klubów, pewnego wieczoru poszedł z przyjaciółmi do pubu The Orange Tree i wrócił do domu około 1.18 w nocy. Wiedział, która jest godzina, ponieważ co wieczór, mijając róg Brecknock Road, miał zwyczaj zatrzymać się przed sklepem jubilera i regulować swój

zegarek. „Byłem już w domu od kilku minut i zdejmowałem właśnie buty, kiedy usłyszałem okropny wrzask, który skończył się długim, przeciągłym wyciem” — powiedział. O ile mógł się zorientować, ten kto krzyczał, był na dworze albo w pokoju z otwartymi oknami. „Zaskoczyło mnie to i od razu mi się przypomniały zbrodnie Rozpruwacza. Znam sąsiedztwo i wiem, że Parmetes Row koło Hilldrop Crescent często odwiedzają prostytutki, pomyślałem więc, że któraś z tych nieszczęśnic ma kłopoty”.

Włożył na powrót buty, sprawdził, co z żoną, i wyszedł na zewnątrz. Szybko przeszedł przez sąsiednie ulice, Brecknock, Hilldrop Crescent oraz Camden Road, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Podobnie jak panna Hachenberger przez jakiś czas sprawdzał w gazetach, czy w pobliżu nie odkryto zbrodni.

Powiedział również Crutchettowi, że kilka dni później, kiedy był w ogrodzie, poczuł, jak to określił, „ostry zapach spalenizny”. Początkowo sądził, że to zapach palonych liści, ale był przecież środek zimy. Doszedł do wniosku, że „może ktoś odnawiał dom i palił stare tapety”. Zapach pojawiał się przez kilka kolejnych poranków. Pewnego razu wyjrzał za mur i zobaczył dym unoszący się z ogrodu Crippena. Nigdy wcześniej Crippenowie nie palili śmieci. Zeznał również, że inny sąsiad widział, jak Crippen niesie w białym emaliowanym wiadrze „palącą się substancję”. Opróżnił wiadro do śmietnika i zamieszał.

Powiedział, że brakuje mu Belle. Razem z żoną lubili słuchać, jak śpiewa, pracując w ogrodzie.

Crutchett dotarł do śmieciarza zatrudnionego przez Radę Islington Borough, a zabierającego śmieci z Hilldrop Crescent. Co środę przez dziewięć lat William Curtis podjeżdżał pod numer 39 na Hilldrop Crescent i zabierał odpadki. Zeznał, że w lutym 1910 roku on i jeszcze jeden śmieciarz, James Jackson, oprócz zwykłej zawartości pojemnika zabrali z ogrodu Crippenów cztery i pół kosza na wpół spalonych rzeczy. „Były tam rozmaitości, papier, ubrania, damskie halki, stare spódnice, bluzki” — zeznał Curtis.

Dodatkowe pojemniki spalonych odpadków odbierali jeszcze przez dwie kolejne środy, ale były one zupełnie spopielone. Podczas pracy jako śmieciarz Curtis nauczył się rozróżniać rodzaje popiołu. Ten popiół, zeznał Crutchettowi, to nie był zwykły popiół z kominka. Ani popiół ze spalonego papieru. „To był bardzo lekki, biały popiół” — powiedział. I dodał: „Nie widziałem w nim resztek kości”.

Nie wiadomo było, na ile można wierzyć tym zeznaniom. Żaden ze świadków nie poinformował wcześniej policji o strzałach i krzykach, a każdy policjant wie, że takie doniesienia po fakcie należy traktować z dużą dozą sceptycyzmu, szczególnie jeśli dotyczą sławnego śledztwa. Możliwe, że podobne historie od dawna krążyły w sąsiedztwie, obrastając w szczegóły, niemniej opowieści były spójne, a zatem warte sprawdzenia.

Sierżant Crutchett kazał wszystkim świadkom podpisać swoje zeznania. Następnie przekazał je komisarzowi Froestowi.

* * *

W środę 27 lipca o północy, gdzieś na Atlantyku „Laurentic” minął „Montrose’a”. Statki nigdy nie zbliżyły się do siebie na tyle, by nawiązać kontakt wzrokowy. Ich kursy, choć równoległe, oddzielała znaczna przestrzeń oceanu. Natomiast po raz pierwszy od początku podróży weszły w zasięg aparatu Marconiego. Wreszcie Dew mógł się skontaktować się z Kendalllem bezpośrednio. „Wejść na pokład w Father Point” — brzmiała depesza Dewa. — „Proszę nie podawać pasażerom żadnych informacji, sprawa ściśle tajna”.

„A jak pan sądzi, co ja tu, do licha, robię?” — brzmiała odpowiedź Kendalla.

* * *

Dziennikarze z całej Ameryki Północnej ruszyli do Quebecu, a stamtąd do Father Point i Rimouski nad Rzeką Świętego. Wawrzyńca. Prowincjonalne miasteczka, które nigdy dotąd nie widziały dziennikarza, teraz miały ich u siebie dziesiątki.

Przybysze dźwigali walizeczki, notesy stenograficzne i aparaty do robienia zdjęć.

W Scotland Yardzie natomiast nadal utrzymywał się sceptycyzm co do tego, czy Crippen i Le Neve faktycznie przebywają na pokładzie „Montrose’a”. Do wydziału zabójstw wciąż napływały rozmaite raporty, w tym taki, wedle którego Crippen i Le Neve zbiegli do Andory, małego państewka położonego pomiędzy Francją a Hiszpanią.

„Jeśli o mnie chodzi, zachowuję w tej sprawie całkowitą jasność umysłu” — oświadczył komisarz Froest dziennikarzowi. — „Mamy do czynienia z taką ilością domków z kart, które rozsypują się w chwili, gdy układa się ostatnią kartę, że badamy każdą docierającą do nas wskazówkę, tak jakby sprawa z »Montrose’em« nigdy nie miała miejsca”.

Wibrujący eter

Kapitan Kendall znajdował się w samym centrum afery. Oto Crippen i Le Neve przebywali na pokładzie jego własnego statku, całkowicie nieświadomi depesz mknących przez eter dokoła nich. Na „Montrosie” dotarło co najmniej pięćdziesiąt marconigramów od wydawców gazet i dziennikarzy przekazywanych ze statku na statek. „Daily Mail” prosił „o przekazanie na zasadach handlowych szczegółowego opisu aresztowania Crippena i Le Neve”. „New York World” próbował dotrzeć do samego Crippena. „Wydrukujemy wszystko, co pan nam powie” — obiecywał. Kendall zatrzymał tę depeszę.

Podobało mu się, że znalazł się w centrum uwagi. Nagle jego skromny statek stał się najślawniejszą jednostką pływającą na świecie. To naprawdę była „okazja zbyt dobra, by ją przepuścić”. Świadom, że ma widownię liczącą miliony ludzi na całym świecie, przygotował dla „Daily Mail” relację o tym, jak Crippen i Le Neve spędzają czas podróży. Kiedy „Montrose” znajdował się 160 kilometrów od Belle Isle, wyspy leżącej u północnego krańca Nowej Fundlandii, u wejścia do Zatoki Świętego. Wawrzyńca, Kendall polecił operatorowi Marconiego przesłać jego historię korespondentowi gazety w Montrealu.

Zdawał sobie jednak sprawę, że jego relacja rozejdzie się dużo szerzej. Że zredukowana do niewidzialnego konfetti alfabetu Morse’a przeskakiwać będzie ze statku na statek, od stacji do stacji, aż wreszcie przepadnie gdzieś w atmosferze, dostępna dla wszystkich wydawców, wszędzie.

* * *

Kiedy „Montrose” wpłynął do Zatoki Świętego. Wawrzyńca, podniecenie Ethel wzrosło. Nie mogła się doczekać zejścia na ląd i

„odkrycia” Ameryki. Natomiast Crippen zrobił się niespokojny. Przyszedł do ich kabiny, z „bardzo poważną” miną i dał jej 15 funtów w banknotach.

— Moja droga — rzekł. — Lepiej, żebyś je zatrzymała.

— Dlaczego? — zapytała. — Nie mam gdzie ich schować, chyba że do kieszeni. Trzymaj je lepiej ty, aż dotrzemy do Quebecu.

Zawahał się.

— Być może będę musiał cię opuścić.

— Opuścić mnie! — Jego słowa ją „zaskoczyły”, jak napisała. „To było nieprawdopodobne, przebyłam taki szmat drogi, żeby zostać w końcu sama”.

— Kiedy znajdziesz się w Quebecu — powiedział Crippen — najlepiej od razu jedź do Toronto. To miłe miasto, znam je dość dobrze. Nie zapomniałaś, jak się pisze na maszynie, prawda? I masz nakładki na palce?

Uspokoila się. Doszła do wniosku, że źle zrozumiała jego słowa. Crippen nie zamierzał jej porzucić, tylko chciał najpierw samodzielnie poszukać okazji w Ameryce, a potem po nią posłać, „żebyśmy osiedlili się gdzieś w spokoju, w jakiś odludnym miejscu”.

— A co z tym ubraniem? — zapytała.

Crippen się uśmiechnął.

— Masz już dość bycia chłopcem?

Wymyślili cały plan. Jak tylko zejda ze statku, zameldują się w hotelu, a Crippen poszuka sklepu z ubraniami i kupi jej wszystkie potrzebne rzeczy. Ta perspektywa odbudowała jej optymizm. Napisała: „Z radością oczekiwałam pełnego przygód życia w Kanadzie”.

Crippen wyszedł z powrotem na pokład. Ethel wróciła do książki. Pokład jej teraz nie pociągał. Było zbyt zimno i nie mogła znieść ciągłej mgły.

W piątek 29 lipca londyński „Daily Mail” opublikował relację Kendalla nadaną przez telegraf z pokładu „Montrose’a”, a przyjętą przez stację na Belle Isle i przekazaną do Londynu za pomocą podwodnego kabla. Zapewne znacznie ją wygładził przed publikacją.

Kendall rozpoczął od opisu swojego śledztwa, począwszy od chwili, gdy ujrzał, jak panowie Robinson trzymają się za ręce: „Le Neve ścisnęła nieskromnie rękę Crippena” — napisał. — „Wydało mi się to nienaturalne u dwóch mężczyzn, więc od razu powziąłem podejrzenia”.

Jego zdaniem Le Neve posiadała „maniery i wygląd bardzo wykwiśniętej i skromnej kobiety. Nie mówi wiele, ale zawsze uśmiecha się miło. Wydaje się zupełnie podporządkowana Crippenowi, a on nie zostawia jej ani na chwilę samej. Ubranie niezbyt dobrze na niej leży” — tu kobiety na całym świecie na pewno poczuły ogromne współczucie — „spodnie ma bardzo obcisłe na udach i biodrach. Są pęknięte z tyłu i zebrane dużymi agrafkami”.

Crippen zapuszczał brodę, ale nadal golił górną wargę, nie dopuszczając do odrośnięcia wąsów. Na nosie miał ślady po okularach. „Siedzi na pokładzie i czyta, albo udaje, że czyta, a oboje wydają się zadowoleni z posiłków”. Crippen najwyraźniej zna Toronto, Detroit i Kalifornię „i mówi, że kiedy statek przybije do portu, uda się do Detroit statkiem, jeśli to będzie możliwe, gdyż tak woli”.

Kendall wymienił książki, które czytał Crippen. Ostatnio był to dreszczowiec pod tytułem *The Four Just Men* autorstwa Edgara Wallace’a. W tej powieści anarchiści zabijają premiera Brytanii pomimo wysiłków Scotland Yardu.

„Czasami oboje siedzą i wydają się bardzo zamyśleni” — pisał Kendall. — „Le Neve nie okazuje żadnego niepokoju i zapewne nie jest świadoma popełnionej zbrodni. Sprawia wrażenie dziewczyny o bardzo słabej woli. Idzie tam, gdzie on jej każe”.

Pewnego wieczoru, w połowie podróży, na pokładzie odbył się koncert, który spodobał się Crippenowi i Le Neve. Następnego

ranka Crippen powiedział Kendallowi, że „jedna piosenka, *We All Walked Into the Shop*, przez całą noc dźwięczała mu w uszach i że bardzo spodobała się jego »chłopcu«. Śmiali się serdecznie, kiedy wrócili do kabiny. Podczas innej rozmowy doktor wspominał o amerykańskich napojach i powiedział, że Selfridges to jedyne miejsce w Londynie, gdzie można je kupić”.

„Jak zauważyliście, nie aresztowałem ich” — pisał Kendall. — „Uważam, że kurs przeze mnie przyjęty jest najlepszy, ponieważ nie żywią żadnych podejrzeń, a przy tylu pasażerach pozwala to uniknąć nadmiernego podniecenia”.

* * *

Czytelnikom na całym świecie to doniesienie zdało się czarami. Oto wiedzieli, jakie książki czytają uciekinierzy. Wiedzieli o ich chwilach zadumy i o tym, że spodobał im się koncert. Niemal widzieli, jak Crippen śmieje się z żartów kapitana i jak Le Neve po kobiecemu skubie owoce. Londyński „Times” napisał: „To niezwykle, niemal niesamowite, że dwoje pasażerów przemierza Atlantyk, sądząc, że ich tożsamość i poczynania pozostają nieznane, gdy tymczasem wieść o nich dotarła nawet do najdalszych zakątków cywilizowanego świata”. Od chwili wypłynięcia para „tkwiła uwięziona w falach bezprzewodowego telegrafu, zupełnie jakby znajdowała się w czterech ścianach więzienia”.

Jedna z gazet poprosiła W. W. Bradfielda, inżyniera Marconiego, aby napisał kilka słów o toczącej się sprawie. Bradfield opisał kabinę telegrafu Marconiego, która „przypomina jaskinię czarnoksiężnika”, i stwierdził, że łączność bezprzewodowa na zawsze odmieniła los przestępców. „Podejrzany uciekinier zmierzający na inny kontynent nie znajdzie już nietykalności na środku oceanu. Powietrze wokół niego wibruje od oskarżycielskich depeesz, które zdają się dochodzić znikąd. Tajemnica »bezprzewodowości«, niemożność ucieczki przed nią, pewność, że wyjdzie na spotkanie zbiega i będzie go ścigać, odtąd już zawsze

spoczywać będzie kamieniem na sercu osoby próbującej uciec przed sprawiedliwością”.

* * *

Pewnego razu Kendall zastał Crippena na pokładzie, wpatzonego w antenę telegrafu i słuchającego wyładowań dochodzących z kabiny aparatu Marconiego. Doktor odwrócił się do niego i wykrzyknął: „Co za wspaniały wynalazek!”.

Kendall mógł jedynie uśmiechnąć się i przytaknąć.

Kot z St. Mary's

W Londynie w szpitalu St. Mary's doktor Willcox przeprowadził pierwszą serię testów, mających wykluczyć pewne łatwe do wykrycia trucizny, takie jak arsenik, antymon i kwas pruski. Znalazł śladowe ilości arszeniku, ale uznał, że pochodzą ze środka odkażającego, który policja obficie choć nierozsądnie rozpyliła na ścianach wykopu w piwnicy na Hildrop Crescent, nim wydobyto szczątki. Zresztą ślady pojawiły się tylko w niektórych organach, a nie we wszystkich, co upewniło Willcoxa, że arsenik stanowi jedynie zanieczyszczenie, a nie przyczynę śmierci. Następnie zajęli się bardziej skomplikowanym i czasochłonnym procesem ustalania, czy szczątki zawierają jakieś trucizny alkaliczne, takie jak strychnina, kokaina czy atropina, wyciąg z pokrzyka wilczej jagody. Ocenili, że ta faza zajmie mu mniej więcej dwa tygodnie.

— Trzeba najpierw zważyć szczątki, w których mogą się zawierać alkaloidy — powiedział. — Następnie umieszcza się je w rektyfikowanym spirytusie winnym. Spirytus usuwa się po dwudziestu czterech godzinach, a szczątki zanurza się w kolejnej kąpieli spirytusowej. Tę znów usuwa się po dwudziestu czterech godzinach i tak dalej, póki odprowadzany płyn nie stanie się zupełnie bezbarwny: mniej więcej pięć razy. Kiedy płyn przestaje się zabarwiać, przerywamy.

Stwierdził, że w szczątkach rzeczywiście obecny jest jakiś alkaloid. Aby wyodrębnić go z roztworu spirytusu, zastosował dobrze znany proces, metodę ekstrakcji Stasa. Ważył starannie każdą porcję. Była to praca wymagająca wielkiej precyzji. Stwierdził na przykład, że próbka jelit zawierała jedną siódmą grana alkaloidu, a żołądek tylko jedną trzydziestą.

Nadszedł czas na ważny, a przecież zaskakująco łatwy test, który, jeśli się powiedzie, wykluczy całą klasę trucizn alkalicznych

i znacznie uprości śledztwo. Do tego testu potrzebował kota.

* * *

Tymczasem na pokładzie „Laurentica” nadinspektor Dew cyzelował swój plan. Jego statek znacznie wyprzedzał „Montrose’a”, jak o tym wiedział już cały świat. Przy Father Point w Zatoce Świętego. Wawrzyńca, niedaleko wioski Rimouski miał wziąć na pokład pilota, który przeprowadzi go przez Rzekę Świętego. Wawrzyńca do portu Quebec, szlakiem słynącym z nagle pojawiających się mgieł.

Dew uświadomił sobie, że będzie potrzebował zgody na opuszczenie statku przed przejściem przez kwarantannę w Quebecu i za pomocą telegrafu bez drutu dokonał koniecznych przygotowań.

Niemal natychmiast jego plan poznał każdy z pięćdziesięciu dziennikarzy zebranych w okolicach Father Point.

* * *

W laboratorium szpitala St. Mary’s doktor Willcox wykonał roztwór ekstraktu alkaloidowego i przy pomocy asystenta wpuścił kilka kropli do oka kota. Chwilę później źrenica kota rozszerzyła się, wielokrotnie przekraczając swe normalne rozmiary. Była to ważna wskazówka, gdyż oznaczała, że substancja, którą wyizolowano, ma zdolności mydriatyczne, czyli powoduje rozszerzanie źrenicy. Znano jedynie cztery trucizny posiadające taką właściwość: kokainę, atropinę i dwa związki otrzymywane z lulka czarnego, hioscynę oraz hioscyjaminę.

Zaświecił jasnym światłem prosto w oczy kota i stwierdził, że źrenica się nie kurczy. To pozwoliło mu wykluczyć kokainę, ponieważ jej działanie mydriatyczne nie jest silne i źrenica zachowuje zdolność reakcji na bardzo jasne światło.

Rozpoczął zatem następną, niezwykle ekscytującą serię testów, które powinny pozwolić mu ustalić, z którym z trzech pozostałych alkaloidów ma do czynienia.

Wypuścił kota. Jego asystenci nazwali go Crippen. Został adoptowany przez jednego ze studentów, okazał się kotką, powił kociaki i przeżył szczęśliwie kilka lat, nim dokonał żywota w zębach psa.

Szepty

W piątek 29 lipca, kiedy „Montrose” wpłynął do rozległej Zatoki Świętego. Wawrzyńca, kapitan Kendall wysłał nową depeszę, informującą, że Crippen i Le Neve nadal nie mają pojęcia, że są obserwowani.

Napisał później, że Crippen spędził mniej więcej dziesięć minut na progu kabiny Marconiego, słuchając, jak Llewellyn Jones nadaje depeszę. Zafascynowany iskrą i wyładowaniami zapytał, kto jest jej odbiorcą.

Jones okazał się sprawnym kłamcą. Z kamienną twarzą odparł, że wiadomość przeznaczona jest dla innego liniowca, „Royal George”. Kapitan pyta, czy zauważyli może góry lodowe w pobliżu Belle Isle.

Crippen podjął swój spacer.

Inspektor przybywa

„Laurentic” zatrzymał się koło Father Point około trzeciej po południu w piątek 29 lipca. Kiedy nadinspektor Dew wynurzył się z odrzwi w wielkim ciemnym kadłubie i zszedł ostrożnie do jednostki pilota, noszącej nazwę „Eureka”, stwierdził, że na jej pokładzie stoi tłum rozkrzyczanych i gestykulujących szaleńczo dziennikarzy. Ten widok go przeraził. Uznał, że jest to gorszący pokaz swobodnego amerykańskiego zachowania, jakże odmiennego od rzeczy, do których przywykł w Londynie. Wyznał jednak, że na widok reporterów poczuł również ulgę, ponieważ aż do tej chwili, pomimo zapewnień kapitana „Laurentica”, nie był do końca przekonany, że prześcignęli „Montrose’a”. Skoro dziennikarze nadal tu byli, drugi statek na pewno jeszcze się nie zjawił. Jak się okazało, wyprzedzili „Montrose’a” o półtora dnia.

Nadinspektorowi błyskano w twarz fleszami aparatów, zewsząd wykrzykiwano pytania. „Naprzykrzano mi się, bym coś powiedział, ale nie muszę chyba zapewniać, że odmówiłem”.

To nie spodobało się dziennikarzom, z których większość była Amerykanami i najwyraźniej spodziewała się większej współpracy ze strony policji. Krzyczeli i przepychali się, a kiedy Dew odmówił komentarza, mieli czelność okazać irytację. Dew napisał: „Nie mogę powstrzymać się od uwagi, że cała ta sprawa była haniebna i że powinno się unikać podobnych rzeczy. Obawiałem się, by w jakiś sposób nie przeszkodziło to mojej misji”.

Na brzegu Dewowi wyszli na spotkanie dwaj inspektorzy z policji miasta Quebec, którzy zaprowadzili go do tymczasowego schronienia w jednej z kilku „bud” — jak określił budynki Dew — w pobliżu latarni morskiej na Father Point. Zdaniem nadinspektora było to „odludne miejsce [...], gdzie stało ledwie sześć domków i stacja Marconiego”.

Podniosła się mgła, potęgując jeszcze wrażenie całkowitego odludzia, ale Dew wcale nie czuł się samotny. Ludzie z prasy zebrali się w sąsiednich domkach i podnieśli wrzawę. Krzyczeli, żartowali i śpiewali, krótko mówiąc, zachowywali się tak, jak zachowują się od zawsze reporterzy, kiedy znajdą się gdzieś razem w przededniu ważnego wydarzenia. Dew napisał: „Syrena latarni morskiej wraz z muzycznymi i wokalnymi występami moich przyjaciół dziennikarzy zupełnie uniemożliwiły mi sen”.

Następnego wieczoru, w sobotę, jeden z dziennikarzy uczynił bardzo niepokojącą aluzję. Otóż korespondenci z pewnej gazety — oczywiście amerykańskiej — planowali skonstruować tratwę i wyprawić się na Rzekę Świętego. Wawrzyńca, udając rozbitków ze statku. Chcieli zostać „uratowani” przez „Montrose’a” i w ten sposób ubiec wszystkich innych. „Nie zamierzam udawać, że wiem, czy uczyniono jakąś poważną próbę wprowadzenia w życie tego ambitnego planu, ale z tego co widziałem, nie wątpię, że amerykańscy dziennikarze byliby w stanie go przeprowadzić” — napisał Dew.

Zebrał razem wszystkich reporterów i poprosił ich o cierpliwość. Jeśli pasażerowie naprawdę okażą się Crippenem i Le Neve, poprosi kapitana Kendalla, by dał trzy sygnały syreną statku, a wówczas dziennikarze będą mogli wejść na pokład. Odkrył, że niemal wszyscy mają do tego prawo, ponieważ wykupili bilety na dwunastogodzinną podróż z Father Point do Quebecu.

Prasa nie lubi, gdy się ją powstrzymuje, ale dziennikarze wyrazili zgodę na plan Dewa.

Nadinspektor nadal miał wątpliwości, czy pasażerowie „Montrose’a” to faktycznie poszukiwana para. Spędził niespokojną noc, zastanawiając się, czy nie odbył właśnie na oczach całego świata jedenastodniowej pogoni na próżno.

* * *

W Londynie komisarz Froest z wydziału zabójstw nadal zachowywał sceptycyzm. Już wcześniej otrzymano obiecujące doniesienie, że Crippena i Le Neve widziano na pokładzie statku.

Przez jakiś czas świat był przekonany, że byli pasażerami „Sardiniana”, tego samego liniowca, którym dziesięć lat wcześniej Marconi udał się na Nową Fundlandię na swe pierwsze transatlantyckie eksperymenty. Kapitan „Sardiniana” polecił załodze przeprowadzić przeszukanie wśród pasażerów. Napięcie rosło, aż wreszcie do Scotland Yardu dotarła depesza, że nie znaleziono nikogo przypominającego Crippena i Le Neve.

A teraz Dew gonił przez cały Atlantyk kolejny statek, opierając się na podejrzeniach innego kapitana. To również mógł być fałszywy trop — ale jeśli tak, konsekwencje dla reputacji Scotland Yardu będą poważne. Rozgrywający się dramat wciągnął nawet ministra spraw wewnętrznych, Winstona Churchilla. Jego zaufany asystent zawiadomił Scotland Yard, że minister chce zostać natychmiast poinformowany o nowych faktach w sprawie.

Froest nakazał wydziałowi zabójstw pracować nad śledztwem równie intensywnie jak przed wyjazdem Dewa. Na czas nieobecności nadinspektora powierzył sprawę sierżantowi Mitchellowi. Wydział polował na Crippena, ale również starał się odtworzyć całe zajście i lepiej zrozumieć motywy działania uwikłanych w nie osób.

Dowiedziano się na przykład, że Le Neve często widywana była w dwóch pubach w Hampstead — The Stag oraz The Coach and Horses — w towarzystwie młodego człowieka, który zdaniem jednego ze świadków, był jej „ukochanym”. Sierżant William Hayman z CID wysledził tego człowieka i zidentyfikował jako Johna Williama Stonehouse’a.

W oficjalnym zeznaniu Stonehouse ujawnił, że aż do zeszłego października on również był lokatorem w domu Emily Jackson na Constantine Road i że zaprzyjaźnił się z Ethel Le Neve. Tylko się zaprzyjaźnił, jak podkreślił. Sierżant Hayman dowiedział się od niego, że kiedy Ethel wyprowadziła się z pensjonatu, wynajęła pokój w budynku przy Store Street. Pewnego dnia Stonehouse odprowadził ją do domu. Powiedział: „Odprowadziłem ją do drzwi i w rozmowie dowiedziałem się, że czuje się niezręcznie”.

Dodał: „Między nami nigdy nie było niewłaściwej zażyłości”.

Pokój na Store Street — na tej samej ulicy, przy której niegdyś mieszkali Crippen z żoną, i tak bardzo blisko Albion House! Niewiele czasu zajęło detektywowi domyślenie się, do czego tak naprawdę służył ten pokój.

Zaufany urzędnik Churchilla zadzwonił ponownie. Minister spraw wewnętrznych przebywał obecnie w domu pod numerem 33 na Eccleston Square i życzył sobie, by nowiny w sprawie Crippena zostały przesłane bezpośrednio tam.

Później urzędnik znów zadzwonił i poinformował, że Churchill jest obecnie w Heath Golf Club w Walton. Wiadomość należało przekazać tam właśnie.

Statek we mgle

W sobotni wieczór na Zatokę Świętego Wawrzyńca opadła mgła i zmusiła kapitana Kendalla do zmniejszenia prędkości „Montrose’a”. Błękitne iskry z kabiny telegrafu Marconiego rozświetlały zawieszane w powietrzu drobinki wody i sprawiały, że kabina naprawdę wyglądała jak jaskinia czarnoksiężnika. Nawet kiedy zamknięto drzwi, trzask iskiernika był wyraźnie słyszalny na pokładzie.

Mgła podczas rejsu nigdy nie jest przyjemna, ale na tak ruchliwym szlaku wodnym jak Zatoka św. Wawrzyńca staje się niebezpieczna. „Ostatnia noc była ponura i pełna niepokoju. Jej beznadzieję wzmacniał jeszcze głos naszej syreny rozbrzmiewający co kilka minut” — napisał Kendall. — „Godziny wlokły się w nieskończoność. Krążyłem po mostku. Od czasu do czasu widziałem pana Robinsona, spacerującego po pokładzie”.

Poradził Robinsonowi, by wstał wcześniej i wyszedł na pokład popatrzeć, jak na statek wchodzi pilot z Father Point. Dał do zrozumienia, że może to być interesujące doświadczenie.

O czwartej trzydzięci następnego ranka, w niedzielę, kazał zadać w gwizdek, by poinformować Father Point o przybyciu statku.

* * *

Crippen poszedł za radą Kendalla i wstał wcześniej. Wraz z Ethel zjadł śniadanie, po czym wrócili do kabiny, gdzie Ethel położyła się z książką, *Audrey's Recompense* autorstwa pani Georgie Sheldon, pod którym to pseudonimem kryła się Sarah Elizabeth Forbush Downs. Doktor namawiał Ethel, by wyszła z nim na pokład.

— Wolałabym nie — odparła. — Tam jest okropnie. Wolę zostać tutaj i skończyć książkę przed lunchem.

Jak wspominała Ethel, Crippen wyszedł „po cichu” i udał się na pokład sam. Zaczął spacerować. Pod podszewką kamizelki zaszył cztery pierścionki z brylantem, spinkę w kształcie motyla i złotą broszkę w kształcie wschodzącego słońca, wysadzaną brylantami.

Lekarz okrętowy, doktor C.H. Stewart, również wyszedł na pokład wcześniej. Wiedział o zastawionej pułapce i chciał zobaczyć wszystko na własne oczy. Około ósmej rano spotkał pana Robinsona i wdał się z nim w rozmowę. Stali razem przy relingu na bakburcie statku. Mgła opadała. Zaczął padać deszcz.

Robinson wydawał się zdenerwowany. Stewart zauważył również, że przystrzygł świeżo zapuszczoną brodę i zaciął się w górną wargę, zapewne przy goleniu. Jednakże najbardziej uderzyło go to, że Robinson wcale nie wyglądał jak na fotografiach opublikowanych w „Daily Mail”.

Z szarej mgły wynurzyła się łódź.

— Tyle ludzi na takiej małej łódce — zdziwił się Robinson. Odwrócił się do Stewarta. — Dlaczego aż tylu? — zapytał.

Stewart wzruszył ramionami.

— Jeden pilot wystarczy — odparł. — Może inni to jego przyjaciele, którzy chcą się wyprawić do Quebecu?

Robinson wyraził przypuszczenie, że są to może lekarze. Doktor Stewart odparł, że nie sądzi.

Obserwowali łódź dalej.

Kendall poszedł do swojej kabiny po rewolwer. Na wszelki wypadek włożył go do kieszeni i wrócił na mostek.

Zdradliwe wody

Tego ranka Dew i dziennikarze wstali jeszcze przed świtem. O czwartej trzydzieści, wśród zawodzenia syren przeciwmgłowych, dobiegł ich gwizdek statku. Dziennikarze rzucili się na pokład jednostki pilota, „Eureki”, a cywilni gapie wsiedli do flotyli małych łódek. Policja powstrzymywała przepychający się tłum.

Dew uświadomił sobie, że musi zmienić plan. Zamierzał podpłynąć do statku na „Eurece”, ale doszedł do wniosku, że taka liczba ludzi na jej pokładzie ujawni zasadzkę, nim jeszcze dotrą na „Montrose’a”. Nadal istniała szansa, że Robinsonowie to wcale nie Crippen i Le Neve. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli wejdzie na pokład „Montrose’a” w jakimś przebraniu i przyjrzy się podejrzanym, sam nie będąc rozpoznany. Przebranie mogło również zapobiec panice uciekinierów i powstrzymać ich od uczynienia czegoś nieoczekiwanego, na przykład wyskoczenia za burtę albo wyciągnięcia broni. Dew i Mitchell znaleźli na Hilldrop Crescent rewolwer, Crippen mógł mieć jednak drugi.

Nadinspektor poprosił pilota, żeby pożyczył mu mundur i czapkę. Następnie załatwił sobie transport na statek w towarzystwie prawdziwego pilota, ale nie na pokładzie „Eureki”, tylko dużą łodzią wiosłową. Mieli im towarzyszyć dwaj inspektorzy z Quebecu.

Wsiedli do łodzi w miejscu ukrytym przed wzrokiem dziennikarzy. Czterech marynarzy zasiadło do wiosł. Wkrótce z mgły wynurzył się statek. Jego długi czarny kadłub ledwie był widoczny przez zasłonę deszczu. Dew naciągnął na oczy daszek czapki pilota.

Z pokładu statku zrzuciono drabinkę, która opadła niemal do linii wody. Prawdziwy pilot wszedł po niej pierwszy. Dew ruszył za nim, a w jego ślady ruszyli dwaj detektywi z Quebecu. Wszyscy

udali się prosto na mostek, gdzie nadinspektor przedstawił się Kendallowi. Podali sobie ręce i wymienili pozdrowienia. W tym momencie na pokładzie poniżej zza komina wyszedł człowiek drobnej postury. Dew przyjrzał mu się uważnie.

Kendall obserwował nadinspektora. Szukał jakiegoś znaku, że rozpoznał pasażera, ale policjant milczał. Kapitan zaprowadził więc przybyłych do swojej kabiny i posłał po pana Robinsona. Kilka chwil później pasażer się zjawił, a wyglądał wesoło i beztrosko.

Kendall wstał. Dyskretnie włożył rękę do kieszeni i ujął rewolwer.

— Panowie pozwolą, że ich przedstawię — powiedział.

Dew wstał również, nadal w czapce. Pasażer uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Nadinspektor ujął jego dłoń, a drugą ręką zdjął czapkę.

— Dzień dobry, doktorze Crippen — rzekł cicho.

Jak napisał później Dew, wyraz twarzy pasażera gwałtownie się zmienił. Najpierw odbiło się na niej zaskoczenie, potem zdumienie, wreszcie zrozumienie. Głosem, który nadinspektor określił jako „spokojny i cichy”, Crippen odparł:

— Dzień dobry, panie Dew.

Kiedy szczegóły tego spotkania stały się publicznie znane, cała Brytania doszła do wniosku, że tylko raz osiągnięto równie powściągliwy dramatyzm — kiedy Stanley odnalazł Livingstone’a.

— Jest pan aresztowany za zabójstwo i poćwiartowanie swojej żony, Cory Crippen, w lutym, w Londynie — oświadczył Dew.

* * *

Ryzykowna gra opłaciła się Dewowi. „Podczas swojej długiej kariery w policji przeżyłem wiele wielkich chwil, ale nigdy nie miałem takiego poczucia triumfu i sukcesu jak wtedy” — napisał. Czuł jednak również, jak to określił, „ukłucie współczucia” dla małego doktora. Crippen „został schwytyany na progu wolności. Jeszcze tylko dwanaście godzin, a znalazłby się bezpiecznie w Quebecu”.

Kanadyjska policja skła Crippena i odprowadziła go do wolnej kajuty. Kendall i Dew ruszyli teraz do kabiny numer pięć, którą podczas podróży zajmowali Crippen i Le Neve.

Dew zapukał lekko do drzwi, potem je otworzył. Ku swej wielkiej satysfakcji stwierdził, że Ethel naprawdę ubrana jest w chłopięcy garnitur.

Uniosła głowę znad książki.

— Jestem nadinspektor Dew — powiedział.

Ale nie musiał się przedstawiać. Pomimo munduru pilota rozpoznała go natychmiast. Krzyknęła i poderwała się na równe nogi, po czym straciła przytomność tak nagle, jakby ktoś uderzył ją łomem w tył głowy. Dew zdążył ją złapać, nim upadła.

Epilog

W eterze



Crippen i Le Neve podczas przesłuchania wstępnego w Bow Street Police Court

Tabela upadków

Dwa dni po aresztowaniu Crippena policja odkryła, że w styczniu zakupił pięć granów bromowodorku hioscyny. Wkrótce potem doktor Willcox ze szpitala St. Mary's potwierdził, że alkaloid wyodrębniony ze zwłok to rzeczywiście hioscyna. Ze zbadanych szczątków zdołał uzyskać dwie piąte grana, ale wiedział, że gdyby mógł zbadać całe ciało, ilość byłaby znacznie większa. Za ledwie ćwierć grana wystarczyło, by spowodować śmierć. „Podanie śmiertelnej dawki zapewne wywołało początkowo u ofiary omamy i pobudzenie” — powiedział. — „Żrenice zostały sparaliżowane, w ustach i gardle pojawiła się suchość. Wkrótce ofiara zrobiła się senna, straciła przytomność i uległa paraliżowi. Kilka godzin później nastąpiła śmierć”.

Willcox i jego koledzy po fachu byli pewni, że odnalezione szczątki należały do kobiety, choć ten wniosek opierali wyłącznie na dowodach pośrednich, a konkretnie na wałkach do włosów, rozjaśnianych kosmykach i odnalezionych fragmentach damskiej bielizny. Kwestia tożsamości pozostawała nierozstrzygnięta, póki doktor Pepper nie zbadał ponownie skóry przechowywanej w Kaplicy Ukojenia kostnicy Islington. Na jednym z fragmentów — mierzącym 15 na 18 centymetrów — znajdowało się znamię o długości mniej więcej 10 centymetrów. Dowiedziawszy się od nadinspektora Dewa, że Belle przeszła kiedyś operację brzucha, Pepper przyjrzał się temu fragmentowi bliżej i stwierdził, że prawdopodobnie jest to fragment blizny. Przekazał preparat Willcoxowi, a ten z kolei najmłodszemu członkowi elitarnej grupy sądowej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, doktorowi Bernardowi Spilsbury'emu, specjalście od blizn.

Prowadzący śledztwo uczynili kolejne ważne odkrycie. Przy bliższym badaniu odnalezione przy szczątkach podarte fragmenty

góry od pizamy okazały się pasować do spodni, które Dew znalazł na Hilldrop Crescent.

* * *

Na czas oczekiwania na ekstradycję Crippen został zamknięty w więzieniu na Plains of Abraham. Był w dobrym nastroju i oddał się całkowicie swej czytelniczej pasji. Ethel, która czuła się chora, początkowo przebywała w domu jednego z inspektorów z Quebecu. Tu Dew poinformował ją wreszcie, że znalazł ludzkie szczątki w piwnicy na Hilldrop Crescent. Patrzyła na niego jak oniemiała, a na twarzy miała wyraz kompletnego zaskoczenia.

Z Londynu przybył sierżant Mitchell wraz z dwiema funkcjonariuszkami policji. Mieli pomóc Dewowi sprowadzić więźniów z powrotem do Anglii. Pewnego dnia wczesnym rankiem przeszmyglowali Crippena i Le Neve do dwóch zamkniętych powozów i ruszyli przez spokojne, zasnuwane mgłą wiejskie drogi do odludnego portu, gdzie wsiedli na parowiec rzeczny. Nikt za nimi nie jechał. Parowiec dogonił wkrótce liniowiec „Megantic” należący do White Star, a ten zatrzymał się i zabrał ich na pokład.

Dew i Mitchell traktowali więźniów uprzejmie. Szczególnie Dew okazywał im taką serdeczność i troskę, że Ethel żartobliwie przezwiała go „ojcem”. Codziennie kilkakrotnie odwiedzał oboje w ich kabinach i zawsze pytał, jak się czują. Crippen wydał się zupełnie spokojny. Jadł z apetytem, spał dobrze i rozprawiał z ożywieniem na wiele tematów, choć nigdy o Belle. „Był dla mnie prawdziwą zagadką” — napisał Dew. — „Wydawał się zupełnie szczęśliwy. Nie sprawiał kłopotów i ani razu nie nadużył cierpliwości ani mojej, ani sierżanta Mitchella. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu nic nie leży na duszy”. Jak zwykle głównym zajęciem Crippena było czytanie. „Sam pożyczałem dla niego książki z biblioteki okrętowej, oczywiście, uważając, by nie dać mu takiej o morderstwie czy przestępstwach” — pisał Dew. — „Uwielbiał powieści, szczególnie te o miłości”. W więzieniu w Quebecu przeczytał *Barchester Tower* Anthony’ego Trollope’a, potem złożył na książce autograf i dał ją strażnikowi na pamiątkę.

Dew odizolował Crippena od Le Neve. Co wieczór między ósmą a dziewiątą kapitan „Megantic” kazał opróżniać pokład łodziowy, żeby więźniowie mogli zażyć ruchu. Crippen spacerował jako pierwszy, Le Neve druga, a układano te spacerory w taki sposób, żeby nigdy się nawet nie widzieli. Dla Crippena było to bardzo bolesne i pewnego dnia poprosił Dewa, by pozwolił mu zobaczyć choć raz Le Neve — nie porozmawiać z nią, tylko ją zobaczyć.

— Nie wiem, jak sprawy się ułożą — powiedział. — Może wszystko obróci się dla mnie na dobre, a może nie. Może już nigdy jej nie zobaczę, więc chcę pana prosić, bym mógł ją zobaczyć teraz. Nie będę z nią rozmawiać. Była moją jedyną pociechą przez ostatnie trzy lata.

Dew zaaranżował spotkanie. Na środku Atlantyku, o uzgodnionej porze wyprowadził Crippena na próg jego kabiny. Ethel pojawiła się w drzwiach dziesięć metrów dalej. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Nic nie powiedzieli. „Musiałem przy tym być, ale z jakichś powodów czułem się jak intruz” — wspominał Dew. — „Nie padło ani jedno słowo. Nie było wybuchu hysterii. Pomachali sobie tylko ręką. To wszystko”.

Spotkanie trwało może minutę. Nie zobaczyli się ponownie przez resztę podróży.

* * *

Najpierw odbył się proces Crippena. Rozpoczął się 18 października 1910 roku. Bilety do Old Bailey usiłowało kupić cztery tysiące ludzi, tak wielu, że urzędnicy sądowi postanowili wydawać przepustki ważne tylko pół dnia, aby rozprawę mogło zobaczyć jak najwięcej osób. Wśród widzów znaleźli się sir Arthur Conan Doyle oraz W.S. Gilbert ze sławnego duetu twórców operetek, Gilbert i Sullivan. Proces utrwalił ciepły wizerunek oskarżonego. Świadkowie opisywali go jako uprzejmego i wielkodusznego człowieka, a Belle jako kobietę władczą i kłótniwą. Nawet członkinie Stowarzyszenia Pań Artystek nie potrafiły o nim powiedzieć niczego złego. Dla prasy cała sprawa stała się mroczną historią o miłości — oto smutny, udręczony mężczyzna znajduje

pokrewną duszę, która odwzajemnia jego miłość głęboko i prawdziwie.

Wówczas jednak zaprezentowano dowody tego, co uczyniono ofierze z piwnicy. Z miejsca dla świadków Spilsbury — trzydziestotrzyletni, niezwykle przystojny z czerwonym goździkiem w klapie — zeznał, że bez żadnych wątpliwości ustalił, iż znamię na fragmencie skóry mierzącym 15 na 18 centymetrów było blizną, najprawdopodobniej powstałą w wyniku operacji chirurgicznego usunięcia jajników. Przysięgłym zaprezentowano rzeczony fragment na talerzu od zupy.

Obrona, zmyłona młodością Spilsbury'ego i jego wymuskany wyglądem, zaatakowała. Wezwała na świadków dwóch lekarzy, którzy przysięgli, że znamię nie mogło być blizną. Spilsbury odparł ich zarzuty. Przemawiał z taką spokojną pewnością i z taką klasą, że pozyskał sobie ławę przysięgłych i stał się ulubieńcem prasy. Ten epizod okazał się początkiem jego kariery, która nie miała sobie równej w historii medycyny sądowej.

Blizna, piżama i zakup hioscyny były najbardziej obciążającymi Crippena dowodami, ale powszechnie zgadzano się co do tego, że sprawę na korzyść Korony rozstrzygnęła wymiana zdań pomiędzy doktorem a oskarżycielem, Richardem Muirem, która miała miejsce na początku drugiego dnia procesu.

— Wczesnym rankiem 1 lutego przebywał pan z żoną w domu sam? — zapytał Muir.

— Tak.

— Czy żyła?

— Tak.

— Czy może pan wskazać osobę, która widziała ją później żywą?

— Nie.

— Czy może pan wskazać osobę, która otrzymała od niej list od tamtej pory?

— Nie.

— Czy może pan wskazać osobę, która może zaświadczyć, że opuściła dom żywa?

— Absolutnie nie.

Ława przysięgłych obradowała dwadzieścia siedem minut i wydała werdykt „winien”. Kiedy sędzia odczytywał wyrok, założył czarną szarfę.

Proces Ethel odbył się wkrótce potem, ale ława zadecydowała, że nic nie wiedziała o morderstwie, i puściła ją wolno.

25 października 1910 roku Crippen został przeniesiony do więzienia Pentonville, położonego niedaleko jego domu. Strażnik więzienny odebrał mu pieniądze i biżuterię, kazał zdjąć ubranie, sprawdził jego uszy i palce u nóg, po czym podał mu strój więzienny. Fakt uwięzienia Crippena nie powstrzymał pewnej kobiety, Adele Cook od wystosowania listu do naczelnika więzienia z prośbą o receptę od doktora. Odpowiedź: „Wnioskodawczyni powinna wiedzieć, że jeśli życzy sobie pisać listy do Crippena, może to uczynić”.

Crippen złożył apelację, ale nie zdołał zmienić wyroku. W liście do Ethel zarzekał się, że jest niewinny i że pewnego dnia odkryte zostaną dowody o tym świadczące. Przyznał jednak, że jego los jest przypieczętowany. Napisał: „Pociechą dla mego udręczonego serca jest wiedzieć, że na zawsze zatrzymasz w sercu mój obraz, i wierzyć, ukochana, że spotkamy się ponownie w drugim życiu”. 25 listopada obudził się ze świadomością, że nie ujrzy już kolejnego świtu.

Władze więzienia przygotowały formularz egzekucji, który przekazały katowi, Johnowi Ellisowi. Był to wiejski fryzjer, dorabiający sobie jako kat. Ellis sprawdził starannie wagę Crippena, po czym wyczytał z „Tabeli upadków”, z jakiej wysokości powinno spaść ciało skazańca, żeby śmierć nastąpiła natychmiast, ale nie powstało „krwawienie”. Ellis uważany był za biegłego kata, choć zwykle dodawał kilka centymetrów sznura więcej, niż było to konieczne.

W formularzu zanotował, że Crippen waży 64,5 kilograma. W następnej rubryce, „charakter szyi skazanego”, wpisał, że szyja

Crippena jest zupełnie normalna. Napisał również, że budowa skazanego jest „proporcjonalna”, i że ma on jedynie 162 centymetry wzrostu. Ustalił wysokość upadku na 236 centymetrów.

Crippen wyraził swoje ostatnie życzenie. Poprosił naczelnika więzienia, majora Myttona-Daviesa, aby w jego trumnie umieścić listy od Ethel i jej zdjęcie. Naczelnik wyraził zgodę.

Dokładnie o dziewiątej rano Ellis zwolnił zapadnię i chwilę później kark Crippena złamał się dokładnie na wysokości trzeciego kręgu. Ku zadowoleniu wszystkich obecnych głowa pozostała połączona z tułowiem.

Strażnik więzienny spisał stan posiadania skazanego: jeden płaszcz, jedna marynarka, jedna kamizelka, jedna para spodni, dwa kapelusze, cztery koszule, jeden komplet bielizny, cztery skarpetki, sześć chustek do nosa (jedna jedwabna) dziesięć kołnierzyków, dwie muszki, jedna para rękawiczek, jedna nieduża walizka, jedna szczoteczka do zębów, trochę gotówki i jedna para okularów.

Ellis jeszcze długo dorabiał sobie jako kat. Pewnego razu zagrał nawet rolę kata w miejscowej sztuce o sławnym mordercy, jakimś Charlesie Peasie. Po ostatnim przedstawieniu pozwolono mu zabrać do domu szubienicę. Kiedy nie wieszał ludzi ani ich nie strzygł, prezentował sztukę wykonywania egzekucji na wiejskich jarmarkach.

20 września 1932 roku popełnił samobójstwo, podrzynając sobie gardło.

* * *

Tajemnica okrywała sprawę Crippena niczym gęsta mgła nagrobki na cmentarzu. Tuż przed egzekucją wydawca magazynu „John Bull” wystosował do niego list otwarty, w którym pytał: „Czy to Pańska ręka wykonała ten czyn i czy tylko Pańska ręka ukryła wszystkie ślady tragedii?”. Nie wierzył, by było to możliwe. „Niech Pan mi powie, za pomocą jakiej to nadludzkiej siły zniesione zostało na dół ciało ciężkiej kobiety? Czy Pan sam to uczynił i czy

to Pan wykopał dziurę w podłodze, usunął klepisko, zakopał otwór, na powrót ułożył cegły i usunął ślady? Pan, niewysoki, na wpół ślepy, starszy, słaby i nieśmiały mężczyzna? I to wszystko, łącznie z rozczwartowaniem zwłok, zajęło Panu zaledwie dobę?”.

Scenariusz przedstawiony w piśmie istotnie stanowił wyzwanie dla wyobraźni. Zakładał, że Crippen zabił Belle gdzieś na górze, a potem zaciągnął ją na dół do piwnicy. Ślady odkryte w mogile wskazywały, że w którymś momencie ciało było wleczone. Świadczyły o tym kawałki sznura i zawiązana w pętlę męska chustka. Zapewne obwiązano nią szyję Belle, a do niej przywiązano sznur, tworząc wygodny uchwyt do ciągnięcia — to znaczy do chwili, gdy chustka pękła.

Ale być może Crippen nie ściągał do piwnicy całego ciała Belle. Szczątki piżamy i koszulki wskazują, że w chwili śmierci była już w stroju nocnym. Być może rzeczywiście zabił ją na górze, podając truciznę na przykład w wieczornej brandy, a kiedy zaczęła się czuć zdezorientowana, zaprowadził ją do łazienki. Tam być może zaczęła hałasować bardziej, niż się spodziewał. Niewykluczone, że ją wtedy zastrzelił, co sugerowały zeznania sąsiadów — choć takie zeznania po fakcie należy traktować z dużym sceptycyzmem. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że ją udusił. Zawiązał ciasno chustkę na jej szyi. Walczyła, ale zaczęła tracić przytomność. Upadła, a Crippen zebrał wszystkie siły i wsadził jej ciało do wanny. Otworzył obie tętnice szyjne i poczekał, aż spłynie cała krew. Wanna pełniła rolę stołu operacyjnego. Krew nie mogła się rozlać i łatwo ją było spłukać. Takie działanie zapobiegło powstaniu krwawych śladów, kiedy wynosił głowę, ręce, stopy i kości żony do Regent's Canal albo na Rynek Bydłęcy, czy w jakieś inne odpowiednie miejsce. Resztę ciała Belle zniósł do piwnicy w kawałkach.

Ale taka teoria również nie wyjaśniała wszystkiego. Jeśliby Crippen poćwiartował ciało w dobrze oświetlonym i wygodnym pomieszczeniu, z pewnością zauważyłby pozostawione przy szczątkach dowody — lokówki, włosy, fragmenty piżamy i koszulki, zawiązaną chustkę. Nie, ich obecność sugeruje raczej, że

pracował w warunkach dalekich od ideału i że przeoczył je z powodu wielkiej ilości krwi oraz ciemności. Kiedy Belle leżała już martwa, na górze albo na dole, wykopał mogiłę w piwnicy, licząc, że krew wsiąknie we wzruszoną ziemię. Zaciągnął ciało do dołu i tam je poćwiartował. Nie miał dobrego oświetlenia, wszystko zalewała krew. Wyciągnął ze szczątków Belle głowę i inne części, których zamierzał się pozbyć osobno, i umył je w zlewie w kuchni. Następnie owinął je w naolejone płótno albo w płaszcz od deszczu i ukrył gdzieś w piwnicy, gdyż Ethel prawie na pewno nie miałaby powodu wchodzić do tego pomieszczenia. Podczas kolejnych kilku nocy partiami wynosił głowę, kości, ręce i stopy.

Najważniejsze pytanie brzmiało jednak inaczej. Jak równie łagodny i dobrotliwy człowiek w ogóle mógł się posunąć do morderstwa? Jedna z teorii, wysunięta przez znanego prawnika owych czasów, głosiła, że Crippen zabił Belle przypadkiem — że zaaplikował jej hioscynę po to, by ją uspokoić i zapewnić sobie spokojną noc, ale pomylił się co do dawki. Wydaje się to mało prawdopodobne. Crippen znał właściwości hioscyny i wiedział, jak niewielka jej ilość może się okazać śmiertelna. Ile dokładnie trucizny podał Belle, nigdy się nie dowiemy, ale ludzie obeznani ze sprawą uważali, że zaaplikował jej całe pięć granów.

Że Crippen zamierzał zabić żonę, raczej nie budzi wątpliwości. Pozostaje więc jedynie możliwość, iż czuł do niej tak wielką odrazę i tak bardzo pragnął Ethel, że kiedy zaatakowała go za drobiazg, jakim było niezaprowadzenie Paula Martinettiego do łazienki, coś w jego duszy pękło. Nadludzką siłą ściągnął ciało Belle do piwnicy i napędzany adrenaliną zaczął usuwać ją z tego świata tak dokładnie, jakby nigdy nie istniała. Jeden z trzech prawników przydzielonych do oskarżenia, Travers Humphreys, napisał później: „Nigdy nie uważałem Crippena za wielkiego zbrodniarza. Popełnił fatalny błąd i zapłacił karę, jaką społeczeństwo przewiduje dla tych, którzy popełniają takie przestępstwa jak to, za które został sprawiedliwie skazany. Ale jestem pewien, że w innym kraju wzięto by pod uwagę »okoliczności łagodzące«”.

Nigdy nie dowiemy się również, czy ktoś mu pomagał. Ława przysięgłych uniewinniła Ethel, przyjmując bez zastrzeżeń jej linię obrony, że nic nie wiedziała o zabójstwie. A przecież panna Le Neve wykazywała cechy, które niszczyły jej wizerunek niczego nieświadomej i powodowanej miłością kochanki. Pisała z wyrafinowaniem. Była śmiała i żądna przygód. Richard D. Muir, który oskarżał również i ją, miał wątpliwości co do jej niewinności. Napisał później: „Sprawiedliwości nie stało się jeszcze do końca zadość”.

Brakujące części ciała Belle nigdy nie zostały odnalezione, choć Scotland Yard poświęcił wiele czasu na ich poszukiwanie. Detektywi sondowali Regent's Canal tam, gdzie przepływał przez Regent's Park. Londyński „kanalarz”, niejaki Edward Hopper, zaproponował, by detektywi sprawdzili „przechwytywacz” rur odprowadzających ścieki z numerów 38 i 39 przy Hilldrop Crescent. „Starannie sprawdziliśmy brud i śmieci zebrane na przechwytywaczu, ale nie znaleźliśmy najmniejszego śladu ciała ani kości” — napisał detektyw prowadzący poszukiwania, niejaki sierżant Cornish.

Wcześniejsze doświadczenia nauczyły Scotland Yard, że zbrodniarze lubią chować ciała w kufrach i pozostawiać je na stacjach kolejowych. CID zwróciło się zatem z prośbą do kierowników stacji w Londynie i na przedmieściach, by sprawdzili przechowalnie, szukając paczek i kufrów nieodebranych od pierwszej połowy lutego. Znaleźli tajemnicze pudła i walizki rozmaitych rozmiarów, w tym — na Cambridge Heath Station należącej do Great Eastern Railway — kufer z trzema kłódkami. Policja otworzyła tylko część porzuconych bagaży. W większości przypadków wystarczyły oględziny z zewnątrz. Sierżant Cornish, prowadzący również te poszukiwania, stwierdził w swoim raporcie: „Żaden z pakunków nie wydziela wstrętnego zapachu, a wszystkie, jak jesteśmy pewni, zawierają przedmioty osobistego użytku i elementy odzieży”.

Damy ze Stowarzyszenia Pań Artystek odebrały szczątki Belle z Kaplicy Ukojenia kostnicy Islington. Departament Zdrowia

Publicznego chętnie się ich pozbył, uważając, że „mogą spowodować poważne niedogodności”. Punktualnie kwadrans po trzeciej, 11 października 1910 roku, niewielki kondukt pogrzebowy, składający się z ciągniętego przez konia karawanu i trzech powozów żałobników, wyruszył w smutną podróż ulicami Londynu na cmentarz St. Pancras w East Finchley. Tam panie ze Stowarzyszenia patrzyły, jak trumna ze szczątkami ich przyjaciółki niknie w grobie. Policja pilnowała, by gapie nie zakłócili ceremonii. Jak głosił raport, wszystko „przebiegło spokojnie”.

* * *

Nadinspektor Dew uznał, że zamknięcie sprawy Crippena to odpowiedni moment, by przejść na emeryturę. Jego kariera w policji rozpoczęła się od sprawy morderstwa i poćwiartowania zwłok i na takiej się też skończyła. Czuł wielkie współczucie dla Crippena i panny Le Neve. Napisał: „Miłość doktora Crippena do tej dziewczyny, dla której tyle zaryzykował, była największą sprawą w całym jego życiu”.

Emeryturę spędził w wiejskim domku o nazwie Wee Hoose, a w 1938 roku opublikował wspomnienia zatytułowane *Złapałem Crippena (I Caught Crippen)*, w których opisał sprawę jako „Najbardziej intrygujące morderstwo stulecia”. Zadeedykował książkę swemu synowi, Stanleyowi, który zginął podczas pierwszej wojny światowej, oraz jego trzem córkom, z których jedna przypadkiem nosiła imię Ethel.

Umarł w swoim domku 16 grudnia 1947 roku.

* * *

Kapitan Kendall otrzymał od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nagrodę w wysokości 250 funtów, ale nigdy nie zrealizował czeku. Kazał go natomiast oprawić.

Wielka pogoń uczyniła z niego światową sławę i gwiazdę Canadian Pacific Railway. Awansował szybko i wkrótce został kapitanem „Empress of Ireland”, statku, na którego pokładzie służył niegdyś jako pierwszy oficer, tego samego, który wiózł

Marconiego i Beatrice do Nowej Szkocji. 29 maja 1914 roku, tuż przed drugą nad ranem, niemal w tym samym miejscu, gdzie Dew wszedł na pokład „Montrose’a”, norweski frachtowiec staranował „Empress”, gdy nagle opadła gęsta mgła. Frachtowiec wycofał się i utrzymał na wodzie, natomiast „Empress” zatonął w ciągu czternastu minut. Morze pochłonęło 1012 ofiar. Kendall został wyrzucony z mostka do wody, kiedy statek nagle przewrócił się na bok. Przeżył.

Straty w ludziach byłyby większe, gdyby nie przytomność umysłu RONALDA FERGUSONA, starszego oficera Marconiego służącego na pokładzie „Empress”. Zdołał wysłać wezwanie pomocy, nim na statku padło zasilanie.

Śledztwo uwolniło Kendalla od winy, ale firma przydzieliła mu pracę za biurkiem, w Antwerpii. Nawet to jednak nie uchroniło go przed przygodami. Wkrótce rozpoczęła się pierwsza wojna światowa. Kiedy Niemcy ruszyli na Antwerpię, Kendall zarekwirował swój stary statek, „Montrose”, oraz jego bratnią jednostkę, załadował na nie belgijskich uchodźców, po czym za pomocą „Montrose’a” szałował drugi statek bezpiecznie do Anglii. Tam wstąpił do Marynarki Królewskiej i otrzymał dowództwo okrętu, który został storpedowany. Po wojnie następne dwadzieścia lat spędził, pracując dla Canadian Pacific, znów za biurkiem.

Podczas wojny Admiralicja kupiła „Montrose’a” i zacumowała go u wejścia do portu w Dover jako statek strażniczy. Zerwał się jednak podczas sztormu i zatonął na Goodwin Sands, tam gdzie na pokładzie latarniowca East Goodwin George Kemp spędził tyle trudnych nocy. „Montrose” długo się nie poddawał. Jeden maszt pozostał widoczny aż do 22 czerwca 1963 roku. Tego dnia żeglarze stwierdzili, że stary statek wreszcie ich opuścił.

Dwa lata później odszedł również stary kapitan.

* * *

Sprawa doktora Crippena stała się tematem sztuk i książek, zwróciła również uwagę Alfreda Hitchcocka, który wykorzystał jej

elementy w kilku filmach, w tym w *Linie (Rope)* i w *Oknie na podwórze* oraz w co najmniej jednym odcinku serii *Alfred Hitchcock przedstawia*. W *Oknie na podwórze* jest taka scena, kiedy główny bohater, grany przez Jamesa Stewarta, mówi, patrząc na złowieszcze mieszkanie naprzeciwko: „To straszne zadanie. Jak się zaczyna ćwiartować ludzkie ciało?”.

Crippen fascynował również Raymonda Chandlera, którego zastanawiały niekonsekwencje w tej sprawie. Jak ktoś równie inteligentny i metodyczny jak Crippen mógł popełnić podobne błędy? W liście z 1948 roku, skierowanym do przyjaciela, Chandler zastanawiał się: „Nie rozumiem, dlaczego człowiek, który wykonał olbrzymie zadanie, jakim było pozbawienie zwłok kości i płci, nie podjął niewielkiego dodatkowego wysiłku, by pozbyć się ciała w taki sam sposób jak kości, zamiast je zakopywać”. Chandler nie podzielał też powszechnego przekonania, że Crippen byłby bezpieczny, gdyby wraz z Ethel pozostał w Londynie, zamiast uciekać po pierwszej wizycie nadinspektora Dewa. W końcu, napisał, Scotland Yard „uciekłby się do tradycyjnego zwyczaju kopania”. Zastanawiał się również, „dlaczego mężczyzna, który potrafił zachować taki spokój w obliczu zagrożenia, popełnił horrendalny błąd i pozwolił, by powszechnie znany stał się fakt, że Elmore pozostawiła swoją biżuterię, ubrania i futra. Było rzeczą oczywistą, że nie należała do osób, które zrobiłyby coś podobnego”.

Takie błędy ludzie popełniają w panice, argumentował Chandler. „Ale Crippen w ogóle nie wpadał w panikę. Uczynił wiele rzeczy, które wymagały zachowania bardzo zimnej krwi. Jednak jak na człowieka, który posiada zimną krew i potrafi myśleć, zrobił również wiele rzeczy po prostu pozbawionych sensu”.

Czuł dla Crippena współczucie. „Nie można nie lubić tego faceta” — napisał w innym liście. — „Był mordercą, który umarł jak dżentelmen”.

Sztuka pod tytułem *Schwytny przez telegraf bez drutu* ruszyła na tournée po Ameryce i przez tydzień, w kwietniu 1912, wystawiana była na scenie w Opera House w Coldwater w stanie

Michigan, rodzinnym mieście Crippena. „Sztuka jest pełna zabawnych rzeczy” — donosił „Coldwater Courier”. W Anglii sprawa przez dziesiątki lat zaprzętała uwagę publiczną i spowodowała powstanie kolejnej produkcji teatralnej, musicalu zatytułowanego *Belle, czyli ballada o doktorze Crippenie*. Premiera odbyła się 4 maja 1961 roku w Strand Theatre w Londynie. Przedstawienie składało się z dwóch tuzinów musicalowych numerów, w tym *Coldwater, Michigan, Pills, Pills, Pills* oraz *Dit-Dit Song*. Zagrano je czterdzieści cztery razy, ale w sumie była to kłapa. Anglia nie była jeszcze gotowa żartować ze sprawy, w którą uwikłana była miłość, zbrodnia i wielki wynalazek. „Daily Mail” zatytułowała swą recenzję „Poroniony dowcip z muzyką”.

W czasie drugiej wojny światowej zabłąkana niemiecka bomba spadła na Hildrop Crescent, zrównując z ziemią dom pod numerem 39 i większość jego sąsiedztwa.

Małżeństwo, którego nie było

Historia Crippena uczyniła więcej dla akceptacji telegrafu bez drutu jako praktycznego środka łączności niż wszystkie poprzednie wysiłki firmy Marconiego — z pewnością więcej niż listy Fleminga czy błyskotliwe pokazy samego wynalazcy. Niemal codziennie przez wiele miesięcy gazety rozpisywały się o telegrafie bez drutu, cudownej zasadzie jego działania, szczegółach praktycznych, obsłudze i o tym, że statki, przekazując sobie depezę, mogą wysłać marconigram dookoła świata. Każdy, kto przed wielkim pościgiem okazywał sceptycyzm wobec łączności bezprzewodowej, teraz ostatecznie go porzucił. Liczba firm żeglugowych, które instalowały aparaty bezprzewodowe, gwałtownie wzrosła, pojawiły się też publiczne żądania, by takie aparaty obowiązkowo znajdowały się na wszystkich statkach oceanicznych.

Zwykle nie zwraca się uwagi na ten aspekt sprawy Crippena, gdyż półtora roku później miało miejsce wydarzenie, które ostatecznie przypieczętowało sukces Marconiego. W kwietniu 1912 roku liniowiec „Titanic” zderzył się z górą lodową i zatonął, ale wcześniej operator Marconiego zdołał wezwać pomoc.

Guglielmo i Beatrice mieli być gośćmi White Star Line podczas dziewiczego rejsu „Titanica”, jednak Marconi odwołał podróż i wyruszył kilka dni później na „Lusitanii”. Obsesja pracy skłoniła go do skorzystania z usług publicznego stenografa na tym statku, który podobno był bardzo wydajny. Beatrice odwołała swoją podróż w przeddzień wyjścia liniowca w morze, ponieważ Giulio, ich syn, zachorował i dostał bardzo wysokiej gorączki. Rodzina mieszkała wówczas w wynajętym domu o nazwie Eaglehurst. Na przyległym terenie stała osiemnastowieczna wieża, dająca widok na Southampton Water. Beatrice i jej córka Degna, która wówczas

miała trzy i pół roku, wspięły się na szczyt wieży i patrzyły, jak ogromny statek wyrusza w swą dziewiczą podróż. Machały, „a do nas machały dziesiątki chustek i szalów” — napisała Degna. Odejście statku wywołało u Beatrice smutek. Bardzo chciała być na pokładzie.

Podczas przemówienia w Izbie Gmin lord Herbert Samuel, generalny poczmistrz Anglii, powiedział: „Ci, którzy ocaleli, zawdzięczają życie jednemu człowiekowi, panu Marconiemu [...] i jego cudownemu wynalazkowi”. 8 marca 1913 roku statek wyposażony w bezprzewodowy telegraf wyruszył na poszukiwania gór lodowych i przekazywał za pomocą depech ich położenie — w 1914 roku zainaugurowano stały Międzynarodowy Patrol Lodowy (International Ice Patrol). Od tamtej pory na chronionych wodach już żaden statek nie zatonął z powodu kolizji z górą lodową.

Firma Marconiego i Telefunken zawarły rozejm i zgodziły się nie naruszać nawzajem swoich patentów. Stworzyły nawet europejskie konsorcjum, by dzielić się technologią i zapewnić łączność pomiędzy swoimi systemami. Rozejm nie potrwał długo. 29 lipca 1914 roku grupa inżynierów Marconiego złożyła wizytę w wielkiej stacji Telefunkena w Nauen, której nadajnik uważano za najsilniejszy na świecie. Pracownicy Telefunkena oprowadzili ich po stacji i okazali wielką uprzejmość. Zaraz po odjeździe cudzoziemców stację przejęło niemieckie wojsko i zaczęło nadawać wiadomości nakazującą wszystkim niemieckim statkom przybić natychmiast do przyjaznych portów.

O 11 wieczorem 4 sierpnia Wielka Brytania i Niemcy były już w stanie wojny. Stacja Marconiego w Poldhu przesłała wiadomość do wszystkich okrętów Admiralicji: „Zacznijcie walkę przeciw Niemcom”. Zespół operatorów Marconiego podsłuchiwał niemieckie transmisje. Do końca wojny zebrał ponad osiem milionów depech.

Niemal natychmiast niemieckie torpedy zaczęły pruć morze u wybrzeży Anglii. Roczny raport firmy Marconiego za rok 1914 stwierdzał: „Wezwania pomocy przyjmowane są niemal codziennie”. Kabiny radiowe statków stały się głównym celem

ataków. W 1917 roku niemiecki okręt podwodny zaatakował s/s „Benledi” i skoncentrował swój ogień na kabynie radiowej. Mimo to operator Marconiego próbował skontaktować się z amerykańskim okrętem wojennym i uzyskać pomoc. Okręt przybył, okręt podwodny uciekł. Później kapitan „Benledi” udał się do kabiny radiowej i zastał operatora siedzącego nadal na krześle. Wszystko wydawało się w zupełnym porządku poza jednym makabrycznym szczegółem. Operator nie miał głowy. W sumie podczas wojny zginęło 348 operatorów Marconiego, większość na morzu.

* * *

W miarę jak sława Marconiego rosła, a jego imperium się rozrastało, jego związki z matką zaczęły słabnąć. Anne zmarła w 1920 roku i została pochowana na cmentarzu Highgate w Londynie. Marconi nie przyszedł na pogrzeb. Degna napisała: „Przeszłość od dawna była dla niego martwa”.

Oddalał się również od Beatrice. Coraz więcej czasu spędzali oddzielnie, a wkrótce Marconi nawiązał romans z inną kobietą. Przez pewien czas oboje próbowali zachowywać pozory, że ich małżeństwo trwa nadal, ale w końcu porzucili te wysiłki. Marconi sprzedał ich dom w Rzymie, a Beatrice i dzieci przenieśli się do Hotel de Russie.

Romans Marconiego dobiegł końca, ale Beatrice miała dość i poprosiła o rozwód. Marconi niechętnie wyraził zgodę. Na pewien czas zamieszkali w wolnym mieście Fiume, gdzie w 1923 roku udzielono im rozwodu. Dwa lata później Marconi napisał do Beatrice, że zamierza ożenić się ponownie. Miał pięćdziesiąt jeden lat, a przyszła panna młoda — siedemnaście. Beatrice uznała pomysł Marconiego za paradoksalny. Chciał założyć drugą rodzinę, choć tak pochłaniała go praca, że ledwie zwracał uwagę na nią i dzieci. Zrezygnowała ze swej zwykłej serdeczności. „Chciałabym Ci życzyć szczęścia, ale ta wiadomość mocno mnie zdenerwowała. Po tylu latach spędzonych razem, podczas których Twoim własnym, wyrażanym ciągle pragnieniem była wolność, by

skoncentrować się na pracy, gdyż uważałeś, że rodzina opóźnia Cię i hamuje, zastanawiam się, dlaczego tak nagle poczułeś tę wielką samotność i potrzebę posiadania domu — to pragnienie świeżych więzów! Przecież właśnie takie więzy zniszczyły nasz dom i zakończyły nasze małżeństwo rozwodem. Nie rozumiem Cię”.

Marconi zrezygnował z ożenku. Pogrążył się w pracy i coraz więcej czasu spędzał na pokładzie swego jachtu, „Elettry”. Znów się zakochał, w Marii Cristine Bezzi Scali, córce jednej z najbardziej arystokratycznych katolickich rodzin Rzymu, związanej z tak zwaną „czarną szlachtą”, czyli ludźmi, którzy przysięgli posłuszeństwo papieżowi. Marconi poprosił ją o rękę, ale natychmiast pojawiły się przeszkody. Prawo Watykanu zabraniało katolikom małżeństw z osobami rozwiedzionymi. Jedynie anulowanie małżeństwa mogło pozwolić na zawarcie nowego związku. Marconi wniknął w tę sprawę i stwierdził, że jedną z podstaw unieważnienia małżeństwa jest zawarcie go bez zamiaru przestrzegania katolickiego prawa. Odkrył, że mógłby uzyskać unieważnienie, gdyby zdołał przekonać trybunał kościelny, iż wraz z Beatrice uzgodnili przed ślubem, że jeśli związek nie okaże się szczęśliwy, dążyć będą do rozwodu. Jednak w tym celu potrzebował pomocy byłej żony.

Ze względu na przeszłość wyraziła zgodę. Kiedy zbliżał się czas jej zeznań, Marconi zaczął ją pouczać, co dokładnie powinna powiedzieć. Jego listy jeszcze raz dowodzą obojętności, którą żywił wobec zwykłych ludzkich uczuć. W jednym z nich napisał: „Potrzebują Twego zeznania, by podjąć decyzję, ale proszę, pamiętaj, by przeczytać moje listy na ten temat, nim się tam udasz, gdyż wiele zależy od tego, co powiesz o tym, że zgodziliśmy się rozwieść, jeśli małżeństwo nie okaże się szczęśliwe. Zwykła prawna przepychanka na temat słów i myśli! Wybacz wielki pośpiech, ale nadal jestem dość zajęty”.

Kościół zgodził się na anulowanie małżeństwa i wkrótce potem Marconi ożenił się z panną Bezzi Scali.

* * *

Wynalazek Marconiego i postęp osiągnięty przez inżynierów na całym świecie szybko zaowocowały bezprzewodową transmisją głosu i muzyki. W 1920 roku firma Marconiego zaprosiła panią Nellie Melba do swej stacji w Chelmsford, by zaśpiewała na falach eteru. Na stacji inżynier wyjaśnił diwie, że jej głos zostanie nadany z wieży. Nie zrozumiałszy jego wyjaśnień pani Melba oświadczyła: „Młody człowieku, jeśli sądzisz, że wespnę się tam na górę, jesteś w wielkim błędzie”.

Jeszcze w 1926 roku łączność na morzu fascynowała pasażerów. Sir Henry Morris-Jones zapisywał w dzienniku szczegóły podróży na drugim „Montroseie”, zwodowanym przez Canadian Pacific kilka lat wcześniej. „W jakimż świecie żyjemy” — pisał. — „Posłaniec przynosi mi wiadomość nadaną dwie godziny wcześniej w Hull, a jestem przecież w odległości 3000 kilometrów, na Oceanie Atlantyckim!”

Po fakcie Marconi przekonał się, że jego podejście do łączności transatlantyckiej było błędne. Obsesyjnie zwiększał długość anten i moc nadajników, póki za pomocą eksperymentów nie odkrył, że tak naprawdę bardzo krótkie fale mogą dużo łatwiej przebywać duże odległości i to przy znacznie mniejszym wydatku energii. Jego ogromne stacje nie były potrzebne. „Przyznaję, że jestem odpowiedzialny za stosowanie długich fal do łączności dalekiego zasięgu” — powiedział w 1927 roku. — „Wszyscy naśladowali moje postępowanie, budując stacje setki razy silniejsze, niż byłoby konieczne, gdyby wykorzystać fale krótkie. Teraz pojmuję swój błąd”.

Inni naukowcy rozwiązali tajemnice, które prześladowały Marconiego podczas jego wczesnych prac. Oliver Heaviside, fizyk i matematyk, wysunął teorię, że w atmosferze istnieje warstwa, która odbijała fale z powrotem do Ziemi — dlatego właśnie nie uciekały w przestrzeń kosmiczną, tylko przebywały wielkie odległości za horyzontem. Inni badacze potwierdzili istnienie takiej warstwy i nazwali ją Warstwą Heaviside’a. Potwierdzili również, że słońce wzbudza część atmosfery zwaną jonosferą, czego wynikiem są zakłócenia łączności w ciągu dnia.

W 1933 roku miasto Chicago zaprosiło Marconiego na swoją nową wystawę światową, Wystawę Wieku Postępu, i ogłosiło 2 października Dniem Marconiego. Punktem kulminacyjnym obchodów był moment, kiedy Marconi, za pomocą silnego nadajnika zamontowanego na wystawie, nadał trzy kropki, literę „S”. Jego przekaz stacje w Nowym Jorku, Londynie, Rzymie, Bombaju, Manili i Honolulu przekazały dookoła świata, z powrotem do Chicago, w zaledwie trzy minuty i dwadzieścia pięć sekund.

Na starość Marconi stał się odludkiem. W siedzibie swej firmy w Londynie, Marconi House, wsiadał do windy jedynie sam albo z kimś, kogo znał, nigdy z nieznanym. Zbudował stację, która miała prowadzić nasłuch sygnałów z Marsa i pouczył jej operatorów: „Szukajcie regularnie powtarzających się sygnałów”. W 1923 roku wstąpił do partii faszystowskiej i zaprzyjaźnił się z Mussolinim, choć po pewnym czasie rozczarowała go rosnąca wojowniczość faszystów i nazistów. Nie znosił Hitlera.

19 lipca 1937 roku po południu doznał poważnego ataku serca. O trzeciej w nocy zadzwonił po służącego: „Przepraszam bardzo, ale obawiam się, że mój koniec jest bliski. Czy możesz zawiadomić moją żonę?”. Czterdzieści pięć minut później już nie żył. Pierwszą osobą z zewnątrz, która zjawiła się przy jego łóżku, był Mussolini. Dla słuchaczy radiowych na całym świecie była to już druga zła wiadomość tego dnia — nieco wcześniej Marynarka Stanów Zjednoczonych ogłosiła, że zakończyła poszukiwania Amelii Earhart.

Ale wieczorem smutek zelżał nieco, przynajmniej smutek słuchaczy stacji NBC, która nadała kolejny odcinek programu komediowego Amos'n'Andy.

* * *

Przez cały dzień 21 lipca 1937 roku ciało Marconiego wystawione było w Pałacu Farnesina w Rzymie. Dzień był gorący, powietrze ciężkie od zatechłej woni wód pobliskiego Tybru. Na placu przed

pałacem i na sąsiednich ulicach zebrał się wielotysięczny, ubrany na czarno tłum. Wyglądał jak wielka plama czarnego atramentu.

Beatrice przyszła sama, niezaproszona. Nawet jej dzieci — ich dzieci — nie zostały powiadomione o pogrzebie. Przyszła incognito. Miała pięćdziesiąt dwa lata i była piękna jak zawsze. Kiedy nadeszła jej kolej, podeszła do mar, na których spoczywało ciało.

Niegdyś ona i ten człowiek byli kochankami. Tyle historii ze sobą dzielili, a teraz nikt jej nawet nie poznawał, była duchem. Dziesięć lat minęło od ostatniego upokorzenia, jakiego od niego doznała, anulowania małżeństwa. Zachowywał się tak, jakby zupełnie nie pamiętał ani o niej, ani o dzieciach.

Podeszła blisko do mar i nagle przepaść, która rozwarła się między nimi, zniknęła. Owładnięta smutkiem padła na kolana. Mijali ją żałobnicy, awangarda kolejki, która zdawała się ciągnąć przez cały Rzym.

Wreszcie wstała, pewna, że pozostała anonimową osobą.

„Nikt na mnie nie patrzył” — napisała do Degny. — „Nikt nie mógł mnie rozpoznać”.

Wyszła z pałacu wprost na upalne popołudnie i zniknęła wśród tysięcy ludzi, nadal czekających na wejście.

O szóstej wieczorem, kiedy pogrzeb się rozpoczął, operatorzy na całym świecie wstrzymali wysyłanie depech na dwie minuty. Zapewne po raz ostatni w historii ludzkości znowu zapanowało „Wielkie Sza”.

Fleming i Lodge

Latem 1911 roku Oliver Lodge, liczący lat sześćdziesiąt, zaczął tworzyć, jak to nazwał, „fundusz walki”. Zamierzał wytoczyć Marconiemu sprawę za złamanie jego patentu na strojenie fal. Do 15 czerwca wraz z sojusznikami przekazał na fundusz 10 000 funtów, ponad milion dolarów wedle dzisiejszej wartości pieniądza. Napisał do Williama Preece'a: „W sposób oczywisty naruszają patent i mamy moralne prawo do honorarium. Rozpoczynam aktywne działania w tym względzie”. Marconi zwrócił się już do niego z ofertą zakupu patentów, najwyraźniej zaniepokojony, że może przegrać w sądzie. Lodge ofertę odrzucił.

Preece, który obecnie miał siedemdziesiąt siedem lat, doradzał ostrożność, choć jak to ujął: „Zgadzam się z każdym Pańskim słowem i jestem pewien, że Pańskie podejście jest słuszne”.

Tego lata Preece przemógł swą antypatię wobec Marconiego i wynegocjował ugodę. Za nieujawnioną kwotę firma Marconiego zakupiła patent Lodge'a na strojenie i zgodziła się wypłacać mu uposażenie w wysokości 1000 funtów rocznie przez cały okres obowiązywania patentu. 24 października 1911 roku Preece napisał do Lodge'a: „Bardzo się cieszę, że sprawy pomiędzy Panem a firmą Marconiego zostały, jak słyszę, załatwione. Jestem zupełnie pewien, że postąpił Pan właściwie i że teraz otrzyma Pan to, na co Pan zasługuje. Ale będzie Pan musiał przytrzeć trochę Marconiemu nosa. Za bardzo się rozbija w wyższych sferach”.

Podczas pierwszej wojny światowej Lodge stracił najmłodszego syna, Raymonda, i próbował się z nim skontaktować poprzez eter. Twierdził, że mu się udało. Wierzył, że podczas seansów, które odbywał z wieloma mediami, rozmawiał z Raymondem. Przy jednej takiej okazji, tuż przed Bożym Narodzeniem 1915 roku, usłyszał słowa syna: „Kocham cię. Kocham cię bardzo. Ojczy, proszę,

porozmawiaj ze mną”. A po chwili: „Ojcze, powiedz matce, że będzie miała przy sobie syna przez cały dzień Bożego Narodzenia. Tego dnia tysiące z nas wróca do domów, ale straszne jest to, że tak wielu nie jest mile widzianych. Proszę, zatrzymaj dla mnie miejsce. Muszę już iść”.

W 1916 roku Lodge wydał książkę o swoich doświadczeniach zatytułowaną *Raymond*. Ludziom pogrążonym w żałobie oferował pocieszającą radę: „Chcę, by wszyscy dowiedzieli się i zrozumieli, że ich ukochani żyją nadal, są użyteczni, pełni zainteresowania i szczęśliwi — w pewnym sensie są bardziej żywi niż wcześniej. Należy starać się prowadzić użyteczne życie do czasu, póki się z nimi nie połączymy”.

Książka stała się bardzo popularna, gdyż wielu rodziców próbowało się skontaktować z synami zabitymi podczas pierwszej z prawdziwych wojen.

* * *

Z upływem czasu stosunki pomiędzy Ambrose’em Flemingiem a Marconim stały się chłodniejsze, niemniej uczony nadal lojalnie uznawał, że cała zasługa za wynalezienie łączności bezprzewodowej należy się Marconiemu. Firma zatrudniała go jako doradcę do 1931 roku. Doświadczyla wówczas jednej z licznych zapaści finansowych i poinformowała Fleminga, że jego kontrakt nie zostanie odnowiony. Uznał to za kolejną zdradę i zmienił opinię o wynalazku. Uważał teraz, że człowiekiem, który wynalazł łączność bezprzewodową, był tak naprawdę Oliver Lodge i że to on po raz pierwszy zademonstrował tę technologię podczas swego wykładu na temat Hertza w czerwcu 1894 roku w Instytucie Królewskim.

29 sierpnia 1937 roku Fleming napisał do Lodge’a: „Jest absolutnie jasne, że w 1894 roku wysłał Pan i otrzymał sygnały w alfabecie Morse’a za pośrednictwem fal elektrycznych na odległość mniej więcej 55 metrów. Przekonanie Marconiego, że był pierwszym, który tego dokonał, jest błędne”.

W owym czasie Fleming miał osiemdziesiąt osiem lat, ale nie mógł się oprzeć, by nie dać upustu długo jątrzącej się goryczy. „Marconi zawsze chciał wszystko przypisywać sobie” — napisał do Lodge’a, który miał wówczas lat osiemdziesiąt sześć. — „Jego zachowanie wobec mnie w sprawie łączności transatlantyckiej było bardzo niemiłe. To ja zaprojektowałem generator, a pierwsza transmisja została wykonana za pomocą obwodów opisanych w moim brytyjskim patencie numer 3481 z 1901 roku. Ale on nigdy nawet nie wymienił mojego nazwiska w związku z tym wydarzeniem”.

„Niemniej jednak” — dodał — „w swoim czasie te sprawy staną się znane i sprawiedliwość zatriumfuje”.

Koda

Pasażerka

Pasażerka

Był 23 listopada 1910 roku. Southampton. Na pokład liniowca „Majestic”, należącego do White Star Line weszła kobieta wymieniona na liście pasażerów jako panna Allen. Miała dwadzieścia siedem lat, ale bez trudu można ją było wziąć za nastolatkę.

Po raz drugi w ciągu czterech miesięcy poczuła się zmuszona występować pod fałszywym nazwiskiem. Choć okoliczności były zupełnie inne, motyw pozostał ten sam: ucieczka przed plotkami i wścibskimi spojrzeniami. Za pierwszym razem to była porywająca przygoda: Londyn, Bruksela, Antwerpia, Quebec. Czuła się wtedy piękniejsza, bardziej kochana i na pewno bardziej wolna niż kiedykolwiek wcześniej. Ale teraz musiała wyjechać.

Na „Majesticu” próbowała nie myśleć o tym, co zaszło tego ranka w Londynie. Podziwiała statek i przygotowania do podróży. Ale wiedziała, że w Camden Town bito w dzwon piętnaście razy, informując okolicznych mieszkańców, że chwila nadeszła. Słyszała już wcześniej ten dźwięk, kiedy mieszkała na Hilldrop Crescent, a pogoda była odpowiednia. Tylko że wtedy czuła się bezpieczna, a dźwięk więziennego dzwonu oznaczał cudze nieszczęście, równie nieważne jak ujadanie psa w sąsiedztwie.

Po przybyciu do Nowego Jorku udała się do Toronto i przyjęła nazwisko Ethel Nelson. Pracowała jako maszynistka. Ale w Kanadzie czuła się obco. W 1916 roku wyruszyła znów na morze, mimo zagrożenia ze strony niemieckich okrętów podwodnych, i wróciła do Londynu. Tam zatrudniła się jako sprzedawczyni w sklepie z meblami kilka przecznic od Scotland Yardu i poznała mężczyznę o nazwisku Stanley Smith. Pobrali się i wychowali dwoje dzieci w spokojnej dzielnicy East Croydon, zamieszkaney przez klasę średnią. W swoim czasie zostali dziadkami, ale

wkrótce potem mąż zmarł. Nigdy nie poznał prawdy o jej przeszłości.

Na kilka lat przed śmiercią Ethel odwiedziła osoba, która odkryła jej tajemnicę. Była to pisarka ukrywająca się pod pseudonimem Ursula Bloom. Chciała napisać powieść o doktorze Crippenie i Morderstwie z piwnicy w północnym Londynie. Ethel zgodziła się z nią spotkać, ale nie chciała rozmawiać o przeszłości.

W pewnym momencie Bloom zapytała, czy gdyby doktor Crippen przyszedł do niej dzisiaj, to czy wiedząc wszystko to, co wie, zgodziłaby się za niego wyjść, gdyby poprosił.

Ethel przybrała skupiony wyraz twarzy — to samo skupienie uderzyło nadinspektora Dewa na tyle, że opisał je w swoim okólniku.

Odpowiedzi udzieliła szybko.

Przypisy i źródła



Londyn, 1910 rok. *Katedra św. Pawła od strony Ludgate Circus*,
zdjęcie wykonane przez Alvina Langdona Coburna

Jednym z wielkich przywilejów zbierania materiałów do książki jest możliwość podróżowania do miejsc, które zwykle nie znajdują się w programach wycieczek organizowanych przez biura podróży. W Oksfordzie na przykład miałem przyjemność uzyskać dostęp do zasobów biblioteki New Bodleian, która ma zaledwie miliard lat i nie należy jej mylić z biblioteką Old Bodleian. Zdobyć tego dostępu wymagało pewnej wytrwałości. Z dużym wyprzedzeniem musiałem wypełnić wnioski i znaleźć „osobę polecającą”, która za mnie poręczy. Po przybyciu na miejsce musiałem przeczytać na głos deklarację, w której przysięgłem, że „nie wniosę do biblioteki ani nie rozpalę w jej wnętrzu ognia”. Zmuszony byłem zostawić w szatni moją kieszonkową lampę lutowniczą. Michael Hughes, któremu powierzono zarząd archiwum dokumentów Marconiego, ostatnio pozyskanych przez bibliotekę, był na tyle uprzejmy, że dał mi pełny dostęp do obszernego dziennika George’a Kempa, choć technicznie rzecz ujmując, archiwum jest zamknięte do czasu ukończenia prac bibliotekarskich.

W Archiwum Narodowym w Kew pod Londynem wstąpiłem do nieba pisarzy. Po godzinie zaznajamiania się z procedurami wyszukiwania oraz po zdobyciu „Biletu Czytelniczego” — plastikowej karty z kodem kreskowym — otworzyłem ukryty skarb, czyli dokumenty, które detektywi z Metropolitan Police wytworzyli podczas pościgu za Crippenem i panną Le Neve, jak również stosy zeznań pod przysięgą z biura Dyrektora Oskarżeń Publicznych oraz niewielką, ale podniecającą kolekcję rejestrów Komisji Więziennictwa, w tym „Tabele upadków”, która pozwoliła mi obliczyć dokładną wysokość, z jakiej w opinii edwardiańskiego kata musiałbym spaść, aby złamać kark — 142 centymetry. W sumie zebrałem ponad tysiąc stron oświadczeń, telegramów, notatek służbowych i raportów, które pomogły mi odtworzyć polowanie na Crippena i późniejszą pogoń przez ocean.

Jedną z moich największych radości były spacerunki po ulicach Londynu, które przemierzały niegdyś postaci pojawiające się na kartach niniejszej książki, koło skwerów, parków i budynków,

które istniały w ich czasach. Nie ma drugiego takiego miejsca jak Hyde Park w ciepły wiosenny wieczór, kiedy zaczyna blednąć złociste słońce, żaden widok nie robi tak wielkiego wrażenia jak Victoria Embankment pod sinym jesiennym niebem. Jak często się zdarza, przeżyłem dziwne chwile, w których przeszłość zdawała się wyciągać do mnie rękę, jakby chcąc mnie zapewnić, że jestem na właściwej drodze. Podczas mojej pierwszej podróży badawczej do Londynu panował niewiarygodny upał, a w moim hotelu nie było klimatyzacji. Po dwóch koszmarnych nocach przeniosłem się kilka przecznic dalej, do czarującego i rozkosznie chłodnego hotelu Academy House. Następnego dnia odkryłem, że okno mojego pokoju wychodzi na Store Street, krótką uliczkę, przy której mieszkali Crippen i Belle zaraz po przyjeździe Belle do Londynu i gdzie przez pewien czas Ethel Le Neve wynajmowała pokój.

Łatwo było sobie wyobrazić chwile, kiedy Crippen mijał biuro i laboratorium Ambrose'a Fleminga, znajdujące się w londyńskim University College. Wieczne ścieżki Crippena i Belle, a później Crippena i Ethel musiały się czasem krzyżować ze ścieżkami samego Marconiego, być może na Strandzie albo w teatrze na Shaftesbury Avenue, a może w Cri, The Troc, „Jimmy's” lub Café Royal. Jedno jest pewne: niemal codziennie fale, które Marconi wysyłał ze swego pierwszego aparatu, musiały przenikać ciała Crippena i Belle, pań ze Stowarzyszenia, nadinspektora Dewa i sir Melville'a, Fleminga i Maskelyne'a, oraz wszystkich innych postaci, które pojawiają się w tej książce.

Odwiedziłem pewną liczbę londyńskich muzeów i znalazłem dwa szczególnie pomocne w odtwarzaniu obrazu przeszłości. W Museum of London zobaczyłem jedną z autentycznych, pokolorowanych przez Charlesa Booth'a map i mogłem przesunąć ręką po błyszczącym lakierowanym boku dwukołowej dorożki. Również tam zobaczyłem najslawniejszego robota Maskelyne'a i Cooka, grającego w wista „Psycho”, jak również aparat słuchowy Crippena i ciężkie kajdanki, którymi niegdyś skuto mu ręce. A kiedy przekroczyłem próg londyńskiego Muzeum Transportu,

natychmiast obudził się we mnie rozradowany mały chłopiec, gdyż zebrano tam wiele starych taksówek, piętrowych autobusów i wagonów podziemnej kolejki z czasów, kiedy korytarze metra wypełniał popiół i dym. Miałem okazję spotkać się z Crippenem twarzą w twarz w Gabinecie Okropności u Madame Tussaud. Był niższy, niż się spodziewałem.

Podczas swoich badań zacząłem się uczyć włoskiego, przewidując, że będę musiał prowadzić poszukiwania we włoskich archiwach. Szybko okazało się, że jestem w błędzie, gdyż Marconi, „mały Anglik”, prowadził swoje sprawy, służbowe i prywatne, głównie w Anglii i po angielsku. Nauka włoskiego dała mi jednak lepsze wyczucie dziedzictwa, które ukształtowało wynalazcę, pozwoliła mi również rozwiązać zagadkę, która staje przed każdym Amerykaninem, który usiłuje wymówić jego imię. Fonetycznie brzmi ono: Gu-jel-mo.

Szczególnie przydatne w mojej pracy okazały się pewne opublikowane źródła. Jeśli chodzi o Marconiego najcenniejsze były wspomnienia Degny Marconi zatytułowane *My Father Marconi* (*Mój ojciec Marconi*), jedna z niewielu książek ukazujących życie uczuciowe tego człowieka. Inne prace również okazały się użyteczne, wśród nich wspomnienia Richarda Vyvyana, *Marconi and Wireless* (*Marconi i telegraf bez drutu*) oraz trzy opracowania, *Syntony and Spark* Hugh Aitkena, *Wireless: From Marconi's Black-Box to the Audion* Sungoka Honga oraz *Signor Marconi's Magic Box* Gavina Weightmana. W czytelni zbiorów specjalnych w University College w Londynie spędziłem wiele przyjemnych chwil, czytając zjadliwe komentarze na temat Marconiego i jego roszczeń, zawarte w listach świadczących o tym, że nawet największe intelekty epoki nie stronią od przyziemnych złośliwości. Tacy ludzie są po prostu bardziej wymowni w tym względzie. Równie cenne były listy i raporty przechowywane w archiwach Instytutu Inżynierów Elektryków (Institute of Electrical Engineers) w Londynie, w Beaton Institute na Breton University w Nowej Szkocji, w Cape Cod National Seashore oraz w Archiwum Kanady w Ottawie.

Jestem bardzo wdzięczny księżniczce Elettrze Marconi, córce Marconiego z drugiego małżeństwa, za zgodę na wywiad, który przeprowadziłem w jej domu na Via Condotti w Rzymie oraz wnukowi Marconiego — synowi Degny — Francescowi Parescemu, który porozmawiał ze mną w swoim mieszkaniu w ślicznym i spokojnym Monachium, gdzie pracuje jako fizyk w European Southern Observatory. Podziękowania jestem winien również Gabriele Falciasecca i Barbarze Valotti z Fondazione Guglielmo Marconi w Villa Griffone, które pokazały mi muzeum fundacji oraz poddasze, gdzie Marconi przeprowadzał swe pierwsze eksperymenty.

W opowiedzeniu historii Crippena pomogły mi szczególnie trzy wspomnienia: nadinspektora Dewa *I Caught Crippen (Złapałem Crippena)*, Ethel Le Neve *Ethel Le Neve* opublikowane, kiedy Crippen oczekiwał na egzekucję, oraz sir Melville'a Macnaghena *Days of My Years (Dni mojego życia)*. Obowiązkową lekturą dla wszystkich, którzy interesują się doktorem Crippenem, jest *The Trial of Hawley Harvey Crippen*, mniej więcej kompletny zapis procesu opublikowany w formie książkowej jako część Notable Trials Library. Zapiski w Bibliotece Hrabstwa Branch (Branch County Library) w Coldwater w stanie Michigan pomogły mi odtworzyć szczegóły dotyczące rodziny i dzieciństwa Crippena. Najlepszą relacją na temat samego Crippena jest książka Toma Cullena *Crippen, The Mild Murderer*.

Pewne książki dały mi pogląd na to, jak wyglądało życie w erze edwardiańskiej, czyli w okresie od 1900 roku do wybuchu pierwszej wojny światowej, choć sam król Edward VII zmarł w 1910 roku. Wśród najbardziej użytecznych znajdują się: *The Edwardian Turn of Mind* Samuela Hynesa, *The Other World* Janet Oppenheim, która bada ówczesną angielską obsesję okultystyczną, *The Edwardians* J.B. Priestleya oraz *The Edwardian Temperament, 1895—1919* Jonathana Rose'a. W księgarni Museum of London zdobyłem reprint *Baedeker's London and Its Environs 1900* opublikowany przez Old House Books, który na ponad czterystu stronach ukazuje obraz Londynu, jego restauracji,

hoteli, kolejki podziemnej i instytucji owych czasów. Zdoylem również wydaną przez Old House reprodukcję *Bacon's Up to Date Map of London 1902*, która dała mi dobry obraz edwardiańskiego Londynu i jego plątaniny ulic. Bardziej współczesny zbiór map, *London A—Z* okazał się nieocenioną pomocą w próbach odszukania różnych mało znanych miejsc.

Choć nieufnie odnoszę się do informacji prezentowanych w Internecie, znalazłem kilka stron wiarygodnych i użytecznych. MarconiCalling daje dostęp do łatwego w obsłudze archiwum zdjęć, nagrań, wczesnych migawek filmowych oraz listów i telegramów znajdujących się w posiadaniu Oxford University. Strona Edwin C. Bolles Collection na temat historii Londynu, stworzona przez Tufts University, pozwala odwiedzającym przeszukiwać zbiór książek na temat końca ery wiktoriańskiej, prezentujących opisy poszczególnych ulic i budynków — bez tej pomocy wyszukanie informacji zabrałoby mi wiele dni, o ile nie tygodni. Na przykład jeśli w wyszukiwarce wpisze się New Oxford Street, można dowiedzieć się wszystkiego o niechlubnych korzeniach jej sąsiedztwa. The Charles Booth Online Archive London School of Economics prezentuje zdjęcia oryginalnych notatników prowadzonych przez Bootha i jego ankieterów, w tym strony opisujące jego spacer po Hilldrop Crescent.

Niestety podczas przygotowywania ostatecznej wersji książki byłem zmuszony, przez wzgląd na spójność narracji i jej tempo, usunąć wiele interesujących, lecz bezużytecznych fragmentów. Niemniej jednak każdy czytelnik, dość szalony, by przeczytać przypisy, natrafi na niektóre z tych sierot. Upchnąłem je tam jedynie z tego powodu, że nie mogłem znieść myśli o ich całkowitym pominięciu.

Nie podaję źródeł ogólnie znanych faktów przytaczanych w tej książce, a jedynie tych materiałów, które z jakichś przyczyn tego wymagają. Zwykle są to cytaty i wiadomości, które inni autorzy odszukali jako pierwsi. I jeszcze raz chcę przypomnieć czytelnikom, że wszystko, co pojawia się w cudzysłowie, pochodzi z dokumentów pisanych. Wszystkie dialogi, które znajdziecie w tej

książce, zacytowane zostały dosłownie ze źródeł, w których się pojawiły po raz pierwszy.

Przypisy

Tajemniczy pasażerowie

9. *Kapitan Kendall miał...*: bardziej szczegółowe informacje na temat kapitana Kendalla patrz Croall, *Fourteen Minutes*, strony 22-25.
10. *Zwodowany w 1897 roku*: bardziej szczegółowe informacje na temat „Montrose” patrz Musk, *Canadian Pacific*, strony 59, 74.
11. *Na »Montrose« kabiny mieszczą się na*: Canadian Pacific Railway Company, Royal Mail Steamship Lines. Rozkład rejsowa na lato 1906 roku. Canadian Steamship Line Memorabilia. W Archiwum Kanady, MG 28 III 23.
11. „*Ciut lepiej niż najlepiej*”: ibidem.
11. *Według listy pasażerów*: zeznanie Kendalla, 4 sierpnia 1910 roku, strona 1. W NA-MEPO 3/198.
12. *wystawioną na pokaz w*: Read, *Urban Democracy*, strona 412.
13. „*wspaniałą, ale odrażającą*”: ibidem, strona 490.
13. *Na krotko przed*: zeznanie Kendalla, 4 sierpnia 1910 roku, strona 1. W NA-MEPO 3/198.
15. „*za dziwne i nienaturalne*”: ibidem, strona 2.
15. „*Tego dnia nie uczyniłem nic więcej*”: ibidem, strona 2.

Część I: Duchy i kanonada

Rozproszona uwaga

18. „*ulicznych porządkowych*”: Macqueen-Pope, *Goodbye Piccadilly*, strona 100.
18. „*krzewić wiedzę*”: Bolles Collection, Thomas Allen, *The History and Antiquities of London, Westminster, Southwark and Parts Adjacent* (tom 4), Cowie and Strange, 1827, strona 363.
19. „*wielką głowę*”: Hill, *Letters*, strona 184.
19. *Pewna młoda kobieta*: Haynes, *Psychical Research*, strona 184.
19. *Combs Rectory*: Jolly, *Lodge*, strona 18.
19. „*Bez względu na to, jakie mam wady*”: Lodge, *Past Years*, strona 29. Pod koniec życia Lodge odkrył, że w pewnej fazie jego kariery własne dzieci, jak to ujął, nieco się go obawiały. Szczególnie zapadł mu w pamięć jeden incydent. Wroczył z pracy późno, zmęczony i zirytowany, a kiedy posłał dzieci do łóżka, ze stanowczym poleceniem, by były cicho, zaczął sprawdzać „gruby plik” prac egzaminacyjnych. Nagle na parapet okna połała się woda z pokoju dziecinnego. Wpadł w furję. „Pobiegłem na górę. Właśnie wrócili do łóżek. Wyjaśnili, że podlewali kwiaty stojące na parapecie. Zbyt późno zdałem sobie sprawę, że chodzi o roślinę, którą sami uprawiali i bardzo polubili. Niech mi Bóg wybaczy, ale wyrzuciłem ją za okno”. Doniczka rozbiła się o ziemię. Później usłyszał cichy płacz dobiegający z pokoju dzieci. Żałował już zawsze tego zdarzenia. (Lodge, *Past Years*, strona 252).
19. „*Szedłem do domu*”: ibidem, strona 78.
19. „*miejscem świętym*”: ibidem, strona 75.
19. „*praktyków*”: termin „praktycy”, patrz „*The Electrician*”, rocznik 39, numer 7 (11 czerwca 1897 roku), strona 1.
20. „*niestosowny i odrażający*”: Aitken, *Syntony*, strona 126.
20. „*Interesowałem się*”: ibidem, strona 112.
20. „*wpadałem w rodzaj podniecenia*”: ibidem, strona 112.

20. „badać bez uprzedzeń”: Haynes, *Psychical Research*, strona 6. Niewątpliwie czasami uprzedzenia trudno było odrzucić, na przykład kiedy rozważało się wyczyny trzech sióstr znanych powszechnie jako „trzy panny Macdonald”. Organizowały one seanse, podczas których stolik przechylał się na „tak” i na „nie” i wystukiwał poszczególne litery alfabetu, co było bardzo nużące, zważywszy, że słowo „zoo” wymagało aż pięćdziesięciu ośmiu puknięć. Czasami stolik podczas ich sensów walił tak gwałtownie, że wedle jednego z historyków Towarzystwa Badań Parapsychicznych „jedna z sióstr musiała na niego wskakiwać, w krynolinie i tak dalej, i siedzieć na nim, póki się nie uspokoił”. Jedna z sióstr Macdonald miała później syna, Rudyarda, którego książka, zatytułowana *Księga dżungli*, weszła do grona najbardziej lubianych książek na świecie (Haynes, *Psychical Research*, strona 61).

21. „fizyczne siły”: ibidem, strona XIV.

21. *Komitet do spraw Nawiedzonych Domów*: ibidem, strona 25.

22. *W Bostonie William James*: spotkanie Jamesa z panią Piper skłoniło go do zanotowania: „Jeśli chcecie zaprzeczyć prawu, że wszystkie wrony są czarne, nie musicie wykazywać, że nie wszystkie są takie, wystarczy, że dowiedziecie, że jedna wrona jest biała. Moją białą wroną jest pani Piper. Kiedy obserwuję trans tego medium, nie mogę się oprzeć przekonaniu, że nabywa wiedzy, której nigdy nie zdobyła za pomocą swoich oczu, uszu i rozumu”. (Haynes, *Psychical Research*, strona 81).

22. „Była to niezwykła”: ibidem, strona 277.

22. „całkowicie przekonany”: ibidem, strona 279.

23. *W swoich wspomnieniach*: ibidem, strona 184.

24. „No to teraz może pan”: Lodge, *Past Years*, strona 113. Biograf Lodge’a, W. P. Jolly, napisał o nim: „Należał do lekkiej kawalerii Fizyki, wyprawiał się na zwiady i donosił o tym, co odkrył, nie był natomiast piechotą Inżynierii, która zajmuje i umacnia teren, by pościć go w sposób permanentny”. (Jolly, *Lodge*, strona 113).

Wielkie sza

25. „Największy problem stanowił dla mnie”: Marconi, *My Father*, strona 23. Wymaga to pewnych uściśleń, ponieważ zaprzęzenie fal elektromagnetycznych do telegrafii bez drutu proponowane było już wcześniej, w artykule autorstwa Williama Crookesa, fizyka i przyjaciela Olivera Lodge’a. Ukazał się on w 1892 roku w „Fortnightly Review”. Crookes był wówczas jednym z najbardziej szanowanych naukowców brytyjskich, jak również jednym z najbardziej kontrowersyjnych z uwagi na zainteresowanie zjawiskami paranormalnymi. Na początku lat siedemdziesiątych XIX wieku przeprowadził szczegółowe badania przypadku medium Daniela Douglasa Home’a, który urządzał seanse dla Napoleona III, cara Aleksandra II oraz innych wielkich sobie współczesnych i znany był z tak niezwykłych dokonań, jak przesuwanie mebli na odległość czy wyciąganie gołymi rękami rozżarzonych węgli z paleniska (pewnego razu położył taki węgiel na łysinie jednego z uczestników seansu, zapewne nie wyrządzając mu krzywdy). W 1868 roku, podczas sławnej „Lewitacji w Ashley House”, Home wyfrunął podobno z pokoju, gdzie odbywał się seans, przez jedno okno, a wrócił przez drugie. Badania Crookesa doprowadziły go do wniosku, że Home posiadał moce parapsychiczne. Twierdził nawet, że widział kilka razy, jak Home lewituje. To nie przysporzyło mu przyjaciół wśród ludzi brytyjskiej nauki i zapewne spowodowało, że niewiele osób zwróciło uwagę na jego artykuł w „Fortnightly Review”, w którym rozważał odkryte przez Heinricha Hertza fale elektromagnetyczne. „Oto pojawia się przed nami nowy, zaskakujący świat — taki, który trudno jest pojąć, jeśli nie daje możliwości przekazywania i przyjmowania inteligencji” — napisał. — „Promienie światła nie przenikają przez ścianę ani, jak wiemy o tym aż nazbyt dobrze, przez londyńską mgłę. Ale elektryczne drgania o długości fali metra lub więcej, wspomniane tu przeze mnie bez trudu przenikną przez takie substancje, które dla nich będą przezroczyste. Tu zatem objawia się oszałamiająca możliwość telegrafu bez drutów, słupów, kabli czy innych dzisiejszych kosztownych urządzeń”. Artykuł przeszedł w zasadzie bez echa i nawet Lodge nie zwrócił chyba na niego uwagi. (Oppenheim, *Other World*, strony 14-15, 35, 344, 475; Jolly, *Lodge*, strona 102; d’Abe, *Crookes*, strony 341-342).

26. „Che orecchi”: ibidem, strona 8.

27. „sumę przeciwności”: ibidem, strona 8.

27. „Marconi dorastał”: opis Villa Griffone, patrz Marconi, *My Father*, strony 6, 22, 24, 191.

28. „moją elektrycznością”: ibidem, strona 14.
28. „Jedną z nieprzeniknionych”: Paresce, „Personal Reflections”, strona 3.
29. „Wyrasz twarz”: Marconi, *My Father* strona 16.
29. „Zachowywał się przykładnie”: Maskelyne Incident, strona 27.
29. „małym Anglikiem”: ibidem.
30. „Historycy często twierdzą”: Isted, część 1, strona 48; Jonnes, *Empires*, strona 19.
30. *W miarę jak ludzie nabywali*: Collins, *Wireless Telegraphy*, strona 36-37. Podstawowa wiedza na temat elektryczności patrz Bordeaux, *Volts to Hertz* oraz Jonnes, *Empires*.
31. *Początkowo naukowcy*: Collins, *Wireless Telegraphy*, strona 36; Jonnes, *Empires*, strona 22.
32. *Georg Richman, zamieszkały w Rosji Szwed*: Jonnes, *Empires*, strona 29.
32. *W 1850 roku*: Collins, *Wireless Telegraphy*, strona 37. W 1850 roku dokonano również najdziwniejszej próby zestawienia łączności bezprzewodowej. Pewien Francuz pozwolił zawrzeć znajomość dwóm ślimakom, po czym wysłał jednego z nich do Nowego Jorku, do swojego rodaka, aby sprawdzić powszechnie utrzymującą się wówczas wiarę, że fizyczny kontakt pomiędzy ślimakami stwarza między nimi niewidzialne połączenie, za pomocą którego mogą się ze sobą porozumiewać bez względu na odległość. Francuzi umieścili ślimaki w metalowych misach, na których obrzeżu znajdowały się litery alfabetu, i twierdzili, że kiedy jeden ze ślimaków zawędrował na jakąś literę, drugi ślimak, znajdujący się po drugiej stronie oceanu, robił to samo. Uznawszy, że w jakiś sposób ślimaki przesyłają sobie sygnały, badacze postawili tezę, że istnieje przypominające eter królestwo, które nazwali „eskargotycznym fluidem”. Historia milczy na temat losu ślimakowa, choć narodowość obu badaczy pozwala snuć na jego temat dość ponure przypuszczenia (Baker, *History*, strona 21-22).
33. *W 1880 roku*: ibidem, strona 37.
33. *Według jego poręcznego szacunku*: ibidem, strona 8.
33. *Nazwał je mianowicie*: Massie and Underhill, *Wireless Telegraphy*, strona 41.
33. *Na podstawie relacji Lodge’a*: Aitken, *Syntony*, strona 116, 121; Hong, *Wireless*, strona 46.
34. „Kiedy ważyły się kwestie wojny”: Hancock, *Wireless at Sea*, strona 20.
35. „Giuseppe próbował ukarać”: Marconi, *My Father*, strona 24. 35. *Jako odbiornik zastosował „koherer”*: Hong, *Wireless*, strona 19. 35. „Nie straciłem odwagi”: Marconi, *My Father*, strona 26.
35. „stracił młodość”: ibidem, strona 26.
36. *Ale Marconi nie widział podobnych*: wywiad, Francesco Paresce, Monachium, 11 kwietnia 2005.
37. „nazbyt nieobliczalny”: Marconi, *Nobel*, strona 3.

Blizna

- Informacje na temat rodziny Crippena pochodzą głównie z *Coldwater Conovera*, strony 26-27 i 43; *Buildings* Eckerta, strony 201-3; *A History* Gillespiego, strony 12-18, 47-49, 89-93, 127 i 131; *Illustrated* Holmesa, całość; *History*, strony 118, 159, 172; *Potawatomi Tears* Massiego, strona 270; *Portrait*, strona 276; *Shipway*, strony 8-13; *Michigan Business Directory*, 1863; *Trial*, strony 34-39, 87-130 oraz rozmaitych fotografii, wycinków z gazet, listów i innych materiałów przechowywanych w Izbie Pamięci Branch County District Library w Coldwater w stanie Michigan.
38. *Młoda kobieta, która*: *Trial*, strony 34-35, Cullen, *Crippen*, strony 33-34.
39. „Sądzę, że było to”: *Trial*, strona 88.
39. „Powiedziałem jej, że”: ibidem, strona 35.
40. „pojawienie się kolonii”: *History of Branch County, Michigan*, strona 118.
41. „Przyjemne ulice i parki”: Holmes, *Illustrated*.
42. *Fotografia zrobiona*: ta fotografia pojawiła się w *Coldwater, Michigan, City Directory* ze stycznia 1920 roku. Branch County District Library.
44. „Kiedy byłem mały, diabeł”: Cullen, *Crippen*, strona 30. Na stronie 31 Cullen posuwa się do stwierdzenia, że Księża Izajasza „była ulubioną księżą Hawleya”.
45. „najobrzydliwsze przedstawienie”: Gillespie, *History*, strona 89.

- 45. *Jako homeopata znał: Trial*, strona 89.
- 46. *W Szpitalu Bethlehem: ibidem*, strona 69, 89.
- 46. *Twierdził również: ibidem*, 87-88.
- 48. *W styczniu 1892 roku: Cullen, Crippen*, strona 32.
- 49. „była dużo lepiej zagojona”: *Trial*, strony 18-19.
- 49. „Wiem tylko o jednym cieniu”: *Cullen, Crippen*, strona 35.
- 49. „bardzo pragnęła zostać”: *ibidem*, strona 35.
- 50. „Kocham dzieci”: *ibidem*, strona 87.
- 51. *Filson Young: Trial*, strony XXV-XXXVI.
- 51. „zawsze miała wybuchowy”: *ibidem*, 88.
- 51. „dla świata zewnętrznego”: *ibidem*, 126.

Dziwne wydarzenia

- 52. „w miejsce dwóch”: *Lodge, Past Years*, strona 299.
- 53. „Czy kiedykolwiek”: *Haynes, Psychical Research*, strona 40. Na świecie działało wówczas tyle mediów, że pewna amerykańska firma wyczuła okazję i zaczęła wydawać katalog zatytułowany *Gambols with the Ghosts*, z którego można było zamówić różne akcesoria przydatne podczas seansów, takie jak fluorescencyjne ręce i twarze oraz „kompletna świecąca postać kobiety”, która materializowała się powoli, po czym unosiła się w powietrzu (*Haynes, Psychical Research*, strona 18).
- 54. „Pomiędzy śmiercią a”: *Lodge, Why I believe*, strona 26.
- 55. „Nie zamierzam snuć domysłów”: *Lodge, Past Years*, strona 297.
- 55. „wykrzykując do”: *ibidem*, strona 295.
- 55. „To było tak, jakby”: *ibidem*, 297.
- 55. „Za każdym razem kiedy to robiła”: *ibidem*, strona 301.
- 56. „jakiejś struktury nieznannej”: *ibidem*, strona 301.
- 56. „z jej boku, przez ubranie wynurzyła się”: *ibidem*, strona 301.
- 56. „Ujrzałem, jak ten członek”: *ibidem*, strona 301.
- 56. „On me touche!”: *ibidem*, strona 301.
- 56. „Jeśli chodzi o fizykę ruchu”: *ibidem*, strona 302.
- 57. *ektoplazma: ibidem*, strona 301.
- 57. „Ektoplazmatyczny twór”: *ibidem*, strona 302.
- 57. „Zwróćmy uwagę, że”: *ibidem*, strona 305.
- 57. „Każda pozbawiona uprzedzeń osoba”: *ibidem*, strona 306.
- 57. „Nie wiemy jeszcze na pewno”: *ibidem*, strona 60.

Wystrzał

- 58. „Za każdym razem”: *Marconi, My Father*, strona 27.
- 59. „To właśnie wtedy dostrzegłem”: *Marconi, My Father*, strona 28.
- 59. „Było to odkrycie praktyka”: *Aitken, Syntony*, strony 125, 286.
- 60. „Wiedziałem jednak”: *ibidem*, strona 29.

Uśmierzanie bólu

- 62. „Czy czujesz się tak”: „*The Weekly Courier*”, Coldwater, Michigan, 6 kwietnia 1895 roku.
- 63. „Gwarantuję, że mój”: „*The News and Courier*”, Charleston, South Carolina, 6 lipca 1898 roku.
- 63. „Na krwawnie zasklepione”: *Goodman, Crippen*, strona 13.
- 63. „zważali na znak krzyża”: *Cullen, Crippen*, strona 37.
- 63. *Później, podczas wojny amerykańsko-hispańskiej: patrz zdjęcia na homeoint.org/photo/m2/munyonjm.htm.*

64. *Nazwał Crippena*: Cullen, *Crippen*, strona 38.
64. „*potulny jak kociak*”: patrz *Crippen Family Research Records* na familytrail.com/crippen/DrCrippen2.html.
64. „*frywolną kobietą*”: Cullen, *Crippen*, strona 39.
64. „*Lubiła innych mężczyzn*”: ibidem, strona 39.

Dwa bilety do Londynu

65. „*Bez względu na to*”: Paresce, *Personal Reflections*, część II, strona 1.
67. *Stolica imperium*: szczegóły w tym akapicie pochodzą głównie z Baedekera, *London*, strony 3, 93, 96, 97 oraz od Massiego, *Dreadnought*, strona XX.
68. *Nowa Ustawa o Spalinowozach*: Brownie, *Rise*, strona 236.
69. *sama królowa Wiktoria*: Cullen, *When London Walked*, strona 137.
70. „*później wystarczył kontakt psiego*”: Ellis, *Psychology of Sex*, strona 21.
70. *Rezydencja księcia Devonshire*: Maurois, *Edwardian Era*, strona 278.
70. *obejmujące zapewne*: Priestley, *Edwardians*, strona 66.
70. *Barbara Tuchman*: Tuchman, *Wyniosła wieża*, strony 68-69.
70. *Wraz z nową świadomością*: szczegóły w tym akapicie pochodzą z książki Tuchman, *Wyniosła wieża*, strony 92-106, oraz Brownie, *Rise*, strony 232-35 i 279, Deghy i Waterhouse, *Cafe Royal*, strony 50-57. Korzystałem również z przewodnika Malato, strona 57, oraz *Fitzrovians* Davida, strony 96-97.
71. *Już na początku nowa siedziba*: Cullen, *When London Walked*, strony 101-102.
72. *Kiedy policja przeniosła się*: Jeffers, *Bloody Business*, strona 93.
72. *Nikt nie mówił mu wprost*: Massie, *Dreadnought*, strona 15.
72. *Przed śniadaniem*: Magnus, *King Edward*, strona 333.
72. *Księżę nie znośli być*: Massie, *Dreadnought*, strona 15.
73. *Pod koniec lat dziewięćdziesiątych*: Rose, *Edwardian Temperament*, strona 165.
73. *liczba takich*: Read, *Urban Democracy*, strona 42; Priestley, *Edwardians*, strona 172; Baedeker na stronie 64 podaje liczbę music-halli w samym Londynie na 500.
73. *Przy łóżku trzymała*: Massie, *Dreadnought*, strona 13.

Część II: Zdrada

Tajemnicza skrzynka

76. „*maxwellian*”: szczegóły na temat pracy Hertza oraz szacunku, a nawet wręcz czolobitności, jaką oddawali mu Oliver Lodge i jego obóz, patrz O'Hara i Pricha, *Hertz*. Patrz również Hong, *Wireless*, strona 44.
76. *Młody wynalazca złożył zatem*: informacje na temat budynków pochodzą z przewodnika Baedekera po Londynie, strony 80, 122, 181.
77. „*Minęło południe*”: relacja Mullisa jest cytowana obszernie u Bakera w *Preece*, strony 266-267.
78. *Preece i Marconi byli*: Hong, *Wireless*, strony 37-38.
78. *Preece wiedział, że*: Aitken, *Syntony*, strony 210-214, 288.
79. *Później Preece twierdził*: Aitken, *Syntony*, strona 288.
79. *Marconi opisał spotkanie*: Marconi do Giuseppe Marconiego, 1 kwietnia 1896 roku, *Letters*, strony 96-97.
79. „*Obiecał mi, że*”: ibidem, strona 97.
80. „*La calma della mia vita*”: Marconi, *My Father*, strona 46.
80. „*pewien Włoch przestawił*”: Hong, *Wireless*, strona 38.
81. „*Ostatnio niejaki Preece*”: ibidem, strona 38.
81. „*W tym, co próbuje*”: Lodge do Preece'a, 16 października 1896 roku, IEE, SC Mass. 22/213.
82. „*Sądzę, że nie powinno się*”: Marconi do Preece'a, 5 grudnia 1896 roku, IEE, NA 13/2/02.

83. „*The Strand Magazine*”: Weightman, *Signor Marconi's*, strona 9; Isted, część 1, strona 53.
84. „wręcz przeproszał, że”: Marconi do Giuseppe Marconiego, 9 stycznia 1897 roku, *Letters*, strona 100.
85. „słuchacze poczuli się bardziej wyedukowani”: Hong, *Wireless*, strona 39.

Anarchiści i sperma

87. „Mogę stwierdzić, że”: *Trial*, strona 36.
87. *Kawałek drogi w kierunku*: więcej szczegółów na temat sąsiedztwa oraz grup Bloomsbury i Fitzroy Street, patrz odpowiednio Stansky, *December*, oraz David, *Fitzrovians*.
88. „Drzwi otworzyły się”: Stansky, *December 1910*, strona 10.
89. *Przez lata suterena pod numerem*: David, *Fitzrovians*, strona 95.
89. *Niedaleko, pod numerem 30*: David, *Fitzrovians*, strona 95; Deghy i Waterhouse, *Cafe Royal*, strona 54.
90. *Harrison tak wspomina*: Cullen, *Crippen*, strona 42.
90. *Fotografia mniej więcej z tego okresu*: Goodman, *Crippen File*, strona 16.
91. „Kilka kulawych dialogów”: Cullen, *Crippen*, strona 42.
91. *Program teatralny z tego okresu*: Goodman, *Crippen File*, strona 25.
91. „*Brooklyn Matzos Ball*”: Cullen, *Crippen*, strona 44.
92. „płatnych koncertach”: *Trial*, strona 36.
92. „*Ciągle uważała, że jestem*”: ibidem, strona 88. 92. „*ten człowiek odwiedzał ją*”: ibidem, strona 36.

Niemiecki szpieg

93. *Od dawna drażniła go*: Andre Maurois napisał o Wilhelmie: „Jest wrażliwy i pełen zapachu i dla artystów mógłby być cennym przyjacielem. Ale jako głowa Imperium jest przerażający. Jego mowy, a nawet telegramy były melodramatycznymi tyradami. Jego matka żałowała, że nie może mu zamknąć ust na kłódkę przed każdym publicznym wystąpieniem”, (Maurois, *Edwardian Era*, strona 83).
93. *Wedle Kappa był on*: Kapp do Preece'a, 19 marca 1897 roku, IEE, SC Mss. 022. Teczka 100-276.
94. „*Jeśli chodzi o rząd*”: Marconi do Giuseppe Marconiego, 20 stycznia 1897 roku, *Letters*, strony 101-102.
94. *Dwóch Amerykanów*: ibidem, strona 102.
94. *Ale w kwietniu*: Marconi do Preece'a, 10 kwietnia 1897 roku, IEE, NA 13/2/08. Patrz również Aitken, *Syntony*, strony 218, 222-223.
95. *9 kwietnia 1897 roku*: Graham do Preece'a, 9 kwietnia 1897 roku, IEE, NA 13/2/07.
95. „*Jestem w kłopotach*”: Marconi do Preece'a, 10 kwietnia 1897 roku, IEE, NA 13/2/08.
96. *W liście do ojca*: Marconi do Giuseppe Marconiego, 8 sierpnia 1897 roku, *Letters*, strona 102.
96. „*Pod koniec 1897 roku*”: Wspomnienia Preece'a, 26 lipca 1937 roku, 5 IEE, NA 13/2/24.
98. *W piątek, 7 maja*: *Dziennik Kempa*, 7 maja 1897 roku.
98. „*Więc niech tak będzie*”: *Dziennik Kempa*, 13 maja 1897 roku.
98. „*Nie mogę go kochać bardziej*”: Slaby do Preece'a, 23 czerwca 1897 roku, IEE, SC Mss. 22/180.
99. „*Tu jest zimno*”: *Dziennik Kempa*, 18 maja 1897 roku. 99. „*Mnie nie udało się*”: Hancock, *Wireless*, strona 4.
99. „*Przyjechałem jako obcy*”: Slaby do Preece'a, 15 maja 1897 roku, IEE, SC Mss. 22/180.
99. *W Berlinie Slaby*: Slaby do Preece'a, 27 czerwca 1897 roku, IEE, SC Mss. 22/179.
100. *Musiał jednak wycofać*: Hong, *Wireless*, strona 13.
100. „*Gazety uważają metodę*”: Lodge do Preece'a, 29 maja 1897 roku, IEE, SC Mss. 22/210.
101. „*Jak się zdaje*”: Weightman, *Signor Marconi's*, strony 31-32.

101. „*uważaj, by ta kwestia*”: Fitzgerald do Lodge’a, 21 czerwca 1897 roku, UCL, Lodge Collection, MS Add 89/35 iii.
102. „*Powiedziałem mu wyraźnie, że*”: Preece do sekretarza, G.P.O., 15 lipca 1897 roku, IEE, Post Office Records, English Minute No. 336170/98.
103. „*Skonstruowałem cały aparat*”: Slaby do Preece’a, 27 czerwca 1897 roku, IEE, SC Mss. 22/179.
103. „*Jesteśmy szczęśliwymi ludźmi*”: Slaby do Preece’a, 23 czerwca 1898 roku, IEE, SC Mss. 22/180.

Bruce Miller

104. „*Podałem jej tylko rękę*”: *Trial*, strona 22.
105. „*Nie jestem pewien*”: zeznanie Millera, strona 4, NA-DPP 1/13. 105. „*Kiedy ją poznałem*”: ibidem, strona 4.
106. „*czasami po południu*”: ibidem, strona 5.
108. „*Brązowe Oczy*”: *Trial*, strona 20.
108. „*Jest to prawda tylko po części*”: Deghy i Waterhouse, *Cafe Royal*, strona 22.
107. „*Mój mąż nie ma*”: zeznanie Millera, strona 5, NA-DPP 1/13.
107. „*dość często, by*”: *Trial*, strona 20.
107. „*jego Kodakiem*”: zeznanie Millera, strona 5, NA-DPP 1/13.
107. „*uściski i buziaki*”: *Trial*, strona 37.

Wrogowie

108. „*Trzy lata temu doktor Lodge*”: „*The Electrician*”, 39, nr 21 (17 września 1897 roku), strony 686-687.
108. „*Chcemy znać prawdę*”: „*The Electrician*”, 39, nr 25 (15 października 1897 roku), strona 832.
109. „*Mam nadzieję, że to nowe*”: Marconi do Preece’a, 9 września 1897 roku, IEE, NA 13/2/13.
109. „*ale jak dotąd nie uzyskano*”: Baker, *Preece*, strona 275.
110. „*niepotrzebne podniecenie*”: ibidem, strona 279.
110. „*Chcę Panu pokazać mój raport*”: Preece do Lodge’a, 18 listopada 1899 roku, UCL, Lodge Collection, 89/86.
110. „*próbie przewrócenia przez*”: Lodge do Thompsona, 21 stycznia 1900 roku, UCL, Lodge Collection, 89/104 ii.
110. „*wszechobecny sceptycyzm*”: Oto przykład: w liście do Lodge’a fizyk Oliver Heaviside napisał: „*Podaję w wątpliwość użyteczność praktyk Marconiego, chyba że w wyjątkowych okolicznościach. Heliotrop ma w dzień o wiele większy zasięg + szperacz w nocy. Na pewno znajdzie się dla niego jakieś zastosowanie. Ale tak naprawdę podstawą są druty*”. Heaviside do Lodge’a, 23 czerwca 1897 roku, UCL, Lodge Collection, 89/50.
111. „*Telegrafia bez drutu jest wspaniała*”: Marconi, *My Father*, strona 45.
111. „*Główna przeszkoda, jaką widzę*”: Kelvin do Lodge’a, 5 maja 1898 roku, UCL, Lodge Collection, 89/107.
111. „*Myszę, że byłoby bardzo dobrze*”: Kelvin do Lodge’a, 11 czerwca 1898 roku, UCL, Lodge Collection, 89/107.
111. „*Przyjmując stanowisko inżyniera-konsultanta*”: Kelvin do Lodge’a, 12 czerwca 1898 roku, UCL, Lodge Collection, 89/107.
111. „*Dzień dzisiejszy to tylko*”: Muirhead do Lodge’a, 4 czerwca 1898 roku, UCL, Lodge Collection, 89/77.
112. „*Ta kwota jest zdaniem*”: Jameson Davis do Lodge’a, 29 lipca 1898 roku, UCL, Lodge Collection, 89/70.
113. *KRÓLEWSKI JACHT OSBORNE*: Marconi do Lodge’a, 2 sierpnia 1898 roku, UCL, Lodge Collection, 89/70.

113. *Wszyscy czytelnicy gazet*: Marconi, *My Father*, strony 65-67; Weightman, *Signor Marconi's*, strony 41-42.
114. „*zawrócić i iść naokoło*”: Marconi, *My Father*, strona 66; Wander, *Radio's First Home*, strona 52.
114. „*Ależ, wasza wysokość*”: ibidem, strona 66.
114. „*Jego Królewska Wysokość książę*”: ibidem, strona 67.
115. „*Czy możesz przyjść*”: Weightman, *Signor Marconi s*, strona 42.
115. „*Cieszę się, mogąc stwierdzić*”: Marconi do Lodge'a, 2 sierpnia 1898 roku, UCL, Lodge Collection, 89/70.
115. „*domku pewnej damy*”: Dziennik Kempa, 24 sierpnia 1898 roku.
116. „*Zatelegrafowałem do Londynu*”: ibidem, 22 sierpnia 1898 roku.
116. „*Mam szczerą nadzieję*”: Marconi do Lodge'a, 2 listopada 1898 roku, UCL, Lodge Collection, 89/70.
108. „*bardzo żałuję, że*”: Marconi do Lodge'a, 11 października 1898 roku, UCL, Lodge Collection, 89/70.
117. *17 grudnia 1898 roku, o dziewiątej rano*: relacja z tych wydarzeń znajduje się w dzienniku Kempa, wpisy od 17 grudnia 1898 roku do 4 stycznia 1899 roku. Dziennik Kempa.
119. *W kwietniu, kiedy*: Baker, *History*, strona 42; Faulkner, *Watchers*, strony 6-7.
120. *Pewnej nocy, podczas sztormu*: Marconi, *My Father*, strony 71-72; Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 20.

Czy był pan jej kochankiem?”

122. *Pisał pan do niej jako*: ta wymiana zdań pojawia się w *Trial*, strony 20-21.

Fleming

125. *Z radością przesyłam pozdrowienia*: Marconi do Fleminga, 28 marca 1899 roku, UCL, Fleming Collection, 122/66.
126. „*z obszaru niepewnych i delikatnych*”: Hong, *Wireless*, strony 56-57.
127. „*Zwrócono mi uwagę na Pański list*”: Lodge do Fleminga, 11 kwietnia 1899 roku, UCL, Fleming Collection, 122/66.
127. „*oskarżeniem ludzi nauki*”: Hong, *Wireless*, strona 57.
127. „*W moim liście do »Timesa«*” Fleming do Lodge'a, 14 kwietnia 1899 roku, UCL, Fleming Collection, 122/66.
127. *zdefiniowana „nieco dokładniej*”: Fleming do Jamesona Davisa, 2 maja 1899 roku, UCL, Fleming Collection, 122/47.
128. „*Mam silne przekonanie*”: ibidem.

Powstaje Stowarzyszenie Pań

129. „*Uzgodniłszy, że będziemy*”: *Trial*, strona 89.
129. „*hojną ręką*”: ibidem, strona 97.
130. *Pewnego wieczoru, kiedy*: zeznanie Millera, strona 2, NA-DPP 1/13.
130. „*Nigdy nie wtrącałem się w jej sprawy*”: *Trial*, strona 37.
130. „*Oczywiście miałem nadzieję*”: ibidem, strona 89.
130. „*Została zaangażowana*”: ibidem, strona 36.
131. „*Wyjeżdżała na jakieś dwa tygodnie*”: ibidem, strona 36.
131. „*Prawie nie widywało się*”: Macqueen-Pope, *Goodbye Piccadilly*, strony 300-301.
131. „*Kiedy rankiem miała*”: *Trial*, strona 77.
132. „*Nie była to wspaniała artystka*”: Rose, *Red Plush*, strona 29.
132. „*Ponieść porażkę nawet w budzie na East Endzie*”: Machray, *Night Side*, strona 118.
133. *Pewien fotograf uwiecznił*: Goodman, *Crippen File*, strona 15.

134. „Och, Belle, czy ona cię boli?": zeznanie Clary Martinetti. Streszczenie dla oskarżenia. NA-DPP 1/13.

„Gigantyczny eksperyment”

135. *po co sobie zawracać*: Wspaniałą dyskusję na ten temat znaleźć można u Aitkena, *Syntony*, strony 240-241. Aitken twierdzi, że firmy właściciele kabli zaatakowałyby każdego konkurenta, który mógłby spowodować obniżenie stawek za słowo. Interes był dochodowy, a koncerty czerpały z niego wielkie zyski. Dysponowały zresztą możliwościami obsługi większego ruchu. Aitken twierdzi, że w wojnie cenowej trust kablowy mógłby się okazać groźnym przeciwnikiem.

135. *Zdawał sobie sprawę*: wywiad z Franceskiem Parescem, wnukiem Marconiego, przeprowadzony w Monachium 11 kwietnia 2005.

„Nie znał ograniczeń” — powiedział mi Paresce. — „Mam wrażenie, że od pierwszego dnia wiedział, że fale radiowe mogą połączyć dowolne dwa punkty na ziemi”. To, że Marconi proponował przeprowadzenie eksperymentu na taką skalę, wynikało przede wszystkim z jego osobowości i oceny perspektyw firmy. „Aby wygrać wyścig, nie mógł jak dotąd czynić małych kroczków” — powiedział Paresce.

— „Miał świadomość, że jego system nie działa komercyjnie”.

Oczywiście istniały bardziej rozsądne drogi, powiedział Paresce.

„Mógł na przykład osiągać coraz większy zasięg, komunikując się ze statkami”. Ale zadowolenie się czymś takim i nie przetestowanie swojej wizji byłoby wbrew charakterowi Marconiego. „Myślę, że taki był naprawdę” — powiedział Paresce. — „Bardzo uparty, bardzo zdeterminowany i w dodatku samouk”. Ale na jakimś głębszym poziomie Marconi rozumiał również, że to co nauka uważa za niezmiennie prawa może z czasem okazać się błędem. „Nauczył się bardzo wcześnie, żeby nie traktować zbyt poważnie nowoczesnej nauki” — powiedział Paresce. Być może Marconi wierzył, „że w tym zagadnieniu istnieje dość niewiadomych, by coś mu przyszło z pomocą”.

Jakkolwiek cudaczna wydawałaby się idea Marconiego, miała również wymiar praktyczny. „Potrafił niezwykle sprawnie manipulować prasą” — powiedział Paresce. — „Jestem prawie pewien, że podstawową przyczyną, dla której to zrobił, był wielki wpływ, jaki sukces miały na jego interesy. Robiąc coś z wielkim hukiem, mógł zyskać więcej uwagi i uzyskać pomoc najlepszych ludzi”.

136. „Nie mam najmniejszych wątpliwości”: Hong, *Wireless*, strona 60.

136. „Kiedy zostaje się przedstawionym”: cytat w Marconi, *My Father*, strona 76.

137. *Przerażony gość*: ibidem, strona 76.

137. „roztaczał wokół siebie dziwną”: ibidem, strona 76.

137. „nieco nieobecny duchem”: cytat w Weightman, *Signor Marconi's*, strona 59.

138. *Odszukał kufer*: Marconi, *My Father*, strony 76-77. Więcej szczegółów na temat Pucharu Ameryki patrz strony 77-80. Patrz również Weightman,

Signor Marconi's, strony 60-61, oraz Baker, *History*, strony 48-49.

138. „wstrząs wywołany przez”: cytat w Marconi, *My Father*, strona 80; Faulkner, *Watchers*, strona 7.

139. „Zapamiętałam jego dziwne”: Marconi, *My Father*, strona 168. 139. „No to spróbuj”: Isted, część I, strona 55.

139. „St. Paul” mu odpowiadał: „St. Paul” miał bliźniaczą jednostkę „St. Louis”, na której w 1907 roku wyruszył z Anglii do Ameryki czteroletni chłopiec, Leslie Townes Hope, później znany jako Bob Hope. O swojej emigracji powiedział później : „Opuściłem Anglię w wieku czterech lat, kiedy odkryłem, że nie mogę zostać królem”. Fox, *Transatlantic*, strona 391. Cytat z Hope’a pochodzi ze strony BobHope.com/bob.htm.

140. „Needles przypominały”: cytat w Marconi, *My Father*, strony 82-83.

141. „Jak wiadomo”: Hancock, *Wireless*, strona 20.

141. *Josephine Bowen Holman*: Aby dowiedzieć się więcej o panie Holman i jej rodzinie, przeprowadziłem poszukiwania w bibliotece stanu Indiana, a tam skorzystałem z następujących źródeł: „Indianapolis News”, 20 i 21 grudnia 1901 roku, 21, i 22 stycznia 1902 roku, 5 czerwca 1972 roku; „Indianapolis Star”, 20 grudnia 1909 roku, 24 maja 1948 roku, 4 sierpnia 1979 roku; „Indianapolis Star Magazine”, 8 marca 1970 roku

142. „całkowitą pewność”: szczegóły na temat Tesli i jego artykułu w „Century” patrz Cheney i Uth, *Tesla*, strony 87, 90, 99-100; Hong, *Wireless*, strona 72. Obszerne fragmenty artykułu cytuje Sewall w *Wireless*, strony 51-52.
143. *Choć kontrakt był ważny*: Aitken, *Syntony* strona 232-235.
146. „Ale później nastąpiły większe cuda”: „Times”, Londyn, 4 października 1900.
147. „Kiedy wyjechałeś”: Marconi, *My Father*, strona 93.
147. „Zastanawiam się, czy jak”: ibidem, strona 93.
148. „żąda ogromnej ilości mojego”: Fleming do Flooda Page’a, 23 listopada 1900 roku, UCL, Fleming Collection, 122/47.
148. „Chcę przez to powiedzieć”: Flood Page do Fleminga, 1 grudnia 1900 roku, UCL, Fleming Collection, 122/47.
148. „Jeśli chodzi o specjalne uznanie”: Fleming do Flooda Page’a, 3 grudnia 1900 roku, UCL, Fleming Collection, 122/47.
149. *W grudniu Nevil Maskelyne*: Bartram, I, strona 50.
137. *No i był jeszcze Lodge*: dyskusja Lodge’a z Muirheadem cytowana jest w liście od George’a Fitzgeralda do Lodge’a, datowanym na 14 czerwca 1899 roku, UCL, Fleming Collection, 89/35 iv.
149. *Przyjął posiadłość*: Jolly, *Lodge*, strona 132.

Koniec świata

150. „Najbardziej charakterystyczną cechą”: Hicks, *Not Guilty*, strona 68.
151. *W 1898 roku*: Massie, *Dreadnought*, strona 180; Clarke, *Voices*, strona 133.
152. „Początkowo rozpęta się rzeź”: ibidem, strona 134.
153. „Zastanawiam się, czy”: Weintraub, *Edward*, strona 387.

Część III: Tajemnice

Panna Le Neve

155. *Drouet produkował*: Cullen, *Crippen*, strona 48.
155. „Nie lubiłam lalek ani innych zabawek”: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strona 6.
155. „Bardzo niedługo potem”: ibidem, strona 8.
156. „Z jakichś powodów”: ibidem, strona 8.
156. „Szybko odkryłam, że prowadzi”: ibidem, strona 8.
156. *Pewnego razu*: ibidem, strona 8.
157. „Po jej odejściu”: ibidem, strona 9.
157. „Jej wizyta miała nieco”: ibidem, strona 9.
158. *Potem nastąpiła jeszcze bardziej*: ibidem, strona 9.
159. *Crippen wniósł do firmy*: Cullen, *Crippen*, strona 61. Cullen utrzymuje, że Crippen przyniósł ze sobą również listy adresowe klientów Droueta.
159. „Dzięki niej otrzymuje Pan”: Goodman, *Crippen File*, strona 12.
160. *W swoim czasie Aural Remedies*: ibidem, strona 13.
160. „Choć oczywiście”: *Trial*, strona 37.
161. „Daj rękę, poczujesz”: zeznania Maud Burroughs, 16 września 1910 roku, NA-DPP 1/13.
162. „spędziliśmy razem cały dzień”: Ellis, *Black Flame*, strona 318.
162. „jedyną osobę na świecie”: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strona 10.
162. „czystym przypadkiem”: ibidem, strona 12.

„Fabryka grzmotów”

164. „Uważali go chyba za”: Marconi, *My Father*, strona 100.
164. „pomiędzy nami a Europą”: Thoreau, *Cape Cod*, strona 59.

165. „*Na miejscu dostępna jest woda*”: *Report for G. Marconi on his recent visit to America*, Cape Cod National Seashore.
165. *Marconiemu umknęło pewne historyczne skojarzenie*: Kittredge, *Cape Cod*, strona 94.
165. *Cook zapewnił Marconiego* : Marconi, *My Father*, strona 100.
166. „*Trudno na podstawie opisu*”: Thoreau, *Cape Cod*, strony 45-46.
166. *Niebo często zakrywały chmury*: podane w tym rozdziale informacje na temat pogody, patrz „*Monthly Weather Review*”, strony 49, 53, 77, 80, 85, 99, 123, 144, 182, 206, 224, 246, 272, 277, 291, 295, 318-322, 348, 380, 385, 403, 428, 433, 450, 470, 490, 493-494, 516, 536, 543, 569, 572, 596, 606, 610.
168. „*Było dla mnie jednak jasne*”: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 28.
168. „*okres szczególnie silnych sztormów*”: „*Monthly Weather Review*”, strona 99.
168. „*Wobec odludnego położenia*”: Bradfield do komitetu wykonawczego, 30 marca 1906 roku, Cape Cod National Seashore.
169. „*ogromną kostnicą*”: Thoreau, *Cape Cod*, strona 182.
169. „*Oto naga Natura*”: ibidem, strona 182.
169. *Fotografia z tego okresu*: „*Marconi Site.*”, Wellfleet Historical Society.
169. „*Trudno było stracić go dla kogoś*”: Marconi, *My Father*, strona 80.
170. „*Żałuję, że nie dostałam tego listu*”: ibidem, strona 82.
170. *Wraz ze swym przyjacielem*: Aitken, *Syntony*, strona 143; Hong, *Wireless*, strona 46.
170. *A Marconi doznał*: Aitken, *Syntony*, strony 246-247, przypis 67 na stronie 293.
171. *21 maja 1901 roku*: *Daily Graphic*, 28 maja 1901 roku, UCL, Fleming Collection, 122/66; Faulkner, *Watchers*, strona 11; Hancock, *Wireless*, strony 29-30.
171. *Dopiero kilka lat później*: Faulkner, *Watchers*, strona 11.
172. „*Jeśli otworzyłeś drzwi*”: „*Cape Codder*”, 18 czerwca 1970 roku, Cape Cod National Seashore, teczka 4.7-2.
173. „*W sierpniu pod wpływem*”: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 28.
173. „*Nazywaliśmy to*”: Crowley do Fleminga, 11 stycznia 1938 roku. UCL, Fleming Collection, 122/3.
174. „*Mieliśmy dziś zjawisko elektryczne*”: *Dziennik Kempa*, 8 sierpnia 1901 roku.
174. „*Pogoda jest ciągle zła*”: ibidem, 14 sierpnia 1901 roku.
174. „*Uwaga. Niezwykle niebezpieczne*”: patrz fotografia, *Dziennik Kempa*, obok strony 154.
175. „*fabrykę grzmotów*”: Weightman, *Signor Marconi's*, strona 170.
175. *Najważniejsza klauzula głosiła*: Aitken, *Syntony*, strony 235-236; Bertram, I, strona 51.

Klaustrofobia

176. *21 września 1905 roku*: *Trial*, strona 9.
176. *Półksiężyc ocieniony był drzewami*: opis Hildrop Crescent i okolicy powstał przede wszystkim na podstawie dostępnych on line archiwów zbiorów Bollesa i Bootha oraz przewodnika Baedekera, jak również zeznań nadinspektora Waltera Dewa złożonych na potrzeby oskarżenia, strona 77, NA-DPP 1/13, w których opisuje wygląd domu pod numerem 39. Inne szczegóły zaczerpnąłem z dwóch zdjęć domu i ogrodu wykonanych przez policję, NA-EPO 3/198.
181. *W 1902 roku więzienie stało się*: egzekucje odbywały się w tych okolicach od ponad wieku. W XVIII wieku w Camden Town stała gospoda o nazwie Czerwona Czapeczka Mamusi (Mother Red Cap), przy której znajdował się przystanek omnibusów. Była to również końcowa stacja dla skazańców, których wieszano publicznie na drugiej stronie ulicy. „*Morning Post*” z 1776 roku podaje, że „*Biuro sekretarza stanu wydało rozkaz, by przestępcy, skazani na gardło przez Old Bailey, byli w przyszłości traceni na rozstajach koło Czerwonej Czapeczki Ma413 musi — gospody stojącej w połowie drogi do Hampstead [...]*”. Jedną z ostatnich rzeczy, jaką widział skazany, był szyld gospody przedstawiający kobietę, zapewne Matkę Damnable (Przeklętych), opisaną w rymowance z 1819 roku jako kobietę tak „*twardą, że nawet pies jej nie podoła*”. Bolles, Henry B. Wheatley, *London Past and Present*, John Murray, 1891.

165. *Prawo nakazywało mianowicie*: Memoranda. Egzekucje w Pentonville. NA-HO 45/10629/200212.
181. *Jeden z bezpośrednich sąsiadów więzienia*: Cole do Churchilla, 11 listopada 1910 roku. Egzekucje w Pentonville. NA-HO 45/10629/200212.
182. „*Nie sądzę, żeby*”: Davies do Komisji Więziennictwa, 22 listopada 1910 roku. Egzekucje w Pentonville. NA-HO 45/10629/200212.
183. „*Jejku, masz tu rzecz*”: *Trial*, strona XXVI.
183. „*Pani Crippen była niezwykle oszczędna*”: *ibidem*, strona XVIII.
184. „*Pani Crippen nie lubiła*”: *ibidem*, strona XIX.
184. „*Pewnego ranka, kiedy była zajęta*”: *ibidem*, strona XIX.
185. „*zawsze sprawiali wrażenie*”: Zeznanie Jane Harrison, strona 103, Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
185. „*Państwo Crippen nie byli wobec siebie przyjaźni*”: Zeznanie Rhody Ray, strona 139, Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
185. „*dość niecierpliwie*”: *Trial*, strona 12.
185. *Wkrótce po przeprowadzce*: *Trial*, strona XVIII.
186. *Opisał swoją historię w liście*: relacja Karla Reinischa, *Dr. Crippen on Board*, Black Museum, NA-MEPO 2/10996. Ten dokument nie był dostępny dla historyków do 2001 roku.
187. *Drugi lokator*: *Trial*, strona XIX.
187. „*Musiał wstawać o szóstej rano*”: *Trial*, strony XVIII-XIX.
188. *W sobotni poranek 23 czerwca*: Cora Crippen do Reinischa, 23 czerwca 1906 roku, Black Museum, NA-MEPO 2/10996.
188. „*Był człowiekiem bez widocznych wad*”: *Trial*, strona XVIII.
188. *Wkrótce po przeprowadzce*: *ibidem*, strona XVIII.
189. *5 stycznia 1909 roku*: *ibidem*, strona 108.
189. „*Jego ekscentryczny gust*”: *ibidem*, strona XVIII.
189. „*Nigdy nie lubiłem*”: Zeznanie Paula Martinettiego, Dodatkowe Informacje, strona 27. (Większość dokumentów z tego zbioru przechowywana jest pod sygnaturą NA-DPP 1/13, ale część, w tym zeznanie Martinettiego, pod sygnaturą NA-CRIM 1/117).
189. „*Pokoje, które zajmował Frankel*”: Zeznanie Williama Burcha, strony 160-161. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.

Nieszczęście

190. „*O pierwszej po południu*”: Dziennik Kempa, 17 września 1901 roku. Patrz również Bussey, *Marconi's Atlantic Leap*, strony 34-35; Baker, *History*, strona 65; Fleming, *History*, strona 39-40.
192. *BĄDŹ GOTOW TOWARZYSZYĆ MI*: Dziennik Kempa, 4 listopada 1901 roku.
184. *Balony i latawce*: Hancock, *Wireless*, strona 32.
185. *Upadł „w odległości metra*”: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 28.
185. *MASZTY RUNĘŁY*: Flood Page do Marconiego, 29 listopada 1901 roku. Cape Cod National Seashore.

Książka trucizn

196. *We wrześniu 1908 roku*: Zeznanie Emily Jackson, strona 44. Zeznania Koronera. NA-CRIM 1/117. Również Zeznanie Emily Jackson, strona 31. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
196. „*Nigdy nie widziałam dziecka*”: Zeznanie Emily Jackson, strona 9. Dodatkowe informacje NA-DPP 1/13. Również Zeznanie Emily Jackson, strona 39. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
197. „*Myślałam, że to najmiłszy*”: Zeznanie Emily Jackson, strona 44. Zeznania Koronera. NA-CRIM 1/117.
197. „*On był finansistą*”: Zeznanie Gilberta Rylance'a, strona 81. Zeznania Koronera. NA-CRIM 1/117.

197. *Crippen nadal tworzył i sprzedawał*: Zeznanie Williama Longa, strona 44. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117. Zeznanie Williama Longa, strona 17. Dodatkowe informacje, NA-DPP 1/13.
198. *15 grudnia 1909 roku*: *Trial*, strona 32.
199. „*Już myślałam, że nie zdołam*”: Zeznanie Louie Davis, strona 101. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13. Zeznanie Melindy May, strona 11. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
199. *Belle „nie wiedziała chyba”*: Zeznanie Maud Burroughs, strona 97. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
200. *W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy*: lista zamówień doktora Crippena. Dowód 49, strona 44. Dowody, NA-DPP 1/13.
181. *Nie mógł jednak zrealizować tego*: Zeznanie Charlesa Hetheringtona, NA-DPP 1/13; *Trial*, strony 75-76.
181. *Hetherington przekazał zamówienie*: Zeznanie Alexandra Hilla, NA-DPP 1/13.
200. *Nie było problemów z realizacją*: ibidem.
201. *Crippen „nie okazał”*: *Trial*, strony 76-77.
201. *Formularz wymagał podania*: Książka Sprzedaży Trucizn. Dowód 38. Dowody, NA-DPP 1/13.

Tajemnica latawców

202. *Aby ukryć prawdziwy cel*: Marconi, *My Father*, strona 104.
202. „*Uważał, że jeśli*”: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 29.
203. *ZACZNIJCIE W ŚRODE*: notes Fleminga, 9 grudnia 1901 roku. UCL, Fleming Collection, 122/20.
203. *gazeta donosiła, że*: Marconi, *My Father*, strona 105.
204. *W dzienniku Kemp zanotował*: Dziennik Kempa, 11 grudnia 1901 roku.
204. „*ja poleciałbym razem z nim*”: ibidem.
204. „*zniknął w nieznanych stronach*”: Hancock, *Wireless*, strona 33.
205. „*Dzisiejszy wypadek opóźni*”: Marconi, *My Father*, strona 106.
205. „*Doszedłem do wniosku*”: Hancock, *Wireless*, strony 33-34.
206. *Pomimo kluczowej roli*: Hong, *Wireless*, strona 80.

Nieszczęsna miłość

207. *jej zachowanie było „raczej dziwne”*: Zeznanie Emily Jackson, strony 45-46. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
207. *palce jej drżały*: Zeznanie Emily Jackson, strona 7. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
207. „*w oczach okropny wyraz*”: ibidem.
208. „*Idź do łóżka*”: Zeznanie Emily Jackson, strona 46. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117. Dalsze zeznania Emily Jackson, strona 42. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
208. *Położyła się i odwróciła twarzą do ściany*: Zeznanie Emily Jackson, strona 28. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13. 208. „*Nie pozwolę ci wyjść*”: ibidem.
208. „*Na miłość boską*”: Dalsze zeznania Emily Jackson, strona 43. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
208. „*Powiedziałam jej, że*”: Zeznanie Emily Jackson, strona 46. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
208. *Pani Jackson uznała*: Dalsze zeznania Emily Jackson, strona 43. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
208. „*Po co martwisz się tym teraz*”: Zeznanie Emily Jackson, strony 46-47. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
209. „*Po co zawracasz sobie głowę*”: Zeznanie Emily Jackson, strona 28. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
209. *Tego wieczoru Ethel*: ibidem.
209. *taksometr*: *Oxford English Dictionary*, wydanie drugie, 1989.

210. „Doktor Crippen był przyjacielskim”: Zeznanie Clary Martinetti, strona 22. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
210. „zawsze wydawała się bardzo”: Zeznanie Clary Martinetti, strona 22. Dodatkowe informacje, NA-DPP 1/13.
211. „Och, namów go”: Dalsze zeznania Clary Martinetti, strona 63. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
211. „Czuję się trochę dziwnie”: ibidem, strona 64.
211. „Dla was to jest siódma?”: ibidem, strona 64, *Trial*, strona 12.
211. *Clara zdjęła płaszcz oraz kapelusz*: Zeznanie Clary Martinetti, strona 211. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
211. *Paul wypił dwie whiskey*: Dalsze zeznania Clary Martinetti, strona 65. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
212. „zabawnego małego bulteriera”: ibidem, strona 65.
212. *Kroił ją Crippen*: ibidem, strona 65.
212. „ptifurkami”: Forster, *Howards End*, strona 117.
212. *Poczęstowała też wszystkich papierosami*: Dalsze zeznania Clary Martinetti, strona 66. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
212. *Belle powiedziała Clarze*: ibidem, strona 66.
212. „Podczas gry w karty dostałem dreszczy”: Zeznanie Paula Martinetti, strona 25. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
212. „Pan Martinetti poszedł na gorę”: *Trial*, strona 90.
212. „Wrócił bardzo blady”: Zeznanie Clary Martinetti, strona 18. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
212. *ręce miał lodowate i zaczęły*: Dalsze zeznania Clary Martinetti, strona 67. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
212. „Och nie, Belle, to za dużo”: ibidem, strona 67.
213. „Nie wychodź, Belle”: *Trial*, strona 13. Inne relacje, zapewne przesadzone, podają, że pani Martinetti zawołała do Belle: „Nie wychodź, bo się przeziębisz na śmierć!”.
213. „zachowywali się wobec siebie serdecznie”: Zeznanie Clary Martinetti, strony 18, 22. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
213. „Zaraz po wyjściu gości moja żona”: *Trial*, strona 90.
214. „To już koniec, nie zniosę tego dłużej”: ibidem, strona 37.
214. „Powtarzała to tak często”: ibidem, strona 37.
214. „że mam ukryć skandal”: ibidem, strona 37.
214. „Nie widziałem jej następnego ranka”: ibidem, strona 91.
214. „był jak zawsze spokojny”: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strona 13.
214. „Jak się miewa”: Zeznanie Clary Martinetti, strona 19. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117. Dalsze zeznania Clary Martinetti, strona 68. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
214. *Belle zniknęła*: *Trial*, strona 91.
214. *Zeznał, że*: Zeznanie Crippena, 123. Zeznania Crippena i Le Neve, NA-DPP 1/13.

Decydująca przeszkoda

216. „W moim uchu bez wątpienia”: Hancock, *Wireless*, strona 34.
216. *Jak zapisał Kemp w swoim dzienniku, taka konfiguracja*: Dziennik Kempa, 12 grudnia 1901 roku.
216. *Marconi napisał*: Bussey, *Marconi's Atlantic Leap*, strona 51.
216. *Podczas krótkich chwil*: Baker, *History*, strona 69.
217. *Spuścili drut*: Dziennik Kempa, 19 grudnia 1901 roku, Baker, *History*, strona 69.
217. *ODEBRALIŚMY SYGNAŁY*: Bussey, *Marconi's Atlantic Leap*, strona 51.

217. *Tego wieczoru wydał*: „Times”, Londyn, 16 grudnia 1901 roku, Hancock, *Wireless*, strona 34.
218. *Tej niedzieli*: Dziennik Kempa, 15 grudnia 1901 roku, Weightman, *Signor Marconi's*, strona 101.
218. „*New York Times*” nazwał: Marconi, *My Father*, strona 104.
218. *Przez następne kilka dni*: ibidem, strona 104.
218. *Udziały w Eastern Telegraph Co.*: „Indianapolis News”, 21 grudnia 1901 roku, Biblioteka Stanu Indiana.
218. *Ambrose Fleming*: Hong, *Wireless*, strona 80. „Daily Mail”, 16 grudnia 1901 roku. Fleming często robił wycinki i umieszczał je później w swojej historii. Fleming, *History*, strona 44.
219. *Josephine Holman twierdziła, że*: Weightman, *Signor Marconi's*, strona 113.
219. *ktory też tam jechał*: „Indianapolis News”, 20 grudnia 1901 roku, Biblioteka Stanu Indiana.

Na balu

220. „*Będę później*”: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strona 14.
220. „*Byłam, oczywiście*”: ibidem, strony 15-16.
220. „*Nie był w nastroju na długą*”: ibidem, strona 16.
220. „*Czy Belle Elmore naprawdę*”: ibidem, strona 15.
221. „*Nie potrafiłam udawać, że*”: ibidem, strona 16.
221. *Nagle Crippen ją zaskoczył*: ibidem, strony 16-17.
221. „*był prawdziwym ekspertem*”: ibidem, strona 18.
222. *Pokazał pracownikowi*: Zeznanie Ernesta Williama Stuarta, strona 88. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
222. *Tej nocy Ethel Le Neve: Trial*, strona 101.
222. „*Droga panno May*”: ibidem, strona 23.
222. *List do komitetu wykonawczego*: ibidem, strony 23-34.
223. „*Doktor uważał, że obojgu*”: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strona 19.
223. *Aby ten problem nie zniszczył*: ibidem, strony 19-20.
224. *Kot oprowadził ją*: ibidem, strona 20.
224. „*W sypialniach leżały kosztowne suknie*”: ibidem, strony 20-21.
224. „*Nie miałam wątpliwości, że*”: ibidem, strona 23.
224. „*Nic właściwie do siebie*”: ibidem, strona 21.
225. „*Od pierwszej chwili nie lubiłam*”: ibidem, strona 21.
225. „*O co chodzi*”: Zeznanie Clary Martinetti, strona 23. Dodatkowe informacje, NA-DPP 1/13.
225. „*pierścionek zaręczynowy*”: Dalsze zeznania Emily Jackson, strona 47. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
225. „*Wie pani, ile on*”: Zeznanie Emily Jackson, strona 15. Dodatkowe informacje, NA-DPP 1/13.
226. „*Ktoś wyjechał do*”: ibidem, strona 10.
226. *Ethel zaczęła spędzać noce* : Zeznanie Emily Jackson, strona 45. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117. Zeznanie Emily Jackson, strona 38. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
226. *Powiedziała pani Jackson, że*: Dalsze zeznania Emily Jackson, strona 47. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13. Zeznanie Waltera Dewa, strona 31. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117. 226. *Wkrótce zaczęła rozdawać*: Zeznanie Caroline Rumbold, strona 92. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
226. *Własnej siostrze, Ninie*: Zeznanie Adine Prue Brock, strona 78. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
226. *Tak, Ethel zgodziła się z nią*: ibidem, strona 82.
226. *1 kostium z moleskinu*: Zeznanie Emily Jackson, strona 24. Dodatkowe informacje, NA-CRIM 1/117. Ubrania otrzymane przez panią Jackson od Ethel Le Neve, strona 71. Dowody, NA-DPP 1/13.
227. „*Nie bardzo mieliśmy ochotę*”: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strony 23-24.

227. *Restauracja Criterion, zbudowana w 1873 roku*: Baedeker, *London*, strona 16; Macqueen-Pope, *Goodbye Piccadilly*, strona 319-320.
228. „wcale nie próbowała”: Zeznanie Clary Martinetti, strona 9. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
228. *John Nash powiedział*: Zeznanie Johna Nasha, strona 2, w liście Seyda do Dyrektora Oskarżeń Publicznych, 29 kwietnia 1911 roku, NA-DPP 1/13.
228. *Klejnot zauważyła też Maud Burroughs*: Zeznanie Maud Burroughs, strona 97. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
228. *Wspominała potem, że Ethel*: Zeznanie Clary Martinetti, strona 9. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
228. „Zauważyłem, że Crippen”: Zeznanie Johna Nasha, strona 25. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
228. *Pani Louise Smythson podeszła*: Zeznanie Louise Smythson, strona 31. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13. Zeznanie Louise Smythson, strona 3. Dodatkowe informacje, NA-DPP 1/13.
229. „Po tym wydarzeniu”: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strona 24. 229. *Nie było jej z tym dobrze*: ibidem, strona 24.
229. „towarzystwo rzuciło się na”: Forster, *Howards End*, strona 246. 229. *12 marca Crippen*: Zeznanie Emily Jackson, strony 38-39. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13. Zeznanie Emily Jackson, strona 44. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.

„Nie wierzę”

210. „Wątpię w całą tę historię”: wiadomość Associated Press cytowana w „Sydney Daily Post”, Sydney, Nowa Szkocja, 27 grudnia 1901 roku. Beaton, MG 12, 214, G3. Wycinki.
230. „W mieście panuje sceptycyzm”: Hancock, *Wireless*, strona 36.
230. „litery S i R powstają”: ibidem, 36.
230. *Dwa dni później*: „Electrical Review”, strona 49, numer 1256 (20 grudnia 1901 roku), 1031. Beaton, MG 12/214/A3.
231. „Zaznacza się wielki pośpiech”: „Times”, Londyn, 20 grudnia 1901 roku.
232. *Smith przyglądał się, jak*: pełna relacja Williama Smitha patrz Smith do prof. W. J. Loudona, 10 marca 1931 roku. William Smith Papers, Archiwum Kanady, MG 30 D18 tom 1. W tym samym zbiorze patrz również Notatki i Kopie. Marconi Papers, Memoranda, materiały drukowane, tom 3, teczka 17.
233. *Wesołych Świąt*: Isted, część 2, strona 112.

Wieści z Ameryki

235. *Drodzy Claro i Paulu*: list, Crippen do Martinettich, 20 marca 1910 roku. Dowody, strona 21, NA-DPP 1/13.
235. *Belle umarła wczoraj*: telegram, Crippen do Martinettich, ibidem, strona 21.

Część IV: Inspektor składa wizytę

„Przekłete słońce!”

238. *Pewna liczba*: Marconi, *My Father*, strona 113.
238. *W trzech punktach sali umieszczono*: Bussey, *Marconi's Atlantic Leap*, strona 66.
238. „Zupa Elektrolityczna”: Simons, *Guglielmo Marconi*, strona 51.
238. *Podano miseczki z sorbetem*: Weightman, *Signor Marconi's*, strona 110.
239. „Przykro mi, że”: Isted, część 2, strona 112.
239. *Relacjonując te wydarzenia*: Fleming, *History*, strona bez numeru.
239. ZARĘCZYNY ZERWANE: „Indianapolis News”, 21 stycznia 1902 roku, Biblioteka Stanu Indiana.

239. *Pewien dziennikarz z „News”*: ta wymiana zdań opublikowana została w „Indianapolis News” z 22 stycznia 1902 roku, Biblioteka Stanu Indiana.
240. *Dodał sprawnie*: Weightman, *Signor Marconi’s*, strona 113.
240. *„Po obu stronach”*: ibidem, strona 113. Na początku maja, choć nie upłynęły jeszcze cztery miesiące od zerwania zaręczyn z Marconim, Josephine Holman ogłosiła, że jest zaręczona z kimś innym. Uwagi, jakie potem wygłoszono, mogły mieć jak najlepsze intencje, trudno ich jednak nie postrzegać przez pryzmat wzgardzonej miłości. Holman na pewno wiedziała to, czego inne kobiety w życiu Marconiego musiały się dopiero nauczyć, że jedną z istotnych cech jego romantycznej natury była zazdrość. „Byłabym idealnie szczęśliwa, gdyby nie jedna kwestia” — napisała panna Holman — „a i ona zniknie, kiedy signor Marconi znajdzie nową miłość i będzie w niej równie szczęśliwy, jak ja w mojej”. „Halifax Herald”, 8 maja 1902 roku. Beaton Institute, MG 12/214.E: koperta/karty indeksu.
240. *W środę wieczorem*: „Indianapolis News”, 22 stycznia 1902 roku, Biblioteka Stanu Indiana.
219. *Kiedy liniowiec zbliżył się*: „Indianapolis News”, 10 lutego 1902 roku, Biblioteka Stanu Indiana. Bussey, *Marconi’s Atlantic Leap*, strona 69.
240. *W Londynie przede wszystkim wyjaśnił: How Marconi Came to Canada*, strony 9-10. William Smith Papers. Notatki i Kopie. Marconi Papers. Memoranda. Materiały drukowane. Archiwum Kanady, MG 30 D18 III.
241. *„Sir William Preece jest”*: „Financial Times”, 21 lutego 1902 roku.
242. *„Westminster Gazette” stwierdziła*: „Westminster Gazette”, 26 lutego 1902 roku.
242. *„Electrical Times” potępił*: „Electrical Times”, 27 lutego 1902 roku.
243. *Dwa dni później: szczegóły epizodu z „Philadelfią”* pochodzą z książki Bussey *Marconi’s Atlantic Leap*, strona 72; Marconi, *My Father*, strony 124-125; Weightman, *Signor Marconi’s*, strony 124-126. Weightman cytuje obszernie relację McClure’a, opublikowaną w „McClure’s Magazine”.
244. *„efektem dziennym”*: Marconi, *My Father*, strona 126; Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 32.
244. *„Przekłęte słońce!”*: Marconi, *My Father*, strona 130.
244. *Tego lata „Daily Mail”*: Read, *Urban Democracy*, strona 475.
245. *Tak się rzeczy miały*: Baker, *History*, strony 95-96; Weightman, *Signor Marconi’s*, strony 136-137.
245. *„wrogiej Marconifobii”*: Weightman, *Signor Marconi’s*, strona 137.
246. *„Skomlenie Marconiego”*: Thompson do Lodge’a, 2 kwietnia 1902 roku. UCL, Lopdgc Collection, 89/104 ii.
246. *Richardowi Vyvyanowi i jego ludziom*: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 50. Marconi, *My Father*, strony 131-32.
248. *Podczas rejsu, w niemieckim*: Hong, *Wireless*, strona 83; Marconi, *My Father*, strony 131-32.
249. *O niepowodzenie obwiniał Fleminga*: Hong, *Wireless*, strona 83.
249. *„Powinno się wyjaśnić [Flemingowi]”*: cytat u Honga, *Wireless*, strony 83-84.
250. *Próżno byłoby jednak szukać*: Bertram, część I strona 53; Hong, *Wireless*, strona 117.
250. *„Zważywszy, że prowadzone były”*: Maskelyne Incident, strony 2-3.

Panie prowadzą śledztwo

251. „przykładnym mężem”: Zeznanie Johna Burroughsa, strona 4. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
251. „był taki uprzejmy i”: Zeznanie Clary Martinetti, strona 22. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
251. „życzliwy i ludzki”: Zeznanie Adeline Harrison, strona 27. Ibidem.
251. *Jeszcze nim przyszła wiadomość*: Zeznanie Michaela Bernsteina, strona 90. Zeznania Świadków, NA-DPP 1/13.
252. *30 marca w środę*: Zeznanie Louise Smythson, strony 32-33. Zeznania Świadków, NA-DPP 1/13.
253. *Odpowiedź zajęła mu miesiąc*: Otto Crippen do Melindy May, 9 maja 1910 roku. Kopia w zeznaniu Melindy May, strona 37. Zeznania Świadków, NA-DPP 1/13.
253. „To był zapach wilgotnej”: Dalsze zeznania Emily Jackson, strona 45. Zeznania Świadków, NA-DPP 1/13. Zeznanie Emily Jackson, strony 47, 49. Zeznania Koronera, NA-CRIM 1/117.
253. „Nazajutrz czy dwa dni potem”: Dalsze zeznania Williama Longa, strona 55. Zeznania Świadków, NA-DPP 1/13.
253. „Nareszcie znalazłam dziewczynę”: Le Neve do Jackson, „niedziela” (zapewne 12 czerwca 1910 roku). Listy od Le Neve do pani Jackson, NA-DPP 1/13.
254. „Ciągle jestem taka zajęta”: Le Neve do Jackson, 29 czerwca 1910 roku, ibidem.
254. „Pomimo ciężkiej pracy”: ibidem.
254. „Chodził ze mną do piwnicy”: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strona 26.
255. „I tak płynął nam czas”: ibidem, strona 26.
255. „Kiedy z nim rozmawialiśmy”: Zeznanie Clary Martinetti, strona 25. Dodatkowe Informacje, NA-CRIM 1/117.
255. *6 maja 1910 roku*: o pogrzebie Edwarda Andre Maurois napisał: „Kontrast całej tej czerni z wesołym wiosennym słońcem nadał dziwnego uroku ulicom stolicy”. Maurois, *Edwardian Era*, strona 354.

Ciężkie przeprawy

256. *Marconi rozpoczął próby*: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 36.
257. *W samym środku tych wydarzeń*: Weightman, *Signor Marconi's*, strona 145.
257. „Próba odmalowania frontu”: szczegóły na temat Nevila Maskelyne'a i Egyptian Hall pochodzą z następujących źródeł: Bolles Collection. Thomas Allen, *The History and Antiquities of London, Westminster, Southwark and Parts Adjacent* (tom 4). Cowie and Strange, 1827, strona 303. Bartram, cała część 1 i 2. Macqueen-Pope, *Goodbye Piccadilly*, strony 78-81. *Oppenheim, Other World*, strony 25-27.
258. *W artykule, który ukazał się*: Maskelyne Incident, strony 2-5.
259. „Pytanie brzmi oczywiście”: ibidem, strona 5.
259. *Cuthbert Hall*: ibidem, strona 7.
260. „Najwyraźniej pan Hall”: ibidem, strona 12. Bartram, część 1, strona 54.
260. *W zatoce Glace*: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strony 37-40.
261. „Co złego dzieje się”: „Sydney Daily Post”, 9 grudnia 1902 roku. Beaton Institute, MG 12.214. G3: wycinki prasowe.
262. „Wszyscy zatkali sobie uszy watą”: Marconi, *My Father*, strona 140.
262. *Times, Londyn*: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 38.
262. *Nagły poryw wiatru*: MacLeod, *Marconi*, strona 78.
262. *Poleciał Poldhu, by*: ibidem, strona 79.
262. *Parkin naszkicował*: Weightman, *Signor Marconi's*, strony 147-148.
263. „Choć te trzy wiadomości”: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 39.

263. *telegram przyjęty przez Poldhu* : ibidem, strona 40.
263. *Wiózł w kieszeni pozdrowienia od*: ibidem, strony 40-41.
264. *Krytycy Marconiego wyczuli krew*: Bartram, część 1, strona 54.
264. „*Nie zajmowałem się odpowiedzią*”: „Westminster Gazette”, 13 marca 1903 roku. Maskelyne Incident, strona 17.
264. „*Było oczywiste, że stacje*”: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 41.
264. W „*Morning Advertiser*”: cytat w „Westminster Gazette”, 13 marca 1903 roku. Maskelyne Incident, strona 17.
265. *Jeden z czytelników napisał*: „Morning Adviser”, 16 marca 1903 roku. Maskelyne Incident, strona 21.
265. „*Cóż, minął już czas na takie rzeczy*”: „Westminster Gazette”, 13 marca 1903 roku. Maskelyne Incident, strona 17.
265. *Marconi i Fleming przygotowywali właśnie*: Fleming, J. A. *A Report on Experiments*, strony 1-7. UCL, Fleming Collection.
269. *Choć przewrotny, pomysł*: Hong, *Wireless*, strona 108.
269. *Czasami na przełomie zimy i wiosny*: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 41. Patrz również Baker, *History*, strona 82, i MacLeod, *Marconi*, strona 86.

Błękitna serża

270. *Dla dwojga przyjaciół Belle* : Oświadczenie Johna Nasha w liście Seyda do Dyrektora Oskarżeń Publicznych, 29 kwietnia 1911 roku. NA-DPP 1/13. Zeznanie Johna Nasha, strony 26-27. Zeznania Świadków, NA-DPP 1/13.
270. *Crippen powiedział, że*: dialog Crippena z Nashem zaczerpnięty dosłownie z zeznania Johna Nasha, strona 2-3, w liście Seyda do Dyrektora Oskarżeń Publicznych, 29 kwietnia 1911 roku. NA-DPP 1/13.
271. *Dwa dni później: szczegóły na temat Froesta i Scotland Yardu* patrz Browne, *Rise*, strony 243-244; Jeffers, *Bloody Business*, strona 93, oraz Williams, *Hidden World*, strona 37.
272. „*Państwa Nash nie przekonują*”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 8.
273. *Nazywał się Walter Dew*: Dew, *I Caught Crippen*, całość; Jeffers, *Bloody Business*, strony 116-117.
273. „*Widziałem rzecz, której*”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 145.
273. „*Kiedy wróciliśmy z Ameryki*”: dialog między Dewem, Nashem i Froestem zaczerpnięty dosłownie z Dew, *I Caught Crippen*, strony 8-9.
274. *W normalnych okolicznościach*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 11.
274. „*Zapewne bardziej niż wszystko inne*”: ibidem, strona 9.
274. „*Sądzę, że dobrze będzie, jeśli*”: ibidem, strona 9.

Szczyry

275. *Fleming zaaranżował*: szczegóły dotyczące wykładu i interwencji Nevila Maskylene'a pochodzą głównie z Maskelyne Incident Papers, zbioru wycinków i korespondencji przechowywanego w archiwum Instytutu Inżynierów Elektryków w Londynie. Patrz przede wszystkim strony 32-52. Omówienia i dodatkowe szczegóły patrz również Bartram, część 1, strona 55, i Hong, *Wireless*, strony 108-114.
276. *Blok znał doskonale alfabet Morse'a*: relacja Bloka cytowana jest u Honga, *Wireless*, strona 110.
279. „*Zakłócenia nadawano specjalnie*”: Maskelyne Incident, strona 41.
280. „*Wszystko poszło dobrze*”: Hong, *Wireless*, strona 111.
280. *W drugim liście wysłanym*: ibidem, strona 111.
280. *11 czerwca 1903 roku*: Maskelyne Incident, strona 32.
282. „*Szanowny Panie*”: ibidem, strona 33.
283. *Jak stwierdził „Morning Leader” z 15 czerwca*: ibidem, strona 43.

283. *W wywiadzie dla*: ibidem, strona 35.

Ach

284. „co ciekawe”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 10.
284. „ulubienicą wszystkich”: Raport nadinspektora Dewa dla Wydziału Śledztw Kryminalnych, 6 lipca 1910 roku, NA-MEPO 3/198.
284. *Maud Burroughs opisała*: ibidem, strona 7.
284. „Historia opowiadana przez”: ibidem, strona 1.
284. „niezwykle zdumiewające”: ibidem, strona 15.
284. „pomijając sugestie jej przyjaciół”: ibidem, strona 15.
285. „Czy doktor Crippen jest w domu?”: ibidem, strona 11.
285. „Nie była ładna”: ibidem, strona 11.
285. „Kim pani jest?”: *Further Report of Chief Inspector Dew*, strona 1, NA-DPP 1/13. Sam Dew przedstawił w różnych raportach i zeznaniach kilka relacji z tego pierwszego spotkania.
285. „Wielka szkoda, że doktora nie ma”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 12.
286. *Wspomnienia Ethel na temat*: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strony 28-33. Dialog pomiędzy Dewem a Ethel podany według wspomnień Ethel.
288. *Kiedy dotarli do Albion House*: Le Neve, *Ethel Le Neve*, strony 33-34.
289. „z małym, niepozornym”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 12. Nieco inna relacja pojawia się w Dalszym raporcie nadinspektora Dewa, strona 1, NA-DPP 1/13.
289. „Jestem nadinspektor Dew”: ibidem, strona 13.

Dziewczyna na przystani

290. *W Nowej Szkocji stanął przed wyborem*: MacLeod, *Marconi*, strona 90.
291. *Zgodziły się również*: Baker, *History*, strona 96.
291. *Na przykład w grudniu zeszłego roku*: ibidem, strona 98.
291. „Pomimo wielkiej ilości pozytywnych”: Sewall, *Wireless*, strona 89.
291. „Kiedy skończył trzydzieści lat”: Marconi, *My Father*, strona 151.
292. *Fakt, że był Włochem*: ibidem, strona 168.
293. *Latem 1904 roku*: więcej szczegółów na temat Beatrice i jej pochodzenia patrz Marconi, *My Father*, strony 155-162 oraz Weightman, *Signor Marconi's*, strony 182-185.
294. *Choć jej zdaniem była śliczna*: Marconi, *My Father*, strony 161-162.
294. „miała na sobie okropną sukienkę”: ibidem, strona 155.
294. *Uciekł na Bałkany*: ibidem, strona 164.
295. *W aurze żałoby po zerwanym romansie*: ibidem, strona 164.
295. *Nic nie mówiąc swemu gościowi*: ibidem, strona 164.
295. „To taka poważna sprawa”: ibidem, strona 165.
296. *Do Anglii zaczęły napływać*: ibidem, strony 166-167.
296. „Coś ty sobie myślała”: ibidem, strona 167.
297. „Beatrice była urodzoną flirciarą”: ibidem, strona 168.
297. „Nie wspomniałem o tym”: Baker, *History*, strona 107.
297. *W 1904 roku, kiedy zaczęły ubiegać się*: Jolly, *Lodge*, strona 153.

Hook

298. *Najszybsze liniowce oceaniczne*: Fox, *Transatlantic*, strona 308.
298. *Rząd rozpoczął rozmowy*: Clarke, *Voices*, strona 133.
298. „Czy nie jest oczywiste”: Childers, *Zagadka*, strona 308.
298. *Od przełomu wieku*: Hynes, *Edwardian*, strona 22.
299. *Komisja Królewska stwierdziła*: Browne, *Rise*, strony 279-283.

299. *Rząd wniknął w tę sprawę*: Hynes, *Edwardian*, strony 22-23.
 299. *Miesiąc później rząd*: ibidem, strony 32-33.
 299. *27 grudnia 1904 roku wieczorem*: Dunbar, *J.M. Barrie*, strona 170.
 300. *„Daily Telegraph” uznał*: ibidem, strona 170.
 300. *„Czy wierzycie we wróżki?”*: Barrie, *Peter Pan*, strona 115.
 300. *„Jaka spokojna noc”*: ibidem, strona 117.

Część V: Najwspanialszy czas

Prawda o Belle

302. *„Z jego zachowania można było”*: Dew, *I Caught Crippen*, strony 13-14.
 302. *„Tymczasem po prostu”*: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 35.
 302. *Crippen zamowił stek*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 15.
 303. *„Uświadomiłem sobie, że odeszła”*: Zeznanie Crippena, strona 123. Zeznania Crippena i Le Neve, NA-DPP 1/13.
 303. *„Byłem pod wrażeniem zachowania”*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 124.
 303. *„Dziewczyna okazała oznaki zażenowania”*: ibidem, strony 19-20.
 304. *„On panią okłamał”*: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 35.
 304. *„Byłam zaskoczona”*: ibidem, strona 36.
 304. *„Nie miałem dość dowodów”*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 19.
 305. *„Miałam wrażenie, jakbym”*: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 36.
 305. *„Z całą pewnością nie podejrzewałem zbrodni”*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 21.
 305. *„W sypialni znalazłem niezwykle wybór”*: ibidem, strona 21.
 305. *„Co robili ci ludzie?”*: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 36.
 306. *„Było tam zupełnie ciemno”*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 21.
 306. *„Oczywiście będę musiał odszukać”*: ibidem, strona 22.
 306. *„Absolutnie nie sądzę, by”*: Zeznanie nadinspektora Dewa, strona 81. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13. W swoich wspomnieniach na stronie 21 Dew pisze mniej więcej to samo: „Na pewno nie podejrzewałem zbrodni. Nie podejrzewa się, że popełniono morderstwo z tej przyczyny, że jakaś żona zniknęła, a jej mąż kłamie na ten temat”.
 306. *Powiedział co najmniej jednej osobie*: *Trial*, strona xxx.
 307. *Ethel poczuła wielką ulgę*: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strony 36-38.
 307. *„Na miłość boską powiedz mi”*: ibidem, strona 38.
 307. *„Moja droga”*: ibidem, strona 39.

Więzień w zatoce Glace

308. *Beatrice i Marconi pobrali się*: Weightman, *Signor Marconi's*, strony 191-192.
 308. *Narzeczony podarował Beatrice*: Marconi, *My Father*, strona 169.
 308. *Kiedy się pokłócili, wypadł z zamku*: Marconi, *My Father*, strona 172.
 309. *Przenieśli się zatem w bardziej okazałe miejsce*: ibidem, strona 175. Baedeker, *London*, strona 9. Weightman, *Signor Marconi's*, strona 194.
 309. *System łączności statki-ład*: Baker, *History*, strona 105.
 310. *Jeden punkt umowy*: Hong, *Wireless*, strona 148. „Memorandum of Agreement”, 26 maja 1905 roku. UCL, Fleming Collection, 122/47.
 310. *Na przykład do nowej stacji w Whittle Rocks*: Książka wydatków, tom 33, marzec 1905 roku. Marconi Wireless Telegraph Co. of Canada Ltd. Archiwum Kanady, MG 28 III 72.
 310. *W kwietniu 1905 roku*: ibidem, kwiecień 1905 roku.
 311. *I każda ją otrzymała*: ibidem, kwiecień 1905 roku.
 311. *W sierpniu 1905 roku*: ibidem, sierpień 1905 roku i sierpień 1904 roku.

311. *W 1904 roku zatoka Glace*: Bilans, tom 22, Glace Bay. Patrz bilanse za lata kończące się 31 stycznia 1904 roku i 1908 roku. Marconi Wireless Telegraph Co. of Canada Ltd. Archiwum Kanady, MG 28 III 72.
311. *Marconi po raz pierwszy zaczął się*: MacLeod, *Marconi*, strona 75; Marconi, *My Father*, strona 176.
312. *Jak to ujęła*: Marconi, *My Father*, strona 168.
312. *Podarował jej wiele zegarków na rękę*: ibidem, strona 176.
313. *Załoga liczyła 415 osób*: Fox *Transatlantic*, strony 318-320.
313. *„Kiedy jej mąż wynurzył się”*: Marconi, *My Father*, strona 176.
313. *Pewnego dnia Beatrice weszła do kabiny*: ibidem, strona 177.
314. *Nowa stacja zajmowała obszar*: MacLeod, *Marconi*, strona 93; Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 43.
314. *Wiadomość wprawiła go*: Marconi, *My Father*, strony 178-179.
315. *„Spokój, jaki panuje zimą w Kanadzie”*: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strony 48-49.
315. *Beatrice nie zgadzała się z nim*: Marconi, *My Father*, strona 178.
316. *Był gotów poświęcić własny majątek*: MacLeod, *Marconi*, strona 96; Marconi, *My Father*, strona 180.
316. *W Poldhu rozpoczął*: MacLeod, *Marconi*, strony 96-98.
316. *Wreszcie, w czerwcu*: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 44.
317. *Zaczynał dostrzegać pewien wzorzec*: Baker, *History*, strony 112-113; Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 44.
317. *Uświadomił sobie teraz*: Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strony 44-45.

Wyzwolenie

318. *„raczej zmartwioną”*: ten dialog pochodzi z zeznania Adine True Brock, strona 83. Zeznania Świadków, NA-DPP 1/13.
320. *Napisał zatem okólnik*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 23.
320. *„Będziesz w tym wyglądać zupełnie jak chłopiec”*: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 43.
320. *„Kochany Sidzie”*: Zeznanie Waltera Williama Neave, strona 88. Zeznania Świadków, NA-DPP 1/13.
321. *„Niezbyt dobrze pasowały”*: ten dialog pochodzi z Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strony 43-44.
321. *Crippen zapewnił ją*: ibidem, strona 48.
322. *By dopełnić przebrania*: ibidem, strona 44.
322. *„Czułam się okropnie skrępowana”*: ibidem, strony 44-45.
322. *„Może to się wydać dziwne”*: ibidem, strona 45.
323. *„Och, jaki śliczny angielski chłopiec!”*: ibidem, strona 48.
323. *Crippen wpisał w księgę hotelową*: Raporty policyjne dotyczące śledztwa w Antwerpii, NA-DPP 1/13.
323. *Właściciele hotelu zauważyli*: ibidem.
323. *W tę samą niedzielę*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 24.

Śmierć w Mayfair

324. *Postanowił wzniesć tu stację*: MacLeod, *Marconi*, strony 80-83; Vyvyan, *Marconi and Wireless*, strona 45.
324. *„Byłam zbyt młoda, by uświadomić sobie”*: Marconi, *My Father*, strona 180.
325. *„Nasze kochane maleństwo”*: Weightman, *Signor Marconi's*, strona 195.
325. *Odbył wówczas*: Marconi, *My Father*, strony 180-181.
326. *W końcu udało mu się go znaleźć*: Weightman, *Signor Marconi's*, strona 196.
326. *Siostra Beatrice*: Marconi, *My Father*, strona 181.

326. 3 kwietnia 1906 roku: H. Kernshaw do Fleminga, 3 kwietnia 1906 roku. UCL, Fleming Collection, 122/48.
326. *Podczas tej choroby*: Marconi, *My Father*, strona 181.
326. *Stanie na głowie*: ibidem, strony 181-182.
327. *Zwerbował do niej przeciwników*: Hong, *Wireless*, strona 166.
327. „*Doszliśmy do wniosku*”: Hozier do Lodge’a, 11 maja 1906 roku. UCL, Lodge Collection, 89/77.
327. *Muirhead załatwił budowę*: Muirhead do Lodge’a. 10 czerwca 1906 roku, ibidem.
327. *Na nowo pod wrażeniem*: Lodge, *Past Years*, strona 283-284.
328. *W 1906 roku, w odpowiedzi na*: Massie, *Dreadnought*, strony 481-482; Read, *Urban Democracy*, strona 475.
328. *W tym samym roku ukazała się*: Clarke *Voices*, strony 144-152.
328. *Jeden ze Świadków*: ibidem, strona 145.
328. *Niemiecki wydawca*: ibidem, strona 148.
328. 11 września 1908 roku: Marconi, *My Father*, strona 186.

Inspektor powraca

229. „*Czy możesz uczynić mi wielką*”: *Trial*, strona 30.
229. *Long nie wspomniał o dziwnej*: Dalszy raport nadinspektora Dewa, strona 7. NA-DPP 1/13.
330. *pięciostrażkowy rewolwer*: ibidem, strona 4.
330. *Stworzył szczegółowy opis*: ibidem, strona 4.
330. *Właściciel hotelu zauważył*: Raporty policyjne dotyczące śledztwa w Antwerpii, NA-DPP 1/13.
331. *Ethel uwielbiała zwiedzać miasto*: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 49.
331. *We wtorek Dew*: Dalszy raport nadinspektora Dewa, strona 4. NA-DPP 1/13.
300. „*Nawet w łóżku*”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 27.
332. *Long wyznał*: Dalszy raport nadinspektora Dewa, strona 7. NA-DPP 1/13.
332. *Przy drżącym świetle świecy*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 27.
332. *Cegła zaczęła się chwiać*: Dalszy raport nadinspektora Dewa, strona 5. NA-DPP 1/13.
332. *Mitchell poszedł do ogrodu*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 28.

Syrena

333. *W przyszłości*: wywiad z księżniczką Elettrą Marconi. Również Marconi, *Marconi My Beloved*, strona 159.
334. *Tymczasem nagle zjawiała się Beatrice*: Marconi, *My Father*, strony 188-189.

Tajemnica się pogłębia

335. „*Smród był nie do zniesienia*”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 28.
335. *Wraz z Froestem natychmiast*: Macnaghten, *Days of My Years*, strona 195.
336. *Miał przeprowadzić oględziny*: Zeznanie Thomasa Marshalla, strona 50. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
336. *Uwagę skoncentrowali*: Zeznanie Arthura Mitchella, strona 4. Dodatkowe informacje NA-DPP 1/13.
336. *Jak Dew miał napisać*: Fragmenty Ludzkich Szczątków, strony 23-24. Zeznanie Świadków, NA-DPP 1/13.
336. *Zabrano wszystko, co pozwoliłoby ustalić płeć ofiary*: Zeznanie Thomasa Marshalla, strona 4. Dodatkowe informacje NA-DPP 1/13. Marshall powiedział: „Nie naleźliśmy ani jednej kości ani głowy, ani ręki, ani nogi”.
305. „*Ktoś po prostu oskrobał mięso z kości*”: Zeznanie Waltera Dewa. 18 lipca 1910 roku, strona 38, NA-DPP 1/13.
337. *Natychmiast stało się jasne*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 30.

338. „Od krzesła doktora”: Macnaghten, *Days of My Years*, strona 195.
339. Zatyłował swój okólnik: Dew, *I Caught Crippen*, strona 29. Fotografia tego okólnika znajduje się w książce Goodmana *Crippen File*, strona 10.
340. wrócili zatem na pokład: Zeznanie Alfreda Henry’ego Sargenta, strona 156 oraz zeznanie Francisa Barclaya, strony 158-159. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
340. „Prosiłam go kilka razy”: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 50.

Dynamitowa nagroda

341. „Murem Telefunkena”: Baker, *History*, strona 131.
341. Notatka służbowa: *Traffic Between Clifden and Glace Bay from October 10, 1907 to June 27, 1908*, 4 sierpnia 1908 roku. William Smith Papers, tom 1. Archiwum Kanady, MG 30 D18.
342. Inny raport firmy: *Analysis of Clifden Traffic from 4th January 1908 to 15th August 1908*, William Smith Papers, tom 2. Archiwum Kanady, MG 30 D18.
343. „Chciałbym nadmienić”: Marconi, *Nobel*, strony 1-2.
343. Przyznał też otwarcie: ibidem, strona 40.
343. Nie znalazł też jeszcze: ibidem, strony 27-28.
343. „Ma się wrażenie, że fala elektryczna”: ibidem, strona 41.
344. „Bez względu na dzisiejsze ograniczenia”: ibidem, strona 44.

Pięć słołów

345. Dew znalazł również: Zeznanie Waltera Dewa. 18 lipca 1910 roku, strona 39, NA-DPP 1/13.
346. „Znajdowała się tam jedna duża masa”: Zeznanie Augustusa Josepha Peppera, strona 40. Streszczenie dla oskarżenia, NADPP 1/13.
346. Podczas oględzin skóry: ibidem, strona 46.
346. „Fałszywe włosy”: ibidem, strona 41.
346. Pepper szukał dalej: *Trial*, strona 48; W. H. Willcox, *Report*, strona 4, NA-DPP 1/13.
347. Ethel zaczęła się nudzić: ten dialog pochodzi z Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strony 49-53.
348. Znalazł również: Zeznanie Waltera Dewa. 18 lipca 1910 roku, strona 39, NA-DPP 1/13.
348. „To był pierwszy”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 33.
349. „Ani jeden dzień nie minął”: ibidem, strony 36-37.
349. W takich sprawach: Browne, *Rise*, strony 250, 258.
349. Najważniejszą lekcją: Macnaghten, *Days of My Years*, strona 98.
350. „Robiłem, co mogłem”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 36.
350. W piątek 15 lipca: Zeznanie Emily Jackson, strony 38-40. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
350. Złożyli ponowną wizytę: Zeznanie Clary Martinetti, strony 63-68, ibidem.
350. Przesłuchali Marion: Zeznanie Marion Louisy Curnow, strony 72-137, ibidem.
350. „Byli ze sobą w niezwykle dobrych”: Zeznanie Emily Cowderoy, strona 104, ibidem.
352. zdaniem sir Melville’a Macnaghtena: Macnaghten, *Days of My Years*, strony 196-197.
352. W towarzystwie detektywów: Cullen, *Crippen*, strona 69; Fox, *Transatlantic*, strona 405.
352. „Aż do dziś”: Cullen, *Crippen*, strona 70.
353. „Wielebny był równie podobny”: ibidem, strona 74.
353. „Wielu ludzi”: ibidem, strona 72.
353. Później Dew stanął przypadkiem: Dew, *I Caught Crippen*, strony 31-32.

Dowód

354. „Marconi-Atlantyk”: Marconi, *My Father*, strona 192.
355. „Bez najmniejszego uczucia”: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 52.

Część VI: Pościg z pomocą gromu

Panowie Robinson

- 357. „Cały statek był cudowny”: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strony 52-53.
- 357. „Czułam się taka”: ibidem, strona 53.
- 357. Kapitan pożyczał również książki: *Trial*, strona 187.
- 358. Szybkość statku na morzu: ibidem, strona 188.
- 358. „Dlatego, owinięta kocem”: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 54.
- 358. Obejrzał ich kapelusze: *Trial*, strona 187, również Cullen, *Crippen*, strona 126.
- 359. „Ostrzegłem go, że”: *Trial*, strona 187.

Samobójstwo

- 360. W Chicago policja aresztowała: „New York Times”, 23 lipca 1910 roku.
- 360. Agent okrętowy z Marsylii: ibidem.
- 360. W Halifaxie w Nowej Szkocji: ibidem, 24 lipca 1910 roku.
- 361. Z Brukseli przyszedł raport: ibidem, 23 lipca 1910 roku.
- 361. „Wielu mężczyzn o potulnym wyglądzie”: ibidem, 24 lipca 1910 roku.
- 361. Wieczorem w środę 12 lipca: ibidem, 22 lipca 1910 roku.

Wiadomość z morza

- 363. Kiedy rozmawiał z Robinsonami: Zeznanie Henry’ego George’a Kendalla, strona 2, NA-MEPO 3/198; również Croall, *Fourteen Minutes*, strona 25, i Jeffers, *Bloody Business*, strona 125.
- 363. Raz poryw wiatru: *Trial*, strona 188.
- 363. Kendall zaprosił Robinsonów : ibidem, strona 188.
- 363. „Podstęp się udał”: ibidem, strona 188.
- 364. „Stałem się wówczas całkowicie przekonany”: Zeznanie Henry’ego George’a Kendalla, strona 2, NA-MEPO 3/198.
- 364. Po południu znalazł się za Robinsonami: *Trial*, strona 188.
- 365. Mam poważne podejrzenia: Zeznanie Henry’ego George’a Kendalla, strona 3, NA-MEPO 3/198. Jeffers, *Bloody Business*, strona 126. Patrz również fotografia Marconigramu w Goodman, *Crippen Files*, strona 28.

„Pan Dewhurst”

- 366. „Była ósma wieczorem”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 37.
- 367. „Niech mi pan ją przeczyta”: Jeffers, *Bloody Business*, strona 126.
- 367. „Co pan sądzi?”: ten dialog pochodzi z Dew, *I Caught Crippen*, strona 39.
- 367. „To był poważny krok”: Macnaghten, *Days of My Years*, strona 199.
- 368. Co więcej, wydział zabójstw: ibidem, strony 229-231.
- 368. Macnaghten martwił się: ibidem, strona 199.
- 368. „Oto pańskie pełnomocnictwo”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 39.
- 368. „Ta noc miała być pełna niepokoju”: Macnaghten, *Days of My Years*, strona 199.
- 368. Oficer z liverpoolskiej policji: Telegram. Starszy konstabl Leonard Dunne do Macnaghtena, 22 lipca 1910 roku. NA-MEPO 3/198.
- 368. Tylko kapitan i operator: Dew, *I Caught Crippen*, strona 40.
- 369. Na stacji w Liverpoolu: Telegram. Starszy konstabl Leonard Dunne do Macnaghtena, 22 lipca 1910 roku. NA-MEPO 3/198.
- 369. „To była beznadziejna sprawa”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 40.
- 369. „Przybrałem nonszalancką postawę”: Macnaghten, *Days of My Years*, strony 199-200.
- 370. Niepokój Macnaghtena zwiększył się: ibidem, strona 200.

370. *Policja nowojorska*: Inspektor John H. Russell, Departament Policji Miasta Nowy Jork do Macnaghtena, 22 lipca 1910 roku. NA-MEPO 3/198.
370. *Francuski strażnik kolejowy*: „New York Times”, 20 lipca 1910 roku.
370. *W Anglii pewien mężczyzna*: Charles Jones do starszego konstabla, Cardiff City Police, 15 lipca 1910 roku, NA-MEPO 3/198.
370. *Detektyw Guy Workman ze Scotland Yardu*: Central Officer Special Report: Re John Robinson and John Robinson Junior, 24 lipca 1910 roku, NA-MEPO 3/198.
370. *Żona właściciela*: „Daily Mail”, 27 lipca 1910 roku. Przedruk u Goodmana, *Crippen File*, strona 35.

Przechwycony sygnał

371. *„Doktor był spokojny jak zawsze”*: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 53.
372. *Wyobrażała sobie list*: ibidem, strona 54.
372. *„Co robi inspektor Dew?”*: MarconiCalling. Search Crippen. Patrz *Kendall's Message Reaches Scotland Yard*.

Kłatka ze szkła

373. *„Sądzymy, że »doktor« Crippen”*: „Daily Telegraph”, 25 lipca 1910 roku. Przedruk u Goodmana, *Crippen File*, strona 28.
376. *Historia pochłonęła wydawców*: *Trial*, strona xxxi.
373. *„Dziś w południe”*: „Daily Mail”, 26 lipca 1910 roku. Przedruk u Goodmana, *Crippen File*, strona 31.
373. *Jeden z artykułów spekulował*: „Daily Mail”, 25 lipca 1910 roku. Przedruk u Goodmana, *Crippen File*, strona 26.
374. *„W dzisiejszych czasach”*: „Daily Mirror”, 27 lipca 1910 roku. Przedruk u Goodmana, *Crippen File*, strona 33.
374. *Francuska gazeta*: cytata w Goodman, *Crippen File*, strona 37.
374. *„Ludzie niepozbowieni w tych kwestiach”*: Priestley, *Edwardians*, strona 200.
375. *„Krol Trucicieli”*: Willcox, *Detective-Physician*, strona 324.
375. *Teraz rozpoczął badania*: *Trial*, strona 68.
375. *„Szczątki bardzo się zmieniły”*: ibidem, strona 66.
375. *Udało mu się odszukać*: Zeznanie Williama Henry'ego Willcoxa, strona 58. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
376. *Pod numerem 46*: Zeznanie Leny Lyons, strony 133-135. Zeznania Świadców, NA-DPP 1/13.
376. *Inna sąsiadka*: Zeznanie Franciszki Hachenberger, strona 135A, ibidem.
377. *Najbardziej szczegółowa opowieść*: Zeznanie Fredericka Evansa, strony 136-138, ibidem.
378. *Crutchett dotarł*: Zeznanie Williama Curtisa, strony 162-163, ibidem.
378. *W środę 27 lipca*: Cullen, *Crippen*, strona 135; Jeffers, *Bloody Business*, strony 126-127.
379. *„A jak pan sądzi”*: Jeffers, *Bloody Business*, strona 127.
379. *„Jeśli o mnie chodzi”*: „Times”, Londyn, 29 lipca 1910 roku.

Wibrujący eter

380. *„o przekazanie na zasadach handlowych”*: Cullen, *Crippen*, strona 135.
380. *„okazja zbyt dobra, by ją przepuścić”*: *Trial*, strona 187.
381. *„Moja droga”*: ten dialog pochodzi z Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strony 55-56.
382. *W piątek*: *Trial*, strony 187-188.
384. *„To niezwykle, niemal niesamowite”*: „Times”, Londyn, 1 sierpnia 1910 roku.
384. *„Podejrzany uciekinier”*: przedruk u Goodmana, *Crippen File*, strona 37.
384. *„Co za wspianiały wynalazek”*: *Trial*, strona 188.

Kot z St. Mary's

385. *W Londynie, w szpitalu St. Mary's: Trial*, strona 71; Willcox, *Detective-Physician*, strona 28; Zeznanie Williama Henry'ego Willcoxa, strony 58-65. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
385. „Trzeba najpierw zważyć”: *Trial*, strona 70.
386. *Stwierdził na przykład*: Willcox, *Detective-Physician*, strona 27.
387. *Znano jedynie cztery*: Zeznanie Williama Henry'ego Willcoxa, strona 60. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
387. *źrenica zachowuje zdolność*: *Trial*, strona 71.
387. *Został adoptowany przez*: Willcox, *Detective-Physician*, strona 31.

Szepty

388. *Jones okazał się*: „New York Times”, 30 lipca 1910 roku.

Inspektor przybywa

389. *Ten widok go przeraził*: Raport Waltera Dewa, 2 sierpnia 1910 roku. NA-MEPO 3/198.
389. *Na brzegu*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 41. Stacja Marconiego na Father Point jest doskonałym przykładem tego, jak koszty i problemy kumulowały się w miarę rozwijania przez Marconiego systemu łączności statki-wybrzeże. Rozpoczęła pracę 22 grudnia 1906 roku i prawie natychmiast zaczęły się komplikacje, co zapisano starannie w dzienniku stacji. Rury zamarzały. Silniki nie dawały się uruchomić. Jeden zapis brzmi: „Żeby odmrozić rurę pompy, wymontowano część ssącą i włożono do środka inną rurę, rozgrzaną do czerwoności”. W zapiskach z 1907 roku pełno podobnych informacji. Silniki się psuły. Sygnały były słabe, a braki w depeszach zaznaczano literą „x”. „Cholernie dużo iksów” — napisał pewnej nocy operator. I znów: „Masa iksów przez całe popołudnie”. Pogoda nękała stację. Najgorszym miesiącem był kwiecień 1908 roku, wzór pogodowej przewrotności: Zapis z soboty, 4 kwietnia: „Huragan z zachodu [...]” Zapis z czwartku, 9 kwietnia: „Huragan ze wschodu [...]” Patrz Dziennik Stacji Father Point, Quebec, 1906-1914. Archiwum Kanady, MG 28 III 72, tom 81.
390. *„Syrena latarni morskiej”*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 42.
390. *„Nie zamierzam udawać”*: ibidem, strona 42.
390. *Zebrał razem wszystkich reporterów*: ibidem, strona 42; Raport Waltera Dewa, 2 sierpnia 1910 roku. NA-MEPO 3/198.
391. *Rozgrywający się dramat*: Central Officer's Special Report, 30 lipca 1910 roku, NA-MEPO 3/198.
392. *Dowiedziano się na przykład*: Zeznanie Johna Williama Stonehouse'a, strony 143-144. Zeznania Świadków, NA-DPP 1/13.
392. *Później urzędnik znów zadzwonił*: Central Officer's Special Report, 1 sierpnia 1910 roku, NA-MEPO 3/198.

Statek we mgle

393. *„Ostatnia noc była ponura”*: Priestley, *Edwardians*, strona 199.
394. *„Wolałabym nie”*: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 56.
394. *Pod podszewką kamizelki*: Zeznanie Waltera Dewa, strona 75. Streszczenie dla oskarżenia, NA-DPP 1/13.
394. *Lekarz okrętowy*: „New York Times”, 1 sierpnia 1910 roku.
395. *Na wszelki wypadek*: Priestley, *Edwardians*, strona 199.

Zdradliwe wody

396. *Dew uświadomił sobie*: Dew, *I Caught Crippen*, strony 42-43.
397. *Kapitan zaprowadził więc przybyłych*: Dew, *I Caught Crippen*, strona 44; Priestley, *Edwardians*, strona 199.

398. „Podczas swojej długiej kariery w policji”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 43.
 398. Crippen „został schwytany na progu”: ibidem, strona 44.
 398. „Jestem nadinspektor Dew”: ibidem, strona 44.

Epilog: W eterze

Tabela upadków

400. „Podanie śmiertelnej dawki”: *Trial*, strona 69.
 400. Prowadzący śledztwo: Dew, *I Caught Crippen*, strona 62.
 401. Szczególnie Dew okazywał: Le Neve, *Ehtel Le Neve*, strona 60.
 401. „Był dla mnie prawdziwą”: Dew, *I Caught Crippen*, strony 56-57.
 401. W więzieniu w Quebec: C.L. Gauvrea do komisarza, Scotland Yard, 9 grudnia 1959 roku. Black Museum, NA-MEPO 3/3154.
 402. Dew odizolował Crippena: Dew, *I Caught Crippen*, strona 57.
 402. „Nie wiem, jak sprawy się ułożyły”: ibidem, strona 54.
 402. „Musiałem przy tym być”: ibidem, strona 55.
 402. Bilety do Old Bailey usiłowało: Willcox, *Detective-Physician*, strona 28.
 402. Wśród widzów znaleźli się: Jeffers, *Bloody Business*, strona 129.
 402. Z miejsca dla Świadków Spilsbury: Browne and Tullett, *Scotland Yard*, strony 53-54.
 403. Przysięgłym zaprezentowano: *Trial*, strona xxxii; Jeffers, *Bloody Business*, strona 128.
 403. zapytał Muir: *Trial*, strona 94.
 404. Strażnik więzienny odebrał mu pieniądze: Memorandum. W. Middleton do naczelnika więzienia Pentonville, 25 października 1910 roku. NA-PCOM 8/30.
 404. Fakt uwięzienia: Memorandum więzienia Jego Królewskiej Mości w Brixton, 19 września 1910 roku. NA-PCOM, 8/30.
 404. „Pociechę dla mego”: Ellis, strona 316. Podczas pobytu Crippena w więzieniu pewien starszy człowiek zaproponował, by to jego powieszono w miejsce doktora. Twierdził, że jego życie nie jest tyle warte co życie skazanego. Ofertę odrzucono. Browne, *Travers Humphreys*, strona 78.
 404. Ellis uważany był za: memorandum do Komisji Więziennictwa, 11 marca 1914 roku. Formularz egzekucji, egzekucja Josiaha Daviesa, 10 marca 1914 roku. NA-PCOM 8/213. Egzekucje przeprowadzone przez kata o nazwisku Berry ujawniły w pełni, jak ważne jest staranne rozważenie mechanizmów fizycznych całego procesu. Berry trzykrotnie usiłował powiesić mordercę Johna Lee i trzykrotnie mu się to nie udało, co zmusiło sędziego do zamienienia wyroku na dożywocie. Upomniany kat postanowił naprawić swój błąd, zwiększając długość sznura przy kolejnych egzekucjach. Następnym skazanym był Robert Goodale, również morderca. Pętla urwała mu głowę. Rok później, przy wieszaniu mordercy Davida Robertsa, Berry znów za bardzo skrócił sznur i skazany zaczął się młotać w powietrzu. Strażnicy więzienni musieli go pozbawić życia innym sposobem. Patrz Browne, *Rise*, strona 180.
 405. „charakter szyi skazanego”: Formularz egzekucji. Egzekucja Hawleya Harveya Crippena, 23 listopada 1910 roku. NA-PCOM 8/30.
 405. Strażnik więzienny: Spis ubrań Crippena, 21 sierpnia 1911 roku. NA-PCOM 8/30.
 405. Ellis jeszcze długo: Rochdale Folk na manchesterhistory.net/rochdale/ellis.html.
 405. Tuż przed egzekucją wydawca: Do H. H. Crippena, *cela śmierci, więzienie Pentonville*, 19 listopada 1910 roku. Wycinki z gazet, NA-HO/44/1719/195492.
 407. Jedna z teorii: Hicks, *Not Guilty*, strona 83.
 408. „Nigdy nie uważałem Crippena”: Humphreys, *Criminal Days*, strona 113.
 408. „Sprawiedliwości nie stało się jeszcze”: Browne and Tullett, *Scotland Yard*, strona 58.
 408. „Starannie sprawdziliśmy”: Central Officer’s Special Report: Murder of Cora Crippen. Informacje, 1 września 1910 roku, NA-MEPO 3/198.
 409. „Żaden z pakunków nie wydziela”: Central Officer’s Special Report: Special Enquiry at Railway Stations re Crippen. 16 września 1910 roku, NA-MEPO 3/198.

409. *Departament Zdrowia Publicznego*: Alfred Edwin Harris, Medical Officer of Health do sir Melville'a Macnaghtena, 7 października 1910 roku, NA-MEPO 3/198.
409. *Punktualnie kwadrans po trzeciej*: Memorandum: *I beg to report the funeral cortege...*, NA-MEPO 3/198.
409. „*Miłość doktora Crippena*”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 47.
409. *Wee Hoose*: Cullen, *Crippen*, strona 197.
410. „*Najbardziej intrygujące morderstwo*”: Dew, *I Caught Crippen*, strona 7.
410. *29 maja 1914 roku, tuż przed drugą*: w archiwach Kanady znajduje się ogromna ilość materiałów na temat zagłady „*Empress*”. Patrz przede wszystkim Komisja Śledcza w sprawie zatonięcia „*Empress of Ireland*”, 16 czerwca 1914 roku. Archiwum Kanady, RG 42 tom 351.
410. *Kiedy Niemcy ruszyli na Antwerpię*: Musk, *Canadian Pacific*, strona 74; Croall, *Fourteen Minutes*, strony 229-230.
411. *Tam wstąpił do Marynarki Krolewskiej*: Croall, *Fourteen Minutes*, strona 230.
411. *Jeden maszt pozostał widoczny*: Musk, *Canadian Pacific*, strona 74.
411. *Alfreda Hitchcocka*: Hitchcock, *Juicy Murders*, strona 23; Massie, *Potawatomi Tears*, strona 277; *Hitchcock's Favourite Crime*, members.aol.com/vistavision/doctorcrippen.html.
- W sprawie doktora Crippena Hitchcocka pociągała przede wszystkim jej subtelność. „Sprawa Crippena obfitowała w omówienia, po440 wścigiwość i charakterystyczne dla Brytyjczyków rozkoszowanie się dramatem” — napisał. Nazwał omowienia „zawodową tradycją policji angielskiej. Łapiąc najgorszych zbrodniarzy, nigdy nie krzyczą »Dobra, mamy cię!«. Mówią »Bardzo przepraszamy, ale mamy wrażenie, że kogoś ugotowano w oleju. Zastanawialiśmy się, czy będzie pan skłonny odpowiedzieć na kilka pytań« w tej sprawie [...]».. Hitchcock, *Juicy Murders*, strona 23.
372. *Crippen fascynował również*: Gardiner and Walker, *Raymond Chandler*, strony 197-198.
373. *Sztuka pod tytułem*: „*Coldwater Courier*”, 12 kwietnia 1912 roku. Holbrook Heritage Room, Branch County District Library, Coldwater, Michigan.
412. „*Poroniony dowcip z muzyką*”: Cullen, *Crippen*, strony 202-203.
412. *W czasie drugiej wojny światowej*: bomba trafiła również w New Scotland Yard i zniszczyła kilka pięter, w tym biuro komendanta policji. Na szczęście akurat wtedy go tam nie było. Browne, *Rise*, trona 360.

Małżeństwo, którego nie było

414. „*a do nas machały*”: Marconi, *My Father*, strony 197-198.
414. *Od tamtej pory na chronionych wodach*: *What is the economic value of the International Ice Patrol?*, Straż Przybrzeżna Stanów Zjednoczonych na www.uscg.mil/lantarea/iip/FAQ/Org6.shtml.
414. *Stworzyły nawet*: Baker, *History*, strona 135. Aitken, *Syntony*, strona 284.
414. *Zaraz po odjeździe*: Baker, *History*, strony 158-159. Kiedy zbliżała się wojna, sir Edward Grey, brytyjski minister spraw zagranicznych, obserwował przez okno swego biura, jak zapalano latarnie w parku St.
- James. W pewnej chwili do oczu napłynęły mu łzy i wypowiedział najsmutniejsze zdanie w historii: „Światła w całej Europie gasną. Nie doczekamy ich ponownego zapalenia”. Tuchman, *Sierpniowe strzały*, strona 122.
415. *Stacja Marconiego w Poldhu*: Baker, *History*, strona 159.
415. „*Wezwania pomocy*”: Marconi Co. of Canada, Raport Roczny. Rok kończący się 31 stycznia 1915. Teczka 191, strony 2-48. Raporty Roczne. Archiwum Kanady, MG 28 III 72 tom 6.
415. *W 1917 roku niemiecki okręt podwodny*: Hancock, *Wireless*, strona 19. Sam Marconi również mógł być celem Cesarskiej Marynarki Wojennej. W kwietniu 1915 roku zabukował sobie bilety na rejs na „*Lusitanię*” i popłynął do Nowego Jorku zeznawać w procesie, który jego firma wytoczyła konkurencji. Kiedy tam przebywał, Niemcy ostrzegli, że jeśli „*Lusitania*” ponownie wpłynie na angielskie wody, zostanie storpedowana. Krążyły plotki, że zamierzają pochwytać Marconiego. 7 maja niemiecki okręt podwodny faktycznie zatopił „*Lusitanię*”.

W tym samym miesiącu Marconi dowiedział się, że Włochy przystąpiły do wojny. Nadal przebywał w Nowym Jorku. Wymówił się od dalszego udziału w procesie i ruszył do Londynu na pokładzie swojego ulubionego liniowca, „St. Paul”. Wziął jednak poważnie niemieckie groźby wobec swojej osoby i podróżował incognito. Z Anglii przepłynął do Włoch, gdzie stanął na czele służb łączności bezprzewodowej włoskiej armii. Baker, *History*, strona 171.

415. „Przeszłość od dawna była”: Marconi, *My Father*, strona 232.

415. *Marconi sprzedał ich dom* : Według Degny Marconi sprzedaż była okropna. Opisała, jak pewnego dnia przechodziła obok domu, kiedy trwała przeprowadzka. „Drzwi naszego starego domu były otwarte, więc weszłam do przedpokoju. Większość mebli zabrano, a w ich miejsce stały pokryte kurzem skrzynie. W kącie, jak śmieci, rzucono kilka książek, które kochaliśmy. Podłogę zaśmiewały lampy z potłuczonymi kloszami i listy napisane charakterem pisma ojca. Matka, zbyt smutna, by zajmować się domem, który właśnie został zniszczony, zostawiła pakowanie służbie”. Degna napisała to w 1962 roku. „Nadal żał mi siebie, dziewczynki stojącej samotnie w tym opuszczonym domu”. Marconi, *My Father*, strona 234.

416. „Chciałabym Ci życzyć”: Marconi, *My Father*, strona 252.

418. „Potrzebują Twego zeznania”: ibidem, strona 269.

418. „Młody człowieku”: Baker, *History*, strona 185.

418. „W jakimż świecie żyjemy”: sir Henry Morris-Jones, *Diary of a visit to Canada and the U.S.A., 1926*. Archiwum Kanady, MG40 M22. Mikrofilm, rolka A-1610.

418. „Przyznaję, że jestem odpowiedzialny”: Aitken, *Syntony*, strona 272.

419. *Punktem kulminacyjnym*: Marconi, *My Father*, strona 294.

419. *Na starość*: Baker, *History*, strona 295.

419. „Szukajcie regularnie powtarzających się”: Isted, część 1, strona 54.

419. „Przepraszam bardzo”: „Indianapolis Times”, 20 lipca 1937 roku. Biblioteka Stanu Indiana.

419. *Amelii Earhart*: ibidem.

419. *Ale wieczorem smutek*: ibidem.

420. „Nikt na mnie nie patrzył”: Marconi, *My Father*, strona 311.

Fleming i Lodge

421. „fundusz walki”: Lodge do Preece’a, 15 czerwca 1911 roku. Baker Collection: Further Papers of Sir William Henry Preece. IEE-NAEST 021.

421. „W sposób oczywisty”: ibidem.

421. „Zgadzam się z każdym Pańskim słowem”: Baker, *Preece*, strony 304-305.

421. „Bardzo się cieszę, że”: Preece do Lodge’a, 24 października 1911 roku. UCL, Lodge Collection, 89/86.

422. „Kocham cię”: Lodge, *Raymond*, strona 205.

422. „Ojczy, powiedz matce”: ibidem, strona 207.

422. „Chcę, by wszyscy”: ibidem, strona 342.

423. *Książka stała się bardzo popularna*: biograf Lodge’a, W. P. Jolly, ujął to tak: „Rzadko praca badawcza czy filozoficzna zostaje opublikowana w bardziej odpowiednim czasie, kiedy niemal wszyscy w Anglii oplakiwali stratę krewnego czy przyjaciela”. Jolly, *Lodge*, strona 205.

423. „Jest absolutnie jasne”: Fleming do Lodge’a, 29 sierpnia 1937 roku. UCL, Lodge Collection, 89/36.

423. „Marconi zawsze chciał wszystko”: ibidem.

Koda: Pasażerka

425. *Po raz drugi*: Cullen, *Crippen*, strona 191.

426. *Po przybyciu do Nowego Jorku* : ibidem, strony 199-201.

Archiwa i bibliografia

Archiwa

Archiwum Kanady, Ottawa.
Beaton Institute, Breton University, Nowa Szkocja.
Bolles, Edwin C. The Edwin C. Zbiór Bollesa na temat historii Londynu, Tufts University. Archiwum online: http://www.perseus.tufts.edu/cache/perscoll_Bolles.html.
Booth, Charles, Archiwum online Charlesa Bootha. London School of Economics, <http://www.booth.lse.ac.uk/>.
Cape Cod National Seashore. Eastham, Massachusetts.
Institute of Electrical Engineers (IEE). Londyn.
Dziennik Kempa, Archiwum Marconiego, Bodleian Library. Oxford.
MarconiCalling. Archiwum Marconiego Online: <http://www.Marconi-Calling.com>.
Archiwum Narodowe (NA), Wielka Brytania. Kew, Anglia:
Centralny Sąd Kryminalny/Old Bailey (CRIM)
Department of Public Prosecution (DPP)
Treasury (T)
Home Office (HO)
Metropolitan Police (MEPO)
Prison Commission (PCOM).
University College of London (UCL), zbiory specjalne:
Zbiór Fleminga
Zbiór Lodge'a
Towarzystwo Historyczne Wellfleet, Wellfleet, Massachusetts.

Bibliografia

A-Z London (wydanie 5A). Geographer's A-Z Map Co., 2002.
Aitken, Hugh G. J. *Syntony and Spark — The Origins of Radio*, John Wiley, 1976.
Alverstone, Viscount, *Recollections of Bar and Bench*, Longmans, Green, 1915.
Bacon's Up to Date Map of London 1902, Old House Books, niedatowane.
Baedeker, Karl, *London and its Environs, 1900*. Old House Books, 2002 (1900).
Baker, E. C., *Sir William Preece*, Hutchinson, 1976.
Baker, W. J., *A History of the Marconi Company*, Methuen, 1970.
Barrie, J. M., *Peter Pan and Other Plays*, Charles Scribner's Sons, 1930.
Bartram, Graeme, *Wireless and the Art of Magic*, Part I, „Bulletin of the British Vintage Wireless Society”, 28, nr 4 (zima 2003), strony 48-55.
—, *Wireless and the Art of Magic*, Part II. „Bulletin of the British Vintage Wireless Society”, 29, nr 1 (wiosna 2004), strony 42-45.
Bayless, Raymond, *Voices from Beyond*, University Books, 1976.
Biel, Steven, *Down with the Old Canoe*, W. W. Norton, 1996.
Birkenhead, Lord (F. E. Smith), *Famous Trials of History*, George H. Doran, 1926.
Blunt, Wilfrid Scawen, *My Diaries*, Alfred A. Knopf, 1922.

Bodanis, David, *Electric Universe*, Crown, 2005.

Booth, Martin, *The Doctor, the Detective and Arthur Conan Doyle*, Hodder & Stoughton, 1997.

Bordeau, Sanford. *Volts to Hertz*. Burgess, 1982.

Braga, Gioia Marconi, *A Biography of Guglielmo Marconi*, Marconi Foundation, www.MarconiFoundation.Org.

Browne, Douglas G., *The Rise of Scotland Yard*, George G. Harrap, 1956.

—, *Sir Travers Humphreys*, George G. Harrap, 1960.

Browne, Douglas G., E. V. Tullett, *The Scalpel of Scotland Yard*, E. P. Dutton, 1952.

Brownlow, Arthur H. (red), *Cape Cod Environmental Atlas*, Boston University, 1979.

Bryant, John H., *Heinrich Hertz: The Beginning of Microwaves*, Institute of Electrical and Electronic Engineers, 1988.

Bussey, Gordon, *Marconi's Atlantic Leap*, Marconi Communications, 2000.

Cheney, Margaret i Robert Uth, *Tesla, Master of Lightning*. MetroBooks, 1999.

Chesterton, G. K., *The Autobiography of G. K. Chesterton*, Sheed & Ward, 1936.

Childers, Erskine, *The Riddle of the Sands*, Modern Library, 2002 (1903).

Clarke, I. F., *Voices Prophesying War 1763-1984*, Oxford, 1966.

Coldwater, Michigan, City Directory, 1949.

Collier, Price, *England and the English from an American Point of View*, Charles Scribner's Sons, 1909.

Collins, A. Frederick, *Wireless Telegraphy: Its History, Theory and Practice*, McGraw, 1905.

—, *Manual of Wireless Telegraphy*, John Wiley, 1906.

Conover, J. S., *Coldwater Illustrated*, Conover, 1889.

Constable, Tony, *Oliver Lodge and the Hertz Memorial Lecture of 1894*, „Bulletin of the British Vintage Wireless Society”, 19, nr 1 (niedatowany), strony 21-22.

Corazza, Gian Carlo, *Marconi's History*, „Proceedings of the IEEE”, 86, nr 7 (lipiec 1998), strony 1307-1311.

Croall, James, *Fourteen Minutes*, Stein & Day, 1979.

Cullen, Tom, *Crippen: The Mild Murderer*, Penguin, 1988.

—, *When London Walked in Terror*, Houghton Mifflin, 1965.

Daily Climatological Data, Sydney, Nova Scotia 1870-1971. Environment Canada, 1973.

d'Albe, E. E. Fournier, *The Life of Sir William Crookes*, D. Appleton, 1924.

David, Hugh, *The Fitzrovians*, Michael Joseph, 1988.

de Falco, Alessandro, *Santa Maria degli Angeli e dei Martiri: Incontro di Storie*, BetaGamma, 2005.

Deghy, Guy i Keith Waterhouse, *Café Royal*, Hutchinson, 1956.

Dew, Walter, *i Caught Crippen*, Blackie & Son, 1938.

Douglas, John i Mark Olshaker, *The Cases That Haunt Us*, Scribner, 2000.

Doyle, Arthur Conan, *Wspomnienia i przygody*, [brak nazwiska tłumacza] Małopolska Oficyna Wydawnicza, Kraków, 1992.

Dunbar, Janet, *J. M. Barrie: The Man Behind the Image*, Houghton Mifflin, 1970.

Dunlap, Orrin E., *Marconi: The Man and His Wireless*, Macmillan, 1937.

Eastwood, sir Eric (red.), *Wireless Telegraphy*, John Wiley & Sons, 1974.

Eckert, Kathryn Bishop, *Buildings of Michigan*, Oxford, 1993.

Ellis, Havelock, *Studies in the Psychology of Sex: Sexual Selection in Man* (tom 4), F. A. Davis, 1921.

Ellis, J. C., *Black Flame*, Hutchinson & Co., niedatowane.

Falciasecca, Gabriele i Barbara Valotti. *Guglielmo Marconi: Genio, Storia e Modernité*. Giorgio Mondadori, 2003.

Faulkner, Brian, *Watchers of the Waves*, Radio Bygones, niedatowane.

Felstead, Sidney Theodore, *Famous Criminals and Their Trials*, George H. Doran, 1926.

- Fleming, J. A., *A Report on Experiments Carried out at Poldhu on Wednesday, March 18, 1903*, Marconi Wireless Telegraph Co., March 23, 1903.
- , *The History of Transatlantic Wireless Telegraphy by Marconi Methods*, tom 1, niepublikowane, maszynopis [w:] UCL, Fleming Collection, 122/64.
- Forster, E. M. *Pokój z widokiem*, przekład Agnieszka Majchrzak, „Comfort”, Warszawa, 1992.
- , *Howards End*, przekład Ewa Krasińska, „Czytelnik”, Warszawa, 1993.
- Fox, Stephen, *Transatlantic*, HarperCollins, 2003.
- Fried, Albert i Richard M. Elman. *Charles Booth's London*, Pantheon, 1968.
- Furbank, P. N., *E. M. Forster: A Life* (tom 1), Secker & Warburg, 1977.
- Gardiner, Dorothy i Kathrine Sorley Walker (red.), *Raymond Chandler Speaking*. Allison & Busby, 1984 (1962).
- Gay, Peter (red.), *The Freud Reader*, Norton, 1995 (1989).
- Gillespie, Carolyn L., *A History of the Tibbits Opera House, 1882-1904*, praca doktorska, Kent State, czerwiec 1925.
- Goldenberg, Susan, *Canadian Pacific: A Portrait of Power*, Methuen, 1983.
- Goodman, Jonathan (red.), *The Crippen File*, Allison & Busby, 1985.
- Goodwin, W. D., *One Hundred Years of Maritime Radio*, Brown, Son & Ferguson, 1995.
- Gore, John, *Edwardian Scrapbook*, Evans Brothers, 1951.
- Hancock, H. E., *Wireless at Sea*, Marconi International Marine Communication Co., 1950.
- Haynes, Renée, *The Society for Psychical Research, 1882-1982*, Macdonald & Co., 1982.
- Hicks, Seymour, *Not Guilty, M'Lord*, Cassell, 1939.
- Hill, J. Arthur, *Letters from Sir Oliver Lodge*, Cassell, 1932.
- History of Branch County, Michigan*. Everts & Abbott, 1879.
- Hitchcock, Alfred, *Juicy Murders, and Why We Love 'Em So*, „Everybody's Magazine”, 8 czerwca 1957.
- Holmes, Nathaniel, *An Illustrated City Directory of Coldwater, Michigan*, Conover Engineering and Printing, 1894.
- Hong, Sungook, *Wireless: From Marconi's Black-Box to the Audion*, MIT Press, 2001.
- Humphreys, Travers, *Criminal Days*, Hodder & Stoughton, 1946.
- Hynes, Samuel, *The Edwardian Turn of Mind*, Princeton, 1968.
- Isted, G. A., *Guglielmo Marconi and the History of Radio*, część 1, „GEC Review”, 7, nr 1 (1991).
- , *Guglielmo Marconi and the History of Radio*, część 2, „GEC Review”, 7, nr 2 (1991).
- James, Frank A. J. L., *The Royal Institution of Great Britain: 200 Years of Scientific Discovery and Commemoration*, „Interdisciplinary Science Reviews”, 24, nr 3 (1999).
- , *„The Common Purposes of Life”: Science and Society at the Royal Institution of Great Britain*, Ashgate, 2002.
- Jeffers, H. Paul, *Bloody Business*, Pharos Books, 1992.
- Jolly, W. P., *Sir Oliver Lodge*, Fairleigh Dickinson, 1975.
- Jonnes, Jill, *Empires of Light*, Random House, 2003.
- Kestner, Joseph A., *The Edwardian Detective, 1901-1915*, Ashgate, 2000.
- King, William Harvey (red.), *History of Homœopathy*, Lewis Publishing, 1905.
- Kittredge, Henry C., *Cape Cod*, Houghton Mifflin, 1968.
- Lacouture, John, *Siasconset Wireless Stations*, „Bulletin of the British Vintage Wireless Society”, 17, nr 3, (czerwiec 1992), strony 29-32.
- Lane, Margaret, *Edgar Wallace*, Hamish Hamilton, 1964 (1938).
- Le Neve, Ethel, *Ethel Le Neve: Her Life Story With the True Account of Their Flight and Her Friendship for Dr. Crippen, Told by Herself*, Daisy Bank Printing, 1910.
- Letters from Guglielmo Marconi to His Father 1896-1898*, „GEC Review”, 12, nr 2 (1997).
- Lewis, David V., „A Survey of Woodruff Place History, Nov. 28, 1972.”, Indiana State Library.
- Lodge, sir Oliver, *Raymond, or Life and Death*. George H. Doran, 1916.

- , *Ether & Reality*, Hodder & Stoughton, 1926.
- , *Why I Believe in Personal Immortality*, Doubleday/Doran, 1929.
- , *Past Years*, Hodder & Stoughton, 1931.
- Lord, Walter, *A Night to Remember*, Bantam, 1997 (1955).
- Lyons, sir Henry, *The Royal Society, 1660-1940*, Cambridge, 1944.
- Machray, Robert, *The Night Side of London*, Bibliophile Books, 1984 (1902).
- MacLeod, Mary K., *Marconi: Whisper in the Air*, Lancelot Press, 1995.
- Macnaghten, sir Melville, *Days of My Years*. Edward Arnold, 1914.
- Macqueen-Pope, W., *Goodbye Piccadilly*, Drake Publishers, 1972.
- Magnus, Philip, *King Edward the Seventh*, Penguin, 1979 (1964).
- Marconi, Degna, *My Father, Marconi*. McGraw-Hill, 1962.
- Marconi, Guglielmo, *Wireless Telegraphy: Lecture Given Before the Liverpool Chamber of Commerce, Monday, 24 February, 1908*, Marconi Wireless Telegraph Co., 1908.
- , *Transatlantic Wireless Telegraphy: Lecture Given Before the Royal Institution, Friday Night, 13th March, 1908*, Marconi Wireless Telegraph Co., 1908.
- , *Nobel Lecture, Dec. 11, 1909*, Fondazione Guglielmo Marconi, niedatowany.
- Marconi, Maria Cristina, *Marconi My Beloved*, Dante University of America Press, 1999.
- Maskelyne, (Nevil) Incident Papers, IEE (S.C. Mss. 17).
- Maskelyne, Nevil i David Devant, *Our Magic*. George Routledge, niedatowane.
- Massie, Larry B., *Potawatomi Tears & Petticoat Pioneers*, Priscilla Press, ok.1992.
- Massie, Robert K., *Dreadnought*, Random House, 1991.
- Massie, Walter W. i Charles R. Underhill, *Wireless Telegraphy and Telephony Popularly Explained*, D. Van Nostrand, 1908.
- Masterman, C. F. G., *The Condition of England*, Methuen, 1910 (1909).
- Maurois, André, *The Edwardian Era*. D. Appleton-Century, 1933.
- McDonald, John P., *Lost Indianapolis*, Accadia, 2002, Indiana State Library.
- McKenzie, Anna (red.), *The Greater Indianapolis Blue Book, 1898-1899*, Brown-Merrill. Indiana State Library.
- Michigan Business Directory*, 1863.
- Mitchell, W. H., *Canadian Pacific and Southampton*, World Ship Society, 1991.
- Moffett, Cleveland, *Signor Marconi and Wireless Telegraphy*, Windsor Magazine (1899).
- Monthly Weather Review*, U.S. Weather Bureau, 29 (1902).
- Musk, George, *Canadian Pacific Afloat: 1883-1968*, Canadian Pacific, 1968.
- Norman-Butler, Belinda, *Victorian Aspirations*, George Allen, 1972.
- Notes*, „Electrician”, 39, nr 7, (11 czerwca 1897), strony 207-208.
- Notes on Naval Progress*, Biuro Wywiadu Marynarki, General Printing Office, lipiec 1901.
- O’Hara, J. G. i W. Pricha, *Hertz and the Maxwellians*, Peter Peregrinus/ Science Museum, London, 1987.
- O’Neill, John J., *Prodigal Genius: The Life of Nikola Tesla*. Ives Washburn, 1944.
- Oppenheim, Janet, *The Other World*, Cambridge, 1985.
- Parsce, Francesco, *Personal Reflections on an ‘Italian Adventurer’*, <http://www.marconifoundation.org>.
- Paterson, John, *Edwardians*, Ivan R. Dee, 1996.
- Petrie, sir Charles, *The Edwardians*. W. W. Norton, 1965.
- Place-Names and Places of Nova Scotia*, Public Archives of Nova Scotia, 1967.
- Pocock, R. E., i G.R.M. Garratt, *The Origins of Maritime Radio*, Her Majesty’s Stationery Office, 1972.
- Portrait and Biographical Album of Branch County, Michigan*, Chapman, 1888.
- Preece, W. H., *Signalling Through Space Without Wires*, „Electrician”, 39, nr 7. (11 czerwca 1897), strony 216-218.

- , „Wireless” Telegraphy, „Page’s Magazine”, August 1902, strony 131-136.
- Priestley, J. B. *The Edwardians*, Harper & Row, 1970.
- Read, Donald, *The Age of Urban Democracy*, Longman, 1994 (1979).
- Rose, Clarkson, *Red Plush and Greasepaint*, Museum Press, 1965.
- Rose, Jonathan, *The Edwardian Temperament 1895-1919*, Ohio University, 1986.
- Rosenthal, Michael, *The Character Factory*, Pantheon, 1984.
- Schneer, Jonathan, *London 1900*. Yale, 1999.
- Seitz, Frederick, *The Cosmic inventor: Reginald Aubrey Fessenden*, American Philosophical Society, 1999.
- Sewall, Charles Henry, *Wireless Telegraphy*, D. Van Nostrand, 1904.
- Sexton, Michael, *Marconi: The Irish Connection*, Four Courts Press, 2005.
- Shipway, William H. i Lena, *History of the First Methodist Church (Coldwater, Mich.), 1832-1958*, Branch County District Library.
- Simons, R. W., *Guglielmo Marconi and Early Systems of Wireless Communication*, „GEC Review”, 11, nr 1, (1996), strony 37-55.
- Stansky, Peter, *On or About December 1910*, Harvard, 1996.
- Tedeschi, Enrico, *Guglielmo Marconi in London*, Hove Books, 1998.
- Thoreau, Henry David, *Cape Cod*, W. W. Norton, 1951 (1865).
- Traxel, David, *1898*, Alfred A. Knopf, 1998.
- The Trial of Hawley Harvey Crippen*, Notable Trials Library, 1991 (1920).
- Tuchman, Barbara W., *Sierpniowe strzały*, przekład Maria i Andrzej Michejdowie, Bellona/Czytelnik, Warszawa, 1995.
- , *Wyniosła wieża: świat przed pierwszą wojną, 1890-1914*, przekład Janina Zawadzka, „Czytelnik”, Warszawa 1987.
- Vyvyan, R. N., *Marconi and Wireless*, EP Publishing, 1974 (1933).
- Walkowitz, Judith R., *City of Dreadful Delight*, Virago Press, 1992.
- , *People*, Doubleday, 1929.
- Wallace, Edgar, *The Four Just Men*, Dover Publications, 1984 (1905).
- Wander, Tim, *Marconi on the Isle of Wight*, TRW Design & Print, 2000.
- , *Radio’s First Home*, „Bulletin of the British Vintage Wireless Society”, 18, nr 4 (niedatowany), strony 51-52.
- Weightman, Gavin, *Signor Marconi’s Magic Box*, HarperCollins, 2003.
- Weintraub, Stanley, *Edward the Caresser*, Free Press, 2001.
- Wells, H. G., *Wehikuł czasu*, przekład Feliks Wermiński, Zysk i S-ka, Poznań, 1996.
- , *Wojna światów*, przekład Henryk Józefowicz, Prószyński i S-ka, Warszawa, 1997.
- , *Tono-Bungay*, Modern Library, 2003 (1909).
- West, Nigel. *GCHQ: The Secret Wireless War, 1900-86*, Weidenfeld & Nicolson, 1986.
- Westman, Eric, *Marconi’s ‘Forgotten’ Transmission*, „Bulletin of the British Vintage Wireless Society”, 11, nr 3, (styczeń 1987), strona 37.
- , *Marconi’s Tests in 1897*, „Bulletin of the British Vintage Wireless Society”, 11, nr 4 (marzec 1987), strona 52.
- Whatley, Michael E., *Marconi: Wireless on Cape Cod*, 1987.
- , *Common Trailside Plants of Cape Cod National Seashore, Eastern National*, 2003.
- Willcox, Philip H. A., *The Detective-Physician*, William Heinemann Medical Books, 1970.
- Williams, Guy R., *The Hidden World of Scotland Yard*, Hutchinson, 1972.
- Woodruff Place Centennial, 1872-1972*, Official Centennial History Booklet, 1 stycznia 1972, Indiana State Library.
- Ybarra, T. R., *Caruso*, Harcourt, Brace, 1953.

Podziękowania

Jako autor mam szczęście. Nie tylko jest to moja czwarta książka dla tego samego wydawnictwa, Crown, ale czwarta z moją ukochaną redaktorką Betty Prashker, i z moim agentem, przyjacielem i *consigliere*, Davidem Blackiem. Wszyscy oni ponownie dowiedli, że są moimi lojalnymi sprzymierzeńcami, niewzdrygającymi się — a przynajmniej nie za bardzo — nawet jeśli maszynopis pojawia się sześć miesięcy po czasie. Betty posiada wspaniałą umiejętność uspokajania autora. Wydała tyle książek tak wielu wspaniałych pisarzy, że kiedy mówi: „Nie martw się, będzie dobrze”, wiesz, że rzeczywiście należy się uspokoić.

W Crown moje książki zawsze mogły liczyć na wielkie wsparcie dzięki entuzjazzmowi Jenny Frost, Steve’a Rossa i Tiny Constable, których tajemną bronią jest legion gorliwych przedstawicieli handlowych — w zasadzie kaznodziejów — którzy niosą książki Crowna w świat. Whitney Cookman stworzyła przepiękną okładkę. Janet Biehl, redaktor tekstu i mój zbawca, uczyniła ją spójną. Penny Simon, wspaniała rzeczniczka prasowa, zajęła się ważnym zadaniem sprawiania, by książka zaistniała w świadomości czytelników. Specjalne podziękowania dla Lindsey Moore, asystentki redakcji, za radosne wypełnianie funkcji pośredniczki i szukacza.

Najwięcej zawdzięczam mojej żonie, Christine Gleason, oraz moim córkom i psu. To oni sprawili, że nie zwariowałem, a nawet zachowałem jasność umysłu. Trudno jest traktować siebie zbyt poważnie, kiedy ma się trzy córki w wieku nastoletnim, szczególnie jeśli dwie z nich akurat uczą się prowadzić samochód. Moja żona ponownie dała wyraz swemu wrodzonemu talentowi redaktora. Zdaje sobie sprawę, że kiedy dostaje do ręki maszynopis, nagle zyskuje ogromną moc, ale używa jej mądrze —

choć te ciągle zzzzz na marginesach czasami naprawdę sprawiały, że moja dusza próbowała się zerwać z kotwicy. Miała jednak rację. Jak zwykle.

Dziękuję moim przyjaciołom, Carrie Dolan i Robinowi Marantzowi Henigowi, wspaniałym pisarzom za przeczytanie kluczowych części maszynopisu i doradzenie mi, jak poprawić narrację, by zwiększyć jej jasność i tempo.

Jestem również wdzięczny mojemu nauczycielowi włoskiego, Robertowi — Roberto — Straitowi, którego dar do nauczania języka przewyższa jedynie talent do wyjawiania uczniom jego sekretów. Włoski to wspaniały, dynamiczny język. Nawet najprostsze zdanie, jeśli wypowiedziane zostanie z *gusto*, brzmi wspaniale.

Moje podróże podczas pisania tej książki przypadły na okres, kiedy opinia na temat Ameryki nie mogła być gorsza, ale zawsze traktowany byłem uprzejmie i wielkodusznie. W Cape Breton w Nowej Szkocji wszyscy stają się twoimi przyjaciółmi. Natychmiast. We Włoszech wszyscy chcą cię nakarmić. W Anglii każde pytanie, jakie zadałem, przyjmowano z serdecznością i poczuciem humoru. A herbata jak zwykle była wspaniała.

Ilustracje

CZEŚĆ I

Guglielmo Marconi, portret publikowany
za zgodą Essex Record Office.

CZEŚĆ III

Zdjęcie wypuszczania latawca opublikowane za zgodą
The Bodleian Library, University of Oxford, MSS Marconi.

CZEŚĆ V

Portret Beatrice O'Brien opublikowany za zgodą Essex Record
Office.

PRZYPISY I ŹRÓDŁA

Alvin Langdon Coburn, *Katedra św. Pawła od strony Ludgate
Circus*

z książki *London 1910*, fotografatura.

Zbiór Prentice and Paul Sack Photographic Trust,
opublikowano za zgodą San Francisco Museum of Modern Art.

O autorze

Erik Larson jest autorem książki *Diabeł w Białym Mieście*, która otrzymała Edgar Award jako najlepsza książka dokumentalna, była nominowana do National Book Award i utrzymała się na liście bestsellerów „New York Times” przez ponad dwa lata. Larson napisał również inną bestsellerową książkę, *Isaac’s Storm* opowiadającą o huraganie, który w 1900 roku zniszczył miasto Galveston w stanie Texas. Pisuje dla licznych magazynów o zasięgu ogólnokrajowym, pracował również kiedyś w redakcjach „Wall Street Journal” oraz „Time”. Mieszka w Seattle wraz z żoną, trzema córkami i golden retrieverem o imieniu Molly.

Objaśnienia tłumaczki

[1] Deady (ang.) niezbyt popularne nazwisko, kojarzące się ze słowem „deadly” - zabójczy

[2] Handsome (ang.) przypomina słowo „handsome” - przystojny, okazały.

[3] Brooklyn Matzos Ball (ang.) - dosłownie „Brooklyńska kluska z macy”. Matzos ball, albo matza ball, to kluski przygotowywane z ciasta na macę (mąka + woda) do tradycyjnych potraw święta Paschy. Jest to więc aluzja równocześnie do okrągłej figury Cory Crippen, jej żydowskiego pseudonimu, jak i pochodzenia.

[4] Kingston upon Hull, miasto w Wielkiej Brytanii, potocznie nazywane Hull. Jego nazwa tylko jedną literą różni się od słowa „hell” - „piekło”. Wyrażenie „Go to hell” znaczy tyle co „Idź(cie) do diabła”.

[5] Minstrele byli to śpiewacy i pieśniarze ucharakteryzowani na Murzynów.

[6] William Shakespeare, Życie Henryka V, akt IV, Prolog, przekład Leon Ulrich, [w:] William Shakespeare, Kroniki, PIW, Warszawa 1981.

[7] William Shakespeare, Kupiec wenecki, akt IV scena I, przekład Stanisław Barańczak, Wydawnictwo W drodze, Poznań 1992

Table of Contents

[Strona redakcyjna](#)

[Do czytelników](#)

[Tajemniczy pasażerowie](#)

[Część I. Duchy i kanonada](#)

[Rozproszona uwaga](#)

[Wielkie Sza](#)

[Blizna](#)

[Dziwne wydarzenia](#)

[Wystrzał](#)

[Uśmierzanie bólu](#)

[Dwa bilety do Londynu](#)

[Część II. Zdrada](#)

[Tajemnicza skrzynka](#)

[Anarchiści i sperma](#)

[Niemiecki szpieg](#)

[Bruce Miller](#)

[Wrogowie](#)

[„Czy był pan jej kochankiem?”](#)

[Fleming](#)

[Powstaje Stowarzyszenie Pań](#)

[„Gigantyczny eksperyment”](#)

[Koniec świata](#)

[Część III. Tajemnice](#)

[Panna Le Neve](#)

[„Fabryka grzmotów”](#)

[Klaustrofobia](#)

[Nieszczęście](#)

[Książka trucizn](#)

[Tajemnica latawców](#)

[Nieszczęsna miłość](#)

[Decydująca przeszkoda](#)

[Na balu](#)

[„Nie wierzę”](#)

Wieści z Ameryki

Część IV. Inspektor składa wizytę

„Przekłęte słońce!”

Panie prowadzą śledztwo

Ciężkie przeprawy

Błękitna serża

Szczury

Ach

Dziewczyna na przystani

Hook

Część V. Najwspanialszy czas

Prawda o Belle

Więzień w zatoce Glace

Wyzwolenie

Śmierć w Mayfair

Inspektor powraca

Syrena

Tajemnica się pogłębia

Dynamitowa nagroda

Pięć słoików

Dowód

Część VI. Pościg za pomocą gromu

Panowie Robinsonowie

Samobójstwo

Wiadomość z morza

„Pan Dewhurst”

Przechwycony sygnał

Klatka ze szkła

Wibrujący eter

Kot z St. Mary's

Szepty

Inspektor przybywa

Statek we mgle

Zdradliwe wody

Epilog. W eterze

Tabela upadków

[Małżeństwo, którego nie było
Fleming i Lodge](#)

[Koda. Pasażerka](#)

[Pasażerka](#)

[Przypisy i źródła](#)

[Przypisy](#)

[Archiwa i bibliografia](#)

[Podziękowania](#)

[Ilustracje](#)

[O autorze](#)

[Objaśnienia tłumaczki](#)

Table of Contents

[Strona redakcyjna](#)

[Do czytelników](#)

[Tajemniczy pasażerowie](#)

[Część I. Duchy i kanonada](#)

[Rozproszona uwaga](#)

[Wielkie Sza](#)

[Blizna](#)

[Dziwne wydarzenia](#)

[Wystrzał](#)

[Uśmierzanie bólu](#)

[Dwa bilety do Londynu](#)

[Część II. Zdrada](#)

[Tajemnicza skrzynka](#)

[Anarchiści i sperma](#)

[Niemiecki szpieg](#)

[Bruce Miller](#)

[Wrogowie](#)

[„Czy był pan jej kochankiem?”](#)

[Fleming](#)

[Powstaje Stowarzyszenie Pań](#)

[„Gigantyczny eksperyment”](#)

[Koniec świata](#)

[Część III. Tajemnice](#)

[Panna Le Neve](#)

[„Fabryka grzmotów”](#)

[Klaustrofobia](#)

[Nieszczęście](#)

[Książka trucizn](#)

[Tajemnica latawców](#)

[Nieszczęsna miłość](#)

[Decydująca przeszkoda](#)

[Na balu](#)

„Nie wierzę”
Wieści z Ameryki
Część IV. Inspektor składa wizytę
„Przeklęte słońce!”
Panie prowadzą śledztwo
Ciężkie przeprawy
Błękitna serża
Szczury
Ach
Dziewczyna na przystani
Hook
Część V. Najwspanialszy czas
Prawda o Belle
Więzień w zatoce Glace
Wyzwolenie
Śmierć w Mayfair
Inspektor powraca
Syrena
Tajemnica się pogłębia
Dynamitowa nagroda
Pięć słoików
Dowód
Część VI. Pościg za pomocą gromu
Panowie Robinsonowie
Samobójstwo
Wiadomość z morza
„Pan Dewhurst”
Przechwycony sygnał
Klatka ze szkła
Wibrujący eter
Kot z St. Mary’s
Szepty
Inspektor przybywa
Statek we mgle
Zdradliwe wody
Epilog. W eterze

[Tabela upadków](#)
[Małżeństwo, którego nie było](#)
[Fleming i Lodge](#)

[Koda. Pasażerka](#)

[Pasażerka](#)

[Przypisy i źródła](#)

[Przypisy](#)

[Archiwa i bibliografia](#)

[Podziękowania](#)

[Ilustracje](#)

[O autorze](#)

[Objaśnienia tłumaczki](#)